

David

Ellis

OKIEM

OBSERWATORA

Czerwiec 1989

Masakra w Mansbury

Źródła z Wydziału Policji w Marion Park potwierdzają, że ciał było sześć. Sześć zwłok znaleziono w suterenie Audytorium Bramhall, na terenie miasteczka uniwersyteckiego Mansbury College. Nie wiemy jeszcze, czy są wśród nich zaginione studentki - Cassandra Bentley i Elisha Danzinger.

Carolyn Pendry, Newscenter 4, 26 czerwca 1989,
trzynasta osiemnaście

W związku z zabójstwem sześciu młodych kobiet policja z Marion Park aresztowała trzydziestosześcioletniego Terrence'a Demetriusa Burgosa, dozorcę zatrudnionego w niepełnym wymiarze godzin w Mansbury College. Zwłoki zgwałconych i zamordowanych kobiet znaleziono w Audytorium Bramhall na terenie kampusu.

„Daily Watch”, 27 czerwca 1989

1

Poniedziałek, 26 czerwca 1989, ósma trzydzieści dwie

Paul Riley jechał za eskortującymi go wozami policyjnymi. Wyminął rozstawione barierki i zaparkował obok wozu patrolowego. Zaciągnął ręczny hamulec, wyłączył silnik i zmówił cichą modlitwę.

Zaraz się zacznie.

Otworzył okno samochodu, wpuszczając gęste, wilgotne powietrze. Uderzyła go fala dźwięków - jakby nagle ktoś podkręcił na cały regulator sprzęt stereo. Jakiś policjant ostrzegał przez megafon reporterów i tłoczących się ludzi, żeby nie przechodzili za rozstawione barierki. Reporterzy zasypywali gradem pytań każdego funkcjonariusza, na którego się natknęli. Niektórzy z nich rzucili się teraz w stronę Rileya - kogoś, kogo nie znali. Policjanci, personel medyczny, technicy - wszyscy wykrzykiwali jakieś polecenia. Inni dziennikarze, stojąc przed kamerami z mikrofonami w rękach, głośno przekazywali najnowsze wiadomości. Setki ludzi, którzy zeszli się ze wszystkich stron, zadawało sobie pytanie, co tak naprawdę stało się w Audytorium Bramhall.

Riley wiedział niewiele więcej od nich. Słyszał już, że znaleziono tam sześć ciał młodych kobiet, okaleczonych na różne sposoby. No i była jeszcze jedna, dodatkowa informacja, którą drżącym głosem przekazał mu szef:

- Myślą, że jedna z nich to Cassie.

Miał na myśli Cassandrę Bentley, studentkę Mansbury College i - co ważniejsze - córkę Harlanda i Natalii Bentleyów. Ich majątek szacowano na miliardy dolarów. Rodzinne pieniądze. Polityczne wpływy. Ludzie, którzy coś znaczą. Nawet samo nazwisko kojarzyło się z pieniędzmi.

Riley spojrział w górę na rozdarte niebo. Nad kampusem Mansbury College krążyły teraz trzy helikoptery z sieci telewizyjnych. Wyjął odznakę, którą miał dopiero od trzech tygodni, przypiął ją do kurtki i rozejrzał się, szukając jakiegoś funkcjonariusza. Kręciło się ich tu sporo - dostrzegł niebieskie mundury policji z Marion Park, brązowe z biura szeryfa, białe ochrony Mansbury i czarne jakichś innych służb, prawdopodobnie sprowadzonych tu, aby zapanować nad tłumem.

Przedstawił się. Podał swoją funkcję. Jeszcze się do tego nie przyzwyczaił: „Zastępca prokuratora okręgowego”. Najważniejszy po prokuratorze okręgowym.

- Kto tu dowodzi? - zapytał.

- Lightner - odparł policjant, wskazując ręką w stronę budynku.

Audytorium Bramhall zajmowało pół kwartału. Był to zwieńczony kopułą gmach, do którego wchodziło się po wielkich betonowych schodach. Fronton podpierały granitowe kolumny, a po obu stronach rozciągał się wypiełgnowany trawnik. Licząc kolejne stopnie - było ich dwanaście - Riley wszedł do holu.

Wewnątrz panowała tylko trochę mniejsza duchota. Nie działała klimatyzacja. Trwały ferie i nie było teraz żadnych zajęć. Nie spodziewano się, że w tym czasie ktoś będzie korzystał z Audytorium Bramhall. Dostęp - pomyślał Riley. Kto mógł mieć dostęp do tego miejsca?

Poruszał się ostrożnie. Był co prawda nowy w tej robocie, ale nie na miejscach zbrodni. Wcześniej przez wiele lat pracował jako zastępca prokuratora federalnego. Większość tego czasu spędził na rozpracowywaniu ulicznego gangu - a ten

niezwykle często uciekał się do przemocy. Jęknął, widząc, ilu ludzi z różnych służb kręciło się na miejscu zbrodni. Im ich mniej, tym lepiej. Zawsze. Rozejrzał się wokół i od razu zdał sobie sprawę, jak niewiele da to całe zdejmowanie odcisków palców, którym się właśnie zajmowali. To był budynek z pokaznym holem i ogromną salą z galeriami; mógł spokojnie pomieścić kilka tysięcy ludzi. Już łatwiej byłoby ustalić, czyich odcisków palców tu nie ma.

W holu otworzyły się boczne drzwi, prowadzące zapewne do pomieszczeń gospodarczych w suterenie, gdzie znaleziono ciała. Wyszedł z nich policjant. Zdjął z twarzy maskę -taką z filtrem zapachowym z wkładem z węgla drzewnego - i wymiotował na podłogę.

Paul natychmiast zaprzagnął tu policjantów z miasta. Jako były zastępca prokuratora federalnego nie przepadał za miejską policją, ale od gliniarzy z przedmieścia chyba wszystko byłoby lepsze. Nie miał jednak wyboru - rejon to rejon. Nie pracował już dla FBI. Wziął maskę z rąk klapniętego mężczyzny, który ocierał teraz usta. Kazał mu posprzątać po sobie i wyjść na świeże powietrze. A potem głęboko odetchnął i otworzył drzwi.

Klatka schodowa była szeroka, a na stopniach dostrzegł ślady butów. Powstrzymał się, by odruchowo nie oprzeć dłoni na drewnianej poręczy. Zszedł na półpiętro i niżej, pokonując ostatnie stopnie.

W suterenie kręciło się tylko dwóch mężczyzn w mundurach. Jeden z nich stał w windzie, którą teraz zatrzymano. Początkowa krzątanina, normalna przy zbieraniu odcisków palców i fotografowaniu miejsca zbrodni, tutaj już się skończyła.

Przed nim ciągnął się szeroki korytarz z kilkoma ciężkimi, otwartymi drzwiami. Niektóre z pomieszczeń magazynowych już przeczesano - bez żadnych rezultatów. Riley ruszył korytarzem w stronę ostatniego z nich - najważniejszego. Poczul, że podświadomie zwalnia kroku

Zebrał się w sobie, a następnie, powłóczęc nogami, przeszedł przez te ostatnie drzwi.

Pomieszczenie było przestronne, z rzędami szafek z metalowej siatki i regałami na chemikalia i środki czyszczące. Obok stały mopy, miotły, wielki kubel na śmieci i pojemniki z rozpylaczami. Na podłodze leżało sześć nagich ciał ułożonych w jednej linii, z ramionami przy ciele i ze złączonymi nogami.

Jak to opisać? Ludzie zawsze powtarzają, że nie da się tego wyrazić słowami, ale w tym wypadku miałyby się to z prawdą. Nie wiedziałby tylko, od czego zacząć ani na czym skończyć. Widział już zdjęcia z Dachau i z Oświęcimia, ale to były tylko zdjęcia. Oddawały całą grozę i potworność zaledwie w dwóch wymiarach. Postanowił użyć tego jak mechanizmu obronnego. Próbował myśleć o tych sześciu zaszlachtowanych dziewczynach jak o jakichś zdjęciach w książce. Starał się nie zwracać uwagi na buntujący się żołądek i zalewające go fale adrenaliny. Usiłował równo oddychać i zachować chłodne, kliniczne spojrzenie.

Pierwsza ofiara miała blond włosy. Byłaby piękną młodą dziewczyną, ale żółtawy odcień skóry sprawiał, że przypominała raczej woskową figurę. Dziwny kąt odchylenia głowy pozwalał się domyślać, że wymierzono jej od góry potężny cios w czaszkę. Jeszcze bardziej rzucała się w oczy rana klatki piersiowej w miejscu, gdzie kiedyś było serce. Nazwanie tego raną to za mało. Wyglądało to tak, jakby ktoś wydarł z niej życie.

Druga dziewczyna miała bardzo głęboką ranę na szyi. Riley odniósł wrażenie, że po uniesieniu ciała głowa by odpadła. Również jej skóra była blada. Dziewczyna przypominała raczej manekina niż ludzką istotę. A może to tylko kolejny mechanizm obronny? Może łatwiej o nich myśleć jak o przedmiotach? Przynajmniej kiedy się na nie patrzy. Sprawca też zazwyczaj podchodzi do tego w ten sposób.

Ciało leżące obok niej również było nagie i całe wyzar-

te kwasem aż po stopy i dłonie. Większość skóry na twarzy została wypalona - pozostały tylko kości, z których upiornie patrzyły wystające oczy. Trzeba ją będzie zidentyfikować za pomocą karty dentystycznej. Wyglądało na to, że zachowała się też skóra na jednej dłoni - można będzie zdjąć odciski palców.

Wyglądało na to, że czwartą ofiarę zabito później niż trzy pierwsze. Jej skóra miała naturalniejszą barwę. Mimo to Riley wiedział, że śmierć nastąpiła już jakiś czas temu. Ramiona i nogi zostały odcięte od ciała, a potem ułożone przy zwłokach, tak jakby była popsutą, zniszczoną lalką. Ktoś wybił jej oczy jakimś tępym narzędziem - pozostały tylko puste, zakrwawione oczodoły.

Piąta ofiara miała wytrzeszczone oczy, szeroko otwarte usta oraz wybroczyny na szyi i twarzy. Wszystko wskazywało na to, że została uduszona.

Ostatnia dziewczyna - sądząc po odcieniu skóry - została zamordowana najpóźniej. To jasne, że sprawca ułożył je w porządku chronologicznym. Jej twarz była cała opuchnięta od uderzeń, które musiano jej zadać przed śmiercią. Nos miała zmiążdżony. Rozbito jej też łuki brwiowe i kości policzkowe, a szczyt głowy strzaskano na miazgę. Ciemne włosy sterczały na wszystkie strony, pozlepiane krwią i tkanką mózgową. Powiedziano mu, że to właśnie najprawdopodobniej była Cassandra Bentley.

Sześć młodych kobiet, zamordowanych i na różne sposoby okaleczonych, leżało na podłodze w równym rzędzie. Jak mięso w rzeźni.

W porządku, już to zobaczył. Dla prokuratora mającego prowadzić dochodzenie obejrzenie miejsca zbrodni jest bardzo ważne. A nie miał żadnych wątpliwości, że to właśnie on zajmie się tą sprawą.

Poczuł mrowienie w dłoniach i stopach. Otepiały, wspiał się po schodach z powrotem na górę. Ani na korytarzu, ani na klatce schodowej nie było widać żadnych śladów krwi. To nie

tu odbyła się cała zabawa. Zamordowano je w jakimś innym miejscu i przeniesiono tutaj.

Otworzył drzwi do holu. Wysoki, chudy mężczyzna o ciemnych, kręconych włosach kiwnął głową w jego kierunku.

- Paul Riley? Joel Lightner, śledczy z Marion Park.

Zastępca prokuratora zdjął maskę i uściśnął dłoń Lightnera. Policjant miał dziecianną twarz, ale prawdopodobnie był już po trzydziestce. Riley zastanawiał się, ilu śledczych może być w tak małym miasteczku jak Marion Park.

- Śledczy Harry Clark. - Lightner wskazał stojącego za nim mężczyznę. Ten należał do facetów, którzy bez munduru wyglądałoby niechlujnie. Kiepska postawa, pokaźny brzuch, obwisły podbródek, małe oczka i rzadkie, ostrzyżone po żołniersku włosy.

- A to Walter Monk, szef ochrony Mansbury.

Wszyscy uściśnęli sobie ręce i wymienili się wizytówkami. Lightner otworzył notes i odczytał listę obrażeń. Pierwsza dziewczyna - cios w czaszkę i usunięte serce. Druga - gardło poderżnięte tak głęboko, że niemal nastąpiła dekapitacja. Trzecia - poparzona kwasem siarkowym. Czwarta - odcięte ręce i nogi, wylupione oczy. Piąta - uduszona lub utopiona. Ostatnia - bestialsko pobita, ciężkie obrażenia twarzy i czaszki, jedna rana postrzałowa. Strzał w usta.

- We wszystkich przypadkach doszło do stosunku seksualnego - dodał Lightner. - Koroner twierdzi, że pierwszą ofiarę zabito tydzień temu. Pozostałe zginęły później. Wygląda na to, że codziennie, przez tydzień, mordował jedną. Uważają, że ostatnią zabił prawdopodobnie wczoraj.

- Leżały tu przez cały tydzień i nikt nic nie zauważył? Monk, facet od ochrony, musiał już dobiegać sześćdziesiątki. Powoli kiwnął swą ptasią głową.

- Między semestrem wiosennym a letnimi kursami są dwutygodniowe ferie. Cała szkoła jest zamknięta.

Ktokolwiek to zrobił, musiał o tym wiedzieć - pomyślał Riley.

- Ta ostatnia to Cassie Bentley? - spytał. - Ta bogata?

Monk westchnął.

- Ma tak poważne obrażenia, że trudno stwierdzić na sto procent.

Riley musiał się z tym zgodzić. Twarz tej biednej dziewczyny została zmiażdżona. Będą potrzebować karty dentystrycznej, żeby potwierdzić jej tożsamość.

- Ale tak, tak myślę - dodał Monk. - Zwłaszcza że ta pierwsza to Ellie. To ma sens.

Riley nadstawił uszu. Musiał nadrobić zaległości.

- Elisha Danzinger - wyjaśnił Lightner. - Ellie. Mieszkały razem z Cassie w jednym pokoju w akademiku. Najlepsze przyjaciółki.

- Ilu studentów jest tutaj, w Mansbury? - zapytał Riley Mońka.

Szef ochrony się skrzywił.

- Około czterech tysięcy.

- Cztery tysiące. A dlaczego tak dobrze znacie te dwie dziewczyny?

Monk parsknął śmiechem.

- No cóż, każdy zna Cassie Bentley. Nazwisko mówi samo za siebie. - Zrobił kwaśną minę. - A poza tym miała sporo problemów. Sprawy dyscyplinarne. Cassie była trochę... jakby to powiedzieć... zagubioną dziewczyną.

Lightner trącił szefa ochrony Mansbury.

- Opowiedz mu to, co właśnie mi powiedziałaś o Ellie.

- No właśnie, Ellie. - Monk wciągnął powietrze. - Miała problemy z pewnym pracownikiem college'u. Taka złota rączka, do wszystkiego. Pracował na niepełnym etacie. Robił różne rzeczy: malowanie, kładzenie asfaltu, prace konserwacyjne. Kiedy tu pracował, przydzielono mu właśnie te budynki.

- No i?

- No i łąził za Ellie po całym kampusie. Prześladował ją. W zeszłym roku założyła sprawę w sądzie i uzyskała zakaz zbliżania się. No i oczywiście go zwolniliśmy.

Riley zastanawiał się nad tym. Złota rączka. Musiał mieć klucze do tych budynków. Na pewno znał rozkład zajęć w szkole.

- Ellie to ta z wyrwanym sercem? Ta pierwsza?

Wszyscy pokiwali głowami.

- Czyli znacie tego faceta? Tę złotą rączkę?

- Nazywa się Terry Burgos - odparł Monk. - Mam tu jego adres.

Riley spojrział na Lightnera. Czy naprawdę musiał to mówić na głos?

- Wezmę ze sobą parę wozów - rzucił śledczy.

- Poczekaj! - powstrzymał go Riley. - Muszę skorzystać z telefonu. I niech mi ktoś przyprowadzi któregoś z asystentów prokuratora okręgowego. Nie będziemy ryzykować. Natychmiast otoczcie ten dom. Jeśli się zgodzi na rewizję, wchodźcie. W przeciwnym razie poczekajcie na sygnał ode mnie.

Lightner spojrział na Rileya. Gliniarze mieli swoje sposoby na uzyskanie takiej zgody - albo po fakcie twierdzili, że ją uzyskali.

- Nie spieprzamy tej rewizji, detektywie - powiedział Riley. - Jasne?

Zostawił policjantów i znalazł asystentkę prokuratora okręgowego. Wysłał ją do sędziego po nakaz rewizji. Potem znalazł telefon w biurze administracyjnym college'u i zadzwonił do swojego szefa, prokuratora okręgowego Eda Mullaneya.

- Będziesz musiał zadzwonić do Harlanda Bentleya - powiedział. Wyjrzał przez okno na krążący helikopter sieci telewizyjnej. - O ile jeszcze się nie dowiedział.

2

Dwunasta trzydzieści pięć

Gdy Paul Riley parkował przed domem Terry'ego Burgosa, policja z Marion Park była już od godziny na miejscu. Detektyw Joel Lightner zapukał do drzwi. Burgos otworzył. Nie protestował, gdy śledczy poprosił go, żeby poczekał na gan-ku, aż asystent prokuratora okręgowego dostarczy nakaz re-wizji.

Nad ich głowami krążył helikopter. Reporterzy napierali na policyjną barierkę. Sąsiedzi powychodzili z domów -jedni ubrani do pracy, inni w szlafrokach. Patrzyli, kurczowo przytulając do siebie dzieci. Wieści oczywiście już się rozeszły. Morderca mieszkał przy Rosemary Lane 526.

Dom nie wyróżniał się niczym szczególnym. Stał w szeregu typowych parterowych domków dla „mieszczuchów” na zachód od miasteczka uniwersyteckiego. Policjanci kręcili się po całej posesji. Szukali śladów i odcisków butów na podwórzu za domem, przeczesywali garaż, gdzie znaleziono trochę krwi i włosów, dokładnie badali wóz Terry'ego - zaparkowanego na podjeździe chevy suburbana.

Burgosa zabrali na posterunek na przesłuchanie. Riley zamierzał przy tym być, ale najpierw chciał rzucić okiem na dom. Już coś miał. Łazienka, garaż i samochód zapowiadały się bardzo obiecująco, ale najważniejszy dowód znaleźli w piwnicy.

Czuł mdłości, ale musiał zachować zimną krew. To była jego sprawa. Wszyscy będą podążać w ślad za nim. Kiwnął głową Lightnerowi, który właśnie zmierzał w stronę garażu. Śledczy miał wrócić na posterunek dopiero z Rileyem, a gli-niarze, którzy aresztowali Burgosa, dostali jasne instrukcje: żadnych przesłuchań ani rozmów, dopóki zastępca prokuratora okręgowego nie powie inaczej.

Riley podszedł do budynku ścieżką wyłożoną kamienia-

mi. Podwórze było zaniedbane, wyschnięty trawnik szpeciły brązowe plamy. Drzwi z siatką, których czasy świetności już dawno minęły, zdjął któryś z policjantów. Pozostały tylko drzwi frontowe, teraz otwarte i zablokowane kamieniem ze schodów przed domem.

Na parterze było w miarę normalnie. Jakies stare meble, zniszczone płytki na podłodze. Wyglądało to wszystko skromnie, ale dość porządnie.

Riley, wstrzymując oddech, skierował się ku pokrytym wykładziną schodom prowadzącym do piwnicy. Od razu poczuł ten zapach. Ktoś mniej doświadczony powiedziałby pewnie, że to odór ścieków. Większość mordowanych ludzi traci kontrolę nad zwieraczami. Na dole nie było żadnych zwłok, ale Lightner twierdził, że morderstwa z całą pewnością zostały popełnione w piwnicy.

Nie mylił się.

Nie było w niej żadnych mebli. Jedynie betonowa podłoga i trochę sprzętu do ćwiczeń: ławka treningowa i pokryta pajęczynami sztanga ze skromnym zestawem ciężarów. Na jednej ze ścian wisiała przekrzywiona tarcza do gry w rzutki - tuż obok tarczy do pistoletu pneumatycznego. Całe pomieszczenie na co dzień było pewnie dość ciemne, ale policja zainstalowała bardzo silne oświetlenie i technicy poruszali się w dziwnej poświacie.

Riley przeniósł wzrok na tylną część piwnicy, gdzie Burgos miał niewielki warsztat. Zauważył piłę elektryczną, trochę ręcznych narzędzi i koziół do piłowania drewna. Podłoga była brudna i poplamiona. Plamy krwi, które Terry najprawdopodobniej próbował zetrzeć. Paru techników zbierało pinzetami włosy i różne przedmioty, umieszczając je w papierowych torbach na dowody. Wyglądało na to, że to tutaj popełniono morderstwa.

Riley podszedł do ławki treningowej i gwałtownie wciągnął powietrze. Leżał na niej zwykły nóż kuchenny z ostrzem

mierzącym dobrych pięć czy sześć cali, pokryty zaschniętą krwią. Pierwsze dwie ofiary: Elisha Danzinger i jakaś niezidentyfikowana dziewczyna, zostały potraktowane tą właśnie bronią. Obok noża leżała ręczna piła. Jej ostrze również pokryte było krwią, innymi wydzielinami ciała i czymś, co wyglądało na drobne fragmenty kości. To tego narzędzia użył do ćwiartowania czwartej ofiary.

W kącie stała wanna, pokryta od wewnątrz plamami rdzy. Wyglądała, jakby ktoś ją wyciągnął ze śmietnika. Riley nie miał wątpliwości, że to właśnie tutaj Burgos poparzył kwasem jedną z ofiar. Obok, na pralce, dostrzegł akumulator i szklany zbiornik.

To już cztery. Zostały jeszcze dwie.

Riley wiedział już, że w łazience na górze policja znalazła włosy w spływie wanny, w której prawdopodobnie została utopiona jedna z ofiar. A w garażu odkryli jedną kulę i pistolet kalibru 32. To prawdopodobnie z tej broni Burgos strzelił w usta Cassie Bentley. Zrobił to przed (lub po) pobiciem jej do tego stopnia, że niemal nie dało się jej rozpoznać.

To już wszystkie ofiary. Facet nie zadał sobie wielkiego trudu - a właściwie żadnego - żeby to zatuszować. Zostawił narzędzia zbrodni w doskonale widocznym miejscu. Zostawił dowody śladowe w piwnicy, w samochodzie i w garażu. Zostawił przedmioty pozwalające zidentyfikować ofiary - ich portfele, prawa jazdy, ubrania - w worku na śmieci, który znaleźli w sypialni. Ograniczył się co prawda do mordowania na terenie własnej posesji - albo tak się przynajmniej na pierwszy rzut oka wydawało - jednak poza tym nie próbował nawet wyczyścić narzędzi zbrodni albo się ich pozbyć.

Na ławce treningowej, obok noża i ręcznej piły, leżała Biblia króla Jakuba z krwawymi odciskami palców na stronicach. Na kartce, przyczepionej pinezką do tablicy na ścianie, wypisana była lista ustępów z Pisma Świętego, z wyszczególnieniem rozdziałów i wersów. Pochylił się nad ławką, żeby

lepiej się przyjrzeć zapisanemu czerwonym długopisem tekstowi. Na samej górze, oddzielony od reszty, znajdował się ustęp z Księgi Jeremiasza 48:10.

*Przeklęty ten, co wypełnia dzieło Pańskie niedbale!
Przeklęty ten, który swój miecz powstrzymuje od krwi!*

Poniżej wymieniono inne ustępy z Biblii. Wypisano tylko tytuły rozdziałów i numery wersów:

1. *Księga Ozeasza 13:4-8*
2. *List do Rzymian 1:24-32*
3. *Księga Kapłańska 21:9*
4. *Księga Wyjścia 21:22-25*
5. *2 Księga Królewska 2:23-24*
6. *Księga Powtórzonego Prawa 22:20-21*

W ostatnim z sześciu cytatów ustęp z Księgi Kapłańskiej został skreślony i zastąpiony fragmentem z Księgi Powtórzonego Prawa. Poprawkę naniesiono cienkim, czarnym markerem.

Riley wypuścił powietrze z płuc. Sześć zamordowanych dziewczyn, sześć cytatów z Biblii. W porządku. Wystarczy. Miejsca zbrodni to nie jego specjalność, chciał się tylko przekonać, z czym ma do czynienia. Gdy wyszedł na zewnątrz, docenił świeże powietrze. Znalazł Lightnera przy garażu. Spóśób, w jaki policjant się poruszał, wskazywał, że był w pełni skoncentrowany. Na pewno wiedział, że właśnie pracuje nad największą sprawą w swojej karierze. Jednak w jego oczach kryło się coś mrocznego, coś złego. Obejrzeni dwa makabryczne miejsca zbrodni. Teraz nadszedł czas, żeby je ze sobą powiązać.

- Chodźmy go przesłuchać - rzucił Riley.

3

Trzynasta siedemnaście

Paul Riley bawił się kubkiem z wodą i spoglądał na podejrzanego przez weneckie lustro w pokoju obserwacyjnym. Oczy mogą powiedzieć o wiele więcej niż uszy. Niewinni ludzie - odwrotnie niż często przestępcy - są zdenerwowani po aresztowaniu.

Terry Burgos siedział sam w pokoju przesłuchań. Na uszach miał słuchawki, które policjanci pozwolili mu zabrać. Poruszał głową i tupał stopą do rytmu, od czasu do czasu bębniąc palcami po małym stoliku, przy którym go posadzono. Jego typ urody można by określić jako śródziemnomorski. Niskiego wzrostu mężczyzna, z potężną klatką piersiową, ciemne oczy, gęste, kręcone ciemne włosy. Twarz przysłaniała mu bejsbolówka. Wyglądało na to, że nuci coś pod nosem. Wypił już dwie puszki coca-coli i raz poszedł do łazienki. Nie domagał się adwokata i nie odczytano mu jego praw.

Burgos przesiedział beczynn timer w pokoju już ponad godzinę. Riley potrzebował czasu, żeby policja zgromadziła wszelkie możliwe informacje jeszcze przed przesłuchaniem podejrzanego. A poza tym chciał, żeby Terry zgłodniał. Nikt nie zamierzał go wypuszczać, ale nie można było przetrzymać kogoś bez końca, nie dopuszczając do niego żadnych adwokatów. Już wkrótce wszyscy się dowiedzą o zatrzymaniu i nie minie zbyt wiele czasu, a taki czy inny adwokat zapuka do drzwi.

Różni policjanci i prokuratorzy wchodziłi do pokoju obserwacyjnego i wychodzili, zerkając na podejrzanego z niezdrową ciekawością. Na posterunku panowała bardzo napięta atmosfera. Wszyscy wiedzieli, że mają właściwego człowieka. Było to największe wydarzenie od początku istnienia miasta.

Burgos nie miał czystej kartoteki. Dwa lata wcześniej

aresztowano go pod zarzutem pobicia młodej kobiety, ale skończyło się na *nolle prosequi*, co oznaczało, że zarzuty wycofano. Paul zakładał, że kobieta nie pojawiła się na przesłuchaniu. W zeszłym roku zarzucano mu napaść na tle seksualnym, ale oskarżenie złagodzone do pobicia. Było to jedynie zwykłe wykroczenie, tak więc nie poszedł siedzieć.

Elisha Danzinger przyszła na policję i złożyła skargę na Terry'ego Burgosa w listopadzie ubiegłego, 1988 roku. Twierdziła, że Burgos, który wówczas zatrudniony był na niepełnym etacie w Mansbury, śledził ją na terenie miasteczka uniwersyteckiego, groził jej i sprawiał, że czuła się zagrożona. Policja sprowadziła Terry'ego, ale nie postawiono mu żadnych zarzutów. Nie można mu było postawić żadnych zarzutów. Paul wiedział od personelu z Mansbury, że w styczniu Burgos otrzymał zakaz zbliżania się, była to jednak sprawa cywilna, niezapisana w policyjnych aktach. Mężczyźnie zabroniono podchodzić do niej na odległość mniejszą niż pięćset stóp.

Trzydziestosześcioletni Burgos mieszkał sam i do niedawna miał dwie prace. Pierwszą było zatrudnienie na niepełny etat w Mansbury - dopóki nie został zwolniony w lutym tego roku. Głównie zajmował się tam ogrodem i od czasu do czasu również sprzątał. Teraz pozostała mu już tylko praca w drukarni zlokalizowanej poza terenem miasteczka uniwersyteckiego. Jej właścicielem był profesor z Mansbury College Frankfort Albany.

Wszystko wskazywało na to, że Terry Burgos był przeciętnie inteligentny - żeby nie powiedzieć: niedokształcony. Miał usposobienie introwertyczne. Nie można mu też było postawić piątki z plusem za higienę osobistą. Nie wymagał zbyt wiele od życia i wyglądało na to, że ma do niego stosunek raczej obojętny. Z niepotwierdzonych informacji wynikało, że miał trudne dzieciństwo. Dorastał w Marion Park, jego rodziców oskarżano o stosowanie przemocy w rodzinie.

W szkole radził sobie bardzo kiepsko i koniec końców nie zdał matury.

Joel Lightner stał obok Paula, obserwując przez weneckie lustro, jak Burgos bębni palcami w rytm muzyki. Lightner niemal podskakiwał, niczym rwący się do gry zawodnik, którego trener zaraz ma klepnąć w plecy.

- Kiedy zaczynamy? - spytał.

- Mamy zdjęcia? - odpowiedział pytaniem prokurator.

Kiwnął głową i podał Rileyowi teczkę z aktami.

Nie było powodów do dalszej zwłoki. O ile Burgosa kompletnie nie zjadły nerwy - w co Riley wątpił, patrząc na niego - był już prawdopodobnie głodny. Takie sprawy, jak niepodawanie jedzenia, dawały adwokatowi powód do wniosku, że stosowano wobec aresztowanego przymus.

Riley westchnął i przeciągnął się.

- Jest pan gotów, detektywie?

Lightner energicznie skinął głową.

- Marion Park to nie Mayberry, Paul. Nie jestem prawnikiem.

To prawda. Marion Park, pobliskie przedmieście, nie miały tak wysokiej przestępczości jak centrum miasta, ale działał tu przynajmniej jeden duży gang: Columbus Street Cannibals.

- Ale to nie znaczy, że nie jestem otwarty na sugestie.

- W porządku. - Paul spojrział jeszcze raz przez weneckie lustro. - Przede wszystkim trzymaj ręce z dala od niego.

- Zawsze tak robię.

- Najpierw grzecznie z nim porozmawiajmy. Oczywiście go nie wypuszczaj, ale powiedz, że może iść. Zobaczmy, czy spróbuje.

- Damy mu lunch - zasugerował Lightner.

Riley myślał dokładnie o tym samym. Rozmowa przy jedzeniu jest swobodniejsza. A więc mieli podobne pomysły. Standardowa praktyka była taka, że to detektywi, a nie asystenci prokuratorów okręgowych przesłuchują podejrzanych.

Paul mógł to obejść i zrobić wszystko sam, ale wtedy byłby świadkiem, co dyskwalifikowałoby go jako prokuratora prowadzącego sprawę. W pobliżu snuło się paru asystentów prokuratora okręgowego, których Paul wezwał z centrum, między innymi szef Biura do spraw Kryminalnych i szef Biura do spraw Specjalnych. Jednak Riley miał przeczucie, że tu i teraz to właśnie Joel Lightner złamie Burgosa. Złapał tę sprawę w swoje ręce i teraz była już jego. A poza tym, jeśli nie mylili się co do tego faceta, to nigdzie się nie wybierał, niezależnie od tego, czy się przyzna, czy nie.

- Nagrywajcie to - rzucił Paul, gdy detektyw wyszedł z pokoju obserwacyjnego. Riley sprowadził szefów biur oraz szefa posterunku Clarka wraz z trójką jego detektywów. Wszyscy mogli potwierdzić to, czego nie mogło potwierdzić nagranie. Riley chciał też usłyszeć, co myślą o dotychczasowych postępkach w śledztwie.

Wszyscy patrzyli w milczeniu przez lustro. Terry Burgos kołysał się spokojnie w takt muzyki płynącej z jego słuchawek. Nie podniósł nawet wzroku, gdy Joel Lightner wszedł do pokoju, niosąc ze sobą magnetofon. Detektyw postawił go na małym drewnianym stoliczku i przeciągnął kabel do gniazdka w ścianie. Podejrzany zorientował się, co się dzieje, dopiero czując drżenie stolika, gdy stawiano na nim sprzęt do nagrywania.

Lightner usiadł naprzeciwko Burgosa i pokazał mu gestem, żeby zdjął słuchawki. Podejrzany niezdarnie męczył się z odtwarzaczem, ale w końcu udało mu się go wyłączyć. Wyjął z uszu małe słuchawki.

- Doceniamy, że pan przyszedł, panie Burgos. Ma pan coś przeciwko temu, żebym nagrywał tę rozmowę?

Terry spojrzał na detektywa. Joel wcisnął przycisk nagrywania.

- Jest godzina trzynasta dwadzieścia pięć, poniedziałek, 26 czerwca 1989 roku. Mówi detektyw Joel Lightner, główny śledczy wydziału policji z Marion Park. Siedzę tu z Terran-

ce'em Demetriusem Burgosem. Panie Burgos, czy wyraża pan zgodę na nagrywanie tej rozmowy?

Burgos wciąż wpatrywał się gdzieś poza nim, a potem niebale wzruszył ramionami.

- Czy mógłby pan odpowiedzieć na głos, panie Burgos?

- W porządku - odparł podejrząny. Mówił cicho, jakby z wahaniem.

- To znaczy, że mogę nagrywać całą naszą rozmowę?

- W porządku. - Położył dłonie na stole. - Macie jeszcze colę?

- Chce pan colę? Nie ma problemu. - Podeszedł do drzwi i wydał odpowiednie polecenie. - Pewnie jest pan też głodny? Nie jadł pan jeszcze lunchu?

- Mhm.

- Na co ma pan ochotę?

Nie odpowiedział. Może potraktował to pytanie zbyt dosłownie.

- Może hamburgera z frytkami? - zapytał Joel. - A może kanapkę?

Burgos popatrzył na detektywa.

- Lubię tacos.

- Tacos? Świetnie. Znam dobre miejsce.

Jeszcze raz powiedział coś do policjanta czekającego przed drzwiami. Potem wrócił do stolika i usiadł na krześle. Lightner zachowywał się powściągliwie, trochę niebale. Założył nogę na nogę. Niektórym facetom brakowało tego naturalnego luzu. Choć starali się najlepiej jak mogli, sprawiali jedynie wrażenie kogoś, kto za bardzo się stara, żeby wyglądać na rozluźnionego. Ale Joel to potrafił - Riley już to wiedział.

- Pragnę panu podziękować, że pan tu przyszedł. Chciał bym, aby pan zrozumiał, panie Burgos, iż przychodząc tutaj, wyświadczył nam pan wielką grzeczność. Może pan iść do domu, jeśli pan chce. W porządku?

Podejrząny wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy.
- Dobrze - powiedział głośno Paul. Joel wiedział, co robi. Oznajmił podejrzanemu, że może pójść, kiedy zechce. Teoretycznie oznaczało to, że z technicznego punktu widzenia Burgos nie został aresztowany i nie trzeba mu czytać jego praw. Jednak Joel zaproponował temu facetowi lunch na koszt posterunku, zanim wspomniiał, że może iść. Teraz mógł sobie z nim miło i nieformalnie pogadać, nawet nie wypowiadając słowa „advokat”. Terry Burgos miał się dopiero przekonać, że nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch,

- Co robiłeś dzisiaj rano, Terry?

Podejrzany wzruszył ramionami.

- Niewiele.

- Słuchałeś może radia?

- Nie, tylko własnej muzyki.

- W ogóle nie słuchałeś dziś radia?

- Nie.

- A może telewizja? Oglądałeś dzisiaj telewizję?

- Nie.

- A rozmawiałeś z kimś? Z sąsiadami? Z kimkolwiek?

Terry potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Z nikim.

Zaufanie Paula do detektywa rosło. Lightner właśnie oczyścił pole. Zanim policja dostała się dziś późnym rankiem do domu Burgosa, ten mógł się już dowiedzieć o zabójstwach z wiadomości radiowych czy z telewizji. Lightnerowi udało się potwierdzić, że podejrzany nie miał kontaktu z mediami. Dzięki temu wszystkiego, do czego się być może przyzna, nie będzie można przypisać wiedzy z telewizji czy radia ani nawet rozmowom z sąsiadami. Jeśli coś będzie wiedział, to z autopsji.

- Wykonywałeś różne prace w Mansbury, prawda? - spytał Lightner.

- Taaa...

- Malowanie, naprawianie **chodników, grabienie** liści, odgarnianie śniegu. Coś w tym stylu?

- Taaa.

- Sprzątanie?

- Czasami. Nieraz sprzątałem. Kiedy mi kazali.

Joel podrapał się po policzku.

- Ale już tam nie pracuję - dodał Burgos.

- Nie? Nie pracujesz już w Mansbury?

Podejrzany potrząsnął głową.

- A czemu nie, Terry?

- Nie wiem - mężczyzna wzruszył ramionami. - Wylali mnie.

Przyszedł policjant z colą i wydawało się, że Burgos trochę się ożywił. Zdjął pokrywkę i pociągnął spory łyk. Paul nie miał zwyczaju zastanawiać się nad czyimiś zamiarami, ale nie był zachwycony kilkoma ostatnimi pytaniami. On sam przekazałby te informacje Terry'emu, zamiast pytać go w taki sposób, by ten wiedział, że on już wie. Bez wciskania kitu. Cóż, Lightner wolał udawać głupiego.

Jednak istniały różne sposoby wyciągania zeznań i chociaż Riley miał ogromną ochotę interweniować, Joel musiał to zrobić po swojemu.

- Słuchaj, Terry - powiedział śledczy - a kiedy tam pracowałeś, czy kiedykolwiek zdarzyło ci się pracować w Auditorium Bramhall?

Burgos wpatrywał się w swój napój, jakby to był jakiś bezcenny diament. Obliznął wargi. Pociągnął kolejny łyk.

- Tak. Zdarzało mi się - stwierdził.

- A schodziłeś kiedyś do tej sutereny, Terry? Tam, gdzie trzymają wszystkie rzeczy do sprzątania?

No cóż, Joel zaczynał go już trochę przyciskać, ale to było jedno z tych wspaniałych pytań, jakie może zadać przesłuchujący. Nieważne, czy powiesz tak, czy nie, i tak masz przechłapanie.

- Taaa...-powiedział.

Riley zwrócił się do Clarka, który stał obok niego:

- Powiedz swojemu człowiekowi, żeby nie przynosił mu tego jedzenia, dopóki nie dasz mu znać.

Tak naprawdę miał na myśli: „dopóki Riley nie powie”, ale nie było potrzeby naciskać nikomu na odcisk.

- Czy może tam się dostać ktoś postronny, Terry? Na przykład, czyja mógłbym zejść na dół do tej sutereny?

- Musiałbyś mieć klucze - odparł.

- A ty masz?

- Kiedy tam pracowałem, miałem klucze do wszystkich budynków.

Paul wstrzymał oddech. To była właśnie jedna z takich chwil. Podczas przesłuchania zawsze czekasz na przełom. Czasem przychodził on niezwykle łatwo. W innych przypadkach przypominało to grę i trzeba było zadać więcej pytań, żeby pękły tamy. Zadaniem prowadzącego przesłuchanie było stukanie w taką tamę, by znaleźć w niej dziurę.

Burgos uchylił się od odpowiedzi na to pytanie.

- Chodziło mi o teraz - powiedział Lightner. - Dalej masz te klucze?

- Musiałem je zwrócić.

Znowu robi uniki. Pewnie, że oddał te klucze, ale czy zrobił duplikaty?

Założenie - jedyne ostrożne założenie, jakie dało się sformułować - było takie, że Burgos dorobił sobie klucze do wszystkich budynków na terenie Mansbury. W związku z tym dziekan Janet Scotland zawiesiła zajęcia na czas nieokreślony i zabroniła wstępu na cały teren szkoły, podczas gdy policja przetrząsała wszystkie zakamarki w każdym budynku, aby się upewnić, że nie ma tam więcej zwłok. Cała szkoła była pod kluczem. Studenci, którzy mieli uczestniczyć w zajęciach letnich, mających rozpocząć się tego dnia, pozostawali w swoich pokojach, a policjanci pilnowali wszystkich akademików. Na terenie między kampusem uniwersyteckim a drukarnią,

w której Burgos pracował na niepełnym etacie, niemal cały wydział policji poszukiwał ciał i dowodów.

Najwyraźniej Lightner postanowił nie naciskać w sprawie kluczy. Zauważył - podobnie jak wszyscy inni - że podejrzany stał się czujny, gdy go o to zapytał. Miał zamiar na razie stąpać ostrożnie. Wypytywał Burgosa, co robił i gdzie był w ostatnich dwóch tygodniach. Koroner był pewien, że wszystkie morderstwa popełniono w tym czasie. To dawało z grubsza co najmniej jedną ofiarę co drugi dzień, a być może jedną dziennie.

Policja znalazła prawa jazdy wszystkich sześciu dziewczyn. Były w komodzie w sypialni Burgosa. Tak więc znali już nazwiska i sprawdzili je w kartotekach. Były wśród nich dwie studentki, Ellie Danzinger i Cassie Bentley, a oprócz nich cztery inne kobiety, które nie studiowały w Mansbury. Każdą z nich policja zgarnęła co najmniej raz za „nagabywanie do czynu występnego”, co było ładnym prawniczym terminem na określenie prostytucji. Dwie studentki i cztery dziwki.

Policja zbierała już w mieście informacje od przyjaciół ofiar, żeby zakreślić jakieś ramy czasowe. W przypadku prostytutek zawsze trudniej było ustalić moment ich zaginięcia. Często brakowało tradycyjnych źródeł: pracodawców, rodziców czy małżonków. Prawdopodobnie jednak można było to zrobić, zapewne dzięki ludziom, od których wynajmowały mieszkania, o ile w ogóle miały jakiś stały adres. Dobrze byłoby wiedzieć jeszcze przed przesłuchaniem podejrzanego, kiedy dokładnie zaginęły te kobiety. Wtedy można by precyzyjniej sformułować pytania o alibi Burgosa.

Ale teraz nie mieli na to czasu. Terry mógł w każdej chwili zażądać adwokata i nie ulegało wątpliwości, że ten każe mu milczeć. Tak więc Joel musiał się cofnąć w czasie o dwa tygodnie i dopytywać o każdy dzień.

Podczas tej rozmowy - jak zwykle w takich przypadkach - dało się jednak sporo dowiedzieć o podejrzanym. Obecnie - a ściślej, od czasu gdy zwolniono go z Mansbury - Terry Bur-

gos nie był zatrudniony za dnia. Od poniedziałku do piątku pracował jednak nocami w drukami należącej do profesora Franka Albany'ego.

- Z kim pracujesz w tej drukami, Terry?
- Zazwyczaj w nocy jestem sam. - Bawił się pustą puszką po coli, a potem beknął i zachichotał.
- I to jest nasz seryjny morderca? - zapytał jeden z prokuratorów siedzących w pokoju z Paulem.
- W jakich godzinach pracujesz? - indagował Lightner.
- Różnie. - Burgos wzruszył ramionami.
- A co to znaczy „różnie”, Terry?
- Jak mnie potrzebują. Zwykle zaczynam o szóstej. A potem różnie.

Jednak gdy Lightner przycisnął podejrzanego, ten nie był w stanie konkretnie powiedzieć, w jakich godzinach ostatnio pracował w drukami. Pewnie dosyć łatwo będzie to ustalić, a to były bardzo istotne informacje.

Burgos okazał się jeszcze mniej rozmowny, gdy go zapytano, co robił za dnia w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Dużo siedział w domu, czasami wyjeżdżał samochodem poza miasto. Ale nie potrafił opowiedzieć o czymś szczególnym ani podać jakiejś konkretnej daty.

- W jaki sposób rozliczasz się z czasu spędzonego w drukami? - zapytał Joel, znów wracając do tematu. To często stosowana taktyka podczas przesłuchań. Wracaj do czegoś niewygodnego i obserwuj reakcję. - Kiedy pracujesz na nocną zmianę, podpisujesz się czy macie zegar na karty?

- Podpisuję się. - Burgos zaczął się wiercić na swoim krześle. Zaczynał czuć się trochę nieswojo w zamkniętym pomieszczeniu, a może po prostu poczuł głód.

- A więc to taki system na słowo honoru, prawda, Terry? Gdybyś się podpisał, a potem wyszedł, nikt by się nie dowiedział? - Joel wzruszył ramionami. - No wiesz, powiedziałaś mi, że w nocy pracujesz tam tylko ty.

- Taaa... Chyba mógłbym tak zrobić - potwierdził, trochę skwapliwiej, niż Paul mógłby oczekiwać.

Riley spojrział na zegarek. Było dwadzieścia po drugiej.

- Dajcie mu jedzenie - polecił szefowi posterunku.

Parę chwil później do pokoju przesłuchań wszedł policjant z torbami z jedzeniem, które do tej pory trzymał w podgrzewaczu.

Musieli niepostrzeżenie przejść do następnego etapu. Joel chyba to wyczuł, bo opuścił pomieszczenie. Wszedł do pokoju obserwacyjnego, westchnął i wygiął szyję, próbując rozluźnić kark.

- Nie jest idiotą - powiedział do Riley'a. - Wie, do czego się powinien przyznać, a po czym prześlizgiwać. Ten facet nie ma za dnia żadnych obowiązków, a w nocy pracuje sam w tej drukarni.

Paul rozejrzał się po pokoju.

- Jakież pomysły?

Było ich wiele, padały z ust różnych prokuratorów i detektywów. Każdy chciał mieć w tym swój udział. Zmusić go. Oskarżyć. Sprawić, aby myślał, że nie jest podejrzany. Poprosić go o pomoc. Wszystkie te metody mogły mieć sens.

Jednak Riley myślał tylko o tym, że ten facet siedział na posterunku już od dwóch godzin i nie zażądał żadnych wyjaśnień, dlaczego jest przetrzymywany. A to musiało dawać do myślenia.

Riley podszedł do zdjęć sześciu ofiar. Było przynajmniej dwanaście fotografii każdej z nich, w różnych ujęciach i z różnych odległości.

- Dajcie mi nową teczkę - powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego. W międzyczasie wybrał po jednym zdjęciu każdej z ofiar, zmniejszając liczbę fotografii z ponad sześćdziesięciu do zaledwie sześciu. Potem umieścił je w jednej tezcze. Przez chwilę im się przyglądał, a następnie wyjął fotografię pierwszej ofiary, Ellie Danzinger.

Pozostało pięć zdjęć. Każdej z nich, od drugiej do szóstej ofiary.

Rileyowi przyszło coś do głowy i zmienił kolejność zdjęć, tak by nie były w takim porządku, w jakim ofiary ułożono na podłodze.

- Pokaż mu to - powiedział Joelowi. - Kiedy będzie jadł.

- Dobra.

- Zanutuj sobie, w jakiej są kolejności - polecił mu Paul.

Lightner zgodził się i przy wszystkich świadkach w pokoju zapisał kolejność w notesie.

- Są nie po kolei - skomentował Joel, ale potem spojrzal na Riley'a i zrozumiał. -1 pomijamy Ellie?

- Zgadza się.

- To mi się podoba.

Joel poszedł do łazienki, podczas gdy Riley i pozostali obserwowali, jak Terry Burgos je swoje tacos. Robił to precyzyjnie, polewając każdy kęs pikantnym sosem, a następnie maczając go w odrobinie guacamole.

Joel wszedł do pokoju przesłuchań z teczką ze zdjęciami i otworzył ją tak, żeby Burgos mógł je widzieć. Jednak podejrzany wciąż delektował się jedzeniem. Joel wstał więc z krzesła i podszedł do niego.

- Co o tym myślisz, Terry?

Burgos odsunął jedzenie i swoją świeżą słodką colę. Wycierał ręce serwetką i rozłożył na stole pięć zdjęć, pochylając się, żeby lepiej widzieć. Jego twarz nie wyrażała przerażenia ani żadnej oznaki, że je rozpoznaje. Zatrzymywał się przez chwilę przy każdej ofierze. Najpierw starannie wycierał ręce serwetką, a potem wodził palcami po zwłokach, przedstawionych na błyszczących lakierem zdjęciach 8 na 10 cali. Mamrotał coś pod nosem, ale nie sposób było tego dosłyszeć. Uniósł palec w górę, wciąż mruczając, a potem delikatnie dotknął każdego zdjęcia. Joel Lightner uważnie obserwował podejrzanego, ale był zbyt dobry w tym, co robił, żeby teraz zacząć rozmowę. Jeszcze nie.

Potem Burgos wziął zdjęcia i ułożył je od nowa.

Rileyowi serce zaczęło walić w piersiach. Nie widział stąd, w jakiej kolejności ułożył je Burgos, ale był pewien, że teraz odpowiada ona temu, co widział na podłodze w piwnicy Auditorium Bramhall.

Terry przez chwilę z zaciekawieniem spoglądał na Joela, a potem znów wrócił do zdjęć. Podniósł tekturową teczkę i zajrzał, co jest pod spodem. Obmacywał każde zdjęcie, tak jakby sprawdzał, czy nie przykleiło się pod nim drugie.

- No i proszę - wyszeptał Riley.

- Co on... - zaczął mówić szef posterunku, ale Riley położył mu dłoń na ramieniu i podszedł do lustra.

Terry Burgos spojrział na Joela.

- A gdzie pierwsza? - zapytał. - Gdzie jest Ellie?

4

Czternasta dwadzieścia

Dwóch detektywów w pokoju obserwacyjnym spojrzęło na siebie. Clark aż klasnął z ulgi. Riley w ciągu wielu lat brał udział w niezliczonych przesłuchaniach i obserwował, w jak różny sposób do tego dochodziło. Przełom. Ta chwila, kiedy świadek się poddawał: z próżności, poczucia winy, frustracji, ulgi albo z przymusu.

A teraz najtrudniejsze - pomyślał. Problemu z ustaleniem winy właściwie nie było, przynajmniej od chwili, gdy przyrzekli się mieszkaniu Burgosa. Teraz chodziło o coś zupełnie innego.

- Pokazałem ci zdjęcia pięciu kobiet, które zostały zamordowane - powiedział detektyw Joel Lightner, który nagle uświadomił sobie, że magnetofon nie był w stanie zarejestrować tego, co właśnie zrobił. - Ułożyłeś je w pewnej kolejności i spytałeś...

- Gdzie jest pierwsza? Ellie? - Terry Burgos powtórzył pytanie, potrząsnął trzymanym w dłoni zdjęciem i cisnął je na stolik. Zerwał się na równe nogi i spojrzał gdzieś w dal. W tej chwili Riley oddałby wszystko, żeby lepiej dojrzeć jego twarz. Widział tylko profil, i było to niedopatrzenie z jego strony. Trzeba było posadzić Burgosa naprzeciw lustra.

Zastępca prokuratora okręgowego nie widział kolejności, w jakiej podejrzany ułożył zdjęcia, ale w tej chwili nie miał już żadnej wątpliwości, że była taka sama, w jakiej leżały ciała w tym pomieszczeniu dla sprzątaczy.

Oddech Burgosa stał się szybszy. Mężczyzna wydawał się teraz strasznie spięty, ale nie ruszał się z miejsca. Parę osób siedzących w pokoju z Paułem podskoczyło, gdy Terry zerwał się z miejsca, ale Riley powstrzymał ich ręką. Joel Lightner był starym wygą i nie okazał żadnego zaniepokojenia tym wzburzeniem podejrzanego. Choć Joel zostawił broń za drzwiami, doskonale wiedział, że grupa policjantów może w każdej chwili wbiec do pokoju.

Burgos, wciąż stojąc przy swoim krześle, powolnym ruchem wskazał na pierwsze zdjęcie, zapewne przedstawiające drugą ofiarę, ponieważ fotografia Ellie Danzinger została wyjęta z tego zestawu. To była kobieta, której poderżnięto gardło tak głęboko, że prawie odpadła jej głowa.

- Kolumbijski naszyjnik-powiedział.

- Kolumbijskie co? - wyszeptał Clark.

Kolumbijski naszyjnik. Paul przeciągnął palcem po gardle. Slangowe wyrażenie wśród handlarzy narkotyków. Kolumbijczycy podrzynali gardła konkurencji.

Burgos wziął kolejne zdjęcie, prawdopodobnie przedstawiające trzecią ofiarę.

- Napaść i akumulator.

Nie załapali. Napaść i akumulator. Trzecia ofiara została poparzona. Ale nie powiedział: napaść i pobicie. Powiedział: napaść i...

- Kwas z akumulatora - wymamrotał Riley i nie zwró-

cając się do nikogo konkretnego, zawołał: - Zróbcie spis jego książek! I muzyki. Już!

Riley usłyszał, jak za jego plecami ktoś wydaje parę poleceń, i jeden z policjantów opuścił pokój.

Podejrzany wskazał na następną ofiarę. Prawdopodobnie na tę, której odcięto kończyny i wylupiono oczy.

- Oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę.

Cytat z Biblii. Zgadzał się z tym, który Riley widział w piwnicy Burgosa.

Terry przeszedł już do kolejnej ofiary, którą utopiono.

- Ktoś ją nauczył spać pod wodą.

- Co za popierdoleniec - wymamrotał jeden z mężczyzn za plecami Paula.

Burgos wskazał na kolejną i ostatnią ofiarę, Cassie Bentley. Twarz dziewczyny została tak zmasakrowana, że niemal nie udało się jej rozpoznać. Paul pomyślał o swojej córce i o tym, jak by to było, gdyby znalazł ją w takim stanie - zakrwawioną i pobitą. Joel Lightner powiedział mu, że upłyło wiele lat, zanim znów będzie w stanie zjeść lasagne.

- A teraz czas pożegnać się z czyjąś rodziną.

Paula przeszedł dreszcz. Na Boga, on to zanucił na melodię Mickey Mouse Club.

- Włóż go prosto między zęby i szczęśliwie wystrzel.

W obu pokojach - zarówno w pokoju obserwacyjnym, jak i w pokoju przesłuchań - zapadła cisza. Riley poczuł, że wszystkich jego kolegów przeszedł dreszcz. Podejrzany mówił o szczegółach swoich morderstw w taki sposób, że brzmiało to jak jakiś banalny wierszyk dla dzieci.

Włóż go prosto między zęby - powiedział Burgos. Zgadza się. Choć Cassie Bentley okropnie bito po twarzy, koroner znalazł wyjście rany postrzałowej z tyłu głowy i ślady prochu w jej ustach.

Detektywowi Lightnerowi nie spieszyło się do przerwania tej recytacji, ale po jakiejś minucie stało się jasne, że Terry Burgos, który wciąż stał przy swoim krześle z ocz-

mi utkwionymi w zdjęciach, będzie wymagał trochę zachęty. Riley, chociaż próbował nie angażować się emocjonalnie, był pod wrażeniem tego, w jakim stopniu potrafił to robić Lightner.

- Wspomniałeś o jakiejś pierwszej, Terry. - Głos śledczego drżał. - Podales jakieś imię?

- Ellie. - Podejrzany, a właściwie morderca, bo teraz nie było już co do tego wątpliwości, wskazał na coś palcem. - On otworzył serce niegdyś tak okrutne.

Otworzył serce. Serce Ellie Danzinger zostało wyrwane.

Paul uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech i poci się jak mysz. Spojrzał na szefa posterunku, który odwzajemnił mu się spojrzeniem i taką miną, jaką on sam też musiał mieć. Świadczyła ona, że tak naprawdę nie wiedzieli, co myśleć o tym przedstawieniu. Było przerażające i dziwaczne. I zgadza się - było podniecające.

No i ujęli właściwego człowieka. W niecałe pół dnia!

- Mówisz o Ellie - stwierdził Lightner.

Terry przez chwilę zdawał się pogrążony w myślach.

Oczywiście, Burgos mówił o Ellie Danzinger. Riley to wiedział. Otworzył serce. Wyciął jej serce - po śmierci, jak wynikało ze wstępnych wyników sekcji. Próbowali się już skontaktować z rodziną Danzingerów w RPA. To był człowiek, który śledził ich córkę, chodził za nią, ten, przeciwko któremu uzyskali zakaz zbliżania się. Paul zastanawiał się, jak bardzo rodzina starała się namówić Ellie, by przeniosła się z Mansbury, żeby być daleko od Burgosa. Jedną rzecz wiedział na pewno: takie myśli będą już wiecznie prześladować Danzingerów.

- Ona była darem - wymamrotał Burgos.

Lightner przechylił głowę.

- Powiedz to jeszcze raz, Terry.

- Ellie. - Morderca powoli uniósł rękę do czoła. - Ona była darem od Boga.

- Ellie była darem od Boga. No dobra.

Śledczy nie był pewien, co dalej zrobić z tym fantem. Na chwilę wstrzymał oddech i nawet rzucił szybkie spojrzenie Rileyowi i pozostałym, choć nie mógł ich widzieć przez szybę.

- Mówiłeś coś o Ellie. Coś o otwarciu jej serca - drażył.

Burgos skrzyżował ramiona. Pochylił głowę, jakby był pogrążony w myślach. Minęła długa chwila. Lightner siedział kompletnie nieruchomo, obserwując mordercę.

Ten powoli podniósł palec wskazujący do ust. Otworzył je i wszyscy w pokoju obserwacyjnym pochylili się do przodu.

Mówił niemal szeptem:

- Dziewczyna była miła dla kogoś w szkole, zanim otworzył jej serce niegdyś tak okrutne.

Paul pomyślał o zakazie zbliżania się dla Burgosa, jaki kiedyś uzyskała Ellie Danzinger. Chodził za dziewczyną, molestował ją. Ona była miła dla kogoś w szkole.

- Hmm... - W pokoju przesłuchań Joel starał się, by jego głos brzmiał nonszalancko, udawał zwykłą ciekawość. Pomachał palcem, zataczając kółka. - To brzmi jak jakiś wiersz albo coś w tym stylu.

Po drugiej stronie szyby szef posterunku Clark zwrócił się do Paula.

- Przejrzymy jego książki.

- To może być piosenka. - Riley wskazał gestem na słuchawki i walkmana, leżące w pokoju przesłuchań obok Burgosa. - Zaczynjcie od tej muzyki - powiedział.

Ktoś za plecami Paula zapytał:

- A o co chodzi z tym całym gównem o darze od Boga?

- Opowiedz mi o Cassie Bentley, Terry - Lightner zwrócił się do Burgosa. - Ona też była darem od Boga?

- Cassie... - Morderca powoli potrząsnął głową. Położył rękę na sercu. - Cassie mnie ocaliła.

- Jak to? - Lightner podrapał się po policzku, starając się najlepiej jak mógł wyglądać na rozluźnionego. - A jak Cassie cię ocaliła, Terry?

Burgos zawzięcie pocierał oczy, a potem położył obie dłonie na swojej bejsbolówce. Zupełnie, jakby w ogóle nie usłyszał pytania śledczego.

- Mówiłeś, że dziewczyna była dla kogoś miła w szkole, Terry - próbował Lightner z innej strony. - Tym kimś jesteś ty, tak, Terry? Ktoś cię źle potraktował w Mansbury? A może sobie na to zasłużyła? Chodzi ci o Ellie, tak?

Paul skrzywił się. Lightner usiłował znów złapać Burgosa. Próbował wszystkiego, o czym piszą w książkach. Teraz akurat empatii. I być może robił to zbyt natęrczywie.

- Czy Ellie cię wkurzyła, Terry? Trzeba jej było dać na uczkę?

Morderca rozejrzał się po pokoju, oparł dłonie na biodrach. Wydawało się, że jego rozbiegane oczy patrzą wszędzie, tylko nie na detektywa Joela Lightnera.

- Myślę, że teraz pójde już do domu - oświadczył.

5

Osiemnasta czterdzieści pięć

Czas stał się nieistotny. Padały polecenia, spływały informacje. Co chwila pojawiały się nowe rewelacje. Personel medycyny sądowej od razu zabrał się do pracy nad zwłokami i teraz nadchodziły wstępne raporty dotyczące każdej z zabitych dziewczyn. Powoli napływały dane o ofiarach i o Burgosie. Riley wiedział, że muszą sobie jakoś poradzić z tym nadmiarem informacji. Żeby je przetworzyć i posegregować, potrzeba będzie minimum kilku dni.

Spojrzał na zegarek i nie mógł uwierzyć, że to już wieczór. W międzyczasie pracę miała rozpocząć kolejna zmiana, ale żaden z policjantów na służbie nie poszedł do domu i nawet ci, którzy tego dnia mieli wolne, zgłosili się dziś na ochotnika. Posterunek pękał w szwach od funkcjonariuszy,

gotowych zrobić wszystko, co trzeba, żeby tylko wsadzić za kratki Terry'ego Burgosa.

Marion Park znajdował się tuż przy granicach miasta - ale wciąż nie został włączony w jego obręb. Było tu trochę przestępczości, ale ta zbrodnia zaliczała się do zupełnie innej kategorii. I została popełniona w Mansbury College, jednej z najbardziej prestiżowych szkół artystycznych w kraju, która wypromowała te przedmieścia, sprawiła, że nazwa stała się znana w całych Stanach Zjednoczonych. Ludzie z miasta byli nie tylko przerażeni, lecz i wściekli.

Terry Burgos odmówił dalszego udziału w przesłuchaniu. Detektyw Lightner przeczytał mu wtedy jego prawa i zadał kilka niepozostawiających wątpliwości pytań, wymieniając nazwiska ofiar: Elisha Danzinger, Angela Mornakowski, Jacqueline Davis, Sarah Romański, Maureen Hollis i Cassandra Bentley. Burgos odmówił odpowiedzi i nie chciał nawet spojrzeć na śledczego. Zaszył się w kąt i zaczął lekko stukać nogą w ścianę. Tak więc Lightner rozgryzł Burgosa i teraz śledztwo skoncentrowało się na kilku punktach, żeby nie można było podważyć zarzutów.

Riley czytał Biblię, wyszukując ustępy zapisane na kartce papieru w piwnicy Burgosa. Nagle gwar na posterunku umilkł. Paul podniósł wzrok i zobaczył prokuratora okręgowego Edwarda Mullaneya, który właśnie wchodził w towarzystwie dwóch osób w nieskazitelnych ubraniach i z doskonałymi fryzurami. Nigdy dotąd nie spotkał Bentleyów, ale mimo to natychmiast ich rozpoznał. Mullaney podchwycił spojrzenie swojego zastępcy. Riley wstał i udał się do biura szefa posterunku.

Gdy wszedł do gabinetu, Clark wymieniał właśnie uścisk dłoni z Harlandem Bentleyem. Natalia Lakę Bentley siedziała biernie na krześle. Twarz miała zapuchniętą i zaczerwienioną. Mullaney wziął Rileya za ramię i wyszeptał mu do ucha:

- Pani Bentley właśnie zidentyfikowała Cassie.

Paul skinął głową i przedstawił się. Harland Bentley był

niezwykle rzeczowy. Podał swoje nazwisko i uściśnął dłoń Riley'a, zdając się na formalności jak przy transakcji biznesowej. Pozwalało mu to pozostać na dobrze sobie znanym terytorium. Te formalności były wymuszone. Taki rodzaj mechanizmu obronnego. Riley widział ból malujący się na twarzy miliardera i jego próby zapanowania nad emocjami. Pani Bentley rzuciła zastępcy prokuratora okręgowego krótkie spojrzenie. Zachowywała się z godnością, trzymała prosto, ale na jej twarzy malował się lekki grymas. Oczy miała zapadnięte i podkrążone. Oczy matki, która właśnie zidentyfikowała zimne, zmasakrowane zwłoki jedyne dziecko.

- Pani Bentley - zwrócił się do niej Riley - tak mi przykro. Ujęliśmy sprawcę.

- Powiedźcie mi, co zrobił - rzucił Harland Bentley, wykrzywiając usta. - Chcę wiedzieć o wszystkim.

Riley zeszytniał i kiwnął głową w stronę pani Bentley.

- Właśnie zidentyfikowałam to, co zostało z mojej córki - powiedziała, nie patrząc na niego. - Wydaje się panu, że to, co pan powie, może mnie zszokować?

Koroner dostarczył już wstępne wyniki. Riley wolał myśleć o tym w kategoriach medycznych: złamania żuchwy, szczęki górnej, kości oczodołowych, gnykowych, sitowych i kości czołowej - właściwie to złamania wszystkich kości twarzy i większości kości czaszki. Sprowadzało się to jednak do prostego faktu, że twarz dziewczyny oraz większość przedniej i górnej części czaszki została zmiażdżona wielokrotnymi, potężnymi uderzeniami. Odłamki kości wbiły się w jej mózg. Większość zębów znaleziono w gardle. Potrzebna będzie karta dentystryczna, żeby oficjalnie zidentyfikować ofiarę, ale Riley owi wystarczyło jedno spojrzenie na twarz pani Bentley, aby wiedzieć, że to była Cassie.

Nieważne, czy wyrazi się to w terminologii medycznej, czy w inny sposób, Bentleyowie już widzieli swoją córkę. A raczej to, co z dziewczyny zostało. Wiedzieli, co Burgos zrobił z jej twarzą. To nie o to pytał pan Bentley.

- Po śmierci - powiedział Riley - strzelił jej raz w usta kulą kalibru 32.

Pan Bentley nadal się w niego wpatrywał. O tym też już wiedział.

- Doszło do stosunku - przyznał Riley. - Po śmierci.

Miliarder zamknął oczy i zacisnął szczęki. Przez długą chwilę milczał. Zdawało się, że chwieje się na nogach.

- Ellie też? - zapytała pani Bentley.

- Tak, proszę pani.

Kobieta położyła dłoń na gardle, przez chwilę zmagając się ze sobą. Będzie jeszcze czas ją przesłuchać, ale Riley nie należał do tych, którzy lubią czekać.

- Pani Bentley, przykro mi, że o to pytam, ale słyszałem, że Cassie miała problemy. Jakież sprawy dyscyplinarne?

- Sprawy dyscyplinarne nie zabiły mojej córki - powiedział jej mąż.

Riley nie odpowiedział. Było jasne, że nawet teraz, zagrożeni w bólu, potrafią zrozumieć powody zadania tego pytania.

- Powiedziałabym raczej, sprawy emocjonalne. - Oczywiście pani Bentley zaszyły mgłą, gdy powróciła do tego wspomnienia. - Próbowала znaleźć swoje miejsce. Jak do tej pory jej się to nie udało.

- Jak każdej dziewczynie w jej wieku - dodał Harland.

- Nie, nie jak każdej dziewczynie. - Pani Bentley spojrzała w stronę męża, ale nie na niego. - Nie każda dziewczyna rodzi się tak bogata i z takimi przywilejami. To brzemię, które trudno dostrzec. Nie jest łatwo nawiązywać relacje z ludźmi, kiedy każdy myśli tylko o tym, ile masz pieniędzy i co te pieniądze mogłyby mu zapewnić.

To miało sens. Riley nie był jednak pewien, czy Natalia mówi o swojej córce, czy o sobie. Trudno było nie dostrzec rozdźwięku między małżonkami. Zauważył, że pani Bentley ani razu nie spojrzała na męża.

- Myślałam o tym raczej jak o szukaniu granic - dodała. -

Czasami potrafiła się zachowywać dość dramatycznie, ale nigdy nie zrobiła nikomu krzywdy - oprócz siebie samej.

Podniosła wzrok na Rileya, który najwyraźniej oczekiwał czegoś bardziej konkretnego.

- Zamknęła się w sobie. Opuszczała zajęcia, nie chciała jeść ani z nikim rozmawiać. Tego typu rzeczy. Ale nigdy nie krzywdziła innych. A w głębi serca była najbardziej kochaną i wspaniałomyślną dziewczyną, jaką kiedykolwiek mógłby pan spotkać.

- Wystarczy - powiedział pan Bentley, po czym zwrócił się do prokuratora okręgowego: - Chcę śmierci tego człowieka.

Mullaney kiwnął głową.

- Oczywiście, będziemy się domagać kary śmierci, Harlandzie.

Bentley spojrzał na Rileya.

- Możecie udowodnić, że to ten człowiek?

- Z całą pewnością, proszę pana.

- Żadnej ugody z obroną. Chcę jego śmierci.

Spojrzał jeszcze raz na Eda Mullaneya i podał ramię żonie. Odrzuciła go. Nie chciała, żeby ją uspokajał.

Po paru słowach współczucia ze strony prokuratora okręgowego Harland Bentley podał im dłoń na pożegnanie i razem z żoną wyszli. Gdy tylko opuścili gabinet, Mullaney się przygarbił.

- Chryste, gdybyś widział Nat, kiedy wychodziła z kostnicy - powiedział. - Myślałem, że dla niej też będziemy po trzeba woli worka na zwłoki.

Riley kiwnął głową. Zajmowanie się pogrążonymi w rozpacz rodziny nie należało do jego obowiązków, gdy był zastępcą prokuratora federalnego. To była dla niego nowość i wcale mu się to nie podobało. Mullaney podszedł do swojego zastępcy. Ten człowiek dobrze wiedział, jaki wyraz twarzy przybrać na konferencji prasowej w przypadku jakiegoś morderstwa. Potrafił z powagą marszczyć czoło i unosić swoje szerokie irlandzkie brwi. Riley widział już parę razy, jak to

robi. Ale teraz szef miał inny wyraz twarzy. To nie było zwy-
czajne morderstwo, lecz masowa zbrodnia. A ofiarą padła też
córka jego największego finansowego sponsora.

- Byłem u nich w domu - powiedział. - Poznałem Cas-
sie. Była piękną, kochaną dziewczyną.

Mocno ścisnął ramię Paula. Na jego czole pojawiła się
żyłka.

- Chyba nie muszę ci przypominać, Paul, że nie możemy
popęnić żadnych błędów.

6

Dziewiętnasta czterdzieści pięć

Zanim Riley dojechał do położonego poza miasteczkiem
uniwersyteckim mieszkania Ellie Danzinger, technicy wykonali
już swoją robotę. Mimo to był przekonany, że należy oglądać
miejsca zbrodni, a istniały wszelkie powody, by sądzić, że
Terry Burgos popełnił pierwsze morderstwo właśnie tu.

Mieszkanie było dobrze urządzone, choć z tego, co zrozu-
miał Riley, zostało umeblowane już wcześniej. Miało to sens
w przypadku studentki wynajmującej mieszkanie latem. W
sumie w domu były cztery mieszkania, każde dwupozio-
mowe, z oknami wychodzącymi na kwadratowe podwórkó.

Nie zauważono żadnych śladów włamania. Okno wycho-
dzące na ulicę było zamknięte. Niewykluczone, że Burgos
wszedł przez nie w środku nocy, ale wydawało się to mało
prawdopodobne. Riley sam się o tym przekonał. Na klamce
od okna zalegał kurz. Na parterze był salon, sypialnia, mała
łazienka i kuchnia. Wszystko w nienaruszonym stanie. Żad-
nych śladów krwi.

- Cała zabawa miała miejsce na górze - powiedział
Lightner.

Weszli pokrytymi dywanem schodami do wielkiego poko-

ju i sypialni. Wyglądało na to, że życie toczyło się tu raczej na piętrze. W wielkim pokoju stał sprzęt stereo i telewizor, a mała wnęka kuchenna służyła pewnie za bar. Lightner wskazał ręką na zmywarę do naczyń.

- Była pełna. Wszystko w środku zostało umyte.

A więc na naczyniach nic nie znajdują. Ale to i tak wyglądało na ślepą uliczkę. Nie wchodziło w rachubę, żeby Ellie Danzinger zaprosiła Terry'ego Burgosa na drinka.

Riley powoli wszedł do sypialni. Łóżko było nieposłane. Zwinęta kołdra leżała obok na podłodze. Na ścianie i na łóżku widać było trochę krwi, ale niewiele. Po lewej stronie łóżka znajdowała się jednak spora plama, zaschnięta na włóknach dywanu.

- Koroner sądzi, że umarła w łóżku - wyjaśnił Lightner. - Została uderzona w głowę i tu się wykrwawiła.

Wskazał na podłogę.

- Twierdzi też, że straciła ponad półtora litra krwi. Riley nie wiedział, czy te szczegóły mają jakieś znaczenie.

Lightner zbliżył się odrobinę do łóżka, ale nie za blisko.

- Koroner uważa też, że Ellie leżała tu na plecach, prawda? Jej głowa zwisała poza krawędzią łóżka. To jedyne wytłumaczenie.

- A dlaczego to jedyne wytłumaczenie?

- Ilość krwi - odparł Lightner. - Oprócz tego, że wyrwał jej serce, co jak wiemy, zrobił u siebie w domu, jedyną raną, jaką jej zadał, był cios w głowę. Mocny, ale normalnie by nie wystarczył do wywołania tak obfitego krwawienia. Zdziałała grawitacja. Miała głowę niżej niż resztę ciała.

W porządku. To miało sens.

- Czy to istotne?

Lightner wzruszył ramionami.

- Żeby stracić tyle krwi, Ellie musiała tu leżeć co najmniej przez godzinę. Koroner twierdzi, że niemożliwe, by tak się wykrwawiła w krótszym czasie.

Riley zastanowił się nad tym przez chwilę.

- A więc nie przeniósł jej od razu. To trwało co najmniej godzinę. Dlaczego?

- Może czekał, aż zrobi się ciemno - spekulował Lightner.

- Ale ona leżała w łóżku - potrząsnął głową Riley. - Musiała już być noc.

- No tak. Sam nie wiem. - Śledczy sprawiał wrażenie zmęczonego. Wszyscy mieli za sobą długi dzień.

- Może właśnie wtedy miał z nią stosunek seksualny - zasugerował Riley. - To przecież w końcu łóżko.

Pasowało to do ogólnego obrazu. Według koronera do stosunku seksualnego doszło po śmierci.

Istniała taka możliwość. Jednak Lightner nie był tego pewny. Jak na razie nikt tego nie wiedział.

- Znaleźli już tego profesora? - spytał Riley. - Tego gościa, który zatrudniał Burgosa?

- Albany'ego? - spytał Lightner. - Znajdziemy go.

Poklepał Rileya po ramieniu. Już czas, żeby wracać na posterunek. Nikt nie miał złudzeń, że wróci dziś szybko do domu.

7

Dwudziesta trzecia czterdzieści pięć

Zbliżała się północ. Ktoś na posterunku włączył telewizor. Na lokalnych kanałach mówiono o tym przez cały dzień - w przerwach między operami mydlanymi i transmisjami z meczów, i później, w czasie największej oglądalności. Dziennikarze nazwali to masakrą w Mansbury.

Riley i kilku innych zestawili biurka dwóch detektywów, żeby stworzyć coś w rodzaju stołu konferencyjnego. Zastępca prokuratora okręgowego bawił się kubkiem letniej kawy i pa-

trzył ponad stołem na Clarka i Lightnera. Obaj nic nie jedli przez cały dzień. Clark jakoś ciągnął na kawie i papierosach. Joel na samej kawie. Żołądek Riley'a prawie krzyczał, ale Paul wiedział, że i tak nie jest w stanie nic zjeść. Nie byłby w stanie cokolwiek przełknąć. Nawet gdyby próbował. Teraz na posterunku pachniało jak w szatni sportowej. Wszyscy przeżyli początkowe podniecenie związane z tymi brutalnymi morderstwami, a potem, jeszcze tego samego dnia, złapali mordercę. Każdy musiał dojść do siebie. Właściwie prawie wszystko zostało już zrobione, a to, co nie zostało, mogło poczekać. Jednak Paul wiedział już, że fizyczne dowody pogrązą Burgosa. Chciał natomiast dowiedzieć się więcej o tej obrzydliwej poezji, którą Terry recytował, opisując morderstwa. Wiedział już, że nie chodzi o sprawę winy czy niewinności.

Tak jak podejrzewali, okazało się, że to była piosenka. I nie musieli długo jej szukać. Burgos właśnie jej słuchał przed przesłuchaniem. Taśma była amatorsko nagrana, z prowizoryczną naklejką z nazwą grupy muzycznej Torcher, zapisaną krwistoczerwonym tuszem, grubą gotycką czcionką, przypominającą kaligrafię. Poniżej, w tym samym stylu, zapisany był tytuł. *Ktoś*.

Piosenka ze słowami istotnymi dla sprawy miała ten sam tytuł *Ktoś*. Cały utwór trwał niecałe trzy minuty. Zaczynał się powoli, od gitary akustycznej grającej pojedyncze nuty, ale potem jakby całe piekło zrywało się z uwięzi. Dzikie gitary, dudniący bas, ciągłe walenie w perkusję, podczas gdy wokalista wykrzykiwał słowa jak karabin maszynowy. Gdy zamknęło się oczy i wsłuchało w to wszystko, nie sposób było cokolwiek zrozumieć. Mieli jednak słowa piosenki. Znaleźli je zapisane na kawałku papieru w sypialni Terry'ego.

Słowa pierwszej zwrotki opisywały sześć morderstw, popełnianych mniej lub bardziej dokładnie w taki sposób, w jaki zrobił to Burgos.

*Dziewczyna jest miła dla kogoś w szkole, nim on otworzy
serce niegdyś tak okrutne Lesbijka wspaniała
aktorka odrzucenie tak lekkomyślne,
kolumbijski naszyjnik Jego poezja, pochlebstwa nie
miały żadnego znaczenia,
powiedział mu, żeby spadał, napaść i akumulator
Wymuskana studentka taką ma szczupłą jigurę, odkąd się go
pozbyła, oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga
za nogę Córka sąsiada, nikt się o nią nie bił, dopóki
ktoś jej nie
nauczył spać pod wodą A teraz już czas powiedzieć do
widerzenia czyjejs rodzinie, włóż
go prosto między zęby i szczęśliwie wystrzel*

Słowa, choć niedojrzałe, przepelnione były wściekłością. Riley wyobraził sobie wyrzutka odrzuconego przez kobiety i chyba przez wszystkich. Burgos najprawdopodobniej pasował do tego opisu. Jednak to nie Terry napisał te słowa. Tym, co tak naprawdę gryzło Rileya, były ustępy z Biblii, które morderca wypisał na arkuszu papieru znalezionym w piwnicy. Sześć różnych ustępów. Paul przeczytał je wszystkie dzięki policjantowi, który miał Biblię króla Jakuba w swojej szafce. Wszystkie, oprócz jednego, pochodziły ze Starego Testamentu i można je było w ten czy inny sposób połączyć z tymi aktami przemocy.

W Księdze Ozeasza było napisane, że niewiernym Bóg: „rozerwie powłokę ich serca”, albo „otworzy serce niegdyś tak okrutne”. W Liście do Rzymian - że lesbijki zasługują na śmierć, co korespondowało z lesbijką w piosence. Księża Kapłańska mówiła o spaleniu rozwiązłej kobiety, co można było swobodnie zinterpretować jako poparzenie kwasem z akumulatora. W Księdze Wyjścia była mowa, tym niesławnym językiem, „oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę”, w odniesieniu do tych kobiet, które dokonywały aborcji. W piosence studentka, która „teraz ma ładną figurę, odkąd się

go pozbyła", była prawdopodobnie dziewczyną, która dokonała aborcji. W Księdze Królewskiej sugerowano karę śmierci dla każdego, kto drwił z proroka. Cytat z Biblii nie wspominał nic o utopionej dziewczynie, ale prawdopodobnie „córka sąsiada" z piosenki drwiła z jej autora, który ewidentnie uważał siebie za kogoś w rodzaju proroka.

Zostało już do opisania ostatnie morderstwo: *A teraz już czas powiedzieć do widzenia czyjejs rodziny, włóż go prosto między zęby i szczęśliwie wystrzel.* To ostatnie morderstwo z pierwszej zwrotki miało w piosence zupełnie inne brzmienie. Perkusja i bas zamilkły, a wokalista śpiewał słowa a capella do melodii The Mickey Mouse Club.

I Burgos wprowadził te słowa w czyn. Wsadził pistolet między zęby Cassie Bentley i strzelił jej w głowę. Najpierw jednak dotkliwie ją pobił. Odpowiadający temu ustęp z Księgi Powtórzonego Prawa opisywał inny akt przemocy - ukamienowanie nierządnic. Słowa piosenki i ustęp z Biblii nie pasowały do siebie. Burgos zastosował się do obu; ukamienował Cassie, a potem ją zastrzelił.

Jednak morderca początkowo zapisał inny ustęp; nie z Księgi Powtórzonego Prawa, lecz z Księgi Kapłańskiej, w którym była mowa o cudzołóstwie. Wzywał on do ukarania śmiercią zarówno cudzołożnika, jak i cudzołożnicy. Czemu Burgos zmienił te ustępy z Biblii?

Riley nie wiedział. To był dopiero pierwszy dzień długiego śledztwa. Jednak w głowie już formułował argumenty. Będzie musiał znaleźć rozbieżności między słowami piosenki a działaniami Terry'ego. Oparcie linii obrony na niepoczytalności wydawało się nieuniknione - Burgos przecież zabijał kierowany przez Boga - a Riley będzie musiał wykazać, że morderca wypełniał jego instrukcje niedokładnie.

Do drzwi zapukał jakiś policjant i zakomunikował, że przyszedł profesor Albany. Riley bardzo chciał go poznać. Albany był właścicielem drukarni, w której Burgos pracował po nocach. Co jeszcze ważniejsze, dowiedzieli się, że profe-

sor prowadził zajęcia, na które uczęszczała zarówno Cassie Bentley, jak i Ellie Danzinger.

Frankfort Albany wszedł do pokoju. Wyglądał w każdym calu jak profesor: koszula w kolorze złamanej bieli, rozpięty kołnierzyk, tweedowa, sportowa kurtka i spodnie, które desperacko potrzebowały żelazka. Miał długie włosy, które opadały mu na twarz. Do kompletu brakowało tylko fajki. Jego pobladła twarz przypominała Rileyowi wielu ludzi, których widział w ciągu tego długiego dnia. Ludzi, którzy przeżyli cały wachlarz emocji.

Riley, Clark, Lightner i profesor Albany usiedli przy zestawionych biurkach, z magnetofonem pośrodku. Profesor przebiegł wzrokiem po twarzach mężczyzn, jakby chciał im coś powiedzieć, ale nie wiedział, od czego zacząć. Zwykle w takich przypadkach Paul rozładowałby napięcie, ale teraz chciał usłyszeć, co wykładowca ma do powiedzenia.

- Ja naprawdę... Po prostu nie mogę w to uwierzyć. - Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął małe metalowe pudełko. Otworzył je. Papierosy. - Czy któryś z panów ma coś przeciwko temu, żebym zapalił?

- Nie, jeśli nas pan poczęstuje - odparł Clark.

Ruchy profesora były wystudiowane. Przeżył szok i teraz zdał się na rytualne czynności. Obracanie papierosa w palcach, otwieranie zapalniczki, patrzyenie na płomyk, kiedy odpalał. Podsunął pudełko Clarkowi. Dostrzegł materiały z kursu leżące przed Pauliem.

- Niech nam pan opowie o Terry'm Burgosie - poprosił Riley.

- Ja... muszę przyznać, że lubię Terry'ego - powiedział Albany niemal przepraszającym tonem. - Pracował bez żadnego nadzoru i zawsze wszystko było zrobione. Był dobry w składaniu ilustracji, uważał na szczegóły. Nigdy nie zostawił niedokończonej roboty. Utrzymywał czystość w miejscu pracy... Był... no cóż... był samotnikiem. Kiedy zwolniono go z Mansbury, dalek chciał być zatrudniony w drukarni. Myśle,

że lubił pracować sam. A ponieważ zawsze sumiennie wykonywał swoje obowiązki, nie miałem powodów, żeby mu odmówić.

To było ciekawe. Burgos poprosił o nocną zmianę nawet wtedy, kiedy nie miał nic do roboty w ciągu dnia. Paul przypuszczał, że przynajmniej prostytutki zostały uprowadzone i zamordowane wieczorem, czyli wtedy, kiedy większość dziewczyn z ulicy wykonuje swój zawód.

- A w jakich godzinach pracował? - spytał Lightner. - Burgos twierdził, że „różnie”.

- To się mniej więcej zgadza. Miał ruchome godziny. - Albany założył nogę na nogę. - Nie mogliśmy się wyrobić z robotą w ciągu dnia. Zostawialiśmy to dla Terry'ego. Czasami była to praca na dwie godziny, czasami na pięć.

- A czasami wcale? - spytał Lightner.

Albany potrząsnął głową.

- Czy w ogóle się zdarza, żeby nie było nic do roboty? Nie, nie. Zawsze coś się znajdzie.

- Jakiego rodzaju prace wykonuje się w ruchomych godzinach? - dociekał Riley.

- Taką - odparł profesor z irytacją w głosie - by dać komuś okazję odbicia się od dna. Potrzebował tej pracy i wykonywał ją świetnie. Ten układ okazał się korzystny dla nas obu. Czy coś takiego panu przeszkadza?

- Ma pan wykaz jego godzin pracy? - indagował Paul. - Będziemy go potrzebować.

Albany skinął machinalnie głową.

- I nikt więcej z nim nie pracował w tej drukarni?

- Zgadza się. W nocy był tylko Terry.

- Skąd pan wiedział, że nie oszukuje pana z godzinami pracy?

- Ja... No cóż. Nie wiedziałem - przyznał profesor. - Ufałem mu.

Paul spostrzegł, że Joel Lightner uważnie obserwuje Albany'ego.

- Czego pan uczył Ellie i Cassie? - spytał Riley.

Wykładowca pokiwał głową.

Riley doszedł do wniosku, że profesor już wie, że dwie z ofiar to Cassie Bentley i Ellie Danzinger. Do tej pory wiedzieli to już wszyscy.

- Kurs nosi nazwę „Przemoc wobec kobiet w kulturze amerykańskiej”. Omawiamy gloryfikację wrogości wobec nich w popkulturze. W filmach, w telewizji, w muzyce.

Przemoc wobec kobiet w muzyce. Jakże to stosowne, biorąc pod uwagę okoliczności. Riley natychmiast się tego uczył, podobnie Lightner.

- Niech pan chwilę poczeka. - Paul podsunął Albany'emu kartkę papieru ze słowami piosenki. - Czy ta muzyka wygląda dla pana znajomo?

Profesorowi wystarczył rzut oka.

- Oczywiście. To jest piosenka *Ktoś* Tylera Skye'a.

- Rany boskie! - Clark pochylił się do przodu. - Pan tego uczy?!

Albany spojrział na Clarka tak, jakby patrzył na studenta.

- Studiuję to. To byłoby lepsze określenie. Tak. Oczywiście. A przychodzi panu na myśl jakaś stosowniejsza piosenka do tych celów?

- A kim jest Tyler Skye?

- To facet... No cóż, właściwie to chłopiec, który napisał słowa do tego utworu. Chodził do szkoły średniej. Chodzi mi o to, że to prawdziwy hymn odrzuconego chłopaka, prawda? - Gdy nikt nie odpowiedział, Albany odkaszlnął i wyjaśnił. - Tyler Skye był uczniem, który napisał tę diatribę i pewnej nocy porozwieszał ją w całej szkole. Dowiedzieli się, kto był autorem, i go wyrzucili. Rok później przerwał naukę w szkole średniej i został wokalistą garażowej kapeli o nazwie Torcher. Najwyraźniej wykorzystał ten tekst do piosenki. Torcher był bardzo popularny na undergroundowej scenie muzycznej w kampusach na Środkowym Zachodzie. Tekst nie jest za dobrze napisany, ale z całą pewnością ma

coś w sobie. To przemawia do studentów. Kontrowersyjność. Bunt. Często jest to nawet ważniejsze od samej treści.

Profesor przebiegł wzrokiem po twarzach mężczyzn siedzących przy stole, zdecydowanie wrogo do niego nastawionych. Nerwowo palił papierosa.

- Proszę mnie posłuchać. Na zajęciach wyjaśniałem, że takie słowa są szkodliwe. To część szerszego problemu... postrzegania kobiet w społeczeństwie. Nie mogę sobie wyobrazić, jak Terry mógł wynieść coś innego z naszego kursu.

- Terry chodził na ten kurs?! - Riley gwałtownie pochylił się do przodu.

Albany spuścił wzrok.

- Tak. Pozwalałem mu przychodzić w charakterze wolnego słuchacza. Terry... Terry nie był może zbyt wykształcony, ale to nie znaczy, że głupi. On był... ciekawy. Tak, to dobre słowo. Dawałem mu sporo materiałów do czytania, nad którymi mógł się zastanawiać. Nikomu nie przeszkadzał. Siedział z tyłu sali i nie odzywał się nawet słowem. To znaczy, do czasu, kiedy... No cóż, wiecie o Ellie.

- Do czasu, kiedy zwariował na punkcie Ellie Danzinger - dokończył za niego Lightner. - To tam poznał Ellie, zgadza się? I Cassie Bentley? Na tym pańskim kursie?

Albany kiwnął głową.

- Oczywiście nie miałem zielonego pojęcia, że coś ta kiego...

Nie dokończył. Nie musiał.

- Proszę nam opowiedzieć o Cassie Bentley - poprosił Riley.

Profesor potarł nos.

- Wspaniała dziewczyna. Niezwykle wrażliwa. Miewała swoje humory. Nie ufała ludziom. Ale w głębi serca była naprawdę wspaniała. - Wciągnął powietrze. - Wiem, że miała jakieś problemy z uczęszczaniem na zajęcia. Mojego kursu również to dotyczyło.

- Niech nam pan powie o niej coś więcej - poprosił Riley.

- Coś więcej. - Albany podniósł wzrok. - Cicha. Nie śmiała. Bardzo uprzejma i zawsze okazująca szacunek in nym. Być może trochę zagubiona.

Pokiwał głową i ciągnął dalej:

- Tak, właśnie. Zagubiona. To właściwe słowo. Wiem, że niektórzy uważali, iż ma anoreksję. Trafiały jej się takie okresy, kiedy nie przychodziła na zajęcia, nie jadła... Tak jakby chciała się od wszystkich odizolować. Nawet od Ellie, z którą mieszkała w jednym pokoju.

- A jak to wyglądało ostatnio?

- Ostatnio? - Albany bębnił palcami w stół. - Ostatnio. Tak... Słyszałem, że znów przechodziła taki kryzys. To znaczy, w tym semestrze nie uczęszczała na moje zajęcia, ale niedawno wpadłem na Ellie. To było tuż przed egzaminami końcowymi. Powiedziała, że Cassie „znów ma swoją starą jazdę”. Chyba takich właśnie słów użyła. Nie wychodziła z pokoju. Nawet się nie uczyła. Tak naprawdę to znowu to samo. U Cassie to było jak *roller coaster*. Góra, dół. Góra, dół. Ostatnio był dół.

- Czy utrzymywał pan osobiste kontakty z Cassie? - zapytał Joel Lightner.

Profesor wzruszył ramionami.

- To niewielkie miasteczko uniwersyteckie. Widywałem ją. Ale wie pan, to była Cassie Bentley. Wszyscy o tym wiedzieli. To wyjaśnia chyba najlepiej, dlaczego tak bardzo chciała zachować prywatność. Nie znajdzie pan nawet pięciu osób, które dobrze ją znały.

- A może chociaż jedną?

- Jedną? Ellie Danzinger - powiedział bez śladu ironii w głosie. - Wiem, że Cassie miała kuzynkę, która czasami przyjeżdżała do miasta. Pojawiała się i znikwała. Rozumie pan, życie bogatych i sławnych. Bardziej już nie potrafię panu pomóc.

Lightner stracił pewność siebie. Riley pomyślał, że tak czy inaczej to był ślepy zaułek. Wcześniej, w biurze, Har-

land Bentley miał rację. To nie problemy z dyscypliną zabiły Cassie.

Chciał powrócić do rzeczywistych przyczyn śmierci dziewczyny.

- Mamy pewne powody, by sądzić, że w tych morderstwach pojawia się wątek religijny - powiedział. - A konkretnie: biblijny. Uczy pan czegoś na ten temat?

Albany ledwo zauważalnie skinął głową.

- Konkretnie miało to związek z tą piosenką. Tyler Skye udzielił wywiadu, w którym usprawiedliwiał opisy przemocy tym, co napisano w Biblii. Wydaje mi się, że to był jego sposób odgryzienia się krytykom.

Riley wziął listę cytatów z Biblii i przesunął ją po stole. Profesor podniósł kartkę i przeczytał.

- Tak. Dokładnie. To te wersy. O Jezusie!

Zakrył oczy dłonią.

- Czy Terry pomyślał... O mój Boże! - Podniósł wzrok i spojrzął na nich. - Posłuchajcie. Ja nie uczę, że Biblia każe w ten sposób zabijać kobiety. Po prostu pokazuje, że takie naśladownictwo do nich jest głęboko zakorzenione w naszej historii. Tyler też na to wskazywał. To są po prostu zajęcia, panowie. O mój Boże!

Wrzucił papierosa do pustej puszkę po coli.

- Rozumiem, że w taki właśnie sposób Terry zabił tę dziewczynę. Zgodnie ze słowami tej piosenki...

Clark kiwnął głową w kierunku Albany'ego.

- Niech pan nam to powie.

- Nie myślicie chyba przecież, że... - Na jego twarzy malował się strach. - Posłuchajcie! Wszędzie o tym mówią w telewizji.

Położył rękę na piersi.

- Nie możecie myśleć, że to ja jestem za to odpowiedzialny.

Riley tak nie uważał, ale na to przyjdzie jeszcze czas.

Ruchem głowy wskazał listę wersów, które położył przed Albanym.

- Ostatnie morderstwo - powiedział. - Burgos wypisał coś z Księgi Kapłańskiej, potem to wykreślił i zapisał fragment z Księgi Powtórzonego Prawa.

Profesor przez chwilę dochodził do siebie. Potem wziął listę i powoli pokiwał głową.

- Tyler Skye cytował Księgę Kapłańską jako usprawiedliwienie tego morderstwa. Śmierć tym, którzy dopuszczają się cudzołóstwa.

- A co z Księgą Powtórzonego Prawa?

Albany potrząsnął głową.

- Nie wiem. Tyler Skye nie wspominał nic o Księdze Powtórzonego Prawa. O czym jest ten ustęp?

Riley mu wyjaśnił. Było w nim o ukamienowaniu niezrądnicy.

Jednak Albany nic na ten temat nie wiedział.

- Tyler tego nie cytował. Ukamienowanie? Nie, to nie o to mu chodziło.

- Racja - zgodził się Riley. - „Włóż go prosto między zęby i szczęśliwie wystrzel”. Nie mówi o ukamienowaniu, lecz o zastrzeleniu kogoś. I twierdzi, że to pochodziło z Księgi Kapłańskiej?

Albany kiwnął głową.

- Oczywiście Księga Kapłańska nie wspomina nic o zastrzeleniu *per se*. Mówi po prostu o karaniu śmiercią tych, którzy popełnią cudzołóstwo. Jednak Skye zdecydowanie miał na myśli użycie pistoletu. Wiemy o tym, bo w końcu sam to zrobił.

Paul wpatrywał się w niego. Uwaga wszystkich w pomieszczeniu skupiła się na Albanym.

Profesor odkaslnął, żeby przeczyścić gardło.

- Mniej więcej rok temu Tyler Skye się zabił. Strzelił sobie w usta.

Włóż go prosto między zęby i szczęśliwie wystrzel.

- Najwyraźniej dziewczyna go rzuciła, bo nie był jej wierny.

Pozostali mężczyźni siedzący w pokoju zareagowali ze stosowną pogardą. Jednak Riley był skupiony. Tyler Skye, rzekomo usprawiedliwiający słowa swojej piosenki ustępem z Księgi Kapłańskiej, popełnił samobójstwo, wprowadzając je w czyn, i to dosłownie - włożył pistolet między zęby, swoje zęby.

Jednak Burgos nie poszedł za tym przykładem. Pobił Casie kamieniem czy jakimś podobnym przedmiotem i żeby to usprawiedliwić, posłużył się ustępem z Księgi Powtórzonego Prawa. A potem strzelił w jej usta - a nie w swoje.

Nie trzymał się wiernie słów piosenki. Dla prokuratury była to niewątpliwie dobra wiadomość. Nasuwało się jednak również pewne pytanie.

Dlaczego? Dlaczego Burgos postanowił improwizować, wprowadzić nowy ustęp z Biblii, którego Tyler Skye nigdy nie cytował ani nie sugerował słowami swojej piosenki?

- Nie mogę powiedzieć, żebym rozpaczał nad odejściem pana Skye'a - wymamrotał Clark.

- Cóż, może pan jednak powinien - odparł Albany. - Od śmierci Skye'a grupa Torcher sprzedaje dwa razy więcej płyt.

I dodał złowróżbnym tonem:

- Teraz stał się legendą i jest postacią kultową. Ma swoich wyznawców.

- O ilu ludziach tu mówimy? - spytał Clark ze spuszczoną głową. - Ilu psychopatów biega po ulicach, czekając tylko na okazję, żeby wprowadzić słowa tej piosenki w czyn?

- Myślę, że Torcher ma tysiące słuchaczy. Nie, dziesiątki tysięcy.

Paul zmarszczył brwi, nie tyle z powodu szacunkowej liczby podanej przez Albany'ego, ile ze względu na uświadomienie sobie skali problemu zawartej w pytaniu Clarka. Ter-

ry Burgos wprowadzał w czyn słowa piosenki albo przynajmniej udawał, że to robi. I powiązał te słowa z wersami z Biblii.

Terry Burgos zamordował te dziewczyny, bo Bóg kazał mu to zrobić.

Widział już w myślach linię obrony. Morderca będzie twierdził, że tekst piosenki zawierał Słowo Boże - palenie, bicie i torturowanie młodych kobiet jako kara za różne grzechy. Zinterpretował te durne wypociny jako nakaz od Najwyższego. Tyler Skye na swój pokręcony sposób naśladował ustępy z Biblii, a Burgos, wzorując się na nich, potraktował je dosłownie.

To będzie problem. Utrudniało to znacznie robotę. Taka miła, prosta historyjka, którą rozumieją przysięgli. Bez zawiłej terminologii, takiej jak psychoza czy socjopatologia. Facet pomyślał, że ta piosenka była wezwaniem skierowanym do niego, i wprowadził ją w czyn. On musi być szalony. Wyobrażacie sobie, żeby ktoś przy zdrowych zmysłach zrobił coś takiego?

Jeszcze przez jakiś czas wypytywali Albany'ego. Paul już nie słuchał. Nie było żadnych wątpliwości, że Terry Burgos popełnił te przestępstwa. Choć dowody zbierano dopiero niecałe dwadzieścia cztery godziny, były już przytłaczające, a sam podejrzany właściwie już się przyznał. Teraz nie chodziło o winę, lecz o kwestię niepoczytalności. Jeśli w stanie nadal stosowano zmodyfikowaną definicję ALI w kwestiach niepoczytalności, wówczas Burgos będzie musiał udowodnić dwie rzeczy: że nie był w pełni władz umysłowych, gdy popełnił te morderstwa, i że nie rozumiał, iż popełnia zbrodnię.

Jednak Paul już wiedział, że potrafi znaleźć rozbieżności pomiędzy jego czynami a słowami piosenki. To będzie kluczowe dla wykazania, że skoro Burgos uważał, iż wypełnia Słowo Boże - albo słowo proroka Tylera Skye'a - to nie wykonał zbyt dobrej roboty. Już teraz Riley miał kilka takich rozbieżności: Burgos wprowadził nowy ustęp z Biblii i nie

zabił się - tak jak powinien. Odbył stosunek seksualny z każdą z kobiet - z prostytutkami przed ich śmiercią, ze studentkami po. A Biblia nic na ten temat nie wspominała. Popełnił też przestępstwa podczas letniej przerwy w zajęciach, przed rozpoczęciem kursów letnich: wiedział, że gdy zajęcia już się rozpoczną, ciała zostaną odnalezione. Innymi słowy, wiedział, iż popełnia przestępstwa, więc zrobił to szybko - zanim ktoś mógł odnaleźć ciała. Paul dowiedział się już także, że cztery prostytutki pracowały w różnych częściach miasta, co sugerowało, że Burgos był na tyle bystry, by nie wracać w to samo miejsce. To również świadczyło, iż był świadomy, że łamie prawo i nie chce zostać złapany.

A Paul dopiero się rozkręcał. Zanim rozpocznie się proces, znajdzie tyle dziur w zgodności tego, co Burgos zrobił, ze słowami piosenki i Biblii, że wystarczy to do zatopienia okrętu. I będzie miał mnóstwo dowodów na to, iż Terry wiedział, że jego czyny są sprzeczne z prawem.

Pół godziny później profesor Albany się rozplakał. Paul nie winił tego faceta za to, co się stało, ale nie miał czasu ani energii, żeby się nim przejmować. Teraz interesował się tylko jednym człowiekiem. I tylko nim będzie się interesował przez następnych dziewięć miesięcy.

Był pewien, że Terry Burgos nie ma żadnych szans.

5 czerwca 1997

Egzekucja

Nasza córka była dla nas wszystkim. Wszystko, co dobre i prawdziwe w naszym życiu, skupiało się wokół Cassie. Ten człowiek - ten potwór - odebrał nam życie. Odebrał nam naszą córkę, nasze marzenia, wszystko, co mają rodzice.

Harland Bentley w oświadczeniu dla „Daily Watch”,
29 czerwca 1989

Ten człowiek zasługuje na to, co zrobił swoim ofiarom. Ten człowiek zasługuje na śmierć.

Zastępca prokuratora okręgowego Paul Riley
w przemówieniu końcowym podczas wydawania wyroku
w procesie *Naród przeciwko Terrance'owi Demetriusowi Burgosowi*,
31 maja 1990

Wraz z dzisiejszym odrzuceniem wniosku o ułaskawienie przez okręgowy sąd apelacyjny Terry Burgos będzie dwunastym obywatelem straconym w tym stanie od czasu przywrócenia kary śmierci.

„Daily Watch”, 19 października 1996

8

Zakład Karny Marymount, pół godziny przed północą. Więzienie stoi samotnie na otwartym terenie. Dziesięć akrów ziemi, otoczone żeliwnym, wysokim na dwadzieścia stóp ogrodzeniem, zwieńczonym zwojami drutu kolczastego. Jest monitorowane dwadzieścia cztery godziny na dobę przez strażników rozstawionych wokół drogi dojazdowej otaczającej zakład. Starannie przystrzyżone trawniki, najeżone czujnikami ruchu reagującymi na nacisk, omiata światło reflektorów z wież strażniczych. Stoją one na każdym boku ośmio-kątowego budynku w centrum ogrodzonego terenu, gdzie trzymani są więźniowie. W zeszłym roku ktoś próbował uciec, ale nie dotarł nawet do bramy. Snajper z odległości dwustu jardów odstrzelił mu kolano.

Po przejechaniu mili poza miasto zatrzymuję się pod bramą, która wygląda, jakby zrobiono ją w średniowieczu. Grube drzwi, z nazwą więzienia wytrawioną gotyckimi czcionkami. Opuszczam okno w samochodzie i czuję gęste, duszne powietrze na zewnątrz, wypełnione słabymi okrzykami protestujących w pobliżu ludzi.

- W porządku, panie Riley - strażnik podaje mi dwie przepustki do budynku „J”. Jedną mam zawiesić na lusterku wstecznym, drugą przypiąć do koszuli. - Proszę jechać wolno. Jeden z nich rzucił się na maskę samochodu - dodaje, wskazując na długą, wybrukowaną drogę przede mną.

Jadę powoli, tak jak mi radził, wąską drogą, która jest jeszcze węższa dzięki samochodom z różnych stacji radiowych i telewizyjnych parkującym po jednej stronie. Przedemną, w pobliżu monumentalnych bram zakładu, widzę dwie grupy ludzi, zgrabnie oddzielonych od siebie drogą, i ze dwa tuziny policjantów z biura szeryfa, w pełnym rynsztunku. Na wschód od drogi zebrali się przeciwnicy kary śmierci. Jest ich około setki. Stoją w grupkach, czuwają ze świeczkami. Pastorzy i księża się modlą, inni maszerują po wielkim placu, niosąc transparenty niczym pikietujący na wiecu. Jakiś młody mężczyzna z kucykiem stoi na prowizorycznym podium z drewnianych skrzyń, przemawiając przez megafon.

- Dlaczego zabijamy ludzi, by pokazać innym, że zabija nie ludzi jest złe?! - wykrzykuje, czym wprawia w podniecie nie swoich zwolenników.

Grupa po drugiej stronie jest znacznie mniejsza. To zwolennicy kary śmierci, a zwłaszcza dla Terry'ego Burgosa. Na transparencie ustawionym na drążkach widnieją nazwiska sześciu ofiar jego morderczego szału. Ta grupa jest mniejsza, ponieważ to właśnie oni wygrywają debatę w całym kraju, a zwłaszcza tutaj, na miejscu. W tym stanie lubimy skazywać ludzi na śmierć.

Strażnik sprawdza moją przednią szybę, szukając przepustki, potem prosi, żebym otworzył okno w samochodzie i jeszcze raz pokazał mu papiery. Gdy spełniam jego prośbę, hałas protestujących niemal mnie ogłusza. Megafony i śpiewy. Próbują się przekrzyczeć, rywalizując ze sobą. Strażnik szuka mojego nazwiska na swojej liście.

- W porządku, panie Riley - mówi. - Proszę przejechać przez tę bramę. Dalej już pana pokierują.

Daje komuś sygnał i brama powoli się otwiera.

Otwarta dłoń uderza w drzwi mojego samochodu. Paru reporterów próbuje zajrzeć do wnętrza, choć przez chwilę spojrzeć na jednego z oficjalnych świadków egzekucji. Powoli jadę do przodu moim cadillakiem, podczas gdy reporterzy

biegną obok, wykrzykując do mnie pytania. Słyszę tylko urywki i fragmenty ich słów. Jeden pyta, co tu robisz, co wydaje się głupie, bo to ja byłem tym prokuratorem, który prosił przysięgłych o wydanie wyroku śmierci. Po chwili jednak jeszcze raz zastanawiam się nad tym pytaniem i nie znajduję odpowiedzi.

Przejeżdżam przez bramę, zostawiając za sobą reporterów. Mijam kilka budynków, a potem kieruję mnie na parking dla odwiedzających. W dusznym, upalnym powietrzu zbliżam się do strzeżonych drzwi. Otwiera mi dobrze zbudowany strażnik. Wchodzę do pomieszczenia, w którym panuje przenikliwy chłód. Kręci się tu grupa mundurowych. Pałają papierosy i rozmawiają. Jeden z nich mnie rozpoznaje i wita się. Odpowiadam: „Miło pana widzieć”, zwrotem zarezerwowanym dla ludzi, których nazwisk nie pamiętam. Nienawidzę tego robić, bo oni o tym wiedzą. Każdy z nich to wie. A ja wiem o tym, ponieważ kiedyś traktowano mnie w ten sam sposób.

Schody do sutereny. Przyjechałem jak zwykle ostatni. Pozostali zaproszeni świadkowie już tutaj są. Każdy ma plakietkę z nazwiskiem. Trzy czy cztery osoby to rodzice dziewczyn, które uciekły z domu, i prostytutek. Ubrani są w oficjalne, lecz źle leżące na nich ubrania. Zawsze byłem wobec nich uprzejmy, ponieważ stracili swoje córki, ale prawda jest taka, że większość pożegnała się ze swoimi dziećmi o wiele, wiele wcześniej. Tłumię w sobie chęć, żeby powiedzieć teraz to, co miałem ochotę zakomunikować im już wcześniej: być może gdyby spędzali trochę więcej czasu ze swoimi dziewczynkami, kiedy miały po kilkanaście lat, nie skończyłyby one, zarabiając na życie na ulicach, jako wymarzona zdobycz dla seryjnego mordercy. Na ich twarzach widać powagę, lecz również to, że czują się ważni. Chwilowo wszyscy darzą ich szacunkiem. Są oficjalnymi świadkami egzekucji najslawniejszego przestępcy ostatnich lat w tym stanie. Jakie to musi być dla nich ekscytujące!

Widzę Davida i Maureen Danzingerów i coś mi się prze-

wraca w żołądku. Nigdy nie zapomnę wyrazu ich twarzy, gdy zidentyfikowali swoją córkę Ellie, która studiowała na drugim roku w Mansbury. Natychmiast przylecieli z RPA, ale wydawało się, że nie są w stanie ogarnąć, co się stało, dopóki sami tego nie zobaczyli. Dopóki nie ujrzeli martwej córki, leżącej na stole w kostnicy z ogromną, ziejącą pustką raną w miejscu, w którym kiedyś było serce. Spędzili cały rok w mieście, czekając na proces, i codziennie byli na sali sądowej.

Maureen Danzinger podchodzi i bierze mnie pod ramię. Minęło już ponad siedem lat. Siedem lat czekała na ten dzień, prawdopodobnie z nadzieją, że wtedy poczuje, iż coś zostało zamknięte, coś się skończyło. Ale w głębi serca wiedziała, że tak nie będzie. Włosy jej posiwiały, oczy się zapadły, zrobiła się szersza w talii. Prawdopodobnie pogodziła się z faktem, że morderca jej córki został ujęty i skazany, że za pół godziny będzie martwy i sprawiedliwości stanie się zadość. To będzie musiało wystarczyć. Ludzie tak reagują, gdy muszą poradzić sobie z dojmującym bólem. Potrzebują nadziei. Nie mogą odzyskać córki, skupiają się więc na czymś, co jest osiągalne - na wymierzeniu sprawiedliwości mordercy. To nie rozwiąże węzła, ale być może go rozluźni.

Witam się również z jej mężem Davidem. Ma na sobie ciemny garnitur. Wygląda na to, że sam wybrał taki pogrzebowy styl. To wydaje mi się interesujące, bo gdyby dobrze się zastanović, to tak naprawdę nikt nie będzie płakał nad stratą tego faceta, a przynajmniej nikt z ludzi zgromadzonych w tym pomieszczeniu.

Joel Lightner podchodzi do mnie z krzywym uśmiechem. Emerytowany detektyw policyjny, ten, który rozgryzł sprawę. Albo złapał sprawę, która praktycznie spadła mu z nieba. Tak przynajmniej przyznaje, gdy wypije o jednego burbona za dużo.

- Bentley nie przyjdzie? - pyta mnie z cieniem rozczarowania w głosie.

Chodzi mu o kogoś z rodziny innej ofiary, studentki, która też została zamordowana - Cassidy Bentley, córki Harlanda i Natalii Lake Bentley. Przecząco potrząsam głową. Prowadzę teraz prywatną kancelarię i Harland jest moim klientem. Rozmawiamy ze sobą co tydzień i nigdy nawet nie poruszyliśmy tematu egzekucji Terry'ego Burgosa.

- Szakale są w pokoju obok - mówi Joel z pogardą, odnosząc się do reporterów, którzy wygrali los na loterii i dostali się do budynku. Ale cała ta sprawa jest dla niego okazją do zareklamowania swojej prywatnej agencji detektywistycznej. Z całą pewnością rzuci parę cytatów, które trafią do mediów.

Patrząc na prawo przez okno z pleksiglasu, gdzie reporterzy sączą swoje drinki i pogryzają ciasteczka. Tak zarządził naczelnik więzienia - dziennikarze mogą przyjść, ale wolno im rozmawiać z oficjalnymi świadkami tylko wtedy, jeśli ci ostatni mają na to ochotę. Wydzielił nawet specjalne pomieszczenie dla mediów. Mają tam siedzieć aż do chwili, gdy zacznie się to całe przedstawienie. W tej chwili nie ma tam żadnych oficjalnych świadków, ale to prawdopodobnie dlatego, że się spóźniłem. Do tej pory zapewne dostali już wszystko, czego chcieli.

Joel trąca mnie ramieniem.

- Wiesz, co jadł na swój ostatni posiłek?

Potrząsam przecząco głową, chociaż wiem.

- Tacos - mówi rozpromieniony.

Wprowadzają nas do sali dla oficjalnych świadków o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć. To pomieszczenie nie większe od salonu, całkowicie pozbawione jakichkolwiek dekoracji - szare ściany i dwa rzędy siedzeń, drugi rząd o stopień wyżej niż pierwszy. Nikt tak naprawdę nie wie, gdzie ma usiąść, ale ludzie starają się zająć miejsca w drugim rzędzie, jakby to zapewniało im pewien dystans do tego całego przedstawienia. Dochodzę do wniosku, że pozwolę wybrać miejsca rodzinom ofiar, więc siadam z przodu i pośrodku, z Joelem

po jednej stronie i z Carolyn Pendry, reporterką telewizyjną z Newscenter 4, po drugiej. Na wprost mam szybę sięgającą od podłogi do sufitu, oddzielającą nasz pokój od sąsiedniego pomieszczenia. W tej chwili cała jest zasłonięta jasnozieloną kurtyną.

Nie mogę się uwolnić od tej analogii: to tak, jakbym poszedł do kina, zajął sobie miejsce i czekał, aż kurtyna się rozsunie. Jest tu stolik z dzbankami z wodą i kawą - jeśli komuś akurat teraz potrzebna jest kofeina - ale poza tym nie ma żadnych innych napoi. Wczoraj Joel Lightner zapytał mnie, czy powinien przynieść popcorn.

- Co pan robi później? - szepcze Carolyn Pendry drżącym głosem.

Jest jedną z wielu ślicznych reporterek z miasta. Wysoka blondynka, wydatne kości policzkowe. Ma pełny makijaż, podobnie jak inni reporterzy i reporterki, którzy później staną przed kamerami. Sili się na dowcip i próbuje udawać, że to wszystko nie robi na niej wrażenia. Tak naprawdę to jestem później umówiony z Joelem na stek, ale nie mam zamiaru jej o tym mówić.

Reporterka pochyła się w moją stronę.

- Co on wczoraj panu powiedział?

- Bez komentarza.

Carolyn jest świetną dziennikarką. Dowiedziała się, że Terry Burgos prosił, żebym go wczoraj odwiedził. W tym stanie przez ostatnie trzy dni przed egzekucją więźniów przebywa w strefie nazywanej ostatnia mila. Jest to kilka cel w budynku przylegających do sali, w której wykonywana jest egzekucja. Tam przez dwadzieścia cztery godziny na dobę obserwują go strażnicy więzienni pracujący na dwunastogodzinne zmiany. Skazańcom wolno też mieć w ciągu każdego z tych trzech dni dwóch gości dziennie. Byłem jedyną osobą, którą poprosił o wizytę. Trwało to nie dłużej niż pięć minut.

Kolejnych kilka minut jest dziwne. Departament więziennictwa wyznacza sztywny protokół przebiegu egzekucji - od

czasu na ostatnie rozmowy z duchownym aż po ostatni posiłek i „marsz śmierci” z „ostatniej mili” do budynku „J” oraz oficjalną rozmowę telefoniczną z komisarzem, aby sprawdzić, czy w ostatniej chwili nie odwołano wykonania wyroku. Nie ma jednak żadnych przepisów wyjaśniających, jak przyglądać się śmierci człowieka. Ludzie wiercą się na siedzeniach. Zwłaszcza dziennikarze - ci, którzy tu przyszli, bo taką mają pracę - nie bawią się najlepiej. Gwarantuje im to czas antenowy, być może nawet specjalny program o przestępstwach albo karze śmierci, ale to nie oznacza, że widowni będzie im się podobać.

Gdzieś za dziesięć dwunasta kurtyna zasłaniająca szybę rozsuwa się, odsuwana ręcznie przez strażników więziennych. Siedząca obok mnie Carolyn się wzdyga. Z miejsc dla świadków dobiegają mnie westchnienia, jęki, a nawet szloch. Ludzie siedzący w tylnym rzędzie patrzą na człowieka, który zabił ich córki.

To duże pomieszczenie, pośrodku którego znajduje się mniejsze, okrągłe, z ośmiokątnym metalowym boksem pomalowanym na jasnozielony kolor, szerokim na mniej więcej sześć stóp i wysokim na osiem. Wchodzi się do niego przez stalowe, uszczelniane gumą drzwi, które zostały zamknięte za pomocą wielkiego koła sterującego zamkiem. Na wszystkich pozostałych siedmiu ściankach są okna, tak żeby każdy z nas, siedzących w pomieszczeniu obserwacyjnym, mógł widzieć skazańca.

Terry Burgos ma na sobie tylko białe bokserki. Siedzi na metalowym krześle, przypięty skórzanymi paskami na łydkach, udach, ramionach, piersiach i na czole. Do jego owłosionej klatki piersiowej przyczepiony jest długi stetoskop, wychodzący z komory gazowej na zewnątrz, gdzie lekarz będzie mógł stwierdzić zgon bez konieczności wchodzenia do pomieszczenia.

Skórzany pasek na czole to nowość, wprowadzona po tym, gdy jakiś facet gdzieś na Południu rozwalił sobie głowę,

uderzając nią w drąg za krzesłem, kiedy się dusił. W naszym stanie dbamy, by człowiek sam nie zrobił sobie krzywdy i nie stracił przytomności, tak żebyśmy mogli spokojnie przeprowadzić egzekucję.

Nawet jeśli Terry Burgos prezentuje się żałośnie - owłosiony, otyły mężczyzna siedzący w bieliźnie i przypięty paskami do krzesła, podczas gdy publiczność przygląda się całemu temu przedstawieniu - nie wygląda na to, żeby w ogóle był tego świadomy. W ogóle nie widać po nim żadnych emocji. Z dziecięcym zdziwieniem przenosi wzrok z jednej osoby na drugą. Przez siedem ostatnich lat żył niemal w całkowitej izolacji i może w tym wszystkim jest dla niego coś stymulującego.

Pod krzesłem skazańca znajduje się naczynie z mieszanką kwasu siarkowego i destylowanej wody. Nad naczyniem zawieszona jest torebka z gazy, w której umieszczono około pół kilograma granulek cyjanku sodu. Gdy naczelnik więzienia da sygnał, strażnik siedzący poza komorą gazową pociągnie za dźwignię, co spowoduje opuszczenie cyjanku do cieczy i wywoła reakcję chemiczną uwalniającą cyjanowodór.

W rzeczywistości są trzy dźwignie, które zostaną równocześnie pociągnięte przez trzech różnych strażników. Dwie z nich zupełnie nie zaszkodzą skazańcowi, podczas gdy trzecia opuści granulki do roztworu kwasu. Żaden z tych trzech strażników nie pójdzie dziś wieczorem spać ze świadomością, że to on właśnie zabił człowieka. Nasz stan być może nie ma współczucia dla morderców, ale nie można tego powiedzieć o przeprowadzających egzekucję.

- Boże, mam nadzieję, że nie będzie wstrzymywał oddechu - mówi do mnie Carolyn. Odrobiła pracę domową. Jeśli Burgos wciągnie gaz głęboko w płuca, w ciągu paru sekund straci przytomność i umrze spokojnie. Jeśli wstrzyma oddech i zacznie walczyć, prawdopodobnie wystąpią konwulsje i wszystko to będzie trwało nawet do dwudziestu minut.

- Terransie Demetriusie Burgosie - zaczyna strażnik wię-

zienny, odsuwając od twarzy kartkę, z której czyta. — Zostałeś skazany przez sąd tego stanu za pięć odrębnych naruszeń artykułu 4, ustęp 6-10 (A) kodeksu karnego, a mianowicie: zabójstwa Elishy Danzinger, Angeli Momakowski, Jacqueline Davis...

Carolyn Pendry wydaje z siebie jęk, pochyla się do przodu, i z gardłowym jękiem wymiotuje mi na but. Ignoruję żółć pod stopami, podaję reporterce chustkę i biorę za rękę, oplatając jej palce moimi. Próbuje mnie przepraszać, ale nie ma takiej potrzeby. Nie będzie ostatnią, która zareaguje w taki sposób. Tak naprawdę to jest tu nawet dyżurny lekarz dla świadków.

- ...Sarah Romański i Maureen Hollis.

Od czasu aresztowania Terry Burgos przybrał na wadze co najmniej dwadzieścia funtów, drugi podbródek załania mu teraz szyję, a oczy zamieniły się w małe paciorki. Prawie całkiem wyłysiał. Spod skórzanego paska na czole wystaje mu tylko kilka pasemek włosów. Szukam w jego oczach jakichś śladów wyrzutów sumienia czy współczucia. Albo strachu. Przyznaję, że chcę, aby go to bolało.

- ...przysięgli uznali, że te zabójstwa zostały dokonane z premedytacją i w szczególnych okolicznościach, stanowiących podstawę do skazania na karę śmierci...

Za plecami czuję zbiorowe napięcie, mieszaninę różnych emocji tych ludzi, tak bardzo rozwścieczonych i zranionych. Przez ostatnich kilka tygodni wciąż od nowa przeżywali tę tragedię, a teraz sprawiedliwości, której tak się domagali, o którą tak błagali przysięgłych, stanie się zadość.

- Podpisałeś oświadczenie, uwierzytelnione i poświadczane przez sąd, decydując się na wybór trującego gazu.

Miał do wyboru to albo krzesło elektryczne. Ja bym zdecydował inaczej. Nie mogę sobie wyobrazić nic gorszego niż walkę o powietrze.

Patrzę na dwa telefony na ścianie: jeden czarny, drugi czerwony. Ten ostatni jest bezpośrednio połączony z rezyden-

cją gubernatora. Potem zerkam na zegar. Punktualnie dwunasta.

Gdy znów spoglądam na Burgosa, on wbija we mnie wzrok. Wiem, że będzie na mnie patrzył, dopóki będzie mógł. Zastanawiam się, czy nie odwrócić wzroku, okazując mu pogardę, na którą prawdopodobnie zasługuje, ale zaczynam się w niego wpatrywać. Być może przynajmniej tyle jestem mu winny. Być może każdy prokurator powinien patrzeć w oczy człowieka, którego skazał. Być może to dlatego tu jestem i dlatego zgodziłem się go wczoraj odwiedzić.

Wysuwa język spomiędzy warg. Mruga jednym okiem, ale chyba mimowolnie. Każdy człowiek, niezależnie od tego, jakim jest psychopata, reaguje jakoś na własną egzekucję. Bębni palcami w podłokietniki. Rusza palcami u nóg. Jego klatka piersiowa się unosi. Obficie się poci, co nie wygląda zbyt pociągająco, gdy człowiek jest niemal kompletnie nagi.

- ...ma teraz prawo do ostatniego oświadczenia.

Absolutna cisza. Terry Burgos nigdy nie przeprosił, nie wypowiedział nawet słowa skruchy. Przypuszczam, że na to właśnie czekają rodziny. Na coś, cokolwiek, od czego poczułyby się lepiej.

Otwiera usta, ale nic nie mówi. Wciąż wpatrujemy się w siebie, więc wygląda na to, że rodziny nie dostaną tego, czego chciały. Cokolwiek ma do powiedzenia, zwróci się do mnie.

Strażnik więzienny nie jest pewny, co powinien teraz zrobić. To jasne, że chce dać Burgosowi chociaż tyle. Szansę, żeby spróbował coś naprawić czy znaleźć spokój. Może w jakiś dziwny sposób lubi tego gościa. Spędził z nim przecież ostatnich siedem lat w budynku z celami śmierci, gdzie więźniowie czekają na egzekucje. Większość tych facetów, odizolowanych w jednoosobowych celach, zwraca się do Boga albo po prostu traci wolę walki, stając się dość niekłopotliwymi więźniami.

Wreszcie strażnik spogląda na naczelnika więzienia, który podnosi w górę palec. Wszyscy czekamy.

Terry Burgos odchrząkuje z wyraźnym trudem. Jakiś gość, gdzieś na Zachodzie, perorował przez prawie dwadzieścia minut, gdy dano mu czas na ostatnie słowo.

Mija kolejna męcząca minuta. Ja i więzień wciąż wpatrujemy się w siebie. Szukam pogardliwego uśmiešku, lekceważącego grymasu, strachu w jego oczach. Znajduję jednak tylko dziecinne zdumienie, hipnotyczny wzrok.

Naczelnik więzienia podchodzi do szklanej celi.

- Terry, czy chcesz coś powiedzieć?

Burgos powoli potrząsa głową, na tyle, na ile pozwalają mu ograniczające ruchy paski. Jego oczy wciąż są utkwione we mnie i znów otwiera usta. Mówi do mnie bezgłośnie, poruszając ustami i językiem. Nie umiem za dobrze czytać z ruchu warg, ale wiem, co chce mi przekazać.

Naczelnik więzienia, który nie patrzy na skazańca, interpretuje to milczenie jako rezygnację z wypowiedzi i pokazuje coś gestem strażnikowi, który teraz poleci innym rozpocząć całą procedurę.

- Więzień odmówił złożenia ostatniego oświadczenia - mówi strażnik.

Gdzieś za mną rozlega się szloch. Ktoś z rodzin ofiar chciał usłyszeć słowa skruchy. Inni pewnie spodziewali się, że zacznie się tłumaczyć, i teraz poczuli ulgę, że nie powiedział nic. Jednak strażnik się myli. Terry Burgos nie odmówił złożenia ostatniego oświadczenia. Przekazał mi je ruchem warg. Mnie, człowiekowi, który doprowadził go do tego krzesła.

To samo powiedział mi wczoraj w swojej celi.

Nie jestem jedyny.

Czerwiec 2005

Druga zwrotka

Niedziela, 5 czerwca 2005

9

W ciągu tych kolejnych ośmiu lat zaszła wyraźna zmiana w jakości obrazu telewizyjnego. W prawym górnym rogu ekranu wyświetla się data: 1 czerwca 1997.

Carolyn Pendry, w błękitnym kostiumie i kremowej jedwabnej koszuli, siedzi z nogą założoną na nogę, trzymając notatnik.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną porozmawiać, panie Burgos - mówi.

Kamera robi zbliżenie Terry'ego. Skazany morderca siedzi przygarbiony w swoim pomarańczowym kombinezonie, ze zwieszonymi do przodu ramionami. Wciąż ma jeszcze te rzadzące włosy. Twarz zaokrąglona nadwagą, zniszczona kiepskim odżywianiem. Oczy osadzone głęboko, przenikliwe czarne. Poza tym całe jego ciało wyraża całkowitą obojętność.

- Panie Burgos, za cztery dni ma się odbyć pańska egzekucja. Mimo pańskiego sprzeciwu biuro obrony próbuje ponownie wnieść apelację do sądów federalnych. Co mógłby pan powiedzieć na ten temat?

Morderca mruga. Nie patrzy na reporterkę. Wysuwa język, zwilżając wargi.

- Jest pan gotów na śmierć, panie Burgos?

Jego ciało reaguje nieznacznie, wzdryga się, na twarzy po-

jawią się cień uśmiechu. Tak jakby go bawiło to od dawna zapomniane wspomnienie. Nadal wpatruje się gdzieś w dal.

- Skąd wiesz, że umrę?
- Twierdzi pan, że nie może pan umrzeć?

Twarz mu poważnieje, oczy otwierają się szerzej. Tak jakby śnił na jawie.

- Panie Burgos?
- Możecie zabić ciało. Nie zabijecie prawdy.

Pauza. Być może zmiana tematu. Więzień tego nie ułatwia. To jak rozmowa z małym dzieckiem.

- Czy te kobiety zasłużyły na śmierć?

Burgos opiera się głębiej w swoim krześle. Podoba mu się ta myśl. Zupełnie jakby dziennikarki wcale tam nie było.

- Nie mnie o tym decydować.
- Kto wobec tego decyduje?
- Ty wiesz. - Terry kiwa się na krzesło, które wcale mu nie pomaga. W przód i w tył. Pierwsza oznaka ożywienia.

- Bóg decyduje - mówi Carolyn Pendry. - Czy Bóg kazał panu zabić te kobiety?

- Oczywiście, że tak. - Burgos podkreśla to kiwnięciem głowy.

- Mówił pan, że Ellie Danzinger była darem od Boga. Co to...

- Bóg mi ją dał. - Zaczyna się szybciej kołysać.
- A w jaki sposób Bóg to zrobił?

Morderca unosi ręce, żeby podkreślić wagę swoich słów. Dwie dłonie przecinają powietrze, kajdanki łączące nadgarstki tańczą w powietrzu.

- Wszyscy myślicie, że jestem szalony, bo widzę rzeczy, których wy nie dostrzegacie. Ale to nie czyni ze mnie szaleńca. Wszyscy wierzycie w Stwórcę i w Jego ponowne nadejście, ale gdyby Jezus pojawił się wśród was, tobyście Mu nie uwierzyli.

Kamera pokazuje teraz dziennikarkę Pendry. Jej twarz jest zamyślona.

- Powiedzielibyście, że to On jest szalony. - Burgos wciąż się kiwa.

- Czy to Tyler Skye kazał panu zamordować te kobiety?

Terry opiera stopy na krześle, podciąga kolana pod brodę i oplata je ramionami. Przypomina okrągłą kulkę kiwającą się w przód i w tył.

- Czy...

- Bóg mi kazał. - Kiwa głową dla podkreślenia swoich słów.

- Czy to piosenka Tylera Skye'a skłoniła pana do zabicia tych kobiet?

- Tyler był posłańcem. Tak jak ja.

- Panie Burgos, czy według tej piosenki nie powinien pan na koniec popełnić samobójstwa? Czy nie o to chodziło Tylerowi Skye'owi w ostatnim wersie?

Terry nabiera powietrza do płuc. Powoli mruga powiekami. Wciąż kiwa się w przód i w tył.

- Czemu pan się nie zabił, panie Burgos? Dlaczego, za miast tego, zabił pan Cassie Bentley?

Zupełnie jakby był we mgle. Nie reaguje.

- Powiedział pan, że Cassie pana „uratowała”. Co pan...

- Ona mnie uratowała. Bóg powiedział mi, że to jeszcze nie koniec. Dał mi zamiast tego Cassie.

Zaczyna nucić pod nosem. Wpatruje się w sufit.

- Panie Burgos. Czy uważa pan, że pański adwokat niesłusznie nazwał pana szaleńcem?

- Szalony. Szalony, szalony... - Morderca zaczyna się śmiać.

- Panie...

- Co to znaczy: szalony? - Nagle marszczy brwi. Sprawia wrażenie, jakby próbował się na czymś skoncentrować. - Co to znaczy?

- Szalony - mówi spokojnie reporterka - oznacza, że nie potrafi pan panować nad tym, co się dzieje w pańskiej głowie.

- Tak jak każdy.

- To znaczy, że **nie potrafi pan odróżnić tego co słuszne**, od tego co złe.

- Tak jak każdy.

- Panie Burgos, czy gdyby miał pan jeszcze raz okazję, znów zabiłby pan te dziewczyny?

- Znów zabić te dziewczyny... - Przestaje się kiwać. Jego oczy uciekają w bok, wpatrują się w przestrzeń. Obejmuje kolana rękoma. Kamera pokazuje zbliżenie twarzy.

- Teraz będę spał.

- Nie chce pan odpowiadać na moje pytania?

Milczy. Jego zamglone spojrzenie zastyga na ekranie.

Obraz się kurczy i przesuwa w narożnik ekranu telewizora. Prezenterka Carolyn Pendry patrzy dziś w kamerę energicznie i niezwykle profesjonalnie.

- Piętnaście lat temu Terrance Demetrius Burgos został skazany na śmierć. Przysięgli odrzucili wniosek o niepoczytalność wniesioną przez jego obrońcę i wydali na nim pięć wyroków kary śmierci. Osiem lat temu przeprowadziłam z panem Burgosem krótki wywiad. To był ostatni i jedyny raz, gdy na to się zgodził.

Zmiana ujęcia. Carolyn Pendry się odwraca.

- Czy Terry Burgos naprawdę uważał, że te przesycone przemocą słowa piosenki Tylera Skye'a są wezwaniem od Boga? Czy swoimi czynami zasłużył na śmierć? Debata na ten temat toczy się jeszcze do dziś. Jednak reporterka prowadząca ten program wydała już swój werdykt. Każdy, kto odczytałby niedojrzałe, pełne przemocy słowa jako znak od Najwyższej Istoty, jest kimś żyjącym w innym świecie. Terry Burgos chciał zabijać, ukarać obojętne społeczeństwo, a jego umysł szukał jakiegoś pretekstu.

Dramatyczna chwila milczenia. I znów zmiana ujęcia.

- Terry Burgos nie spełniał prawnej definicji niepoczytalności, ponieważ wiedział, że popełniając te czyny, łamie prawo. Nie oznacza to jednak, że był przy zdrowych zmysłach. Terry Burgos miał ostrą schizofrenię paranoidalną i dlatego

zabijał. Fakt, że być może uświadamiał sobie istnienie prawa karnego, zabraniającego mu dokonania tych zbrodni, niczego tu nie zmienia.

- Terry Burgos zasługiwał na to, żeby go zamknąć i leczyć, a nie na śmierć. - Kiwa głową. - Dla Sunday Night Spotlight mówiła Carolyn...

W ciemnym pokoju, ukryty w rogu, niewidoczny przez jedyne okno, Leo odkłada pilota. Wpatruje się w telewizor, biały punkt znikający na czarnym ekranie. Rozpuszcza się i drży. Drży i się rozpuszcza. Podciąga kolana pod brodę i wstrzymuje oddech, z całej siły zaciska oczy, słuchając najślabszego dźwięku. Słuchać, słuchać.

Dom aż wibruje całkowitą ciszą.

Nie jestem taki jak on.

Podskakuje na dźwięk telefonu. Dziko rozgląda się po pokoju, gdy dzwonek rozbrzmiewa powtórnie. Włącza się automatyczna sekretarka. Leo słucha własnej, wypowiedzianej monotonnym głosem prośby, by dzwoniący zostawił wiadomość. Następnie długi, wymęczony sygnał.

- Leo, tu mówi doktor Pollard. Opuściłeś dwie sesje, Leo, i nie oddzwoniłeś do nas. Bierzesz swoje lekarstwa? Rozmawialiśmy, jakie to ważne.

Nie wierzę ci. Już ci nie wierzę.

- Podaję ci mój numer domowy, Leo. To ważne. Zadzwoń do mnie.

Leo zakrywa rękoma głowę. Czeką, aż lekarz skończy nagrywać swoją wiadomość i sekretarka się wyłączy. Gdy w pokoju zapada cisza, znów unosi głowę.

Nie jestem taki jak on.

Wciąga powietrze do płuc. Zastanawia się nad tym.

Jestem lepszy.

Niedziela, 19 czerwca 2005

10

Leo pełźnie w górę ciemną klatką schodową. Jego ciało opiera się na czterech pokrytych wykładziną stopniach. Kończyny ma szeroko rozstawione jak pająk. Ciężar ciała rozkłada się równomiernie. Schody nie skrzypią pod obciążeniem. Nie ma ryzyka, że się poślizgnie lub potknie. Bez skrzypienia, bez poślizgnięcia, bez potknięcia.

 Nie słyszysz, że po ciebie idę.

U szczytu schodów zagląda do sypialni. Ciemność rozprasa tylko wpadające przez okno światło z latarni ulicznej na dole. W pokoju panuje cisza, którą zakłóca jedynie urywane pochrapywanie Freda Ciancia. Zupełnie jakby jego nos zmażał się z gardłem.

Leo powoli podnosi się na nogi. Strzyka mu w kolanie i męczyzna zastyga w absolutnym bezruchu. Fred Ciancio nawet nie drgnie. Chrapie głośno, nierówno, z głową na poduszce, przechyloną na prawą stronę.

 Broń. Poszukaj, czy nie ma broni. Teraz oczy dostosowują się do ciemności.

 Żadnej broni. Nic.

 Nie spodziewał się Leo.

 Wyjmuje to zza paska spodni z tyłu. Trzyma w prawej ręce.

Ciancio się porusza. Nieświadoma reakcja **na ciepło ciała** intruza, zmianę temperatury w pokoju.

Ale Leo nie jest w gorącej wodzie kąpany.

- Co jest... - Ciancio unosi głowę.

Dwa długie kroki i już jest przy łóżku. Skacze mu na klatkę piersiową, przyciska jego głowę lewą ręką do poduszki, zakrywając mu dłonią usta.

Pokazuje mu to. Czubek broni znajduje się między oczami Ciancia. Zbliża twarz do jego twarzy, żeby stary mógł go rozpoznać. Ostrze broni odsuwa się od szczytu nosa leżącego. Przesuwa nią po piżamie Freda, po jego klatce piersiowej. Znajduje miejsce między zębami.

Nie powinieneś dzwonić, Fred.

To nie jest szybka śmierć.

Poniedziałek, 20 czerwca 2005

11

- Głowa do góry, Hectorze - przypominam mu, gdy otwierają się drzwi windy. Reporterzy czekają w holu budynku sądu federalnego. Ożywiają się, gdy tylko wychodzę z windy z senatorem stanowym Hectorem Almundem, który właśnie oświadczył w trakcie rozprawy, że jest niesłusznie oskarżony o jedenaście defraudacji, wymuszenia, przekupstwa i kradzież. Senator, w eleganckim szarym garniturze i z czarnym krawatem, słucha mojej rady, mijając ze stoickim spokojem reporterów wykrzykujących do niego pytania. To trochę tak, jak dostać cios w krocze. Nie ma na to łatwego sposobu.

Zatrzymujemy się w pobliżu drzwi obrotowych. Reporterzy zbliżają się i podtykają mikrofony pod nos senatora, aż w końcu dociera do nich, że to ja udzielię im informacji. Mówię to, co zwykle: że zarzuty są fałszywe i z jaką niecierpliwością czekamy na okazję, żeby się z nich oczyścić podczas procesu. Nie wspominam nic o tym, że senator Almusdo godzinę temu łkał w mojej kancelarii i pytał, ilu ludzi będzie musiał włączyć w tę sprawę, żeby uniknąć odsiadki.

Po tym zupełnie zbędnym przedstawieniu wychodzimy na zewnątrz i pakuję Hectora do czekającego na niego samochodu. Gdy odjeżdża wraz z żoną i bratem, zbywam paru

dziennikarzy. Dutch Reynolds i Andy Carras chcą porozmawiać o kulisach tej sprawy, ale nie jestem w nastroju.

- Dziękuję, to już wszystko - mówię zdecydowanym tonem.

Jedna z reporterek przykuwa moją uwagę, bo jej nie rozpoznaję i wygląda o wiele atrakcyjniej niż większość dziennikarek z gazet. Sprawia wrażenie, jakby jej miejsce było przed kamerą. Wysoka, o jasnej cerze, chuda jak z telewizji, z owalną, zaróżowioną twarzą, doskonałym nosem i wyrazistymi niebieskimi oczami. I ma cholernie ładny, niebieski kostium. Łaskawie ściskam jej rękę, ale natychmiast robi mi się sucho w ustach. Mam taki problem ze ślicznotkami. Jeśli istnieje coś takiego jak wojna płci, jest to najbardziej nierówna bitwa, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się toczyć.

- Paul Riley? Evelyn Pendry z „The Watch”.

Tak właśnie myślałem. Gazeta. Nazwisko brzmi znajomo.

- Bez komentarza, Evelyn.

- Chciałam panu pogratulować z okazji rocznicy - mówi, czekając na moją reakcję. - To już szesnaście lat.

- Szesnaście... Naprawdę? No tak, racja.

Zapomniałem o tym. W tym tygodniu upłynęło szesnaście lat od znalezienia ciała. Wciąż ściskam jej rękę i muszę się w duchu upomnieć, żeby ją wreszcie puścić. Chwilowo odsuwam na bok instynkty - co najmniej na parę sekund, bo ona jest dziennikarką, a z nimi trzeba być zawsze ostrożnym.

- Spieszysz mi się. Nie mogę się spóźnić - mówię.

- Przygotowuje pan obronę Hectora? - pyta, drocząc się ze mną. - Za trzy miesiące wszystko wyśpiewa.

Gdyby nie była taka atrakcyjna albo gdyby się myliła, być może bardziej bym się zezłościł. Wskazuję na zegarek.

- Zastanawiałam się, czy nie znalazłby pan dla mnie trochę czasu... - mówi.

Podoba mi się to sugestywne sformułowanie pytania. A może to tylko moje hormony? Prawdopodobnie znalazłbym coś prowokacyjnego w sposobie, w jaki poprosiłaby mnie o lekarstwo na hemoroidy.

- Oficjalnie czy nie? - pytam.

Na jej twarzy pojawia się uroczy uśmiech. Podtrzymuje kontakt wzrokowy.

- To będzie zależec od pana.

Och, naprawdę wierzę, że ta zapierająca dech w piersiach kobieta ze mną flirtuje. Cynik użyłby być może słowa „manipuluje”. Ale czemu iść przez życie z tak cynicznym nastawieniem?

- Ma pan coś przeciwko temu? - Podsuwa mi pod nos mały dyktafon. Nie czekając na moją odpowiedź (zresztą nigdy tego nie robią), włącza go i zaczyna od podania podstawowych danych, nazwisk i daty.

- Prowadzi pan prywatną kancelarię od piętnastu lat - mówi do mnie. - Wkrótce po skazaniu Terry'ego Burgosa utworzył pan własną firmę.

Nie odpowiadam, tylko posyłam jej ten uśmiech Rileya, który podbija serca kobiet na całym świecie.

- A kiedy zostałeś prawnikiem Harlanda Bentleya?

Przekrzywia głowę, wciąż trzymając dyktafon pod moim nosem.

Gdy milczę, mówi:

- Chcę tylko parę podstawowych faktów, Paul. Piszemy artykuł o oskarżeniach przeciwko Almundowi. To dla ciebie darmowa reklama.

Uprzejmie kiwam głową i wpatruję się w dyktafon.

- Jesteś córką Carolyn Pendry, prawda? - pytam zaczepnie.

Marszczy brwi, słysząc ten komentarz, rzucony bez żadnego związku. A szczególnie taki. Najwyraźniej chce coś osiągnąć sama, bez pomocy matki prezenterki. Wydaje się, że ta niezwykła uroda przekazywana jest w rodzinie z pokolenia na pokolenie, ale ostatnim razem, kiedy byłem blisko jakiejś Pendry, musiałem ścierać jej obiad z mojego buta.

- Robi się późno - mówię.

Podaję reporterce wizytówkę.

Co było do przewidzenia, staje w taki sposób, żeby zablokować mi drogę.

- Tylko parę pytań, Paul. Wystarczy mi samo tło. Posta więc ci drinka. Daj spokój, to tylko jeden nieszkodliwy drink po pracy.

Próbuje odzyskać grunt, wrócić do flirtu. Prawdopodobnie w jej przypadku zazwyczaj to działa. Sama jej uroda wystarczy. Czemu nie? Gdybym ja tak wyglądał, też bym to wykorzystywał. Ale taki facet jak ja musi polegać na swej osobowości zwycięzcy.

- Mogłabym wspomnieć coś o Burgosie - mówi, idąc obok mnie. Wygląda na to, że dopóki nie szturchnę jej łokciem albo nie wskoczę do taksówki, szybko zatrząskując dziewczynie drzwi przed nosem, nie przyjmie mojej odmowy. - Nie zaszkodzi wszystkim przypomnieć, że skazałeś najśłynniejszego seryjnego mordercę w historii naszego miasta.

To akurat była prawda. Niemal każdy mój klient wcześniej czy później o to pyta. I znów opowiadam o szczegółach, o potwornym miejscu zbrodni, krzykliwej grupie obrońców, nagłym przypływie adrenaliny, gdy usłyszałem, jak przysięgli oświadczają, że okoliczności obciążające przeważają nad łagodzącymi. Nie wspominam nic o tym, że choć to postępowanie sądowe było bardzo czasochłonne i wiele się o nim mówiło w mediach, oskarżanie Terry'ego Burgosa należało do najłatwiejszych spraw, jakie kiedykolwiek prowadziłem.

- A skoro już o tym mówimy. Utrzymujesz bliskie sto sunki z rodziną Bentleyów? - pyta mnie. - Rozmawiasz czasem z Natalią albo z Gwendolyn Lake?

Musi popracować nad niezauważalnymi zmianami tematu. Czemu w ogóle udaje, że pisze coś o Hectorze Almundzie, skoro nie ulega wątpliwości, że chce rozmawiać o Burgosie i o rodzinie Bentleyów?

- Czy twoim zdaniem Cassie Bentley była zagubioną dziewczyną? Miała problemy emocjonalne?

Doszliśmy już do końca placu przed sądem. Zatrzymuję

się i patrzę Evelyn prosto w oczy. Wygląda na to, że nigdy nie traci rezonu. Wciąż trzyma mi przed oczami dyktafon, przygryza wargę. Chyba formułuje kolejne pytanie, ale mnie bardziej interesuje ruch jej ust. Doktor Freud miał rację.

Harland Bentley poślubił Natalię Lakę, dziedziczkę fortuny górniczej Lakę'ów. Siostra Natalii, Mia Lakę, mieszkała ze swoją córką Gwendolyn po jednej stronie Highland Woods, Harland z żoną po drugiej. Dwie ogromne rezydencje sióstr Lakę właściwie otaczały bogate przedmieścia. Mia Lakę zmarła dawno temu, na początku lat osiemdziesiątych, i Natalia musiała praktycznie stać się matką dla swej siostrzenicy Gwendolyn Lakę. Ale gdyby wszystko zliczyć, ci ludzie mieli coś około miliarda dolarów, więc w ich rodzinie nikt nie musiał chodzić głodny.

Bentleyowie rozwiedli się wkrótce po zamordowaniu ich córki Cassie przez Terry'ego Burgosa. Natalia przeprowadziła się do drugiej rezydencji, w której kiedyś mieszkała jej zmarła siostra i gdzie - z tego, co wiem - nadal mieszka jej siostrzenica Gwendolyn Lakę. Nigdy nie miałem przyjemności spotkać tej dziewczyny, choć z tego, co słyszałem, to wcale nie byłaby przyjemność.

Nie wiem, dlaczego Evelyn o to pyta. Ale nie lubię bawić się w kotka i myszkę, chyba że to ja jestem kotkiem. A może myszką?

- Cassie Bentley była obiecującą młodą kobietą, a jej za bójstwo to tragedia - mówię. - Natalia Lakę zachowywała się z niewiarygodnym wdziękiem i godnością. Życzę jej i Gwendolyn wszystkiego najlepszego.

Evelyn milczy. Nie dostała tego, czego chciała. Ale czy mogła liczyć na coś więcej? Jestem prawnikiem. Przez cały dzień bawię się słowami.

Posyłam reporterce szeroki uśmiech.

- A senator Almundo jest niewinny - dodaję.

Traci pewność siebie. Delikatnie wyjmuję jej z dłoni dyktafon i wyłączam go przyciskiem.

- Evelyn - mówię. - Kiedy biorę kogoś w krzyżowy ogień pytań, staram się, by były one abstrakcyjne i nie po kolei, tak żeby świadek nie wiedział, do czego zmierzam. A potem wszystko to łączę w taki sposób, aby to było dla mnie korzystne, zanim on ma szansę naprawić szkody. Ale nie jesteśmy w sądzie, nie jestem pod przysięgą i nie muszę grać w twoją grę. A więc zrób mi przysługę... Pozdrów ode mnie matkę i spędź miło ten dzień. Jeśli będziesz chciała grać ze mną fair, masz mój numer.

Żegnam się z nią i zostawiam na rogu placu.

- W porządku. W takim razie będę grać fair! - woła za mną.

Ale teraz dostała już punkty karne za to, że była niegrzeczna. Oddzwonię do niej któregoś dnia, ale to nie będzie w tym tygodniu.

Wracam do mojego biura tuż przed trzecią. Przez chwilę delektuję się nazwiskami SHAKER, RILEY & FLEMMING przy windach budynku oraz tymi samymi nazwiskami wytłoczonymi złotą czcionką w marmurowej ścianie nad głową recepcjonistki. Wychodzę z windy do naszych pomieszczeń biurowych. Recepcja jest urządzona wytwornie. Wystroju dopełniają wygodne sofy i stojąca pod ścianą makietka sali sądowej. Przypomina ona klientom, że jesteśmy wybitnymi prawnikami procesowymi. Ta sala sądowa to najlepsza decyzja, jaką podjęliśmy po wprowadzeniu się do tych pomieszczeń. Klienci to łykają. W dzisiejszych czasach niemal każda sprawa kończy się ugodą, ale każdy klient chce mieć wojownika. Tak na wszelki wypadek.

Witam się z recepcjonistką, ale nie mogę sobie przypomnieć jej imienia. To są te kiepskie strony. Był taki czas, kiedy była nas tylko garstka: paru prawników, sędziego Shaker i ja rozkręcaliśmy firmę. Mieliśmy tylko jednego poważnego klienta - Harlanda Bentleya. My, szóstka wygłodzonych prawników, uganiał się za każdą sprawą i podejmowali-

śmy się wszystkiego, co tylko wpadło nam w ręce. W każdą środę wieczorem jedliśmy pizzę, z niepokojem przeglądając prognozy dochodów, i podekscytowani rozmawialiśmy o nowych klientach i nadchodzących procesach albo umawialiśmy się, w który weekend wszyscy tu przyjdziemy, żeby odmalować ściany. W każdy piątek wieczorem, przed pójściem do domu, piliśmy szkocką. Mieliśmy nawet własną drużynę koszykówki w lidze palestry.

Teraz w tym pięknym miejscu urzęduje ponad stu prawników. Płacimy pokaźne sumki wspólnikom po ekskluzywnych szkołach prawniczych, a najlepsi z nich prowadzą dla nas sprawy. Parę dni temu przechodziłem obok sali konferencyjnej i uświadomiłem sobie, że nie znam nazwiska nawet jednego z młodych prawników, którzy tam siedzą.

Witam się z dwiema młodymi współpracownikami. Obie są młode i atrakcyjne. Obydwie pytają mnie, co słyszą, a ja odpowiadam ironicznie: „Walczę za dobrą sprawę”. Obie się śmieją, a ja idę dalej. To taki quiz: młode, atrakcyjne współpracowniczki śmieją się z twoich dowcipów, bo (a) też uważają, że jesteś atrakcyjny, (b) uważają, że jesteś bystry i błyskotliwy albo (c) bo podpisujesz ich czeki z wypłatą.

- Znów nie byłeś na spotkaniu kadrowym!

Za to właśnie lubię moją asystentkę Betty, która nie daje mi żadnych forów i nawet nie spojrzy, kiedy przechodzę koło jej boksu. Nauczyła się mnie rozpoznawać po odgłosie kroków. A może ma ukrytą kamerę czy coś w tym stylu? Zawsze wie, kiedy się zbliżam.

- Byłem w sądzie - wyjaśniam.

- Jesteś umówiony na czwartą z panem Otisem.

Racja. Jest dyrektorem pewnej firmy z listy Fortune 500, w której komisja nadzorująca działalność giełdy papierów wartościowych i prokuratura prowadzą śledztwo. Podejrzewają ich o fałszowanie ksiąg, gdyż firma zmieniła wysokość podanych dochodów za trzeci kwartał 2003 roku. Spotkanie z nim to delikatna sprawa. A wszystko przez Sarbanes-Oxley,

prawo federalne, które ni mniej, ni więcej znosi przywilej odmowy składania zeznań wobec kadry kierowniczej firmy. Tak więc jeśli jakiś dyrektor finansowy, dyrektor wykonawczy lub ktokolwiek z długim i ważnym tytułem porozmawia z prawnikiem na temat kreatywnej księgowości, to ten prawnik może być zmuszony zgłosić to federalnym, bo w przeciwnym wypadku sam może ponieść za to odpowiedzialność karną. A ci komuniści, amerykańska palestra, poparli ten pomysł! To właśnie wtedy zrezygnowałem z członkostwa.

Muszę przejrzeć parę informacji przed tym spotkaniem. A dalsza praca, w tym streszczenie, które jutro musi być dostarczone do firmy Harlanda Bentleya, piętrzy się w wysokim stosie na moim biurku. Na tym wymyślnym ustrojstwie, moim telefonie, mruga światełko informujące o pozostawionych wiadomościach. Ale tak naprawdę mam zamiar trochę się teraz poobijać. Już najwyższa pora, żebym się do tego przyzwyczaiał. Przeglądam więc pocztę. Większość z tego to rachunki albo prośby o pieniądze z tej czy innej organizacji. Ale ten list, w gładkiej, białej kopercie, zaadresowanej odręcznym pismem, wygląda na osobisty. Gdy potrząsam kopertą, wypada dwukrotnie złożona pojedyncza kartka papieru. Są na niej odręcznie napisane wielkimi literami następujące słowa:

Zło nowe oto widzę. U pogan oczywiście te rzeczy, znane efekty, będą niezbyt adekwatne. Misterna intuicja. Pana odpowiedź musi okazać cel.

- Kolejny zadowolony klient - mówię do pustych ścian.

Składam kartkę papieru i chowam do szuflady biurka. Kiedyś byłem prokuratorem - najpierw federalnym, potem okręgowym - więc nie powinienem się za bardzo dziwić, że dostaję listy od fanów - więźniów, którzy to mnie zawdzięczają swoje piękne otoczenie. Na ogół odgrają się, że pozbawia mnie pewnych części ciała. Od czasu do czasu -

zazwyczaj zdarza się to w przypadku członków ulicznych gangów, których posadziłem, gdy byłem federalnym - piszą do mnie, że odnaleźli Boga, i pytają, czy też doświadczyłem tej łaski. Raz nawet odpisałem, że nigdy go nie zgubiłem, więc nie ma powodu, bym go odnajdywał.

Wyciągam kopertę z kosza na śmieci. Miejscowy stempel pocztowy. To wysłano tutaj, w mieście. Przypomina trochę listy, które dostawaliśmy, gdy prowadziliśmy sprawę Burgosa. Pokręcone, coś o ogniu piekielnym. Zazwyczaj się z nich śmiało, ale czasem przechodziły nam ciarki po plecach.

Do gabinetu wchodzi moja sekretarka Betty.

- Gadasz sam ze sobą?

- Czy to ty jesteś nowym złem, które oto widzę? - odpowiadam.

Rzuca mi spojrzenie, w którym jest więcej dezaprobaty niż zaciekawienia.

- Pana odpowiedź musi okazać cel - wyjaśniam jej.

Bierze moją kawę, wącha ją, potem przewraca oczami i wychodzi z gabinetu.

Leo stoi przed budynkiem, w którym mieści się prywatna kancelaria Paula Rileya. Wilgotną chusteczką, którą dostał w knajpce, gdzie sprzedają smażone kurczaki, po raz ostatni przeciera kopertę. Potem wrzuca ją do skrzynki na listy i odchodzi.

12

- Paul Riley - mówię do mężczyzny siedzącego za długim stołem przy wejściu do Pokoju Kanarkowego. Szuka na liście, sprawdza, potem znajduje plakietkę z moim nazwiskiem i podaje mi ją. Wcześniej przygotowane identyfikatory są dobrze wykonane - chociaż irytujące. Na górze wypisano

elegancką czcionką moje nazwisko, a pod nim nazwę kancelarii. Kiedy masz pić zdrowie gubernatora za przynajmniej pięć tysiaków za kieliszek, dostajesz taką elegancką plakietkę. Punkt dla szarych kolesi.

Stojący obok mnie Joel Lightner podaje swoje nazwisko, potem je literuje, bo nie ma go na liście zapowiedzianych gości. Towarzyszy mi dzisiaj wieczoru, zanim wybierzemy się na stek i wypijemy jedno, a może pięć martini. Joel to były gliniarz, który pracował ze mną nad sprawą Bur-gosa, a potem wykorzystał ją do rozkręcenia odnoszącego duże sukcesy prywatnego biura detektywistycznego. Jestem jego najlepszym klientem. Joel wcale nie chciał tu przychodzić - tym bardziej wystrojony w smoking tak jak ja i większość gości - ale przycisnąłem go, żeby poświęcił mi trochę czasu.

- Dwadzieścia minut - mówi, trzymając mnie za słowo, gdy wchodzimy do sali balowej na antresoli Klubu Morskiego.

Białe ściany i ciemne dębowe drewno, sufit trzydzieści stóp nad głową, pod którym powoli gromadzi się dym z cygar. Macham ręką do kogoś znajomego, a Joel wskazuje na długi bar przy bocznej ścianie.

- Dwadzieścia minut - przypomina mi. - A poza tym jej tu nie będzie.

- Wcale jej nie szukam - odpowiadam, ale już zbywa mnie machnięciem ręki. Jeśli będę za bardzo protestować, wpadnę w sam środek stada pingwinów w garniturach. Nie-szczere, jowialne rozmowy, mieszanka potężnych i wygłodniałych. Dołączę do paru osób, które znam, kilku najlepszych prawników korporacyjnych w mieście i grupki dyrektorów wykonawczych. To dobry sposób, żeby zaistnieć, znów pokazać ludziom swoją twarz i dać im znać, aby zadzwonili, jeśli będą czegoś potrzebować. Tak naprawdę chcę im powiedzieć: „Zadzwoń do mnie, jeśli cię o coś oskarżą” - bo taka praca wciąż bardziej mi odpowiada. Sprawy kryminalne. Jednak

coraz bardziej absorbują mnie procesy cywilne, z mnóstwem korespondencji, papierów, pisemnych wniosków i zeznań przedprocesowych, które bardzo ładnie nabijają rachunek, nie powiedzą ci „dziękuję” i są piekielnie nudne.

Piję właśnie moje pierwsze martini, uprzejmie podane mi przez przechodzącą kelnerkę, gdy dostrzegam Harlanda Bentleya. Otoczony małą grupką ludzi, ściska właśnie dłoń gubernatora Langdona Trottera.

Tak, ci dwaj to potężna para. Gubernator sprawujący swój urząd już drugą kadencję i przygotowujący się do pracy w Waszyngtonie oraz najbogatszy człowiek w mieście i jeden z najzamożniejszych w całym kraju. Majątek Harlanda Bentleya szacowany jest na prawie półtora miliarda dolarów, poza tym bogacz ten ma jeszcze udziały w hotelach, nieruchomościach i firmach zajmujących się sprzętem przemysłowym i usługami finansowymi. Wszystkie mają w nazwie jego nazwisko. Każdy prawnik posunąłby się do morderstwa, żeby móc obsługiwać takiego klienta.

Na ramieniu Harlanda opiera się jego najnowsza laleczka. Wspaniały widok. Wysoka, długonoga, w sukni wieczorowej, o pięknych rysach twarzy i z blond włosami opadającymi kaskadą na plecy. Nazwałbym ją „kąskiem miesiąca”, ale przeceniłbym stałość Harlanda. Myślę, że jeśli o to chodzi, zamiast drzwi do sypialni ma tam bramkę obrotową.

Gdy do nich podchodzę, Harland Bentley kładzie dłoń na ramieniu gubernatora i delikatnie go popycha, by stanął twarzą do mnie.

- Gubernatorze - mówi - wie pan, że mam najlepszego adwokata w tym kraju, prawda?

Z uśmiechem ściskam dłoń Trottera. Gubernator jest potężnym, silnym facetem, fotogenicznym typem myśliwego, z nigdy nieznikającą opalenizną, która kontrastuje ze srebrzyście siwymi włosami i błękitnymi oczami. Jego uścisk dłoni zawstydziłby niedźwiedzia.

- Dobrze cię widzieć, Paul - mówi serdecznie. Zawsze

wypadał świetnie w tym osobistym podejściu. Zupełnie jakbyś był jedyną osobą w pokoju.

Potem mówi do Bentleya głębokim jak organy głosem:

- Być może jeszcze kiedyś spróbuję ci go ukraść, Harlandzie.

Mała grupka stojąca wokół gubernatora w odpowiednim momencie wybucha śmiechem, choć prawdopodobnie nie jest do końca pewna, o co chodziło.

Harland Bentley wygląda nie mniej imponująco, choć nie w sensie fizycznym. Mężczyzna przeciętnego wzrostu - może pięć stóp i dziesięć cali w kapeluszu - ma szczupłą, nierzucającą się w oczy sylwetkę i krótko przystryżone włosy, w których można dostrzec początki łysienia. A jednak ten facet wręcz promieniuje władzą. Od jego garniturów za tysiące dolarów, przez przenikliwe, intensywne spojrzenie, aż po subtelny, precyzyjny sposób wyrażania się, który rzadko można spotkać. To dlatego ludzie z tej małej grupki bardziej interesują się Harlandem niż gubernatorem. Miliarder przedstawia mnie Jennifer, swojej dziewczynie na dzisiejszy wieczór, która podaje mi wypielegnowaną dłoń i mówi, że pracuje w public relations. O tak, załóżę się, że to akurat prawda!

Gdy witam się z innymi osobami - paroma politykami i organizatorami wielkich imprez charytatywnych gdzieś z południa stanu - dostrzegam, że gubernator mówi coś poufnym tonem do Harlanda. Ten klepie jednego z polityków po plecach i oznajmia:

- Dajmy tej dwójce trochę prywatności.

Nagle zostajemy tylko ja i gubernator. Szkoda, że nie mam drugiego martini.

- Jak leci, Lang? - pytam.

- Nieustanny cyrk, Paul. Nieustanny cyrk. - Kładzie mi dłoń na ramieniu i pyta: - A co tam u ciebie, przyjacielu?

- Och, zna mnie pan, gubernatorze. Zawsze staram się pędzić tak szybko, jak się da.

Na jego opalonej twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Je-

stem prawie pewien, że ten facet kiedyś zostanie prezydentem.

- Przykro mi było o tym słyszeć - mówi, a jego twarz poważnieje.

- Chyba tak jest lepiej - próbuję przekonać nas obu, zastanawiając się, czy nie odpowiedziałem za szybko. Jednak nie ma sensu temu zaprzeczać. Ktoś musiał coś powiedzieć.

- Moim zdaniem wcale nie. Ale kto mnie słucha? Jestem tylko gubernatorem. - Znów świetne przedstawienie. Jego twarz się rozpromienia. - A skoro już o tym mówimy, myślę, że nie przyjdzie.

- Dalej ratuje świat - odpowiadam instynktownie. Mam nadzieję, że bez śladu goryczy. To już dwóch ludzi, którzy myślą, że jestem tu ze względu na nią. Lightner i gubernator.

- Taka już jest nasza Shelly - zgadza się ze mną.

Chciałbym powiedzieć „nie”. To twoja Shelly. Moja już nie.

- Wiesz, nie żartowałem. - Lekko pochyla głowę w moim kierunku, jakby pytał o radę. Ukradkiem bada wzrokiem salę, a potem znów patrzy na mnie. - Wystarczy, że powiesz jedno słowo. Zrobiłeś imponującą karierę jako prokurator, załatwiłeś Terry'ego Burgosa, dorobiłeś się w sektorze prywatnym. Obecny tu Harland nawet nie pierdnie, zanim nie zapyta cię o zgodę. Nadszedł czas odpowiednio zwięźczyć twoją karierę.

Już wcześniej mi o tym wspominał, i to nieraz, ale w tym kontekście brzmi to jak litość. Nagroda pocieszenia. Przykro mi, że moja córka cię rzuciła. A może chcesz chociaż zostać sędzią federalnym?

- To nie w moim stylu - mówię.

- W takim razie... cóż... zastanów się nad tym jeszcze.

Typowa odpowiedź kogoś, kto ma taką władzę. „Nie” oznacza dla niego „może później”. Nie może nikogo mianować sędzią federalnym. To jest w gestii tylko prezydenta. Jednak prezydent - tak jak Trotter - jest republikaninem, więc

niepisana zasada mówi, żeby to on wyznaczał w tym stanie sędziów federalnych.

- Jestem już zmęczony mianowaniem ludzi, którym jestem coś winny. Miło by było dla odmiany mianować kogoś dlatego, że ma najlepsze kwalifikacje.

Uśmiecham się do niego na znak, że doceniam okazane zaufanie, ale moja odpowiedź wciąż brzmi „nie”.

- To nie w twoim stylu - mówi.

- Wtedy musiałbym być sprawiedliwy, gubernatorze. Podoba mu się ten dowcip. Klepie mnie w plecy tak mocno, że tracę równowagę.

- Tak, takie byłoby ryzyko zawodowe. Musiałbyś być sprawiedliwy. - Śmieje się i ściska mi dłoń. - Dzięki, że przyszedłeś, Paul. Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie.

- Miło było pana spotkać, gubernatorze - mówię, a on woła już coś swoim serdecznym głosem do kolejnej grupki adoratorów.

Biorę kolejne martini z baru i muszę się powstrzymać, żeby nie łyknąć go jednym haustem. Witam się z jakimś prawnikiem, którego nazwisko powinienem pamiętać, ale nie pamiętam. Zaczyna mówić o jakiejś sprawie z powództwa grupowego i wreszcie zaczynam go kojarzyć. I wtedy dostrzegam ją.

A więc jednak tu jest.

Stoi w towarzystwie dwóch mężczyzn i kobiety. Kobieta prowadzi firmę konsultingową. Dwaj mężczyźni to prawnicy, pozerający wzrokiem Shelly, która właśnie coś do nich mówi. Takie poufale pogawędki to naprawdę coś nowego. Jeszcze nigdy nie widziałem jej w czarnej satynowej sukni wieczorowej, z głębokim dekoltem podkreślającym długą szyję i szczupłe ramiona.

Próbuję zaczerpnąć powietrza, czuję, jakby brzytwa wbiła mi się w piersi.

Prosi ich o pieniądze na swoją bezpłatną poradnię adwokacką. Świetne miejsce, tym bardziej że jest córką gościa ho-

norowego. Mówi coś dowcipnego i kładzie rękę na ramieniu jednego z mężczyzn. Zupełnie jakby ktoś walnął mnie pięścią w gardło. Odwraca głowę i nasze oczy się spotykają. Nagle zdają sobie sprawę, że stoją bez ruchu, sam, i po prostu gapię się na nią.

Unoszę w jej stronę kieliszek i wykrzywiam twarz w grymasie, który - mam nadzieję - przynajmniej przypomina uśmiech. Zerka w moją stronę, próbując zrobić sympatyczną minę, i dalej prowadzi konwersację ze swoim towarzystwem. Jest na tyle opanowana, że potrafi kontrolować reakcje, ale wiem, co myśli. Jestem dla niej muchą w zupie.

„To nie jest właściwy moment w moim życiu” - powiedziała mi. Tak jakby to nie było nic osobistego. Jakby miała zarezerwowane wszystkie terminy.

Odwracam się do barmana. Czuję się podle i ogarnia mnie wściekłość. Zamawiam kolejnego drinka, chociaż wiem, że już jestem trochę podпиты. Powinienem się hamować.

- Cześć, Paul.

Odwracam się. Stoi tuż obok mnie. Tłumię instynkt, żeby jej dotknąć. To wydaje się takie naturalne. Kiedy stała dwa-dzieścia metrów ode mnie, było łatwiej.

- Rozpracowujesz tłum? - pytam.

- Tak jak wszyscy tutaj.

Trzyma w ręku szklanekę soku pomarańczowego - jak przypuszczam, niezaprawionego niczym ciekawym. Shelly ma fioła na punkcie treningów, ćwiczy kick-boxing, startuje w maratonach i udziela się jako instruktorka samoobrony. Jest prawie o stopę niższa niż ja, ale mogłaby w dwie sekundy rozpląszyć mnie na podłodze.

Wygłąda inaczej z tym makijażem, fryzurą, w sukni wieczorowej i z perłami na szyi. Czuję się urażony. Nie wolno jej się zmieniać!

- Jak leci?

Zaczynam od łatwizny. Coś w rodzaju: „Nigdy nie było mi lepiej”. Jednak w Shelly zawsze było coś takiego, co wy-

zwala pierwotne uczucia. A poza tym za dużo wypilem, żeby bawić się w dyplomację.

Kiwa głową, jakby rozumiała mój dylemat.

- Słyszałam, że reprezentujesz senatora Almunda w sprawie oskarżeń o malwersacje.

- Tak. A jak tam pogoda? - Odstawiam drinka na bar. Gadka-szmatka. Równie dobrze mogłaby sobie zrobić przedstawiającą mnie laleczkę wudu i wbijać w nią szpilki.

Taksuje mnie wzrokiem i nie podoba mi się to, co widzi. Nie mogę się zdecydować, jakiej reakcji od niej oczekuję. Ale nie chcę czegoś takiego. Nie chcę litości. Chcę nią wstrząsnąć. Patrząc, jak się z sobą zmagają.

Ale Shelly taka nie jest. To jedna z najwspanialszych, najbardziej wspaniałomyślnych osób, jakie znam. Poświęca czas na pomaganie dzieciakom z problemami z prawem. Ale większą część swego życia leczyła się z ran i stała się prawdziwym ekspertem od fasady. Nic nie pokażesz, nikt się nie zorientuje.

- Przez ciebie to się robi niezręczne - stwierdza.

- Masz rację. Chciałbym powiedzieć, że świetnie cię widzieć. - Podchodzę o krok. - Nie chcę z tobą rozmawiać w ten sposób. Jeśli naprawdę masz ochotę ze mną porozmawiać, znasz mój numer.

Uśmiecha się nieznacznie, a ja idę poszukać Lightnera. Rozmawia z jakimś gościem z policji stanowej, ale jest już bardziej niż gotów, żeby się stąd zmyć.

- Znalazłeś ją?-pyta.

- Wcale jej nie szukałem.

Klepie mnie po ramieniu.

- Dobra, niech będzie po twojemu, Riley. Możemy już iść na tego stęka?

13

Detektyw Michael McDermott lawiruje swoim chevroletem przez Carnival Drive. W ten przyjemny wieczór wszyscy wylegli na zewnątrz. Rozmawiają w grupkach przed swoimi domami. Na podjeździe zaparkowana jest niebieska furgonetka z napisem na boku „Jednostka techniczna prokuratora okręgowego”.

Telefon zadzwonił za dwie piąta - dwie minuty przed tym, jak McDermott i jego partnerka Stoletti mieli jechać do domu na noc. Carnival Drive jest niedaleko, po północnej stronie miasta. W pobliżu są już przedmieścia i co jeszcze ważniejsze, stąd tylko jedna przecznica, gdzie kończy się jurysdykcja jego posterunku.

Dwie minuty albo jedna przecznica i McDermott siedziałby już w domu, jedząc kolację ze swoją córką Grace. Życie to gra szczegółów.

- Wpadam tutaj w nostalgię. - Detektyw Ricki Stoletti wkłada do ust gumę do żucia. Parkują. Stoletti jest jego partnerką już od trzech lat, kiedy przenieśli ją z Centralnego Wydziału Kryminalnego z północnych przedmieść.

Mogłaby biadolić na to wezwanie w ostatniej chwili, jakoś się z tego wykręcić. Wyjazd do morderstwa zawsze zajmuje co najmniej trzy godziny. Pan Frederick Ciancio właśnie popsuł im obojgu wieczór.

Jakiś gliniarz, zwalisty Irlandczyk o nazwisku Brady, przerywa wywiad z którymś z sąsiadów i podchodzi do nich.

- Cześć, szefie. Cześć, Ricki.

McDermott gryzie się w język. Unosi brwi.

- Frederick Ciancio - mówi Brady, przerzucając kartki notesu. - Sześćdziesiąt dwa lata. Emerytowany ochroniarz z Bristol Security. Wcześniej był strażnikiem w zakładzie karnym Ensign Correctional.

- W Ensign. No, nieźle. - Stoletti entuzjastycznie żuje gumę. Ensign Correctional to więzienie o maksymalnie za-

ostrzonych przepisach bezpieczeństwa w zachodniej części hrabstwa. - Do kiedy tam pracował?

Brady wpatruje się w Ricki. Wielu mężczyzn nie lubi kobiet, które są wyższe od nich, a Stoletti, mierząca pięć stóp i dziesięć cali, a w dodatku wysportowana, zdecydowanie zalicza się do tej kategorii. Na pewno trzeba jej policzyć na plus, że świetnie się prezentuje. Odgarnia z czoła równo przyciętą grzywkę. I kolejny punkt na plus. Nie farbuje włosów. Sajasnobrązowe, lecz ze zdrowymi pasemkami siwizny.

- Sąsiedzi twierdzą, że do końca lat siedemdziesiątych - mówi Brady. - Mówili, że potem pracował przez jakieś dwa dziesięcia pięć lat jako ochroniarz.

McDermott zapamiętuje tę informację. Wiadomo, że strażnicy więzienni mają wśród osadzonych zarówno wrogów, jak i przyjaciół. Jednak nie pracował w więzieniu już od dwudziestu pięciu lat. To szmat czasu.

- Wiele ran kłutych? - pyta.

- Wiele to chyba za mało powiedziane. Gdybym miał zgadywać, to bronią był śrubokręt krzyżakowy. - Brady pokazuje ruchem głowy na zgromadzony tłum. - Sąsiad tu zajrzał, kiedy starszy pan spóźnił się na pokera. Samochód stał w garażu, więc użył zapasowego klucza, który dał mu Ciancio, i wszedł do domu, żeby się trochę rozejrzeć. Znalazł go w sypialni.

McDermott przebiega wzrokiem po okolicy, wciąż skąpanej w świetle czerwcowego wieczoru. Zbliża się szósta. Mieszka tu trochę policjantów, ludzi, którzy muszą pozostawać w granicach miasta, ale chcą czegoś o maksymalnie podmiejskim charakterze. Czytaj: o jak najniższej przestępczości. Ulica prezentuje się skromnie - głównie parterowe domki na ćwierćakowych działkach i z garażami na jeden samochód - ale jest typowa dla wielu przedmieść. Miłe, spokojne miejsce.

- Jest tu lekarz sądowy? - pyta Stoletti.

Brady przecząco potrząsa głową.

- Nie, ale wygląda na to, że Ciancio zmarł tej nocy. Myślę, że nie upłynęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

McDermott zerka na Brady'ego, ale postanawia dać sobie spokój. Gliniarze zawsze próbują zrobić wrażenie.

- Dobra robota, Brady - mówi. Pochyla się, przechodzi pod taśmą otaczającą miejsce zbrodni. Stoletti podąża za nim. Wchodzą do domu.

Na parterze jest panel alarmu antywłamaniowego. Sensowne rozwiązanie dla byłego strażnika więziennego.

- Musimy sprawdzić, czy dzwonił do firmy ochroniarskiej - mówi do partnerki. Czasami intruzi włamujący się do domu, w którym jest alarm, zmuszają właściciela do podania im hasła. Jeśli tak było i w tym przypadku, będą mogli do kładnie określić czas zgonu.

Inny gliniarz stojący w kuchni i rozmawiający z członkiem ekipy technicznej prokuratora okręgowego, gość o nazwisku Abrams, mówi McDermottowi, że ktoś majstrował przy zamku od tylnych drzwi.

- A firmy ochroniarskiej nikt nie wzywał z tego domu od ponad roku - dodaje.

- Dobra robota, Ronnie. - To mu oszczędziło telefonu. A więc pozostają trzy możliwości. Po pierwsze, Ciancio mógł nie korzystać ze swojego alarmu. Nie jest to zbyt prawdopodobne w przypadku kogoś, kto w tej czy innej formie pracował w ochronie przez większość życia. Druga ewentualność jest taka, że przestępca znał kod alarmu. No i trzecia możliwość - sprawca włamał się, gdy alarm był wyłączony. Na przykład w samym środku dnia, gdy Ciancio był w domu, ale niczego nie podejrzewał. Sprawca mógł go zaskoczyć później, prawdopodobnie w samym środku nocy. W takim wypadku alarm by nie zadziałał, bo morderca był już w środku. To jednak oznaczałoby, że jakoś wydobył z Ciancia hasło alarmu, bo musiał go wyłączyć, zanim wyszedł.

Ekipa techniczna szuka odcisków palców na klatce scho-

dowej. McDermott i Stoletti wchodzą na górę. Michael przypomina jednemu z techników, żeby sprawdził panel alarmu. Schody pokryte są grubą, białą wykładziną przemysłową. Na kilku stopniach widać ślady po zmywaniu plam.

McDermott to czuje. Jak zwykle. Serce tłucze mu się w klatce piersiowej, gdy zbliża się do miejsca zbrodni, choć przypomina sobie, że ofiarą jest starszy mężczyzna, który zmarł w wyniku wielokrotnych ran kłutych i skręcenia karku. To nie jego trzydziestoczteroletnia żona, wielka miłość ze szkoły średniej. To nie Joyce, leżąca na podłodze, zabita pojedynczym strzałem.

Sypialnia znajduje się zaraz u szczytu schodów. Wygląda na to, że miejsce zbrodni ogranicza się do samego łóżka. Fred Ciancio leży na wznak, ma otwarte oczy i usta. Jest ubrany w górę od piżamy - gładki biały materiał upstrzyły teraz ciemne plamy w miejscach ran na ciele. Najgłębsza na jabłku Adama. Głowa denata spoczywa na poduszce. Narzuta jest nadal odsunięta, leży przy jego kostkach. Odór wydzielin ciała, w tym moczu i odchodów, potęguje jeszcze duszne powietrze wpadające przez otwarte okna. Ktoś prawdopodobnie pomyślał, że dobrze byłoby wywietrzyć pokój, ale wilgoć zawsze jedynie pogarsza sprawę.

- Naliczyłem dwadzieścia dwie - mówi Soporro, technik wylaniający się z łazienki. - Dwadzieścia dwie rany. Śmierć na szyi.

Jednak rany kłute zadano, zanim umarł. Zbyt wiele krwi wypłynęło przez tyle otworów. Gdyby zrobiono to po śmierci, jego serce nie pompowałoby już krwi i niewiele by jej wyciekło, nawet pod wpływem grawitacji. McDermott zbliża się do ciała i przygląda się niektórym ranom u góry klatki piersiowej i na ramionach, których nie okrywa piżama. Drobne, okrągłe nakłucia.

Śrubokręt krzyżakowy - tak uważał ten gliniarz.

Rany są płytkie -jedynie na tyle, by przebić skórę.

- Był torturowany - mamrotze McDermott.

- Mike! - **woła do niego gliniarz z holu.** - Znaleźliśmy **broń.**

Bóle brzucha znów wróciły. Kwas przenika ściany żołądka, jakby trawił go ogień. Jak papier ścierny na świeżej ranie.

Już dość. Już dość. Zagryza wargę i liczy. Raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa. To minie. Blask błyskawicy. Pytanie tylko, kiedy wróci.

Leo patrzy na swoje odbicie w lusterku wstecznym. Przebiega palcem po bliźnie nad okiem - ma kształt półksiężyca. To jedyny groźny znak na jego podłużnej, ospowatej twarzy o dość miękkich rysach.

Miękki - tak właśnie o mnie myślą. Miękki jak piórko. Miękki jak kociak.

Podskakuje na swoim miejscu, gdy w samochodzie po stronie kierowcy widzi człowieka w mundurze. Leo przyciska podbródek do klatki piersiowej, udaje, że szuka czegoś w schowku na rękawiczki. To pretekst, by zerknąć w prawo i przekonać się, czy ma też kogoś po drugiej stronie wozu. Lewą stopą delikatnie maca wykładzinę pod nogami, starając się znaleźć pistolet i przysuwać bliżej, żeby w razie potrzeby łatwo mógł po niego sięgnąć. Jednak jak dotąd prawe skrzydło jest czyste. Wstrzymuje oddech i liczy wstecz od dwudziestu.

Dziewiętnaście... Osiemnaście...

Mężczyzna w mundurze kładzie mandat na przedniej szybie, o dwa samochody przed nim. Czy obejrzał się na Leo? A może patrzył dalej, na kogoś za nim?

Leo okręca się na siedzeniu, wyciąga szyję, żeby spojrzeć w tył. Widzi niewyraźne kształty przechodniów i przejeżdżających pojazdów.

Nikogo tam nie ma.

Odwraca się dokładnie w chwili, gdy Paul Riley, ubrany w smoking, wyłania się z budynku zaledwie dwadzieścia pięć

minut po swoim przybyciu. Idzie z jakimś innym mężczyzną. Czy to... czy to...? Czy to może być, czy to...?

Tamten gliniarz?! Lightner?!

Zgadza się. Joel Lightner.

Riley wygląda na zdenerwowanego. Kłóci się z Lightnerem. Unosi dłoń, żeby przywołać taksówkę.

Joel Lightner. Lightner, Joel.

Leo patrzy w lusterko wsteczne. Uważaj na wszystko, co może cię rozproszyć. Oni by właśnie wtedy to zrobili. Poczekaliby, aż zobaczy Riley'a, aż będzie patrzył przed siebie, a wtedy by po niego przyszli. Spójrz w prawo, spójrz w lewo. Nikogo, nikogo. Nie znaleźli go. Jeszcze nie.

Riley i Lightner.

Leo uruchamia silnik. Próbuje zmusić twarz do uśmiechu, ale to nie działa, nie pasuje. Wrzuca bieg w chwili, gdy Riley i Lightner wskakują do taksówki.

Godzinę później McDermott wychodzi z domu. Wciąża do płuc ciepłe, czyste powietrze. Unika kontaktu wzrokowego z grupką reporterów skupionych przy policyjnej taśmie.

Lekarz sądowy sporządził już wstępny raport o przyczynach śmierci. Tak jak przewidywali, to głęboka rana na szyi, a nie inne urazy, zakończyła życie Freda Ciancia. Sprawca chciał po prostu trochę się zabawić, zanim go wykończył. Gdy detektyw zbliża się do swojego samochodu ze Stoletti u boku, jedna z reporterek, którą zresztą już kiedyś widział, idzie za nim krok w krok i czeka, aż wsiądzie do wozu. Nie ma nawet mikrofonu, nie mówiąc już o kamerze.

- Detektyw McDermott? Jestem Evelyn Pendry z „The Watch”.

„The Watch”. Zgadza się. To ta reporterka od przestępczości. Z gazety, nie z telewizji, choć sądząc po wyglądzie, pasuje do tej drugiej. Ma piękne ciało i ściągnięte do tyłu, lśniące blond włosy. Ubrana jest w szykowny, jasnoniebieski kostium.

- Bez komentarza - mówi.
- Czy pan Ciancio został zabity śrubokrętem krzyżakowym?

McDermott rzuca spojrzenie Stoletti, która na chwilę staje w miejscu, żeby otworzyć drzwi od strony pasażera. Cholerne gliniarz. Brady. Co Evelyn Pendry mu obiecała? Wzmiankę w artykule, że to on był policjantem udzielającym wywiadu? Że pójdzie z nim na kolację i tańce?

- Powiedział: bez komentarza - mówi Stoletti. - Ale jeśli chcesz być taka dokładna, Evelyn, to zapewniam cię, że ci tego nie wydrukują.

- Muszę z wami porozmawiać, proszę - mówi reporterka dziwnym w jej ustach, nieformalnym tonem.

McDermott, już jedną nogą w samochodzie, wychyla się w jej stronę.

- Macie coś do powiedzenia?

Evelyn mruga. Nagle uświadamia sobie obecność trzech innych dziennikarzy, którzy ją dogonili i teraz filmują policjantów.

Reporterka szybko potrząsa głową. McDermott wpatruje się w nią przez chwilę, ale ona, pokonana, odwraca wzrok. Detektyw zamyka drzwi i odjeżdża.

14

- Problem z doskonałym martini - wyjaśniam Lightnerowi - polega na tym, że jest doskonałe.

Podnoszę pusty kieliszek. Trzy godziny temu przeszliśmy z Joelem z sali restauracyjnej do baru w Sax's. Trochę już ich wypilem, może z pół tuzina czy jakoś tak, więc macham, żeby dostać rachunek. Wykonuję ten uniwersalny znak, jakbym pisał palcem w powietrzu. Tyle tylko, że w tej chwili moje pismo byłoby nieczytalne. Albo nieczytelne. Jakoś tak.

- Lepiej przestanę pić, zanim zamienię się w dupka.
- Za późno.

Lightner trzyma w ustach wykałaczkę. Opiera się ramieniem o ladę. Rozgląda się po lokalu. Długa noc dobiega końca. Powietrze jest ciężkie od zapachu perfum, dymu i alkoholu. Wciąż trwają ożywione rozmowy, ale parę osób już wyszło. Teraz zwijają się inni. Mam pełny żołądek i wlałem w siebie o wiele za dużo wódki. Joel jak zwykle może wypić więcej niż ja, ale oczy ma przekrwione, a policzki - zazwyczaj jak u cherubina - teraz są jeszcze bardziej różowe. Wciąż myśli, że przejrzał mnie na wylot, bo przywłókł się na ten bankiet charytatywny u gubernatora, a ja jestem już zmęczony tłumaczeniem mu, że nie zaciągnąłem go tam po to, żeby zobaczyć moją byłą.

Kiwa głową w kierunku baru, wyjmując wykałaczkę z ust i zaczyna coś mówić, akurat gdy kelnerka przynosi rachunek. Lightner gapi się na niego, jakby był radioaktywny. Widziałem więcej ożywienia u manekina.

- Nie, nie - mówię, zabierając mu spod nosa rachunek. - Stawiałem już obiad i to też zapłacę.

- To jak urabianie klienta.

- Tak, ale dziś ja jestem klientem. Pozwól mi to zrobić.

- Ja stawiam następnym razem. - Lightner wskazuje wykałaczką na bar. - Nie uwierzysz w to, Riley, ale wydaje mi się, że ta dama ci się przygląda.

Lubię w Lightnerze to, że się nie zmienił, odkąd go poznałem szesnaście lat temu. Ma bardziej wypchany portfel, lepsze ciuchy i włosy mu trochę posiwiały, ale wciąż nie opuszcza go ten młodzieńczy entuzjizm.

- Ma taką dupeczkę, że mógłbyś z niej jeść lunch - mówi.

O to mi właśnie chodziło z tym młodzieńczym entuzjazmem. Odkładałem kartę kredytową.

- Świetnie. Powiedz jej to. Zapytaj, czy się jej podobam.

- Spróbuj tego nie spierdolić - rzuca półgębkiem, gdy rzeczona dama zbliża się do naszego stolika.

- Witam, młoda damo. Mam na imię Joel.

- Cześć, chłopcy! - mówi kobieta z większym entuzjazmem, niż byłem kiedykolwiek w stanie z siebie wykrzesać przez całe życie. Nawet wtedy, gdy przyjęli mnie na Harvard albo kiedy rzutem na sam koniec meczu zapewniłem naszej drużynie zwycięstwo z Saint Mary's High na pierwszym roku studiów. Zegar odlicza sekundy, robię zwód, obiegam faceta, wyskakuję i rzucam. Myślałem, że będzie tylko obręcz, ale weszła. Nie pamiętam wszystkich szczegółów - na przykład, jak się nazywał facet, który mnie krył.

- Mogę zapytać, jak masz na imię? - pyta Lightner.

A, już wiem. Ricky Haden. Wysoki, chudy jak patyk dzieciak. Dość niemrawy w obronie.

- Jestem Molly.

Molly ma na sobie dzinsy biodrówki, buty na wysokich obcasach i luźną białą bluzeczkę, która opada, odsłaniając jedno ramię. Niemożliwe, żeby naprawdę się mną interesowała. Musi być profesjonalistką. Przychodzą czasem w takie miejsca, szukając dzianych facetów, którzy wypili już parę drinków i tęsknią za towarzystwem.

Moment. Moment! Przecież to ja właśnie jestem takim facetem.

- Posłuchaj, Molly. Tu, naprzeciwko mnie, siedzi wielki Paul Riley. Być może o nim słyszałaś. Ale teraz, Molly - z tymi słowami Joel zrywa się na nogi i przysuwa jej krzesło, na którym ona siada - teraz, Molly, Paul jest trochę smutny.

- A czemu Paul jest smutny, Joel?

Wcale nie miałem dostać tej piłki, ale rzucili się na Joeya Schramka, naszego środkowego, więc wyszedłem na pozycję i rzuciłem. Haden nie był zbyt dobrze ustawiony, nabrał się na mój zwód i następną rzeczą, którą zarejestrowałem, była lecąca w powietrzu piłka oraz końcowy sygnał.

- Paul jest smutny, Molly, bo ktoś mu złamał serce.

I ten dźwięk lecącej piłki. Pamiętam ten dźwięk.

- Będzie tylko kosz - mówię.

- Wiem, kim jest Paul Riley - mówi kobieta. Molly, tak chyba ma na imię. - Parę tygodni temu widziałam w telewizji program specjalny o TerryMBurgosie.

- Słyszysz, Paul? Molly widziała cię w telewizji.

W porządku. W takim razie nie jest profesjonalistką. Molly, z tego, co jestem w tej chwili w stanie dostrzec, wygląda na jakieś trzydzieści pięć lat. Może trochę więcej. Ma sporo makijażu i całkiem niezłą fryzurę. Zarys jej twarzy jest owalny i gdybym był w stanie widzieć wyraźniej, to myślę, że reszta też ładnie by do tego pasowała. I wydaje mi się, że gdybym lepiej widział, doszedłbym też do wniosku, że to nie moja liga. Ale na tym to właśnie polega. Dla mężczyzn liczy się tylko wygląd. Wyszukują sobie najatrakcyjniejszą kobietę w pobliżu i jej pożądamy. Nie wykluczam zresztą możliwości, że one robią to samo. I właśnie dlatego zadaję się z pospolicie wyglądającymi ludźmi. Jednak większość kobiet szuka czegoś mniej ulotnego...

- Wyglądał... na bardzo pewnego siebie - mówi Molly Lightnerowi.

Właśnie. Kobiety lecą na inteligencję, poczucie humoru, sukces i pewność siebie. Tacy faceci jak ja właśnie na to liczą. Kiedy się na mnie patrzy, nie ma za bardzo na czym zawiesić oka. Ale jestem bystry, potrafię powiedzieć coś niegłupiego, a w ogóle, przy bliższym poznaniu, to prawdziwy ze mnie książe.

- Wygrywasz wszystkie swoje sprawy? - pyta mnie Molly.

Joel rozsiada się wygodniej. Podoba mu się to pytanie.

- Tak - mówię.

- Och, jaki skromny! - Kobieta uśmiecha się i wpatruje się we mnie.

Podnoszę w górę dwa palce.

- Druga zasada adwokata brzmi: doprowadź do ugody tam, gdzie nie możesz wygrać, a tam, gdzie możesz, procsuj się.

Rozkłada ręce, wciąż na mnie patrząc. Kiedy nie ciągnę tego wątku, mówi:

- Gdyby wszyscy stosowali się do tej zasady, nie byłoby w ogóle procesów.

- Pierwsza zasada brzmi: wiedz, kiedy możesz wygrać. - Macham do kelnerki. - Postawić ci drinka, Molly?

- To ja ci chciałam jednego postawić.

- Jeszcze lepiej.

Joel Lightner wydaje się dość zadowolony z rozwoju wydarzeń. To trochę wkurzające, że tak się o mnie troszczy.

- Wiecie co? Właśnie mi się przypomniało, że mam coś do załatwienia - mówi. - Wybaczcie mi. Molly, to była prawdziwa przyjemność cię poznać.

Kobieta nie protestuje. Natychmiast wstaje i przepuszcza Joela. Zaczynam się trochę budzić.

- Nie pamiętasz mnie, prawda? - pyta, siadając z powrotem na swoim miejscu.

Nie pamiętam. Zastanawiam się, czy nie skłamać, ale w ten sposób zawsze wykopiesz pod sobą jakiś dołek. A jestem za bardzo wstawiony, żeby być kreatywnym.

- Nic nie szkodzi. To było w zeszłym tygodniu. Przyszedełeś nie z tym swoim przyjacielem, tylko chyba z klientem. Zamówiłeś drinka w barze i opowiedziałeś dowcip. Uśmiełam się. Byłeś bardzo sympatyczny.

- I trzeźwy - dodaję.

- No tak, wtedy byłeś trzeźwy. Muszę ci to przyznać. Może dobrze by ci zrobiło, gdybyś napił się kawy.

- Niezły pomysł. - Gramolę się z mojego miejsca. - Z reguły robię świetne pierwsze wrażenie. Uwierz mi.

- Na mnie zrobiłeś bardzo dobre wrażenie.

No to świetnie. Tak naprawdę czuję się lepiej, niż się spodziewałem. Pewnie dlatego, że w ruch poszła adrenalina, przebijająca się przez alkoholowe zamroczenie. W rzeczywistości to wcale nie jestem w tym dobry. Żyłem w celibacie, jak ksiądz, przez dobrych osiem czy dziesięć lat, zanim po-

znałem Shelly. Jakoś nigdy nie kręciło mnie podrywanie. I teraz też nie jestem gotowy na debiut.

- Myślę, że najlepiej będzie, Molly, jeśli wsadzę cię do taksówki.

Uśmiecha się do mnie trochę podejrzliwie.

- Albo jesteś dżentelmenem, albo cię nie interesuję.

- Ani jedno, ani drugie. Ale dużo mi bliżej do dżentelmena, kiedy jestem trzeźwy.

Jednak prawda jest taka, że ma trochę racji. Nie jestem zainteresowany. Wciąż myślę o kimś, kto poszedł dalej i nie ogląda się za siebie.

Pokazuje za okno.

- Mieszkam trzy przecznice stąd. Odprowadzisz mnie do domu?

Trzy przecznice stąd, czyli gdzieś blisko Lilly. Sax's jest po zachodniej stronie, więc musi mieszkać w jednym z tych loftów, które wyrosły tu jak grzyby po deszczu. Pewnie jest artystką. Tancerką albo muzykiem. Tancerka - to byłoby niezłe.

Lubię tę część miasta - także dlatego, że w dużym stopniu jak dotąd uniknęła napływu bogatych. Bliższe rejony zachodnich dzielnic wciąż mają dość przemysłowy charakter. Jest tu tylko parę świetnych barów i restauracji, rozsznanych wśród firm budowlanych i fabryk. Nawet niewielka modernizacja, jaką przeprowadzono, spotkała się z oporem lokalnej społeczności. Parę miesięcy temu postawili przy drodze Starbucks i połowa mieszkańców tej okolicy protestowała. Druga połowa zamówiła sobie mocha latte. W tym rejonie jest coraz więcej białych i robi się coraz bardziej trendy. Galopujący postęp brutalnie pędzi nad głowami załamującej ręce grupki protestujących.

Wcześniej padał deszcz i teraz pachnie wilgocią. Uwielbiam ten zapach. Małe kałuże wody wciąż stoją w dziurach w nawierzchni, których sporo jest na drogach w tej części miasta. Brakuje na to pieniędzy, a radni nie mają zbyt dużego wpływu na burmistrza.

- Wciąż się zajmujesz sprawami karnymi? - pyta.
- Kiedy mam okazję.

Takie sprawy ze spluwą w tle to prawdziwa rzadkość dla takiego gościa jak ja. Wystawiam kosmiczne rachunki i jedyni oskarżeni w sprawach karnych, którzy mogą sobie na mnie pozwolić, to ci w białych kołnierzykach. A wtedy szkody obliczane są przez księgowych, a nie przez koronerów.

- Porozmawiajmy o tobie - proponuję.

Skrećmy na rogu. Idziemy ulicą między wysokimi budynkami. Człowiek się czuje, jakby szedł aleją. Przechodzimy przez wtopione w asfalt od dawna nieużywane tory kolejowe. Zastanawiam się, gdzie ona mieszka. Przerobiono niektóre z tych starych magazynów, ale nie ma na nich żadnych tablic informacyjnych. Te lofty są świetne i tanie, ale nie ma za bardzo gdzie iść na spacer i możesz uważać się za szczęściarza, jeśli widzisz coś więcej niż boczną ścianę jakiegoś budynku.

- No to jak będzie? - pytam.

Molly zatrzymuje się, patrzy na mnie i się rumieni -a przynajmniej tak mi się wydaje. W cieniu odnoszę wrażenie, że jej twarz się zmienia. Na ulicy jest dość ciemno, trochę światła płynie tylko z latarni ulicznej na południe od nas, która oświetla jej twarz. Skóra mojej towarzyszki wydaje się taka gładka... No i te cudowne oczy, które na mnie patrzą.

- Dam ci moją wizytówkę - mówi.
- O, świetnie.

Tyle udaje mi się z siebie wydobyć, ale gdy sięga do torebki, pasek zsuwa jej się z ramienia i zatrzymuje się dopiero na łokciu. Szarpnięcie wywraca torebkę do góry nogami i zawartość wypada na chodnik. Wszystko się wysypuje.

Schylam się, żeby jej pomóc, i oboje kucamy. To ta chwila, kiedy patrzymy sobie w oczy i erotyzm chwili bierze nad nami górę. Ale teraz nie stać mnie na to ani psychicznie, ani fizycznie, a moje serce, niestety, należy do innej. Koncentru-

ję się więc na leżących na chodniku kartach kredytowych, szmince, portmonetce i puderniczce - w chwili, w której prawdopodobnie powinienem się skupić na odgłosie kroków za moimi plecami.

A potem nagle to do mnie dociera. Mrowienie z tyłu głowy, gdzieś w mózgu, gdy patrzę, jak jej oczy wędrują ponad moim ramieniem, a wargi rozchylają się w oczekiwaniu. Domyślam się, że jednak jest profesjonalistką. Tyle że nie takiego rodzaju, jakiego się spodziewałem. Ułamek sekundy później spada prawdziwy cios. Coś twardego i metalowego uderza w tył mojej czaszki.

15

Twoje ciało jest ciepłe, Paul. Twoje ciało się porusza. Unosi się i opada. Wciąż jesteś żywy; nieprzytomny, ale żywy.

Ona biegnie, próbuje uciec, ale ma obcasy, nie może się poruszać tak zwinnie jak Leo. Ten pędzi za nią ulicą, jest szybszy. Ona ucieka, ale on ją dogania. Odległość błyskawicznie maleje. Idę po ciebie. Ona próbuje krzyczeć, ale strach zamyka jej usta, tłumi krzyk, dławi gardło. Jedyne dźwięki to szarpany oddech i obcasy uderzające w chodnik. Klak, klak, klak. Klak, klak, klak. Ale już niedługo.

Zbliża się z boku, opuszcza ramię, wpada na nią, przyciska do ściany. Łup w ścianę. Łup i klap. Spada na worek ze śmieciami i toczy się po wilgotnej ulicy.

Teraz cisza. Mamrocze i czołga się. Mamrocze, ale nie krzyczy. Nie może krzyczeć. Próbuje odepchnąć się od chodnika, pełza i płacze.

On unosi łom, idzie za nią. Pochyla się.

Teraz cisza. Cisza.

**Naród przeciwko
Terrance'owi Demetriusowi Burgosowi
Sprawa nr 89-CR-31003**

Lipiec 1989

Riley przekazał instrukcje asystentowi prokuratora okręgowego, który odprowadził go pod drzwi gabinetu Mullaneya.

- Powiedz temu z laboratorium, że ja o to prosiłem, że to sprawa Burgosa i że ma to zrobić w pierwszej kolejności - powiedział do mężczyzny pospiesznie gryzmołającego notatki. - A jeśli nie może tego zrobić w pierwszej kolejności, chcę mieć pięciostronicową notatkę służbową z jednopunktowym odstępem między wierszami, w której ma wyjaśnić dlaczego.

Patrzył, jak młody asystent na łeb, na szyję pognął wykonać polecenie, i zachichotał pod nosem. Zastanawiał się, czy nie zagrozić temu z laboratorium utratą pracy, ale poleceniu przygotowania pisemnego memorandum było z pewnością jeszcze bardziej przerażającą perspektywą. Posmakował już swojej posady w administracji okręgu.

Głęboko odetchnął i podszedł do drzwi gabinetu szefa.

- Wchodź, Paul, wchodź.

Prokurator okręgowy Ed Mullaney był potężnym mężczyzną po pięćdziesiątce, z pociągłą, czerwoną twarzą pokrytą mnóstwem piegów. Przez wszystkie te lata podbródek mu zwiotczał i zwisał teraz nad kołnierzykiem koszuli. Był takim typowym, staromodnym szefem z wielkiego miasta: przysadzistym, cmokającym swoje cygara i najlepiej czującym się wtedy, gdy może wygodnie rozpierać się w swoim koślawym, skórzanym fotelu i rozwodzić nad polityką i wdrażaniem prawa. W swoim czasie tego popijał - tak przynajmniej się mówiło - ale ostatnio miał problemy żołądkowe i musiał trzymać się z dala od alkoholu. Z tego powodu był w niezbyt radosnym nastroju.

Riley zapadł się w fotel po drugiej stronie biurka.

- Wyglądasz jak Irlandczyk, któremu przydałoby się coś mocniejszego - powiedział Mullaney.

- A są tu w ogóle jacyś inni Irlandczycy? - Paul spróbował się uśmiechnąć. Była szósta. Dla Mullaneya dzień miał się już ku końcowi, ale dla Rileya dopiero się zaczynał. Upięknęło pięć tygodni od znalezienia ciała i aresztowania Terry'ego Burgosa. Od tego czasu Paul ani razu nie wrócił do domu przed północą. Ten szczegół nie umknął zresztą jego żonie Georgii. Śledztwo było dla niego jak prawdziwe tsunami. Zebrał grupę zadaniową złożoną z prawników, śledczych i policjantów, którzy działali pod jego nadzorem. Przekazywanie obowiązków innym było czymś, czego Riley próbował się dopiero nauczyć. I jak do tej pory nie za dobrze mu to szło.

Każda z ofiar została już ostatecznie zidentyfikowana. Prostytutki dzięki analizie odcisków palców i identyfikacji włók, Ellie Danzinger przez rodziców i dzięki odciskom palców udostępnionym przez rząd Republiki Południowej Afryki, a Cassie Bentley została rozpoznana przez matkę Natalię Lakę Bentley i dzięki karcie dentystycznej.

Mieli narzędzia zbrodni: nóż użyty do rozplątania klatki piersiowej Ellie Danzinger i poderżnięcia gardła Angie Mornakowski, na którym znaleźli ślady krwi ofiar i Burgosa oraz jego odciski palców. Mieli szklany pojemnik, w którym trzymano kwas siarkowy z akumulatora, użyty do zabicia Jackie Davis. Również na nim było parę odcisków palców Burgosa. No i mieli też pistolet, którym odstrzelono tył czaszki Cassie Bentley, z niezbyt wyraźnymi odciskami palców Burgosa na całej rękojeści i lufie.

W pochwie każdej z zamordowanych dziewczyn znaleźli nasienie odpowiadające grupie krwi Terry'ego. W jego domu natknęli się na ubrania ofiar i przedmioty pozwalające je zidentyfikować, nie mówiąc już o ich krwi i włosach. W piwnicy znaleźli dwa wielkie worki na ciała, w których były szczątki każdej z ofiar. W te noce, w które zaginęły Angela

Mornakowski i Sarah Romański, widziano je, jak wsiadały do niebieskiego chevy suburbana, dokładnie takiego, jakim jeździł Burgos. Odkryli też odcisk kciuka Jackie Davis na jego lusterku wstecznym i śladowe odciski palca wskazującego prawej dłoni Maureen Hollis na desce rozdzielczej. Mogli powiązać każdą z prostytutek z tym samochodem.

Zgromadzone dowody materialne były po prostu przytłaczające.

- Wszystko to nieźle wygląda, stary - powiedział prokurator okręgowy. - No, chociaż raz się uśmiechnij.

To prawda, że - z grubsza biorąc - wszystko układało się dosyć dobrze. W zeszłym tygodniu wyznaczony przez sąd adwokat Burgosa, Jeremy Larrabee - przez całe życie pracujący jako obrońca z urzędu, facet o dzikich oczach, który nosił kolorowe garnitury, kucyka i chyba wszczepiono mu chirurgicznie kartę praw w klatkę piersiową - rzucił na szalę wszystkie umiejętności i... przegrał. Larrabee próbował podważyć zeznania Terry'ego Burgosa na policji, choć ten podczas przesłuchania zidentyfikował wszystkie ofiary z nazwiska i *de facto* przyznał się do ich zamordowania. Obrońca wysunął argument, że jego klientowi nie odczytano przysługujących mu praw. Jednak sędzia Albert Donaghue oświadczył, że nie było to konieczne, ponieważ Burgos nie został wtedy aresztowany. Z nagranej rozmowy wyraźnie wynikało, że detektyw Joel Lightner jasno poinformował Burgosa, iż w każdej chwili może iść do domu. Larrabee próbował protestować, twierdząc, że policjanci złapali Terry'ego w pułapkę: przetrzymywali go w porze lunchu, a potem, żeby został, zaproponowali mu jego ulubione danie - tacos. Sędzia Donaghue drwiąco zauważył, że dokładnie przejrzał konstytucję i jej twórcy nic nie wspomnieli o darmowym meksykańskim jedzeniu.

Po odrzuceniu przez stanowy sąd apelacyjny i Sąd Najwyższy apelacji Burgosa stało się jasne, że obciążające oskarżonego zeznania zostaną przedstawione podczas procesu.

Wczoraj, następnego dnia po odrzuceniu przez Sąd Najwyższy apelacji, Terry Burgos nie przyznał się do sześciokrotnego morderstwa pierwszego stopnia, zasłaniając się niepoczytalnością.

W tej sprawie nie chodziło już o udowodnienie Burgosowi popełnienia tych przestępstw. Teraz najważniejsze było wykazanie, że w chwili dopuszczenia się ich zbrodniarz był poczytalny.

- Wygląda na to, że namierzyłeś prostytutki - powiedział Mullaney.

Riley kiwnął głową. Nie tylko powiązali każdą z nich z samochodem Burgosa, lecz dowiedzieli się również, że Terry znał je wszystkie. Inne panienki, którym pokazano zdjęcie Terry'ego, z łatwością zidentyfikowały go jako stałego klienta Angie, Jackie, Sarah i Maureen, choć żadna z nich nie знаła go pod nazwiskiem Terry Burgos.

Burgos zawsze przedstawiał się jako Tyler Skye.

Ramy czasowe również się zgadzały. Policja wyszła z założenia, że kobiety zostały zamordowane w takiej kolejności, w jakiej ułożono je w suterenie audytorium. Lekarz sądowy z grubsza to potwierdził, no i oczywiście rodzaj śmierci dokładnie odpowiadał kolejnym wersom słów piosenki.

Z tego, co udało im się dowiedzieć, dowody również popierały tę teorię chronologiczną. Ellie Danzinger, pierwsza z zamordowanych kobiet, w niedzielę, 18 czerwca, o siedemnastej trzydzieści pięć, zamówiła do swojego mieszkania jedzenie. Wiedzieli więc, że o tej porze jeszcze żyła. Po odsłuchaniu jej automatycznej sekretarki dowiedzieli się, że dostała pięć wiadomości głosowych, pierwszą o dwudziestej drugiej piętnaście tego samego wieczoru. Ellie nigdy ich nie odsłuchiwała, a tym bardziej nie oddzwoniła. Roboczo mogli więc założyć, że Burgos włamał się do jej mieszkania pomiędzy tymi wydarzeniami, pobił ją i uprowadził.

A teraz udało im się też ustalić, gdzie i kiedy ostatni raz widziano każdą z prostytutek, co potwierdziło teorię, że

Burgos zabił je w kolejnych dniach: Angie Mornakowski w poniedziałek, 19 czerwca, między dwudziestą pierwszą a dwudziestą pierwszą trzydzieści, Jackie Davis we wtorek wieczorem około dwudziestej drugiej trzydzieści, Sarah Romański w środę około dwudziestej drugiej, a Maureen Hollis w czwartek, również około dwudziestej drugiej.

- Trudniejsza jest sprawa z Cassie Bentley - stwierdził Riley. Pomyślał, że to ironia losu, iż ostatnie znane miejsce pobytu tych prostytutek można było ustalić łatwiej niż studentek: Ellie Danzinger i Cassie Bentley. Biorąc pod uwagę ich zawód, łatwo ukryć zniknięcie prostytutki. Ale studentki z college'u?

- Studentki, które latem tak nie do końca są studentkami - powiedział Mullaney.

To rzeczywiście stanowiło problem. Szkoła była nieczynna, nie zaczęły się jeszcze nawet zajęcia letnie, a te dwie bogate dziewczyny nigdzie nie pracowały. Kolejny problem polegał na tym, że najwłaściwszą osobą, którą można byłoby zapytać o miejsce pobytu każdej z nich, była ta druga.

We wtorek, 20 czerwca, Cassie jadła w domu kolację z matką, a następnie miała wrócić do miasteczka uniwersyteckiego, żeby przygotowywać się do zajęć letnich, które rozpoczynały się w przyszły poniedziałek. Od tej pory słuch o niej zaginął. Gdy nie odzywała się od środy aż do soboty, Harland zadzwonił do prokuratora okręgowego Mullaneya w przeddzień znalezienia ciała.

- Zwłaszcza Cassie - dodał Riley. - Ona jest prawdziwym znakiem zapytania.

- Chodzi ci o ramy czasowe? - Mullaney był takim typem faceta, którego interesował raczej całościowy obraz, znał jednak wszystkie szczegóły sprawy tej dziewczyny. Powiedział niedawno Rileyowi, że Harland Bentley wydzwania do niego dwa razy dziennie.

Problem polegał na tym, że najwyraźniej Burgos zabijał te dziewczyny w kolejne dni, zaczynając od Ellie w niedzielę,

aż po Maureen w czwartek. Gdyby ta koncepcja była prawdziwa, Cassie powinna zostać zamordowana w piątek, 23 czerwca, najajutrz po zabiciu Maureen Hollis. To jednak nie zgadzało się z wnioskami lekarza sądowego. Obliczył on, że śmierć Cassie nastąpiła najprawdopodobniej w niedzielę, 25 czerwca - czyli w przeddzień odkrycia ciał wszystkich dziewczyn.

A to oznaczało, że Burgos zrobił sobie dwa dni przerwy, a dopiero potem zabił Cassie.

- Seryjni mordercy zazwyczaj przyspieszają tempo - powiedział Riley - a nie zwalniają.

Mullaney z troską pokiwał głową.

No i był jeszcze komentarz Burgosa skierowany do Lightnera podczas przesłuchania: „Cassie mnie ocaliła”. Co to mogło oznaczać? W jaki sposób to zrobiła? Czy chodziło mu o jakieś ocalenie przed doprowadzeniem do końca jego morderczych planów?

Mullaney pokiwał głową ze zbyt dużym entuzjazmem. Pogroził Paulowi palcem.

- Cassie to pewien problem - stwierdził. - Ona może nam to wszystko spieszyć.

Riley poruszał głowę, próbując rozluźnić kark. Zalała go fala znużenia. Powinien wyjść stąd i wrócić do swego gabinetu.

- Rozgryziemy to, szefie. Jeszcze nie wiemy wszystkiego, ale się dowiemy.

- Nie, Paul. Posłuchaj. Martwi mnie to. Bardzo.

- Teraz, kiedy obrona opiera się na jego niepoczytalności, a tym samym przyznaje, że on to zrobił? Wszystko będzie dobrze.

Prokurator okręgowy potrząsnął głową i podniósł potężne ciało z fotela.

- I tak musimy udowodnić szczegóły śmierci każdej z tych dziewczyn. A kto wie, co spróbuje wywinąć Larrabee z rami czasowymi morderstw. Mamy z tym problem.

Riley obserwował szefa. Mullaney nie należał do osób,

które mają w zwyczaju się zamartwiać. A przynajmniej nie tego rodzaju drobiazgami. Zatrudniał ludzi takich jak Riley, żeby martwili się za niego.

Kiedy szef go wezwał, Riley zakładał, że to będzie zwykła krótka wizyta w celu przekazania najświeższych informacji - taka, jakie składał niemal codziennie od chwili znalezienia ciała. Teraz nie był już tego taki pewien.

- Chodzi ci o coś konkretnego? - spytał.

Najwyraźniej tak właśnie było. Mullaney podciągnął spodnie i ciężko westchnął, podchodząc do okna.

- Paul - zaczął. - Dałem Harlandowi słowo, że jego córka nie zostanie obrzucona błotem.

Paul zaczął powoli, ulegle kiwać głową, ale przekształciło się to w przeczące potrząśnięcie.

- Życie osobiste ofiar będzie w centrum zainteresowania, szefie. Burgos miał konkretny powód, żeby właśnie je wybrać. Według niego każda popełniła jakiś grzech, a przynajmniej tego będzie się trzymał. Nie wiem, jak dobrze znał Cassie z tych zajęć, na które chodził jako wolny słuchacz, ale na pewno coś o niej powie. Że była kurwą, lesbijką...

- No tak. - Mullaney machnął ręką. - Wiesz, musiałem zapytać Harlanda. Musiałem zapytać tego człowieka, który właśnie stracił córkę, czy była ona lesbijką. Nie sądzę, żeby zniósł coś takiego publicznie.

Riley kiwał głową niczym dobry żołnierz, próbując czytać między wierszami.

- Wiesz dobrze, że Bentleyowie nie są po prostu pierwszą lepszą rodziną. Wspomniesz coś o jednym z nich i natychmiast trafia to do każdej gazety w całym kraju. Jeśli wydostanie się na zewnątrz, że Cassie mogła być lesbijką... albo te inne rzeczy, które o niej słyszeliśmy... że opuszczała zajęcia, nie chciała jeść, izolowała się od przyjaciół... Kiedy mówisz o kimś znanym, Paul, to takie rzeczy są zawsze wyolbrzymiane. Media zrobią z niej jakąś stukniętą wariatkę z samobójczymi skłonnościami.

Riley milczał.

- Do diabła, Paul. Przeczytaj sobie artykuł z zeszłego tygodnia o separacji Harlanda i Natalii.

Riley już to czytał. Podobno Bentleyowie mają się rozwodzić. Najwyraźniej trzymała ich razem jedynie Cassie.

Mullaney odwrócił się w stronę Paula i oparł o parapet.

- Kolejna rzecz, która mnie w tym martwi, Paul, to postawienie wszystkiego na jedną kartę.

Riley obserwował szefa i nie odpowiadał.

Jemu też to przyszło do głowy.

W przypadku wielokrotnego morderstwa niektórzy radzą zostawić sobie w rezerwie jedną ofiarę. W tym mało prawdopodobnym przypadku, gdyby coś poszło nie tak i oskarżonego uwolniono by od zarzutów, zawsze można go było oskarżyć ponownie o zabójstwo tej jednej, pozostawionej „w rezerwie” ofiary. Jak nie z jednej strony, to z drugiej.

- Co próbujesz mi powiedzieć, szefie? - spytał Riley.

Mullaney rozłożył ręce.

- To i tak będzie cyrk. Wykluczmy z tego Bentleyów...

- I dalej będzie cyrk.

Prokurator okręgowy uprzejmie się uśmiechnął, ale jego oczy stały się zimne. Po odpowiedniej pauzie powiedział delikatnie:

- Rodzina jednej z ofiar, uświadamiając sobie, że ich córka zostanie obrzucona błotem i że Burgosa oskarżymy o pięć pozostałych morderstw, poprosiła, by wysunąć przeciw niemu zarzut o zamordowanie Cassie w późniejszym terminie. A my oczywiście nie zgodzilibyśmy się na to, gdybyśmy sami nie byli przekonani, że to rozsądna strategia. W tym konkretnym przypadku to naprawdę dobra strategia.

Paul stłumił kwaśny uśmiech. Słowa Mullaneya zabrzmiały jak życiem wyjęte z oświadczenia dla prasy, jednak go zmroziły.

Prokurator okręgowy mówił właśnie Rileyowi, by w zarzutach nie uwzględniać zabójstwa Cassie.

- **Sam powiedziałeś, Paul, że jej przypadek jest najtrudniejszy.**

- Zgadza się.

- No to odpowiedz mi - spytał Mullaney - czy wykluczenie zarzutów dotyczących Cassie jest dla ciebie jakąś przeszkodą, żeby doprowadzić do skazania tego bydlaka? Czy to cię jakoś ogranicza?

- Nie - przyznał Riley.

- I czy tak naprawdę nie daje nam to drugiej szansy, żeby go dorwać, jeśli jakimś cudem mu się upiecze z tą niepoczytalnością w przypadku pozostałych pięciu dziewczyn?

- To też prawda.

- W takim razie dobrze. - Mullaney kiwnął głową, jakby sprawa została już załatwiona. - Czy mogę wierzyć, że ta twoja mina zniknie, kiedy wyjdiesz z mojego gabinetu?

To zaskoczyło Riley'a.

Zawsze szczylił się tym, że gra fair. Nie widział też jakiegoś wielkiego problemu w całym tym manewrze. To miało sens. Nie przypadł mu do gustu tylko fakt, że jakiś bogaty gość, trzymający w kieszeni polityków, podejmuje decyzje za prokuraturę.

- Nie podoba mi się to - powiedział.

- Nie pytałem, czy ci się podoba. - Mullaney zwrócił się w jego stronę. - Pytałem, czy będziesz w tej sprawie grał zespołowo.

Paul odniósł wrażenie, jakby całe pomieszczenie nagle się skurczyło. Stanowisko polityczne piastował od niedawna, ale nie był głupi. Trener mówił mu, że w każdej chwili można zmienić rozgrywającego. A gra dopiero się zaczyna - żeby ciągnąć to porównanie - i nie wiadomo, na kogo wypadnie.

- Wyzaczyłem cię na mojego zastępcę, mimo że wielu ludzi zasługiwało na to stanowisko - szef mówił ostrożnie. - Zrobiłem to dlatego, że jesteś najlepszym prawnikiem procesowym w mieście. A ja chcę, żeby najlepszy prawnik procesowy w mieście był prokuratorem w sprawie tego bydlaka.

Riley milczał. Wiedział, że Mullaney mydli mu oczy. Zatrudniono go tu właśnie dlatego, że był z zewnątrz — prokurator federalny spoza lokalnych układów politycznych. Zaledwie parę miesięcy wcześniej doszło do skandalu. Wyszło na jaw, że kilku prokuratorów okręgowych brało łapówki w porozumieniu z paroma skorumpowanymi adwokatami i gliniarzami. Mullaney sprowadził wtedy kogoś zupełnie z zewnątrz, żeby pokazać, jak zależy mu na przeprowadzeniu poważnych zmian. To była polityczna przykrywka i udawanie, że jest inaczej, obrażałoby szefa.

- Chcę od razu usłyszeć twoją odpowiedź - polecił Mullaney.

Riley odchrząknął. Podniósł wzrok, do tej pory wbity w podłogę, na stojącego przy oknie prokuratora okręgowego.

- Dorośnij, Paul - powiedział poważnie Mullaney. - Sam przyznałeś, że to dobra strategia procesowa. Gdyby ofiara nie chciała wnosić zarzutów, odpuścilibyśmy sobie tę sprawę, prawda? To właściwie to samo, tyle tylko, że ofiara nie może o to poprosić. Może natomiast zrobić to jej rodzina. Nie chcemy, żeby ją dalej maltretowali. Nie pozwól, aby stanęła ci na drodze twoja wyobraźnia albo duma.

Riley podniósł się z fotela, włożył ręce do kieszeni i zagryzł wargę. Nie mógł uwierzyć, że mu grożono. I wiedział, co myśli Ed Mullaney. Że to największa sprawa, o jakiej może marzyć prokurator. I że spadła Paulowi Rileyowi prosto z nieba.

Spojrzał ponad ramieniem szefa na plac za oknem. Dzień był ciepły i słoneczny. Wyobraził sobie, że opuszcza ten gabinet, przechodzi przez plac do budynku federalnych, puka do drzwi i prosi, żeby mu dali z powrotem jego starą robotą.

Teraz Mullaney stał tuż obok niego z miną wyrażającą chęć kompromisu.

Nagle Riley zdał sobie sprawę, że jego dni w prokuraturze okręgowej są policzone. A jednak chciał prowadzić tę sprawę. Chciał załatwić tego potwora. Był całkowicie przekonany.

ny, że Terry Burgos nie zasługuje na to, by móc oczyścić się z zarzutów. Gdy jak rzeźnik mordował te kobiety, przez cały czas myślał racjonalnie. Bardzo daleko mu było do tego, żeby spełnić prawne wymogi pozwalające uznać go za niepoczytalnego.

I niezależnie od tego, jak świeży był Riley w tej robocie, Burgos zamordował te kobiety, gdy on stał na warcie.

Szybko skalkulował wszystko w głowie. Ta sprawa zakończy się prawdopodobnie za sześć do dziewięciu miesięcy. Doprowadzi więc do skazania Terry'ego Burgosa. A potem złoży rezygnację.

- Ale od tej pory - powiedział - to ja podejmuję decyzje.
- W porządku. Ty podejmujesz wszystkie decyzje. - Prokurator okręgowy położył dłoń na ramieniu Riley'a. - A teraz idź i doprowadź do skazania tego seryjnego mordercy.

Wtorek, 21 czerwca 2005

16

- Poczekaj, Shelly, po prostu poczekaj chwilę - mówię i otwieram oczy. Krótka chwila paniki i dezorientacji, potem unoszę głowę i widzę ulicę. Zakładam, że to Dillard Street. Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, jest to, że odprowadzałem tędy do domu pewną młodą damę o imieniu Molly. Chcę spojrzeć na zegarek, ale został po nim tylko ślad bez opaleni-
zny na skórze nadgarstka. Popelniam błąd i dotykam tyłu głowy. Czuję wilgoć i rwący ból. Udaje mi się stanąć na chwiejnych nogach. Instynktownie otrzepuję ubranie, wilgotne od leżenia na przemoczonych od deszczu śmieciach. Z tego, co strzepuję ze smokingu, mógłbym zrobić niezłą sałatkę.

Jestem na uliczce krzyżującej się z Dillard, gdzie przez godzinę czy coś koło tego parę worków ze śmieciami właśnie posłużyło mi za łóżko. Przynajmniej wciąż mam na sobie ubranie, ale to wszystko, czym mogę się poszczycić. Przepadły pieniądze i klucze. Wciąż mam portfel, karty kredytowe i prawo jazdy, znikła jedynie gotówka. Prawdopodobnie doszli do wniosku, że nie będą w stanie wszystkiego wydać, zanim je dziś w nocy unieważnię. Oni - czyli ta kobieta „Molly” i ten ktoś, kto uderzył mnie młotem kowalskim - bo tak właśnie wolę o tym myśleć.

Dzwoni mi w głowie, ale przeżyję. Nabieram powietrza w płuca i czuję odór miejskich śmieci na ubraniu.

Najstarszy cholerny numer, jaki tylko można wymyślić. Jezu, już bardziej im tego nie mogłem ułatwić. Pozwoliłem, żeby ta kobieta zaprowadziła mnie w alejkę. Mnie, wstawionego faceta w średnim wieku. Ten, który mnie uderzył, mógł nosić takie buty jak klaun, a i tak bym go nie usłyszał. Nabrałoby mnie dziesięcioletnie dziecko.

Przynajmniej będę miał historyjkę do opowiadania: zostałem napadnięty w mieście.

Dobra wiadomość jest taka, że do domu mam tylko dwie mile. Na ogół nie uważam, że spacerowanie po tych ulicach jest niebezpieczne, i dochodzę do wniosku, iż szanse na bycie obrabowanym dwa razy tej samej nocy są tak nikłe, że teraz raczej już nic mi się nie stanie. Nie chodzi o to, że mam jakiś wybór. Nie mam gotówki.

A więc idę piechotą z nadzieją, że to mnie otrzeźwi i rozjaśni mi w głowie. Ale wygląda na to, że grawitacja stara się ściągnąć mnie w dół z każdym kolejnym krokiem. Wstrząs mózgu, kac - albo jedno i drugie. Chłodne powietrze pomaga mi stłumić mdłości, ale płynę pod prąd. Próbuję się cieszyć z każdej mijanej tabliczki z nazwą ulicy, bo przecież oznacza to, że jestem bliżej domu, ale tak naprawdę staram się zapomnieć o bólu, naiwności i zranionym ego. I o tym, że gdy odzyskiwałem przytomność, śniłem o mojej byłej dziewczynie.

Mam ceglany, jednorodzinny dom na rogu. Kupiłem go sześć miesięcy temu. Dla mnie samego jest o wiele za duży. To dom dla całej rodziny - zauważyła złowieszczu Shelly. Ale spodobał mi się i chyba też mi nie przeszkadzało, że wcześniej, jakoś tak na przełomie wieku, należał do senatora Stanów Zjednoczonych.

Zanim się tu wprowadziłem, mieszkałem w wysokim apartamentowcu w centrum nad jeziorem. Miałem stamtąd blisko do pracy, a koszty utrzymania były bardzo niskie. Ale

tak naprawdę nigdy nie czułem się tam jak w domu. Nie podobało mi się, że recepcjonista widzi, kiedy przychodzę i kiedy wychodzę - i to wcale nie dlatego, że w moim życiu wydarza się coś szczególnie interesującego. Po prostu brakowało mi prywatności.

A więc teraz mam tę swoją prywatność, i to w nadmiarze. 4500 stóp kwadratowych tylko dla mnie. Teraz dom jest zamknięty i praktycznie nie mogę się do niego dostać, ale w wyjątkowej chwili pomysłowości ukryłem zapasowy klucz, kiedy się tu wprowadziłem. Obawiałem się, że zgubię klucze, ale nie przypuszczałem, że w taki sposób.

Wchodzę w dróżkę biegnącą wzdłuż garażu, gdzie przyczepiłem zapasowy klucz pod rynną. Otwieram furtkę na tylne podwórko, które jak na podmiejskie standardy jest dość małe, ale jak na miasto zupełnie wystarczające. Granice posesji porośnięte są krzakami, które na szczęście jakoś dają radę rosnąć same z siebie, bo nie mam pojęcia o tych sprawach. Z tyłu garażu jest obręcz do koszykówki i mały wybrukowany teren służący za miniboisko. Poza tym jest tu też plac zabaw dla dzieci, huśtawka i drabinki. Sądzę, że właśnie to spłoszyło Shelly. Równie dobrze mogłem jej się z miejsca oświadczyć.

To nie jest właściwy moment. Tak to ujęła.

Schodzę kilka stopni w dół ku drzwiom prowadzącym do piwnicy. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że nigdy nie sprawdzałem, czy mój dodatkowy klucz pasuje do tego zamka. Nigdy się nie przekonałem, czy to działa. Tak naprawdę to nawet nigdy nie otwierałem tych drzwi, odkąd wprowadziłem się tu w styczniu. Mam wielką nadzieję, że to właściwy klucz, bo jeśli nie, nie jest to zbyt dla mnie dobre, prawda? Można na parę sposobów otworzyć drzwi bez klucza, ale nie mam w tym doświadczenia. Jedyne rabunkiem, jaki kiedykolwiek popełniłem, jest wysyłanie rachunków moim klientom.

Przekręcam klucz i modłę się w myślach. Nic z tego. Nie,

pani Riley, pani syn jest tak roztrzepany jak zwykle. Może wygrać najtrudniejszą sprawę, ale nie należy mu powierzać żadnych nudnych, zwyczajnych zadań.

- Boże - mówię. - Niech to szlag!

Dochodzę do wniosku, że te drzwi pożałują, iż nie pozwalają mi wejść do domu. Biorę kamień z ogródka. Prawdopodobnie istnieje bezpieczniejszy i skuteczniejszy sposób, żeby to zrobić, ale moja głowa marzy tylko o poduszce, więc koniec końców - tak jak każdy przeciętny bejsbolista, którym też kiedyś byłem - biorę zamach i uderzam kamieniem w szybę jak najbliższej zamka.

- Cholera! - wrzeszczę. - Co za gówno!

Unoszę w górę ten surowy kotlet, którym się stała moja ręka. Między palce wbiły mi się odłamki szkła. Krew spływa po rękawie.

Miła nocka.

Wkładam rękę przez wybitą szybę i przesuwam rygiel. Próbuję skupić się na uczuciu, że nareszcie jestem w domu, i nie myśleć o kolejnym obowiązku, jaki sobie właśnie zafundowałem - wstawieniu nowej szyby w drzwiach. Wmawiają ci, jak świetnie zbudowane są te stare domy. Może to i świetne, jeśli chcesz przetrwać huragan, ale przygotuj się na częste naprawy w toalecie, nieustanne reperacje bojlera i szukanie skrzynki z bezpiecznikami w samym środku nocy. Nie po to chodziłem na studia prawnicze, żeby udawać złotą rączkę, ale by sobie na złotą rączkę pozwolić.

Piwnica jest ogromna. Wkrótce ma się stać miejscem wypoczynku, ze stołem bilardowym, tarczą do rzutek, barkiem i oczywiście wielkim telewizorem plazmowym. O ile kiedykolwiek dojdę do tego etapu, co pewnie nastąpi trochę wcześniej, niż zapanuje pokój na Bliskim Wschodzie. Stoi tu więcej niż tuzin pudeł do rozpakowywania, do których jeszcze nie dotarłem. Jediną rzeczą, którą urządziłem w tej piwnicy, jest coś, co czule nazywam Ścianą Burgosa. Wygląda jak szafka na trofea w szkole średniej, tyle tylko, że zamiast pro-

porczyków i medali jest tutaj broń, nabazgrane notatki, barbarzyńskie zdjęcia ofiar i szkice z sali sądowej.

Lokalne czasopismo, które dwa miesiące temu opublikowało artykuł, że kupiłem ten dom, poświęciło więcej czasu tym wszystkim rzeczom związanym z Burgosem niż całej reszcie posesji razem wziętej. To miał być błahy artykuł o tym, że ktoś kupił dom senatora Roche'a, ale zamiast tego był o facecie, który skazał Terry'ego Burgosa.

Po egzekucji Burgosa ci z nas, którzy doprowadzili go do celi śmierci, podzielili się przedmiotami. To były wszelkiego rodzaju fotografie i dokumenty ze śledztwa, a my rzuciliśmy się na nie jak rabusie po ogłoszeniu wyroku w sprawie Rodneya Kinga. Ponad tuzin członków ekipy ma co najmniej jeden z dowodów. Wydaje mi się, że niektóre z nich wylądowały na eBayu.

Ja miałem najwięcej szczęścia, bo nieoficjalnie uważano mnie za szefa ekipy w sprawie Burgosa. Mam oryginał notatki, którą napisał Terry, ze słowami tej głupiej piosenki, na których wzorował się, popełniając morderstwa. Mam też dwa jego zdjęcia, jak jest wprowadzany do sali sądowej i wyprowadzany z niej podczas procesu. Artykuł z „Time Magazine” z moim zdjęciem na okładce. Fotografię wanny, w której Burgos utopił Maureen Hollis. Skrypt z przesłuchania prowadzonego przez detektywa Joela Lightnera, podczas którego Terry sam się obciążył. A na centralnym i honorowym miejscu w całej tej aranżacji znajdują się dwa narzędzia zbrodni z arsenału Terry'ego Burgosa. Pierwszym z nich jest nóż, którego morderca użył do usunięcia serca Ellie Danzinger i podejrzenia gardła Angie Mornakowski - zwykły kuchenny nóż z pięciocalowym ostrzem. Drugim - maczeta, której Burgos nigdy nie użył.

Moja ulubiona. Mocna, długości dwudziestu sześciu cali, z utwardzanej stali resorowej.

Wzdycham przeciągle, z żalem. To były czasy. Uganianie się za złymi facetami, łączenie ze sobą ogniw, żeby rozwiązać

sprawę, picie piwa z gliniarzami, kiedy już było po wszystkim. Teraz jestem bogatszy, niż mi się kiedykolwiek śniło, gubernator mnie namawia, żebym został sędzią federalnym, a ja tęsknię za przeszłością. Tyle czasu zabierało ci wspinanie się w górę, że zapominasz, ile radości dawała ci droga na szczyt.

Odrywam kawałek kartonu z jednego z nierozpakowanych pudeł. Znajduję taśmę i najlepiej jak potrafię łamam dziurę w drzwiach do piwnicy. To nie rozwiązuje problemu, ale daje mi chwilowe poczucie ulgi. Teraz muszę zrobić to samo z moją głową i z ręką. Wybieram pewne szczególne lekarstwo, które aplikuje się w stożkowych kieliszkach, nie dbając o to, że jest już po trzeciej w nocy, i idę na górę.

17

Leo siedzi w kawiarni oparty plecami o ścianę. Nigdy nie odsłaniaj pleców. Wpatruje się w szybę wystawową i w drzwi. Udaje, że czyta gazetę, ale zerka ponad jej krawędzią, obserwując ulicę. Powieki ma ciężkie. Jego ruchy są powolne. Wtedy, na tej ulicy z Rileyem i z tą kobietą, było już późno w nocy, a właściwie to wcześniej rano.

Obserwuje każdą osobę wchodzącą do kawiarni. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Ale oni chcieliby właśnie tego, żeby tak myślał. Chcieliby go złapać, kiedy nie będzie się miał na baczności.

Nie doceniają go. Dobrze wie, że mogą być wszędzie, że każdy może się okazać jednym z nich.

Delikatnie dotyka brzucha, modląc się, żeby kwas żołądkowy znów się nie uwolnił, choć dobrze wie, że im większą ma na tym punkcie obsesję, tym bardziej prawdopodobny i silniejszy będzie atak bólu.

Młoda, szczupła kobieta o blond włosach, w bluzce bez

rękawów i w okularach słonecznych nasuniętych na czoło, popycha wózek z dzieckiem i trzyma w ręku butelkę zielonej herbaty. Siada w fotelu jakiś metr od Leo. Udaje, że zajmuje się maleństwem, ale odwraca głowę i spogląda w jego kierunku - przypadkiem, jakby od niechcienia. Zupełnie jakby to nie było celowe.

Porozmawiaj z tą kobietą. Sprawdź ją.

Próbuje. Niespecjalnie mu wychodzi. Jego wymowa nie jest zbyt dobra. Chce powiedzieć: „Jakie ładne dziecko”.

Kobieta odwraca się w jego stronę i uśmiecha się.

- Dziękuję. - Patrzy na Leo tak, jakby było jej go żal. - Nie dała mi dzisiaj spać przez całą noc.

Leo próbuje się uśmiechnąć. To była długa noc. W nocy myślę o mrocznych rzeczach. Spróbuj jeszcze raz: „Ile ona ma lat?”. To potrafi powiedzieć.

- Dziesięć miesięcy - odpowiada kobieta.

Mężczyzna przerywa kontakt wzrokowy, ale dostrzega jej reakcję. Widzi, jak kobieta podnosi dziecko i przytula do siebie.

Leo krzywi się, czując ukłucie w żołądku. Kobieta szybko wstaje i podchodzi do lady. Leo wygląda przez okno, w samą porę, żeby zobaczyć samochód Paula Riley'a wjeżdżający tyłem w alejkę. Auto skręca i znika za domem. Kobieta patrzy w jego kierunku, on udaje, że tego nie widzi, ale jest bystrzejszy od niej. Potrafi ją obserwować tak, żeby o tym nie wiedziała.

Wiem, że się na mnie gapisz, ty mała suko. Mógłbym ci wyrwać te oczy i nawet bym się nie spocił. Leo wkłada swoją bejsbolówkę i wychodzi z kawiarni. Odwraca się i spogląda za siebie. Kobieta gapi się na niego przez szybę, głaszcząc główkę dziecka. Złe dziecko. Lipne dziecko.

Biegiem rusza do samochodu. Pokonuje jakąś milę, a potem zawraca na ulicę, przy której mieszka Riley, wjeżdżając w nią od drugiej strony. Przez jakiś czas trzyma się na północ

od domu Paula, parkuje przy krawężniku, obserwuje lusterko wsteczne i boczne. Nic. Żadnego ruchu. Nic. Nikogo.

Podjeżdża do następnej przecznicy i parkuje. Ulica jest podobna do tej, przy której mieszka Riley. Drogie domy, wysokie furtki, niewielkie, wypiełgnowane ogrody, piękne trawniki. Wspaniałe posesje, wspaniali ludzie, promienni i szczęśliwi. Wyjmuje z bagażnika swoją sportową torbę, mija róg, skręca w kierunku ulicy, gdzie mieszka Paul, zatrzymuje się w połowie przecznicy i skręca w alejkę.

Dochodzi do wolno stojącego garażu Rileya i furtki prowadzącej na jego tylne podwórze. Używa kluczy Paula, które zdobył ubiegłej nocy. Pierwszy nie pasuje, drugi też nie, trzecim otwiera furtkę.

W patiu są przesuwane szklane drzwi, ale nie otwiera się ich kluczem. Nie. W dół po schodkach schodzi się do drzwi zamkniętych na klucz i prowadzących do piwnicy. Stoi u dołu schodów, pięć stóp poniżej poziomu gruntu. Jedna z szybek w drzwiach do piwnicy jest stłuczona i zastąpiona kawałkiem taśmy.

Leo wsuwa kolejny klucz do zamka. Pierwszy nie pasuje, ale drugi już tak. Wchodzi do środka ze swoją torbą. Dobrze. Dobrze.

Dwadzieścia minut później wyłania się z domu i zamyka za sobą drzwi na klucz, wdrapuje się po schodach i patrzy w wibrujące światłem słońce. Musi to przyznać. Tak. To miłe uczucie, miłe uczucie. Ale to broń, której oni używają. Ta pogoda, która zamienia wszystkich w uśmiechniętych, promiennych, szczęśliwych ludzi. Szczęśliwe, uśmiechnięte, promienne, niemające o niczym pojęcia roboty.

Potrafię żyć w waszym świecie. Potrafię żyć w waszym i w moim równocześnie. Taka jest różnica między wami a mną. Taka jest różnica między mną a Terrym.

Spokojnie maszeruje w stronę furtki. W alejce przyspiesza, jego rozbiegane oczy rozglądają się niespokojnie dookoła, bo to taki moment, kiedy jest miło, słonecznie i ciepło,

na świecie nie ma żadnych trosk... Zgadza się, na świecie nie ma żadnych trosk, a ja będę sobie gwizdać pod nosem, a wtedy wy przyjdziecie, przyjdziecie, kiedy nie będę się tego spodziewał...

Ale już jest na chodniku. Wrócić do samochodu. Bezpiecznie. Uruchomić silnik. Uspokój się teraz. Rytm serca wraca do normy. Leo robi ćwiczenia oddechowe. Włącz klimatyzację. Wdech, wydech. Chłodne powietrze na jego mokrej koszuli. Próbuje się uśmiechnąć. Przejeżdża obok kawiarni z czapką naciągniętą nisko na oczy, zagląda przez okno, szukając miejsca, gdzie siedział niespełna pół godziny temu. Kobieta z dzieckiem zniknęła.

Patrzy w lusterko wsteczne na samochody za nim. Szybko zjeżdża na pobocze, zmuszając inne pojazdy, żeby go wyminęły, a ich kierowców, by mu się pokazali. Jednak żadnego z wozów nie prowadzi szczupła blondynka z dzieckiem na tylnym siedzeniu. Ale to byłoby zbyt oczywiste. Oni tacy nie są. Czeka. Raz, dwa. Raz, dwa... Nie nadjeżdża żaden kolejny samochód, a on szybko zawraca. Skręca w pierwszą ulicę w lewo, potem w kolejną w lewo i w następną. Zatacza koło, cały czas wpatrując się we wsteczne lusterko. Wygląda na to, że wszystko w porządku. Ale żeby mieć pewność, powtarza to wszystko jeszcze dwa razy. Zaszedł tak daleko. Teraz nie ma powodu, żeby odpuścić.

Dziś w nocy będzie wiedział na pewno.

18

Jeremy Larrabee kończy przedstawiać krótkie streszczenie faktów związanych ze sprawą sędziemu Landisowi. Zakłada nogę na nogę. Jego klientka, Josefina Enríques, była asystentka w administracji jednej z podmiejskich fabryk łożysk Bentley Bearings, jest pięćdziesięciodwuletnią Latynoską, która

rok temu złożyła skargę pracowniczą w związku z zespołem cieśni nadgarstka. Trzy miesiące później została zwolniona przez mojego klienta Bentley Bearings. Pozew, który złożył w jej imieniu Jeremy Larrabee, obejmował oskarżenia o dyskryminację rasową, dyskryminację płci, dyskryminację ze względu na wiek i odwet za skargę pracowniczą. Adwokat powiadomił sąd, że będzie próbował przedstawić całą grupę pracowników, którzy kwalifikują się do tych kategorii. Sędzia Landis zwraca ku mnie zmęczone spojrzenie.

- Panie Riley?

Jestem zły z dwóch powodów. Po pierwsze, wciąż mnie dobija ból głowy po wczorajszym napadzie. Po drugie, wcale nie muszę tu być. Nadzoruję wszystkie procesy dotyczące firm Harlanda Bentleya, ale na co dzień nie zajmuję się szczegółami tych spraw. To zadanie partnerów pracujących pod moim kierownictwem w firmie. Jednak za każdym razem, kiedy sędzia zwołuje spotkanie w celu zawarcia ugody - tak jak zrobił dzisiaj sędzia Landis - wymaga to obecności „prawników procesowych”, czyli najważniejszych adwokatów każdej ze stron. No więc jestem.

A właściwie to jestem zły z trzech powodów, bo w dodatku moja zraniona duma boli mnie prawie tak samo mocno jak czaszka. Wciąż nie mogę uwierzyć, że wczoraj ta paniusia tak mnie wyrolowała. Parę razy zatrzepotała rzęsami i już byłem bezbronny.

- Och, jestem bardzo ciekaw, co na to pan Riley - mówi Jeremy Larrabee. Łączy nas długa historia niezbyt przyjaznych relacji, ale zawsze udaje mi się skopać mu tyłek. On zawsze okazuje emocje, dalej ma tego kucyka z lat sześćdziesiątych, na skórze blizny po trądziku, głęboko osadzone oczy i jaskrawo się ubiera. Dzisiaj włożył cytrynową koszulę, wściekle purpurowy krawat i czekoladową sportową kurtkę.

- Została zwolniona, bo robiła sobie dwugodzinne przerwy na lunch - mówię. -1 dlatego, że brała prysznic tylko raz w tygodniu. Nie damy wam złamanego centa.

Larrabee zaciska szczęki. Nad jego krzaczastymi brwiami pojawia się żyłka. Jest już po sześćdziesiątce i z tego, co słyszałem, właściwie odpuścił sobie sprawy karne. Wydaje mi się, że dał sobie z tym spokój wkrótce po tym, jak przegrał sprawę Burgosa. Teraz jest adwokatem w sprawach cywilnych, zajmuje się prawami obywatelskimi, co mu odpowiada. Ostatnio wiele czasu zajmuje mu pozywanie do sądu Bentley Bearings, jedną z firm podległych holdingowi Harlanda Bentleya - BentleyCo. Obecnie wniósł przeciwko nam aż jedenaście różnych pozwów. Jak do tej pory w żadnej z tych spraw nic mu nie zaferowaliśmy. Rosną mu opłaty i wydatki związane z tymi sprawami i czeka na jakieś pieniądze. Oczekuje ugody dotyczącej przynajmniej jednego z tych pozwów, żeby starczyło mu na opłacenie kosztów pozostałych spraw.

- Myślę, że dobrze by było, gdybym porozmawiał z każdym z panów osobno - mówi sędzia. - Zacznę od pana Rileya.

To powszechna taktyka podczas takich spotkań przedprocesowych. Sędzia próbuje porozmawiać z każdą ze stron osobno i nastraszyć ją, aby myślała, iż sprawa jest dla niej przegrana i lepiej jak najszybciej pójść na ugodę. Sędziowie zawsze próbują doprowadzić do ugody, żeby ich terminarze rozpraw nie były zbyt napięte. Ostatnią rzeczą, której chce sędzia Landis, jest wniosek o przesłuchanie całej grupy pracowników w takiej zaszrannej sprawie jak ta.

Jeremy stoi i niepewnie patrzy na mnie.

- Panie Riley - mówi i wychodzi.

Gdy zamyka za sobą drzwi, chowam twarz w dłoniach. Zostaliśmy tylko ja i Landis.

- Zauważyłem, że masz paskudnie stłuczoną głowę - mówi sędzia. - Twoja ręka chyba też wyglądała wcześniej lepiej?

- Powinieneś zobaczyć tego drugiego.

- A jak tam się miewa córka gubernatora?

Chodzi mu o Shelly. Patrzę na niego i nic nie mówię, ale wyraz twarzy mnie zdradza.

- Ach, to kiepsko... - Rozsiada się wygodnie w skórzanym fotelu. - Polubiłem ją. Miała w sobie prawdziwego... ducha.

- Ano miała.

- Jej strata. Hmmm... Słyszałem, że zajmujesz się sprawą senatora Almunda. Przykręcili mu śrubę?

- Gdyby przykręcili jeszcze bardziej, toby wybuchł - odpowiadam.

- No cóż, jeśli ktoś potrafi wyciągnąć królika z kapelusza... - Sędzia pokazuje głową na drzwi. - Ciekawe, że Larrabee ciągle pozywa tę firmę Harlanda Bentleya. To znaczy, biorąc pod uwagę całą tę historię...

Potrząsa głową, jakby nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

- Jakaś prywatna uraza czy coś w tym stylu?

Wzruszam ramionami.

- Jego klient zabił córkę Harlanda. Co on mógłby mieć przeciwko Harlandowi?

Sędzia Landis z determinacją bębni palcami w biurko. On też nie wie. Czy ktokolwiek może w ogóle przeniknąć zakamarki chaotycznego umysłu Jeremy'ego Larrabee?

- Słuchaj Paul, jeśli chodzi o tę sprawę...

- Ani centa, Danny - mówię. - Larrabee jest jak karaluch. Jak mu damy chociaż okruchy, to zacznie się rozmnażać.

Sędzia uderza dłońmi w swoje masywne biurko. Jego gabinet wygląda jak obwieszona trofeami chata myśliwska. Na podłodze leży niedźwiedzia skóra, a ściany zdobią głowy różnych zwierząt. Nie jestem myśliwym, ale parę razy grałem w golfa z Danielem Landisem. Jedyną rzeczą, na którą kiedykolwiek polowałem, była piłka golfowa firmy Titleist, która poleciała mu gdzieś do lasu.

Masuje swoje wydatne czoło, a potem grozi mi palcem.

- Zaproponujesz mi pieniądze, żeby się odczepił.

- Zaproponuję mu roczny zapas mydła dla jego klientki - mówię.

Ramiona sędziego trzęsą się ze śmiechu.

- I przypniemy jej do twarzy wór z obrokiem.

Twarz Landisa jest czerwona jak burak. Uśmiecha się.

- Przestań już - mówi i dodaje: - Dziesięć tysięcy. Twój klient tyle wydaje na jeden obiad. I z powrotem zatrudnicie tę kobietę.

- Dziesięć tysięcy czego? - pytam. - Dziesięć tysięcy zaty-czek do nosa dla ludzi, którzy muszą pracować w jej pobliżu?

To podoba się Danny'emu jeszcze bardziej. Jego śmiech przechodzi w kaszel. Macha na mnie ręką, żebym już wyszedł. Z czerwoną twarzą podnosi do góry dziesięć palców, gdy zamykam za sobą drzwi jego gabinetu.

Jeremy Larrabee siedzi na pustej sali sądowej i rozmawia przez komórkę. Wygląda na zaskoczonego, że mnie widzi.

- Już? - pyta, wyłączając telefon. Musi trochę popracować nad tą swoją miną pokerzysty. Liczył na coś ode mnie, na cokolwiek, a to, że spędziłem za drzwiami gabinetu około minuty, rozwiślało jego złudzenia.

Biorę moją marynarkę i aktówkę.

- Wychodzisz? - pyta.

- Tak.

Staram się okazywać prawnikom uprzejmość, ale ten facet próbuje naciągnąć jedną z firm Harlanda, a jego sprawy są wyssane z palca. Powinien zrozumieć, jak niewiele sobie z tego robię.

- Daj sędziemu minutę - mówię. - Wciąż jeszcze szlocha nad losem twojej klientki.

- Doprowadzę do przesłuchania innych pracowników - odpowiada. - Wtedy pogadamy.

Nie ma najmniejszej szansy, żeby Danny Landis dopuścił do przesłuchań innych pracowników w takiej sprawie. Jeremy powinien o tym wiedzieć. Dobry prawnik zna prawo, ale wspaniały prawnik zna sędziego.

- Słuchaj, Jeremy - mówię i robię krok w jego stronę. - Zrób sam sobie przysługę i wybierz inną firmę. Nie pójdzie-

my na żadną ugodę. To jednaście procesów i wszystkie przegrasz. Masz to jak w banku. Pomyśl o kosztach i podejmij rozsądną decyzję.

Jeszcze raz zastanawiam się nad pytaniem sędziego, dlaczego Jeremy uznał się na jedną z firm Harlanda. Próbuje się na mnie odegrać? Myślałem o tym od pierwszego pozwu, ale nigdy go o to nie zapytałem. Zresztą i tak by się do tego nie przyznał.

Odchodzę, ale woła jeszcze za mną:

- Chociaż koszty procesu.

To taka trzywyrazowa mantra każdego zdesperowanego prawnika. Procesowanie się w tej sprawie będzie cię kosztować ze sto tysięcy, więc odpal mi osiemdziesiąt i wszyscy będziemy do przodu. Jasne, Larrabee ma rację. Ten proces będzie kosztować Harlanda Bentleya ponad sto tysięcy. Na to właśnie liczy ten pasożyt - że firma zrezygnuje ze swoich zasad i wypłaci mu jakąś gotówkę, aby zaoszczędzić na adwokata w tej sprawie. Ale ma do czynienia z Harlandem Bentleyem. I ze mną.

- Pięć tysięcy - mówię, przypominając sobie prośbę sędziego i obcinając kwotę o połowę.

- Pięć tysięcy nie wystarczy nawet w przybliżeniu - stwierdza Larrabee. - Już same jej utracone zarobki...

- Miałem na myśli wszystkie jednaście spraw.

Pcham drzwi i wychodzę z sali sądowej.

McDermott spóźnia się o dwadzieścia minut do pracy, ale dochodzi do wniosku, że sam jest sobie winien, bo zasiedział się do późna w nocy, pracując nad sprawą Ciancia. Mija siedzącego za biurkiem sierżanta. Ten rzuca w jego stronę:

- Cześć, szefie.

McDermott krzywi usta i mruga w jego stronę. Mocno palona kawa z Dunkin Donuts w styropianowym kubku parzy go w rękę, ale mógłby się założyć, że zanim upije z niej pierwszy łyk, będzie już zimna.

- Dzień dobry, szefie. - Kopecky, inny detektyw, trąca go w ramię.

- Już dosyć tego pieprzonego „szefowania”.

McDermott mówi to na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli, ale prawdopodobnie to kiepski pomysł dać znać całej bandzie, że jest wkurzony. To ich tylko rozochoci. Stawia kawę na swym zagraconym biurku, którego połowę zajmuje nowy, drogi komputer firmy Dell. McDermott ledwie potrafi go używać.

- Hej, szefie, Streets i San znaleźli babkę w pojemniku na śmieci. - Tym razem to Collins, wielki Irlandczyk, podobnie jak McDermott. - Biorę ze sobą Kopecky'ego.

McDermott ogarnia wzrokiem gwarne pomieszczenie, patrzy na drzwi gabinetu porucznika, który musi mieć kiepski dzień. To dlatego Collins zwraca się z tym do niego.

- Dobra, Collins, dobra.

McDermott nie jest niczym szefem. Detektywi z Trzeciego Posterunku w Czwartym Okręgu odpowiadają przed porucznikiem Coglianese'em, który kiedyś miał swoje lepsze dni, a w każdym razie na pewno trzeźwiejsze. Minęły już cztery miesiące od śmierci jego żony, a odkąd wrócił ze stypy, gliniarze z Czwartego cały czas czują od niego alkohol. Już wcześniej - tak jak jego ojciec - miał parę razy kłopoty z butelką i ekipa z posterunku urządziła naradę, co z tym zrobić. Zwrócili się do starszego detektywa McDermotta, który zgodził się zajmować porucznikiem przez kolejnych sześć miesięcy, aż ten ukończy trzydzieści lat pracy i będzie mógł przejść na pełną emeryturę.

I bardzo to piękne, ale teraz McDermott ma na głowie sporą część pracy administracyjnej porucznika oraz własną papierkową robotę. I oczekuje się od niego, że w międzyczasie będzie też rozwiązywał sprawy kryminalne.

Patrzy na tablicę informacyjną i liczy, ile mają nierozwiązanych przestępstw z użyciem przemocy. Dziś pojawiają się następne - ta dziewczyna ze śmietnika jest pierwsza.

W Czwórcie interes się kręci. A w letnich miesiącach kręci się najlepiej. Od maja do września podwaja się liczba gwałtów i rabunków. Trzykrotnie częściej zdarzają się strzelaniny między gangami. Niektórzy mówią, że to z powodu upału i jego wpływu na emocje. McDermott uważa jednak, że to dlatego, iż tak długo jest widno. Ci z gangów mają więcej czasu, aby krzywo na siebie patrzeć.

- Collins - mówi, zdejmując wieczko ze swojej kawy i wdychając jej bogaty aromat - gdzie znaleźli tę babkę?

Pyta dlatego, że trzy tygodnie temu na Venice Avenue snajper z gangu otworzył ogień, raniąc co najmniej ośmiu policjantów i detektywów. Zmieniło się to w prawdziwy szturm na osiedle Andujar. Od tego czasu większość detektywów - tak jak policjanci z patroli - zaczęła nosić kamizelki kuloodporne.

Okazało się, że snajperem był jedenastoletni dzieciak z karabinem kalibru 30,06.

- We wschodniej dzielnicy. - Collins wiesza sobie kami zerkę na szyi. - Przy LeBaron i Dillard.

LeBaron i Dillard. To całkiem niezłe okolice, więc nie trzeba wysyłać posiłków.

- To mój rejon - mówi McDermott. - Zróbcie z tym porządek.

19

Po powrocie do biura jestem już przekonany, że cała armia małych gnomów zagnieździła mi się w głowie i kuje kilofami mój mózg w poszukiwaniu złota. O dziesiątej, czyli za osiemnaście cennych minut, mam spotkanie z dwunastoma partnerami i współpracownikami, którzy teraz czekają w sali konferencyjnej na comiesięczny briefing dotyczący wszystkich spraw związanych z BentleyCo i firm podległych tej korporacji.

Kiedy sprawdzałem ostatnim razem, mieliśmy sześćdziesiąt dziewięć otwartych spraw. To będzie długie spotkanie. Wczoraj poprosiłem wszystkich o sporządzenie streszczeń, żebym nie szedł na tym zebraniu na żywioł. Tyle tylko, że prawdopodobnie powinienem je przeczytać.

Mijam dwie dziewczyny rozmawiające przed biurem. Zwracają się do mnie „panie Riley”, co oznacza, że prawdopodobnie należą do grupy „letnich wspólników” - studentów drugiego roku prawa z najlepszych szkół w całym kraju, którzy spędzają lato na praktykach w firmie. W rzeczywistości oznacza to, że prawie codziennie są zabierani na drogie, dwugodzinne lunchy, a wieczorami pełnią firmowe obowiązki, takie jak chodzenie na mecze bejsbolowe, przyjęcia czy przejażdżki jachtem - a wszystko to na koszt firmy. I to oczywiście firma stara się ich zdobyć, a nie na odwrót. Każdy z członków dziesięcioosobowej grupy „letnich wspólników” w Shaker, Riley & Flemming dostanie propozycję zostania pełnoprawnym wspólnikiem z chwilą ukończenia studiów, chyba że zrobi coś niewiarygodnie głupiego, na przykład będzie po godzinach uprawiać na biurku seks z praktykantkami. Używam tego przykładu, bo w zeszłym roku pewien dzielnik, z referencjami Uniwersytetu Columbia, naprawdę to zrobił po wcześniejszym przyjęciu w jakimś muzeum.

Mijam boks, w którym moja asystentka Betty pisze na komputerze. Betty to królowa tej firmy, czyli asystentka starszego wspólnika. Jest ze mną od czasów, gdy byłem prokuratorem okręgowym. Mój związek z nią trwa dłużej niż jakikolwiek inny w moim życiu - może z wyjątkiem tego z moją córką, jeśli już się uprzemy, żeby nazywać to związkiem.

- Dzień dobry, Bettino - mówię.

Przeżyłem razem z Betty jej i mój rozwód, jej ponowne małżeństwo i moje zatwardziałe trwanie w stanie kawalerskim. Pracowaliśmy razem już w naszym pierwszym lokalu na River Drive, w którym zatrudnione było tylko osiem osób, i pracujemy teraz, w naszym nowym miejscu, w naszym pa-

łacu, któremu - jak mawia moja asystentka - „brakuje uroku”. Berty nie należy do osób nieśmiałych, kiedy trzeba wyrazić własną opinię. Jest twardą kobietą, która dorastała ze zdrową podejrzliwością wobec wszystkiego co ludzkie, a to sprawia, że całkiem niezłe do siebie pasujemy.

- Paulino - mówi, nie zwalniając tempa pisania na komputerze, ale zniża głos do szeptu. Nie lubi, jak używam jej pełnego imienia, i dlatego właśnie to robię, a ona z reguły reaguje, przekręcając moje imię na kobiecą formę. Nie zrobiłaby tego jednak w obecności innych, bo to by oznaczało brak szacunku dla szefa. A ona żąda traktowania z największym szacunkiem zarówno siebie, jak i mnie. Tworzymy ze spół, a zespół publicznie trzyma się razem. To zupełnie tak jak z Vitem Corleone, który nie tolerowałby sporów w rodzinie w obecności obcych. Trafna analogia, chociaż czasami się zastanawiam, które z nas jest ojcem chrzestnym.

Idzie za mną do mojego gabinetu.

- Nie podpisałeś tej kartki dla sędziego Bensona - mówi. - Teraz upominek nie dotrze na czas. I nie mów, że ci nie przypomniałam, bo przypomniałam.

- W porządku. Nic nie mówię.

Wieszam marynarkę za drzwiami i rozglądam się, szukając tego upominku. Betty śledzi urodziny sędziów, polityków i - co najważniejsze - klientów. Kupuje im drobne upominki i kartki z życzeniami, które daje mi do podpisu. Najlepszym sposobem na rozreklamowanie się wśród klientów są takie drobne rzeczy, które przypominają im o twoim istnieniu. Kartki z okazji urodzin i na święta, regularne listy o stanie sprawy, o ile jakaś jest w toku. Klienci pragną, żeby im poświęcać uwagę. Betty pilnuje, by dostawali ode mnie to, czego chcą.

Moje biurko nadaje nowy sens określeniu „zorganizowany chaos”. Chaos, bo mam starokawalerski nawyk, żeby wszędzie pozostawiać porozrzucane papiery, a zorganizowany, bo Betty zjawia się tu codziennie rano, zaraz po przyjsciu do

pracy, i sortuje to wszystko w stosy. Właściwie nie można by tego określić porządkiem, ale nie ma też jakiegoś kompletnego bałaganu. Uświadamiam sobie, że asystentka wciąż stoi koło mojego biurka z rękami opartymi na biodrach. Kto jej nie zna, mógłby pomyśleć, że jest dość nijaka: niska kobieta o szerokich biodrach, pulchnej twarzy i włosach ciasno upiętych w koczek - czy jak tam nazywają koczek w dzisiejszych czasach. Betty jest cztery lata starsza ode mnie, czyli ma pięćdziesiąt pięć lat, ale z reguły mówi do mnie tak, jakbym był jej synem.

- Wciąż czekam na ten upominek.

Synem, który budzi w niej dezaprobatę. Zaczynam się rozglądać, szukając tego czegoś, co mam dać w prezencie Gordy'emu Bensonowi. Sprawdzam w dużych teczkach opartych o ścianę i w szufladach mojego starego biurka. Nie mam bladego pojęcia, co jest obiektem moich poszukiwań, co dość komplikuje sprawę, ale nie chcę, żeby Betty to widziała. Wszyscy w naszej firmie bardziej boją się jej niż mnie.

- Masz spotkanie z tą grupą - przypomina mi, przeglądając mój terminarz.

- Racja. Ale za parę minut.

Dotykam tyłu głowy w miejscu, gdzie zostałem uderzony. Prawdopodobnie przydałyby mi się szwy, ale nie cierpię takich rzeczy. Pewnie będę to odkładał tak długo, aż wda się jakaś infekcja, i dopiero wtedy zacznę się zastanawiać, czy może jednak coś z tym zrobić.

- Kiepsko wyglądasz - informuje mnie Betty.

- Pochlebstwami nic nie osiągniesz. - Podnoszę stos kopert. - Już tyle pocztu?

- To wczorajsza poczta.

- O rany!

Odkładam koperty i pocieram skronie, zdając sobie sprawę z pełnego dezaprobaty spojrzenia, jakie rzuca mi asystentka.

- Daj mi aspirynę, Betty. Twój szef potrzebuje aspiryny.

Gdy wyczuwam kompletny brak reakcji, podnoszę na nią

wzrok. Stoi z założonymi rękami, **jedną stopą niecierpliwie** tupiąc o dywan.

- No co, o co ci chodzi?
- Prezent - rzuca. -1 kartka.
- Dobrze, już dobrze.
- Nie pamiętasz, jaki to prezent, prawda?
- Oczywiście, że pamiętam - mówię, zapadając się w fotel. - To była piłka do koszykówki, podpisana przez drużynę Boston Celtics z 1984 roku, po tym jak pokonali Lakersów w play off. Bird, Parish, McHale, Johnson, Maxwell, Ainge, Henderson...

Betty marszczy brwi.

- To pinot noire z Willamette Valley.
- Właśnie miałem to powiedzieć.

Unosi brwi.

- No i gdzie jest to wino?
- Parę dni temu wypiliśmy je z Lightnerem.

Kiwa głową i grozi mi ręką. Zamiast wyjść, zatrzymuje się, przez chwilę się nad czymś zastanawia, odwraca się i patrzy na mnie.

- Zadam ci pewne pytanie. I oczekuję szczerzej odpowiedzi.

- Dzięki za słowa otuchy.

Przekopuję szuflady biurka, szukając tabletek przeciwbólowych. Znów ciężkie milczenie mojej asystentki, co oznacza, że chce, abym zwrócił na nią uwagę.

- No pytaj, Betty, pytaj wreszcie. To napięcie mnie dobija.
- Powinieneś iść do domu i się przespać.
- To nie pytanie. To opinia.

No i proszę, fiolka exceedrinu. Wytrząsam cztery tabletki i polykam bez popicia, a dopiero później przypominam sobie, że mam butelkę wody w mojej prywatnej lodówce jakiś metr ode mnie.

- Ile to już dni, odkąd ty i Shelly ze sobą zerwaliście? - pyta Betty. - Tylko mi nie wmawiaj, że nie wiesz.

Wzruszam ramionami.

- Chyba ze dwa miesiące.

Unosi brwi.

- Sześćdziesiąt trzy dni - przyznaję.

- I czy z tych sześćdziesięciu trzech dni możesz przypomnieć sobie chociaż jeden, kiedy nie piłeś?

- Już wykorzystałaś swoje jedno pytanie. - Jednym haustem połykam pół butelki wody, a potem przyciskam zimny, pokryty rosą plastik do policzka. - Nie jesteś moją matką, Bettino, tylko asystentką. Więc proszę, asystuj mi.

Jerry Lazarus, jeden z młodszych wspólników w firmie, zagląda do mojego gabinetu.

- Mogę wam przeszkodzić?

- O, proszę bardzo, Laz. Dzięki Bogu, wchodź.

Betty opuszcza mój gabinet, obrzucając mnie spojrzeniem, które zamroziłoby słońce.

- Już jesteśmy gotowi ze sprawą Lysingera. Nasi adwokaci na miejscu są gotowi znaleźć sędziego. - Lazarus pokazuje ruchem głowy na moje biurko. - Czytałeś streszczenie?

- Aaa... Nie - przyznaję, kartkując mały stosik na moim biurku. Jednym z wielu przedsiębiorstw należących do korporacji Harlanda jest firma Bentley Manufacturing, produkująca sprzęt przemysłowy dla knajp z fast foodami. Sieć restauracji z Teksasu zamierza zerwać kontrakt, więc chcemy ich uprzędzić i uzyskać nakaz sądowy, który im na to nie pozwoli. Bla, bla, bla... Sprawy cywilne są do dupy.

Znajduję streszczenie i macham nim Lazarusowi.

- Jak bardzo się różni od poprzedniej wersji?

- Niewiele - mówi Jerry. - Dodaliśmy parę zarzutów.

- Kto się tym zajmował?

- Lance. - Jerry kiwa głową. - Ale przeglądałem to. Wygląda nieźle.

Jeden z naszych wspólników, który pilnuje tych spraw, sporządził tę wersję i prawdopodobnie przesiedział nad tym całą noc. Później mój młodszy partner Jerry dokładnie to

przejrzał. A teraz ja, odkrywca (bo to ja znalazłem klienta), jeszcze raz wszystko przejrzę, zanim to wyślemy. A Harland Bentley z radością zapłaci rachunek za tę całą powielaną pracę. Sprawy cywilne są jednak cudowne.

- Gramy jutro w kosza? - pytam Jeny'ego. Grywamy regularnie w każdą środę w porze lunchu. Wzrusza ramionami.

- Nie jestem tego pewien, szefie. Trochę się martwię.

- Martwisz się? Żona ci nie pozwala.

- Martwię się - odpowiada - bo jeśli dalej będę ci sprawać takie lanie, to moja przyszłość tutaj zacznie wyglądać niepewnie. Myślę, że twój ochraniacz na jaja wciąż jeszcze leży na boisku.

- Słuchaj, Lazarus. - Dopijam wodę i z satysfakcją cmokam ustami. - Gdybyś potrafił grać choć w połowie tak dobrze, jak opowiadasz pierdoły, to czasami może udałoby ci się trafić do kosza.

Zbywam go machnięciem ręki.

- A teraz idź, popraktuj trochę prawo. Albo poćwicz wrzuty. W każdym razie zrób coś, co sprawi, że znikniesz z mojego gabinetu.

- Widzimy się za jakieś pięć minut - odpowiada Laz.

No tak, cholera, muszę iść na to spotkanie. Doszedłem już w mojej karierze do takiego punktu, że dziewięćdziesiąt procent mojej pracy to nadzorowanie innych. Zatrudnieni u mnie prawnicy są bardziej niż kompetentni. Pomagam im w planowaniu strategii, ale nie jest to tak skomplikowane jak technika raketowa. Przychodzę na najważniejsze rozprawy, najważniejsze przesłuchania i pojawiając się w tych wyjątkowo rzadkich przypadkach, kiedy się procesujemy, ale tak właściwie jedyną rzeczą, która wciąż dotyczy mnie osobiście, są sprawy karne.

Szybko przeglądam pocztę. Większość to oczywiście różne bzdury i prośby o pieniądze od fundacji charytatywnych. Odkładam listy z prośbami o finansowanie na jedną stronę,

bo mamy komisję decydującą o tym, gdzie kierujemy nasze pieniądze. Mamy komisje od wszystkiego.

No i jest jeszcze jeden list z odręcznie napisanym adresem. Ogólnie wygląda na ten sam charakter pisma, to samo grube wieczne pióro. I znów miejscowy znaczek. Odwracam kopertę do góry nogami, aby pismo wypadło na biurko. Z jakiegoś powodu otwieram je ostrożnie, dotykając tylko rogu kartki:

Boleję i odejdę. Rozpacz echem drży, rozrywa. Uczucia grają, ale zapamiętałe wołam. Radość oczyszczenia trudna. Kolejny emisariusz cierpi zawsze. Ale sama wiedza, rozumienie oczekują bezwarunkowej i czulej akceptacji. Lecz bezwarunkowa absolutna nostalgia echem grzmi. Odejdę.

Śmieję się, choć się czuję nieswojo. Nie mam żadnych wątpliwości, że to ten sam charakter pisma, co w poprzednim liście. Ten gość przyprawia mnie o gęsią skórkę. To chyba rocznica morderstw Burgosa. O to mu chodzi? *Rozpacz echem drży, rozrywa. Uczucia grają, ale zapamiętałe wołam. Radość oczyszczenia trudna.* Kim, u diabła, jest ten facet?

Wyciągam dla porównania poprzedni list, który sobie zatrzymałem:

Zło nowe oto widzę. U pogan oczywiście te rzeczy, znane efekty, będą niezbyt adekwatne. Misterna intuicja. Pana odpowiedź musi okazać cel.

No tak. Ten sam precyzyjny charakter pisma. Te same porąbane, pseudoreligijne, uduchowione brednie. A poza tym brzmi to znajomo, tylko że nie potrafię tego skojarzyć.

Brzęczy mój interkom.

- Tak, Betty?
- Pan Bentley do pana.
- Jasne.

Betty przekierowuje rozmowę, a ja podnoszę słuchawkę. To asystent Harlanda - to znaczy jeden z nich, bo ma ich trzech - pyta, czy mogę się z nim spotkać dziś wieczorem. Zgadzam się i chcę poznać szczegóły, nie pytając, dlaczego Harland nie może się ze mną spotkać osobiście.

Gdy odkładam słuchawkę, zauważam mruganie światelka automatycznej sekretarki. Pierwsza wiadomość jest od tej reporterki Evelyn Pendry, która po raz kolejny mnie informuje, że chciałaby porozmawiać. Gdy odsłuchuję drugą wiadomość, wstrzymuję oddech. To głos mojej ukochanej, mojej jedynej. Mówi szeptem. W tle dobiegają odgłosy z biura:

- Myślę, że moglibyśmy porozmawiać - oświadcza Shelly cichym, dość oficjalnym głosem. - Miejsce i czas to samo jak zwykle?

Widzisz, najważniejsze jest to, żeby jakoś sobie radzić, jakoś to ciągnąć, żyć w ich świecie, udawać, że widzisz tylko to, co oni wszyscy. Podejdz do sprzedawcy hot dogów i zamów jednego - tak jak ktokolwiek. Zjedz go, napij się wody, wystaw twarz do słońca, jakby sprawiało ci to przyjemność.

Oto i on.

Pojawia się w obrotowych drzwiach, bez aktówki. Sprężystym krokiem energicznie pokonuje schody. Wspaniały Paul Riley. Człowiek, któremu przypisuje się zasługę powstrzymania Terry'ego.

Leo rzuca hot doga do kosza na śmieci, pociąga łyk wody z butelki, ją też wyrzuca, idzie pieszo za Rileyem, przechodząc z ciepłego, słonecznego miejsca w cienie drapaczy chmur. Unosi wzrok w kierunku dachów, ale oni się nie pokazują.

Spacer nie trwa zbyt długo. Paul mija cztery przecznice, dwie na północ i dwie na wschód, po czym wchodzi do Dunstworth, jednego ze starych, stylowych hoteli w mieście. Leo zatrzymuje się niedaleko wejścia, pamiętając o tym, żeby nie wchodzić do środka zaraz po Rileyu.

Dokąd on idzie?

Leo nie wie. I tak nie ma sensu śledzić Riley'a w środku. Leo nie może nic zrobić. Powinien zadbać o swoje bezpieczeństwo. Nie ma powodu do zmartwień. Przeczekać to. To nie potrwa długo.

Znów czuje gwałtowny atak bólu. Dotyka dłonią brzucha. To wszystko, co może zrobić, żeby nie zwinąć się z bólu. Hot dog nie pomógł, ale kiedy Leo jest zmęczony, musi jeść więcej. A teraz jest bardzo zmęczony. Podekscytowany, ale wyczerpany.

Minutę później pod hotel zajeżdża taksówka. Leo reaguje z opóźnieniem, ale tak, zgadza się. To ona. Ta sama, którą widział u niego na zdjęciach.

Nazywa się Shelly Trotter.

20

Shelly stoi naprzeciwko mnie w windzie. Plecy mamy oparte o przeciwległe ściany. Rozdziela nas dobrze ubrana starsza para. Dwoje zamożnych gości hotelu Dunstworth. Na chwilę nasze spojrzenia się spotykają, ale rozgrywamy to na chłodno, jakbyśmy wcale się nie znali. Moje ciało ogarnia chaos, czuję pulsującą adrenalinę. Nagle ból głowy przeszedł do historii.

Wychodzi pierwsza, idzie do apartamentu i wsuwa w zamek kartę magnetyczną. Przytrzymuje drzwi, ale ja wciąż stoję, podczas gdy ona wchodzi i zwraca ku mnie twarz. Jej zaciśnięte szczęki można by błędnie zinterpretować jako oznakę pożądania, pierwotną żądzę, ale wyczuwam też jej niezdecydowanie. A nawet jakiś wewnętrzny konflikt.

Zaczyna rozpinąć guziki bluzki. Postępuje o krok do przodu, ale nagle moje eleganckie buty wrastają w dywan. Rozglądam się po luksusowym apartamencie, wdycham jej

zapach wraz z antyseptyczną wonią świeżo posprzątanego pokoju.

- Co my tu robimy? - pytam.

Powoli kręci głową, nadal się rozbierając. Jej bluzka się rozsuwa, ukazując bladą, pokrytą piegami skórę i lawendowy biustonosz. Ona też nie wie.

Być może to wszystko, co pragnąłem zobaczyć. Chociażby najmniejszą szczelinę w jej zbroi. Zbliżam się, a ona się cofa, zrzucając buty na obcasach. Bielizna Shelly opada na dywan. Pozwala mi dokończyć, rozpinam stanik i opuszczam usta w zagięcie jej szyi, kładąc Shelly na łóżku. Jej skóra smakuje solą i pachnie owocami. Dotykam językiem skóry na żebrach, całuję pępek, prowokując ją. Przebijam się przez lęk ściskający moje serce, wiedząc, że pragnę tego bardziej niż ona.

Oboje zachowujemy się niepewnie, po omacku próbujemy wyczuć granicę czegoś bliskiego i intymnego. To jak szalona jazda roller coasterem aż do chwili, gdy ona czuje mnie w sobie, odpowiadając cichym jękiem. Patrzę w jej oczy, a ona odwraca wzrok. Ciało Shelly nieruchomieje, dziewczyna pozwala mi przejąć inicjatywę. Palcem rysuję po jej twarzy. Zamyka oczy, ale nie potrafię nic wyczytać z twarzy kochanki. Zbliżam usta do jej ust, smakując błyszczący do warg, ale wargi Shelly pozostają zamknięte.

To źle, wiem o tym. Daję coś, a ona tego nie przyjmuje. Ale nie przestaję. Mocno chwytam jej włosy i poruszam się coraz szybciej, zamykając oczy tak jak ona, uciekając w coś odległego i wściekłego. I na koniec wstrzymując oddech.

Natychmiast się odsuwam, wstaję i wciągam spodnie. Mijam Shelly i podchodzę do okna od strony ulicy. Chodniki są pełne ludzi uciekających na lunch, żeby się nacieszyć piękną pogodą.

- To było miłe - mówi. - Ja...

Zapinam koszulę, wpatrując się w słabe odbicie mojej twarzy w okiennej szybie. Czuję, jak podchodzi do mnie od

tyłu, kładzie mi dłoń na ramieniu i opiera podbródek na moich plecach.

Nie kończy tej myśli, a ja jej w tym nie pomagam. Właściwie to takie niedokończone zdanie najlepiej podsumowuje nasz związek.

- To nie było miłe - mówię. - Czułem się, jakby to miał być jakiś prezent.

Powoli przesuwa palce po moich plecach.

- Chcę, żeby nam się udało...

Zamykam oczy i opieram czoło o szybę. Serce wali mi w piersi, uginają się pode mną kolana.

- Ale? - pytam.

- Ale to musi się dzieć powoli.

- Zawsze mówiłem, że nie mam nic przeciwko temu, żeby było powoli.

- Nie, Paul. - Śmieje się cicho. - Przeprowadziłeś się ze swojego mieszkania do domku jednorodzinnego. A ta „przypadkowa przechadzka” przed sklepem jubilerskim? Pamiętasz to?

Ja też się śmieję, czując, jak schodzi ze mnie nabrzmiewające od dwóch miesięcy napięcie. Zamykam ją w swoich ramionach. Pasuje do nich, tak jakby nigdy nie odeszła. Wdycham znajomy zapach włosów i rozkoszuję się kształtem jej głowy, uświadamiając sobie, że znów ma mnie w garści: wzruszonego, odkrytego, podnieconego i pochłoniętego tym wszystkim bez reszty.

Paul Riley i Shelly Trotter żegnają się przed hotelem Dunstworth uściskiem ręki, bez pocałunku. Kobieta wsiada do taksówki, podczas gdy Paul obserwuje ją z błyskiem w oku. Tak! Leo to widzi. Riley czuje coś do tej kobiety.

Tak, to może być pomocne.

Leo nasuwa głębiej na oczy swoją bejsbolówkę i odchodzi. Już czas przygotować się na dzisiejszą noc.

21

Mniej więcej wpół do ósmej docieram do Gali, nowego lokalu otwartego jakiś miesiąc temu. Przed drzwiami stoi już kolejka, ale podchodzę do bramkarza, cudzoziemca rozmia-
rów mniej więcej dwóch normalnych mężczyzn, i podaję mu swoje nazwisko. Ku zdumieniu około dwudziestu modnie odzianych ludzi stojących na chodniku od razu wchodzę do środka.

A wszystko tylko dlatego, że użyłem dwóch magicznych słów: „Harland Bentley”.

Jestem w garniturze i pod krawatem, czyli czegoś mi brakuje. Albo mam czegoś za dużo, albo za mało. Jakoś tu nie pasuję. Na dole jest restauracja pełna gości. Lokal serwuje kuchnię „azjatycka fuzja”, cokolwiek to, u diabła, oznacza. Kelnerzy i kelnerki ubrani są na czarno, noszą dżinsy i T-shirty. Grają tu jakąś mieszankę popu i muzyki tanecznej. Fuzja popu i muzyki tanecznej? Tyle tylko, że nie przypominam sobie, żeby w ostatnich dziesięciu, dwudziestu latach ktoś określał to jako disco. Według mnie istnieją tylko dwa rodzaje muzyki: jazz i... wszystko inne. W dzisiejszych czasach ważniejsze jest, jak się prezentujesz na klipach, niż to, czy dobrze śpiewasz. I tak nikt nie odkrywa już nowej muzyki. Potrafią tylko tworzyć niezbyt subtelne wariacje jakiegoś starego stylu i nadawać temu nowe nazwy.

Podaję swoje nazwisko innemu facetowi, jeszcze większemu niż pierwszy, który stoi przy schodach prowadzących do baru. Po drodze mijam plakat obwieszczający, że dziś odbywa się *coming out* jakiegoś wielkiego nowego artysty. Postanawiam się nie dopytywać, co to takiego ten *coming out*. Mijam dwóch mężczyzn ubranych w golfy: jednego z kucykiem, drugiego łysego, którzy z wyrazem bolesnego znudzenia na twarzach schodzą w dół po schodach. Muzyka na górze jest... no cóż... czymś w stylu dawnego disco. Wszelkiego rodzaju komputerowe dźwięki, natarczywy rytm, dudniące basy. Nie

mogę uwierzyć, że ludzie słuchają tego gówna. Oświetlenia prawie nie ma, ale większość osób stłoczona jest niedaleko środka pomieszczenia wokół człowieka, który... tak, tak, też jest ubrany w golf. Domyślam się, że to ten artysta. Chyba powinienem mu powiedzieć, że na zewnątrz jest ponad dwadzieścia stopni.

Zerkam w kierunku baru, zastanawiając się przez chwilę, czy nie napić się martini, gdy słyszę, że ktoś wypowiada moje nazwisko. To Harland z jakąś Azjatką uwieszoną na jego ramieniu, prawie tak wysoką jak on sam i chudą jak tyzka. Dałbym jej co najwyżej dwadzieścia trzy lata.

- Liso, to jest Paul Riley.

Ujmuję jej wypielegnowaną dłoń i przez chwilę podziwiam zmysłowy krój sukni. O rany! Ten facet zmienia kobiety tak szybko, jak ja potrafię pić wódkę.

- Naprawdę powinienes poznać Ravena - mówi do mnie.

- Nie mogę się doczekać - odpowiadam, choć nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

Macha na kogoś ręką i uświadamiam sobie, że „Raven” to ten artysta. Najwyraźniej skinięcie ręką Harlanda sporo tutaj znaczy, bo zanim zdążyłem policzyć do trzech, Raven już stał przed Harlandem, składając obie ręce i kłaniając się. Ma wyraźny przedziałek i nastroszone włosy, twarz pociągłą i delikatną. Jeśli ten facet nie dostawał codziennie lania w dzieciństwie, to moja matka nie wychowała mnie na irlandzkiego katolika.

- Ravenie - mówi Harland, starając się przekrzykować muzykę - to mój przyjaciel Paul. Paul, Raven jest jednym z najwybitniejszych artystów postmodernizmu. Minie wiele lat, zanim znów pojawi się ktoś taki.

Ściskam mu dłoń, próbując rozszyfrować w nikłym świetle, czy mężczyzna ma oczy podkreślone kredką, czy ktoś mu je podbił. Jeśli naprawdę ma na imię Raven, to zapewne zachodzi ta druga ewentualność.

- Wydawało mi się, że w sztuce postmodernistycznej

chodzi o odrzucenie koncepcji tworzenia czegoś wybitnego - mówię z wielką satysfakcją, pochylając się ku niemu. Gdzieś to przeczytałem.

Raven mnie nie słyszy albo tylko udaje. Harlanda bawi cała ta sytuacja i szepcze coś do Lisy, prosząc ją chyba, żeby zostawiła nas samych. Całuje jej dłoń i zwraca się w moim kierunku.

- Możemy? - pyta. Wygląda na to, że Lisa będzie musiała sama o siebie zadbać. Myślę, że świetnie sobie poradzi. Jest tu pełno mężczyzn, którzy będą uszczęśliwieni, mogąc się nią zająć, i taka masa nielegalnych narkotyków, że starczyłoby na solidne wsparcie dla południowoamerykańskiego dyktatora.

Harland mógł się spotkać ze mną na dole, zamiast czekać, ■ aż wejdę na górę, by z nim porozmawiać. Nie sądzę, że sprowadził mnie tu po to, abym poznał jakiegoś artystę o nieokreślonej płci. Nie. Chodzi raczej o to, że zawsze to ty przychodzisz do Harlanda, nawet jeśli spotykasz się z nim na neutralnym gruncie. A może po prostu chce, bym zobaczył, jaki jest ważny. Jak harcuje sobie z tą piękną elitą, w przeważającej części o połowę młodszą od niego. No i oczywiście jego najnowszą laleczkę. To nic nowego, że ma kasę. I kobiety. Ale musi jeszcze być mecenasem sztuki, z najnowszą supermodelką uwieszoną na ramieniu. Jest chodzącym stereotypem. To niemal smutne.

Niemal.

Jego pojawienie się na dole budzi dziki entuzjizm personelu. Wielu ludzi niezobowiązująco, ze znużeniem kiwa mi głową, gdy zdają sobie sprawę, że jestem tylko jakimś prawnikiem, a nie gwiazdorem filmowym czy artystą. Pamiętam obrazek domu, który namalowałem w trzeciej klasie. Wydało mi się, że jest całkiem niezły. Siostra Virginia tylko raz rzuciła na niego okiem i powiedziała, że powinienem zostać prawnikiem.

Hostessa zabiera moją aktówkę, zanim zdążyłem sobie

przypomnieć, że w środku są wszystkie notatki. Mam całą teczkę z raportami o każdej sprawie, jaką moja kancelaria prowadzi dla BentleyCo i podległych jej firm. Kiedy przychodzisz do Harlanda, musisz być dobrze przygotowany. Podawanie mu najnowszych wiadomości przypomina trochę sokratyczny dyskurs w szkole prawniczej, kiedy szukasz w głowie odpowiedzi, a profesor zarzuca cię pytaniami, na które nie da się odpowiedzieć. Ten facet nadzoruje operacje dziesiątków firm na całym świecie i wciąż zna wszystkie szczegóły każdej sprawy sądowej.

Zajmujemy miejsca przy zarezerwowanym dla nas narożnym stoliku. Wchodzi się tam po stopniu, dzięki któremu siedzimy stosownie wyżej niż wszyscy. Do stolika galopuje kelner z jakimś zwojem, pewnie menu. Ale ja już wiem, że Harland i tak zamówi coś, czego nie ma w karcie.

Charakter Harlanda najlepiej oddaje słowo surowy. Ten gość nie wie, co to kompromis. Stalowy uścisk dłoni. Włosy krótko przystryżone, prawie na jeża. Oczy małe i ruchliwe, spojrzenie drapieżne, jakby ciągle czekał na okazję, aby się sprawdzić. Wydaje się, że zawsze ma zaciśnięte szczęki. Wkłada bardzo mocno wykrochmalone koszule. Nosi najlepsze ubrania, jakie w życiu widziałem, chociaż sam też staram się przyzwoicie ubierać. Ten człowiek nigdy nie był w wojsku, ale zorganizowany jest na modłę wojskową. Codziennie wstaje o piątej rano, przepływa pół mili w swoim basenie (latem w odkrytym), potem je zdrowe śniadanie i kwadrans po siódmej pojawia się w biurze. Gdybym dostawał dziesięć centów za każdą wiadomość głosową od Harlanda z siódmej rano tego samego dnia, byłbym bardzo bogaty.

W każdym razie jeszcze bogatszy.

- Dzięki, że przyszedłeś na to spotkanie, Paul.
- Cała przyjemność jak zwykle po mojej stronie, Harlandzie.
- Henry - mówi do kelnera, który znów pojawia się znikąd. - Dla mnie perrier z limonką. Dla ciebie, Paul?

Nie mam pojęcia, skąd Harland zna już imię kelnera, bo restaurację otwarto dopiero parę tygodni temu. Dochodzę do wniosku, że to pewnie ta pamięć do drobnych szczegółów zrobiła z niego miliardera. A może to te dwadzieścia milionów na starcie, jakie dostał po rozwodzie?

Mam ochotę na to, co zwykle. Bentley milczy, jakby tego nie aprobował. Nie pije. Nie pali. Jedynym znanym mi jego nałogiem, o którym bez wątpienia wie mnóstwo innych ludzi, to język, jakiego używa. Ten facet potrafi mówić z gładką elokwencją kogoś, kto ma miliardy, ale jeśli coś mu się nie spodoba, umie kłać jak kierowca tira.

A więc zawsze się staram, żeby wszystko mu się podobało. Mimo to zamawiam sobie martini - wstrząśnięte i bez dodatków. I z czarną oliwką.

W porządku. Czasem klnie i ma mnóstwo kobiet. Za każdym razem, kiedy czytam o nim w rubryce towarzyskiej albo gdy widzę go pełniącego jakieś funkcje społeczne, ma już inną dziewczynę. Blondynki, brunetki, rude, o obfitych kształtach, drobne, długonogie... Ten facet nie trzyma się jakiejś konkretnej cechy, chyba że uznalibyśmy za nią młodość i powalającą urodę.

Z Harlandem wita się kobieta, która wygląda, jakby przed chwilą zesza z wybiegu dla modelek. Ma rozpuszczone włosy i perły na szyi. Pocałunki w policzek, szybki gest palcami w moim kierunku.

Bentley przez chwilę siedzi wygodnie rozparty, pławiąc się we własnym blasku. Ten facet to prawdziwa gwiazda rocka. Wciąż z cieniem uśmiechu na ustach zwraca się do mnie.

- Znasz Evelyn Pendry? - pyta.

W ciemności czuje się niezagrożony. Ciepło i bezpiecznie. Wielki znak równości. Nie widzisz mnie, nawet w tym świetle płynącym ze szczeliny między skrzydłami drzwi. Wciąż jest ciemno, ciemna szafa, potem dźwięk przeskakującego rygla...

Leo powoli wysuwa nóż ze skarpetki i cicho podnosi się na nogi.

Skrzypnięcie podłogi niedaleko drzwi. Rygiel znów się zamyka. Szybkie kroki na dywanie. Włączony telewizor. W pokoju rozbrzmiewają wyreżyserowane głosy. Wiadomości.

- Najważniejsza informacja dzisiejszego wieczoru... - mówi Evelyn Pendry, naśladowując głos matki i jej pełną werwy intonację. Wchodzi do sypialni, zdejmując kolczyki i powtarzając jej słowa. Rozpina bluzkę, zrzuca buty na obcasach, kilkoma ruchami zrzuca z siebie spódnice.

W pokoju unosi się zapach truskawek. Leo wdycha. Mięło już sporo czasu od dnia, kiedy czuł zapach kogoś, kto tak pachnie...

- Senator Almundo - mówi Evelyn, powtarzając słowo w słowo głos matki - zdementował wszystkie zarzuty.

Stoi przed lustrem w kremowej, satynowej bieliźnie, przekrzywiając głowę i bardzo wyraźnie wymawiając wszystkie słowa.

- Senator Almundo... zdementował wszystkie zarzuty.

Leo patrzy przez szczelinę w drzwiach szafy, a Evelyn jeszcze raz powtarza frazę, dopracowując dykcję.

Ma ładną, wysportowaną figurę, ale on nie myśli o tym, o nie. Zastanawia się, jak ona zareaguje. Wydaje się wysportowana. Młoda i wysportowana. Nie to, co staruszek Freddy śpiący w swoim łóżku. Nie to, co tamta dziewczyna w alejce z Rileyem. O nie, ta... Ta będzie walczyć.

Obejmuje nóż dłonią, ciężko przełyka.

Wciąga powietrze i wtedy ogarnia go spokój.

Przyszła za wcześnie. Niespodziewanie. Leo poczeka, aż zapadnie noc, aż ona będzie w łóżku.

Zamyka oczy i wstrzymuje oddech.

Gdy znów je otwiera, Evelyn Pendry wpatruje się w szafę.

Harland splata palce dłoni.

- A więc mówiła coś o jakimś materiale do gazety?

- No cóż, tak to ujęła - wyjaśniam. - Chciała napisać artykuł o sprawie senatora Almunda i o mnie. I wtedy zaczęła się wypytywać o moją przeszłość. Chciała wiedzieć, czy utrzymuję kontakty z Nat i z twoją siostrzenicą Gwendolyn.

- Gwendolyn. Tak. Gwendolyn.

Wygląda na to, że Evelyn Pendry wypytywała także Harlanda o te dwie kobiety. Przekrzywia głowę.

- Gwendolyn nie odzywała się od wielu lat. A jeśli upływie ich jeszcze więcej, nim się odezwie, to nie będzie mi to przeszkadzać. Co za zepsuta dziewczyna - dodaje.

- Wygląda na to, że nie byliście w najlepszych stosunkach - wnioskuję.

Harland wpatruje się we mnie twardo, oblizuje wargi i odpowiada bez zająknięcia:

- To była tylko kuzynka Cassie. Prawie siostra. Ale nie zbyt za sobą przepadały. I ona... - Twarz mu się zmienia. Przez chwilę widać na niej gniew, nim znów tężeje. - Nie przyszła na pogrzeb Cassie. Ta dziewczyna nie potrafiła na wet na jeden dzień przestać się szwendać po świecie, żeby okazać szacunek Cassandrze. Tego jej nigdy nie wybaczę.

Harland poślubił Natalię Lakę, dziedziczkę fortuny Lake'ów, gdy miała dziewiętnaście lat. Co pewnie było czystym zbiegiem okoliczności, właśnie odziedziczyła prawie miliard dolarów po swoim ojcu, Conradzie Lake'u. Rozwiedli się po około dwudziestu latach małżeństwa wkrótce po śmierci ich jedynej córki Cassie. Harland wziął dwadzieścia milionów i poszedł swoją drogą, najpierw inwestując w hotele Bentley Suites. Potem założył wiele firm noszących jego nazwisko, między innymi Bentley Manufacturing, Bentley Bearings, Bentley International i Bentley Financial.

Mówiono, że pociąg Harlanda do młodych kobiet nie zaczął się po rozwodzie, lecz na długo przed nim. Ich stosunki małżeńskie szybko uległy ochłodzeniu. Razem trzymała ich tylko córka. Tak to widzę. Gdy zabrakło Cassie, pewnie spojrzeli na siebie i dali sobie spokój. Zamiast walczyć (mieli in-

tercyzę, choć nie znam szczegółów) Natalia część swojej fortuny rzuciła byłemu mężowi jako pożegnalny prezent. Cynik mógłby powiedzieć, że główną motywacją Harlanda przez ostatnich piętnaście lat było dorobienie się większego majątku niż fortuna jego byłej żony. Śmiem twierdzić, że mu się to udało. Naturalnie, moja firma, stosownie do tego, na tym skorzystała.

- Gdzie jest teraz Gwendolyn? - pytam.

Rozkłada ręce.

- Słyszałem, że kupiła jakąś posiadłość w Lakę Coursey, na północy. Przypuszczam, że wciąż ma coś we Francji, ale tak naprawdę to nie wiem. I wcale mnie to nie obchodzi.

Wpatruje się we mnie uporczywie.

- Ta reporterka, Evelyn, mówiła, dlaczego zadaje te wszystkie pytania?

Potrząsam głową.

- Zbyłem ją. Nie zaszczyliśmy tak daleko.

Przybiega kelner z drinkami i pyta, czy chcemy się zapoznać ze specjalnością kuchni. Harland nie ma ochoty, ja też nie. Już wiem, że zamówi coś, co pływa w wodzie. Ja również zazwyczaj tak robię, ale tym razem myślę raczej o czymś, co się pasie na łące.

- Ostatnio mieliście *karioka*, Henry - Harland zwraca się do kelnera. - W sosie karmelowym.

- Tak, proszę pana. Tak, panie Bentley.

- To byłby miły początek. Dziękuję. I powiedz Homarowi, żeby tu zajrzał w wolnej chwili.

Nie przyszedłem tu na ten posiłek z *karioka*. Nie wiem nawet, co to jest *karioka*, ale założyłbym się, że nie ma tego w menu na ten wieczór. Tak właśnie postępują tacy faceci jak Harland. Zamawiają coś, czego nie ma w menu, i wiedzą, że i tak to dostaną tylko dlatego, że o to poprosili. I prawdopodobnie dlatego, że chętnie słono za to zapłacą.

- Aha. - Bentley splata palce dłoni i patrzy na mnie. - Ta reporterka do mnie dzwoniła. Popełniłem błąd, wdając się

z nią w rozmowę. Była bardzo natrętna. Strasznie agresywna. Mogę wiele znieść, Paul. A ktoś o takiej pozycji jak moja zawsze będzie celem dla mediów.

- Fakt.

- Ale jeśli chodzi o Cassandrę, ta historia nie powinna być wywlekana na światło dzienne.

- Pewnie. - Zawsze byłem przekonany, że właśnie dlatego Harland nie chciał, żeby postawiono Burgosowi zarzuty związane z zamordowaniem Cassie. Jego obrona opierała się na niepoczytalności i przekonaniu, że wypełniał wolę Boga, karząc grzeszników. A to z kolei wymagało oczywiście przedstawienia w sądzie na otwartej rozprawie, że ofiary nie były przykładnymi obywatelkami.

- O co pytała ta Evelyn, Harlandzie?

Dłubie paznokciem w zębach, przez chwilę wydaje się pogrążony w myślach.

- Chcę ją uprzedzić - mówi. - Muszę z tobą o tym pogadać.

To właśnie cały Bentley. Nigdy nie odpowiada na pytanie. Mówię na głos to, co oczywiste:

- Ona jest reporterką.

Jego reakcja wskazuje, że pierwsza poprawka do konstytucji nie robi na nim szczególnego wrażenia.

- O czym ty mówisz? - mówię dalej. - Chcesz jej zagrozić sądem?

- Albo że pogadam z Lymanem.

Lyman Kruger to wydawca „The Watch”. Ale ten kij ma dwa końce. Gdy dasz znać wydawcy, jak bardzo martwisz się możliwością opublikowania zniesławiających cię artykułów, czasami przyciska on reporterkę, aby się upewniła, że ma rację, albo dała sobie spokój z tym tematem. Jednak niekiedy skutek jest odwrotny i gazeta zaczyna się tym jeszcze bardziej interesować.

Mówię mu o tym.

- To może jeszcze pogorszyć sprawę - oświadczam.

Harland się jeży, słysząc moją radę. Ludzie jego pokroju nie lubią, kiedy ktoś im mówi, że nic nie mogą zrobić.

- Mam zamiar to powstrzymać, Paul. Homaro!

Woła do mężczyzny ubranego na biało, przypuszczalnie szefa kuchni, który przynosi zakąski - jakieś mięsne kulki smażone na głębokim tłuszczu, które przepysznie pachną. Wymieniają się po japońsku uprzejmościami, a potem szef kuchni odchodzi od stolika.

- Mam zamiar to powstrzymać - powtarza jeszcze raz, sięgając po zakąskę. Wbija w kulkę małe widelczyk z odrobinę zbyt dużym entuzjazmem.

Ułamek sekundy później Evelyn Pendry kuli gwałtownie ramiona. Leo wyskakuje z szafy. To niewłaściwy moment, nie ten czas...

Widzisz mnie.

...ale nie ma wyboru i wciąż działa element zaskoczenia. Leo rzuca się w jej kierunku, ale ona wywija mu się, pędząc do salonu. Leo pada na ziemię i łapie ją za kostkę. Evelyn przewraca się na dywan.

U-cisz-ją!

Leo gwałtownie skręca jej kostkę, słyszy chrupnięcie, przeżalenie młodej kobiety zmienia się w ciepienie. Krzyczy, ale z bólu - nie po to, żeby kogoś zawołać. Leo rzuca się na nią, przyciskając jej nóż do twarzy. Evelyn zamiera, zaczyna gwałtownie oddychać, ale poza tym nie wydaje żadnego dźwięku. Kalkuluje, tak, kalkuluje. Próbuje zebrać myśli. Wie, że nóż jest na tyle blisko, że może zakończyć to od razu. Jeśli krzyknie, jeśli spróbuje ich ostrzec, to już po niej.

Chwyta jej jedwabiste, jasne włosy, przez chwilę rozkoszuje się tym uczuciem, a potem silnie za nie ciągnie. Ona już rozumie. Leo odwraca ją tak, by leżała na plecach, z twarzą zwróconą w jego kierunku. Opiera kolana na ramionach reporterki i przyciska jej nóż do gardła.

Evelyn pachnie truskawkami.

Mike McDermott opiera się o ścianę pokoju, patrząc, jak Grace czyta babci. Ostatnio często to robi: cicho obserwuje siedmioletnią córkę, zastanawiając się, jak człowiek zajmujący się ciężkimi przestępstwami i wizytujący straszliwe miejsca zbrodni może czuć się tak nagi, tak całkowicie odsłonięty i przerażony przy tej maleńkiej damie.

Wspaniale czyta - tak powiedziała nauczycielka. Jest obdarzona inteligencją matki, jej zdolnością krytycznego myślenia i potrafi się wspaniale wyślawiać. A w tym roku poprawiło się też jej zachowanie. Rzadziej zdarzają się te wybuchy. Częściej bawi się i rozmawia z innymi dziećmi.

Czwarty rok. Myśli o tym w tych kategoriach. Nie liczy czasu od narodzin córki, lecz od śmierci Joyce. Wciąż jej się to śni, wciąż zadaje pytania, na które nie ma odpowiedzi. Jednak doktor Sutton uważa, że nic nie wskazuje na początki choroby. Twierdzi, że tylko jedna trzecia dzieci dziedziczy po rodzicach psychozę dwubiegunową. A to oznacza, że jakieś siedemdziesiąt procent nie dziedziczy tej choroby. McDermott powiedział mu, co wyczytał w fachowej literaturze: na wczesnym etapie choroba może się objawiać tylko depresją, która stopniowo przybiera dwubiegunowy charakter. Jednak lekarz twierdzi, że Grace jest zdrową małą dziewczynką, która sobie z tym wszystkim poradzi.

Lekarz wspomniał też, że ona się obwinia. Te słowa ścisnęły go za gardło. „To nic niezwykłego. W końcu była to jej matka”.

McDermott pamięta, jak słysząc te słowa, wpatrywał się w czubki swoich butów, nie wiedząc, co powiedzieć.

A więc codziennie obserwuje Grace - jej wzloty i upadki - szukając pierwszych znaków ostrzegawczych. Za każdym razem, kiedy się z nim sprzecza, płacze, ma swoje humorki albo skacze z radości, McDermott notuje to w pamięci.

Kiedyś nawet zapisywał wszystko w dzienniku. „Śmiała się z kreskówki. Narzekała na płatki śniadaniowe”.

- „Matt - czyta Grace narracyjnym tonem - który na przestrzeni lat widział wielu gości, dobrze wiedział, że istnieją dwa ich rodzaje...”

Matka Mike'a, Audrey McDermott, siedzi razem z dziewczynką na podłodze, obejmując ramionami wnuczkę i czytając razem z nią nad jej ramieniem. Ten widok wzrusza dekadentycznie prawie do łez.

Dzwoni telefon. Obie podnoszą głowy, ale McDermott unosi w górę rękę. Dopada do telefonu po drugim dzwonku, słucha przez chwilę, a potem wyrzuca z siebie:

- Jasna cholera!

Dociera do apartamentowca przed dziewiątą. Parkuje za radiowozem, jednym z sześciu stojących wzdłuż krawężnika z błyskającymi światłami policyjnymi. Są też wozy i ekipy telewizyjne oraz reporterzy. Z odpowiednim makijażem, ustawiają się we właściwych miejscach, robią szybkie notatki i sprawdzają sztuczne oświetlenie. Jedna z dziennikarek staje na tle apartamentowca, prosząc kamerzystę, żeby jej powiedział, czy takie ujęcie będzie odpowiednie.

Budynek znajduje się w północnej części miasta. Wysoki na cztery piętra, w środku jest podwórze. Wygląda na to, że mieści apartamenty, pewnie dość kosztowne, biorąc pod uwagę okolicę, lecz zapewne bardzo małe. Evelyn raczej nie zarabiała zbyt wiele jako zwykła reporterka w „The Watch”.

Wchodzi na szeroką klatkę schodową z betonowymi stopniami. Stoją tam członkowie ekipy technicznej z prokuratury okręgowej. Zbierają z poręczy odciski palców, ale to wspólna, ogólnie dostępna klatka schodowa z setkami bezużytecznych odcisków palców i butów. Zabójca wcale nie musiał dotykać poręczy i prawdopodobnie nie był na tyle głupi.

Na trzecim piętrze też pracuje ekipa techniczna. Jej członkowie próbują zbierać odciski palców i przeszukują korytarz

przed apartamentem ze swoimi plastikowymi torbami na dowody. Wygląda jednak na to, że robią to tak, jakby już nic innego nie mieli do zrobienia i jakby prawie skończyli pracę. McDermott zerka przez okno na podwórze, gdzie stłoczyła się ciasno grupka mieszkańców, patrzących w górę i plotkujących o zamordowanej kobiecie. Niektórzy z nich prawdopodobnie znali Evelyn Pendry.

Ricki Stoletti, ubrana w ciemną kurtkę i džinsy, wyłania się z mieszkania. Udziela jakichś instrukcji policjantom i patrzy w głąb korytarza. Kiwa głową McDermottowi. Za nią wychodzi inna kobieta. McDermott ją poznaje. Nieskazitelnie ułożone blond włosy, drogi kostium.

Ach tak, oczywiście. Matka ofiary, Carolyn Pendry. Prezenterka telewizyjna.

Stoletti przedstawia ich sobie.

- Detektyw Mikę McDermott, Carolyn Pendry.
- Pani Pendry, tak mi przykro.

To z powodu Carolyn Pendry McDermott tu przyjechał. Komendant zadzwonił do niego osobiście. Pendry to chyba najważniejsza dziennikarka w mieście. Gdy jej córka została zamordowana, przydzielono do sprawy jednego z najlepszych detektywów z rejonu, który podlegał Czwórcę.

Stara się jak najszybciej zakończyć tę rozmowę, bo chce wejść do środka.

- Idę z panem - mówi prezenterka.
- No cóż, pani Pendry...

W białych rękawiczkach, pamiętaj. Tak mówił komendant. Ta kobieta ma dostać wszystko, czego chce.

- Byłoby lepiej, gdyby pani...
- Już ją widziałam. Chcę wiedzieć, co pan o tym myśli.

McDermott patrzy na Stoletti, która posyła mu spojrzenie, mówiące: „Nie gap się tak na mnie. To ty jesteś szefem”.

- W porządku - ustępuje. - Chodźmy.

Po kolacji z Harlandem powinienem być w kiepskim nastroju. Bentley chce, bym wymyślił jakiś „dyplomatyczny” sposób położenia kresu pytaniom Evelyn Pendry, co jest oczywiście zadaniem niewykonalnym. Jednak wcale nie jestem w tak beznadziejnym nastroju. Poprawka: wyrosły mi skrzydła po dzisiejszej randce z Shelly. Strasznie się wkurzam, że ma to na mnie tak wielki wpływ, że tyle jej z siebie oddałem, ale do diabła, jeszcze tyle ze mnie zostało, że wystarczy.

Po drodze do domu odbieram Shelly. Nasza rozmowa jest bardzo cywilizowana: „Jak upłynął dzień? Dobrze. A tobie?” - ale już pękam w szwach.

Zdzieram z niej ubranie, zanim zdążyła postawić drugi krok w holu. Przychodzi mi na myśl, czy nie zrobić tego na schodach, ale tu nie ma dywanu, więc niosę ją do drugiego pokoju i przystępuję do rzeczy. W głębi serca wciąż jestem jurnym koszykarzem. Brak talentu nadrabiałem ambicją, nurkowałem za zgubioną piłką, brałem sprawy we własne ręce. Równie optymistyczne nastawienie mam w sypialni - czy w tym przypadku w salonie, jadalni, sam już nie wiem, jaki to, u diabła, jest pokój. Może nie uzyskam triple-double, ale przynajmniej będzie wiedziała, że Riley dał z siebie wszystko.

Tym razem jest inaczej niż po południu w hotelu. Nie wycofuje się, z pasją wsuwa język do moich ust, obejmuje moją szyję i oplata mnie w pasie nogami.

Częściej powinniśmy się rozstawać.

- No... to było miłe - udaje mi się wykrztusić.

Opadam na Shelly, czuję jej bijące serce, jej oddech na mojej szyi. Wdycham cudowny, owocowy zapach jej włosów, co wcale nie jest trudne, bo mój nos jest w nich zanurzony. Nazwać tę chwilę miłą to tak, jakby powiedzieć, że skok ze spadochronem jest interesujący.

- Bałam się - szepcze. - Potrzebowałam czasu.

Przysuwam twarz do jej twarzy, wsuwam ramię pod jej plecy i mocno przyciskam ją do siebie.

- Kocham cię - mówi.

Biorę głęboki oddech i przypominam sobie wszystko, czego się nauczyłem - żeby rozegrać to na chłodno. Odpaliła fajerwerki. Nigdy mi tego wcześniej nie powiedziała.

McDermott wychodzi z mieszkania Evelyn Pendry i wdycha świeże powietrze. W głowie nie ma teraz nic oprócz pytań.

- Nie przyszła do mnie na kolację - wyjaśnia Carolyn Pendry, opierając się o poręcz i patrząc w dół na podwórze. - Dzwoniłam do niej do pracy, do domu, na komórkę. Zawsze odbiera komórkę.

- Pani Pendry, ma pani jakieś przypuszczenia, kto mógłby zrobić coś takiego?

Evelyn była torturowana. Zadano jej rany nożem na całym ciele, zanim otrzymała ostateczny cios w lewą skroń. Narzędzie zbrodni - nóż sprężynowy - znaleziono w pojemniku na śmieci w małej kuchni.

Ta sama brutalność co ubiegłej nocy u Freda Ciancia. Ale inna broń.

- Zajmowała się przestępczością. - Carolyn dotyka oczu.

- Wiem - mówi McDermott. - Wczoraj ją widziałem.

Kobieta patrzy na detektywa, próbuje coś wyczytać z jego twarzy.

- Czy przypadkiem mówi pani coś nazwisko Fred Ciancio? - próbuje McDermott.

Carolyn na chwilę zamiera bez ruchu, jakby coś kojarzyła, i zachłystuje się. Cofa się ku Stoletti, partnerce McDermotta, i zasłania usta dłonią.

- Zna go pani - wnioskuje detektyw.

- Zadzwońcie po Paula Rileya - mówi Carolyn.

- Paula...

- Paula Rileya. - Podchodzi do niego i bierze za ramię. - Tego, który był oskarżycielem w sprawie Terry'ego Burgosa.

Przebijam się przez dziennikarzy i wdrapuję na trzecie piętro apartamentowca dzięki uprzejmości kilku umundurowanych policjantów, którzy wiedzą, że miałem przyjechać. Przez telefon mówili bardzo niejasno. Najpierw gliniarz o nazwisku McDermott, potem Carolyn Pendry, która wyrwała mu słuchawkę i podała mi parę szczegółów.

Od razu dostrzegam Carolyn, rozmawiającą z jakimś potężnie zbudowanym facetem, który wydaje mi się znajomy. Mężczyzna gestykułuje i chyba próbuje ją pocieszyć. Prezenterka potakuje głową. Jest jak obraz pełen kontrastów. Piękne włosy i ubranie, twarz o doskonałych rysach, teraz ściągnięta bólem. Przygarbione ramiona.

- Paul - mów, widząc mnie.

Ciągnie tego faceta za sobą.

- To komendant Briggs. Paul Riley.

Podajemy sobie ręce.

Sprowadzili grube ryby. Komendant pojawiający się po dziesiątej na miejscu zbrodni? Cóż, w końcu to była córka Carolyn Pendry.

Twarz kobiety jest ściągnięta bólem. Dotyka mojego ramienia.

- Dziękuję ci... Dziękuję.

- Carolyn, na Boga. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Tak strasznie mi przykro.

Ciągnie mnie za sobą. W drzwiach mieszkania, które musiało należeć do Evelyn, pojawia się jakaś kobieta. Wysoka, po czterdziestce, z odznaką na szyi.

- To detektyw Stoletti.

- Paul Riley.

- Słyszałam o tobie.

Gestem zaprasza mnie do środka. No tak, ciebie też miło poznać.

- Nie dotykaj niczego - mówi mi.

Nie odpowiadam, ale słucham jej rady. Wysoki facet o rumianej twarzy, niemal mojego wzrostu, ale z trochę potężniejszym torsem, przedstawia się jako Mikę McDermott. Pozornie bardziej przyjazny niż Stoletti, ale najwyraźniej też niezbyt szczęśliwy, że mnie widzi.

Zastanawiam się, czy nie przypomnieć im, że to nie był mój pomysł, bym tu przyjechał. Trzydzieści minut temu leżałem w łóżku z piękną kobietą i wcale mi się nigdzie nie spieszyło.

Powtarza mi to, co już mówiła Stoletti: żebym nie dotykał dowodów. Patrzę nad ramieniem McDermotta i widzę, że tak czy inaczej już wszystko przeczesali. To miejsce wygląda tak, jak się tego spodziewałem. Małe mieszkanie, z kuchnią, w której ledwie można się obrócić, obok salonik z jednym tylko meblem, sofą w kształcie litery L. Z saloniku, głównego pokoju w mieszkaniu, zabrano fragmenty dywanu. Wejście do kuchni jest przedzielone taśmą. Na długim blacie zbierano odciski.

Wchodzę do saloniku, w którym wszystko wygląda normalnie. Dochodzę do wniosku, że cała zabawa zacznie się w sypialni, w drugiej części mieszkania. Czuję falę adrenaliny. To właśnie kiedyś robiłem. Ściągałem złych facetów. Rozwiązywałem zagadki.

Gdy zbliżam się do zwieńczonego łukiem wejścia prowadzącego z saloniku do sypialni, czuję, że moje ciało instynktownie zwalnia. Mechanizm obronny. Patrzę w dół i z gardła wrywa mi się jęk. To nie ma znaczenia, że wiedziałem, iż to będzie Evelyn Pendry. Nie potrafię stłumić szoku, widząc, że coś takiego zrobiono kobiecie, która jeszcze wczoraj zadrezczała mnie pytaniami.

Leży na dywanie, prawie naga, w samej bieliźnie. Jej ręce i nogi są szeroko rozpostarte. Głowa przechylona na prawo. Na lewej skroni ma paskudne, zalane krwią cięcie, które wygląda na głęboką ranę. Usta ma otwarte. Skóra zaczęła już przybierać trupa bladość. Wygląda, jakby urwała w połowie

zdania, jakby coś ważnego właśnie przyszło jej do głowy, albo jakby nie dokończyła tego, co zamierzała właśnie zrobić.

W tych okolicznościach jasne światło w pokoju wydaje się zbyt jaskrawe. Zalewa ciało zamordowanej kobiety, jakby była w pełnym świetle reflektorów akurat w chwili, w której najbardziej potrzebuje prywatności. Chciałbym przykryć Evelyn kocem i zamknąć jej oczy. Patrzę w te puste źrenice, czekam, aż zamruga.

Zbliżam się na odległość paru stóp i pochylam nad nią. Od ciała tej młodej dziewczyny bije odór moczu i kału. Jej współczulny układ nerwowy odmówił posłuszeństwa, gdy walczyła z mordercą albo z bólem.

Ciało Evelyn Pendry zostało zmasakrowane nożem. Niektóre rany są powierzchowne, inne głębsze. Każda z nich jest zakrwawiona, co oznacza, że zadano je, zanim jej serce przestało pompować krew.

Torturował dziewczynę przed zabiciem. Zanim wbił jej nóż w mózg.

Oglądam się na detektywa i widzę, że Carolyn nie ma z nami w pokoju. Cieszy mnie to, choć z całą pewnością już to widziała.

- Najpierw się zabawił - mówię, jeszcze raz się przyglądam dając. Pochylam się nad ciałem. Z tego, co widzę, nic nie jest zachłapanie krwią. - Trzymał ją tu, na podłodze, i się nią za bawił.

Patrzę na detektywów, ale jak dotąd nie wygląda na to, że bym na którymś wywarł wrażenie. Nie wiem, czego ode mnie oczekują. Wciąż nie jestem do końca pewny, po co tu jestem.

- Jak się tu dostał? - pytam.

Z początku nikt nie odpowiada. Nie oczekuję od nich, że mnie polubią, ale tak naprawdę to mi na tym nie zależy.

- Jak się tu dostał? - powtarzam.

McDermott wzrusza ramionami.

- Nie ma śladów włamania z użyciem siły. Albo majstrował przy zamku, albo sama go wpuściła.

- Zgwałcił ją? - Unikam wzroku Carolyn, która stoi teraz z nami w pokoju.

McDermott zaprzecza ruchem głowy.

- Po prostu chciał, żeby cierpiała.

Wstaję i patrzę na detektywa.

- Nie myśli pan chyba, że wpuściła tego faceta? - pytam.

McDermott nie odpowiada.

- W łazience - mówi. - Tylko proszę uważać, gdzie pan staje.

Odwracam się i ostrożnie wchodzę do łazienki. Światło jest już zapalone. Najpierw patrzę na podłogę. Potem zauważam coś kątem oka. Podnoszę wzrok na lustro i widzę moje odbicie oraz upiorne słowa wypisane na szybie czerwoną szminką:

Robię krok do tyłu. Niemal tracę równowagę. Patrzę na policjantów, którzy -jak się wydaje - wyciągają jakieś wnioski z mojej reakcji.

- Coś to panu mówi?

Pozwalam, żeby to się działo. Żeby przebiegło przeze mnie, szarpnęło moje wnętrze i skreśliło je w węzły.

- Nic panu nie jest? - pyta McDermott.

Mijam ich i znów przyglądam się Evelyn. Ostrożnie kucam, żeby zbadać ranę na jej głowie. Taka młoda dziewczyna. Nie zdążyła się nacieszyć życiem. Jeszcze tyle było przed nią. Bystra i ambitna. Przypominam sobie, co jej powiedziałem ostatnim razem, jak lekceważąco ją zbyłem. Zawsze pojawia się taki żal, jeśli pozostawiło się po sobie coś złego czy powiedziało coś niewłaściwego. Tak jak ja wtedy. Jednak teraz jest więcej niż jeden powód, dla których żałuję, że jej wtedy nie wysłuchałem.

- Nóż sprężynowy, tak? - Patrzę na nich. - Tego użył?

- Zgadza się - mówi McDermott.

- Skąd pan to wie? - pyta Stoletti.
 - Ale to nie była pierwsza ofiara?
- Nikt nie odpowiada. W każdym razie nie pada żadne słowo. Jednak ich twarze mówią wszystko. Policjanci spoglądają po sobie.
- Ona jest drugą ofiarą - mówię. - Wcześniej była pierwsza, zgadza się?
 - Tak - kiwa głową McDermott. - A jakiej broni tam użyto?
 - Szpikulca do lodu - mówię. Jego oczy mówią, że się nie mylę.
 - Co jest, kurwa? - mamrocze.
- Carolyn odsuwa na bok detektywów.
- To kolejna piosenka, Paul?
- Wstaję i odwracam się. Omiotam **wzrokiem łazienkę. Serce wali mi w piersi.**
- Ta sama - odpowiadam. - **Druga zwrotka.**

**Naród przeciwko
Terrance'owi Demetriusowi Burgosowi
Sprawa nr 89-CR-31003**

Sierpień 1989

Zastępca prokuratora okręgowego Paul Riley umieścił taśmę w magnetofonie i wcisnął przycisk odtwarzania, odczytując jednocześnie słowa piosenki wydrukowane na kartce i zostawione w jednym z „wojennych pomieszczeń” przeznaczonych dla sprawy Burgosa. Tyler Skye, główny wokalista grupy Torcher, wykrzykiwał, próbując przekrzyczeć gniewne akordy gitary, drugą zwrotkę piosenki *Ktoś*:

*Druga zwrotka podła kłątwa los nie gorszy perwersyjna
nienawiść*

Po tym wstępie gitara i perkusja na dobre dają czadu, podczas gdy głos Tylera Skye'a wybucha, wypluwając litanię pełnych przemocy słów szybciej, niż jest w stanie nadażyć ludzkie ucho:

*Szpikulec do lodu niezła sztuczka modli się o szybką śmierć Nóż
sprężynowy musi być świetny do szalonej lobotomii
wezwanie do mnie Nacięcia precyzyjnego ostrza
dokładniej cię ogolą krwisty
spray Piłą łańcuchową Trim-Meter mózg cheerleaderki
wszystko
to farba na poplamionej ścianie Maczeta w głowie
nie jest gotów na śmierć nie potrafię
wyjaśnić dlaczego cierpię dlaczego nie potrafię się
powstrzymać od wdarcia się komuś do mózgu Wykolejone
życie nóż kuchenny koniec pragnień koniec walki
koniec nienawiści zdałem test
A siódmego dnia odpocznę.*

Druga zwrotka kończyła się samobójstwem, tak jak pierwsza - słowa Mickey Mouse. *Wykolejone życie... koniec pragnień koniec walki.* Koniec, bo się zabił. To tylko potwierdzało interpretację pierwszego morderstwa w pierwszej zwrotce - *włóż go prosto między zęby i szczęśliwie wystrzel.* Samobójstwo. Jednak Burgos się nie zabił. Zamiast tego odebrał życie Cassie i prawdopodobnie w chwili zatrzymania przygotowywał się do przejścia do drugiej zwrotki. W jego piwnicy znaleziono wszystkie narzędzia zbrodni wymienione w drugiej zwrotce: szpikulec do lodu, brzytwę, piłę łańcuchową, maczetę i nóż kuchenny. Wszystkie w idealnym stanie, nieużywane. Nie było na nich krwi ani żadnych innych śladów.

Złapali go, zanim się zabrał za drugą zwrotkę.

Riley siedział przy długim stole, wpatrując się w słowa na karcie i słuchając muzyki, gdy do pomieszczenia wszedł Joel

Lightner. Śledczy uniósł brwi, wyrażając tym swą opinię na temat słów piosenki. Nie różniły się niczym istotnym od pierwszej zwrotki. Razem wysłuchali refrenu, który był nie-wielką wariacją refrenu następującego po pierwszej zwrotce:

*Ten ktoś to ja wciąż mnie nie złapaliście próbowałem was
ostrzec ale mnie nigdy nie szukaliście wy nie rozumiecie
nigdy mnie nie załatwicie to się nigdy nie skończy*

Muzyka, i tak już głośna i agresywna, wybuchła ciężką perkusją i ogłuszającymi gitarami, podczas gdy Tyler Skye dokończył swój ostatni rym, wściekle wykrzykując:

Nie jestem jedyny

Riley wyłączył magnetofon. Długo milczeli. *Nie jestem jedyny* - to prawdopodobnie najbardziej przerażające słowa w całej piosence. Ta muzyka poszła w świat i każdy wykolejeniec mógł ją kupić i wcielić w czyn.

- Jesteśmy absolutnie pewni, że nie ma drugiego miejsca z ciałami - powiedział Paul.

Lightner dwuznacznie chrząknął. Użyli psów policyjnych i przetrząsnęli całe miasteczko uniwersyteckie Mansbury. Przeszukali każdy cal domu Terry'ego Burgosa, przekopali ziemię pod jego garażem i piwnicą, rozorali mu podwórko. Szukali wszędzie i nic nie znaleźli.

- Nie ma powodu myśleć, że ono w ogóle istnieje - stwierdził Lightner. - Narzędzia zbrodni były absolutnie czyste. Maczety nawet nie wyciągnął z opakowania. Poza tym myślę, że staruszek Terry by nam powiedział, gdyby było drugie miejsce. Niezbyt się wstydzi tego, co zrobił.

To prawda. Burgos niezbyt się wstydził wobec psychiatrów, którzy zaczęli go badać, gdy przed dwoma tygodniami zaczął się powoływać na swoją niepoczytalność. Mówił niezwykle szczegółowo, jednak nie o tym, jak popełnił morder-

stwa, lecz dlaczego. Powtarzał wersy z Biblii i słowa piosenki Tylera Skye'a oraz wymieniał grzechy popełnione przez ofiary, którymi ściągnęły na siebie jego gniew.

- A więc - stwierdził Lightner - teraz już oficjalnie ograniczamy się do pięciu morderstw.

W ubiegły piątek, 11 sierpnia, Riley poinformował sąd, że prokuratura wycofuje zarzuty związane z morderstwem Cassandry Bentley. Jakies pięć sekund od chwili, gdy wypowiedział te słowa, biuro prokuratora okręgowego i rodzina Bentleyów równocześnie wydały oświadczenia dla prasy. Wyrażnym życzeniem Bentleyów było, żeby ich córka nie stała się obiektem okrutnych pomówień i insynuacji, które nieuchronnie będą towarzyszyć obronie opartej na niepoczytalności. Chcieli uniknąć oskarżeń o rozwiązłość i wszystkiego innego, co mógłby powiedzieć zdesperowany oskarżony. Według treści oświadczenia dla prasy rodziny Bentleyów wystarczyło, że Burgos przyznawał się do zamordowania Cassie i że zostanie osądzony za pozostałych pięć zbrodni.

Riley zapomniał o tym w chwili opuszczenia sali sądowej. To już nie miało znaczenia. Teraz wszystko skupiało się na obronie opartej na niepoczytalności. Burgos będzie musiał dowieść, że cierpi na chorobę psychiczną i że nie uświadamiał sobie, iż jego czyny są ścigane prawem. Tak więc teraz zadaniem prokuratury było udowodnienie czegoś przeciwnego: że Burgos nie jest chory psychicznie i że wiedział, iż dopuszcza się przestępstwa.

Terry miał solidny argument na potwierdzenie choroby psychicznej. Kilka lat wcześniej zdiagnozowano u niego schizofrenię paranoidalną. Na jego korzyść przemawiał też prosty, zdroworozsądkowy argument. Czy ktoś, kto zrobił coś takiego, może nie być szalony?

Drugi wątek stwierdzania niepoczytalności to już była zupełnie inna historia. Burgos będzie musiał wykazać, że gdy mordował te dziewczyny, nie zdawał sobie sprawy, iż popełnia przestępstwo. Ustalenie zbrodniczego charakteru czy-

nu to coś, w czym mniej już chodzi o opinie psychiatrów, a bardziej o fakty. Utworzono więc grupę zadaniową skupiającą się na zbieraniu takich dowodów i sytuacja zaczynała się prezentować nieźle. Burgos zabił te dziewczyny podczas krótkiej przerwy między zakończeniem semestru wiosennego a rozpoczęciem kursów letnich, wiedząc, że w tym czasie nikt nie będzie zaglądał do sutereny Audytorium Bram-hall. Wybrał też prostytutki z różnych dzielnic, aby nie pokazywać się w tych samych okolicach w trakcie wprowadzania w życie morderczego planu. Wszystkie te działania wskazywały, że wie, iż łamie prawo, i nie chce zostać złapany. A więc z prawnego punktu widzenia nie jest niepoczytalny.

Lightner przysunął się, żeby się lepiej przyjrzeć Rileyowi.

- Jadłeś coś dzisiaj?

Paul zbył śledczego machnięciem ręki, ale żona spytała go o to samo. W ostatnich trzech tygodniach schudł około sześciu funtów. Jedzenie było ostatnią rzeczą która zaprzętała mu myśli. Oskarżanie w tej sprawie będzie ukoronowaniem jego kariery prawniczej, a poza tym próbował nadzorować jedno z największych biur prokuratorskich w całym kraju.

- Zjedźmy sobie tłustego cheeseburgera w Baby's - za proponował Lightner.

Riley zerknął na zegar. Było już po pierwszej. Siedział w biurze od siódmej i nie miał jeszcze nic w ustach. Razem z Joelem wrócił do swojego gabinetu po marynarke, gdzie zastał Betty układającą mu na krześle pocztę.

- Kolejne listy od fanów - oświadczyła sekretarka na ich widok.

Kiedy zaczęła się sprawa Burgosa, gliniarze i prokuratorzy dostawali wszelkiego rodzaju dziwaczne listy odwołujące się do Starego Testamentu i mówiące coś o gniewie Bożym. Niemal żaden z autorów tych listów nie aprobował czynów Burgosa, ale wielu ostrzegało „grzeszników” przed konsekwencjami ich postępowania.

- Wydaje mi się, że zwłaszcza ten jest dość dziwny - powiedziała Betty.

Riley wziął od niej list i przeczytali go razem z Lightnerem:

Dobroć Ojca Boga, ratunek absolutny. Radość objawienia będzie oczywiście trwać. Ale maluczcy odczują gniew. Elity panów o to rozpytują. Zła elokwencja burzy odrodzenie, wasze albo cudze. Jest etyka szczęśliwych zaprawdę czymś znacym. Elity Judasza, elity diabła. Niech etyka grzmi. Oni albo ludzie Boga. Alleluja New York.

Spojrzał na Betty, która wzruszyła ramionami.

- Ten jest jeszcze dziwniejszy - przyznał. W większości listów, które otrzymywali, cytowano po prostu jakiś wers ze Starego Testamentu lub przewidywano dość ponure konsekwencje mające spotkać ludzi niesłuchających nauk Pana. Jednak cokolwiek by o nich powiedzieć, nie były niejasne.

- Masz oryginał?

Kiwnęła głową.

- Skatalogowany i zaszufadkowany.

W ramach środków ostrożności prokuratura okręgowa śledziła wszystkie listy przysyłane do jej siedziby. Oryginały pieczętowano w plastikowych torbach, opatrzonych datą.

- Nie mam nawet bladego pojęcia, o co tu chodzi - oświadczył Riley.

- Niektórzy potrzebują zła tak jak inni wiary - spekulowała Betty, zaglądając mu przez ramię. - A dzisiejsze pokolenie jest chciwe i niemoralne.

- A cóż to ma być? Sto jeden porad filozoficznych? - zapytał Lightner. - Dzisiejsze pokolenie jest chciwe i niemoralne? Dzisiejszy gliniarz ma ochotę na cheeseburgera.

Kiwnął głową na Paula.

- Możemy wreszcie iść?

Riley jeszcze raz przeczytał list.

- No tak. Ten jest jeszcze dziwniejszy - powtórzył.
- Ech, prawnicy - westchnął Lightner. - Nie utrudmaj tego jeszcze bardziej. Ja tu umieram z głodu.
- Taaa... - Paul zastanowił się przez chwilę. „Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej”. Wrzucił kopią listu do kosza na śmieci i poszedł na lunch.

Środa, 22 czerwca 2005

24

Pokój przeznaczony dla zespołu detektywów na Trzecim Posterunku Czwartego Okręgu roi się od detektywów i umundurowanych funkcjonariuszy. Z przodu stoją Ricki Stoletti i Mikę McDermott. Jest dziewiąta rano. Wszyscy są pobudzeni, pomieszczenie wibruje energią. Czytają z tablicy przed nimi ponumerowane wersy słów drugiej zwrotki piosenki *Ktoś* Tylera Skye'a.

- (1) Szpikulec do lodu niezła sztuczka modli się o szybką śmierć*
 - (2) Nóż sprężynowy musi być świetny do szalonej lobotomii
wezwanie do mnie*
 - (3) Nacięcia precyzyjnego ostrza dokładniej cię ogolą krwisty
spray*
 - (4) Piłą łańcuchową Trim-Meter mózg cheerleaderki wszystko
to farba na poplamionej ścianie*
 - (5) Maczeta w głowie nie jest gotów na śmierć nie potrafię
wyjaśnić dlaczego cierpię dlaczego nie potrafię się
powstrzymać od wdarcia się komuś do mózgu*
 - (6) Wykolejone życie nóż kuchenny koniec pragnień koniec
walki koniec nienawiści zdałem test*
- A siódmego dnia odpocznę.*

Ricki Stoletti odzywa się pierwsza:

- „Szpikulec do lodu niezła sztuczka modli się o szybką śmierć”. To Ciancio. „Nóż sprężynowy musi być świetny do szalonej lobotomii”. To Evelyn Pendry.

- A więc następna jest brzytwa - mówi ktoś z tyłu pomieszczenia.

Inny facet siedzący przy stole odzywa się:

- A więc musimy się tylko dowiedzieć, kto w ciągu ostat nich dziesięciu lat kupował zestaw do golenia.

Niektórzy się śmieją, ale innym nie jest zbyt wesoło, a już szczególnie Mike'owi McDermottowi.

Inny facet podnosi rękę i kiwa głową w moją stronę.

- Tu jest napisane: „siódmego dnia odpoczne”.

Potwierdzam skinięciem głowy.

- Szósty wers mówi o samobójstwie. Zabija samego siebie. Koniec pragnień. Koniec walki. Jest skończony. Szóstego dnia sam się zabija kuchennym nożem. Siódmego dnia odpoczywa. W oczywisty sposób porównuje swoje czyny z działaniami Boga stwarzającego świat.

Jakaś kobieta z tyłu mówi:

- A więc sprawca zrobi nam wszystkim przysługę i sam się zabije?

Wzruszam ramionami.

- Burgos tego nie zrobił. Pierwsza zwrotka też na koniec zwywała do samobójstwa, a on to zignorował.

- To był jeden z powodów, dla których obalił pan jego linię obrony opartą na niepoczytalności, zgadza się? - pyta jakiś starszy facet siedzący z tyłu. - Nie zastosował się dokładnie do słów piosenki.

Punkt dla starego wygi.

- Może kiedy skończy z tą piosenką - mówi jakiś potężny mężczyzna opierający się o ścianę - zajmie się słowami do tej starej piosenki Randy'ego Newmana i zacznie zabijać niskich.

- Tak. Może - stwierdza McDermott. - To było, kurwa, bardzo śmieszne.

Niewielkie ożywienie w pomieszczeniu po chwili zamiera. Gdy mówi Mike, wszyscy go słuchają.

McDermott mruży oczy, patrzy w przestrzeń.

- Zacznijmy od tego, co wiemy. Sprawca zostawia miejsce zbrodni całkowicie czyste. Dwa zabójstwa, żadnych odciśnięć. Zero śladów i dowodów. Obezwładnia ofiary i torturuje. Przejmuje nad nimi kontrolę. Miejsce zbrodni jest bardzo dobrze zorganizowane. Wejście i wyjście czyste. Zostawia narzędzia zbrodni.

Zostawia narzędzia zbrodni. Słuszna uwaga. Do tej pory wszystko zrobił celowo. Chce, żebyśmy wiedzieli.

- No i spójrzcie na czwartą stronę w aktach - ciągnie dalej McDermott. - Uważamy, że to nasz facet wysłał Rileyowi te listy.

Wszyscy przerzucają teczki z aktami aż do ostatniej strony.

- Ten pierwszy: „Zło nowe oto widzę” Riley dostał w po niedzialek. Dwa dni temu.

Zło nowe oto widzę. U pogan oczywiście te rzeczy, znane efekty, będą niezbyt adekwatne. Misterna intuicja. Pana odpowiedź musi okazać cel.

- Drugi dostał wczoraj:

Boleję i odejdę. Rozpacz echem drży, rozrywa. Uczucia grają, ale zapamiętałe wołam. Radość oczyszczenia trudna. Kolejny emisariusz cierpi zawsze. Ale sama wiedza, rozumienie oczekują bezwarunkowej i czulej akceptacji. Lecz bezwarunkowa absolutna nostalgia echem grzmi. Odejdę.

- W pierwszym mówi, że jeśli znów rozpoczną się mordy, połączymy to z Burgosem. Ze znanymi efektami. Najwyraźniej to właśnie chce nam powiedzieć - mówię.

- No dobrze, a co z drugim? - pyta Stoletti.

Już przeglądaliśmy te listy. Ubiegłej nocy poszliśmy do mojego biura i pokazałem je Ricki i McDermottowi.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem - mówię, jeszcze raz czytając list. - Może chodzi mu o to, że jest śmiertelny? Że nie odejdzie łatwo, ale w którymś momencie jednak to się stanie.

Patrzę na McDermotta.

- Mówi o rozumieniu - spekuluje detektyw. - Rozumieniu prawdziwego przesłania, cokolwiek ma to według niego być. Zgadza się?

- Trzeba być gotowym na zaakceptowanie prawdy - myślę na głos. - Odrzucenie stereotypów. Rozumienie wymaga „bezwarunkowej akceptacji” i „nostalgii”, żeby pragnąć to zrozumieć.

Nikt tego nie komentuje. Jeśli ktoś ma jakiś lepszy pomysł, to za cholerę nie chce z tym wyskakiwać.

- Dwa razy używa słowa „bezwarunkowy” - mówi Stoletti. - W drugim przypadku wcale go nie potrzebował. „Bezwarunkowa akceptacja” i „bezwarunkowa nostalgia”.

- No, teraz to się z tego już robi lekcja gramatyki - mówi facet siedzący obok niej.

Stoletti nie jest w nastroju na takie gadki.

- Chodzi mi o to, że on celowo dobiera słowa. Ma bardzo staranny charakter pisma. Nie pisał tego w pośpiechu. Miał czas. Zastanawiał się nad każdym słowem. *Radość oczyszczenia trudna*. I nie potrzebuje tego drugiego „bezwarunkowy”. Nie wiem, o co mu chodzi, ale to dziwne.

Stoletti ma rację. Nie patrzyłem na to w taki sposób. Charakter pisma jest precyzyjny, staranny, a jednak dobór słów dziwaczny.

- Niech wszyscy się nad tym zastanowią - mówi McDermott. - W tej chwili pracują nad oryginałami. Odciski palców, ninhydryna, wszystko, co się da. Porozmawiajmy teraz o Fredzie Cianciu.

Ubiegłej nocy Carolyn Pendry zdradziła nam pewne fakty. Jeszcze w 1989 roku, gdy robiła reportaż o Terrym Burgosie, zadzwonił do niej jakiś mężczyzna, który twierdził, że ma o nim pewne informacje. Carolyn powiedziała, że ten człowiek robił wrażenie przestraszonego. Oświadczył, że to ważne, ale nie był pewien, czy zdradzić jej te rewelacje. Potem odłożył słuchawkę. Jednak Carolyn, dziennikarka do szpiku kości, namierzyła jego dom po numerze telefonu. Należał on do człowieka o nazwisku Fred Ciancio.

Odwiedziła go w domu, ale nie chciał nic powiedzieć. Jeszcze kilka razy próbowała z nim porozmawiać, ale bez rezultatu.

Sprawdziła, czym się zajmował, ale nic nie znalazła. A potem zaczął się proces i już nigdy nie wróciła do tej sprawy.

- A więc nie mamy pojęcia, jakie informacje Ciancio chciał przekazać Carolyn Pendry - wnioskuje McDermott. - Wiemy o nim jedynie tyle, że był strażnikiem więziennym w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a potem pracował w ochronie aż do czasu, gdy dwa lata temu przeszedł na emeryturę.

- No i wiemy jeszcze - dodaje Stoletti - że na dwa dni przed śmiercią zadzwonił do redakcji „Daily Watch”.

Przypuszczalnie Ciancio zrobił to, bo chciał rozmawiać z córką Carolyn, Evelyn Pendry, pracującą tam jako reporterka. Cokolwiek miał do powiedzenia Carolyn Pendry w 1989 roku, zakładamy, że wyjawił to samo jej córce Evelyn zaledwie parę dni temu. To by wyjaśniało pytania o Terry'ego Burgosa, jakie Evelyn mi zadawała, a także jej niezwykle - jak stwierdził McDermott - zainteresowanie miejscem zbrodni, w którym znaleziono Ciancia.

Przyglądam się materiałom, jakie dał nam McDermott. To kartka papieru ze słowami piosenki i arkusze z krótkimi raportami o dwóch ofiarach: Fredzie Cianciu i Evelyn Pendry. Wpada mi w oko pewien szczegół z raportu o Fredzie. „Pracownik ochrony, Bristol Security Services, 1978-2003”.

Wczoraj w nocy McDermott powiedział mi, że Ciancio był ochroniarzem. Nie wiedziałem jednak gdzie.

- Bristol - mówię. - Ciancio pracował dla Bristol Security?

- Tak. - Stoletti kiwa głową. - Był ochroniarzem w galerii handlowej w Wilshire. Dlaczego pytasz?

Jeszcze raz sprawdzam daty. Do 1978 roku Ciancio pracował w Ensign Correctional, ściśle strzeżonym więzieniu w południowo-zachodniej części hrabstwa. Potem, przez dwadzieścia pięć lat - dla Bristol.

- Bristol Security to firma, która miała kontrakt z Mansbury College - mówię. - Wtedy, w tamtym okresie.

McDermott przez chwilę mnie obserwuje.

- Czy to w ogóle może mieć jakieś znaczenie?

Bristol Security pomagało nam przeczesać teren w poszukiwaniu kolejnych ciał. Jestem przekonany, że byli zażenowani, bo te morderstwa miały miejsce w rejonie, którego pilnowali. Wydaje mi się, że po znalezieniu ciał Mansbury rozwiązało z nimi umowę - tak jakby to była ich wina. Ale nie, nie dostrzegam żadnego związku. Mówię o tym McDermottowi.

- Bristol Security to olbrzymia firma ochroniarska. Prawdopodobnie mają setki kontraktów w całym kraju. To może być zbieg okoliczności.

McDermott kiwa głową.

- I tak właśnie myślisz? Że to tylko zbieg okoliczności?

Wzruszam ramionami.

- Kierownikiem ochrony w Mansbury był Wally Monk - mówię. - Zadzwońcie do niego. Zapytajcie, czy zna Ciancia. Wydaje mi się, że przeszedł na emeryturę, ale pewnie może cie go znaleźć.

Stoletti notuje to sobie, pytając mnie o pisownię nazwiska.

- No dobra. Czy możemy w takim razie założyć, że ten facet jest naśladowcą? - pyta.

W pokoju napięcie opada. Wszyscy o tym myśleli. Jeśli

chodzi o mnie, to nigdy nie byłem wielkim zwolennikiem teorii naśladowców. Ci faceci pragną sławy. A w takim przypadku czemu chcieliby być znani jako naśladowcy kogoś innego? Są kompletnie porąbani i mają własne pomysły.

Nie można jednak zaprzeczyć, że te dwa zabójstwa były wzorowane na drugiej zwrotce piosenki. I nie sposób zaprzeczyć temu, co napisał na lustrze w łazience: „Nie jestem jedyny”.

- Dlaczego teraz? - pytam. - Czemu szesnaście lat później?

Oczywiście nikt nie zna na to odpowiedzi. Do diabła! Oni oczekują tego ode mnie!

- I dlaczego ludzie związani z tymi morderstwami teraz umierają? - dodaje Stoletti.

Kolejne pytanie, na które nikt nie potrafi odpowiedzieć. Jakaś kobieta siedząca przy biurku, ze stopami opartymi o krzesło, pyta mnie:

- Czy ofiary Burgosa były przypadkowe?

Odpowiadam, że morderca chciał, byśmy myśleli, że nie. Potrafił przypisać jakiś konkretny grzech każdej kobiecie, którą zamordował.

- Ale nie wydaje mi się też, żeby obecne ofiary były przypadkowe.

McDermott kręci głową, ale zgadza się ze mną.

Obaj myśleliśmy o tym ubiegłej nocy. Zbyt wiele zbiegów okoliczności, żeby to był przypadek. Evelyn Pendry była na miejscu zbrodni, gdzie znaleziono Ciancia, i sprawiała wrażenie, jakby miała jakieś kłopoty. Wiemy też z nagrań rozmów telefonicznych, że Ciancio zadzwonił do niej niedługo przed śmiercią. No i potem ja z nią rozmawiałem, kiedy udawała, że interesuje się senatorem Almundem, ale de facto wydawała się o wiele bardziej skoncentrowana na sprawie Burgosa.

O ile dobrze pamiętam, szczególnie interesowało ją, dlaczego Harland Bentley zatrudnił mnie jako adwokata wkrótce po tym, jak oskarżałem zabójcę jego córki.

- Czy przypomina to panu Burgosa? - pyta jakiś gliniarz, potężnie zbudowany Irlandczyk. Wydaje mi się, że oni tu wszyscy są Irlandczykami. Czyżby jakieś nowe przepisy związku zawodowego?

Krzywię się. Odpowiedź brzmi: nieszczęśliwie.

- Burgos był bardzo nieostrożny. Przyniósł je do swojego domu. Odbył z nimi stosunek seksualny bez żadnego zabezpieczenia, pozostawiając w nich swoje płyny organiczne. Zostawił przedmioty, pozwalające zidentyfikować te kobiety, porzucane w całym domu. Ślady zbrodni były w całej suterenie. Natomiast ten sprawca popełnił dwa perfekcyjne morderstwa. Wszedł i wyszedł bez śladu. Kontrolował ofiary i nic po sobie nie pozostawił na miejscu zbrodni. Ten sprawca wygląda na profesjonalistę. Burgos taki nie był. I to wszystko. O tym drugim mordercy naprawdę nie wiem, co wam powiedzieć.

- A jesteś naszym ekspertem od seryjnych morderców - mówi Stoletti.

Kręcę głową.

- Proszę, zrozumcie to wszyscy. Nie jestem żadnym ekspertem. Nigdy nie rozwiązałem sprawy seryjnego mordercy, przynajmniej nie w taki sposób, jak myślicie. Znaleźliśmy sześć ciał i w ciągu godziny ujęliśmy sprawcę. O to właśnie mi chodziło, kiedy mówiłem, że był nieostrożny. Odkryliśmy ciało Ellie Danzinger i pierwsze, co zrobiliśmy, to znaleźliśmy faceta, który ją śledził i tak napastował, że uzyskała przeciwko niemu zakaz zbliżania się. A tak nawiasem mówiąc, Burgos przez kilka lat ostatnich pracował również jako dozorca w budynku, w którym znaleźliśmy te dziewczyny. A kiedy pojechaliśmy do niego, bach! Okazało się, że to on. Wszystko tam było. Nie mylicie mnie więc z kimś, kto wie, jak namierzyć seryjnego mordercę. Burgos zostawił ślady tak wyraźne, że doprowadziły nas aż pod drzwi jego domu. Ten facet nie zostawia nam nic.

- Oprócz listów - mówi ktoś z sali.

- I swoich narzędzi zbrodni. Ale robi to celowo - odpowiadają. - Nie ma wątpliwości, że chce, byśmy skojarzyli ze sobą te sprawy. Ale to wcale nie oznacza, że pozwoli nam się złapać.

McDermott przeczesuje palcami włosy i ciężko wzdycha.

- Proszono mnie, bym się do ciebie zwrócił, żebyś z nami nad tym pracował.

Uśmiecham się krzywo. Już mniej entuzjastycznie nie dało się tego powiedzieć. Jemu to nie pasuje. Widzę to. To decyzja Carolyn Pendry. Komendant policji nie jest głupi ani do tego stopnia naiwny, żeby nie zdawać sobie sprawy, jakim użytecznym sojusznikiem może się okazać ktoś z telewizji. Tak więc Carolyn mówi i dostaje, co chce.

- Jeśli będę miał jakieś pytania - mówię - ty mi na nie odpowiesz.

Jego uśmiech jest dość wymuszony.

- Jak pan sobie życzy, panie doradco.

Wychodzi na środek pokoju. Czyta z kartki przypiętej do sztywnej podkładki.

- Kopecy, Collins. Chcę wiedzieć o każdym artykule do gazety, nad jakim pracowała Evelyn Pendry w ostatnim roku. Zwłaszcza o przestępczości, ale nie tylko. I porozmawiajcie ze wszystkimi z „The Watch”. Sprawdźcie, czy Evelyn nie zostawiła jakichś wskazówek, które mogłyby nam pokazać, czym się zajmowała. Pittacora. Chcę, żebyś przesłuchał wszystkie piosenki, jakie kiedykolwiek wypuścił Torcher. I znajdź do nich słowa. Pewnie są gdzieś w Internecie.

- A jeśli chodzi o Internet - ciągnie dalej. - Sloan i Koessl, przyjrzyjcie się każdej stronie poświęconej Terry'emu Burgosowi. Zwłaszcza czatom. Jeśli coś będzie się wam wydawać interesujące, uzyskajcie nakaz od sędziego Ahlforsa i zdobądźcie adresy URL. Jeśli ten facet ma obsesję na punkcie Burgosa, to może postanowił tu i ówdzie napisać parę słów.

Jeden z tych dwóch, Koessler albo Sloan, facet poświęcający zbyt dużo uwagi swoim włosom, pyta mnie:

- Ma pan jakieś pojęcie, o ilu stronach internetowych tu mówimy?

- Nie wiem. Prawdopodobnie o kilkudziesięciu. - Pstrykam palcami. - Lepiej sprawdźcie też strony internetowe poświęcone Tylerowi Skye'owi i Torcherowi. To w końcu on napisał te słowa.

- Dobra. - McDermott kiwa głową. - Zwracajcie szczególną uwagę na wszelkiego rodzaju powiązania między Torcherem a Burgosem. Weźcie tylu mundurowych, ilu musicie. Potrzebujemy tego szybko. Wszystkiego potrzebujemy szybko. No dobra.

Przegląda swoją listę.

- Ashley i Knape, przejrzyjcie wszystkie papiery. Chcę widzieć każdy list, jaki ktokolwiek kiedykolwiek napisał do Burgosa, kiedy ten siedział w więzieniu. Na pewno będziecie do tego potrzebować mundurowych. Bądźcie w kontakcie z Koesslem i Sloanem. Szukajcie wszelkich powiązań.

- Prawdopodobnie możecie pominąć wszelkie propozycje matrymonialne - dodaje, wywołując śmiech. Gdy Burgos oczekiwał na egzekucję, przynajmniej trzy kobiety zaproponowały mu małżeństwo. Nie rozumiem ludzi. A może mój problem polega na tym, że właśnie ich rozumiem.

- Saltzman, Bax - mówi McDermott. - Wy zajmiecie się Fredem Cianciem. Znajdźcie tego faceta, Wally'ego Mońka, o którym mówił Riley. Tego z firmy ochroniarskiej. Chcę wiedzieć, gdzie Fred Ciancio wtedy pracował. Rozmawiajcie z każdym, kto pracował z Cianciem w Bristol Security. Z każdym, kto pracował razem z nim albo napił się z nim piwa czy choćby wachał jego pierdniecia. I przyjrzyjcie się wszystkim, którzy w tym okresie byli przydzieleni do Mansbury College.

Williams i Covatta, wy też zajmiecie się Cianciem. Znajdź-

cie jego córkę. Pogadajcie z sąsiadami. Odszukajcie jego skrytkę depozytową. Wszystko, co mogłoby nam powiedzieć, dlaczego miał jakieś tajemnice. I dowiedzcie się, co to za typ w tle, na tym zdjęciu.

McDermott bierze do ręki fotografię, której nie widzę, i podaje ją jednemu z gliniarzy.

- Dowiedzcie się, dlaczego Ciancio miał kopię tego zdjęcia - mówi.

Pochyłam się, żeby przyjrzeć się zdjęciu, ale nie udaje mi się.

- Powers i Peterson, Ciancio pracował kiedyś w zakładzie Ensign Correctional. Chcę wiedzieć o wszystkim, co tam robił. Chcę wiedzieć, czy był dobrym, czy kiepskim strażnikiem. I weźcie kopię tego zdjęcia. - Podaje odbitkę stojącemu najbliższemu policjantowi, który przekazuje ją dalej, tak że znów nic nie widzę. - I sprawdźcie, czy ten typ siedział kiedyś w Ensign.

Po czym dodaje, odkładając na bok podkładkę z listą:

- Kinzler, przyjrzyj się ostatnim zwolnieniom, zwłaszcza groźnych przestępców.

Chodzi mu o zwolnienia z więzienia. Dobra myśl. To może wyjaśnić szesnastoletnią przerwę w morderstwach.

- Sprawdź też szpitale psychiatryczne - dodaje.

McDermott wskazuje na faceta, który zapewne nazywa się Kinzler, a ten zapisuje to sobie w notesie.

- Ta... To prawdopodobnie robota świra - mówi Kinzler.

McDermott krzywi się, jakby ktoś walnął go w twarz.

W pomieszczeniu na chwilę zapada kompletna cisza. Nie mam pojęcia dlaczego.

- Jann, Abrams, Beatty. - McDermott, teraz z zaczerwioną twarzą, odhacza kolejną pozycję na swojej liście. - Zróbcie jeszcze raz wywiad w pobliżu obu miejsc zbrodni. Może Evelyn Pendry rozmawiała z sąsiadami Ciancia. Chcę wiedzieć, o co ich pytała.

- I niech nikt o tym nie gada - mówi Stoletti. - Ta nasza prezenterka...

Partnerka McDermotta wykonuje szeroki gest ręką, zakładam, że w kierunku Carolyn, gdziekolwiek ona teraz jest.

- ...pewnie chciałaby to na razie trzymać w tajemnicy. Nie wydaje mi się, żeby zamierzała dać nam dużo czasu. Ale nie afiszujemy się z tym tak długo, jak nam się uda.

- Do roboty! - kończy odprawę McDermott. - Spotykamy się tu wszyscy o piątej. Do tej pory musicie coś znaleźć.

Policjanci wstają, chcą już ruszać dalej. Jeden z detektywów, Kinzler, podchodzi do McDermotta, ale ten tylko macha ręką i klepie go po ramieniu. To ma coś wspólnego z uwagą o „świrze”, ale nie mam pojęcia, o co chodzi.

Gdy pokój pustoszeje, McDermott dotyka mojego ramienia.

- Od czego byś zaczął, tak na nos?

Zastanawiam się, ale odpowiedź pojawia się zdumiewająco szybko.

- Od tego szurniętego profesora - mówię. - Od Frankforta Albany'ego. Prowadził zajęcia o przemocy wobec kobiet, na które chodziły Cassie i Ellie. W tamtym czasie zatrudnił też Terry'ego Burgosa.

- Zajmę się tym-oświadcza Stoletti.

- Pójdę z tobą - mówię.

Stoletti zerka na McDermotta, bo to on podejmuje tu decyzje. Jednak sądząc z wyrazu jej twarzy, wydaje mi się, że wolałaby się raczej przejechać samochodem z zaścierdłym pedofilem.

- Niezły pomysł - mówi McDermott.

Wygląda na to, że bawi go ta sytuacja.

- Co zamierzasz zrobić? - pytam.

Pociera ucho, kąciki ust wykrzywają mu się ku górze.

- Chcę zobaczyć twoje akta o Terry'ego Burgosie - mówię.

Głowa spuszczone. Bejsbolówka, ciemne okulary. Wąsy, broda i brwi są sztuczne i łatwo to stwierdzić. Ale to nie przeszkadza. Chodzi o to, żeby nie widział twojej twarzy, tylko pieniądze. Tak się tego nie robi, ale nie ma czasu. Trzeba się spieszyć. Oto i on. Parkuje swój rower przy budynku. Odblaskowa kamizelka. Zdejmuje swój kask kolarski, przypina rower. Teraz, teraz...

Leo zbliża się do posłańca, któremu z ramienia zwisa torba z pakunkami. Odchrząkuje, wyciąga paczkę, przygląda się jej. On przygląda się paczce. Nie zwracaj uwagi na twarz...

Robi to najlepiej jak umie. Pokazuje mężczyźnie paczkę, na której widnieje napis Shaker, Riley & Flemming. I pokazuje mu też pięćdziesięciodolarowy banknot.

- Taaa... Oni mają siedzibę tam na górze. Chcesz, że bym... żebym im to dostarczył? - Jego oczy skupiają się na banknocie, mniej na samej paczce.

Leo kiwa głową.

- To... to jakiś list? - pyta dzieciak, potrząsając paczuszką.

Leo kiwa głową. Tak, list.

- Czemu sam jej nie dostarczysz? To jakiś kawał czy co?

Kawał. To mu się podoba. Próbuje się uśmiechnąć. Często próbuje się uśmiechać, ale mu to nie wychodzi.

Dzieciak patrzy na pięćdziesiąt dolarów i wzrusza ramionami.

- Dobra, koleś.

Leo obserwuje, jak chłopak znika za obrotowymi drzwiami.

- Wszystko - mówię przez telefon mojej asystentce Berty. - Listy i profile świadków, opisy dowodów, skrypty, wszystko, co mamy. Potrzebuję po kilka kopii każdej z tych rzeczy. Tak, każdej. I posłuchaj, Berty, jeśli ktoś będzie o mnie pytał, to wygłaszam jakieś przemówienie czy coś w tym sty-

lu. To zostaje między nami. Kiedy będziesz gotowa, zadzwon do detektywa McDermotta.

Kończę rozmowę i chowam komórkę do kieszeni.

Siedzę na przednim siedzeniu obok prowadzącej Ricki Stoletti, z którą mam zaszczyt złożyć wizytę profesorowi Albany'emu. Kobieta wygląda na zmęczoną. Prawdopodobnie jest równie wykończona jak ja. Ma na sobie bluzkę, kraciatą kurtkę i dzinsy. Widać, że dawno nie kupowała dla siebie ciuchów.

Mówi, że od ponad dwóch lat jest partnerką McDermotta. Wstąpiła do miejskiej policji cztery lata temu, po piętnastu latach pracy w wydziale na przedmieściach, zajmującym się ciężkimi przestępstwami. Ten wydział to zlepek kilku wydziałów policji z północnych przedmieść, wielozadaniowa grupa detektywów. Dobrze ich znam, bo zajmowałem się sprawą zabójstwa, którą skierowano stamtąd. To może wyjaśniać jej wrogi stosunek do mnie. Uwolniłem faceta od zarzutów morderstwa pierwszego stopnia i tak się złożyło, że gliniarze wyszli przy tym na trochę niekompetentnych.

- Czemu zaczynamy od tego Albany'ego? - pyta, manewrując swoim taurusem w kierunku drogi szybkiego ruchu, którą mamy dojechać do Mansbury College. - Dlatego, że tak dobrze zna tę piosenkę?

- Dlatego, że jeśli Evelyn się tym zajmowała, to rozmawiała z pewnością także z nim. Poza tym zna najważniejsze osoby, które miały z tą sprawą coś wspólnego. Uczył Ellie Danzinger i Cassie Bentley. Zatrudnił Burgosa. I to on pokazał słowa tej piosenki całej tej trójce.

- I dlatego, że jest świrem? - pyta, patrząc na mnie.

- Zaraz wjedziesz w tył temu lexusowi - ostrzegam.

Ostro hamuje.

- No cóż. Nigdy nie przepadałem za tym facetem.

- Dlaczego? - pyta. - Coś konkretnego?

Nie. Po prostu ten profesor zawsze robił na mnie trochę dziwne wrażenie. Było w nim coś osobliwego.

- Był twoim ważnym świadkiem, zgadza się?
- Można tak powiedzieć - przytakuję. - Pomógł nam obalić alibi mordercy. Burgos fałszował swoje karty, aby wyglądało na to, że był w pracy, kiedy uprowadzono te kobiety. Z kart wynikało, że pracował od szóstej do północy, ale wiemy, że uprowadził je około dziewiątej, dziesiątej wieczorem. Te karty pracy były fałszowane.

Patrzę na Stoletti, która sprawia wrażenie, jakby to do niej nie dotarło.

- Tworząc sobie alibi - wyjaśniam - pokazał, że zdaje sobie sprawę z przestępczego charakteru swoich czynów. Próbował nie dać się złapać...

- Tak, tak... Wiem, o co chodzi. - Na chwilę odwraca się w moją stronę, ale potem chyba jeszcze raz zastanawia się nad tym, co chciałaby mi powiedzieć, i rezygnuje.

- Burgos miał ruchome godziny pracy - mówię. - Mógł pracować tak długo czy krótko, jak chciał, do sześciu godzin. Świadomie wpisywał, że przebywał w drukarni od szóstej do północy. Czy coś w tym wydaje ci się bez sensu?

- No cóż, nie. To jak najbardziej ma sens - wydaje z siebie jakiś dźwięk, który brzmi jak zduszony chichot. - Chodzi mi o to, że można rzeczywiście pomyśleć, że Burgos miał alibi.

Rzuca mi spojrzenie i dodaje:

- Zgadza się? Był w pracy, więc nie mógł zabić tych dziewczyn.

Teraz ja się śmieję. Chyba z większym zapalem niż ona.

- Ale to było fałszywe alibi. Stoletti, gdybyś przyznała, że zabiłaś te dziewczyny, tak jak on to zrobił, a potem twierdziłabyś, tak jak on, że jesteś niepo czytalna, to wtedy takie alibi dowiodłoby twojej winy, a nie niewinności.

Unosi dłoń, poddając się.

- Tak czy inaczej to dlatego potrzebowaliśmy profesora. Burgos nie chciał zeznawać, więc nie mogliśmy przycisnąć go z tymi kartami, nie mając zeznań Albany'ego.

Stoletti wjeżdża na wiadukt i skręcamy na południe. Okazuje się, że jeździ szybciej niż ja, co pewnie przychodzi łatwiej, jeśli masz odznakę. Unikamy niemal pewnej śmierci, wymijając ciężarówkę i znajdując się o wiele za blisko jednego z tych małych saabów. Chyba mógłbym ją polubić.

- A więc jednak Albany był twoim głównym świadkiem - podsumowuje.

- Tak, z całą pewnością był jednym z nich. To alibi poważnie nadszarpięło linię ich obrony. Mieli całkiem przyzwoity argument z chorobą psychiczną, jednak jeśli chodzi o ustalenie zbrodniczego charakteru czynu, pozbawili się wszelkich szans.

Gdy Stoletti po raz kolejny wycina kaskaderski numer, wciskając się między camry i porsche, dodaje:

- Miałem nadzieję, że dojadę tam żywy.

- Nie bądź takim mięczakiem. I ty też - mówi do wstecznego lusterka, gdy kierowca porsche na nią trąbi. Gdyby jeszcze pokazała mu palec, naprawdę byłbym pod wrażeniem.

- Nie jesteśmy partnerami - mówi. - Znasz Albany'ego i prawdopodobnie wiesz, jak go przycisnąć. Tylko dlatego wzięłam cię z sobą.

- W porządku. Mnie to nie przeszkadza. Chyba że będę czegoś potrzebować. Mam nadzieję, że umiesz współpracować.

Stoletti zna zasady. Mam mieć pełny dostęp. Ale wszystkie zasady są po to, aby je naginać i łamać. I wygląda na to, że nie podoba jej się sposób, w jaki to ująłem.

- Jak tam dojedziemy, to ja będę zadawać pytania - informuje mnie.

- Pytaj go, o co chcesz - mówię. - Ja zrobię to samo.

- Ja tu decyduję. Zrozumiano?

- Nie - odpowiadam. - Nie zrozumiano. Zjedź tutaj, znam skrót.

Odbija w stronę wiaduktu i pokazuje na swoją torebkę, która leży przy moich stopach.

- Jest tam taka szara teczka - mówi. - To kopia dla ciebie.

Otwieram ją, choć nienawidzę czytać w samochodzie.

Boli mnie od tego głowa. Nie muszę jednak czytać, tylko raczej oglądać, bo teczka jest pełna zdjęć z miejsca zbrodni w domu Ciancia. Fotografie jego zwłok, rozciągniętych na dywanie w sypialni, całych pokłutych nożem, głównie na nogach i torsie. I śmiertelna rana w oku.

Jest też kilka fotografii szpikulca do lodu, stalowego pręta z naostrzonym końcem i drewnianą rączką. Cały pokryty jest krwią Ciancia. Przewracam stronę i widzę kserokopię czegoś, co wygląda na stare zdjęcie z gazety, z poszarpanymi krawędziami, wyrwane z jakiegoś artykułu. Fotografia w gazecie musiała być czarno-biała, a kserokopia nie jest najlepszej jakości, ale rozpoznaję znajomą twarz.

Harland Bentley.

To chyba z czasów, gdy popełniono morderstwa. Tak wtedy wyglądał. Miał trochę więcej włosów, trochę więcej zaciętości na twarzy. Jest w płaszczu. Oczy ma spuszczone. Przebija się przez tłum reporterów podsuwających mu mikrofony. Nie potrafię powiedzieć, gdzie zrobiono to zdjęcie. Być może w pobliżu sądu. W tle, za reporterami, stoi inny mężczyzna. Widać go z profilu. Na głowie ma filcowy kapelusz, jest zwrócony w kierunku Harlanda i wbija w niego wzrok. Wygląda, jakby intensywnie mu się przypatrywał, choć taki efekt często pojawia się na zdjęciach przypadkowo. Na nieruchomej fotografii każdy wygląda tak, jakby się gapił. Mężczyzna sprawia wrażenie młodego, lecz oczy ma głęboko osadzone, a pod prawym widać coś, co być może jest blizną. Nie znam go, ale jestem pewien, że nie chciałbym, aby ktoś o tak niepokojącym wyglądzie gapił się na mnie.

Podnoszę wzrok.

- Jedź dalej do następnych świateł, a potem skręć w prawo. To ten typ w tle? To te zdjęcia rozdawał McDermott?

Zerka na fotografię.

- Tak. Znamy Harlanda Bentleya i wiemy, że to są reporterzy, ale kim jest ten ponury facet?

- Cóż, nigdy go wcześniej nie widziałem. Skąd to macie?

- Dostaliśmy to dziś rano. Było w pudełku z butami, w szafce w sypialni Ciancia.

- Leżało z innymi zdjęciami?

- Nie, wetknął to do pudełka z butami. Chciał schować.

Patrzę, z jaką szybkością mijamy kolejne samochody, i postanawiam na razie tego nie komentować. Zastanawiam się, co Fred Ciancio robił z tym ukrytym zdjęciem Harlanda Bentleya. Właśnie wtedy Stoletti zadaje mi dokładnie to samo pytanie. Odpowiadam, że nie mam pojęcia.

- Kolejna wizyta, którą muszę zaliczyć - stwierdza.

- U kogo? U Harlanda Bentleya?

- Tak - mówi, patrząc na mnie. - A co, masz z tym problem?

- No cóż, nie, ja... Dzwoniłaś do niego?

- Kazałam sprawdzić, gdzie przebywa. Dzisiaj jest w swoim biurze. Zajrzę do niego.

- Bez dzwonienia?

Przekrzywia głowę.

- Wolę, kiedy tacy faceci nie spodziewają się wizyty. Dopóki nie zasłonią się prawnikiem i wszystkiego nie utrudnią. Myślę, że nasz sprawca będzie działał bez zwłoki. Muszę go szybko przycisnąć. Nie mam czasu na jego drogich prawników. - Kiwa głową. - I to samo dotyczy profesora. Nie spodziewa się nas. Kończy zajęcia o jedenastej, a my już tam będziemy na niego czekać. Uwierz mi, na świeżo lepiej smakują.

- Nie wiedziałem o tym - mówię słabym głosem.

- Mam się przejmować tym, co wiesz, a czego nie?

- W tym przypadku chyba jednak tak. - Patrzę na nią. - Widzisz, to ja jestem tym droгим prawnikiem Harlanda Bentleya.

- No nie, ty chyba... - Podnosi do góry dłoń, jakby chciała mnie powstrzymać. - A to od kiedy?

- Od mniej więcej piętnastu lat. Reprezentuję wszystkie jego firmy. I to bynajmniej nie jest żadną tajemnicą.

- No cóż... Dla mnie to coś nowego. Rozmawiałeś z nim o tym? O śledztwie?

- Chyba nie oczekujesz, że ci na to odpowiem?

Ostro skręca w kierunku krawężnika i gwałtownie zatrzymuje samochód. Niemal czekam, aż walną we mnie poduszki powietrzne. Przesuwa się na siedzeniu i patrzy mi prosto w twarz.

- Moment! Doradzasz Harlandowi Bentleyowi w tej sprawie?

- Tego nie powiedziałem.

- Tak czy nie?

- Harland Bentley nie ma nic do ukrycia. Wyluzuj, Ricki. Nie histeryzuj.

Zaciska szczęki, wpatrując się we mnie złowieszczo. Przypadkiem tak się składa, że wiem, iż kobiety nienawidzą, gdy im się zarzuca histerię.

- Nie lubię cię, Riley - mówi. - Dotarło?

- Sam zacząłem odnosić takie wrażenie.

- Zacząłeś odnosić wrażenie, tak? Jak ci się wydaje, że możesz grać na dwie strony, to niedługo zaczniesz odnosić wrażenie moich kajdanek na twoich łapach!

- Detektywie Stoletti - mówię spokojnie. - Wrzuć bieg i jedźmy już wreszcie do miasteczka uniwersyteckiego. Już prawie jedenasta. Pomogę ci znaleźć tego, kto to zrobił, bo wydaje mi się, że przynajmniej tyle jestem winien Evelyn Pendry, i dlatego, że ten kretyn przysłał mi listy. I dlatego, że jeśli jesteś taka jak inni gliniarze z wydziału do spraw kryminalnych, którzy siedzą sobie na miłych, bezpiecznych przedmieściach, to nie potrafiłabyś znaleźć katolika w Watykanie.

Gryzie się w język, na jej twarzy wyskakują rumieńce, potem wrzuca bieg i rusza.

- Jeśli się dowiem, że sabotujesz to śledztwo, to sam będziesz potrzebował drogiego prawnika.

Dociska gazu i przejeżdża na czerwonym świetle. Łapie za podłokietnik i próbuje to jakoś przeżyć.

26

McDermott traci prawie godzinę w gabinecie porucznika z komendantem Briggsem, jakimiś grubymi rybami z prokuratury okręgowej i facetem odpowiedzialnym za kontakty ich wydziału z mediami. Paru polityków przygotowujących się na upadek i mających nadzieje na wzlot. Mniej czasu zajmuje mu informowanie ich o szczegółach niż pomaganie im w odpowiednim sformułowaniu komunikatu dla prasy, który w jakimś momencie będzie nieunikniony. Ci kolesie wymyślili setki sposobów, jak powiedzieć coś, co absolutnie nic nie znaczy.

Znajduje Carolyn Pendry przy swoim biurku, przemierzając pokój i rozmawiając przez komórkę. Jej cierpienie przekształciło się w żelazną determinację, dzięki czemu trochę łatwiej z nią rozmawiać. McDermott nie przepada za kliwymi scenami i za rozmowami z rodzinami ofiar, ale jedynym śladem po łzach na jej twarzy jest teraz rozmazany tusz do rzęs. Nie wie, z kim rozmawia, ale domyśla się, że nie podobają jej się ta rozmowa.

- Doceniam to - mówi Carolyn. - Tak, ja też mam pański telefon.

McDermott rzuca okiem na swoje biurko, teraz zavalone materiałami sprawy Freda Ciancia i Evelyn Pendry. Wykazy dowodów, wstępne wyniki sekcji, zdjęcia, wyniki analiz dowodów śladowych albo ich braku.

Wciąż nie wie, czy sprawca jest naśladowcą, czy nie. Intuicja podpowiada mu tylko, że ktokolwiek to zrobił, jeszcze

nie skończył. Następną ofiarę ma zamordować jakąś pieprzoną brzytwą. To żadna poszlaka. Jednak czwarte morderstwo ma zostać dokonane piłą łańcuchową firmy Trim-Meter. To już coś. Nie jakaś tam broń, tylko konkretny model. Musi namierzyć lokalnych detalistów, którzy sprzedają tę markę.

- Mogę pana solennie zapewnić, że jeśli będę miała coś do powiedzenia, usłyszysz to pan pierwszy. - Carolyn Pendry składa swój telefon komórkowy z zaciętą miną. W innych okolicznościach wpadłaby McDermottowi w oko. Ta babka nieźle się prezentuje. Jego fizyczna reakcja przywodzi mu na myśl Joyce. Gdy komuś umiera żona, w każdej szukasz czegoś, co ci ją przypomina. Zanim urodziła się Grace, zanim wszystko wzięło w łeb, mój Boże, byli jak wygłodniałe zwierzęta.

- Koledzy po fachu nie dają mi spokoju - mówi Carolyn. - Wszyscy wydzwanają, by złożyć mi kondolencje, ale tak naprawdę chodzi im o to, żeby usłyszeć, co mam na ten temat do powiedzenia. Wszyscy chcieliby znać tę historię od podszewki. Tak mi deptają po piętach, że nie mam chwili na oddech.

Wpatruje się w twarz McDermotta i odgaduje jego myśli.

- I, detektywie, nie umknęła mi ironia tej sytuacji.

- Nic takiego nie chciałem powiedzieć.

- Wyjawię panu, dlaczego tu jestem - mówi, z trudem łapiąc powietrze. - Dwa tygodnie temu robiłam program specjalny o Terrym Burgosie. To była rocznica jego egzekucji. 5 czerwca.

- Rozumiem.

Pendry przekrzywia głowę, widać, że jest zmęczona. Jej praca wymaga opanowania i dobrze się tego nauczyła.

- Powiedziałaś, że był szalony - zmusza się do wypo wiedzenia tego słowa. - Że nie powinien zostać skazany. Że trzeba było go zamknąć i leczyć, a nie skazywać na śmierć.

Nie jest już tego taka pewna, ale lepiej to z siebie wyrzucić.

- Myślę, że mogłam kogoś sprowokować. - Powoli kręci

głową. - Mówiłam, że każdy, kto próbowałby urzeczywistnić takie słowa i potraktowałby je jako słowo Boże, każdy, kto coś takiego by zrobił, musiałby być szalony. Niezależnie od tego, jak w naszym stanie decyduje się o niepoczytalności.

W porządku. Chodzi o to, że ktoś, kto myślał podobnie, zdenerwował się, gdy nazwano go szalonym, i postanowił coś z tym zrobić.

- W takim razie dlaczego zabił twoją córkę? - pyta McDermott.

- Bo nie... - Słowa więzną jej w gardle. Kładzie dłoń na piersi, by stłumić ból. I kończy szeptem: - Bo nie ma gorszego sposobu, żeby mnie zranić.

Odwraca się plecami do McDermotta i cicho płacze.

- Rozumiem, co ma pani na myśli - mówi łagodnie McDermott. - Ale mamy jeszcze Freda Ciancia, człowieka, który wtedy do pani dzwonił z jakąś informacją i niedawno zatelefonował też do Evelyn. I wygląda na to, że pani córka chciała się z nim spotkać. A teraz oboje nie żyją. Jeśli ktoś został sprowokowany, pani Pendry, nie byłbym taki pewien, że ma to coś wspólnego z pani programem telewizyjnym.

Odwraca się w jego stronę. Wydaje się doceniać teorię McDermotta, która ją rozgrzesza, ale nie potrafi się pozbyć poczucia winy.

- Powinnam dokończyć wtedy tę sprawę z Fredem Cianciem - mówi. - Wtedy, przez telefon, wydawał się taki wystraszony. A potem, kiedy przyszedł do niego do domu, a on zdał sobie sprawę, że namierzyłam go po numerze telefonu, był przerażony. Naprawdę myślałam, że coś w tym może być. Ale wtedy nie chciał już mi powiedzieć ani słowa. Zaciął się. A potem nie było już czasu, bo zaczął się proces.

- To naturalne, że zostawiła pani tę sprawę - mówi McDermott. - Prześwietliła go pani, okazał się ochroniarzem w galerii handlowej, który nie chciał z panią rozmawiać. Nie mogła pani wiedzieć...

Carolyn potrzasa głową.

- Zawsze mówiłam Ev, nie obijaj się. Prześwietl wszystko na wylot. Próbuj różnymi sposobami. Nie wypuszczaj swojej historii z rąk.

Najwyraźniej to właśnie robiła z Fredem Cianciem.

- Wspominała pani swojej córce o Cianciu? - pyta McDermott.

Prezenterka kiwa głową.

- Och, to musiało być już dawno temu. - Ucieka od niego wzrokiem. - Przed wieloma laty. Opowiadałam jej różne historie o tym, co robiłam. Ona ma doskonałą pamięć. To dlatego jest taką...

Słowa więzną jej w gardle.

- To znaczy była... Przepraszam, proszę mi wybaczyć. - Zasłania usta pięścią, zamyka oczy.

- Nie ma za co, pani Pendry.

Teraz już potrafi sobie wyobrazić, jak musiała zareagować Evelyn, gdy usłyszała starą historię matki o Fredzie Cianciu. Ten trop, który spalił na panewce, dręczące wątpliwości... I nagle ten sam pan Ciancio zatelefonował do Evelyn, żeby porozmawiać.

Dzwoni komórka McDermotta.

- Znaleźli już jej komputer? - pyta Carolyn.

- Nie.

Evelyn miała laptopa, ale nie znaleziono go ani w jej mieszkaniu, ani w biurze. Policja wychodziła z założenia, że sprawca zabrał go ze sobą po zabiciu reporterki.

McDermott sprawdza, kto do niego dzwoni, przeprasza i odchodzi od biurka.

- To Kopecky.

- Słuchaj, Mike, ta babeczka w koszu na śmieci. Ta z twojego rewiru...

- Babeczka w... Kopecky, co jest grane, u diabła. Miałeś być...

- Zadzwonili z laboratorium - mówi Kopecky. - Nie uwierzysz.

Czekamy ze Stoletti przed budynkiem Zielonym na terenie miasteczka uniwersyteckiego Mansbury College. Budynek jest usytuowany przy jego centralnym placu, gdzie studenci gromadzą się w małych grupkach, bawią się frisbee i pewnie popalają trawkę, kiedy nikt nie patrzy.

- Dalej tą uliczką, za tamtymi budynkami, jest Audytorium Bramhall - mówię.

Wyszło słońce, ogrzewa moją twarz. Robi mi się za gorąco w garniturze. Dzień jest piękny, choć prawdopodobnie wcale tak nie uważają studenci letniego kursu. Raz w szkole średniej brałem udział w czymś takim. Postanowiłem uczyć się w lecie pisanie na maszynie. Nie pozwalali nam przychodzić do szkoły w krótkich spodenkach, bo te same zasady dotyczące ubioru obowiązywały w tej katolickiej szkole również w lecie. Kiedy wychodziliśmy na słońce, dosłownie się smażyliśmy. Powiedziałem raz jednej z zakonnicy, że Biblia nic nie wspomina o tym, by klimatyzacja była zabroniona. Mimo moich najlepszych intencji nie potraktowała tego jako dowcip.

- Nie znaleźli żadnych odcisków w domu Ciancia? - pytam.

- Nie.

- A u Evelyn?

- Nic. - Stoletti wkłada do ust gumę do żucia. - Ten gość nie zostawił dosłownie nic dla techników. Ani w jednym, ani w drugim miejscu. Słuchaj, nie męczycie cię to, że ten facet zabrał się za drugą zwrotkę?

- Pierwszą załatwił już Burgos - mówię.

- Dokładnie o to mi chodzi. Jeśli jest naśladowcą, to wcale nie naśladuje.

- Zapytajmy o to jego - mówię, wskazując na schody budynku Zielonego, na których dostrzegam profesora Albany'ego z torbą na ramieniu. Przyjaźnie rozmawia z jakąś stu-

dentką. Podchodzimy na tyle blisko, żeby nas zobaczył, i czekamy, aż skończy rozmowę z adorującą go dziewczyną. Rzuca spojrzenie w naszą stronę i zaczyna się oddalać ścieżką. Potem zatrzymuje się, jeszcze raz mi się przygląda i widzę po jego oczach, że mnie rozpoznał.

- Nie wspominaj nic o Burgosie, pamiętaj - mówi Stoletti.

Kiwam głową w kierunku Albany'ego i razem z panią detektyw podchodzimy do tego człowieka, który nie wydaje się zbyt uszczęśliwiony naszym widokiem. Stoletti nie wyjęła odznaki z kieszeni kurtki, ale zdradzają ten charakterystyczny chód. Pewnie się domyślił, że jest policjantką.

- Pan Riley - mówi Albany, jakby wypowiadał przekleństwo. Teraz, z bliższej odległości, widzę, że przez te wszystkie lata niewiele się zmienił. Płomienne oczy, hiszpańska bródka, w której teraz widać trochę więcej siwizny, pasująca do jego długich, rozczochranych włosów. Wygląda na to, że życie profesora upływa dość miło i spokojnie. Zastanawiam się w duchu, jak to się stało, że ten człowiek nadal jest wykładowcą.

Widać, że zagląda do działu odzieżowego. Ma na sobie sportową kurtkę karmelowego koloru, jasnożółtą, obcisłą koszulę z dużym kołnierzykiem i krawat w kolorach kurtki i koszuli. Znam się na ciuchach i lubię dobre rzeczy, ale staram się zachować prosty styl. Elegancki, ale prosty. Ten facet wygląda jak śliczny chłopiec. Ale trzeba przyznać - nosi dobre marki. Ciekawe, ile teraz płacą wykładowcom.

I znów się zastanawiam, jakim cudem ten facet dostał etat na uczelni.

Przedstawiam mu Stoletti i w milczeniu idziemy do jego gabinetu. Mijamy pomnik, który Harland kazał tu wybudować ku czci swojej córki i Ellie Danzinger. Tam, gdzie kiedyś znajdował się mały park, teraz stoi niewielki postument, sklepienie na czterech kolumnach, za którym rozciąga się wielki park z marmurową fontanną, wypielęgnowany ogród i wznoszą się betonowe ściany z cytatami z Gandhiego, Boba Dyla-

Ba, Matki Teresy i tym podobnych ludzi. Mówią o miłości, pokoju i przebaczeniu.

Albany ma dobrze nasłoneczniony, okazałych rozmiarów gabinet. Jeśli chodzi o porządek, to przypomina wykołojony pociąg. Wszędzie walają się książki i papiery, poskładane w przypadkowe stosy. Z głośników na półce za biurkiem płynie muzyka klasyczna.

Pracownia geniusza czy coś w tym stylu.

- Czytałem dziś rano artykuł - mówi Albany, siadając za wielkim dębowym biurkiem. - Proszę. - Wskazuje nam dwa obite skórą fotele.

- O jaki artykuł panu chodzi? - pyta Stoletti.

Tłumię instynktowną chęć, żeby przewrócić oczami. To kiepski początek. Sztywna rutyna. Używa się tego sposobu, kiedy próbuje się kogoś w coś wrobić. Udajesz, że nic nie wiesz, i pozwalasz, by osoba, z którą rozmawiasz, sama wykopała pod sobą dołek. Ten facet doskonale wie, dlaczego tu jesteśmy. Nie mam cienia wątpliwości, że Evelyn Pendry złożyła mu wizytę, a dziś rano wystarczyło spędzić jedną nanosekundę na czytaniu „The Watch”, by się dowiedzieć, że ubiegłej nocy została zamordowana jedna z reporterek pracujących dla tej gazety.

- Rozmawiał pan z Terrym po wydaniu wyroku? - pytam.

- Nie. - Albany robi taką minę, jakbym go właśnie zapytał, czy ma wszy. - Nigdy.

- Profesorze - mówi Stoletti, ale widzę, że ma ochotę szturchnąć mnie łokciem. - Zna pan kobietę o nazwisku Evelyn Pendry?

- Tę, która została zamordowana? - pyta. - Tę reporterkę? Tak. Kontaktowała się ze mną.

- Kiedy?

- Była u mnie w ubiegły piątek.

- Proszę nam o tym opowiedzieć.

Profesor drapie się po uchu.

- Interesowało ją głównie tło. Chciała się dowiedzieć, jaka

była moja rola w tej sprawie. Coś w tym stylu. - Bezwiednie kiwa głową, bawiąc się drogim piórem leżącym na biurku.

Spoglądam na półkę za nim i widzę, że nic nie wskazuje na to, aby się ożenił. Nie widzę też obrączki na palcu.

- Pańska rola w tej sprawie? - pyta Stoletti.

- Byłem świadkiem, pani detektyw. Na pewno pani o tym wie. Pan Riley niewątpliwie opowiedział ze wszystkimi szczegółami o swoim błyskotliwym wystąpieniu. Wszyscy nisko się kłaniali wielkiemu panu prokuratorowi! I wszyscy gardzili wykładowcą, który miał pecha i zatrudnił seryjnego mordercę.

No tak, to potwierdza moje ówczesne odczucia. On też to przeżył. Po aresztowaniu Burgosa nieźle go przycisnęliśmy. Sprawdzaliśmy alibi profesora, a nawet - za jego zgodą - przeszukaliśmy dom. Koniec końców okazał się cennym świadkiem dla prokuratury, ale nie podobało mu się, że w oczach opinii publicznej ponosił jakąś część winy za to, co się stało, a my nie byliśmy wobec niego szczególnie delikatni.

- Trzymajmy się tematu, profesorze - mówi Stoletti. - Proszę nam opowiedzieć wszystko, co mówiła panu Evelyn i co pan jej mówił.

- W większości dotyczyło to tła historycznego. Myślę, że szkoda na to czasu. - Macha ręką, nie spuszczać oczu z biurka. - Chciała, żebym potwierdził daty. Pytała mnie o Terry'ego. O to, jakim był człowiekiem. Powiedziałem, że Cassie Bentley i Ellie Danzinger brały udział w moim kursie o przemocy wobec kobiet. To było jedynie nakreślenie ram czasowych i potwierdzenie podstawowych faktów.

- I nic więcej? - Stoletti kiwa stopą, poza tym siedzi bez ruchu.

- To naprawdę nie trwało długo. - Albany wzdycha, potem patrzy na panią detektyw. - Ach tak, pytała mnie o kogoś jeszcze. Miał na imię Fred, ale nie zapamiętałem nazwiska.

- Ciancio.

- Tak. Dokładnie tak. - Wydaje się zaskoczony, że poli-

ejantka o tym wie. - Pytała, czy go znam albo czy kiedyś o nim słyszałem. Powiedziałem jej, że nie.

- I to była prawda?

Albany chwilę milczy, zaskoczony. Potem zaczyna chichotać.

- No tak, oczywiście. Zanim mnie zapytała, nigdy nie słyszałem o tym człowieku.

Stoletti kiwa głową i wzdycha.

- W jaki sposób została zabita? - pyta Albany.

Moja towarzyszką przez chwilę nie reaguje. Postanawiam nie wtrącać się do ich rozmowy. Może Stoletti ma jeszcze w zanadrzu jakiegoś asa.

- Wciąż nie jesteśmy pewni. A jak pan myśli?

- Po prostu jestem ciekawy.

- A dlaczego tak to pana interesuje?

Profesor mruga do mnie. Wydaje mi się, że umyślnie i tak, by Stoletti tego nie zauważyła.

- Myślałem, że może została zabita szpikulcem do lodu - mówi.

- Czemu pan tak sądzi? - pyta moja towarzyszką. - Szpikulcem do lodu?

Albany uśmiecha się do niej, tak jak mógłby się uśmiechnąć do studentki nieradzącej sobie z nauką.

- Może powiemy to razem, panie Riley.

Zamyka oczy i recytuje z pamięci:

- „Szpikulce do lodu niezła sztuczka modli się o szybką śmierć”. - Otwiera oczy i patrzy na nią z nieskrywaną satysfakcją.

Splatam palce i w duchu biję mu brawo. Albany nie wie, że Ciancio był pierwszy, więc myśli, że Evelyn zabito szpikulcem, a nie nożem sprężynowym.

- Uważa pan, że to ma związek z tamtą piosenką?

- A któż to może wiedzieć? - Albany wskazuje głową w moim kierunku. - Zakładam, że właśnie dlatego jest tu pan Riley. Słyszałem ostatnio, że świetnie sobie radzi w sektorze

prywatnym. Evelyn Pendry przychodzi do mnie i wypytuje o Terry'ego Burgosa, potem zostaje zamordowana, no a teraz pojawia się pan Riley we własnej osobie.

- Ma pan jakąś opinię na ten temat? - pyta Stoletti.

- Nie. Jestem wykładowcą - odpowiada. - Terry wziął słowa piosenki ucznia szkoły średniej, mającego problemy emocjonalne, i nadał im jakiś biblijny sens. Czy ktoś robi teraz to samo? Nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że jest strasznie dużo stron internetowych poświęconych Terry'emu.

- Analizujemy je - oświadcza pani detektyw. - A pan przegląda te strony internetowe?

- Widziałem je. Ponieważ czyny Terry'ego są tam gloryfikowane, stanowi to część moich zajęć.

- Wciąż prowadzi pan ten kurs? - pytam.

Uśmiecha się do mnie.

- Jest popularniejszy i bardziej na czasie niż kiedykolwiek. Słuchał pan ostatnio hip hopu? Częściej niż dotąd mówią tam o biciu i wykorzystywaniu seksualnym kobiet. O tak brutalnych stosunkach seksualnych, że rozrywają kobiecie pochwę.

Stoletti kiwa głową.

- A co pan o tym myśli?

- Myślę, że to odrażające. Jednak z kulturowego punktu widzenia muszą przyznać, że również fascynujące. A tak nawiasem mówiąc, podczas zajęć skupiamy się na pierwszej zwrotce tej piosenki - dodaje. - Identyfikuje ona ofiary. Oczywiście nie z nazwiska, lecz według tego, jaki wpływ wywarły na Tylera Skye'a. Dziewczyny, które go odrzuciły. Dziewczyny, które z niego drwiły. A druga zwrotka... no cóż. Te słowa o szpikulcu do lodu są skierowane do mężczyzny, inne ściśle do kobiet. W jeszcze innych płęć nie jest określana. I słowa te w żadnym miejscu nie wyjaśniają, dlaczego te osoby zabija. Nie ma nic o tym, że ktoś został odrzucony, zdradzony lub urażony. Druga zwrotka to po prostu opis, w jaki sposób zostaną popełnione morderstwa.

To prawda. Druga zwrotka nie była już tak osobista.

- Potrzebujemy kopii pańskich materiałów z kursu. - Stoletti zastanawia się przez chwilę. - I listę pańskich studentów z ostatnich kilku lat.

- Cóż, jeśli chodzi o materiały z kursu, to nie ma problemu. - Profesor wzrusza ramionami. - Nazwiska studentów mogą stanowić już pewną trudność. Myślę, że powinna się pani zwrócić w tej sprawie do administracji. Istnieją prawa chroniące prywatność, prawda?

Żadne z nas nie odpowiada.

Albany obraca się na swoim fotelu i sięga do szafki. Wyciąga grube skoroszyty i zbiera materiały z kursu. Stoletti patrzy na mnie z uniesionymi brwiami. Profesor przesuwa po swoim biurku stos papierów w kierunku pani detektyw i pyta:

- Coś jeszcze?

Widzę, że choć na początku się zdenerwował, zdążył się już uspokoić i teraz znów jest aroganckim dupkiem jak zawsze. To dobrze. Nadszedł właściwy moment.

- No tak... Jeszcze jedno - zaczynam. - Proszę nam opowiedzieć o wszystkim, o czym rozmawiał pan z Evelyn Pendry.

Rzuca mi spojrzenie mówiące, że już to zrobił. Wbijam w niego wzrok. Z całą pewnością nie przepada za mną, ale jestem pewien, że wciąż wiem, jak odpowiednio przycisnąć guziki.

- Profesorze, mamy notatki, które zrobiła Evelyn Pendry po wywiadzie z panem. Wiemy, o czym pan z nią rozmawiał. Posłuchajmy więc pana wersji.

Albany odwraca wzrok, zapada się w swoim fotelu i zakłada nogę na nogę. Potem krzyżuje ramiona. Pozycja obronna.

- Skoro macie jej notatki, to dlaczego pytacie mnie o to, co już wiecie?

- Wszystko zależy od pana, profesorze. Może nam pan to powiedzieć albo nas okłamać. Już raz pan to zrobił.

Twarz wykładowcy blednie. Już to zna, kiedyś rzucałem mu oskarżenia. Ostatnim razem niezbyt mu się to podobało.

- W takim razie może... - Słowa więźną Albany'emu w gardle, co świadczy, że próbuje zachować zimną krew. Krzywy uśmiech znikł mu już dawno temu. - Może powinien być przy tym obecny prawnik?

- Ja jestem prawnikiem - mówię.

- No, no, panie profesorze - włącza się Stoletti. - W każdej chwili może nas pan stąd wykopać. To pański gabinet. Wrócimy później. Może w samym środku pańskich zajęć... Przyniosę ze sobą kajdanki.

- Proszę mnie posłuchać - mówię. - Złożył pan fałszywe zeznania funkcjonariuszowi policji. To przestępstwo. Ale jeśli teraz powie nam pan prawdę... teraz, czyli w tej chwili... to poprawi pan swoją sytuację. Nie będzie przestępstwa. Jeśli stąd wyjdziemy, to będzie oznaczało, że złożył pan zeznanie. Fałszywe.

Profesor uśmiecha się gorzko i szeroko, wybucha urywanym śmiechem, a potem wstaje z fotela i zaczyna się przechadzać za biurkiem.

- Winicie mnie za to, co się stało z tymi dziewczynami - patrzy na mnie. - Wiem, że tak jest. Wszyscy to wiedzą. Prowadziłem kurs, uczyłem o tym, jak media poniżają kobiety, i nagle to ja się staję symbolem przemocy wobec kobiet. Właśnie ta osoba, która próbowała to powstrzymać, jest teraz znana w całym kraju i w społeczności akademickiej jako od powiedzialna za zbrodnię sprzed szesnastu lat.

Gniewnie macha ręką. W jego oczach widać gorycz.

- A teraz ktoś znów to robi i ponownie to będzie moja wina.

Już od jakiegoś czasu jestem obrońcą i rozumiem, o co mu chodzi, lepiej niż kiedykolwiek w czasach, gdy byłem prokuratorem. Ma rację. Pod pewnymi względami rzeczywiście go o to obwiniałem. Zresztą nie tylko ja. Wszyscy. Dał potworo-

wi do rąk materiały, które ten później wykorzystał dla zabicia sześciu kobiet.

- Wciąż czekamy - mówię.

Przez chwilę milczy. Kilka razy ciężko wzdycha, pociera twarz ręką, powoli potrząsa głową.

- Powiedziałem tej reporterce, że nie wiem, o czym mówi - odpowiada bez zająknięcia. - Cassie walczyła z wieloma demonami. Nie wiedziałem dokładnie z jakimi. Z pozoru wydawało się, że ma wszystko. Nie potrafiła się jednak uporać z tym, co ją dręczyło. Powinna być najbardziej znaną i lu bianą dziewczyną w całym kampusie, ale jej jedyną przyjaciółką była Ellie. Tak, znałem ją trochę. Tak, czasami miałem prywatne kontakty ze studentami. Ale takie szczegóły były mi obce.

Stoletti jest na tyle bystra, żeby pozwolić mu się wygadać do końca, więc oboje milczymy, aż mamy pewność, że to wszystko. Przynajmniej na razie. Na pewno coś jeszcze ukrywa, ale nie wiem co. Oczywiście przedtem blefowałem. Nie mamy notatek Evelyn Pendry z jej wywiadu z Albanym ani z kimkolwiek innym. Błądzimy po omacku. Po prostu zobaczyłem coś w jego oczach i stosownie do tego działałem.

- Proszę opowiedzieć nam to dokładniej - próbuję.

- Już mówiłem, że nie znam szczegółów. - Macha rękoma w obronnym geście. - Nie wiem, czy w ogóle była w ciąży, a już tym bardziej, czy dokonała aborcji.

- Proszę mówić dalej - rzucam instynktownie. W mojej pracy człowiek uczy się kontrolować reakcje. Chcę, aby wszystko nadal koncentrowało się na nim, a nie na mnie czy Stoletti. Moja towarzyszka wyjęła notatnik i niedbale coś zapisuje.

Ciąża?! Aborcja?!

Cassie Bentley?!

Czuję, jak robi mi się gorąco. Wszystko to jest dla mnie nowe.

Profesor, który stracił już całą pewność siebie, potrzą-

sa głową. Nie ma nam już nic więcej do powiedzenia. Wierzę mu.

- Kto powiedział o tym Evelyn? - pytam. - Skąd wiedziała, o co pytać?

- Nie mam pojęcia. Jest reporterką. Gdybym zapytał, pewnie i tak by mi tego nie wyjawiała. Ale nie zapytałem.

To prawda. Chryste, Evelyn nic mi o tym nie wspominała. Ale z drugiej strony nie za bardzo dałem jej na to szansę.

- Czy Cassie w ogóle miała chłopaka? - pytam, czując ucisk w żołądku. Na to pytanie właśnie ja powinienem znać odpowiedź.

Plotkowano, że była lesbijką. A później żaden szczegół jej osobistego życia nie miał już znaczenia - przynajmniej nie dla sprawy, bo wycofaliśmy zarzuty związane z zamordowaniem tej dziewczyny

- Nie mam pojęcia - mówi Albany.

Stoletti patrzy na mnie, a ja wzruszam ramionami. Przesuwa mu po biurku wizytówkę i wypowiada standardowe zdanie:

- Jeśli coś pan sobie jeszcze przypomni, proszę się z nami skontaktować.

Opuszczam pomieszczenie pierwszy, idę korytarzem, zbiegam po schodach i wychodzę na zewnątrz. Nie jestem do końca pewien, gdzie się znajduję.

Mam jednak pewne pojęcie, gdzie powinienem się udać. Dzwonię z komórki do Shelly.

- Co robisz dziś po południu? - pytam.

28

Stoletti i ja wracamy w milczeniu. Nigdy nie była zbyt przyjaźnie do mnie nastawiona, ale odkąd się dowiedziała, że jestem adwokatem Harlanda Bentleya, nasze relacje stały się

jeszcze chłodniejsze. To milczenie wydaje się dziwne, bo oboje jesteśmy powaleni wiadomością, że Cassie być może była w ciąży i ją przerwała. To prawdziwa bomba, a Stoletti traktuje mnie jak zwykłego pasażera taksówki. Wyczuwam, że to, co miało być polityką otwartych drzwi, stało się zdecydowanie jednostronne.

Przy posterunku przesiadam się do własnego samochodu. Dzwonię z komórki na informację i proszę o podanie pewnego numeru w Lakę Coursey, gdzie według Harlanda wciąż być może mieszka siostrzenica jego byłej żony.

- Gwendolyn Lakę - mówię.

Operator informuje mnie, że są dwa takie numery.

- Gwendolyn Lakę przy Spring Harbor Road i jadłodajnia Gwendolyn Lakę przy County Road 29.

Imprezowiczka i dziedziczka Gwendolyn Lakę prowadzi jadłodajnię?

Odpowiadam mu, że potrzebuję adresów i numerów telefonów, i zapisuję oba. Potem dzwonię do mojej asystentki Betty i proszę, żeby sprawdziła, jak dojechać w oba te miejsca. Mijam budynek szkoły prawniczej, w której pracuje Shelly. Czeka na mnie na zewnątrz. Nie musiała być dzisiaj w sądzie, jest lato, więc ubrała się nieoficjalnie, w bluzkę i dżinsy. Mimo rozczarowania rewelacjami profesora Albany'ego natychmiast czuję się podniesiony na duchu. Wskazuje do samochodu i wdycham jej zapach. Zastanawiam się, czy nie przyciągnąć jej do siebie i nie pocałować, ale potem myślę sobie: Powoli, przecież obiecałem.

Nie opieram się jednak, kiedy zwraca się w moją stronę i mnie całuje.

- A więc to tak zabawiasz dziewczyny na randce? - pyta. - Przesłuchaniami świadka?

Ruszam.

- To na północy - wyjaśniam. - Spodoba ci się okolica. Shelly dorastała na północy stanu, gdzie jej ojciec był prokuratorem, zanim wystartował w wyborach na prokuratora ge-

neralnego stanu, a później na gubernatora. Teraz jest dziewczyną z miasta, ale już nieraz narzekała, że w nocy nie widzi gwiazd, i mówiła, jak bardzo jej brak czystego, rześkiego, świeżego powietrza.

- Kiedy tam dojedziemy - dodaję - możemy poszukać drugiego domu. Jakiegoś miłego miejsca nad jeziorem i z łódką.

Nie chwyta przynęty, więc ciągnę dalej:

- Ale zacznijmy od najważniejszego. Musimy się zatroszczyć, żebyś zaszła w ciążę. A potem oczywiście ślub w rezydencji gubernatora. Mam już wstępną listę gości. Czy dwa tysiące to nie będzie za dużo?

Mam kamienną twarz, oczy wlepione w drogę.

- Kpi pan ze mnie, panie Riley.

Biore jej rękę, którą podaje mi z ociąganiem, i całuję ją.

- Panno Trotter, nie zna pani jeszcze takiego „powoli”, jakie zamierzam pani pokazać.

- Nie zapominaj, Paul, że widziałam cię już, jak biegasz. Życie jest wspaniałe. Czuję się jak nastolatek po pierwszym pocałunku.

- Opowiedz mi, co się stało ubiegłej nocy - prosi.

Ubiegłej nocy musiałem zostawić Shelly, kiedy zadzwonili do mnie w sprawie Evelyn Pendry. Opowiadam jej pełną, długą wersję, a ponieważ mamy do przejechania prawie sto mil, mówię jej też, co się stało dzisiaj u profesora Albany'ego.

Gdy kończę, Shelly stwierdza:

- Ktokolwiek to robi, na pewno ma jakiś plan.

W południe na drodze między stanowej jest zazwyczaj stunkowo pusto. Przekraczam siedemdziesiątkę. Jedziemy przez północną część stanu - w większości rzadko zabudowane, płaskie, rolnicze tereny.

- Ofiary nie są przypadkowe - zastanawia się na głos Shelly. - Evelyn zadzwoniła do Freda Ciancia, a teraz oboje nie żyją. A w dodatku sprawca pozwala znaleźć broń, tę z pio-

senki. Pisze „nie jestem jedyny”. Nie próbuje ukryć tego, co robi. Pytanie tylko dlaczego?

Ma rację z tymi ofiarami. Ciancia można połączyć z Burgosem poprzez telefon tego pierwszego do Carolyn Pendry. A później, niedawno temu, zadzwonił do jej córki Evelyn. To nie przypadek.

- A drugie pytanie - dodaje - co z tym wszystkim ma wspólnego Cassie Bentley? I co mówił Albany o ciąży i aborcji? Nic o tym nie wiedziałeś?

Potrząsam głową.

- Wtedy mówiło się, że „Cassie ma problemy emocjonalne”. To można było wtedy usłyszeć. I że bardzo dba o swoją prywatność. Miała co najwyżej dwie przyjaciółki. Najbliższą przyjaciółką była EUie, jedna z ofiar, więc nigdy nie dowiedzieliśmy się o niej zbyt wiele.

- Problemy emocjonalne? Jakie?

- Zamykała się sama w pokoju. Nie chodziła na zajęcia. Nie spotykała się z ludźmi. Nawet nie jadła. - Wzruszam ramionami. - Bogaty dzieciak, który nie potrafił być szczęśliwy.

Czuję na sobie spojrzenie Shelly.

- Nie mów o tym z takim lekceważeniem. Niełatwo jest mieć sławną rodzinę.

No cóż, Shelly coś o tym wie. Nie miała modelowych relacji z rodziną, gdy jej ojciec obejmował najwyższy urząd w stanie.

- Najwyraźniej - mówię - pogorszyło jej się krótko przed śmiercią. Zamknęła się w kokonie.

Shelly nie odpowiada, ale wiem, że ma na czubku języka te same słowa co ja. Cięża. Aborcja. Wystarczyłoby, żeby posłać studentkę college'u, która i tak już ma problemy emocjonalne, aż na dno.

- Czy Terry Burgos znał Cassie?

- O ile wiemy, nie. Z całą pewnością nigdy tak nie twierdził.

- Myślisz, że to wszystko, co działo się wtedy w jej życiu, miało coś wspólnego z zamordowaniem jej przez Burgosa?

- Nie - odpowiadam. - Myślę, że zabił Cassie, bo była przyjaciółką Ellie. Potrzebował kolejnej ofiary, a ona znalazła się pod ręką.

- Czym zgrzeszyła Cassie? Chodzi mi o to, że każda ofiara popełniła jakiś szczególny grzech, zgadza się?

- No cóż, w tym tkwi sęk. Ostatnim morderstwem w pierwszej zwrotce było samobójstwo. „A teraz już czas powiedzieć do widzenia czyjejs rodzinie, włóż go prosto między zęby i szczęśliwie wystrzel”. To mówi o samobójstwie. Myślę, że Burgos wiedział, że powinien sam się zabić, ale nie chciał tego zrobić. Natknął się na Cassie i zamiast tego zabił ją. I to dlatego go „ocaliła”.

- Jak to „natknął się” na Cassie?

Tego nie wiemy. Burgos nie zeznawał, a psychiatrom opowiadał jedynie o Bogu i grzesznikach. Nie wdawał się w szczegóły, jeśli chodzi o te dziewczyny. Mówię o tym wszystkim Shelly.

- A więc nie wiesz, w jaki sposób uprowadził Cassie?

Czuję się, jakbym sam stał na miejscu dla świadka. Widziałem już, jak Shelly przesłuchuje świadków, i nie chciałbym być na ich miejscu.

- Gryzie cię to? - pyta mnie.

- Nie, wcale.

- To w takim razie dlaczego jedziemy do Lakę Coursey, Paul?

- Gwendolyn Lakę była kuzynką Cassie.

Oprócz Ellie Danzinger i jakiegoś młodego chłopaka, którego imienia nie pamiętam, kuzynka Cassie, Gwendolyn, jest jedyną osobą, która przychodzi mi na myśl. Nie było jej w pobliżu, gdy zamordowano Cassie, ale najwyraźniej pojawiała się od czasu do czasu w mieście i spędzała z nią trochę czasu.

- Nie - mówi Shelly. - Pytałam o to, dlaczego ty tam je dziesz?

Na usta wypełza mi uśmiech. Shelly potrafi nieźle czytać w moich myślach.

- Nie możesz znieść, że w tej sprawie było coś, o czym nie wiedziałeś?

Być może ma rację. Jednak zamiast odpowiedzię wciskam w mojej komórce szybkie wybieranie numeru Joela Lightnera. Włączam zestaw głośnomówiący i kładę go pomiędzy mną a Shelly.

- Hej! - odzywa się Lightner, który na swoim wyświetlaczu widzi, kto dzwoni.

- Słuchaj Joel, siedzę w samochodzie z Shelly.

- Z... O rany, świetnie! Witaj, Shelly!

- Cześć, Joel!

Szybko opowiadam mu, co się wydarzyło. Lightner jest jedynym człowiekiem na świecie, który wie o Terrym Burgo- sie tyle co ja.

- Cassie była w ciąży? - pyta. - Myślałem, że to lesba. To znaczy... że należała do społeczności gejów i lesbijek, Shelly.

- Jesteś prawdziwym człowiekiem renesansu, Joel! - woła do niego Shelly.

- Słuchaj, Joel. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Harlandem. Evelyn Pendry kontaktowała się także z nim. Zada- wała mu różne pytania o Cassie.

- Jakie? O ciążę i aborcję?

- Nie powiedział tego, ale domyślałem się, że tak, I bardzo mu zależało, aby to nie wyszło na światło dzienne. No wiesz: „Cassie już i tak tyle wycierpiała”, tego typu rzeczy. Chciał, żebym zamknęła usta Evelyn.

- No, teraz to ma całkiem skutecznie zamknięte usta. Tak. To akurat prawda. Zdejmuję stopę z gazu, zauwa- żając radiowóz ukryty za wiaduktem.

- Joel, co pamiętasz o Gwendolyn Lake?

- Gwendolyn... - zastanawia się na głos. - Kuzynka Cassie. Ta królowa imprez? Pamiętam tyle co nic. Paskudna i wredna, o ile sobie dobrze przypominam, ale gdy popełniono morderstwa, była w Europie, więc tak naprawdę nie miała dla nas większego znaczenia.

- Racja - wzdycham. - A jak się nazywał ten przyjaciel Cassie? Ten chłopak, który trzymał się z nią i z Ellie?

- Aaa, ten przystojniaczek?

- Tak, nieźle się prezentował.

- Płakał jak dziecko - wspomina Lightner.

To fakt. Był wrażliwym gościem. Trzymał się całkiem nieźle, gdy przygotowywałem go do zeznań w decydującej fazie rozprawy, ale załamał się na sali sądowej. Łkał jak dziecko.

- Przystojny i wrażliwy - mówi Shelly. - Ma kogoś?

- Mitchum - przypomina sobie Lightner.

- Brandon Mitchum. Tak, racja. Joel, znajdź go, dobrze?

- Po co?

- Po co? Bo płacę ci za to, że robisz to, o co proszę, a nie żebyś pytał, do czego mi to potrzebne.

- To tak zgrywasz twardziela przed swoją dziewczyną?

Patrząc na Shelly, która okrywa się rumieńcem.

- To znaczy... Wy znowu jesteście parą, tak?

Shelly się śmieje. Czuje, że ja też mam zaczerwienione policzki.

- No cóż, dzięki Bogu - mówi Lightner. - No, a **ten** Brandon Mitchum? Tak na serio, Riley, po co ci to?

O to samo pytała Shelly. To tak jak swędzące miejsce, które muszę podrapać... czy coś w tym rodzaju.

- Słuchaj - mówi. - Co to za gliniarze, z którymi pracujesz?

- Mike McDermott - mówię. - I Ricki Stoletti.

- Nie znam Stoletti.

- Przeniosła się parę lat temu z przedmieść. Wydział poważnych przestępstw.

- McDermott to dobry policjant. Znam go trochę. To gli-niarz z krwi i kości. Sporo przeszedł ze swoją żoną.

- Jak to?

- Parę lat temu - mówi Joel - jego żona strzeliła sobie w łeb.

Shelly się wzdyga. Żona McDermotta popełniła samo-bójstwo?!

- O Jezu!

- Miała... jak to się mówi... psychozę maniakalno-depre-syjną. Tak mi się wydaje. Skrajne skoki nastrojów. Gdy pew-nego dnia wrócił do domu, leżała w łazience. A jego trzylet-nia córka siedziała skulona pod prysznicem i ssała kciuk.

- O cholera! - Zakrywam usta dłonią. - Trzyletnia córka?!

To wyjaśnia reakcję McDermotta wtedy, na spotkaniu gru-py zadaniowej, gdy ktoś rzucił komentarz o „świrze”. Nie po-trafię sobie nawet wyobrazić, jak musiał się czuć.

- Przynajmniej nie widziała, jak to się stało, ale i tak... Kapujesz? Twoja matka z odstrzelonym tyłem głowy, kiedy masz trzy lata?

Potrząsam głową.

- No dobra, kończę. Chcę się czegoś dowiedzieć o Cassie Bentley.

Lightner nie od razu odpowiada. Zazwyczaj jego riposty są błyskawiczne.

- Nagle zainteresowałeś się tym osobiście?

- Być może - mówię. - Znajdź dla mnie Brandona Mi-tchuma.

Rozłączam się.

Kolejny dzień. Kolejny hotel. Ten stoi na przedmieściach - taka sieć o raczej przeciętnym poziomie.

Leo trzykrotnie okrąża to miejsce samochodem, zagląda-jąc do holu, obserwując w lusterku, czy nie nadjeżdżają ja-kieś nowe samochody, które mogłyby wjechać na parking, bo oni utrzymywaliby dystans, nie zachowywaliby się w tak

oczywisty sposób. Z wahaniem zbliża się do holu, bada miejsca, gdzie może być zasadzka, patrzy na dach, wypatruje samochodów, obserwuje, czy żadne auto nie porusza się gwałtownie na parkingu. Ale robi to tak, że wydaje się, jakby nie robił nic. W razie potrzeby będzie gotowy, ale oni nie będą gotowi na niego.

Kiedy wchodzi, hol jest pusty, ale on przekracza tylko główne wejście i chowa się we wnęce. Czeką, aż ktoś będzie przechodził. Trzyma otwarte czasopismo. Gdyby ktoś się zastanawiał, co robi, to czyta gazetę, po prostu sobie czyta, ale jego oczy błędzą, wciąż ich szukają. Jest prawie pewien, że nie był śledzony, ale nie zamierza ryzykować.

Mija pięć minut, dziesięć. Podchodzi do recepcji, przedstawia się fałszywym nazwiskiem i płaci gotówką za jedną noc. Bierze darmową gazetę, jedzie windą o jedno piętro wyżej i wchodzi na antresolę nad holem. Znowu się upewnia, czy nie był śledzony.

Czeka, od niechcienia otwiera „The Watch”. Na pierwszej stronie roi się od informacji: morderstwo, brutalne morderstwo, szokujące morderstwo, reporterka naszej gazety, córka prezenterki telewizyjnej Carolyn Pendry, młoda reporterka, reporterka zajmująca się przestępczością. Nie piszą nic o tym, jak szybko się potrafiła poruszać. Leo to wie, zerwał jej ścięgno, bo się o tym przekonał; złe pociągnięcie, kiepska noga.

Miała silną wolę, widział to w oczach Evelyn, wyzwanie na jej twarzy, które nie znikło nawet wtedy, gdy miał nad nią całkowitą kontrolę. Tak jak Kat. Zupełnie jak Kat, tak samo stalowo zaciskała szczękę, patrząc śmierci w oczy, nie tak jak większość z nich, większość z nich. Nieważne - kobiet czy mężczyzn. Oni nieruchomieją, na koniec się z tym godzą, nawet kiedy nie mogą w to uwierzyć...

Wjeżdża windą i wsuwa kartę do drzwi. W pokoju są dwa osobne łóżka. Zbyt dużo czasu poświęcił tej nocy na zmylenie ogona, teraz potrzebuje snu. Wolałby większe łóżko, ale spisał już w o wiele gorszych. Przyzwyczyił się do tego.

W Lefortowie metalowe pręty podpierające cienki siennik były ustawione w takich odstępach, że ten przez nie przelatywał. Nauczył się brać jakąś gazetę czy czasopismo, coś, co pozwalali mu czytać, i wtykał to pomiędzy te pręty, żeby zapewnić dodatkowe podparcie. Nigdy jednak nie mógł pozbyć się uczucia, że śpi na gołej kracie. Robili to umyślnie, wiedział to. Nie chcieli, żeby więźniowie byli wypoczęci. A przynajmniej nie tacy jak on.

Pada na łóżko i myśli o Kat. Ona z nich wszystkich zakpiła. Myśleli, że jest słodką dziewczyną, która nigdy nie zrobiłaby nic złego. Pamiętał lzy, własne lzy, spadające na jej twarz, gdy wbiła w niego wzrok. Sam prawie jej uwierzył.

Zajęło im to dwa lata. Dwadzieścia trzy miesiące i siedem dni - wie to dokładnie, bo skreślał dni na ścianie. Przez dwa lata gapił się w czarne drzwi, porozumiewał się z innymi więźniami, krzycząc do muszli klozetowej albo przez rury do innej celi. Dwa lata wymyślania sposobów, żeby się wdrapać po ścianie do jedynej żarówki w suficie i odpalić od niej peta. Dwa lata, zanim odkryli, że miał rację, zanim mężczyźni w mundurach z niebieskimi lamówkami przyszli po niego.

Zamyka oczy. Czuje, jak ogarnia go zmęczenie. Oczy kryją się w cieniu powiek.

Ale potem uderzenie błyskawicy w żołądku. Pałący kwas. Zwija się w kłębek, znów ból ścięgna, nie może się rozluźnić, nie może spać, dopóki nie skończy, a jeszcze nie skończył, nie po Evelyn. To musi być dziś w nocy, a on jeszcze nawet nie wie, gdzie mieszka Brandon Mitchum, ma jeszcze dużo roboty, bo to musi być dziś w nocy...

Leo wstaje z łóżka i rusza w stronę drzwi.

Gdy zjechaliśmy już z drogi międzystanowej, Shelly czyta mi pisemne instrukcje od Betty. Jadę różnymi drugorzędnymi drogami, zanim docieram do punktu, w którym przecinają się trasy do domu Gwendolyn i do jadalni noszącej jej nazwisko. Ponieważ jest już prawie wpół do trzeciej,

dzwonię do jadłodajni. Kobieta, która podnosi słuchawkę, mówi, że Gwendolyn nie ma, więc postanawiam jechać do jej domu.

„Na świeżo” - tak mówiła Stoletti o przesłuchiowaniu świadków. Bez żadnych powiadomień. To ma sens. Równie dobrze mogę zajrzeć do Gwendolyn i zobaczyć, czego się zdołam dowiedzieć.

Drogi są szerokie i w większości nieoznaczone. Mijam drzewa i różne jeziora, rozmyty ciemny brąz, zielenie i błękit. Niebo zaczyna się chmurzyć, ale i tak wciąż pozostaje pogodne. Żyjąc i pracując wśród drapaczy chmur, nieczęsto to widuję. To o tym właśnie mówiła Shelly, która dorastała na północy stanu - że z dala od miasta jest o wiele jaśniej i czystiej. Nie chodzi o to, że nigdy nie opuszczałem miasta, ale mimo całych tych pieniędzy, które mam, nigdy nie miałem drugiego domu ani nawet nie wyjeżdżałem często na wakacje. Prawo to nie tylko moja praca, ale i moje hobby. Przypuszczam, że to coś o mnie mówi.

Wkrótce drogi nie są już asfaltowe i znaki pojawiają się coraz rzadziej. Skręcam według instrukcji i znajduję się w miejscu, które chłopak z miasta - taki jak ja - określiliby mianem działek. To grupka domków z bali i desek stojących w sporej odległości od siebie. Dzieci biegają w kostiumach kąpielowych, a za nimi uganiają się psy.

Z nadzieją, że znalazłem właściwe miejsce, wjeżdżam na zwirowy podjazd i zatrzymuję mojego cadillaca. Koła ślizgają się po kruszonym kamieniu. Dom to nic szczególnego, rustykalna chatka z sosny, dość skromnych rozmiarów, ukryta w gęstym cieniu drzew. Zapach świeżo ściętej trawy miesza się z wonią wiatru od strony jeziora. Prostuję nogi i ruszamy w jej kierunku. Shelly rozgląda się wokół z błogim wyrazem twarzy. Spoglądam w dół tylnego podwórza, opadającego stokiem do jeziora, i na kobietę stojącą przy zielonym daszku na przystani. Przysłania oczy ręką i również na mnie patrzy.

Matka Natalii i Mii Lakę była w Rosji baleriną. Ta piękna kobieta nazywała się Nikita Kiri czy jakoś tak. Poznała Conrada Lakę'a, dziedzica górniczej fortuny Lakę'ów z Wirginii Zachodniej, który w latach czterdziestych osiedlił się na Środkowym Zachodzie. Według opowieści, gdy Conrad zobaczył wówczas osiemnastoletnią Nikitę w rosyjskim balecie, natychmiast zaczął się starać o jej względy i koniec końców dziewczynę poślubił. I sprowadził do Stanów, przypuszczalnie płacąc mnóstwo pieniędzy członkom sowieckiego Politbiura za pozwolenie wywiezienia jej z kraju. Ich córki, Mia i Natalia, odziedziczyły wszystkie ich pieniądze i znaczną część urody matki. One z kolei przekazały te wspaniałe cechy swoim córkom, Gwendolyn i Cassandrze. Jestem bardziej pewny tej oceny w odniesieniu do Cassie, bo widziałem wiele jej zdjęć. W tamtym czasie wpadło mi w ręce tylko jedno zdjęcie Gwendolyn, zrobione, kiedy była jeszcze nastolatką. Usiłuję sobie teraz przypomnieć, jak na nim wyglądała. A wyglądała jak jedna z Lake'ów - tyle pamiętam. Była bardzo podobna do Cassie i Natalii - i prawdopodobnie do Mii: szczupła brunetka, kształt jej długiego podbródka i nosa świadczył o rosyjskim pochodzeniu. Krótko mówiąc - niesamowita. Można sobie było wyobrazić, że za szesnaście lat będzie prawdziwą pięknoscią - kiedy dojrzeje, a najlepsi fryzjerzy i kosmetyki pomogą naturze.

Kobieta zbliżająca się od strony przystani to zupełnie inny typ. Ma okrągłą, sympatyczną twarz, gęste rude włosy opadają leniwie na ramiona. Ubrana jest prosto w długą koszulę, dzinsowe szorty i sandały. Jednak nawet przez okulary w rogowych oprawkach dostrzegam w jej oczach piękno królowej imprez. Są owalne i przenikliwie zielone, choć zapierająca dech w piersiach uroda została przytłumiona dodatkowymi dziesięcioma kilogramami i trochę hipisowskim ubiorem. Teraz widać w niej więcej spokojnego, cichego piękna - skrajnego przeciwieństwa dawnego blasku. Bardziej na mojej fali.

Przedstawiam siebie i Shelly jako prawników z miasta. Przez chwilę patrzy zmartwiona.

- Czy z Nat wszystko w porządku - pyta? Chodzi jej o ciotkę Natalię.

Potem wyraz jej twarzy się zmienia. Widzę, że zostawiła miasto daleko za sobą i cieszy się z tej decyzji.

- Jak... Jak właściwie mnie znaleźliście? - pyta zdziwiona.

Dlaczego o to pytasz? Nie chciałaś, żeby cię odnaleziono? Mam ochotę zadać jej te pytania.

- Gdybym miał czas, żeby do pani zadzwonić i się umówić, to na pewno bym to zrobił. Przepraszam. To bardzo ważne. Nie zajmujemy pani dużo czasu.

Milczy przez chwilę, jakby zmagając się z sobą, a ja się modlę, żeby to wszystko nie okazało się stratą czasu. A z drugiej strony, jeśli mnie po prostu spławi, to też będzie o czymś świadczyć.

- Myślmy - mówię - że ktoś znów zabija zgodnie ze słowami tamtej piosenki. Kilka osób zostało zamordowanych.

To na nią działa. Jej oczy się rozszerzają, twarz łagodnieje. Wskazuje za siebie, w stronę przystani.

- Właśnie chciałam popływać łodzią - mówi.

29

McDermott szybko rzuca okiem na błyszczące fotografie ofiar. Zna już szczegóły - rana na prawej skroni, roztrzaskany szczyt czaszki i grad ciosów, który na nią spadł. Ktokolwiek to zrobił, nie miał żadnych skrupułów, nie wahał się ani przez chwilę.

To, co zobaczył, mu wystarcza. I tak już widział więcej, niż chciał.

Stoletti zdejmuje zdjęcia z jego biurka i je przegląda. Jest jego partnerką już dość długo. Dobrze wie, iż McDermott ma

z tym problem, jeśli ofiarami są kobiety. Jest na tyle bystra, żeby wiedzieć dlaczego, chociaż nigdy o tym nie rozmawiali.

Z czasem wcale nie zrobiło się łatwiej. Po śmierci Joyce - po tym, jak znalazł ją martwą tam, w łazience - doszedł do wniosku, że potrzebuje czasu, zanim znów będzie w stanie spojrzeć na inne ciało i nie zrobi to na nim wrażenia. Minęły już jednak cztery cholerne lata i nadal - przynajmniej w przypadku kobiet - za każdym razem kuli się w sobie. Około czterdziestu sześciu procent ofiar to kobiety. A to daje wiele miejsc zbrodni, z którymi nie chce się mieć nic wspólnego, i wiele zdjęć, których oglądania nie możesz znieść.

Nie potrafi wyprzeć tych obrazów w nocy. Nie potrafi ich wyprzeć w świetle słońca ani w krzątaniu pełnego zajęć dnia. W samych miejscach zbrodni jest coś takiego - owo przemożne wrażenie i zapach śmierci - co przypomina mu to żywiej, niż w innych okolicznościach pozwalałaby na to wyobraźnia. Puste spojrzenie jej oczu, dziwne ułożenie ciała, nogi rozpostarte w stężeniu pośmiertnym, ciało przekręcone na prawą stronę, jak przewalony na bok pomnik, kałuża krwi prowadząca aż do wanny, w której malutka Gracie siedziała bez ruchu, z zaciśniętymi z całej siły oczami, rączkami na uszach, lekko kołysząc ciałem.

Widzi te ofiary - takie jak te tutaj na błyszczących zdjęciach - i wyobraża sobie reakcje ich bliskich, takie jak jego własna reakcja. Nic, absolutnie nic nie mogłoby być gorsze od tego.

Ciągle obwinia kogoś innego. Tak, są takie chwile, gdy kieruje swój gniew na Joyce, gdy przypisuje żonie odpowiedzialność i świadomość, o których w głębi serca wie, że już ich po prostu nie miała.

Jednak przez większość czasu znajduje sobie odpowiedni obiekt złości. Wcześniej powinien zauważyć zachodzące w Joyce zmiany. Powinien być bardziej stanowczy, jeśli chodzi o jej leczenie.

No i to, co się stało w nocy przed jej śmiercią i następnego

ranka. Po prostu nie ma żadnej innej osoby, którą można by winić.

Zabawne, że nigdy nie pomyślał o odejściu z pracy. Całkiem niezłe mógłby to uzasadnić. Detektyw do spraw zabójstw, który nie lubi miejsc zbrodni, przypomina akrobatę z lękiem wysokości. Jest jednak synem i wnukiem gliniarza, ta praca to wszystko, czego kiedykolwiek chciał. Wszystko, na czym się zna. I dobrze ją wykonuje. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Wciąż jest dobrym policjantem.

No jasne. Dobry gliniarz, niezły nos, wyczulona intuicja i nawet nie zauważył, że jego własna żona powoli traci rozum.

- To wszystko... - mówi Stoletti - ...po prostu nie ma sensu.

McDermott wypada z transu.

- Co?

- Według mnie to się nie trzyma kupy, Mike. To dziwne.

Nabiera powietrza do płuc. Opada na krzesło. Dobrze.

Gadka o sprawie. Znany grunt.

- Jaki był podczas rozmowy z Albanym? - pyta McDermott.

- W porządku. Tak naprawdę to był całkiem niezły - przyznaje. - Lepiej przycisnął profesora, aby zaczął gadać, niż ja. To jego zasługa, że wyciągnęliśmy z niego to o aborcjach i ciążyach.

McDermott się zastanawia.

- Myślę, że mając nowe informacje, można spojrzeć na to przesłuchanie w innym świetle.

Jeden z pozostałych detektywów, Koessl, wchodzi do sali konferencyjnej i otwiera notes.

- Słuchaj, Mike, jest osiem sklepów detalicznych, które sprzedają piły łańcuchowe Trim-Meter. Dwa w mieście, sześć w jego okolicach.

- Tylko osiem?

- Trim-Meter już od prawie dziesięciu lat nie produkuje pił łańcuchowych. W paru miejscach sprzedają używane. Jed-

nak żaden z tych sklepów nie sprzedał takiej piły w ostatnich trzech miesiącach.

- Dobrze, Tom - wzdycha McDermott. - Powiedzieliście im, żeby zadzwonili do nas, jeśli ktoś będzie próbował kupić ją u nich?

- No jasne - mówi.

Gdy detektyw wychodzi z pomieszczenia, znów są w punkcie wyjścia.

- Nie mieszaj do tego swoich osobistych uczuć - mówi McDermott do Stoletti. Partnerka rzuca mu szybkie spojrzenie. Nie zasłużyła na takie uwagi. Niezależnie od tego, jakie są jej uczucia w stosunku do Paula Riley'a, McDermott zdążył się już przekonać, że Ricki jest świetną policjantką. Po raz pierwszy przydzielono mu na współpracownika kobietę, co go nie wprawiło w euforię, ale prawdopodobnie Stoletti jest najlepszym partnerem, jakiego kiedykolwiek miał. Pewnie ma to coś wspólnego z brakiem testosteronu i z mniejszym ego. Zawsze potrafiła trzeźwo ocenić sytuację. Odkrył też, że polega na jej nosie w nie mniejszym stopniu niż na swoim własnym.

- Pytanie tylko, czy ta nowa sprawa nie ma związku z całą resztą. Czy to zbieg okoliczności?

McDermott kiwa głową.

- Trudno pomyśleć, że to zbieg okoliczności.

- Ale w takim razie Paul Riley jest mordercą- stwierdza Stoletti.

Inny detektyw, Bax, wsuwa głowę przez drzwi.

- Szefie, mamy coś o Fredzie Cianciu. Chodź i sam zobacz.

Stoletti patrzy na McDermotta.

- Jeszcze o tym pogadamy - mówi i oboje wstają.

Gdy już ma zamiar wyjść, McDermott łapie ją za ramię.

- W laboratorium wciąż powinni mieć próbki po Burgo-sie, zgadza się?

Stoletti to potwierdza. Ekipa techniczna prokuratury okre-

gowej ma ogromny budynek z archiwum w zachodniej części miasta.

- Mamy teraz coś, czego nie mieli w 1989 roku - mówi McDermott.

Stoletti patrzy na niego, potem powoli kiwa głową.

- Chcesz przeprowadzić testy DNA Terry'ego Burgosa i ofiar?

- Tak - odpowiada. - I nie będziemy czekać dwa miesiące, Ricki. Powiedz im to, co trzeba. Wymień nazwisko komendanta. Niech potraktują to jako priorytet.

Na przystani Gwendolyn obraca wielkie koło, opuszczając łódź na wodę. Proponuję pomoc, ale odmawia. Jej twarz zdradza znane mi napięcie. Gdy łódź jest już na wodzie, znów patrzy na mnie, jakby chciała mi dać drugą szansę. Prawdopodobnie odgadła moje myśli, widząc, jaką mam minę.

- Nie lubi pan wody?

Shelly również szybko zwraca się w moją stronę, tłumiąc uśmiech i czekając, jak zareaguję. Bardzo dobrze wie, że mam mały problem z pływaniem. Polega on na tym, że nie potrafię pływać. Rękami i nogami poruszam tak jak trzeba, ale idę pod wodę. Za każdym razem. Mimo to chętnie przeleciałbym się lotnią nad Andami, gdyby to tylko miało rozwiązać język Gwendolyn.

Kiedy wchodzimy na łódź, odpala silnik. Tak naprawdę to ma ona jeden długi, płaski pokład, otoczony ze wszystkich stron relingiem z białej skóry. Siedzenia mają białą skórzaną tapicerkę. Z jednej strony znajduje się koło sterowe i tablica kontrolna. Pokład spoczywa na czymś, co -jak mi się wydaje - jest ulepszonymi płozami. To wszystko przypomina jakieś ogromne, wodne sanie.

- Ponton - informuje mnie, wyprowadzając łódź spod da chu. - A więc to pan oskarżał Burgosa? A teraz jest pan ad wokatem Harlanda...

Sposób, w jaki łączy ze sobą te dwa fakty, sprawia, że

czuję się niezręcznie. Niezbyt to się różni od tego, jak to ujęła Evelyn Pendry.

- Tak. U niego wszystko w porządku - dodaję, choć nie pytała.

- Nie wątpię - mamrocze Gwendolyn.

Prowadzi ponton naprzód, a ja siedzę, czując się w miarę komfortowo. Bryza zmniejsza żar od słońca ponad naszymi głowami. Wypływamy na środek ogromnego jeziora, a ona wyłącza silnik, co powinno silniej dać nam odczuć, że woda jest wzburzona, ale być może zwiększona stabilność jest jedną z zalet pontonu. Widzę drewniane domki stojące po obu brzegach, dzieci skaczące do wody z przystani i bawiące się na wielkich zjeżdżalniach. Wokół nas odbijają się echem okrzyki ludzi jeżdżących na nartach wodnych i ciągniętych na dmuchanych rurach za motorówkami. I szum silników.

Reakcja kobiety pasuje do tego, co myślał o niej Harland. Gdy prowadziliśmy śledztwo przeciwko Burgosowi, imię Gwendolyn pojawiło się raz czy dwa, ale tylko dlatego, że tak niewielu ludzi znało Cassie. Z tego, co słyszeliśmy, Gwendolyn stanowiła skrajne przeciwieństwo córki Bentleya. Gwen była zepsuta, rozpuszczoną królową imprez, Cassie niewinną samotniczką. Nigdy jednak jej nie widziałem, bo przez cały ten czas przebywała za granicą. Mimo to muszę przyznać, że w tej kobiecie nie widzę nic złego. Nie sprawia też wrażenia rozpieszczonej. Zadziałała magia czasu.

- Ma pani jadłodajnię? - pytam.

Uśmiecha się łagodnie.

- Ta społeczność traci sklepy i restauracje. Podoba mi się to, że mam miejsce, w którym mogą się spotykać. - Kiwa głową, zastanawiając się nad tym.

Postanawiam, że zrobię to powoli. Twarz Gwendolyn łagodnieje, gdy wystawia ją do słońca. To jej ucieczka.

Proponuje mi drinka z lodówki, ale odmawiam. Sadowi się naprzeciwko mnie. Shelly siedzi obok i milczy. Podwija rękawy i dół spodni, zamyka oczy i wystawia twarz do słoń-

ca. Rozgrywa to właściwie. To ma być nieformalna rozmowa, a w sytuacjach dwóch na jednego ludzie zwykle czują się mniej pewnie. Shelly zamierza tylko słuchać.

Bryza przynosi ze sobą zapach kokosowego olejku do opalania, którego używa Gwendolyn. Ma jasną, rosyjską cerę i olejek zdecydowanie dobrze jej zrobi, bo skóra panny Lakę przybrała już ciemnoróżowy odcień.

Teraz, gdy nie można się ukryć w cieniu, temperatura robi się trudna do zniesienia. Zdejmuję marynarkę, podwijam rękawy i jeszcze raz zastanawiam się nad tym drinkiem.

- Podoba mi się tu - mówi Gwendolyn. - Ludzie mówią tu to, co myślą, i myślą to, co mówią.

Spoglądam na moją aktówkę i uświadamiam sobie, że nie mam pod ręką długopisu ani notatnika. Przywykłem, że notatki robi za mnie ktoś inny albo że protokolant w sądzie zapisuje każde słowo. Jednak z całą pewnością nie zamierzałem teraz wyjmować notatnika. Notatniki i magnetofony zamykają ludziom usta. Wyciągam natomiast ręce na tapicerce, opieram głowę o reling, zamykam oczy i również wystawiam twarz do słońca. Mógłbym tu zasnąć i spać przez wiele godzin.

- Kiedy ma się pieniądze - mówi Gwendolyn - nie trzeba o niczym myśleć. Nie istnieje nic, co byłoby poza twoim za sięgiem. A więc ciągle sięgasz, z nadzieją, że znajdziesz ja kieś granice. Nie znajdujesz ich, więc dalej przesz naprzód, dopóki... dopóki, nie przewróci ci się w głowie.

- Przewróciło się pani w głowie? - pytam.

Łódź kołysze się na fali.

- Oczywiście, że tak. Piłam, brałam narkotyki i spałam, z kim popadnie.

Uprzejmie słucham tej historyjki o bogatym dzieciaku na terapii, smutnych bogatych bywalcach salonów, przenoszących się z jednej imprezki na drugą, latających sobie do Europy prywatnymi odrzutowcami, podczas gdy wszystko, czego tak naprawdę pragną, to być kochanym.

- A co z Cassie? - pytam, zastanawiając się, czy dobrze robię, przerywając jej w tym miejscu.

- Cassie? - Gwendolyn traci pewność siebie i wpatruje się w trzymaną w dłoni puszkę napoju. - Cassie miała wielkie serce. Była niezwykle wspaniałomyślna. Ale absolutnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robię. Nie mogła się zdecydować, czy chce być lubiana czy dobra, czy jeszcze jakaś inna.

Gwendolyn zagryza wargę. Jej twarz się rumieni.

- Była śmiertelnie przerażona - dodaje.

- Staram się wczuć w to, co się wtedy działo w jej życiu, Gwendolyn. Potrzebuję twojej pomocy.

Powoli kręci głową.

- Wydawało mi się, że ty wiesz to lepiej niż ktokolwiek.

- Jak zapewne się orientujesz, nie stawialiśmy zarzutów związanych ze śmiercią Cassie, więc nigdy nie dotarliśmy do punktu, w którym... - zauważam wyraz twarzy Gwendolyn - ...nigdy nie sięgaliśmy tak głęboko. Wiesz, że nie było zarzutów, prawda?

Wzrusza ramionami. Nie wiedziała?

- Czemu nie stawialiście zarzutów związanych ze śmiercią Cassie? Nie rozumiem.

Szybko jej to wyjaśniam, tłumacząc koncepcję zatrzymywania jednego morderstwa w zanadru na wypadek, gdyby Burgosowi się poszczęściło, bo wtedy mielibyśmy drugą szansę. Prawne smaczki i niuanse wydają się jej umykać, a ja wciąż próbuję zrozumieć, jakim cudem pozostała tak daleko od tej sprawy.

- Gdzie byłaś, kiedy to się stało? - pytam. - Próbowaliśmy cię namierzyć.

Kolejne wzruszenie ramion.

- Nie wiedziałam, że próbowaliście.

- Gdzie wtedy byłaś?

- Mogłam być wszędzie. Wtedy? Wtedy nie miało znaczenia, gdzie jestem. Wszędzie było tak samo.

Wzdycha. To tak, jakby próbować złapać w garść światło słońca. Muszę sprowadzić tę kobietę z kozetki psychiatry i postawić ją na miejscu dla świadka. Ale tutaj nic nie mogę zrobić. Jak chce, może mi pokazać palec. Albo zepchnąć mnie z tej łodzi, a ja się utopię.

- Prawdopodobnie na Riwierze - mówi. - Albo na Karaibach.

- No to spróbujmy inaczej. Kiedy ostatnim razem byłaś w mieście przed śmiercią Cassie?

Unosi rękę.

- Chyba jakiś miesiąc wcześniej. Gdyby mi pan powiedział, że to były trzy miesiące, uwierzyłabym panu. Gdyby mi pan powiedział, że trzy dni, też bym uwierzyła.

- Trzy dni? - nie potrafię ukryć niedowierzania w głosie. - Nie masz żadnego poczucia, ile czasu upłynęło między chwilą, gdy ostatni raz widziałas Cassie, a tą, w której się dowiedziałas, że ją zamordowano?

- Och, to już inna kwestia.

Odgarnia z czoła kosmyk włosów tylko po to, żeby wiatr znów zwał go między oczy.

- Dowiedziałam się o wiele później. Parę miesięcy. Nie sądzę, żeby pan to mógł zrozumieć - dodaje, dostrzegając moją reakcję. - Moja matka zmarła. Nigdy nie miałam ojca. Jestem pewna, że ciocia Natalia starała się ze mną skomunikować, ale nie wiedziała, gdzie jestem. Z nikim się nie kontaktowałam. Wtedy wyglądało wszystko inaczej. Nie było telefonów komórkowych, panie Riley. A ja niekoniecznie mówiłam, gdzie mnie szukać.

Próbuję na to spojrzeć z perspektywy Gwendolyn. Może na początku oceniałam ją trochę za surowo. Matka zabiła się, prowadząc samochód po pijanemu, a Gwendolyn najwyraźniej nie wiedziała, kto był jej ojcem. Przypuszczam, że żadne pieniądze na świecie nie mogą sprawić, aby to było łatwe.

- Musiałaś być bardzo samotna - mówi Shelly.

Gwendolyn uśmiecha się do niej. Potem patrzy na mnie.

- Proszę mi zadać te pańskie pytania, panie Riley.
- Czy Cassie była lesbijką?
- Z tego, co wiem, to nie. - Uśmiecha się z nostalgią. - Kiedy się chodzi do szkoły tylko dla dziewcząt, wszyscy myślą o tobie, że musisz być lesbijką.

W porządku. Dobrze powiedziane. Gdy popełniono te morderstwa, Mansbury dopiero od niedawna było uczelnią koedukacyjną.

- Myślisz, że gdyby tak było, wiedziałabyś o tym? Ta myśl ją bawi.

- Może. A może nie.

- Czy Cassie wtedy z kimś się spotykała?

- Z tego, co wiem, to nie - mówi. - Ale trudno mi o tym coś powiedzieć. Nie przypominam sobie, żeby Cassie często chodziła na randki. I tyle. Pod tym względem była strasznie nieśmiała. To dość dziwne. Czasami potrafiła być bardzo towarzyska. Wychodziła gdzieś i bawiła się całą noc. Ale wątpię, czy kiedykolwiek była z mężczyzną.

Myślę o słowach piosenki i o ustępie z Księgi Powtórzonego Prawa, mówiącym o ukamienowaniu nierządniczy.

- Myślisz, że była dziewicą? - pytam.

- Och, tego nie wiem.

- A więc zakładam, że wiedziałabyś, gdyby była w ciąży?

- W ciąży? - Gwendolyn odchyła się do tyłu. - A skąd przyszło to panu do głowy?

Nie widzę powodu, żeby nie mówić jej o tym, co wiem. Cholera. Przejechałem taki kawał drogi.

- Jedna z niedawno zamordowanych osób była reporterką. Zadała to pytanie dotyczące Cassie.

Gwendolyn powoli kiwa głową, potem przecząco nią kręci.

- Nie mam pojęcia - mówi. - Tak czy inaczej nie jestem pewna, czy Cassie zwróciłaby się z czymś takim właśnie do mnie.

Świetnie. Ta cała wycieczka wygląda na stratę czasu.

- Co możesz mi powiedzieć o Brandonie Mitchumie?

To był ten student pierwszego roku z Mansbury, który trzymał się z Cassie i Ellie. Lightner właśnie mi o nim przypomniał.

Jej twarz się rozjaśnia. Rozpoznaje nazwisko.

- Brandon Mitchum - mówi z namaszczeniem. - Co tam u Brandona?

- Znała go pani?

- Tak - kiwa głową, a na ustach pojawia się ciepły uśmiech. - Tak, znałam Brandona. Boże!

Przez chwilę cieszy się tym wspomnieniem.

- Był takim miłym facetem. Och! - marszczy brwi. - Och, to musiało być dla niego takie trudne. Cassie i Ellie. Obie.

- Proszę mi powiedzieć o Ellie.

- Ellie. - Krzywi się. - No cóż, była bardziej podobna do mnie. Dużo imprezowała. I bała się go.

Gwendolyn podnosi palec i dodaje:

- Bardzo się go bała.

- Bała się Brandona?

- Nie. Nie Brandona.

Patrzę na nią z kamienną twarzą.

- Chodzi pani o Terry'ego Burgosa - mówi Shelly.

- Podejrzewała, że on coś zrobi - ciągnie dalej Gwendolyn. - Zawsze powtarzała, że zakaz zbliżania się nic nie znaczy dla psychopaty.

Z przekonaniem kiwa głową.

- Tak, bardzo się go bała...

Łagodna bryza przynosi ulgę. To wszystko wydaje się takie dziwaczne. Rozmawiam ze świadkiem na łodzi. Z punktu widzenia Gwendolyn - jak przypuszczam - to jej własne podwórko.

- Znała pani Burgosa?

Marszczy brwi i potrząsa głową.

- Mój Boże! Nie! Ale Ellie czasem o nim mówiła. Na prawdę ją przerażał.

- Co jeszcze może mi pani powiedzieć o Brandonie?
- No cóż, jak już mówiłam, był miłym facetem.
- Przystojny facet, pamiętam - stwierdzam. - Było coś między nim a Ellie?

Rozkłada ręce.

- Wątpię, ale nie wiem. Spędzałam z nimi czas, kiedy byłam w mieście, panie Riley, ale to zdarzało się dość rzadko. O wiele częściej bywałam w Europie, w Los Angeles albo... mój Boże, gdziekolwiek.

Przez jakiś czas milczę. Szybko sprawdzam w myślach moją listę.

- Cassie i Ellie spotykały się na gruncie towarzyskim z jednym z profesorów. Z tym, na którego zajęcia przychodził Terry Burgos. Z profesorem Albanym.

Niepewnie kiwa głową. Potem ją przekrzywia.

- Powiedział pan: z profesorem?

- Tak - odpowiadam. - Czy to brzmi znajomo?

Odwraca wzrok. Patrzy gdzieś w dal.

- Nie wiem. Być może.

Być może. Być może cała ta wycieczka była bez sensu.

- A co z narkotykami, Gwendolyn? - pytam. - Cassie? Albo Ellie? One też brały?

Spuszcza wzrok. Potulnie kiwa głową.

- Kokaina? - indaguję. - Trawka?

- Koka. - Krzywi się. - Zresztą pewnie jedno i drugie. To był college.

- Widziała pani kiedyś, jak to robiły? Brały przy pani narkotyki?

Zagryza wargi.

- Wydaje mi się, że brałam z nimi.

- Wydaje się pani?

Wpatruje się we mnie ze złością. Nie podoba jej się to przesłuchanie.

- Próbował pan kiedyś coś wyprzeć z pamięci, panie Riley? Jakieś wspomnienie, tak długo, aż znikło? Po to, żeby

znikło? Żeby ukryć je w jakimś tajemnym miejscu głęboko w mózgu i zamknąć za nim drzwi? Pojedynawczo rozkładałam ręce.

- Gwendolyn...

- Tak - wyrzuca z siebie ze złością. - Jestem pewna, że z nimi ćpałam.

- Z nimi, to znaczy...

- To znaczy z Cassie i Ellie... i... i czasem z Brandonem, czasem z Frankiem, a czasem, do diabła, z kimkolwiek, kto miał towar na imprezie, na której akurat byłam. Zadowolony?

Staję na pokładzie. Łódź jest na tyle ciężka, że nawet się nie zakołysała.

Gwendolyn zakrywa poczerwieniałą twarz ręką.

- Miałam trudne dzieciństwo - mówi Shelly. - Wiem, jak to jest. Nie czyta się następnej strony. Zamyka się całą książkę i wyrzuca.

Gwendolyn milczy chwilę, potem kiwa głową.

- Dokładnie.

- Nie chcieliśmy tu przyjeżdżać, żeby panią niepokoić - dodaje Shelly. - Ale byliśmy przekonani, że nie mamy wyboru. Giną ludzie.

- Cóż...

Unosi rękę, jakby chciała coś powstrzymać, i patrzy na drugą stronę jeziora. Po chwili mówi:

- Naprawdę strasznie mi przykro z tego powodu. Naprawdę. Ale to nie ma ze mną nic wspólnego.

Staje za kołem sterowym.

- Teraz wracam do mojej restauracji - mówi. - Do mojego życia.

Uruchamia silnik, wrzuca bieg i wracamy w kierunku brzegu.

Kieruje łódź pod daszek i wyłącza silnik. Przekręca to wielkie koło w odwrotnym kierunku, żeby przycumować ponton.

Z grzeczności podaje nam obojgu dłonie i posyła mi za-

skakująco łagodny uśmiech. Ten wybuch najwyraźniej nie pasował do jej charakteru i teraz go żałuje. **Ale** traktowano mnie już w życiu o wiele gorzej.

Shelly i ja w milczeniu ruszamy w stronę samochodu. Uruchamiam silnik i oddalam się poza zasięg wzroku Gwendolyn. Dopiero wtedy pytam Shelly o opinię.

- Ona się czegoś boi - mówi.

To bardzo prawdopodobne. Była co najmniej nieuczciwa. Najpierw twierdziła, że nie pamięta profesora Albany'ego, a potem nazwała go Frank.

- Myślę, że jest dobrym człowiekiem - dodaje Shelly. - Ale nie mogła się zdecydować, co ci powiedzieć.

- Przypuszczam, że samo to już coś mi mówi. Ale co? Może ona kogoś chronić?

- Wkrótce się dowiesz. - Opuszcza szybę i wystawia twarz na wiatr. - Skontaktuje się z tobą, kiedy będzie gotowa.

- Czyżby?

- Zaufaj kobiecej intuicji. - Figlarnie ściska moją dłoń.

Jedziemy w milczeniu aż do drogi międzystanowej. Mam spore zaufanie do opinii Shelly o innych i wydaje mi się, że w tym wypadku też ma rację. Gwendolyn jest szczerą kobietą. Kimś, kto nie ma skłonności do wykrętów. Ale tym razem jej odpowiedzi były wymijające. Żałuję tylko, że nie wiem, czego nie chciała mi powiedzieć.

Wyczuwam, że Shelly znów na mnie patrzy, i spoglądam na nią.

- Wtedy z Cassie coś się działo - mówi. - Ty też tak myślisz.

Nie zaprzeczam. Zamiast tego przeszukuję spis numerów w mojej komórce. W prokuraturze federalnej często współpracowałem z niejakim Pete'em Storinem z Alcohol, Tobacco and Firearms. Parę lat później przeniósł się do służb celnych, a teraz jest najważniejszym przedstawicielem Biura do spraw Egzekwowania Przepisów Celnych i Imigracyjnych na miejscowym lotnisku.

Dzwonię do niego na komórkę, a on przez dziesięć minut suszy mi głowę. Kończymy te grzeczności i przechodzę do sedna.

- Chciałbym cię prosić o przysługę, Pete - mówię. - Paszerka nazywała się Gwendolyn Lake.

30

- Nie odbiera komórki - mówi Stoletti. - Jego sekretarka powiedziała tylko, że nie ma go w biurze.

- Dobra. Niedługo go znajdziemy.

Czekając na niewątpliwie interesującą rozmowę z Pauliem Rileyem, McDermott przegląda dotychczasowe raporty o Freddie Cianciu i Evelyn Pendry. O Cianciu gównu mają. Wykaz dowodów nic niewart. Absolutny brak dowodów śladowych. Wygląda na to, że mają tylko narzędzie zbrodni i to, co uda im się odkryć, badając ciało. Zerka na wstępne rezultaty autopsji, które niewiele mu mówią, poza tym, że na ciele Ciancia było mnóstwo powierzchownych ran...

- A co to? - mówi, przyglądając się uważniej. Czyta jeszcze raz, lecz ten termin nic mu nie mówi. - Co to, u diabła, są te „palczki stepu”?

Stoletti podchodzi do niego.

- Jak?

McDermott wskazuje na linijkę w raporcie, w której wymieniono rany zadane Fredowi Cianciowi:

Pośmiertne nacięcie przy podstawie czwartego i piątego paliczka stepu.

- A co to jest paliczek stepu? - pyta Stoletti.

- Właśnie chciałem cię o to zapytać - wzdycha McDer-

mott. - Brzmi jak jakiś ogon. Myślisz, że Fredowi Cianciowi wyrósł ogon?

- Może, Mike. Może był jakimś obcym z kosmosu.

Detektyw woła do siebie Tony'ego Rezko, członka ekipy technicznej prokuratury okręgowej.

- Powiedz, Tony, masz jakieś pojęcie, co to może być pa liczek stepu?

Rezko kręci głową.

- Nie.

- W takim razie może dowiedziałeś się dla mnie czegoś o tych listach?

- Jest coś o drugim - odpowiada.

- No to pięknie. - McDermott rzuca **raport z autopsji na stos dowodów**. - Posłuchajmy.

Odwożę Shelly i około czwartej wracam do biura. Ignoruję błyskające światelko na automatycznej sekretarce i od razu zabieram się do przeglądania poczty. Łapię się na tym, że szukam kolejnego listu, ale go nie znajduję. Po chwili jednak dostrzegam szarą kopertę na samym dnie stosu. Widnieje na niej napisane markerem moje nazwisko, bez adresu. Brak adresu zwrotnego. Ostrożnie ją otwieram. W środku znajduje się standardowych rozmiarów biała koperta, na której tym samym charakterem pisma napisano tylko moje nazwisko. Wszystko wskazuje na to, że to kolejny z tych listów. Równie ostrożnie otwieram mniejszą kopertę. Na pojedynczej kartce, która wypada ze środka, napisano:

Inni natchnieni nadali istnieniu znaczenie. Niewierni atakują. Jesteśmy armią. Nasz atak skutki zapewni, spalając etycznych krętaczy. Rozbrzmiewa echo trąb.

- I on myśli, że to zrozumie? - mówię do pustych ścian. - Betty!

Asystentka zagląda przez drzwi.

- O, wróciłeś. Szukał cię detektyw McDermott.
- Czy to dostarczył kurier? - pytam, podnosząc do góry szarą kopertę. - Nie przyszło pocztą?
- Przyniósł to posłaniec.
- Czas - mówię. - On ma kontrolę nad tym, kiedy to tutaj przychodzi.
- Co?
- Nic. Betty, połącz mnie z detektywem McDermottem. I dowiedz się, kto doręczył tę kopertę.

Inni natchnieni. To Burgos. Niewierni atakują. Jesteśmy armią. Nasz atak skutki zapewni. Najwyraźniej czas okazać im gniew?

Betty łączy się ze mną przez interkom.

- Dziś rano trzech posłańców doręczało nam różne koper ty - informuje. - Namierzymy ich.

To prawdopodobnie ślepa uliczka. Do tej pory ten facet był zbyt ostrożny. Nie kontaktowałby się z firmą kurierską, nie zostawiłby im numeru karty kredytowej ani adresu.

Po minucie Betty przekierowuje połączenie z McDermottem. Mówię mu, że dostałem kolejny list i że powinien przysłać po niego jakiegoś policjanta.

- Mam lepszy pomysł - oświadcza detektyw. - Czemu sam pan do nas nie wpadnie?

Rezko, technik z ekipy prokuratury okręgowej, ze swoją łąsą głową i ogromnymi kwadratowymi okularami, wygląda jak karykatura człowieka. Gdyby miał jeszcze piskliwy głosik, byłby potrójnym zwycięzcą.

McDermott kończy rozmowę telefoniczną z Paulem Rileyem. Na usta ciśnie mu się cicha modlitwa:

- Powiedz mi, Tony, że znaleźliście odciski na tym liście.
- Nie, nie. Najpierw musieliśmy go zbadać. Nitihdryna rozpierała...
- To w takim razie jakieś inne ślady - próbuje dalej McDermott.

- Owszem. Znaleźliśmy, no cóż, wgłębia. - Rezko jest podekscytowany. Te techniczne sprawy to całe jego życie. - Na tym drugim liście potem coś położył i po tym pisał. Został wgłębia.

Rezko kładzie notatkę na biurku.

Boleję i odejdę. Rozpacz echem drży, rozrywa. Uczucia grają, ale zapamiętałe wołam. Radość oczyszczenia trudna. Kolejny emisariusz cierpi zawsze. Ale sama wiedza, rozumienie, oczekują bezwarunkowej i czulej akceptacji. Lecz bezwarunkowa absolutna nostalgia echem grzmi. Odejdę.

- Dobra - mówi McDermott, poganiając go.

- Nie mieliśmy czasu wysłać tego do laboratorium stanowego na obrazowanie elektrostatyczne, więc sfotografowaliśmy przy oświetleniu bocznym: rozpląszcza się to na szkłe i używa źródła światła umiejscowionego równoległe do dokumentu...

Ci cholerni technicy. Oni to uwielbiają. Za każdym razem, kiedy z nimi gadasz, serwują ci wykład. McDermott ma przez chwilę ochotę złapać Rezka za tę jego chudziutką szyję, ale cóż, to jego zawód, jego sens życia i jest w tym dobry. W końcu może dać dzieciakowi trzydzieści sekund.

- ...sproszkowany grafit, by zabarwić wgłębia, bo były niewyraźne...

McDermott nie może się powstrzymać.

- To tak jak wtedy, kiedy odwracasz papier na drugą stronę i używasz tępego ołówka, żeby zaciemnić tło, zgadza się? Żeby można było odczytać, co jest po drugiej stronie? Tak jak to robiliśmy w drugiej klasie?

Rezko milknie, chłodno się uśmiechając. Zna Mike'a od lat. Wie, że się z niego nabija. Zza pleców wyjmuje fotografię, ukazującą serię słów napisanych na chybił trafił. Wgłębia są wyraźnie widoczne na grafitowym tle:

<i>Emisariusz</i>	<i>Emanować</i>	<i>Echo</i>
<i>Etyczny</i>	<i>Niewierni</i>	<i>Natchnieni</i>
<i>Nostalgia</i>	<i>Nieskończoność</i>	<i>Najeżdźca</i>

McDermott patrzy na technika.

- A więc te słowa zostały napisane na innej kartce papieru, położonej na tym liście?

- Zgadza się. Dokładnie. On ma jakąś jazdę na słowa zacinające się na N i E.

Przyglądając się listowi, McDermott znajduje zdania, które zawierają takie słowa.

Stoletti też coś mówiła, że nie potrzebował dwa razy używać słowa „bezwartkowy”. Dobór słów, choć umyślny, był dziwaczny.

Ale dokładnie tak jak powiedziała: umyślny.

- Dzięki, Tony - mówi. - Świetna robota.

Ale co to, u diabła, oznacza.

Mężczyzna w długim pomarańczowym fartuchu kładzie dłoń na ramieniu Leo i macha do innego faceta.

- Ten człowiek potrzebuje twojej pomocy - mówi.

Nie dotykaj. Leo wysuwa ramię spod jego dłoni. Nie dotykaj mnie.

- Przepraszam - mówi mężczyzna.

Dotkniesz mnie jeszcze raz i wwiercę ci kciuk w mózg.

Leo kuca, udaje, że wiąże sznurowadło, i rozgląda się ukradkowo na wszystkie strony. Majstruje przy bucie i obserwuje. Umiętniony facet w kamizelce bez rękawów popycha pomarańczowy wózek sklepowy, pełen małych kawałków sklejki. Nie, nie, o, już tu był, sprawdzić wejście...

Wchodzi kobieta, ładna, szaroblond włosy, szczupła, różowa satynowa koszula, obcisłe czarne spodnie, buty na obcasach, profesjonalnie, ale stylowo, patrzy w kierunku Lea, nie bezpośrednio na niego, ale on już to wie, ona go szuka. Nie jest głupi, ale nie może wyjść, nie może pobiec, jeszcze nie.

Kobieta się odwraca, idzie do części z żarówkami i przedłużaczami. Tam się zatrzymuje.

Widzę cię.

Market budowlany jest olbrzymi. Większość regałów stoi w długich rzędach, na osi północ-południe, tak jak ten, w którym jest Leo, ale kobieta stoi w krótszym rzędzie, na osi wschód-zachód. I ma doskonały widok na kasy. To jej plan. Odczekać, aż Leo będzie płacił, i pójść za nim.

- Czego pan szuka?

Leo podnosi wzrok. Starszy facet, może gdzieś koło pięćdziesiątki, łysiejący, z nadwagą, krótkowzroczny, zwisające mięśnie na torsie, który kiedyś musiał być muskularny, długi pomarańczowy fartuch.

Udaje mu się wydusić z siebie słowa:

- Piła łańcuchowa.

- Oczywiście. To tutaj, regał numer jedenaście.

Leo kończy wiązanie buta i przeczesuje wzrokiem **sklep**.

Kto jeszcze? Tylko ta jedna? Milczenie. Leo znów podnosi wzrok na mężczyznę.

- Może zaczniemy od tego, do czego chce jej pan używać.

Leo wstaje, naciąga bejsbolówkę na oczy. Kobieta wciąż stoi przy tym regale. Ukradkiem zerka na lewo, w jego kierunku.

- Żeby ciąć.

Mężczyzna rzuca mu dziwne spojrzenie. Wielu ludzi patrzy na niego w ten sposób. Jakby się nad nim litowali. Jakby myśleli, że nie jest zbyt bystry.

- Chce pan... chce pan, żebym poszedł tam z panem?

Leo kiwa głową.

Mężczyzna oddała się w kierunku regału numer jedenaście. Leo stoi przy regale numer cztery.

Biała kobieta. Różowa bluzka, czarne spodnie. Obserwuje wyjście. Przypomina mu kuzynkę Cassie, Gwendolyn.

Gwendolyn. Gwendolyn Lake. Słyszał o niej, o tak. To był jej dom, ale nigdy jej nie widział. Nigdy tu nie była, ale teraz miała przyjechać. Ona jest miła - mówiła Cassie - ale czasami trudno ją zrozumieć. Tylko... nie traktuj tego osobiście, jeśli będzie dla ciebie trochę... niemiła. Dobrze?

- Dobrze - powiedział.

Cassie mówiła do niego w taki sposób, z taką dobrocią w oczach. Czuł ciepło dłoni dziewczyny na swoim ramieniu i nie obchodziła go jej kuzynka Gwendolyn. Spotykały go już w życiu gorsze rzeczy.

Była tam Cassie z matką. Wydały mu się niezbyt zadowolone. Pani Bentley odpalała jednego papierosa od drugiego i chodziła wte i wewte przed domem.

- Na jak długo ona tu zostanie? - spytała pani Bentley. - Na jak długo?

- Mamo, mówię ci po raz ostatni, że nie wiem. Będzie dobrze.

Po kilku minutach przed domem zatrzymała się limuzyna. Gdy kierowca otworzył Gwendolyn drzwi, ona też nie wyglądała na szczęśliwą. Była ubrana jak na imprezę. Obcisłe spodnie i jaskrawoczerwona bluzka. W ustach miała papierosa, a w rękę trzymała drinka. Cassie podbiegła do samochodu i uściskała ją. Pani Bentley stała w drzwiach. Również objęła Gwendolyn, lecz z o wiele mniejszym entuzjazmem.

A potem dziewczyna spojrzała na Leo.

- A więc to jest ten imigrant?

- To jest Leo - powiedziała Cassie. - Bądź dla niego miła, Gwen.

- No dobra, dobra... - Gwendolyn zatoczyła palcem nad głową świątobliwe kółka. - W takim razie witaj, Leo.

Wyciągnął do niej rękę. Dziewczyna spojrzała na nią, ale nie uściśnęła mu dłoni. Pochyliła się w jego kierunku.

- No, no, widzę, że ty i Cassie nieźle się dogadujecie - stwierdziła.

Nie odpowiedział. Podeszedł do bagażnika limuzyny i za-

brał jej bagaż do domu. Potem wrócił do swojej pracy, do podcinania żywo płotu.

Kobieta w różowej bluzeczce i czarnych spodniach obraca się w lewo, w kierunku Leo, ale wciąż jest daleko, kilka regałów dalej. Podnosi wzrok i udaje zdziwienie obecnością czarnego mężczyzny. Wita się z nim, pospiesznie go obejmuje.

Ten czarny facet jest teraz z nią, są nieźli, dobrze udają zaskoczenie tym spotkaniem. Niezależnie od tego, co teraz do siebie mówią, Leo dobrze wie, co tak naprawdę sobie przekazują: „Namierzyliśmy go. Zobaczmy, co robi. Ty pilnuj tyłów, ja obstawię wejście”.

Nie nabierzecie mnie.

Leo rusza w ich stronę, ale się rozdzielają. Kobieta dotyka ramienia towarzysza i żegna się z nim - w każdym razie tak to wygląda - a potem mężczyzna znika mu z zasięgu wzroku.

Rozdzielili się, chcą go mieć na oku. Ilu ich jest?

- W czymś panu pomóc?

Leo podskakuje. Kolejny człowiek w długim pomarańczowym fartuchu. Leo potrząsa głową, wciąż obserwując kobietę.

Po kolei. Najpierw jedno. Nie ma wyboru, będzie musiał to zrobić niezwłocznie. Musi to zrobić teraz. Ze spuszczoną głową powoli podchodzi do regału numer jedenaście, rozgląda się wokół, ale stara się, żeby to wyglądało naturalnie. Namierzyliście mnie, ale nie wiecie, że ja was też namierzyłem. Tu, w środku, nie wykonają żadnego ruchu. Szukają tylko informacji. Muszą złożyć sprawozdanie z tego, co ja tu robię...

Podchodzi do starszego faceta przy regale numer jedenaście, gdzie na półkach i w kartonach leżą różne modele pił łańcuchowych.

- Pytałem, czy do użytku profesjonalnego, czy domowe go - niecierpliwi się mężczyzna. - Co pan chce nią ciąć?

Leo potrzebuje **piły łańcuchowej firmy Trim-Meter**. Nie widzi tu takiej.

- Trim-Meter?

Mężczyzna potrząsa głową.

- Trim-Meter nie produkuje już pił łańcuchowych od wielu lat, proszę pana.

Leo staje na palcach u nóg. Kołysze się w przód i w tył, zagryza górną wargę.

Mężczyzna klepie go po ramieniu.

- Wiem, jak pan się czuje. Człowiek przyzwyczaja się do marki. Zawsze pan takich używał, prawda?

Leo patrzy na sprzedawcę, mierzy go wzrokiem.

- Ja zawsze używam Husky. Polecam panu. Coś lekkie go, takiego jak ta stotrydziestkasiódemka będzie **dla** pana w sam raz.

Zdejmuje z regału piłę, zabezpieczoną przed kradzieżą długim łańcuchem.

Leo wpatruje się w mężczyznę z opuszczonymi rękami.

Ten wzdycha.

- No cóż, w porządku. Zna pan sklep Varten's? Przy Pickamee? Tam mają mnóstwo starych, używanych pił. Skoro panu tak bardzo zależy na Trim-Meter, to tam mogą ją mieć.

Mężczyzna tłumaczy Leo, jak dotrzeć do Varten's. Wyjaśnia mu w taki sposób, jakby Leo był głupi. Jakby miał pięć lat.

Jestem bystrzejszy, niż na to wyglądam.

Leo rusza w stronę wyjścia. Zgubił czarnego. Zgubił oboje.

Czekaj.

Kobieta stoi w kolejce do kasy. W porządku, teraz zachowuje się inaczej, teraz już nie obserwuje. Próbuje wydostać się ze sklepu, zanim on to zrobi. Będzie już na niego czekać. Powie o nim innym...

Nawiązują kontakt wzrokowy, ale ona odwraca głowę. Stoi przy ekspresowej kasie dla klientów z małą ilością zakupów. Zaraz będzie jej kolej. Przeciąga kartą kredytową przez

czytnik i podnosi dwie torby z żarówkami. Jasne, żarówki! Mają go za idiotę.

Idź za nią, zobacz, dokąd pójdzie. Trzymaj się blisko, ale nie za blisko, aż przyjdzie właściwa pora. Rozejrzyj się po parkingu. Mnóstwo samochodów, ale prawie żadnych ludzi. Trudno powiedzieć, gdzie reszta jej zespołu albo ilu ich jest. Uważaj na zasadzki. Mogą nagle wyskoczyć spomiędzy tych samochodów. Rozglądaj się... w prawo, w lewo, w prawo, w lewo... Szybko sprawdź tyły. Mogą być wszędzie, ale to ona cię śledziła, ona została z tyłu... To ona złoży raport. To ona im powie o Trim-Meter...

Paragon unoszony wiatrem. Podnosi go. Tak, odwróć jej uwagę. To zadziała. Wsuń nóż, trzymaj go w prawej ręce, przyciśnięty do boku. Zmniejsz odległość do tej kobiety...

Kobieta zatrzymuje się i obraca. Jest przy terenówce. Wokół nikogo nie widać, ale trudno powiedzieć. Po obu jej stronach parkują inne samochody. Bystra jest, dobrze się kryje. Trudno ją zobaczyć, trudno...

Trudno ją zobaczyć, bo po obu stronach stoją samochody.

Leo nabiera powietrza do płuc. Uspokaja się.

Robi krok w lewo, zbliża się do niej pod kątem. Otworzyła tylne drzwi, wrzuca torby z żarówkami na siedzenie z tyłu.

Trzy metry, dwa metry. Leo wyciąga paragon, pokazuje go jej.

- Och! - zupełnie jakby go nie znała. Dobrzeją wyszkolili. Wyciąga rękę i bierze kwitek. To dzieje się błyskawicznie. Zaczyna mówić: „Dziękuję”, podnosi na niego wzrok, podczas gdy on łapie ją lewą ręką za ramię, wpycha na tylne siedzenie, a prawą przeciąga nożem po jej gardle. Prawie nie musi poruszać nożem, jej szyja się po nim przesuwająca, wykonuje za niego całą robotę.

Ani jednego dźwięku. Martwe ciało osuwa się na podłogę samochodu, która natychmiast zalewa się krwią. Leo wpycha jej nogi do środka i zatrzaskuje drzwi.

Rozgląda się. Czysto. Znów otwiera drzwi, sięga do środka. Zostawia na ciele kobiety swój „podpis”.

Rozgląda się. Czysto.

Podnosi z ziemi kluczyki, otwiera nimi bagażnik. Koc i ręcznik - to wystarczy. Weź to i ją przykryj. Nikt nie zauważy, chyba że będą jej bardzo szukać.

Skończył z nią. Teraz napiłby się wody.

Wciśnij przycisk „Zamknij” na pilocie. Dźwięk zaskakującego zamka. Zrób to jeszcze raz. Samochód piszczy dwa razy. I jeszcze raz. Lubi ten dźwięk. Bip bip. Nie ma czasu. Odejdź. Od niechcenia. Niedbale. Do wynajętego samochodu.

Wsiądź i czekaj. Nikt nie idzie. Niedługo się pojawią. Trzeba się będzie spieszyć.

Objedź okolicę. Sprawdź, czy nie masz ogona. Poszukaj ich. Sprawdź wszędzie.

A potem znajdź ten sklep z piłami łańcuchowymi.

Docieram na posterunek policji przed piątą. Podaję nazwisko sierżantowi przy biurku, który kieruje mnie na górę. Jeszcze zanim robi to Ricki Stoletti, witają mnie zapach mocnej kawy i taniej wody kolonńskiej przebijającej się przez woń ciała - zapachy typowe dla każdego posterunku. Za jej plecami wrze. Jeden gliniarz pisze raport na komputerze. Jakaś roztrzęsiona kobieta podaje mu szczegóły. Inny, w swoim gabinecie - jakiś kapitan czy porucznik - prowadzi ostrą rozmowę przez telefon. Pozostali kręcą się wokół. Podają sobie różne dokumenty i przekazują informacje. Rozpoznaję twarze, które widziałem dziś rano. Grupa zadaniowa przy pracy.

Detektyw Stoletti wita mnie ze swą zwykłą serdecznością i entuzjazmem. Podaję jej papierową kopertę z listem, który właśnie otrzymałem od sprawcy. Ona wręcza ją jakiemuś mundurowemu i wskazuje ręką w stronę pokoju przesłuchań. Idę za nią i siadam. Zostawia mnie tam samego. Czuję się dziwnie. Zanim moja wyobraźnia dostaje szansę, by pójść dalej tą ścieżką, wchodzi McDermott i Stoletti. Z jakiegoś po-

wodu oboje siadają naprzeciwko mnie. Stoletti bawi się teczką leżącą przed nią na stole.

- Przyznaję się - mówię, próbując rozluźnić atmosferę, ale nikogo to nie bawi.

McDermott wpatruje się we mnie z twarzą pokerzysty.

- Jeśli chodzi o ten ostatni list, będziecie musieli sprawdzić firmy kurierskie - dodaje. - Trzeba się dowiedzieć, w jaki sposób ta koperta trafiła do mojego budynku.

- Zrobimy to - mówi McDermott. Pociera twarz. - Riley, jestem kurewsko zmęczony. I spieszy mi się, bo wygląda na to, że naszemu sprawcy też się spieszy. Pomóż mi ogarnąć parę spraw.

- Strzelaj.

- Nie musisz nic mówić. Od ciebie zależy, czy odpowiesz, czy nie.

Przyglądam mu się uważnie, potem patrzę na Stoletti.

- Mówisz jak facet, który próbuje przeczytać mi moje prawa w taki sposób, żeby tak naprawdę mi ich nie odczytać.

Gdy dopowiadam to zdanie do końca, przestaję się uśmiechać. Pasuje to do wyrazu twarzy obojga gliniarzy siedzących naprzeciw mnie.

- Jesteś tu dobrowolnie - mówi Stoletti.

To właśnie mówi się ludziom, żeby nie musieć odczytać im ich praw.

Siadam wygodniej.

- Czemu mi po prostu nie powiecie, co tu się, u diabła, dzieje?

- Dlaczego ten facet wziął się na ciebie?

- Bo jestem gościem z plakatów. To przecież ja skazałem Terry'ego Burgosa.

- I to dlatego przysyła ci jakieś tajemnicze liściki?

Nie potrafię czytać w myślach tego dupka. Informuję ich o tym.

- Słyszałeś kiedyś o Sherwood Executive Center? - pyta McDermott.

Potrząsam głową. Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówi.

- Fred Ciancio - ciągnie McDermott. - Pracował w tej galerii handlowej jako ochroniarz, tak?

- Zgadza się - mówię.

- No cóż. W czerwcu 1989 roku, na jakiś tydzień przed tymi morderstwami, złożył wniosek o tymczasowe przeniesienie. Chciał pracować w innym miejscu.

- W Sherwood Executive Center? - wnioskuję.

- No, no... Wygrałeś teraz główną nagrodę - żart bez uśmiechu.

- I co w tym takiego szczególnego?

McDermott krzywi się, ale nie odpowiada. Chce, żebym to ja zrobił.

- Nie mam pojęcia - oświadczam.

- Lekarze, do których chodziła Cassie Bentley, mieli swoje gabinety w Sherwood Executive Center - mówi McDermott. - Sherwood Heights jest zaraz przy Highland Woods, gdzie mieszkała.

- No i...? - Nie mam pojęcia, jakie wnioski powinienem według nich z tego wyciągnąć.

- Myślisz, że to zbieg okoliczności? - pyta McDermott.

Nie odpowiadam. Nie wiedziałbym nawet jak.

- Fred Ciancio jako powód przeniesienia podał - ciągnie dalej McDermott - że jego matka przechodzi chemioterapię w tym budynku. Chciał być blisko niej. Poprosił o trzytygodniowy przydział do Sherwood Executive Center, by być tam na czas jej leczenia.

Zastanawiam się. Fred Ciancio uzyskał w Bristol Security przeniesienie do jednego z innych budynków, którym zapewniali ochronę. Do tego, w którym mieli gabinety lekarze Cassie Bentley. Nie uchodzę za wielkiego zwolennika zbiegów okoliczności, ale życie potrafi być dziwne i akurat ten przypadek nie jest dla mnie szczególnie wstrząsający.

- Problem polega na tym - dodaje McDermott - że matka

Ciancia nie żyła już wtedy od dziesięciu lat. Myślę więc, że chemioterapia nie na wiele się już zdała.

No tak. To było już trochę bardziej wstrząsające. Czuję mrowienie w brzuchu.

- Ciancio znalazł wymówkę, żeby pracować w tym budynku, w którym zatrudnieni byli lekarze Cassie, dokładnie wtedy, kiedy popełniono te morderstwa. - Tym razem głos zabrała Stoletti. Dwoje na jednego. Normalnie to ona byłaby tym złym gliną, tyle tylko, że teraz żadne z nich nie okazuje mi zbyt wiele życzliwości. - Później Ciancio dzwoni do Carolyn Pendry i mówi, że chce pogadać o sprawie Burgosa. I potem zaczyna się bać...

Dlaczego ochroniarz miałby wymyślać jakiś powód, żeby zostać przydzielonym do konkretnego budynku. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie.

- Pomógł komuś się włamać - zakładam. - Ktoś mu za płacił, żeby się dostać do jednego z gabinetów w tym budynku.

McDermott unosi brwi. Naturalnie i jemu coś takiego przyszło już do głowy.

- I myślisz, że to jest związane z ciążą Cassie? - dodaję.
- Albo z tym, że ją przerwała?

- A co ty o tym myślisz? - pyta Stoletti.

Wzruszam ramionami. Łapię się na tym, że w tej chwili nie znam odpowiedzi na wiele pytań. Ale to ma sens.

- Wtedy nie słyszałeś, że Cassie była w ciąży? Albo że miała aborcję?

Zna już moją odpowiedź. Powiedziałem jej to zaraz po rozmowie z profesorem Albanym.

- Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz. - Teraz to. ona mnie prowokuje, bawi się tym.

- Powiniennem zadzwonić po prawnika? - pytam.

Stoletti patrzy na swojego partnera.

- On nie chce udzielić odpowiedzi, detektywie. Ma takie prawo.

- Nigdy nie słyszałem, żeby Cassie przerwała ciążę, ani nawet o tym, że była w ciąży - mówię, nie kryjąc złości. - Zechcecie mi może w końcu powiedzieć, co tu się, u diabła, dzieje?

Znów odzywa się McDermott.

- Zazwyczaj rozwiązując jakąś sprawę, rozpracowuje się życie ofiary. Jak to się stało, że nie wiedziałeś, że Cassie była w ciąży, zanim została zamordowana?

Na twarz wypełza mi lodowaty uśmiech.

- Po pierwsze - mówię - nie wiemy, czy była w ciąży ani czy ją przerwała. Mamy tylko podejrzenia. Być może uczyli cię w szkole dla gliniarzy, na czym polega różnica między faktami a przecuciami. A po drugie, nie zajmowaliśmy się Cassie zbyt dokładnie, bo...

Przy tych słowach zamieram. Sądząc po twarzach siedzących naprzeciwko mnie gliniarzy, to ma być kolejny temat rozmowy.

- Bo wycofałeś oskarżenia związane z morderstwem Cassie - mówi Stoletti. - Na prośbę Harlanda Bentleya, prawda? - Przesuwa po biurku w moją stronę fotografię, na której widać Harlanda i dziennikarzy oraz tego upiornego faceta z bliźną w tle. - Tego samego Harlanda Bentleya, którego widać na tym zdjęciu, znalezionym w szafce Freda Ciancia i ukrytym w pudełku po butach?

- Tego samego Harlanda Bentleya - włącza się McDermott - który niespełna rok później cię zatrudnił i powierzył ci wszystkie sprawy prawne swojej korporacji?

- I tobie, facetowi, który przez całe życie zajmował się prawem karnym - naciska Stoletti - nagle przekazał odpowiedzialność za miliony dolarów w sprawach cywilnych Bentley Co.?

Siadam wygodniej na moim krześle i przez chwilę milczę. Pali mnie w środku. Czuję pot występujący na czoło. Serce wali mi w piersi.

W mojej praktyce często doradzam ludziom przesłuchiwa-

nym w sprawach karnych. Wszystkim mówię to samo. Nie rozmawiaj z nikim o sprawie. Nigdy nie wiesz, kto ma podsłuch. A jeśli zadzwonią do ciebie rządowi, nie mów im nic, jeśli nie będzie przy tym mnie albo jakiegoś innego prawnika.

Normalnym ludzkim odruchem jest od razu wyjaśnić coś, co wydaje się obciążające. Ale normalnym odruchem jest również skłamanie, a jeśli nawet nie, to przynajmniej nagięcie prawdy. Gliniarze i prokuratorzy liczą na to, że większość ludzi ulega jednej z tych podstawowych zasad. Prokuratorzy federalni żyją z tego. Nawet jeśli nie potrafią udowodnić głównego oskarżenia, to jeśli trochę nagniesz prawdę, przyłapią cię na tym i wykorzystają to: zmuszą cię do mówienia albo wsadzą za kratki chociażby na tej podstawie.

Nie słuchajcie tego głosu - mówię moim klientom. Niech rząd sobie was podejrzewa. To lepsze niż zostać przyłapanym na kłamstwie. Później zawsze możecie zacząć mówić.

Tyle tylko, że ja nie mam nic do ukrycia.

Stoletti świetnie bawi się tą sytuacją. McDermott próbuje mnie przejrzeć.

- To wszystko - mówię im - to kompletne brednie.
- Kolejne nazwisko, które pojawia się w śledztwie - mówi McDermott. - Amalia Calderone. Mówi ci to coś?

Potrząsam głową.

- Nigdy jej nie poznałeś? - pyta Stoletti.
- Nie przypominam sobie - odpowiadam.
- W nocy, dwa dni temu, została zatłuczona na śmierć. Może to ci coś mówi?

Zatłuczona. Zatłuczona. To nie pasuje do drugiej zwrotki. Następna ma być brzytwa, potem piła łańcuchowa, a potem maczeta.

- Nic mi to nie mówi - odpowiadam. - A powinno?

Stoletti bierze teczkę od McDermotta i wyjmuje trzy błyszczące, kolorowe fotografie, osiem na dziesięć. Przesuwa je po biurku w moją stronę.

Biorę jedno ze zdjęć i z gardła wrywa mi się jęk. To

zbliżenie jej twarzy odchylonej w prawo. Rana na prawej skroni i ciężkie słuźczenia szczytu czaszki. Gwałtowna śmierz. Została brutalnie pobita. Ktokolwiek to zrobił, dobrze się przy tym bawił.

- Molly - mówię. Kobieta, która wywabiła mnie z Sax's, kiedy zostałem napadnięty i obrabowany. Patrę na gliniarzy. - Chyba nie myślicie, że to ja ją zabiłem?

- Niech pan nam to powie, panie doradco - mówi McDermott. - Proszę nam wyjaśnić, co robią pańskie odciski palców na narzędziu zbrodni.

31

Napis na szyldzie nad wejściowymi drzwiami sklepu brzmi VARTEN'S NARZĘDZIA I SPRZĘT BUDOWLANY. Zniszczona rudera stojąca przy dużym składzie drewna. Gdy Leo wchodzi, rozlega się dźwięk dzwonka. Sklep jest pusty. W środku dostrzega tylko sprzedawcę, starszego faceta za ladą, rozmawiającego właśnie przez telefon. Leo podchodzi, przygląda się piłom łańcuchowym wiszącym na ścianie.

Patrzy na sprzedawcę, unoszącego w jego kierunku palec i kończącego rozmowę. Leo bębni palcami o ladę, rozglądając się po sklepie i próbując wyglądać tak, jakby zajrzał tu przypadkiem, jakby po prostu wałęsał się po okolicy. Myślałem, że może macie piły łańcuchowe. Tak. Potem jego wzrok znów wędruje w stronę sprzedawcy i na ladę, za którą ten siedzi.

Widzi na niej przyklejoną karteczkę, na której napisano jedno słowo: TRIM-METER. Gwałtownie wciąga powietrze. Trim-Meter. Udawaj, że kaszlesz. Zyskaj trochę czasu.

- W czym mogę panu pomóc?

Leo pokazuje ruchem głowy na ścianę. Znów wymawia te słowa: piła łańcuchowa. Nie patrzy przy tym na sprzedawcę, ale zauważa chwilę wahania, odrobinę za dłuęa...

- Potrzebuje pan... eee... jakiejś konkretnej marki?
Wzruszenie ramion. Zachowuj się zwyczajnie. Jakby ci nie zależało.

Spójrz na tego człowieka. Starszy. Starcze plamy na czole. Chuda szyja. Wygląda, jakby poczuł ulgę, jakby spodobała mu się odpowiedź...

Leo podaje nazwę marki, o której wspominał ten inny sprzedawca: Husky.

- Tak, tak. Już. - Mężczyzna wydaje się jeszcze bardziej zadowolony. Opiera się dłonią o ladę, obchodzi ją. Teraz jest o wiele bardziej ożywiony, szczęśliwy. Promienny i szczęśliwy.

- Oczywiście Husky nie będzie najtańsza.

Idź za nim pod ścianę. Dobrze. Odszedł od lady. Podejdź do niego bliżej. Powiedział: „Husky nie będzie najtańsza”. Zapytaj go, która będzie.

- Najtańsza? Szczerze mówiąc, najtańsze są najstarsze. - Mężczyzna pokazuje ruchem głowy na ścianę. - Mam Burly 380. Dobra do krzewów i małych drzewek. Ma chyba z dzie sięć lat. - Dotyka innego modelu. - A to Trim-Meter 220. Jest trochę podniszczona i zużyta. Ma prawdopodobnie jakieś piętnaście lat. To moje dwie najstarsze piły. Do czego panu będzie potrzebna?

O to samo pytał ten drugi.

- Chodzi mi o to, proszę pana, co pan nią będzie piłował. Krzewy, gałęzie drzew, tego typu rzeczy?

Kiwnij głową, że tak.

- Obie są po pięćdziesiąt - mówi sprzedawca.
Wzruszenie ramion. Zapytaj go o coś. Powiedz cokolwiek...

Co by pan polecił? Co by pan polecił?

Ale nie mówi aż tak dobrze.

Mężczyzna kładzie dłoń na ramieniu Leo, jakby próbował pomóc komuś niezbyt rozgarniętemu.

Ten się wzdryga. Ostry obrót w prawą stronę.

Mężczyzna cofa dłoń. Otwiera usta. Przerywa kontakt wzrokowy z Leo. Zaczyna się powoli cofać.

- Dobrze, proszę pana. Dobrze. Powiem coś panu. Może... może mam coś na zapleczu... Coś tańszego.

Leo potrząsa głową.

Mężczyzna zamiera, patrzy Leo w oczy, zerka nad ramię...

- Niech pan bierze, co pan chce - mówi. - Proszę.

Leo czuje chłód. Otwiera i zamyka pięści. Patrzy na starszaka.

- Chciałbym... - próbuje wykrztusić - chciałbym... że bym to nie był ja.

Zrób to szybko. Rękami. Żadnej krwi. Chrup, chrup.

Sprawdź, czy nie ma tu kamer. Ktoś widział? Nie ma czasu. Przeciągnij go przez te drzwi z napisem TYLKO DLA PRACOWNIKÓW. Zawleczone go w kąt i postaw przed nim jakieś pudło. Podejdziesz do drzwi wejściowych. Przekręć tabliczkę z napisem OTWARTE na ZAMKNIĘTE. Wróć do pomieszczenia dla personelu i skończ z nim.

Złap piłę Trim-Meter ze ściany. Otwórz drzwi. Dzwoneczek wygrywa pożegnanie. Udaje mu się dojść do samochodu, zanim się zwiąja, czując palący ból w żołądku.

McDermott unosi głowę, którą opierał na ramieniu, gdy Paul Riley kończy swoją opowieść. Siedząca obok niego Stoletti coś notuje, ale detektyw woli patrzeć. Kiedy piszesz, nie obserwujesz.

Z nich dwojga inicjatywę przejmuje Stoletti, ale jeśli ktoś tu prowadzi, to jest nim prawdopodobnie Riley. Stoletti chciała zadawać pytania. Naprawdę ma jazdę na Riley'a.

Jak wyjaśniała to wcześniej dzisiejszego dnia McDermottowi, kilka lat temu Riley bronił faceta oskarżonego o morderstwo. To było na północnych przedmieściach podlegających jurysdykcji wydziału do spraw kryminalnych, w którym wówczas pracowała. Wygląda na to, że w trakcie procesu Riley rozerwał na strzępy policjanta o nazwisku Cummings,

który aresztował podejrzanego. Rozłożył go na części jak tani model samolotu. Tak to ujęła Stoletti. Cummings dostał poziom pierwszy, czyli został zdegradowany o jeden stopień, a klienta Riley'a uniewinniono. Musiał się znaleźć jakiś kozioł ofiarny. Wyglądało na to, że ten Cummings był dla Stoletti kimś w rodzaju mentora, więc pani detektyw nie przepadała teraz za szanownym panem Paulem Rileyem.

Wcześniej McDermottowi się wydawało, że wrogość Stoletti wobec Riley'a jest nawet zabawna, ale teraz mogło to stanowić problem: odciski palców wziętego prawnika znaleziono na łomie użytym do roztrzaskania głowy Amalii Calderone.

Riley, który skończył już opowiadać swoją historię, patrzy na dwójkę gliniarzy. Stoletti dalej coś notuje. McDermott chce to po prostu przez chwilę przemyśleć.

- Wiecie co, róbcie takie przedstawienia gdzie indziej - mówi Riley. - Podnieście rękę, ty albo ty, jeśli chociaż przez ułamek sekundy myśleliście, że to ja zabiłem tę dziewczynę.

Można mówić o tym facecie różne rzeczy, ale nie to, że się łamie.

Jednak McDermott słyszał już takie pogrózki. Widział wyzywającą minę, która w jednym mgnieniu oka zmienia się w maskę przerażenia na twarzy.

- Czyli Joel Lightner się wycofuje - mówi McDermott. - Myśli, że ci się poszczęści, i chce ci dać trochę przestrzeni. Wychodzisz z baru z tą kobietą. Myślisz, że odprowadzasz ją do domu. Skręcasz w alejkę i nagle ktoś ci nabija guza. Bu dzisz się. „Molly” zniknęła, twoja kasa zniknęła.

Riley kiwa głową.

- Nie zgłaszasz tego na policję. Nie opowiadasz o tym nawet swojemu koleźce Lightnerowi, bo cała ta sprawa cię żenuje.

- Czuję się jak kompletny kretyn.

- I twierdzisz, że ten facet musiał zacisnąć twoją rękę na narzędziu zbrodni, żeby cię zrobić?

Policja znalazła łom, metalowy pręt w kształcie litery L, z bardzo zakrwawioną nasadką klucza na jednym i z lewar-kiem na drugim końcu, w pojemniku na śmieci. Wraz z cia-łem Amalii Calderone.

- Albo tak było, albo to ja jestem mordercą. A jak ci się wydaje?

Przerzuca piłkę na ich podwórko. Riley jest niezły.

- Przyznajesz, że byłeś pod wpływem alkoholu - mówi Stoletti.

Słuszna uwaga. Ludzie wyczyniają różne głupoty, kiedy są pijani.

- Ledwie się trzymałem na nogach - odpowiada. - A nawet gdybym mógł ustać, to nie jestem zbyt agresywnym ty-
pem. Prawdziwa osobowość człowieka ujawnia się, kiedy jest pijany. Weźmy na przykład ciebie, Ricki. Założę się, że po paru głębszych robi się z ciebie jeszcze bardziej wściekła suka.

- Pograżaj się dalej, Riley - mówi Stoletti.

McDermott tłumy uśmiech. Każe technikowi obejrzeć si-
niaka na głowie Riley'a. Jego wielkość, kąt uderzenia, aby
wykluczyć, że sam sobie zadał te obrażenia.

- A co z ręką? - pyta, widząc bandaż na dłoni Riley'a.

Paul wzdycha.

- Potem musiałem się włamać do własnego domu. Zabrał mi klucze. Pociąłem sobie dłoń o szybę.

- Robiłeś to ręką?

- Zrobiłbym to tym łomem - odpowiada - ale zostawiłem go na miejscu zbrodni.

Stoletti nie podoba się to nastawienie, ale McDermott koncentruje się bardziej na kwestii, co się za tym wszystkim kryje. To się nie trzyma kupy. Mają taśmę z kamery ochrony w Sax's. Riley tak się upił, że prawie się zataczał. Był w smo-kingu. Nie miał nic przy sobie. Z całą pewnością nie łąził po okolicy z łomem. Mogłoby się zdarzyć, że znalazł go przy-
padkiem, że ten pręt leżał gdzieś w alejce, ale trudno sobie

wyobrazić, iż ktoś do tego stopnia pijany był w stanie go użyć. I to ta kobieta do niego podeszła, a nie na odwrót. Z nagrania wynikało dość jasno, że spotkali się po raz pierwszy.

- Ta kobieta była profesjonalistką, tak? - pyta ich Riley.

Stoletti przekrzywia głowę.

- Czemu o to pytasz?

Amalia Calderone rzeczywiście była wysokiej klasy prostytutką. Kimś w rodzaju ekskluzywnej kobiety do towarzystwa. Nie ona jedna kręciła się w barze Sax's późno w nocy. Tak właśnie wpadła na Riley'a.

- Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, takie właśnie sprawiała wrażenie - wyjaśnia.

- Gdzie twój smoking? - pyta Stoletti.

- W pralni chemicznej. - Riley patrzy na nich. - Chryste, przecież leżałem w stercie śmieci. Zapytajcie tych z pralni chemicznej, czy były na nim jakieś ślady krwi. A przynajmniej oprócz mojej.

- Zapytamy.

- Świetnie, Ricki, zrób to - mówi Riley, wstając. - A skoro już przy tym jesteśmy, to czemu nie weźmiesz tego łomu i nie wsadzisz go sobie w dupę? Z przyjemnością zostawię na nim parę świeżych odcisków palców, kiedy będę ci pomagał.

McDermott unosi dłoń.

- Siadaj, Riley. Masz dość niewyparzoną gębę jak na fa ceta, którego odciski palców znaleziono na narzędziu zbrodni i który był ostatnią osobą widzianą razem z ofiarą. Cholera, doskonale wiesz, że możemy cię od razu aresztować na podstawie tego, co mamy. Siadaj! - powtarza, wskazując palcem na krzesło.

Riley przez chwilę milczy, a potem opiera ręce o biurko i pochyla się w stronę detektywów.

- To ten sam facet - mówi. - To musiał być on. To nie jest zbieg okoliczności. To tym tropem powinniście iść. Każda sekunda, którą marnujecie na to, żeby zrobić ze mnie mor-

derce tej biednej kobiety, jest zmarnowana, a on chodzi sobie na wolności z brzytwą, piłą łańcuchową czy gdzie tam zaszedł w tej swojej piosence.

McDermott i Stoletti spoglądają na siebie.

- Załóżmy, że masz rację - mówi detektyw do Riley'a. - Sam to powiedziałeś. Żadnej brzytwy. Żadnej piły łańcuchowej. Żadnej maczety. Żadnego noża. - Wzrusza ramionami. - Skoro to jest nasz sprawca, to czemu nie trzyma się piosenki?

Paul potrząsa głową. On też tego nie wie.

- Przychodzi mi do głowy tylko tyle - mówi - że to jakaś zemsta. Ten facet osobiście się mną interesuje. Chodzi mi o to, że to ja jestem chłopcem z plakatu, ja oskarżałem Terry'ego Burgosa.

- No tak... - mówi McDermott.- Ale ty żyjesz.

Riley nie ma na to żadnej odpowiedzi. Ale to jest właśnie sedno sprawy. Skoro to ten sam sprawca, to czemu zostawił przy życiu chłopca z plakatu, Riley'a, a zabił kobietę, która z nim była? I czemu potem zadał sobie trud, żeby zostawić na narzędziu zbrodni jego odciski palców?

Zastanawia się nad Carolyn Pendry i nad tym, jak wyjaśniła, dlaczego sprawca zabił jej córkę: „Nie było gorszego sposobu, żeby mnie zranić”. Dla McDermotta to miało sens. Do diabła, najgorszym sposobem skrzywdzenia jego samego byłoby skrzywdzenie Grace. Może sprawca pomyślał, że Amalia Calderone jest dziewczyną Riley'a, i spróbował go zranić, tak jak zranił Carolyn, zabijając jej ukochaną osobę.

- Chce, żebym był w to zamieszany - mówi Riley. - Przysłała mi te listy. Zabija kogoś, kto był ze mną. Zostawia moje odciski na narzędziu zbrodni. Zależy mu, żebym był częścią tego wszystkiego.

Ale dlaczego? Dlaczego sprawca chce wciągnąć w to Riley'a?

McDermott kiwa głową.

- Idź do techników, żeby sprawdzili ci tę ranę na głowie - mówi. - I rękę. Ekipę techniczną mamy na gorze.

Riley prostuje się, wygładza garnitur.

- Chcecie wykluczyć możliwość, że sam sobie zadałem obrażenia. - Śmieje się. - Dobra, jasne. A jak już skończycie się bawić i grać w te swoje gierki, może wreszcie zabierzecie się za wyjaśnienie zagadki jakiegoś przestępstwa.

McDermott prowadzi Rileya do laboratorium ekipy technicznej. Kiedy wraca na dół, Stoletti wciąż siedzi w pokoju przesłuchań.

- Coś tu nie gra - mówi do niego.

Detektyw opada na krzesło.

- Mówiłaś, że Riley był pomocny podczas przesłuchania u profesora.

Stoletti potwierdza.

- Albany nie mówił mi wszystkiego. Nie dostrzegłam tego. Riley to zauważył. Dlaczego? - pyta, jakby czytając mu w myślach. - Myślisz, że odstawili tę szopkę dla mnie?

McDermott tego nie wie, ale to też jakiś pomysł.

- Riley sam prosił, żeby tam jechać. Do cholery, to właśnie on podał nam nazwisko profesora.

- I jeśli przycisnie Albany'ego, sprawi wrażenie, jakby próbował to rozgryźć. - Najwyraźniej Stoletti podoba się ten pomysł. - Bez wątpienia bystry z niego gość. Ale jak do tego wszystkiego pasuje Amalia Calderone?

McDermott wzdycha.

- Może chodzi o przykrywkę. To atak na niego.

- No cóż, nie jestem technikiem - mówi Stoletti - ale jak na mój gust to ta rana na jego głowie nie wyglądała tak, jakby sam ją sobie zadał.

- Nie mówiłem, że sam ją sobie zadał. - McDermott potrząsa głową. - Nie mówię, że to Paul Riley morduje tych ludzi. Ale miał rację co do jednego. Ten facet chce, żeby był w to zamieszany. Specjalnie zadaje sobie trud, żeby zrobić ze zwykłego, szarego człowieka, Paula Rileya, kogoś zamieszanego w tę sprawę. Po co?

Stoletti zastanawia się nad tym. Żadne z nich tego nie wie.

- A może... - spekuluje McDermott - on chce, żeby Riley mu pomógł?

Jego partnerce nie podoba się ta myśl. Wstaje z krzesła i nerwowo chodzi po pokoju przesłuchań. McDermott przesuwając spojrzenie po ciele Ricki. Jej figura - jak sama mówiła - „prezent od matki, Niemki”, jest mocna, ale wysportowana. Może musi się sporo nauganiać przy swoich dwóch nastoletnich chłopakach. Może fakt, że znów jest samotna, mobilizuje ją do dbania o figurę. Niewiele rozmawiają ze sobą o życiu osobistym. McDermott uświadamia sobie, że to taki pancierz, za którym krył się od trzech lat.

- Nie przepadam za Rileyem - mówi Stoletti. - Ale mimo wszystko, Mikę... Pomyślmy, co my tu mamy. Sądzymy, że Cassie Bentley załatwił ktoś inny, a on o tym wiedział. Wycofał zarzuty związane z jej zabójstwem, żeby to zatuszować. I dostał za to dużą oraz miłą nagrodę: prowadzenie wszystkich spraw prawnych Harlanda Bentleya. A teraz ktoś otwiera drzwi, a Riley chciałby, żeby pozostały zamknięte.

- Wypląnął na tej sprawie - mówi McDermott, również wstając. - Zaraz po Burgosie zaczął zarabiać miliony rocznie jako adwokat Harlanda Bentleya. To całkiem niezły motyw.

- No cóż, tyle można powiedzieć - dodaje Stoletti. - Jeśli jest w to zamieszany, to miejmy nadzieję, że teraz go wyeliminowaliśmy.

- Nie zamknijemy Riley'a - postanawia McDermott. - Będziemy go obserwować i użyjemy, jeśli będzie nam potrzebny. Nie obchodzi mnie, czego chce Carolyn Pendry.

Prawda jest taka, że McDermott mniej się teraz przejmuje tym, co się wydarzyło podczas sprawy Burgosa. Na to jeszcze przyjdzie pora. Jego priorytetem jest powstrzymanie fali zabójstw. Jeśli jest w to zamieszany profesor Albany albo Riley, to być może udało się ich trochę nastraszyć. A dla nich pozostaje jedna osoba.

- Chodźmy spotkać się z Harlandem Bentleyem. I skon-

taktuj mnie z Susan Dobbs z laboratorium koronera. Chcę się wreszcie dowiedzieć, co to, u diabła, są paliczki stepu.

Gdy technicy z prokuratury okręgowej kończą mnie badać, wychodzę w wilgotne wieczorne powietrze i dzwonię do Joela Lightnera. Zanim udaje mi się coś powiedzieć, informuje mnie:

- Znalazłem Brandona Mitchuma. Mieszka tu, w mieście.
- Świetnie.
- Przekaż go glinom - sugeruje.
Śmieję się, choć nie jest mi za bardzo do śmiechu.
- Szukają wiatru w polu - mówię. - Chyba mogę liczyć tylko na siebie. Daj mi adres Mitchuma.

Skrzyżowanie McRae i Richmond. Parkuje na rogu, patrzy przez lornetkę, znajduje trzecie piętro. Przy dużym oknie wielkie płótno na sztaludze, na nim rozchłapane dzikie wiry purpury i czerwieni. Jak rozbryzgana krew.

Pojawia się w oknie, trzyma pędzel nad płótnem. Gasnące światło wieczoru wpada przez szybę. Ma na sobie upačkany farbą podkoszulek i krótkie spodenki. Strąki długich włosów opadają na przystojną twarz.

Nie zmieniłeś się ani trochę, Brandon.

32

Sprawdź w lusterku wstecznym: na chodniku jakaś kobieta wyprowadza psa, inna uprawia jogging. Jest w pół do siódmej i słońce opada już nisko, poniżej linii budynków. Nikt nie zwraca uwagi na Leo. Nikt na niego nigdy nie zwraca uwagi. Ale to w porządku. Dzięki temu jest lepszy w tym, co robi.

Dobra. Teraz na ulicy jest czysto. Kobieta z psem skręca

za róg. Nie ma więcej ludzi. Dobry moment, żeby to zrobić. Jeszcze raz spojrz w lusterko. Wsiądź. Zapomnij o tym ścieganie. Sprawdź ulicę i powtórz, co masz mówić. Evelyn Pendry. Policja. Evelyn Pendry. Policja.

To nie za dobre. Nie tak się to robi. Ale teraz nie ma wyboru.

Czuje zapach curry z indyjskiego baru w głębi ulicy. Z trudem przetyka, rozgląda się w obie strony, kuśtykając, przechodzi na drugą stronę. Krótki spacer pomaga mu rozluźnić ściegno. Podchodzi do ceglanego budynku i widzi nazwisko MITCHUM na domofonie. Mieszkanie 3B. Naciska dzwonek. Przenikliwy dźwięk.

Jestem bystrzejszy od niego. On w to uwierzy, uwierzy.

Policja. Evelyn Pendry. Policja. Evelyn Pendry.

Mija chwila, potem trzask z głośnika. Głos:

- Słucham?

Evelyn Pendry. Policja. Evelyn Pendry. Policja, **policja**, policja.

Jest w stanie wykrztusić z siebie tylko:

- Policja.

Milczenie. Znów trzask głośnika.

- O co chodzi?

- Evelyn Pendry. - Otwiera i zaciska **pięści. Kręci głową.**

Domofon znów trzeszczy:

- Co z Evelyn?

- Musimy porozmawiać.

Dobrze. Świetnie. Musimy porozmawiać.

- Dobrze... W porządku... Trzecie piętro.

- Proszę otworzyć drzwi...

- Domofon jest popsuty. Wystarczy pchnąć.

Leo wciąga głęboko powietrze. Przygląda się drzwiom. Zauważa, że są lekko uchylone. Zagryza wargę. Mógł od razu wejść. Mógł się zakraść.

Nie ma czasu. Wejdz na klatkę schodową, miń półpiętro, popraw sportową kurtkę. Jeszcze raz sprawdź portfel, który

ma udawać odznakę. Popraw okulary, **weź głęboki oddech**. Jesteś gliniarzem, jesteś gliniarzem...

Jestem gliniarzem, Brandon.

Policja, panie Mitchum. Musimy porozmawiać.

Pamiętasz mnie jeszcze, Brandon?

Obudzili go. Łatwo było go obudzić. Nie spał za dobrze. Śnił o ciemnej wodzie wlewającej mu się do płuc, topiącej go...

Ale teraz jest przytomny. Głosy. Gwendolyn. Gwendolyn Lakę znów była w domu, po raz drugi, odkąd Leo przyjechał do Stanów.

Jego pokój znajdował się na tyłach budynku. Podeszedł do okna, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zobaczył ich. Puszczali muzykę, pili i palili. Cassie i jej przyjaciółka Ellie, Gwendolyn i jakiś chłopak. Okno było otwarte. Słyszał, jak się śmieją. Muzyka była włączona na pełny regulator.

- O, cześć! - Cassie pomachała ręką w jego stronę. - Obudziliśmy cię?

Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- To mój przyjaciel Brandon - wskazała na chłopaka. Leo pomachał mu ręką i odszedł od okna.

Ale wciąż ich słyszał. Głos Ellie. Zdążył go już dobrze poznać.

- To jest Leo. Mój chłopak - powiedziała. I wszyscy się zaczęli śmiać. Nawet Cassie. Wrócił do łóżka. Ale już nie zasnął. Otworzył okno i słuchał.

Nie, Brandon, nie będziesz mnie pamiętać. Mnie nikt nie zapamiętuje. Schyl się, żeby rozciągnąć ścięgno, potem idź dalej, wejdź na trzecie piętro.

Drzwi na prawo są uchylone. Ktoś przez nie wygląda.

- Pan z policji, prawda? O co chodzi?

Pan z policji. Dobrze.

- Co się stało Evelyn?

Nie żyje. Te słowa umie dobrze wypowiadać.

Wyjmij portfel, skup się na portfelu...

Mitchum zerka na odznakę, ale wciąż patrzy na Leo.

Pamiętasz mnie, Brandon?

Ja ciebie pamiętam.

Mitchum otwiera drzwi, ale wciąż blokuje wejście.

- Co się stało?

Teraz już nie może się wycofać. Nie tak to zwykle robi, ale już tu jest... Nie będzie kolejnej szansy...

Zamordowana. Kolejne słowo, które dobrze zna.

Mitchum intensywnie wpatruje się w Leo, opuszcza wzrok na jego portfel, który teraz znów jest zamknięty.

- Może pan powtórzyć swoje nazwisko?

Wcale go nie podałem, Brandon.

Leo podaje mu portfel, tak jak paragon tamtej kobiecie na parkingu. Zwykle odwrócenie uwagi. Kiedy będziesz otwierać ten portfel, żeby sprawdzić odznakę, Brandon... Wyjmij brzytwę. Otwórz ją szybkim ruchem Ireki, następując mu na stopę, tak żeby się nie mógł ruszyć... Potem wsunę ci ostrze pod podbródek i jeśli się ruszysz, Brandon, jeśli się ruszysz...

Oczy Mitchuma zamierają z przerażenia. Już rozumie.

Wolną ręką złap go za włosy, wepchnij do środka. Niezdarny taniec, aż będziesz w środku... Zamknij drzwi. Domknij je za sobą. Zapach, ten zapach, marihuana, tak, tak jak w Lefortowie, przeszmyglowana, miała pomagać zabijać czas, ale zawsze wszystko spowalniała... Wszystko było powoli. Powoli, powoli... tak jak ta ostatnia godzina twojego życia, Brandon. Tak strasznie powoli.

Przypominam sobie słowa Stoletti, że lubi przesłuchiwać świadków na świeżo, nieprzygotowanych na to. Postanawiam nie korzystać z domofonu, nie zapowiadać, że tu jestem, bo drzwi wejściowe nie są zamknięte.

Wybieram ostatnie schody, słyszę głosy w pokoju Brandona Mitchuma. Pukam do drzwi i słyszę szorstki szept, a po-

tern zapada kompletna cisza. Wstrzymuję oddech. Zalewa mnie fala gorąca.

- Brandon Mitchum?! - krzyczę. Przysuwam się do drzwi, wyciągam rękę i znów pukam, słysząc dalsze hałasy. Jakiś trzask, potem szybkie, gwałtowne kroki po twardej drewnianej podłodze.

Biorę głęboki oddech i staram się zapanować nad głosem, żeby nie zabrzmiało w nim narastające przerażenie.

- Policja! - wrzeszczę.

Naciskam klamkę. Drzwi nie są zamknięte od środka. Rozglądam się po poddaszu. Wysoki sufit, kanapa i wielkie łóżko, z którego rozpościera się widok na ulicę. Na dywanie przy kanapie leży mężczyzna, z twarzy tryska mu krew.

Ktoś biegnie w stronę tylnego wyjścia. Furkocze na nim sportowa kurtka. Bez namysłu ruszam w jego ślady. Mężczyzna jest niższy ode mnie, trochę mocniej zbudowany, ale nie porusza się sprawnie, kuleje. Zalewa mnie fala adrenaliny, gdy uświadamiam sobie, że za sekundę czy dwie go dogonię.

Zanim udaje mu się otworzyć tylne drzwi, dopadam go od tyłu. Łapię w niedźwiedzi uścisk w nadziei, że uda mi się go zatrzymać i przycisnąć mu ręce do boków. Wykręca ciało w prawo, próbuje zrzucić mnie z siebie. Trzymam go z całych sił, ale uwalnia prawą rękę i szybko wyrzuca w tył łokieć, trafiając mnie w twarz. Czuję straszliwe uderzenie w czoło. Widzę pod powiekami gwiazdy, ale podnoszę lewą rękę i łapię go za szyję. Jeszcze raz próbuje trafić mnie prawym łokciem, ale teraz jestem zbyt odsunięty w lewo. Walę go pięścią w podstawę czaszki. Znów się cofam, ale on się odwraca, zanim to sobie uświadamiam, stoi teraz przodem, uderza mnie ręką w gardło, odrzucając w tył...

Myszę o Shelly. Pamiętam ten pierwszy raz, kiedy spotkałem ją w sądzie. Doradzała stronie przeciwnej. Ten zapal krzyżowca, to przekonanie w oczach... Pokochałem ją, zanim jeszcze poznałem.

...uderzam głową w ścianę. Walę się na podłogę jak wo-

rek. Zamglonym wzrokiem spoglądam na mężczyznę, tego samego co na tej fotografii, tego, który stał za Harlandem Bentleyem i grupką reporterów. Jego oczy są pozbawione życia, martwe, ale potem przekrzywia głowę i mruga.

- To ty? - pyta.

Staram się jakoś pozbierać, żeby się bronić, ale wypada przez drzwi i zbiega po schodach przeciwpożarowych. Walczę ze sobą, żeby nie stracić przytomności. Myślę o telefonie, szukam go, leżąc na podłodze w kuchni. Słyszę kroki tego człowieka dudniące na schodach przeciwpożarowych. Słyszę krzyki z drugiego pokoju, krzyki Brandona Mitchuma.

Nie próbuję wstać. Nie jestem pewien, czy byłbym w stanie. Czołgam się po kuchennej podłodze, wyciągam ręce w stronę blatu, przesuwam po nim dłonią i tracę równowagę. Zrzucam na podłogę długopis, kartkę papieru i przenośny telefon. Tylna część aparatu odpada, ukazując miejsce na baterię, które na szczęście jest wciąż nietknięte. Łapię telefon i opadam na plecy. Wykręcam trzycyfrowy numer, walczę o tych kilka sekund, których potrzebuję. Z moich ust płyną słowa, chaotycznie, bezładnie: napaść, napastnik, ktoś jest ranny, karetka, policja. A potem robi mi się czarno przed oczami.

Leo skręca za róg alejki i zatrzymuje się, ściskając się kurczowo za ścięgno. Wraca w stronę ulicy McRae, od której wchodzi się do domu Mitchuma. Mogą być wszędzie, wie o tym, ale nie ma wyboru.

Zdrajca. Pierdolony zdrajca. Trzyma się blisko ściany budynku na wypadek, gdyby ktoś wyglądał przez okno z mieszkania Brandona. Nie zobaczą go. Ale już go widzieli, już go widzieli...

Nie rozumiem. Nie rozumiem.

Uruchamia silnik i odjeżdża, nie przekraczając dopuszczalnej prędkości.

Ręce. Ręce. Wie o tym. Odciski. Nie było czasu posprzą-

tać. Zostawił odciski. Odciski **na** drzwiach. **Teraz** się dowiedzą. Dowiedzą się, że to ja.

Dobra, Paulu Riley. Dokonałeś wyboru.

Wiem, jak cię zranić.

- Brandon - mówię, starając się odegnać ciemność sprzed oczu. Próbuje wstać, chwiejnie zataczając się, ruszam w kierunku krzyków dobiegających z pokoju. Znajduję go w pozycji embrionalnej, krew tryska mu między palcami, którymi zakrywa twarz.

- Powiedz mi, gdzie cię pociął - mówię.

- W policzek! - krzyczy, trzymając dłoń przy ustach. - Pomóż mi!

- Karetka już jedzie. Trzymaj się, Brandon. Nic ci nie będzie.

Udaje mi się jakoś wrócić do kuchni. Znajduję w zlewie wilgotną ściereczkę. Wracam z nią do Brandona i przyciskam mu ją do twarzy. Próbuje usiąść, trzymając szmatkę przy ranie. Ma krew na koszuli, krew spływa na dywan. Kucam nad nim. Badam go. To chyba tylko policzek. Na pewno od tego nie umrze, ale na twarzy jest mnóstwo naczyń krwionośnych i krwawi jak cholera.

- Przyciskaj to do rany - mówię.

- O mój Boże - mamrocze, chwytając mnie wolną ręką za rękaw. - O mój Boże, dziękuję...

- Znasz go? - Siadam na kanapie obok niego.

- Gliniarz - udaje mu się wykrztusić. Wyrzuca z siebie słowa, nie panuje nad oddechem.

Kładę mu rękę na ramieniu.

- Już go nie ma, Brandon. W porządku? Jesteś bezpieczny. Ten facet był gliniarzem? Czy tylko mówił, że nim jest?

Brandon kiwa głową, drży na całym ciele, obiema rękoma przyciska szmatkę do policzka. Ten facet musiał udawać gliniarza. Patrzę na drzwi, rozglądam się po mieszkaniu.

- Nie miał rękawiczek - mówię.

- Wiedział o... wiedział o oj... on wie...

Przez otwarte frontowe drzwi słyszą kroki dudniące po klatce schodowej.

- O czym wiedział, Brandon? - pytam, zbliżając twarz do jego twarzy. Może to i nie jest śmiertelna rana, ale może się też okazać, że nie będę miał więcej okazji z nim porozmawiać. - Brandon, to ważne. On wiedział o...

- O ojcu - mówi, gdy dwóch umundurowanych policjantów wpada przez drzwi.

33

- Nie wpada się do gabinetu Harlanda Bentleya bez zapo wiedz - oznajmia komendant. - Nie na podstawie tego, co mówi pański nos, detektywie.

McDermott łapie za telefon, patrząc na Stoletti i kręcąc głową. To był jej pomysł, dobry pomysł, żeby dostać zielone światło, zanim wpadną do gabinetu jednego z najbogatszych ludzi na świecie. Gdyby coś poszło nie tak, usłyszałyby o tym gubernator, usłyszałyby o tym burmistrz, usłyszałyby o tym komendant i usłyszałyby o tym McDermott.

- Chodzi o jego córkę...

- Rozumiem, o co chodzi. Możecie go przesłuchać i możecie zrobić to szybko. Ale umówcie się. Nie pakujcie się tam z brudnymi buciorami. Powiedzcie, że to pilne, ale bądźcie dla niego uprzejmi.

McDermott milczy. Boi się słów, które mogłyby się mu wyrwać.

- Słuchaj, Mike. Twierdzisz, że jest on głównym podejrzanym, a ja ci powiem coś innego. Może coś w tym jest, co mi mówisz, ale niewykluczone, że się mylisz. To może być jakiś psychopata, który chce ciągnąć dalej krucjatę Terry'ego Burgosa.

- Tak jest.
- Niech się pan **umówi, detektywie. Niech pan to zrobi**, jak należy.

Komendant się rozłącza.

- Kurwa! - McDermott odkłada słuchawkę. - Ja pierdołę! Chce, żebym powstrzymał seryjnego mordercę, ale mam uważać na manery! Umawiamy się - mów do Stoletti. - Musimy się z nim umówić.

Sprawdza wiadomość na komórce. Telefonowali z kostnicy. To Susan Dobbs chciała do niego oddzwonić.

- Pracujesz do późna, Susan? - pyta, gdy ta odbiera telefon.

- Jem kolację, Mike. Dzwoniłeś do mnie na komórkę. Tylko mi nie wmawiaj, że to był przypadek.

- W porządku, nie zamierzam.
- Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle dałam ci mój numer.

- Bo poświęciłaś się służbie publicznej.

- Dzwoniłeś w sprawie autopsji Ciancia?

- Tak, mam tu w raporcie, że miał nacięcie pomiędzy... Poczekaj chwilę... - Bierze do ręki raport z autopsji. - Pośmiertne nacięcie u podstawy czwartego i piątego paliczka stopu...

- Zgadza się. Między czwartym a piątym palcem u nogi. Między piątym a czwartym palcem jest taka fałda skórna. Naciął ją. Zrobił to, kiedy ten facet już nie żył.

- Jak myślisz, po co to zrobił?
- To ty jesteś gliniarzem. Ale powiedziałabym, że to było umyślne. Trzeba się postarać, żeby rozsunąć dwa palce u nogi i tak to naciąć. Czegoś takiego nie da się zrobić przypadkiem.

Susan ma rację. Gdy znaleźli Ciancia, miał na nogach skarpetki. Przed śmiercią był torturowany. Sprawca zadał sobie trud, żeby po tym wszystkim zrobić to nacięcie, a potem jeszcze włożył mu skarpetki.

Celowo, tak jak powiedziała Susan Dobbs. Ten sprawca

niczego nie robi przypadkowo. Realizuje konsekwentnie swój plan. I robi to dobrze.

To część roboty. Nigdy nie idzie tak, jak planowałeś. Improvizujesz. To dlatego jesteś w tym dobry.

Pozornie opuszczona wypożyczalnia filmów porno została zabita deskami, ale Leo wie, że jest czynna. Pchnięciem otwiera drzwi, mija dwa regały czasopism i kaset wideo. Zmierza prosto do lady.

Siedzący za nią mężczyzna jest barczysty i ma grube ramiona. Czyta gazetę, mamrocząc coś pod nosem.

- Mienią zawut Leonid - przedstawia się Leo.

Mężczyzna zerka znad gazety, nie okazując zainteresowania.

- Leonid?

- Da.

- Kagda? - pyta mężczyzna znad gazety, która wciąż zasłania mu większą część twarzy.

- Siejczas - odpowiada Leo. Teraz.

Mężczyzna kieruje go w głąb uliczki, ale Leo już zna drogę. Na budynku magazynu nie ma żadnego szyldu. To tylko pojedyncze nieoznaczone drzwi. Leo puka. Słychać zgrzyt przesuwanych zamków. Kolejny potężny mężczyzna, z brzuchem rozsadzającym brudną białą koszulę. Otwiera drzwi, omiata Leo spojrzeniem głęboko osadzonych oczu i wpuszcza go do środka.

Śmierdzi. Tłuszczem i tanią wódką. Tanią wódką i tłuszczem.

W środku rozbierane są na części skradzione samochody. Odgłosy pracującego sprzętu odbijają się echem od wysokiego sufitu. Nawet na tej sporej, otwartej przestrzeni powietrze wypełniają zapachy ciała i tytoniu. Znów przypomina mu się Lefortowo. Ludzie bez przerwy palili tam papierosy, żeby zażyć czas. Czas nie miał żadnego znaczenia, ale był jedyną rzeczą, którą mieli.

Mężczyzna prowadzi **go do małego pokoju** z okrągłym Stolikiem.

- Skolko? - pyta Leo.

- Dwesti.

Leo kiwa głową, odwraca się do niego plecami, odlicza dwieście dolarów ze zwitka banknotów i kładzie je na stole. Mężczyzna bierze pieniądze i prowadzi go przez magazyn. Leo nie patrzy na ludzi pracujących przy samochodach. Wsłuchuje się w dudnienie swojego serca. Wsłuchuje się w odgłos krwi tętniącej mu w głowie. Mężczyzna otwiera kluczem wielkie drzwi. Ze środka spogląda na nich z tuzin kobiet siedzących na zdezelowanych sofach i krzesłach. W pokoju jest ciepło. Kobiety - a właściwie niektóre z nich to dziewczyny - są skąpo ubrane, mają na sobie bluzki wiązane na szyi, z odsłoniętymi plecami, i seksowne spodenki lub obcisłe szorty. Powietrze wypełnia woń tanich perfum i papierosowego dymu. Z małego przenośnego stereo gra jakaś popowa muzyka.

Leo przygląda im się badawczym wzrokiem. Niektóre z tych dziewcząt to nastolatki. Prawie wszystkie mają zniszczoną skórę, jedna jest posiniaczona. Patrzą na niego pustymi, bez wyrazu oczami. Większość z nich jest chuda, ale nie wyglądają na wysportowane. Znajduje taką, która mu odpowiada, i kiwa do niej głową.

- Skolko wam ljet? - pyta. Wcale zresztą nie oczekuje, że zdradzi mu swój prawdziwy wiek.

- Dwadcat' adin - mówi kobieta. Dwadzieścia jeden. To kłamstwo. Blżej jej do trzydziestki. Kłamczucha. Leo pyta, jak ma na imię, żeby mogła znowu skłamać. Tylko tyle potrafią. Kłamać...

- Dodia - odpowiada. Leo wskazuje na nią ręką. Ta się nada.

Pomieszczenie na górze jest małe, ciemne i brudne. Leo znów pogrąża się w przeszłość. W Lefortowie siedzieli ich ośmiu w jednej celi, a sufit był o wiele wyżej, ale to uczucie ciasnoty jest podobne.

Myśli o Kat, wyobraża sobie nawet jej twarz. Zamyka oczy, tak jakby to mogło wymazać wspomnienie. Kiedy znów jej otwiera, ta „Dodia”...

...znał w Leningradzie jedną Dodie, puciołowatą, smutną dziewczynę o miedzianych włosach. Dokuczali jej. Leo robiło się wtedy przykro, bo wiedział, jak to jest. Ale nic nie zrobił, pozwalał im jej dokuczać, a ona płakała...

Dodia zręcznie zsuwa szorty i zdejmuje bluzkę. Jej ciało sprawia wrażenie nie w pełni rozwiniętego. Płaskie piersi, wystające żebra. Patrzy na niego, oczekując jakiejś wskazówki, ale on nic nie mówi, nic nie robi. Kobieta podchodzi, wyciąga rękę w stronę jego paska od spodni.

- Niet - mówi Leo. Powoli kręci głową.

Kobieta robi krok w tył.

- Ja nie ponimaju.

Ale świetnie to rozumie. Leo uderza ją zewnętrzną stroną dłoni, żeby nie zostawić widocznych siniaków. Kobieta osuwa się na twardą podłogę, łapie za policzek. Znów patrzy na mężczyznę, szukając w jego oczach jakiejś wskazówki.

Leo rozsuwa zamek u spodni. Kobieta obserwuje go, z początku niepewna, czy powinna patrzeć, czy odwrócić wzrok. I zaraz pojmuje: powinna patrzeć.

Kiedy już jest zadowolony, zapina spodnie i przysuwa się. Dostrzega grymas kobiety, gdy się do niej zbliża. Widzi również, że nie próbuje się ona odsunąć. Po drodze do wyjścia zatrzymuje się w tym samym pomieszczeniu, w którym przedtem negocjował cenę. Grubas siedzi z nogami opartymi o ladę, czyta czasopismo o samochodach.

- Ja chatielby kupit' Dodia - mówi.

Mężczyzna przez chwilę wpatruje się w niego. Jego grube brwi ściągają się ze zdziwienia. Potem wybucha śmiechem. Napawa się tą chwilą. Później spogląda na Leo, człowieka, którego - jak chyba zaczyna rozumieć - nie powinien lekceważyć.

- Skolko? - pyta Leo. - Adna tysiacza?
Mężczyzna poważnieje. Zastanawia się przez chwilę.
Ustalają cenę na osiem tysięcy.

Kręcę się po szpitalu, przyciskając łód do tyłu głowy. Mówią, że upłynie trochę czasu, zanim skończą się zajmować Brandonem Mitchumem. Wezwano chirurga plastycznego, aby pozszywał mu twarz. Okazuje się, że miał też wiele innych powierzchownych ran na torsie, ale żadna z nich nie zagrażała życiu. Gliniarze powiedzieli mi, żebym się nigdzie nie oddalał. Podałem im nazwisko McDermotta. Prawdopodobnie już tu jedzie. Ale pozwolili mi swobodnie poruszać się po szpitalu. Kiedy nadjechała kawaleria, Mitchum nie był już w stanie zbyt wiele powiedzieć. Pewnie pogroził się w szoku. W swojej historii zdążył jednak przedstawić mnie jako bohatera, a niejako czarny charakter.

Wychodzę więc na zewnątrz, rozkoszując się świeżym powietrzem i możliwością użycia komórki. Najpierw dzwonię do Shelly. Mieliśmy się dzisiaj spotkać. Zapewniam ją, że nie takiego mi się nie stało i że nie, nie ma sensu, aby przyjeżdżała do szpitala. Przez jakiś czas będę miał na głowie paru gliniarzy, którzy - tę część opuszczam - nie widzą mnie teraz w zbyt korzystnym świetle.

- Zamknij drzwi na klucz, kochanie - mówię. - Nie żartuję.

- A co z tobą? - pyta Shelly.

To naturalne pytanie, ale sprawia, że muszę się zastanowić. Ten facet miał mnie w garści. Mógł ze mną zrobić, co chciał. Ale mnie puścił. Jeśli dołożyć do tego w poniedziałek w nocy Amalię Calderone w alejce, to już dwa razy darował mi życie.

To ty - powiedział, zupełnie jakby ze wszystkich ludzi na świecie nie spodziewał się zobaczyć właśnie mnie.

Te listy, które mi przysyłał. Muszę jeszcze raz im się przyjrzeć.

- Kocham cię, Shelly - mówię. Serce mi przyspiesza, niezależnie od okoliczności.

Potem dzwonię na komórkę do Harlanda Bentleya. Siedzi w jakiejś restauracji, prawdopodobnie z nową dziewczyną z okładki. Mówię mu, że to bardzo ważne, a on obiecuje, że zaraz oddzwoni.

I oddzwania. Odgłosy ruchu ulicznego świadczą, że wyszedł na zewnątrz. Mówię szybko, opowiadam o wszystkim, co się zdarzyło. Pozwala mi dokończyć, a potem oświadcza:

- Policja chce mnie jutro przesłuchać.

- Harland, słyszałeś wszystko, co ci właśnie powiedziałem?

Milczenie. Jakiś samochód zawzięcie trąbi w tle. Ten dźwięk wydaje się nie pasować do sytuacji.

- Słyszałem - mówi.

- Brandon wspominał o „ojcu”. Ten facet ze zdjęcia właśnie prawie mnie zabił. Już drugi raz. Jesteś w stanie pomóc mi się w tym wszystkim połapać?

Otarcie się o śmierć wyzwala w człowieku wiele rzeczy, ale nie należy do nich skłonność do dyplomacji, nawet w stosunku do klienta wartego miliony dolarów. A poza tym zaczynam się czuć tak, jakby ktoś nie powiedział mi czegoś o jednej z ofiar. I to jeszcze wtedy, gdy popełniono tamte morderstwa.

- Nie przez telefon - mówi. - Zadzwoń, jak już wszystko załatwisz tam na miejscu.

- To może trochę potrwać.

- Jak już wszystko załatwisz - mówi stanowczym tonem - zadzwoń do mnie.

McDermott i Stoletti zjawiają się jakieś pięć minut później. Policjanci, którzy przybyli po wezwaniu telefonicznym, też są na miejscu: Wilson i kobieta o nazwisku Esteban. Riley siedzi w korytarzu na krześle, przyciskając do głowy łód.

Esteban streszcza, co się zdarzyło. Wezwanie z dyspozy-

torni, wejście do budynku, Riley trzymający w ramionach Brandona Mitchuma, gdy wtargnęli do mieszkania, i to, czego się dowiedzieli później.

- Wygląda na to, że Riley ocalił Mitchumowi życie - mówi Esteban, wskazując go ruchem głowy.

McDermott patrzy na Paula, który już ich dostrzegł, ale nie rusza się z miejsca.

- Wierzysz w to?

- Tak, wierzę. Ten Mitchum ścisnął Riley'a i dziękował mu.

- Riley twierdzi, że sprawcą był „ten facet ze zdjęcia” - wtrąca drugi gliniarz, Wilson. - Powiedział, że tamten miał bliźnię. Czy to coś wam mówi?

- Tak. - McDermott czuje przebiegający mu po plecach dreszcz. Ten facet ze zdjęcia, stojący za Harlandem Bentleyem i grupą reporterów.

- Wysłaliśmy tam techników - mówi Esteban. - Ten facet, Riley, cały czas nam powtarzał, żebyśmy szukali odciśnięć.

To miało sens. Skoro sprawca udawał policjanta, nie mógł mieć rękawiczek. I nie miał też czasu na posprzątanie. To może być przełom.

- To bardzo miłe ze strony Riley'a - oświadcza Stoletti.

Oczywiście Wilson i Esteban nie wiedzą, o co jej chodzi. McDermott rozumie. Podchodzi do Riley'a, który wstaje.

- Nic ci nie jest? - pyta.

- Będę żył.

Owszem, będziesz żył - myśli McDermott. To już drugi raz.

- Co tam robiłeś?

- Brandon Mitchum był przyjacielem Cassie i Ellie w Mansbury. Ta trójka trzymała ze sobą. Pomyślałem, że jeśli ktokolwiek może coś wiedzieć o tym, czy Cassie była w ciąży, to właśnie on.

- I nie wpadło ci do głowy, żeby nam o tym powiedzieć? - pyta Stoletti. - Bawisz się teraz w gliniarza?

- Pomyślałem, że ktoś powinien.

- No dobra, kolego. - McDermott podchodzi bliżej do Paula. Nie przepada za prawnikami, ale nie ma problemu z Rileyem, przynajmniej nie osobiście. A jednak wygląda na to, że pojawia się tu coraz więcej dziwnych zbiegów okoliczności. - Powiedz mi tyle, ile możesz. Opuść już sobie te cholerne komentarze.

Riley opowiada im historię, która brzmi bardzo podobnie do tej, jaką właśnie usłyszeli od interweniujących policjantów. Robi się ciekawie, gdy dochodzi do konfrontacji ze sprawcą.

- „Ty” - powtarza McDermott. - Zupełnie, jakby cię znał. Był zaskoczony na twój widok.

- Albo jakby nie potrafił zrozumieć, dlaczego go powstrzymałeś - dodaje Stoletti. - Czemu on to robi? Czemu myśli, że powinienes być jego sojusznikiem?

Riley tego nie wie.

- Powiem wam tylko tyle. Byłem sporo wyższy od tego faceta, ale poradził sobie ze mną jak z dzieckiem.

- Był silny?

- Tak, przypuszczam, że tak, ale nie o to mi chodzi. On wiedział, co robi. Próbowałem trzymać jego głowę pod ramieniem i w jakieś dwie sekundy wysliznął mi się, obrócił i pchnął mnie na ścianę. Wygląda na to, że przeszedł jakiś trening.

McDermott traci pewność siebie.

- Mówił z akcentem - dodaje Riley. - Chyba z jakimś wschodnioeuropejskim. Pogadajmy z Brandonem. Może po wie nam więcej, jak mu już dadzą coś na uspokojenie.

McDermott wykonuje ruch ręką, jakby chciał go przed czymś powstrzymać.

- O! - mówi Riley. - Widzę, że nie jestem zaproszony?

- Zgadza się. Nie jesteś. I ciesz się, że cię nie aresztują. Paul przez długą chwilę mierzy ich wzrokiem, potem wyciąga ręce, jakby chciał, żeby założyli mu kajdanki.

- Cholera, odpuść sobie to pierdolone przedstawienie.

Riley opuszcza ręce.

- Dobra, jak sobie chcecie. Wychodzę.

Wymija McDermotta. Ten patrzy na Stoletti. Żadne z nich nie wie do końca, co z nim zrobić. W innych okolicznościach pewnie należałoby go zamknąć. Oczywiście mogliby to uzasadnić znalezieniem na łomie jego odcisków palców. Ale Paul Riley nie należy do ludzi, których się zamyka bez dobrego powodu.

- Dziś wieczorem nie był tak uważny.

Odwracają się do Paula, który nie odszedł jeszcze daleko.

- Jego dwie pierwsze ofiary - wyjaśnia. - Perfekcyjnie to zaplanował. Wszedł i wyszedł bez śladu. Doskonale zabójstwa. Ale tym razem to spieprzył.

- Jak to? - pyta Stoletti.

- Drzwi wejściowe do budynku - mówi Riley. - Są popsute. Wszedłem bez problemów. Ale on nie. Brandon rozmawiał z nim przez domofon.

McDermott zastanawia się nad tym.

- Gdyby dobrze to zaplanował, wiedziałby, że te drzwi są popsute.

- I zaskoczyłby Brandona. Tak jak to zrobił z Cianciem i prawdopodobnie z Evelyn.

- To dlaczego tym razem było inaczej? - pyta Stoletti.

- Nie wiem. Wy jesteście gliniarzami. Wymyślcie coś, do cholery! - Teraz Riley naprawdę odchodzi.

McDermott woła za nim:

- Nie ruszaj się z miasta na wypadek, gdybyś był nam potrzebny!

- Tak, tak! Jasne!

Ten facet... Problem z prawnikami polega na tym, że znają swoje prawa. McDermott nie może Rileyowi nic zabraniać, chyba że go arestuje, ale on o tym lepiej wie niż ktokolwiek inny.

Ale miał rację z tym napadem na Mitchuma. Dlaczego

tym razem było inaczej? Nagle sprawca, który wszystko świetnie planuje i z zimną krwią dokonuje egzekucji, zaczyna improwizować.

- Pogadajmy z Mitchumem - mówi McDermott.

34

Sześćdziesiąte trzecie piętro BentleyCo Tower jest zarezerwowane wyłącznie dla dyrektora wykonawczego Harlanda Bentleya. Jego prywatny gabinet zajmuje całą południową część piętra. Pałacowe wnętrza, z własną salą konferencyjną, prywatną łazienką i spa. Wielkie i małe sale konferencyjne mieszczą się w północnym, wschodnim i zachodnim skrzydle, obok zbytecznych luksusów, na które pozwala sobie Harland. Pokój wypoczynkowy z wbudowanym systemem stereo i głośnikami, sześćdziesięciocalowym telewizorem plazmowym i fotelami obitymi skórą, pokój treningowy ze stepperem, bieżnią, ergometrem i zestawem do podnoszenia ciężarów. Oprócz tego apartamenty sypialne w północnej części budynku. Choć nigdy ich nie widziałem, wątpię, żeby Harland w nich „sypiał”.

Jednak dziś wieczorem prowadzą mnie do pomieszczenia, które Harland nazywa Pokojem Zielonym. Mój klient stoi tam pochylony nad piłką do golfa i uderza w nią kijem, celując do dołka na polu puttingowym. Nie trafia. Zamiast zakląć, sięga kijem po leżącą przed nim kolejną pomarańczową piłkę i mówi:

- Spóźniłeś się.

To właśnie cały Harland. Spotykamy się - tak jak uzgodniliśmy - gdy załatwiłem sprawy z policją w szpitalu, ale i tak z miejsca zostałem przez niego sprowadzony do defensywy. Asystent, który wprowadził mnie do tego pokoju - prywatny ochroniarz ze słuchawką w uchu i mikrofonem przy-

piętym do ubrania - mówiący z silnym brytyjskim akcentem, wychodzi, zostawiając nas samych.

Harland uderza następną pomarańczową piłkę, leżącą na drewnianej podkładce. Ta również toczy się za bardzo na lewo. Bentley wyrzuca z siebie przekleństwo.

- Nienawidzę popełniać dwa razy te same błędy, Paul. Wiesz, o co mi chodzi?

Nie, nie wiem. I nie jestem w nastroju na gierki. Już drugi raz w tym tygodniu niemal cudem uniknąłem śmierci z rąk faceta, który próbował mnie zrobić w morderstwo. Poza tym czuję na karku gorący oddech gliniarzy, tylko czekających, żeby wpakować mnie w kłopoty.

- Chciałeś mi coś powiedzieć - mówię.

Harland, składając się do kolejnego uderzenia kijem, nagle zamiera. W ten sposób zawsze pokazuje, że czuje się urażony. To on decyduje, kiedy o czymś rozmawiać i co ma być tematem rozmowy. Znowu skupia się na piłce i posyła ją prosto do dołka. Po chwili piłka wyskakuje z niego i toczy się na prawo.

- Patrz - mówi Bentley. - Nie miałem wyprostowanego nadgarstka.

Robi sobie przerwę w tym machaniu kijem i pierwszy raz zaszczyca mnie spojrzeniem. Tak jakby wreszcie postanowił poświęcić trochę uwagi jakiemuś irytującemu dzieciakowi.

Ubrany jest w jasnoniebieską koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, nieskazitelne spodnie i w wypolerowane na błysk jasne, skórzane półbuty. Sportowa kurtka pasująca kolorem do butów wisi przy drzwiach.

- Kiedy kazałeś mi na siebie czekać - mówi - miałem okazję przejrzeć ostatnie rachunki. Wyczytałem z nich, że za kwiecień zapłaciłem twojej firmie ponad milion dwieście ty sięcy dolarów tytułem honorariów.

No tak, coś koło tego.

- Zakładam - mówi Harland - że podoba ci się bycie moim prawnikiem.

Nie odpowiadam.

- Zakładam, że dalej chciałbyś nim być.

Rozkładam ręce.

- Harlandzie...

- Po prostu chcę wiedzieć, z kim rozmawiam, panie do radco. - Odkłada kij golfowy na mały stojak i sięga po sportową kurtkę. - Z kimś, kto pracuje dla policji, czy z moim adwokatem?

Przez chwilę się nad tym zastanawiam. U faceta, który ma tyle pieniędzy, w takich słowach zawsze kryje się groźba. Nigdy dotychczas nie zwracał się do mnie w ten sposób.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że muszę wybierać - mówię.

- A gdybyś sobie zdawał?

- Jestem adwokatem, a nie gliniarzem. - Nie mogę całkowicie skapitulować. Nie pozwala mi na to mój upór, ale daję mu to, czego chciał.

Na jego twarz powraca wyraz zadowolenia. Harland zawsze dostaje to, czego chce.

- Dobra - mówi. - W takim razie możemy porozmawiać.

Mija mnie. Idę za nim korytarzem do jego gabinetu.

Z pokoju szpitalnego, w którym leży Brandon Mitchum, wychodzi lekarz. Informuje McDermotta i Stoletti, że pacjent jest gotów na krótkie przesłuchanie. Detektyw rozmawia przez komórkę. Właśnie dzwonili do niego z ekipy technicznej.

- Wygląda na to, że mamy trochę śladowych odcisków z drzwi, Mikę - mówi mu gość z laboratorium.

McDermottowi serce zaczyna bić mocniej. Przełom... Być może. To najlepsze, co do tej pory udało im się zdobyć.

Dokładnie tak, jak przewidział Riley.

- Dobra. Niech nikt nie wybiera się do domu, dopóki tego nie zanalizujemy. - McDermott rozłącza się, zanim dobiega do niego jęk rozmówcy. Przekazuje dobre wieści Stoletti. -

Nareszcie. Wygląda na to, że w końcu uśmiechnęło się do nas szczęście.

Brandon Mitchum leży na szpitalnym łóżku. Jest przytomny, ale pod wpływem leków uspokajających. Na twarzy ma sporo bandaży, lecz wyzierające spośród nich zamglone oczy wpatrują się w zdjęcie mężczyzny stojącego w tle za Harlandem Bentleyem.

Trwa to tylko chwilę. Mitchum patrzy na zdjęcie i gwałtownie wciąga powietrze. Poznał go.

- Oświadczył, że jest gliną - mówi, oddając im zdjęcie. - Miał odznakę. Mówił... mówił, że chce porozmawiać o Evelyn...

Leki uspokajające działają. To dobrze dla niego, ale kiepsko dla McDermotta. Wyciąga rękę w stronę Brandona i dotyka jego ramienia. Potrzebuje pomocy tego dzieciaka właśnie teraz, a nie jutro.

- Nie chciałem go wpuszczać - ciągnie dalej Mitchum - ale wszedł siłą.

Racja. Dotknął dłonią drzwi. Stąd te odciski.

- Evelyn nie żyje? Naprawdę? - pyta Brandon.

- Tak. Została zamordowana - włącza się do rozmowy Stoletti.

- Oooh... - Mitchum przymyka oczy. - To on to zrobił?

- Tak, tak myślimy.

Mężczyzna wciąż ma przymknięte oczy, z trudem przełyka. Kiwa głową.

- Ja miałem być następny. Wiem.

- Musimy się dowiedzieć, co się stało, Brandon. Choćby to było dla ciebie trudne.

- Wiem. - Otwiera oczy. Odwraca wzrok w stronę okna. - Ten facet to świr.

- *Zacznij od początku* - indaguje *McDermott*. - Mówi, że jest gliną. Wchodzi na górę. Ty go wpuszczasz...

- Zanim się zorientowałem, przystawił mi tę brzytwę do gardła i wepchnął mnie do środka. Rzucił mnie... - głos mu

się załamuje - ...rzucił mnie na podłogę. On... Boże, ten facet był stuknięty. Zaczął mówić, gadał coś bez sensu... Wciąż powtarzał moje imię. „Brandon, Brandon, Brandon”. A potem: „Powiedz mi to, co jej mówiłeś. Powiedz mi to, co jej mówiłeś”. Wiedział, że rozmawiałem z Evelyn.

Brandon potrząsa głową, jakby nieobecny. McDermott nagle zaczyna się cieszyć, że podali mu leki uspokajające.

- Świetnie ci idzie - próbuje go zachęcić.

- Zaczął z tą brzytwą. - Ręka Brandona wędruje do miejsca na szpitalnej piźmianie w okolicach klatki piersiowej. - Nieźle ją wbił. Wiecie, to nie miało mnie zabić, tylko boleć.

- Tak, wiemy.

- Powiedziałem temu facetowi, że Evelyn chciała się tylko czegoś dowiedzieć o Cassie, Ellie i Gwendolyn.

Gwendolyn.

- Gwendolyn? Lakę? Kuzynka Cassie?

Brandon nie reaguje, pogrążony w swoim koszmarze.

- I zaczyna w kółko powtarzać: „Gwendolyn, Gwendolyn, Gwendolyn”. Cały nakręcony. „Co Gwendolyn? Co Gwendolyn?”. I potem znowu zaczyna mnie ciąć. - Mitchum przesuwa palcami po klatce piersiowej. - Wrzeszczałem, ale zatykał mi dłońią usta. Tak to robił. Miał jedną dłoń na moim gardle, ale zanim mnie ciął, zamykał mi usta.

McDermott zastanawia się nad tym, co powiedział Riley. O walce ze sprawcą. Ten facet wiedział, co robi. I robił to już wcześniej. Potrafił torturować Freda Ciancia i Evelyn Pendry tak, że nie było przy tym hałasu. A coś takiego niełatwo zrobić.

- No więc opowiedziałem mu, co mówiłem Evelyn o Gwen... O kłótni.

- O kłótni?

- Tak, to było wtedy, podczas egzaminów końcowych. No wiecie, koniec maja, początek czerwca tamtego roku. Parę tygodni przed tymi morderstwami. Gwendolyn przy e-

chała do miasta. Wiecie, czasami tak robiła. Wpadała tu z Europy albo z Karaibów czy gdzie tam była i imprezowała z Cassie i Ellie. W każdym razie Cassie i Gwen nie przepadały jakoś specjalnie za sobą. Bardzo się różniły. Gwen była taka... Powiedziałbym, że agresywna. Trochę za ostra, wiecie? No ale dobra, Cassie i Gwen strasznie się pokłóciły na parę dni przed sesją. To było tak... No cóż, byliśmy... no, nie byliśmy do końca trzeźwi, tak mi się wydaje...

- Nie obchodzi mnie to, Brandon. Byliście co, nawaleni, naćpani?

Kiwa głową.

- Trochę się upaliliśmy. No i byliśmy w tym domu. Ja, Cassie, Ellie i Gwen. Było jakoś koło trzeciej nad ranem, imprezowaliśmy na mieście, no i znów wróciliśmy do tego domu...

- Do domu. Do jakiego domu?

- Och, do domu Gwendolyn. To znaczy do domu jej matki, który teraz był już tylko jej. No wiecie, jej mama zginęła w wypadku samochodowym parę lat wcześniej. Wydaje mi się, że pani Bentley wprowadziła się tam po rozwodzie. Ale to było dopiero potem...

- Mów dalej, Brandon.

- No więc, tak czy inaczej, Ellie i mnie właściwie urwał się film na sofie na dole, i nagle na górze zrobił się straszny hałas. Cassie i Gwen się kłóciły. Biły się i szarpały. No wiecie, wszyscy byliśmy niezłe uwaleni... Nie jestem nawet pewien, czy Ellie się obudziła. Ale tak czy inaczej strasznie się pokłóciły i zanim udało mi się wstać i zrozumieć, co się dzieje, Cassie zbiegła po schodach i wypadła z domu... Wskoczyła do samochodu i odjechała.

- Czemu się kłóciły?

Brandon wzrusza ramionami.

- Nigdy się nie dowiedziałem. Nie chciała o tym mówić. A poza tym, szczerze mówiąc, następnego dnia znów za-

brałem się do nauki. Musiałem mieć dobre wyniki. Ellie i Cassie nie potrzebowały wysokiej średniej, miały przecież kasę. Aleja nie. Ja musiałem zakuwać do egzaminów.

- Czyli chcesz nam powiedzieć - wtrąca McDermott, próbując jeszcze coś z niego wydobyć - że tak naprawdę nigdy się nie dowiedziałeś, o co im poszło?

- Zgadza się. Przez resztę tygodnia Cassie była jeszcze bardziej humorzasta niż zwykle. Normalnie pogadałbym z nią, posiedział, żeby powiedziała mi, co ją gryzie. Ale nie wtedy. Nie w tamtym tygodniu. Bałem się, że mogę zawałić socjologię.

- I powiedziałaś o tym facetowi, który cię napadł?

- Tak. - Brandon kaszle z trudem. Twarz wykrzywia mu grymas. - Tak. Może nie tak spokojnie jak teraz, ale tak. Powiedziałem mu, że się pokłóciły i że nie wiem dlaczego. I wtedy zaczął nawijać: „Co jeszcze o Gwendolyn? Co jeszcze o Gwendolyn? Powiedz mi. Powiedz mi. Powiedz mi”. Ten facet był naprawdę pojebany. A w międzyczasie rozcinał mi skórę, tłumił moje krzyki. Wiecie, o co mi chodzi? Ten facet był taki, jakby w ogóle nad sobą nie panował, ale równocześnie panował nad wszystkim. Przynajmniej nade mną.

McDermott zachęca go gestem ręki, by ciągnął dalej.

- No cóż, wtedy powiedziałem temu facetowi, że już nigdy potem nie widziałem Gwendolyn... To znaczy, parę tygodni później były te morderstwa, a potem, no wiecie... Nie miałem już żadnego powodu, żeby się z nią spotykać. Była kuzynką Cassie i przyjaciółką Ellie. Nie oczekiwałem, że jeszcze kiedyś ją zobaczę.

- W porządku...

- No, a potem zaczął o Cassie. To samo gównu. „Powiedz mi. Powiedz mi. Powiedz mi”. Człowieku, nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Ale potem on mówi do mnie: „Pierdolony ojciec, pierdolony ojciec, pierdolony ojciec”. I wtedy załapałem, o co mu chodzi.

McDermott kołysze się na palcach u nóg.

- I nawija dalej. Najpierw powtarza „pierdolony ojciec”, jakieś osiem razy, a potem mówi „Evelyn, Evelyn, Evelyn, Evelyn”. A potem: „Co mówiła? Co jej mówiłeś?”. To znaczy, on tak mówił. Myślałem, że zrobi to od razu, że wsadzi mi tę brzytwę do oka albo poderżnie mi gardło czy coś w tym stylu. I znów zaczął mnie ciąć po klatce piersiowej.

- No i co mu powiedziałeś o tym „pierdolonym ojcu”?

- Prawdę. Widzicie, w tamtym tygodniu, kiedy się pokłóciły, Cassie była - jak wam mówiłem - strasznie zdenerwowana. Bardziej niż zwykle, a ona i tak zawsze miała z tym problemy. Słodka jak cukierek, ale strasznie nieszczęśliwa. No, tak czy inaczej, słyszałem, jak rozmawiała przez telefon w pokoju w akademiku. Akurat tamtędy przechodziłem, a ona darła się do słuchawki. Przynajmniej pod koniec się darła. Krzyczała: „Ty jesteś pierdolonym ojcem!”. Wszedłem do niej i spytałem, co się stało, ale nie chciała o tym mówić.

Ty jesteś pierdolonym ojcem.

- I ten facet o tym wiedział, Brandon?

- Tak, wiedział o tym. Musiał to wydobyć z Evelyn. Bo to ja jej o tym powiedziałem.

To się trzymało kupy. Brandon powiedział Evelyn, a Evelyn musiała powiedzieć sprawcy, prawdopodobnie pod przymusem. A teraz sprawca chciał usłyszeć całą tę historię od Brandona.

- W porządku - włącza się Stoletti. - Opowiedziałeś facetowi tę historię o „pierdolonym ojcu”. I co potem?

- Ten facet mówi do mnie: „Kto jest ojcem, kto jest ojcem?”. I tak powtarza. I wtedy zamiera, zakrywa mi usta ręką i patrzy na drzwi. Ja też to usłyszałem. Kroki. A wtedy pan Riley łomocze do drzwi... Wydaje mi się, że wrzasnął: „Policja!”. To było niezłe z jego strony.

- I co potem?

- No, pomyślałem, że to moja szansa. Ciachnął mnie raz tą brzytwą... chyba próbował zabić... ale się wywinąłem, wie-

cie? Trafił mnie w twarz. Potem zaczął uciekać, a pan Riley wbiegł i rzucił się w pogoń... A potem... No cóż, to wszystko. McDermott kiwa głową.

- Co zaszło między Rileyem i tym człowiekiem?

Brandon potrząsa głową.

- Byłem taki przerażony. Nie mam pojęcia. Myślałem że zemdleję, ale wbiegł pan Riley i zadzwonił na 911, przyłożył mi ręcznik do twarzy i mówił do mnie - wzdycha nerwowo. - Dzięki Bogu, ten facet uratował mi życie.

Otwierają się drzwi. Wchodzi lekarz. Chce zobaczyć, co z pacjentem. McDermott kiwa głową do Stoletti. Jeszcze nie skończyli, ale to niezły moment na przerwę. Na korytarzu Ricki chodzi w kółko. Taki ma nawyk, zawsze tak się zachowuje, gdy jest pogrążona w myślach. Zazwyczaj robi dwa czy trzy okrążenia, a potem wpada na jakiś dobry pomysł.

- Być może hipoteza z ciężką Cassie jest trafna - mówi McDermott. - Wygląda na to, że była wściekła i dzwoniła do ojca dziecka.

Stoletti zatrzymuje się i mówi:

- Sprawca robił z Mitchumem to samo, co z Cianciem i z Evelyn Pendry. Chodzi o te powierzchowne rany. Ale teraz mamy zupełnie inny kontekst.

McDermott się z nią zgadza.

- Myśleliśmy, że torturował ich dla zabawy. Myliliśmy się.

Stoletti kiwa głową.

- On ich przesłuchiwał. Chciał z nich wyciągnąć informacje.

- To nie jest naśladowca, Ricki. - McDermott wpatruje się w sufit. - To tylko przykrywka.

W hotelu Leo drżącymi rękoma przykleja zdjęcie na łazienkowym lustrze. Uspokaja się, wykonuje ćwiczenie oddechowe, jakiego nauczył go doktor Pollard, prostuje się i próbuje uśmiechnąć do fotografii. Musi być spokojny. Ona tego potrzebuje.

To kopia fotografii z rocznika szkoły średniej. Jej głowa jest lekko, trochę nienaturalnie przechylona. Patrzy gdzieś poza obiektyw. Jest ubrana w prosty, różowy sweterek z dekoltem w szpic, na szyi ma łańcuszek. Świeżo podcięte włosy nie sięgają nawet do ramion. Jej uśmiech jest po prostu anielski.

- Ładnie wyglądasz.

W jego głowie ta rozmowa przebiega płynnie:

- Nie, nieprawda.

- Ależ tak. Właśnie że tak. Słowo daję, ładnie wyglądasz. I nie chcę, żebyś się martwiła. Wszystkim się zajmę. Będą mówić o tobie różne rzeczy, ale ja ich powstrzymam. Nie pozwolę, by ktoś się dowiedział.

- Ale Brandon wciąż żyje.

- Wiem, moja kochana, moja piękna, ale teraz mam plan. Wodzi palcem po zarysach jej twarzy. Taka śliczna, prześliczna.

- Kocham cię, Leo.

- I ja cię kocham, Cassandro.

- Jeśli mnie kochasz, powiedz, jaki masz plan.

- Ciii... Proszę, nie martw się.

Leo zbliża twarz do zdjęcia, dotyka wargami jej czoła.

- Muszę teraz iść, ale niedługo wrócę.

Druga runda z Brandonem Mitchumem. Sprawia teraz wrażenie spokojniejszego. Leki działają. Gdy Stoletti i McDermott wracają na swoje miejsca, zagryza wargę.

Detektyw uświadamia sobie, że Riley miał rację. Tym ra-

zem sprawca nie był tak ostrożny. Nie trzymał się planu. Musi mieć ten laptop Evelyn Pendry. To dlatego nie mogą go znaleźć. Przeczytał, co napisała o swoim śledztwie. Znalazł nazwisko Brandona Mitchuma i złożył mu wizytę, ale działał w pośpiechu. Upłynął zaledwie dzień od zabicia Evelyn i nie miał czasu na zbadanie miejsca. Nie wiedział, że drzwi do klatki schodowej Brandona są zepsute. Był przekonany, że nie ma czasu, by włamać się do mieszkania i go zaskoczyć, tak jak to robił wcześniej.

I jest w tym dobry. Umie kontrolować ludzi, radzi sobie z zamkami.

Evelyn była na właściwym tropie i teraz sprawca podąża nim, próbując coś posprzątać. Reporterka rozmawiała z Cianciem i ten nie żyje. Rozmawiała z Brandonem - i on był następny w kolejce. Wiedząc, że Evelyn rozmawiała też z Albanym i dlatego McDermott przed chwilą dzwonił na posterunek i wysłał patrol pod dom profesora,

Zaczyna Stoletti:

- Czy Evelyn Pendry zdradziła ci swoje plany?
- Myślałem, że chce pisać o Terrym. Burgosie - głos Brandona jest teraz chrapliwy i bezbarwny. Zaczyna być tym zmęczony. - Że chce odkopać jakąś aferę czy coś w tym stylu.
- Aferę - mówi McDermott, znów włączając się do rozmowy. - Czyli chodziło o coś więcej niż samo tło?

Brandon dotyka dłonią bandaża na twarzy.

- No wiecie, Evelyn była reporterką. Nie chciała mi za wiele powiedzieć. Rozumiecie, pilnowała swojej historii. Ale wydawała się przejęta. Miałem wrażenie, że doszła do wniosku, iż za morderstwami Burgosa kryje się więcej, niż ktokolwiek myślał. Jak już wam mówiłem, bardzo interesowała się Cassie, Ellie i Gwen. Wyglądało to tak, jakby próbowała od stworzyć ich osobowości.

- Powiedz nam o tym coś więcej.

Brandon wpatruje się w sufit.

- Mansbury, no wiecie, reklamuje się, że należy do elity

szkół artystycznych, zgadza się? I chyba zresztą to prawda. Ale w elitarnych szkołach zawsze jest mnóstwo pieniędzy. Mnóstwo dzianych dzieciaków, wiecie? Ja jestem z południa stanu, ale Cassie i Ellie? One miały kasę. Z Cassandra sprawa jest jasna. A rodzina Ellie miała jakąś dużą firmę produkującą stal, wydaje mi się, że gdzieś w RPA.

- No i...? - dopytuje McDermott.

- No, w każdym razie... Ellie? Była jedną z tych bogatych dziewczyn lubiących imprezować. Miła dziewczyna, nie zrozumcie mnie źle, ale nie miała... Nie wiem, jak to nazwać... Głębi? Tak - chichocze. - Nie miała za wiele głębi. Modne ciuchy, droga fryzura, odpowiednie koneksje. Och, w sumie była w porządku. Ale jedynym powodem, dla którego poświęciła mi trochę czasu, była Cassie.

No, a jeśli chodzi o Cassie - mówi Brandon, uświadamiając sobie, że policjanci uważnie go słuchają - ona była naprawdę kochana. To znaczy... ta dziewczyna miała duszę. Wiecie, o co mi chodzi? Miała więcej kasy niż sam Bóg, ale była taka wspaniała. Działała w wolontariacie, dużo się uczyła, zawsze miała dla ciebie czas, jeśli jej potrzebowałeś. I w tym tkwił problem...

McDermott znów się kiwa na palcach u nóg.

- Cassie miała tak popierdalone w głowie... To znaczy... była śliczna, miała całą tę kasę i to wszystko... Nie mówię, że powinniśmy wszyscy wokół niej tańczyć. Nawet by tego nie chciała... Ale chodzi mi o to, że nie była do końca pewna, kim tak naprawdę jest... - Brandon wzdycha. - Nigdy nie zaznała szczęścia. Nie miałem pojęcia dlaczego. Była dobra, inteligentna, piękna, ale w środku... jak wrak. A potem, po tej kłótni z Gwendolyn... Nie dało się z nią rozmawiać. Stała się kłębkim nerwów. Wszyscy akurat zakuwali do egzaminów i byli dość zakręcenii... Ale Cassie? Przestała jeść. Z nikim nie rozmawiała. I wydaje mi się, że nawet się nie uczyła. Tego roku po egzaminach planowaliśmy jeszcze raz się zabawić przed wakacjami, a Cassie siedziała u siebie w akademiku

za zamkniętymi drzwiami. Nie odzywała się nawet do Ellie, a przecież z nią mieszkała.

McDermott zerka ukradkiem na Stoletti. Zgaduje, co ona o tym myśli. To wszystko brzmi jak opis dziewczyny, która dowiedziała się o niechcianej ciąży.

- Tak sobie myślałem... - dodaje Brandon - Nie wiem, z kim rozmawiała Cassie o tym, co ją gryzło. Nienawidziła swojego ojca...

A to ciekawe.

- ...a jej matka? Nat? To znaczy, nigdy jej nie spotkałem, ale... No cóż, ta pani brała trochę za dużo leków... Tak by to można ująć... Łykała prochy. I taką Cassie miała rodzinę. No cóż, była jeszcze Gwen, jej kuzynka, przynajmniej kiedy przebywała w okolicy, ale nawet wtedy nie mogła tak na prawdę na nią liczyć. To znaczy... Ta dziewczyna to dopiero była wariatka. Imprezowała jeszcze ostrzej niż Ellie, Te dwie do siebie pasowały. Ale Cassie była inna. - Brandon odsuwa na bok wspomnienia i patrzy na detektywa.

McDermott obserwuje go przez chwilę. Standardowa taktyka - wpatruj się w kogoś, a on będzie dalej mówił. Ale wygląda na to, że Brandon już skończył, a jego spojrzenie staje się mętne z wyczerpania i pod wpływem leków.

- I to wszystko opowiedziałeś Evelyn? - pyta McDermott.

Mitchum kiwa głową.

- A co ona na to?

- No cóż, zapytała mnie o to samo, o co wy też zapytacie: Czy Cassie była w ciąży, a jeśli tak, to kto mógł być „pierdolonym ojcem”.

Na twarzy detektywa pojawia się wymuszony uśmiech.

- Nie wiem, czy była w ciąży - ciągnie Brandon. - Rozumiem te podejrzenia. Cholera, większość ludzi sadziła, że była lesbijką. Muszę przyznać, że mnie też to intrygowało. No, a teraz jeszcze coś takiego... Nie dość, że nie jest lesbijką, to na dodatek w ciąży.

- Coś takiego...-mówi McDermott.

- Słuchajcie, ja po prostu nie wiem.

Pewne nazwisko oczywiście przychodzi detektywowi na myśl, ale nie chce być pierwszym, który je wypowie. A poza tym to miałyby sens. Nie po raz pierwszy wykładowca z college^ przespałby się z piękną studentką. A wspomniany profesor nie byłby szczęśliwy, gdyby się okazało, że dziewczyna zaszła w ciążę. Potrafił sobie wyobrazić, jak Albany by to rozegrał. Gdyby Cassie go oskarżyła, zawsze mógł temu zaprzeczyć. Kolejna historia w stylu „on powiedział to, a ona tamto”. Jednak gdyby rzeczywiście była w ciąży, to byłaby już zupełnie inna historia. Testy na ojcostwo, namacalny dowód. Koniec obiecującej kariery.

- Cassie nie miała wielu przyjaciół, a już na pewno nie wśród chłopaków - mówi Brandon. - Właściwie nikogo oprócz mnie.

Kolejna oczywista myśl, ale McDermott już ją wykluczył. Ufa swojemu nosowi, ten dzieciak nie próbuje nic ukrywać. Zwłaszcza teraz, po tym, jak spojrział śmierci w oczy i jest na silnych lekach uspokajających. Mitchum nie kłamie. To nie on był ojcem.

No dalej, Brandon.

- No dobra... Z Evelyn też o tym rozmawiałem. Był jeden facet, profesor kulturoznawstwa. No tak, oczywiście - strzela palcami. - Prowadził zajęcia, na które przychodził Terry Burgos. Profesor Albany, tak się nazywał. Frank Albany.

- Czemu o nim wspominasz? - pyta Stoletti.

- Och, on był... - Brandon się krzywi. - On był jednym z tych... no, wiecie... jednym z tych wykładowców, którzy spoufalają się ze studentami... Osobiście zawsze uważałem, że to dość dziwny facet. Ale Cassie naprawdę sądziła, że jest w porzo.

- W porzo?

- No, znaczy... w porządku. Naprawdę jej imponował. Brandon zastanawia się przez chwilę.

- I rozmawiałeś o tym z Evelyn?

- Tak, bardzo ją interesowało, ile czasu Cassie spędzała z Albanym.

- Powiedziała ci dlaczego?

- No, przecież pytała, czy Cassie była w ciąży. Nie jestem głupi.

- Tak, widzimy - zapewnia go McDermott. - Ale czy podała ci jakiś szerszy kontekst?

Brandon kręci głową.

- Pytałem ją, ale nie chciała mi powiedzieć.

Naciskają jeszcze, żeby podał jakieś szczegóły, nazwiska, wydarzenia czy miejsca, o których mogła wspominać Evelyn. Wygląda na to, że to była typowa rozmowa z reporterką, gdzie cały czas odpowiada się na pytania. Pendry nie odkrywała kart.

- A co z tą Gwendolyn Lakę? - pyta Stoletti. - Wiesz, gdzie możemy ją znaleźć?

Brandon nie ma pojęcia.

- Miała takie tempo, że byłbym zaskoczony, gdyby jeszcze żyła.

- Nigdy więcej nie widziałeś jej po tej nocy przed egzaminami? Po tej kłótni? - próbuje McDermott. - Nigdy? A może na pogrzebie Cassie?

Oczy Mitchuma zachodzą mgłą.

- Nie, nie. Nie było jej tam.

To dziwne. Gwendolyn nie pojawiła się na pogrzebie kuzynki. McDermott spogląda na partnerkę. Stoletti wzrusza ramionami.

- Czy mówiłeś wtedy o tym policji? O tej kłótni z Gwendolyn? O uwadze o „pierdolonym ojcu”? - pyta Stoletti.

- Nie - zaprzecza Brandon. - Głównie dlatego, że to nie miało znaczenia. Przecież i tak od razu złapali Burgosa, a on się przyznał. Doszedłem więc do wniosku, że nikogo to nie powinno obchodzić. Wydawało mi się, że jestem to winien Cassie. Nie chciałem zdradzić jej zaufania. A poza tym oni przecież wycofali zarzuty w sprawie Cassandry, prawda?

A więc ich nie interesowała. Zeznawałem tylko raz, już po skazaniu, w fazie wydawania wyroku, i wtedy nie mówiłem nic o Cassie, tylko o Ellie. - Przygląda się obojgu detektywom. - Naprawdę nie widziałem powodu, żeby szargać imię kogoś tak wspaniałego, skoro to i tak nic by nie zmieniło.

Brzmi to trochę tak, jakby Mitchum próbował się bronić. Chyba już się zastanawiał, jak to usprawiedliwić. Ale jego wyjaśnienia mają sens. A McDermott sam mógłby coś powiedzieć o trzymaniu spraw w tajemnicy dla wyższego celu. Teraz jednak bardziej zastanawia go wycofanie zarzutów związanych z zamordowaniem Cassie. Znow się okazało, że dzięki temu uniknięto konieczności odpowiadania na wiele trudnych pytań.

Na koniec McDermott pyta jeszcze dla pewności:

- Jest coś jeszcze, Brandon? Coś o tym człowieku, który cię napadł? Albo o Evelyn? Albo o tych wcześniejszych sprawach? Cokolwiek, o czym jeszcze nie mówiliśmy?

Cały czas zdarzają się takie przypadki. W trakcie przesłuchania świadek jest tak pochłonięty odpowiadaniem na konkretne pytania, że zapomina o czymś ważnym. Wiele razy podczas ponownych przesłuchań słyszał nowe informacje, a świadkowie informowali go uprzejmie: „Przecież przedtem mnie pan o to nie pytał”.

Mitchum otwiera usta. Szybko mruga powiekami. Nie wygląda na to, żeby próbował sięgnąć pamięcią wstecz. Zastanawia się.

- Cokolwiek - nalega McDermott. - Ten facet nie przestanie, dopóki go nie złapiemy.

- Nie jestem pewien, czy było coś jeszcze - mówi Brandon.

- Nie jestem pewien co do tej torebki z dragami, którą znaleźliśmy w twoim mieszkaniu - odpowiada detektyw. - Ale tak dobrze nam tu poszło, że wypuszczę cię z samym pouczeniem.

Brandon unosi rękę.

- Dobrze, już dobrze. Ja... Po prostu wydawało mi się, że to nieważne. I nawet nie wiem, czy to prawda - potrząsa głową. - W porządku, powiem wam. Ale nie słyszeliście tego ode mnie.

36

Wchodzimy do gabinetu Harlanda, skąd rozciąga się widok na panoramę południowej części miasta, a jeszcze dalej widać rzekę i nowe kino w budowie. Bentley posiada tam jakieś nieruchomości przy drodze ekspresowej i planuje w tym miejscu budowę wielkiego supermarketu.

Spoglądam w dół, na podłogę z czerwonego dębu i na perki dywan, który Harland nabył podczas pobytu na Bliskim Wschodzie, pokonując wszelkie możliwe bariery celne, jakie tylko można było sobie wtedy wyobrazić.

Harland stoi przy oknie, pocierając oczy - uważnie, tak jak wszystko, co robi. Palcem wskazującym i kciukiem masuje sobie powieki.

- Wiesz, dlaczego cię zatrudniłem, Paul?

Wydaje mi się, że wiem, ale nie podoba mi się to pytanie. Milczę.

- To nie miało nic wspólnego z podziękowaniem. Można to było tak odebrać, ale to nie tak. Gdybym chciał ci się odwdziżyć za to, że ująłeś mordercę mojej córki, nie nagradzałbym cię pieniędzmi. To uwłaczałoby temu, co zrobiłeś. Określałoby za to cenę.

- Masz rację.

- Zatrudniłem cię, bo uważałem, że jesteś najlepszym prawnikiem w mieście. A ja chciałem mieć prawnika w tym mieście. Tutaj, pod ręką.

Nie wiem, czego ode mnie oczekuje. Co niby mam powiedzieć? Tak, do diabła, jest świetnym klientem, ale niemało też dostał w zamian. Dawałem z siebie wszystko.

- Posłuchaj, Harland. Sherwood Executive Center. To tam leczyla się Cassie?

Nie odpowiada mi od razu. Myślę o mojej córce Elizabeth i uświadamiam sobie, że nie byłbym w stanie sobie przypomnieć, gdzie ona chodziła do lekarza, kiedy dorastała. Nigdy nie zabierałem jej do przychodni. Tym zajmowała się Georgia, moja była żona. I nie spodziewałbym się też, że Bentleyowie byli taką przykłądną rodziną. Trudno byłoby mi wyobrazić sobie Harlanda czy Natalię pakujących dzieciaka do samochodu i jadących z nim do lekarza. Prawdopodobnie mieli do tego celu limuzynę z szoferem.

- Pamiętam ten budynek - ku mojemu zaskoczeniu mówi wreszcie Harland. - Kiedy miała osiem lat albo coś koło tego. Musieliśmy zrobić jej przegląd zębów, tak strasznie się bała, że ma jakiś ubytek. Ona... - wciąga powietrze - błagała mnie, żebym z nią pojechał. Była taka wrażliwa... Taka wrażliwa na... ból.

Odwracam wzrok. Nie chcę się gapić na kogoś, kto właśnie na nowo przeżywa bolesne wspomnienia.

- Poprosiłem ich, żeby przynieśli krzesło, i siedziałem obok Cassie, kiedy przeglądali jej zęby. Ani na chwilę nie puściła mojej ręki. Tak mocno ją ścisłała... Tak mocno, jak na taką małą dziewczynkę.

Odkasuję. Wydaje mi się, że to najlepsze dla nas obu, aby już zaczął mówić dalej.

- Wydaje mi się, że wszyscy jej lekarze też pracowali w tym budynku - dodaje Harland. - Chyba zajmowali się wszystkim.

- To znaczy, że pracował tam też jej internista, ginekolog i tak dalej?

Bentley macha ręką. Tak mu się wydaje, ale nie jest pewien.

- Czy ona była w ciąży, Harland? - pytam łagodniejszym tonem.

Przez chwilę milczy, potem wydaje z siebie jakiś dźwięk - coś pośredniego pomiędzy chrząknięciem a chichotem.

- Myślisz, że by mi powiedziała? - pyta cicho. - Ta mała dziewczynka, która trzymała mnie za rękę u dentysty? Zanim poszła do college'u, ta dziewczynka już zniknęła. Nie. Udało mi się zrazić do siebie wszystkie kobiety w mojej rodzinie.

Przesuwa dłonią po swoim biurku z orzecha włoskiego, jakby sprawdzał, czy nie ma na nim kurzu. Ale można to też odebrać tak, jakby próbował uniknąć mojego wzroku. To do niego niepodobne.

- Czemu mnie tu wezwalesz, Harland?

Uważnie przygląda się swoim paznokciom.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że mam określoną reputację, jeśli chodzi o kobiety.

- Wiem tylko tyle, że masz świetny gust - odpowiadam. - Może tylko zbyt często się zmienia.

Podoba mu się to.

- Często się zmienia. No tak - patrzy na mnie. - Często się zmienia. I przypuszczam, iż słyszałeś już plotki, że zacząłem zarabiać na tę swoją reputację jeszcze przed rozwodem.

- Nie słucham plotek - mówię, co jest jednoznaczne z potwierdzeniem. Mówiło się, że Harland od lat zdradzał swoją żonę Natalię. Serce znów zaczyna mi mocniej bić.

Bentley odwraca się do okna. Włączył oświetlenie sufitowe, które zalewa blaskiem miejsce, gdzie siedzę, przy drzwiach, ale jego samego kryje w półmroku, umożliwiając mu również podziwianie malowniczego widoku. Światła porzrucane nad wieczorną panoramą miasta wyglądają jak automat do flippera.

- Tak naprawdę to słabość... - ciągnie dalej. - Do młodszych kobiet. Oczywiście, nie aż tak młodych. Nie chodzi mi o nastolatki.

- Harland - mówię.

- W porządku, dobrze.

Milczy przez chwilę, patrząc w moją stronę, potem znów spogląda w okno i wyrzuca to z siebie.

- Ta słabość - mówi - dotyczyła też Ellie Danzinger.

Brandon Mitchum wierci się na łóżku, czując się nieswojo z rewelacjami, które właśnie zdradził detektywom.

McDermott wpatruje się w ścianę nad głową Mitchuma, próbując rozgryźć całą tę układankę.

- Twierdzisz, że Cassie myślała, iż jej ojciec sypia z Ellie Danzinger? - pyta.

Brandon nie odpowiada, ale nie ma wątpliwości, że McDermott się nie przesłyszał.

- Kiedy Cassie ci o tym powiedziała? - dopytuje się Stoletti.

- Och, mniej więcej w tym samym czasie. Chyba jakoś tuż przed egzaminami. W maju czy czerwcu tamtego roku. Wiem - dodaje, śmiejąc się nerwowo - że to trochę szokujące.

Shokujące. Tak też to można ująć. Ale to pasuje do reputacji Harlanda Bentleya, bogatego playboya. I wygląda na to, że Cassie miała ciężki semestr. Myślała, że najlepsza przyjaciółka pieprzy się z jej ojcem. I była w ciąży.

- To było tylko podejrzenie - mówi Stoletti. - A nie potwierdzony fakt.

- Zgadza się. Cassie uważała, że to prawda, ale nie wiedziała na pewno. Mówiła, że się dowie.

- Skąd wiesz, że się nie dowiedziała? - pyta McDermott. - Jak możesz być pewien, że tego nigdy nie potwierdziła?

Mitchum powoli potrząsa głową, co sprawia mu ból. Dotyka bandaża na twarzy.

- Powiedziałyby mi o tym - mówi z przekonaniem. - Musiałaby mi o tym powiedzieć. Obiecała mi. Przycisnąłem ją, żeby mi to obiecała.

- Przycisnąłeś ją, żeby ci to obiecała?

- Tak. - Mitchum zwilża językiem zaschnięte wargi. - Bałem się tego, co może zrobić. Chciałem być przy niej, żeby nie... Żeby ona nie... - Oczy mu się zwięzają, zmrożone wspomnieniem sprzed szesnastu lat.

- Żeby nie odebrała sobie życia? - pyta McDermott.

- Tak, przeszło mi to przez myśl. Kto mógł wiedzieć, co jej strzeli do głowy?

Głowa Mitchuma opada na poduszkę. McDermott zerka na Stoletti, zastanawiając się, czy ona też myśli o tym, co dokładnie mogło strzelić do głowy Cassie Bentley.

Na przykład konfrontacja z ojcem.

Zapada długie milczenie. Wreszcie powtarzam Harlandowi jego słowa, by się upewnić, że się nie przesłyszałem.

- Ty i Ellie mieliście romans?

- No, żeby aż romans... Nie wiem. Ale od czasu do czasu, tak. Była taka... taka...

Nie opuszcza skrywającego go cienia. Przekrzywia głowę. Wzdycha. Jezu, ten facet naprawdę nie potrafił utrzymać fiuta w spodniach. Nie potrafił trzymać swoich łap z dala od najlepszej przyjaciółki Cassie?

- No, jaka była, Harland? Młoda? Seksowna? Zakazana?

- Pełna życia.

- O tak, była pełna życia. Tak. W takim razie to wiele wyjaśnia.

- Jeśli jest jakaś rzecz, z którą nie zwracam się do mojego prawnika - mówi gładko Harland - to wydawanie wyroków. Zwracam się do mojego prawnika o ochronę. Nie chcę, żeby to wyszło na jaw, Paul. To nikogo nie powinno obchodzić.

Do pewnego stopnia przyznaję mu rację, ale i tak przewraca mi się w żołądku. Nie lubię, gdy ktoś coś przede mną ukrywa. Nie wtedy, kiedy jestem oskarżycielem w sprawie. Mógł mi wtedy o tym powiedzieć. Potraktowalibyśmy to tak, jak na to zasługiwało. Jako nieistotne dla sprawy. Złapaliśmy Burgosa na gorącym uczynku i już po paru godzinach przyznał się do zabicia wszystkich tych kobiet. Pozaszkolne „zajęcia” Ellie Danzinger nie miałyby nic wspólnego z udowodnieniem Burgosowi winy.

- Kto o tym wiedział?

Harland odchrząkuje.

- Ellie - mówi - i ja.
- Jesteś pewien?
- Konieczność zachowania dyskrecji była jedną z rzeczy, którą oboje świetnie rozumieliśmy.
- Nie mogę w to uwierzyć - mamroczę.
- Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. - Harland wylania się z mroku w rogu pokoju. - Bronił morderców. Bronił dyrektorów, którzy okradali swoich udziałowców. Bronił nas, kiedy mieliśmy ten problem z zanieczyszczeniem środowiska na Florydzie. W tym przypadku moja wina jest o wiele mniejsza. A więc broń mnie, Paul. Nie pozwól, żeby to wszystko wyszło na jaw. - Stoi teraz ze mną twarzą w twarz.
- Albo znajdę kogoś innego, kto to zrobi.

Wpatruję się w niego. Znów macha mi przed nosem swoimi pieniędzmi. Dobrze wie, że w mojej firmie są prawnicy, którzy bez niego wylądują na ulicy.

- Znajdź kogoś, kto to zrobi - mówię.

Widzę, że go zaskoczyłem. Na tyle, na ile w ogóle okazuje on zaskoczenie. Jego oczy wpatrują się w moją twarz, szukając jakiegoś wylomu w decyzji, którą podjąłem.

- Boisz się. - Powoli kiwa głową. - Nigdy tego u ciebie nie widziałem.

Nie mówi o naszych relacjach. Nie wspomina o tych milionach dolarów, które moja firma co roku na nim zarabia. I ma rację.

- Kto zabił moją córkę?-pyta.
- Terry Burgos - odpowiadam szybko, ale ta odpowiedź, szybkość mojej reakcji, fakt, że w ogóle takie pytanie wydaje się możliwe, zaskakuje nas obu. Jeszcze trzy dni temu nikt by go nie zadał.

Jego twarz trochę się rozluźnia. Chce, abym myślał, że to rozbawienie. Tak, jakby nie bał się nikogo.

- Zamierzam się dowiedzieć, co się dzieje - mówię mu.
- Nawet, jeśli się przekonasz, że się myliłeś?
- Tak. Nawet wtedy.

Kieruję się do drzwi. Idę korytarzem na trzęsących się nogach. Brytyjski ochroniarz podejrzliwie mi się przygląda, gdy pchnięciem otwieram frontowe drzwi i kieruję się do windy.

- To nie miało znaczenia - mówi Brandon. - Po co rujnować życie tym ludziom, skoro to nie miało żadnego sensu.

- Nie pytam cię, dlaczego wtedy nie powiedziałaś tego policji - oświadcza McDermott. - Chcę wiedzieć, dlaczego dzisiaj nie chciałaś nam o tym powiedzieć. I dlaczego „nie słyszeliśmy tego od ciebie”? Boisz się kogoś, Brandon?

Mitchum odpęda tę myśl, próbując sprawiać wrażenie, że pytanie McDermotta było chybione. Detektyw trafił jednak w samo sedno. Może to wyczytać z mowy ciała leżącego w łóżku mężczyzny.

- Harlanda Bentleya? - zgaduje.

Brandon szybko spogląda na McDermotta, potem odwraca wzrok. Równie dobrze mógłby po prostu potwierdzić.

- Opowiedz mi o sobie i Harlandzie Bentleyu, Brandon.

- Niech pan posłucha, nie chodzi tylko o mnie. - Wypowiada te słowa tak, jakby to było czymś niewłaściwym. - Pan Bentley jest jednym z największych sponsorów sztuki w tym mieście. Daje pieniądze wielu artystom.

Och tak. Racja. Mitchum jest przecież artystą.

- Ufundował mi stypendium za pośrednictwem City Arts Foundation - przyznaje Brandon. - W porządku?

McDermott opuszcza głowę i zerka na Stoletti.

- Kiedy to się stało? - pyta Ricki.

- Gdy skończyłem naukę w Mansbury. W dziewięćdziesiątym drugim.

- Ufundował ci wtedy stypendium?

- Tak. To... To stałe stypendium. Odnawia je co rok.

- A o ile je „odnawia”? - pyta McDermott.

- Och... - Brandon macha ręką. - Zaczął od dwudziestu pięciu tysięcy. Teraz to siedemdziesiąt pięć tysięcy rocznie.

- Siedemdziesiąt pięć tysięcy? - Detektyw się krzywi. - A co ty robisz za to odnawianie, Brandon? Dlaczego akurat ty?

Kolor twarzy skromnego artysty przechodzi w purpurę. To nie jest temat, który sprawia mu przyjemność.

- Powiedział, że Cassie chciałaby, aby mi pomógł. Mówił, że docenia to, że byłem przy niej.

Do pokoju wchodzi lekarz i pyta, czy już skończyli. McDermott mówi, że potrzebują jeszcze pięciu minut. Wygląda na to, że Mitchum liczył na chwilę wytchnienia. Lekarz stoi przy detektywie, by dać mu do zrozumienia, że jego czas dobiega końca.

- Nie ma nic złego w przyjęciu stypendium - mówi Brandon.

McDermott kiwa głową w jego stronę.

- Czy ty i pan Bentley rozmawialiście kiedyś o tym, o czym teraz tu mówimy?

Brandon potrząsa głową.

- Nie. Nigdy.

- Myślisz, że się domyślał, że wiesz o nim i o Ellie? - pyta Stoletti.

- Nie - upiera się Brandon. - Nie wiem nawet, czy jest się czego domyślać. To były tylko przypuszczenia Cassie. Widzicie, wiedziałem, że będziecie próbowali zrobić z tego jakąś aferę... Co roku przeznaczają miliony na sztukę. Jajestem jednym z wielu. Nie zrobiłem nic złego.

Lekarz staje między detektywem a pacjentem.

- Myślę, że starczy już na dziś. Naprawdę.

- Postawimy kogoś przy twoich drzwiach, żeby cię pilnował - mówi McDermott. - Jeśli sobie coś przypomnisz, chcę, żebyś do mnie zadzwonił.

Wychodzą na korytarz. Stoletti przetrawia tę rozmowę, a McDermott sprawdza, czy nie ma jakichś wiadomości na komórce. Nie ma ani jednej.

A więc Cassie była w ciąży i odbyła niemiłą rozmowę z ojcem, który najwyraźniej próbował to zatuszować. Potem

została zamordowana. Następnie ktoś nakłonił Freda Ciancia, żeby pomógł włamać się do budynku, w którym przechowywano karty medyczne Cassie. Żadna z tych rzeczy, oprócz zabójstwa dziewczyny, nie została potwierdzona. Ale to ma sens.

Nie można też potwierdzić, że ojciec Cassie zabawiał się z jej najlepszą przyjaciółką. Ale jeśli tak było, dziewczyna na krótko przed śmiercią musiała przeżywać naprawdę ciężki okres.

- Myślisz, że Cassie starła się z tatusiem? - pyta Stoletti. - Ożenił się z miliardem dolarów i boi się, że żona się dowie, iż pieprzył najlepszą przyjaciółkę ich córki...

- I... - dodaje McDermott - mamy kolejną osobę, której zależy na tym, żeby ciąża Cassie nie wyszła na jaw. Profesor Albany nieźle się nadaje na „pierdolonego ojca”.

- I mniej więcej w tym samym czasie - kontynuuje Stoletti - cudownym zbiegiem okoliczności Ellie i Cassie zostają zabite.

Racja. Ale nie mają dowodu, że córka Bentleya była w ciąży ani że Harland zabawiał się z Ellie Danzinger.

Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Musi się spotkać z Natalią Lakę Bentley, która jutro wcześniej rano wraca z wakacji. No i o dziesiątej mają spotkanie z Harlandem Bentleyem.

- Będziemy musieli do naszego „planu spotkań” na jutro dodać profesora - mówi.

37

Po wyjściu ze szpitala McDermott wraca na posterunek. Kiedy dzwoni do domu, Grace już śpi. Matka mówi mu, że ta noc jest dobra. To dopiero trzecia noc od śmierci Joyce, gdy

McDermott nie kładł córki do łóżka i nie czytał jej na dobranoc. Brak mu tego. To część ich umowy.

Co by zrobił bez swojej matki, babci Grace? Przy pensji gliniarza niania doprowadziłaby go do bankructwa. Jego matka, która w przyszłym miesiącu skończy siedemdziesiąt cztery lata, jest jedyną osobą, dzięki której to wszystko jakoś działa. Ma końskie zdrowie, ale McDermott widzi, że się starzeje. Codziennie dręczy go to pytanie: Co stałoby się z Grace, gdyby jej zabrakło?

Odpędza od siebie tę myśl. Odsuwa wspomnienie Joyce, leżącej bez życia na podłodze, wspomnienie podłogi w łazience i nasiąkniętego jej krwią dywanika. Nie chce pamiętać skulonej w wannie Grace, z zamkniętymi oczami i rękami na uszach.

Udaje, że nie powiedział tego żonie w nocy przed jej śmiercią.

Joyce zachorowała i dla męża pracującego po dziesięć godzin dziennie to już było za wiele. A co gorsza, pozostawała jeszcze Grace. Gdyby coś się jej stało w czasie, gdy opiekowała się nią jego żona, nigdy by sobie tego nie wybaczył. Joyce kochała Grace bardziej niż życie, ale nie o to chodziło. Choroba to choroba. Możesz kochać swoją córkę z całego serca, ale co z tego, jeśli zamkniesz się na górze, gdy twoje trzyletnie dziecko jest na dole i płacze za mamą?

To wtedy podjął tę decyzję. Przyjechał do domu później, bo musiał się zająć podwójnym zabójstwem. Wziął w ramiona głodną, brudną córkę i zaczął przetrząsać dom, szukając żony. Serce waliło mu ze złości i strachu. Był tak wściekły, że ledwie mógł wydobyć z siebie dźwięk, aby zawołać Joyce. Znalazł ją w drugiej sypialni, w rogu, zwiniętą w kłębek i cicho popłakującą. Straciła poczucie czasu, nie miała pojęcia, czy Grace jadła obiad ani czy załatwiała potrzeby fizjologiczne. Traciła kontrolę.

To był czas, najwyższy czas, żeby ją posłać na leczenie.

„Żeby trochę odpoczęła” -jak jej później, tego samego wieczoru, próbował wytłumaczyć.

Tydzień wcześniej zasięgnął porady prawnika. Leczenie bez jej zgody było możliwe. Ale tak bardzo chciał, żeby Joyce się z nim zgodziła. Pragnął, aby czuła, że pomaga w rozwiązaniu tego problemu, by nie wydawało jej się, że została zamknięta jak więzień. Po prostu spróbuj - błagał ją. To nie jest na stałe. Podkreślał, że chodzi o to, aby mogła być pod stałą opieką i miała szansę wrócić do pełnego zdrowia.

Przetrwamy to - obiecał.

To było w czwartek w nocy. Rozmawiali o weekendzie. Ona się zgodziła, choć niechętnie. Mieli to zrobić w ten weekend.

Dlaczego ją ostrzegł?

Dlaczego w piątek poszedł do pracy?

Na to też miał usprawiedliwienie. To podwójne zabójstwo, nad którym pracował. To, że Joyce wyglądała świetnie w ten piątkowy poranek - świeża, świadoma, pełna optymizmu. Wszystko wskazywało na to, że był to jeden z tych jej dobrych dni. Bo nie wszystkie były złe. To nie działo się codziennie. Miała swoje dobre i złe chwile. Był pewien, że tego ranka czuła się lepiej.

Był tego pewien.

Wszystko w porządku - powiedziała, kładąc mu delikatnie dłoń na piersiach. Tak jak mówiłeś, powinniśmy myśleć o przyszłości. To dla nas właściwa decyzja.

Idź - powiedziała. Kiedy wrócisz do domu, możesz mi pomóc się spakować.

Po ośmiu, dziesięciu godzinach znów będzie w domu, pomagając Joyce pakować walizkę na - jak miał nadzieję - krótki pobyt w Pearlwood Center. Była dopiero siódma. Wcześniej wyszedł z pracy.

Siedem godzin. I wtedy wszystko się rozleciało.

- Dziś w nocy będziemy mieli przełom - mówi mu Stelletti, pisząc coś na swoim komputerze.

- Co? A, tak... - McDermott wzdycha. Chodzi jej o te od-ciski palców znalezione na drzwiach mieszkania Brandona Mitchuma. Dopóki nie odezwą się do nich z laboratorium, nie ma zbyt wiele do roboty. Nie jest to też właściwy moment, żeby wracać do przeszłości, więc McDermott zajmuje się czytaniem raportów z teczki Burgosa.

Oczywiście przypadek Burgosa nie należy do jego sprawy i został już rozwiązany. Zadaniem McDermotta jest ująć sprawcę ostatnich morderstw. Nie można jednak zaprzeczyć, że istnieje związek między tymi sprawami. Coś przeoczono. McDermott o tym wie. Musi się tego dowiedzieć, i to szybko, bo to słowo dobrze opisuje tempo, w jakim porusza się sprawca. W niedzielę był Ciancio. W poniedziałek Amalia Calderone. We wtorek Evelyn Pendry. Dzisiaj spróbował zabić Brandona Mitchuma.

McDermott przeciera oczy, dopija drugi kubek kawy i idzie po następny. Powieki ma ciężkie, ale jego ciało wciąż jeszcze działa pod wpływem kofeiny. Boże, ile miał kiedyś energii, pracując jako młody gliniarz na nocnej zmianie. Jaki był podekscytowany, kiedy przejeżdżał przez najbardziej przerażające dzielnice miasta. Wtedy wszystko wydawało mu się prostsze, bardziej namacalne. Teraz bawi się w kotka i myszkę, rozwiązuje sprawy przestępstw, które już zostały popełnione, zamiast im zapobiegać. Nie da się ukryć, lubi te łamigłówki. Ale prawda jest taka, że większość przestępstw nietrudno rozwiązać. Zazwyczaj motywy pojawiają się prawie natychmiast. Wystarczy przeprowadzić wywiad w okolicy, przyrzeć się życiu ofiary, przeczytać wyniki sekcji i analizy dowodów. W dziewięciu na dziesięć przypadków to wszystko. Ale koniec końców to nie przywróci do życia ofiary. Ujmujesz jedynie sprawcę.

I być może właśnie dlatego, niezależnie od presji, jaką czuje, podoba mu się ta sprawa. Ma szansę czemuś zapobiec, zatrzymać tego sprawcę, zanim znów kogoś zabije.

Jest pewien, że ma do czynienia z osobą, która próbuje coś

zatuszować. A to, co właśnie próbuje zatuszować, znajduje się gdzieś w tych aktach.

Jeszcze raz przegląda swoje notatki o Burgosie. Wypisał szczegóły - daty, godziny, miejsca - i wyłonił się z tego przejrzysty wzór: dziwki, Ellie i Cassie. Z dziewczynkami sprawa była jasna. Mieli trochę informacji o Ellie i właściwie nic o Cassie.

Po pierwsze: Zniknięcia prostytutek można było powiązać z określoną nocą i godziną oraz przynajmniej ogólnie z jakąś okolicą. Dwie z nich widziano, kiedy wsiadały do niebieskiego chevy suburbana, a pozostałe dwie pozostawiły po sobie odciski palców w tym samym samochodzie, należącym do Terry'ego Burgosa. Do domu Ellie Danzinger sprawca wdarł się siłą, a zamordował ją w sypialni dziewczyny, konkretnie - na jej łóżku. Śmierć Ellie można było określić w czasie na podstawie poszlak - nastąpiła pierwszej nocy tych morderstw, w niedzielę.

Z Cassie było inaczej. Nie mieli pojęcia, kiedy ani gdzie zniknęła. Wiedzieli tylko, że została zamordowana jako ostatnia. I wiedzieli, że między śmiercią ostatniej z prostytutek a śmiercią Cassie były dwa dni przerwy.

Po drugie: Zanim Burgos zamordował prostytutkę, zgwałcił je. Ellie i Cassie zostały zgwałcone po śmierci.

Po trzecie: Profesor Frankfort Albany znał obie dziewczyny. Nie znał prostytutek.

Ta druga sprawa, seks, prawdopodobnie nie była w tym wszystkim taka istotna. Dziewki godzą się na to, i tyle. Ładne dziewczyny z college'u, takie jak Cassie i Ellie, prawdopodobnie nigdy nie zaszczyłyby takiego faceta jak Burgos choćby jednym spojrzeniem. Musiał je najpierw zabić.

McDermott rozsiada się wygodniej na swoim krześle i pozwala myślom krążyć swobodnie po głowie. Nie zastanawia się nad niczym szczególnym, czeka, co się wyłoni. W jego przypadku ta metoda zazwyczaj działa.

Burgos zostawił po sobie ślady prowadzące aż do jego

drzwi - powiedział Riley. Znaleźli go, zanim jeszcze na dobre rozpoczęli śledztwo. Jasne, że takie rzeczy ciągle się zdarzają. W pierwszym miejscu, w którym zaczniesz szukać, od razu znajdujesz sprawcę. Kto by chciał sobie dodawać pracy? Mieli już tego faceta. Przyznał się. Jego piwnica wyglądała tak, jakby prowadził seminarium o torturach. Po co to komplikować?

Przypomina sobie, co przeczytał o Ellie Danzinger. Została brutalnie pobita w łóżku, ale potem sprawca ją tam zostawił, z głową zwisającą nad krawędzią. Lekarz sądowy stwierdził na podstawie ilości krwi, jaka wykapała na dywan, że Ellie leżała tam przez co najmniej sześćdziesiąt minut. Potem Burgos przeniósł ją do swojego garażu, gdzie usunął jej serce.

Co się wydarzyło w ciągu tych sześćdziesięciu minut?

Jeszcze raz przegląda swoje notatki. Zawsze należy zadawać sobie pytanie: „Kto zyskał?”. Jeśli wierzyć plotkom, na śmierci Ellie i Cassie skorzystali ojciec dziecka Cassie i Harland Bentley.

Jednak Burgos się przyznał. McDermott czytał skrypt z przesłuchania. Nikt go do niczego nie zmuszał. Terry doskonale wiedział, że Ellie była jego pierwszą ofiarą, jeszcze zanim ktokolwiek wymienił jej nazwisko albo pokazał mu fotografię. Cholera, był nawet wkurzony na detektywa Lightnera, który nie włączył jej zajęcia do zestawu. I nie ma takiej możliwości, że dowody na to, iż zamordował te sześć kobiet, same jakimś cudem znalazły się w jego piwnicy.

A może jest?

Ale co by było, gdyby profesor Albany był ojcem dziecka Cassie? Nie ma wątpliwości, że gdyby to się wydało, straciłby posadę. No i znał Burgosa. Na Boga, on go zatrudnił i wziął pod swoje skrzydła.

Czy wykładowca z college'u mógł zdobyć klucze do sutenen Audytorium Bramhall?

Tyle niepotwierdzonych rzeczy. Jednak skoro Harland

Bentley rzeczywiście zabawiał się z Ellie Danzinger, ryzykował utratę fortuny, gdyby to się wydało. On i Albany mieli wiele do stracenia.

A więc który z nich? Bentley czy Albany?

- Hej, Mike!

McDermott spogląda na Stoletti walącą w klawiaturę.

- Siedzimy tu i myślimy, kto teraz wygląda gorzej: Harland Bentley czy profesor Albany.

- No tak.

Gdy McDermott podchodzi do swojej partnerki, Stoletti wskazuje na ekran komputera, na którym wyświetlone są wyniki wyszukiwania w Google.

- Przyglądamy się Albany'emu i Harlandowi Bentleyowi - mówi Stoletti. - Pomyślałam, że może by tak poszukać tych dwóch nazwisk razem.

- Obaj byli ważnymi osobami w bardzo nagłośnionej sprawie, Ricki. Nie ma więc nic zaskakującego w fakcie, że ich nazwiska pojawiają się obok siebie w tych samych artykułach.

- Doprawdy? - Stoletti klika na link. - No, a to? Też nie jest zaskakujące?

Otwiera się strona biograficzna Mansbury College. W górnym rogu strony znajduje się zdjęcie profesora Albany'ego. Twarz na zdjęciu przedstawia go w refleksyjnej pozie.

Potem McDermott zaczyna czytać krótką notkę biograficzną. To zaledwie jeden akapit.

Frankfort J. Albany, profesor kulturoznawstwa z Mansbury College, sponsorowany przez Harlanda Bentley'a. Od czasu przekazania darowizny w 1990 roku katedra uniwersytetu zawdzięcza profesorowi Albany'emu...

Co: przez Harlanda Bentley'a?

Harland Bentley ufundował katedrę w Mansbury College, prowadzoną przez Albany'ego?

- Może nie musimy wybierać między Harlandem Bentleyem a profesorem Albanym - mówi McDermott. - Może obaj są w to zamieszani.

- No cóż, to by wyjaśniało, jak Albany utrzymał tę posesję po tym, jak jego zajęcia doprowadziły do śmierci sześciu kobiet. Plecy w postaci miliardera na pewno mu nie przeszkadzały...

- Wynajmuje Riley'a zaraz po zakończeniu sprawy Burgo'sa i daje mu zarobić grube miliony - mówi McDermott. - Brandonowi Mitchumowi funduje coroczne stypendium po zakończeniu sprawy, być może jako podziękowanie za to, że milczał o jego domniemanym romansie z Ellie Danzinger. Zaraz po sprawie funduje też katedrę dla Albany'ego, gwarantując mu na stałe bezpieczną posesję.

- Harland Bentley chciał coś kupić - zgadza się Stoletti.

Dzwoni komórka McDermotta. Na wyświetlaczu pojawia się numer, którego nie kojarzy.

- Mike, tu Susan Dobbs.

- Cześć, Susan! - McDermott zerka na zegarek. Co asystentka koronera robi w kostnicy nocą, o tej porze?

- Zaciekało mnie to - mówi Susan. - Wiem, że to ważne.

- Doceniam, że...

- Właśnie sprawdziłam wszystkie trzy ofiary: Ciancia, Evelyn Pendry i Amalię Calderone.

- I...?

- Wszystkie miały pośmiertne nacięcie na łańdźce skórny między czwartym i piątym palcem u nogi.

McDermott wypuszcza z płuc powietrze.

- Ten facet jest bystry - mówi Susan. - Albo głupi, to za leży, jak na to spojrzeć.

Racja. On ich naznacza. Zostawia swój podpis.

- Powiedz mi, Susan, jak to się stało, że to się nie pojawia w żadnym z pozostałych raportów z sekcji, tylko u Ciancia?

Susan wzdycha.

- Mike, przysyłacie nam ciało, na którym aż się roi od fi-

zycznych urazów: obrażeń, ran klutych i tak dalej. Nikt tam nie patrzy. To nie tak, jak w przypadku podejrzeń, że ofiara została otruta, bo wtedy szuka się śladów po wstrzyknięciu. Komu by wpadło do głowy, żeby obejrzyć fałdę skórną między czwartym a piątym palcem u nogi?

- No cóż, ty to zauważyłaś u Ciancia - mówi McDermott. - Wiszę ci przysługę.

- I to niejedną.

McDermott rozłącza się.

- U wszystkich trzech ofiar - mówi do Stoletti.

- Dzwonił coroner? - Stoletti podnosi wzrok. - Więc te raz wiemy, że wszystkie te ofiary są ze sobą powiązane. Na wypadek, gdybyśmy mieli jeszcze jakieś wątpliwości. Dla czego po tym, jak już okaleczy tych ludzi, fatyguje się jeszcze, żeby rozsunąć czwarty i piąty palec u nogi, po czym zrobić tam małe nacięcie?

McDermott kręci głową, próbując rozluźnić kark.

- Chce, żebyśmy wiedzieli.

- Jak chce, żebyśmy wiedzieli, to powinien zostawiać ten podpis na twarzy. To najbardziej ukryty autograf, o jakim kiedykolwiek słyszałam. - Stoletti kiwa głową w stronę McDermotta. - W raportach z sekcji ofiar z Mansbury nie było nic o takim nacięciu?

- Nie. - McDermott przejrzał wszystkie raporty z sekcji ze sprawy Burgosa. - Ale mogli to przeoczyć, tak jak u dwóch z naszych trzech ofiar, zanim Susan tego nie sprawdziła.

Stoletti się to nie podoba.

McDermott musi się z nią zgodzić. Ona ma rację. Ten facet zostawia swoje piętno, małe nacięcie na fałdzie skórnym między czwartym a piątym palcem u nogi, ale coś takiego niezwykle łatwo przeoczyć, zwłaszcza gdy ciała pokryte są ranami i były torturowane.

Po co zostawiać podpis, którego być może nikt nie znajdzie?

- On to robi dla kogoś - mówi McDermott. Ale dla kogo?

Naprzeciwko mnie, przy stoliku w całonocnym barze, Shelly ssie kostkę lodu ze szklanki z lemoniadą. Obracam w dłoniach filiżankę kawy i zastanawiam się nad sprawami, które mnie gryzą. Opowiadam jej o wszystkim, o tym, co się zdarzyło od wizyty u Gwendolyn Lake.

Tak długo byłem sam, że nie jestem przyzwyczajony szukać u kogoś pocieszenia. Życie kawalera jest nieskomplikowane, zwłaszcza jeśli pieniądze nie są problemem, a tak jest z pewnością w moim przypadku. Na tym etapie kariery praca nie jest już trudna. Spory prawne polegają głównie na tym, żeby trochę powalczyć i zmusić drugą stronę do kompromisu. Jeśli zaś już dojdzie do procesu, to tak czy inaczej większość z tego to teatr. A w życiu osobistym? Najważniejsze decyzje, jakie muszę podejmować, to czy oglądać kanał ESPN Classic, czy stare filmy na A&E. Takie życie jest wygodne, a to z kolei mi wystarcza.

Wszystko stanęło na głowie, kiedy spotkałem Shelly. Poznałem ją tak, jak poznaję większość ludzi, czyli na sali sądowej. Wygrałem sprawę i przez wiele lat nie miałem od niej żadnej wiadomości. Aż do czasu, gdy zwróciła się do mnie, żebym bronił pewnego klienta przed zarzutami morderstwa. Gdy opadła już temperatura naszego pojedynku, natychmiast coś do niej poczułem. Spodobał mi się jej duch, jej sposób patrzenia na sprawy.

A kiedy ze mną zerwała, nie potrafiłem wrócić do dawnego życia. Czułem, że czegoś mi brakuje. Moja asystentka Betty miała rację. Zawsze lubiłem się napić, ale już od pierwszego wieczoru zmieniłem to w dyscyplinę olimpijską. Przez ostatnich parę miesięcy byłem chodzącym wrakiem. Pracowałem na autopilocie i użalałem się nad sobą.

A teraz, kiedy wróciła - pod warunkiem że nie będę wywierał na nią presji - natychmiast zwracam jej głowę tymi wszystkimi problemami. Nie chciałem do niej dzwonić i prosić, żeby się ze mną spotkała. Byłem zły na siebie, wykre-

cając jej numer. Ale potrzebuję Shelly, niezależnie od tego, czy mi się to podoba, czy nie.

Jak do tej pory nie powiedziała ani słowa. Jest w tym świetna, naprawdę potrafi słuchać.

Kiedy kończę opowiadać, mówi:

- Powiedz mi, co cię w tym wszystkim gryzie?

Śmieję się. Po tym wszystkim, o czym mówiliśmy, nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

- Nie chodzi o Harlanda - stwierdza Shelly.

Podaje moją filiżankę kelnerce, która dolewa mi kawę.

- Pierdolić Harlanda.

Przez chwilę wydaje się rozbawiona. Chyba się **nie** spodziewała, że kiedykolwiek usłyszysz z moich ust takie słowa. Tak czy inaczej nigdy nie przepadała za obsługą prawną wielkich firm. Raz próbowałem zwabić Shelly do mojej kancelarii, kusząc ofertą pełnego partnerstwa, ale nie byłem w stanie odciągnąć jej od pracy związanej z obroną praw dzieci. Jej chodzi o pracę, nie o wynagrodzenie.

Ze mną też tak kiedyś było.

- Wydaje ci się, że wtedy coś przeoczyłeś.

Kulę się, słysząc te słowa.

- Nie potrafię rozgryźć, dlaczego to miałyby mieć jakie kolwiek znaczenie. Jeśli Cassie była w ciąży, to być może stanowiło to dla kogoś problem szesnaście lat temu. Ale nie dzisiaj... Harland sypiał z Ellie Danzinger? Pewnie, że szesnaście lat temu byłby z tego skandal. Ale nie dziś. Nie widzę powodu, dlaczego teraz miałyby to być takie ważne.

Sięga nad stołem i bierze mnie za rękę.

- Ale nie widzisz też powodu, dlaczego to miałyby być nieważne.

Chodzi jej o to, że ludzie umierają z jakiegoś powodu. To nie są przypadkowe ofiary psychopaty. W tym wszystkim jest jakiś sens.

Kelnerka przynosi rogalika z twaróżkiem dla mnie i sałatkę dla Shelly. Nie miałem dziś czasu na obiad, a muszę coś

zjeść, choć mój żołądek się buntuje. Przez jakiś czas milczymy, zajmując się jedzeniem.

- On się przyznał, Shelly. Widziałem na własne oczy, jak Burgos przyznaje się do winy.

Wpatruje się w sałatkę, przekładając widelcem ogórki i pomidory. Zastanawia się długo, nim zadaje pytanie:

- Jesteś pewien, że to Burgos zabił te dziewczyny?

- W stu procentach. - Odrywam kawałek rogalika i gapię się na niego.

Do baru wchodzi grupka dzieciaków z college'u. Śmierdzi od nich alkoholem i papierosami, rozmawiają za głośno. To były czasy. Są tak błogo nieświadomi. Jeszcze nie muszą rozpychać się w życiu łokciami. Nie podjęli nieodwołalnych decyzji. Nie mają pojęcia, co to znaczy czegoś żałować. Wydaje im się, że życie to jeden wielki wideoklip.

Patrzę, jak przenoszą się do narożnego stolika. Ich ożywiona rozmowa cichnie. Zwracam się do wpatrującej się we mnie Shelly:

- Na dziewięćdziesiąt pięć procent - mówię. - Nie, na sto procent. - Uderzam pięścią w stół. - Cholera! Na sto procent! Znał imiona wszystkich ofiar. Znał kolejność, w której ułożono je w suterenie. Do diabła, chodził za Ellie i ją napastał. Zabił je w swoim domu. Ludzie widzieli, jak te prosty tutki wsiadały do jego samochodu.

Shelly milczy przez chwilę. Czeką, aż ochłonę. Na jej twarzy maluje się troska, co z jakiegoś powodu mnie wkurza.

- Nie patrz tak na mnie - mówię. - To... Wiesz, co? To mnie nie obchodzi. Jeśli była jakaś poboczna sprawa, jakiś sekret, który ktoś chciał zataić, to nie mój problem. Już od piętnastu lat nie jestem prokuratorem. Rozwiązałem moją sprawę. Oni mogą sobie rozwiązywać swoje własne.

Zagryza wargi. Przewraca oczami.

- Chryste, powiedz coś, Shelly.

Odkłada widelec, kładzie dłonie na kolanach. ;- Skoro to nie jest twój problem, to odpuść sobie.

- Mam to odpuścić sobie? - Gwałtownie unoszę dłoń. - I to jest ta twoja rada?

- Mówiłeś, że...

- Wiem, co mówiłem. Zapomnij, co mówiłem.

Patrzę w stronę okna. Kilka razy głęboko oddycham, wpatrując się w swoje odbicie w szybie, patrzę na tego prawnika, który w tej chwili zachowuje się jak skończony dupek. Kątem oka widzę, że Shelly gestem przywołuje kelnerkę. Gdybym był na jej miejscu, zrobiłbym to samo. Rachunek, proszę, i do cholery z tym.

- Nie potrzebujesz mojej rady - mówi. - Wiesz, co robić. Rachunek łąduje na stole. Shelly wyciąga z portfela pie niądze.

- To nie będzie przyjemne - mówię.

- Oczywiście, że nie. Jeśli postawisz się Harlandowi, ucierpią na tym prawnicy z twojej firmy. Może nawet ją zamkniesz. Jeśli odkryjesz coś, co ci umknęło wtedy, to będzie żenujące dla ciebie osobiście. Może się nawet odbić na twojej pracy. A jeśli chodzi o tę pięcioprocentową szansę, że skazałeś niewłaściwego człowieka, to będziesz musiał z tym żyć.

Pocieram twarz. Ona ma rację. Co do tego nie ma żadnej wątpliwości. Po prostu musiałem to usłyszeć.

- Mógłbyś zostawić to w spokoju - dodaje Shelly. - To prawda, masz rację. Nie jesteś już prokuratorem. Każdy by to zrozumiał.

Nie pozwalam, żeby dostrzegła mój uśmiech. Rozumie mnie lepiej, niż mam ochotę to przyznać. Proponuje mi łatwe wyjście, bym poczuł się lepiej, nie korzystając z niego.

Bierze mnie pod ramię, gdy odprowadzam ją do samochodu. To niewinny gest, ale sporo dla mnie znaczy. Chcę więcej takich gestów. Chcę dziś w nocy trzymać ją w ramionach, czuć zapach jej włosów, móc wodzić palcem po jej gładkim brzuchu.

Zamiast tego delikatnie mnie całuje i jej dłonie wymykają

się z moich. Zatrząskuję za nią drzwi wozu. Macha do mnie, a ja doceniam fakt, że tym razem to nie jest „do widzenia”, tylko „niebawem znów się spotkamy”.

Don Regis z ekipy technicznej prokuratora okręgowego wpada do pokoju grupy zadaniowej. McDermott i Stoletti czekają niecierpliwie po telefonie, jaki otrzymali od niego dziesięć minut temu.

Odciski palców znalezione na drzwiach Brandona Mitchuma zostały zidentyfikowane w bazie danych.

- Należą do Leonida Koslenki, rosyjskiego imigranta. - Don Regis kładzie teczkę na biurku McDermotta. - Był już aresztowany za pobicie i podejrzenie morderstwa. W obu przypadkach zarzuty wycofano.

McDermott otwiera raporty z aresztowań. Najpierw przesuwa strony w poszukiwaniu zdjęć wykonanych przy aresztowaniu Leonida Koslenki. Na czarno-białych fotografiach widzi mężczyznę o kwadratowej twarzy, z blizną w kształcie półksiężyca pod okiem. Dłoń sama zaciska mu się w pięść. Jednocześnie czuje falę ulgi i napływającej adrenaliny. To ten człowiek z fotografii znalezionej w mieszkaniu Freda Ciancia. Ten sam, który był dziś wieczorem w mieszkaniu Brandona Mitchuma.

Przegląda policyjne streszczenia z każdego aresztowania. Pięć lat temu Leonid Koslenko został zatrzymany za pobicie kobiety w zachodniej dzielnicy miasta. Dwa lata temu zgarnęli go w związku z podejrzeniem zabójstwa kobiety zaledwie trzy przecznice dalej.

W obu przypadkach zarzuty wycofano. *Nolle prosequi* - termin oznaczający odstąpienie od nich.

W obu przypadkach ofiarami były prostytutki.

Raport z pierwszego aresztowania jest gruby. McDermott przegląda streszczenia na wstępie.

- Badania psychiatryczne - mówi. - Sąd nakazał ich przeprowadzenie, żeby ocenić, czy Koslenko jest poczytamy.

- Nigdy nie doszło do przesłuchań w sprawie jego poczytalności - mówi Regis, który czytał już te raporty. - Ta kobieta wycofała zarzuty.

Dobrze. W porządku. Ale McDermotta bardziej interesuje, co powiedzieli psychiatrzy:

Pacjent wykazuje nadpobudliwość, zaburzenia koncentracji i zaburzenia myślowe, wyraźne objawy manii prześladowczej i halucynacji słuchowych.

- Halucynacje słuchowe - mamrocze do siebie McDermott. - Słyszysz głosy?

U pacjenta stwierdzono schizofrenię paranoidalną DSM-IV.

McDermott zerka na zegarek. Do północy zostało tylko parę minut. Podnosi słuchawkę i dzwoni do dyżurnego sierżanta.

- Potrzebuję grupy interwencyjnej, Dennis. Teraz, natychmiast.

Odkłada słuchawkę i patrzy na Stoletti.

- Zbierz wszystkich z dzisiejszej zmiany - mówi. - Jeździemy do jego domu.

Leo siedzi w wypożyczonym samochodzie. Okolica jest spokojna. Zbliża się północ. Był tu już przedtem, oglądał budynek z czerwonego piaskowca, mieszczący trzy mieszkania jedno nad drugim. Drzwi wejściowe nie będą dla niego żadnym problemem.

Światła na trzecim piętrze są zgaszone.

To musi być dziś w nocy. Musi to zrobić.

Teraz wie, kim jest. Mój błąd, nieważne... Jestem dla nich za bystry nawet wtedy, kiedy odkryli, że to ja. Nie dowiedzą się, gdzie jestem. I nie będą wiedzieli dlaczego. To jest ta różnica między mną a Terrym. On był odważny, ale nie bystry.

Ze swojego miejsca widzi budynek z czerwonego pias-

kowca i mały parking z tyłu. Może poczekać. Czekanie mu nie przeszkadza. To nie problem.

Minęła już ponad godzina. Prawie północ. Znów będzie musiał improwizować. Znów. Podskakuje, widząc światła na parkingu, zbliżające się z alejki. Nie widzi, kto wysiada. Nie w tych ciemnościach.

Ale to tylko jedna osoba.

Wpatruje się w trzecie piętro. Bębni dłońmi w kierownicę. Tak, nareszcie. Ktoś włącza światło. W mieszkaniu na trzecim piętrze.

Czeka. Pięć minut. Dziesięć. Piętnaście.

Dwadzieścia minut później światła gasną.

Shelly Trotter przyjechała do domu i poszła **spać**.

**Naród przeciwko
Terrance'owi Demetriusowi Burgosowi
Sprawa nr 89-CR-31003**

Wkiesień 1989

To była trzecia w życiu Riley'a wizyta w kostnicy. Jako prokurator federalny nie spędzał zbyt wiele czasu przy zwłokach, a kiedy już musiał to robić, rzadko chodziło o ustalenie przyczyny śmierci. Ciała były zazwyczaj podziurawione jak sito z karabinów maszynowych rywalizujących między sobą handlarzy narkotyków.

Nie był pewien, dlaczego tu jest. Nie był nawet pewien, dlaczego wciąż czyta o Cassie Bentley - teraz, kiedy jej zabójstwo zostało pominięte w sprawie.

Odnalazł Mitrę Agarwal, asystentkę koronera okręgowego, drobną, tryskającą dowcipem kobietę, mówiącą ze słabym hinduskim akcentem. To ona była jednym z dyżurnych koronerów, gdy przysłano ciała. I to ona pokazywała Natalii Lakę Bentley zwłoki córki.

Doktor Agarwal zaprowadziła Riley'a do dużego, sterylnego

go pomieszczenia. Na łózkach spoczywały ciała czterech kobiet zamordowanych przez Terry'ego Burgosa. Riley otworzył raport z autopsji Cassie Bentley.

- No więc - powiedział do niej, czytając z dokumentu - mamy tu „pośmiertne nacięcie przy podstawie czwartego i piątego paliczka stępu”. Chodzi o palce u nóg?

- Zasadniczo można tak powiedzieć.

- Czemu nie powiecie po prostu palce u nóg?

- A czemu wy nie powiecie po prostu „wycofano oskarżenia” zamiast *nolle prosequi*

Riley się uśmiechnął.

- Trafiony, pani doktor.

- Po zwłoki prostytutek nikt się nie zgłosił - powiedziała, zwracając się w stronę trzech ciał. - Masz szczęście, że wciąż tu są.

Rodziny miały sto dwadzieścia dni na zgłoszenie się po ciała swoich bliskich, więc teoretycznie wciąż mogły to jeszcze zrobić. Jednak te dziewczyny prawdopodobnie zostały prostytutkami głównie dlatego, że nie miały zbyt serdecznych kontaktów ze swoimi rodzinami. Wiedział, że te kobiety zostaną pochowane w nieoznaczonych grobach na cmentarzu komunalnym.

- Nie trzymaj mnie w napięciu, Mitra.

Zaprowadziła go do zimnego, białego ciała Angie Mornakowski. Rozsunęła czwarty i piąty palec jej lewej stopy. Riley zobaczył niezakrwawione nacięcie, precyzyjnie przecinające niewielką fałdę skóry.

- Wszystkie to mają - powiedziała. - Wszystkie cztery, które tu leżą. I Cassie.

- O rany! - Riley westchnął. - A nie ma o tym ani słowa w raportach z autopsji.

Potrząsnęła głową.

- Tylko u Cassie. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczona, że to u niej zauważyli. Coś takiego może bardzo łatwo umknąć uwadze. Kiedy masz do czynienia z poważnymi obrażeniami-

mi głowy i ciała, nie zwracasz uwagi na ledwo widoczne nacięcie między czwartym a piątym palcem u nogi. To zupełnie co innego niż w przypadku śmierci po przedawkowaniu narkotyków czy od trucizny. Nie szukasz miejsca nakłucia...

- Nie, nie... Wiem o tym. Nie zamierzam krytykować. - Riley wciągnął głęboko powietrze w płuca. - Zrobił to po ich śmierci. Później.

- To podpis - odparła. Paul zgodził się z tą opinią.

- Zostawia swój znak.

- No cóż, spójrz na to w ten sposób - odparła lekarka. - Jeśli miałeś jeszcze jakieś wątpliwości, że ta sama osoba za była wszystkie te dziewczyny, to już ich nie masz.

Riley uśmiechnął się do niej.

- Nie miałem takich wątpliwości.

- W porządku - powiedziała. - A czego ode mnie oczekujesz? Mam ekshumować pozostałe ciała? Poprawić raporty z sekcji?

Wydawało się to bez znaczenia. Burgos przyznał się do zabicia tych dziewczyn. I to zarówno Joelowi Lightnerowi, jak i psychiatrom. To nie był dowód świadczący o jego niewinności, dowód działający na korzyść obrony, który Riley musiałby obalić. Jeśli w ogóle miało to jakieś znaczenie, to szkodziło Burgosowi. Jeszcze bardziej uwiarygodniało hipotezę, że ta sama osoba zabiła wszystkie te kobiety.

A poza tym mogło to odnieść odwrotny skutek. Obrona mogłaby to rozegrać po swojemu, udowodniać niekompetencję biura koronera. Zrobiliby problem z koronerów, żeby odwrócić uwagę. Jeremy Larrabee byłby przeschęśliwy, mogąc mówić o czymś innym, nie o swoim kliencie.

Nie mówiąc już o tym, że Riley musiałby prosić rodzinę Ellie Danzinger o pozwolenie na ekshumację ciała ich córki zaledwie kilka miesięcy po pochówku. I po co to wszystko? Żeby udowodnić coś, co już wiedzieli?

Autopsja Cassie Bentley nie była udostępniona. Nie włączono jej do sprawy i nie powinna już nikogo obchodzić.

- Dajmy sobie z tym spokój - powiedział Riley. - Dzięki, że zaspokoiliś moją ciekawość.

- Och. - Mitra Agarwal szturchnęła go łokciem. - Jakież to podniecające. Tajemnica. Ty i ja jesteśmy jedynymi żyjącymi ludźmi na świecie, którzy wiedzą o nacięciach między paliczkami stępu.

- Ty, ja i Terry Burgos.

Riley podziękował jej i wrócił do swojego biura.

Czwartek, 23 czerwca 2005

38

Leonid Koslenko mieszkał w małym bungalowie w północno-zachodniej części miasta, w czwartym domu od południa. Detektyw Michael McDermott po raz ostatni patrzył przez lornetkę na dom ze swego stanowiska po drugiej stronie ulicy. Zerka na zegarek. Jest czwartek, dokładnie druga trzypięćdziesiątka w nocy.

McDermott zbliża do ust radio i mówi:

- Kod żółty. Dowódcy oddziałów, kod żółty.

Od północnej i południowej strony dwupiętrowego budynku zbliżają się ostrożnie członkowie grupy interwencyjnej, pochyleni, trzymając się blisko sąsiednich domów, tak by byli niewidoczni z mieszkania Koslenki i by nie padało na nich światło ulicznych latarni. Dwie ośmioosobowe grupy powoli podchodzą do celu. Policjanci uzbrojeni są w karabiny snajperskie lub śrutówki, z noktowizorami, ubrani w ciemnoniebieskie, ognioodporne mundury, kewlarowe hełmy balistyczne i kamizelki kuloodporne.

Półowa każdej z obu grup przechodzi na tył domu. Druga półowa pozostaje w odległości paru stóp od frontowych drzwi, po obu ich stronach, trzymając się poniżej linii wzroku.

McDermott słyszy skrzeczący głos z radia, płynący z wbudowanych mikrofonów w ich kamizelkach taktycznych.

- Oddział A na pozycji.
- Oddział B na pozycji.

McDermott wciąga powietrze i mówi przez radio:

- Kod zielony. Powtarzam, kod zielony.

Oddziały spotykają się przy frontowych drzwiach, gdzie używają tarana, aby wejść do środka. Wozy taktyczne pędzą ulicą z obu stron, zatrzymując się z piskiem opon przed domem Koslenki, skręcają w jego stronę i zalewają całą posiadłość jaskrawym światłem. Z pojazdów wybiegają policjanci i obstawiają całą nieruchomość.

McDermott wyskakuje zza krzewów i wyciąga broń. W domu kolejno zapalają się światła. Detektyw staje na chodniku z bronią w jednej i radiem w drugiej ręce. Wyciąga dłoń, żeby zatrzymać Stoletti, która stoi obok niego - również z wyciągniętą bronią.

- Pierwsza sypialnia - czysto.
- Pierwsza łazienka - czysto.
- Kuchnia - czysto.
- Salon - czysto.

McDermott wstrzymuje oddech, przygotowując się na odgłosy strzałów.

- Druga sypialnia - czysto.
- Druga łazienka - czysto.
- Trzecia sypialnia - czysto.

Czuje się tak, jakby wstrzymywał oddech przez całe wieki, czuje pulsującą krew.

- W piwnicy - czysto.
- Wszędzie czysto. Powtarzam: wszędzie czysto.

McDermott wbiega na podjazd i pędzi do domu. Na parterze panuje zaduch. Śmierdzi czymś, co przywodzi na myśl pot i brudne skarpetki. Dom jest zniszczony. Ze ścian odpada farba. Kuchnia wygląda tak, jakby ostatni raz remontowano ją w latach siedemdziesiątych. W salonie znajduje się niewiele mebli, chyba żeby zaliczyć do nich kartony po pizzy i poplamione tłuszczem torby po jedzeniu, talerze z zaschniętym

ketchupem i resztkami posiłku, na których uczują teraz mu-
chy i inne robactwo.

- Cholera z tym - mówi, gdy podchodzi do niego Stolet-
ti. - Nie ma go, i to od dawna.

Słyszysz trzask swojego radia.

- Detektywie McDermott, piwnica.

Mikę schodzi w dół po schodach. Pomieszczenie jest nie-
wykończone i nieumeblowane - oprócz ławki treningowej,
paru ciężarków i kilku zaklejonych taśmą pudeł.

Ściany to już inna historia. Trzy z czterech zostały pokryte
korkową płytą od podłogi aż po sufit. Wszędzie wiszą po-
przyipinane pinezkami dokumenty i zdjęcia.

Stoletti pokonuje ostatni stopień i mówi:

- A co to, do cholery?

McDermott podchodzi bliżej i uważniej przygląda się te-
mu, co wisi na ścianach. Artykuł wycięty z „The Watch”, opi-
sujący rozwód Harlanda i Natalii Bentley. Upomnienie z urzę-
du skarbowego o zaległościach podatkowych. Tekst z gazety
o tym, że Paul Riley ustąpił ze stanowiska prokuratora okrę-
gowego, żeby założyć własną firmę prawniczą. Wydruk stro-
ny internetowej *Rosyjscy seryjni mordercy* i wyszczególnia-
jący wyczyny Nikołaja Kruszczenki, który zamordował ponad
dwadzieścia prostytutek, zanim schwytano go w Leningra-
dzie w 1988 roku. Artykuł z czasopisma o tym, że w tym
roku Paul Riley kupił dom, w którym kiedyś mieszkał senator
Roche. Strona po stronie z Internetu, wszystko o Terrym Bur-
gosie. Szczegóły dotyczące morderstw i ofiar. Czarno-białe
zdjęcie młodej dziewczyny stojącej pod drzewem.

I kolejne. Są tu setki dokumentów.

- To - mówi McDermott -jego biuro.

Sprawdź drzwi.

To lekcja po tej porażce u Brandona Mitchuma. Drzwi frontowe do budynku są jednak - tak jak się spodziewał - zamknięte. Wyciąga więc klucz dynamometryczny i krótki hak - powoli otwiera zamek i uważnie go zamyka. Otwiera drzwi i delikatnie zamyka je za sobą.

Teraz, gdy minął już główne drzwi wejściowe, zdejmuje buty i wspina się po schodach.

Jedno mieszkanie na piętrze. Wchodzi powoli w samych skarpetkach, dociera na najwyższe piętro i przygląda się drzwiom. Standardowy zamek, prawdopodobnie ryglowy. Znow schodzi w dół po schodach na półpiętro, w połowie drogi między drugim a trzecim piętrem, tak żeby nie był widoczny, gdyby Shelly Trotter zdecydowała się wyjrzeć przez wizjer. A kuku, nie widzisz mnie.

Patrzy na zegarek. Dopiero co minęła czwarta rano. Ona śpi. Będzie spała jeszcze przez następne dwie, trzy godziny. Leo siada na półpiętrze i czeka.

Może poczekać. Jest dobry w czekaniu. Czekał przez szesnaście lat.

O szóstej gramolę się z łóżka. Przez całą noc nie spałem. O siódmej siedzę w samochodzie. Na ulicy panuje już spory ruch. Wymyślam jakieś kreatywne przekleństwo, które ma oddawać moje uczucia do jadącej przede mną kobiety, gdy odzywa się sygnał komórki. Na wyświetlaczu pojawia się nazwisko Pete'a Storina z Urzędu Imigracyjnego, który odzwania w sprawie tej przysługi, o jaką go prosiłem.

- Wczesnie wstajesz jak na federalnego, Pete.
- Tylko nie mów, że nigdy nic dla ciebie nie zrobiłem, Riley.

- Nigdy bym nic takiego nie powiedział, Pete. Przenigdy. Śmieje się zgryźliwie.

- I nie usłyszałeś o tym ode mnie.
- Dobra, o niczym nie wiem.
- W porządku. Gwendolyn Lake, tak? Chcesz wiedzieć, kiedy opuściła Stany?

- Zgadza się.
- Wyleciała z kraju w środę, 21 czerwca 1989 roku.

21 czerwca. To ten tydzień, w którym popełniono morderstwa. Środa. Do tej pory były już trzy ofiary. Cassie została zamordowana w następną niedzielę.

To mogły być trzy miesiące albo i trzy dni - powiedziała mi Gwendolyn, gdy spytałem, od jak dawna nie było jej w kraju, gdy zamordowano Cassie.

- Dokąd poleciała? - pytam.
- Na lotnisko De Gaulle'a - odpowiada.

Paryż. To ma sens. Gdy pytałem Gwendolyn, gdzie mogła być w tym okresie, najpierw przyszła jej na myśl Riwiera. Taka bogata dziewczyna jak ona ma tam pewnie własny dom.

- Wiesz, jak długo tam była? - pytam bez jakiegoś wyraźnego powodu.

- Nie potrafię ci w tym pomóc, przyjacielu. Jeśli chodzi o Stany, to mogę popytać i poprosić tu i ówdzie o przysługę. Ale gdybym miał dzwonić do Francuzów, musiałbym mieszać w to zbyt wielu ludzi.

- Nie, nie, to mi wystarczy.
- Myślę, że musiała tam mieszkać u rodziny - dodaje Pete.
- U rodziny? We Francji?
- Gwendolyn Lake ma francuskie obywatelstwo. Nie wiedziałeś o tym?

Nie, o tym rzeczywiście nie wiedziałem. Urodziła się we Francji? To chyba też nie jest zbyt zaskakujące. Ci bogacze latający prywatnymi odrzutowcami po całym świecie mają prawdopodobnie własne wille na każdym kontynencie i mogą sobie pozwolić na najlepszą obsługę medyczną, gdziekolwiek są.

Storino ciągnie dalej:

- Mam tutaj napisane, że urodziła się w... na pewno źle to wymówię... Saint-Jean-Cap-Ferrat. 8 września 1969 roku. W każdym razie to pewnie wyjaśnia długość jej wizyty.

- To znaczy? - pytam. - Kiedy wróciła do Stanów?

- Zobaczmy... 20 sierpnia 1992 roku.

- Dziewięćdziesiątego drugiego?! Nie było jej przez całe trzy lata?!

- W Stanach? *Oui, oui.*

Dziękuję Pete'owi i chowam telefon, próbując przetrwać tę informację. Równocześnie zbywam gestem ręki faceta na skrzyżowaniu, który chce mi sprzedać gazetę.

Gwendolyn Lakę opuściła kraj w tym samym tygodniu, w którym Cassie i Ellie zostały zamordowane, i nie wracała przez trzy lata?

A może przyglądaliśmy się nie tej co trzeba młodej dziewczce z problemami emocjonalnymi?

McDermott dzwoni do domu, rozmawia z matką i Grace, wyjaśniając sytuację. Gdy kończy, przeciąga się i strąca pajęczyny oblepiające mu znużoną głowę. Ekipa techniczna prokuratury okręgowej fotografuje ściany w piwnicy.

- Cholera - mówi do siebie, nie po raz pierwszy dzisiaj. Znalezli swojego faceta, ale go nie znaleźli. I nie wygląda na to, że akurat przypadkiem wyszedł, aby coś załatwić. Zrobili nalot na jego dom w środku nocy.

Chodzi gdzieś tam po świetle.

Kurz w piwnicy wywołuje u McDermotta najgorsze możliwe alergie. Ociera nos i próbuje podrapać językiem podniebienie. Do tej pory przejrzał już - przynajmniej pobieżnie - każdy dokument przypięty pinezką do korkowej płyty na ścianach mieszkania Koslenki. Informacje są starannie podzielone na różne kategorie. Spora część dokumentacji poświęcona jest sprawie Terry'ego Burgosa lub którejś z zamieszanych w to osób. Harland Bentley. Jego była żona Natalia.

Ich córka Cassie Bentley. Terry Burgos. Paul Riley. Jest tu nawet parę zdjęć z rubryki towarzyskiej, przedstawiających Riley'a i jego dziewczynę Shelly Trotter, córkę gubernatora. Dalej na ścianie wiszą fotografie kobiet stojących na ulicy. Dosłownie wszystkie wyglądają jak prostytutki w swoim zawodowym stroju. Pod wieloma zdjęciami Koslenko wypisał odręcznie ich imiona - a przynajmniej ich zawodowe pseudonimy. Roxy. Honey. Candi. Delilah.

- Jezu, tu jest chyba ze sto zdjęć - mamrocze McDermott.

- Prawie trafiłeś. Dziewięćdziesiąt osiem - mówi Stoletti. - Ten facet ma niezłego fioła na punkcie dziwek.

- Mike. - Powers, jeden z detektywów, którzy tu przyjechali, zbiega po schodach. W rękę, w lateksowej rękawicy, trzyma kawałek papieru. - Znaleźliśmy to w jego sypialni.

McDermott, również w lateksowej rękawicy, bierze od niego kartkę. To kserokopia mniejszej, napisanej maszynowo notatki:

Wiem, że wiesz o moim związku z Ellie. A ja wiem o twoim związku z moją córką. Jeśli ty o tym wspomnisz, ja też to zrobię. Ale jeśli będziesz milczeć, ufunduję ci katedrę w Mansbury College. Potrzebuję twojej odpowiedzi natychmiast.

McDermott jeszcze raz czyta notatkę i wciąga powietrze do płuc. Czuje, jak różne części układanki wskakują na swoje miejsce.

- Więc jednak Bentley kupił Albany'ego - mówi Stoletti. -1 sypiał z Ellie.

- Natomiast Albany sypiał z Cassie - dodaje McDermott. - O Jezu!

- Koslenko był chłopcem na posyłki Bentley'a. - Stoletti nabiera powietrza. - Wykonywał za niego brudną robotę.

Detektyw zastanawia się nad tym. Coś mu tu nie gra. Sygnął komórki przy pasku na biodrze. Dzwonią z posterunku.

- McDermott - mówi, ale odbiór jest słaby, a głos innego detektywa tonie w zakłóceniach. - Zaraz oddzwonię! - wrzeszczy Mike.

Wbiega na schody i wychodzi na zewnątrz.

Nie mówił za dobrze. Ale za to potrafił dobrze słuchać. Gwendolyn i pani Bentley - w kuchni.

- To jest, kurwa, mój dom - mówi Gwendolyn.

- Nie, to mój dom. I to wszystko jest moje, dopóki ci czegoś nie dam. Chcesz może rzucić okiem na dokumenty własności?

- To nie fair! - Gwendolyn wali pięścią w kuchenny stół. - Jestem już pełnoletnia! Daj mi to!

- Dostaniesz, kiedy mi pokażesz, że umiesz sobie z tym poradzić - odpowiada pani Bentley.

- Wy pierdoleni Bentleyowie! Wydaje wam się, że jesteście o wiele lepsi ode mnie. No co, ciociu Nat, wiesz może, gdzie jest teraz twój kochany mąż? Masz jakiś pomysł? A ta twoja córeczka? Kochana, mała, pierdolnięta Cas-sie? - Gwendolyn wybucha obrzydliwym śmiechem.

Teraz weszły w pole jego wzroku. Pani Bentley chwyciła Gwendolyn za ramię. Dziewczyna spróbowała się wyszarpnąć, ale ciotka złapała ją za drugie ramię.

- Nie waż się mówić w ten sposób o mojej rodzinie! - Potem się odwróciła i zobaczyła, że on tam stoi.

Zostawiła Gwendolyn i podeszła do niego. Przez długą chwilę milczała. Leo nie wiedział, co robić...

- Podoba ci się tu, Leo?

Kiwa głową, że tak.

- Chcesz być deportowany? Chcesz wrócić do Związku Radzieckiego? Do tej instytucji?

Wrócić do... Czy ona go pyta, czy informuje? Co ona...

- W takim razie nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. I wracaj do pracy.

Leo spuszcza wzrok. Rozczarował panią Bentley. Odwrócił się, wyszedł na podwórko z palącym uczuciem wstydu.

Leo podskakuje na dźwięk kroków w mieszkaniu na trzecim piętrze. Jest teraz wpół do ósmej. To odpowiedni czas. Wstaje, przeciąga się, wciąż na półpiętrze między drugim a trzecim piętrem.

Z góry dobiegają cztery krótkie sygnały wyłączenia alarmu antywłamaniowego. W porządku. W tym małym mieszkaniu jest prawdopodobnie biegnący przez środek czujnik ruchu. Jeśli się go nie wyłączy, nie można nawet pójść po filiżankę kawy czy szklanę soku. Czemu nie wyłączyć go rano? Przecież przetrwałaś noc.

Właśnie tak wszyscy myślicie. Gdy wstanie słońce, czujecie się bezpiecznie.

Leo powoli wspina się po schodach, nadal w samych skarpetkach. Przykłada ucho do drzwi mieszkania i nasłuchuje. Słyszy, jak ona odkręca kran, a potem łagodną kaskadę wody.

Shelly Trotter bierze prysznic.

Najpierw Leo wkłada buty. Potem wyjmuje z torby klucz dynamometryczny i zabiera się do roboty. W drzwiach jest też rygiel z wkładką cylindryczną. Sam jest zaskoczony tym, jak sprawnie używa wytrycha, żeby ustawić bolce w odpowiedniej pozycji i otworzyć drzwi.

Woda nadal płynie. Wciąż bierze prysznic. Nadszedł właściwy moment, kiedy jest naga, na mokrej śliskiej podłodze, całkowicie niezdolna do obrony. Kładzie ciężką torbę z piłą łańcuchową obok sofy, ale tak, żeby była niewidoczna z innych części domu. Na wszelki wypadek.

Wie, jak to się robi. Szybko przejdź do łazienki, w stronę dźwięku płynącej wody, podejdź do drzwi i słuchaj, rozróżnij dźwięki...

Woda uderza o coś, co wydaje głuchy dźwięk. Coś plastikowego. Zasłona, a nie szklane drzwi kabiny prysznicowej.

Szybko tam zajrzyj, tylko raz. Potwierdź to. Czerwona zasłona. Nie widzisz przez nią. Nie widzisz mnie. Idę po ciebie, Shelly. Idę po ciebie...

Szybko wskocz do łazienki. Od razu podejdz do zasłony. Szarpnij ją. Jej dłonie są zanurzone w namydlonych włosach, próbuje zareagować, ale traci grunt pod stopami.

Nie wydaje nawet jednego dźwięku.

40

Wieszam płaszcz przy drzwiach i szybko zerkam na kalendarz. Betty wprowadza wszystko, co robię, do terminarza w moim komputerze. Jest to dla mnie wygodniejsze niż podręczny kalendarzyk, bo komputera nie jestem przynajmniej w stanie zgubić. Nie muszę dzisiaj iść do sądu i mam dwa spotkania. Poproszę Betty, żeby je odwołała. Tak czy inaczej moja praca polega teraz przede wszystkim na sprawowaniu nadzoru nad innymi prawnikami.

Gwendolyn Lakę wyjechała z kraju w tym samym tygodniu, w którym popełniono morderstwa, udała się do swojego domu we Francji i nie wracała do Stanów przez trzy lata. To się mniej więcej zgadza z tym, co mi mówiła. Pozbawiona busoli, jeżdżąca po świecie imprezowiczka. Z takimi pieniędzmi szybko mogła znaleźć pocieszenie i przyjaciół na każdym kontynencie. Tak przynajmniej można by sądzić na podstawie wrażenia, jakie chciała na mnie wyrzucić.

Podchodzę do akt sprawy Bentleyów, które Betty schludnie ułożyła i przesunęła na bok, ale pozwoliła im zostać na podłodze w moim gabinecie. Zatrzymuję się w pół drogi. W tych dokumentach nie ma kompletnie nic o Gwendolyn Lakę. Wtedy kuzynki Cassie tu nie było. Nie przyjrzelśmy się jej, bo nie mogliśmy. Bo nie mieliśmy powodu. Nie mieliśmy powodu.

- Cholera! - walę pięścią w jakieś zalegające mi na biurku papiery.

Czy to Gwendolyn Lakę była w ciąży? Czy to ona przerwała ciążę? Była sierotą, pod formalną - przynajmniej częściowo - opieką Harlanda i Natalii. Leczyłaby się w tej samej przychodni, prawda? W Sherwood Executive Center.

Nie wiem. Wiem tylko, że Gwendolyn Lakę nie udzieliła mi odpowiedzi, które chciałem od niej usłyszeć. Harland kompletnie mnie zbył, a może to ja zbyłem jego.

Listy. Wciąż mam kopie. To wszystko, czym teraz dysponuję. Rozkładał je na biurku, skupiając się na drugim - tym, który skomentowała Stoletti.

Boleją i odejdę. Rozpacz echem drży, rozrywa. Uczucia grają, ale zapamiętałe wolam. Radość oczyszczenia trudna. Kolejny emisariusz cierpi zawsze. Ale sama wiedza, rozumienie oczekują bezwarunkowej i czulej akceptacji. Lecz bezwarunkowa absolutna nostalgia echem grzmi. Odejdę.

Co mówiła Stoletti? Dobór słów wygląda na wymuszony. Pismo jest nieskazitelne, tak jak mówiła. Nie spieszyło mu się. Wszystko robił celowo. A jednak słowa, jakich użył...

Radość oczyszczenia trudna. W tym zdaniu brak czasownika. Dziwne. Niewłaściwe z gramatycznego punktu widzenia. *Ale sama wiedza, rozumienie oczekują bezwarunkowej i czulej akceptacji. Lecz bezwarunkowa absolutna nostalgia echem grzmi.* Ten sam problem. Dwa razy użył słowa „bezwarunkowy”.

Chodzi tylko o usterki gramatyczne? Czy może siedzę nad wypocinami jakiegoś świra i coś sobie niepotrzebnie wmawiam?

- Cholera! - Coś tu jest nie tak.

Dzwoni mój telefon, rozmowa wewnętrzna, ale nie od kogoś z biura, bo wtedy nazwisko widziałbym na wyświetlaczu.

To nie Betty, bo jej **tu nie ma**. To **rozmowa z zewnątrz, prze-**kierowana do mnie z centrali.

- Paul Riley.
- Panie Riley, tu Gwendolyn Lake.

O wilku mowa. Milczę. Jeśli ma **mi** coś powiedzieć, musi sama tego chcieć.

Z drugiej strony też milczenie. W tle jakiś hałas, ktoś wykrzykuje polecenia, rozmawiają jacyś ludzie. Pewnie jest w swojej jadłodajni.

- Nie byłam wczoraj z panem szczerą - mówi Gwendolyn.

- Cóż... - Postanawiam tego nie komentować.
- Pewnie sam pan się tyle domyślił.
- Miałem pewne podejrzenia.
- Mówiłam, że nie chcę pomagać. Ale chcę. Chcę z panem porozmawiać.

- Mam teraz czas. - Rozsiadam się wygodniej w moim fotelu.

- Dobrze - mówi. - Jestem po drugiej stronie ulicy.

McDermott wychodzi na świeże powietrze, dopiero po raz drugi od sześciu godzin. Rozkoszuje się nim mimo gęstej wilgoci. Sąsiedzi i dziennikarze zgromadzili się przy policyjnej taśmie otaczającej nieruchomość. Podchodzi do niego policjant zbierający zeznania.

- Ten facet to jakiś pieprzony duch, Mikę. Sąsiedzi mówią, że praktycznie przez cały czas siedział w domu. Najwyżej czasami wyjeżdżał gdzieś w nocy. Prawie nigdy go nie widywali. Twierdzą, że co wieczór zamawiał pizzę albo chińskie jedzenie i właściwie widzieli go tylko wtedy, kiedy otwierał drzwi. Płacił nawet komuś, żeby mu kosił trawnik. Sąsiedzi mówią, że trzymali dzieciaki z dala od jego posiadłości. Wygląda, jakby wszyscy czuli się przy nim nie-swojo.

- Pogadaj jeszcze z nimi - mówi McDermott. Potem

zwraca się do Powersa, jednego z detektywów: - Chcę widzieć na posterunku profesora Albany'ego. Nie obchodzi mnie, co teraz robi. Idźcie do asystenta prokuratora okręgowego i postarajcie się o nakaz. Pojedziemy do niego dziś rano.

- Zrozumiałem, Mike.

Łapie go za ramię.

- I zróbcie to samo w sprawie Harlanda Bentleya.

Dzwoni z komórki do Sloana, jednego z detektywów zajmujących się sprawą - tego samego, który telefonował do niego wcześniej.

- Poczekaj chwilę, Mike. - Sloan przez moment wydaje komuś instrukcje. - Dobra. Powiem ci, co mamy do tej pory. Ofiarą jest niejaka Brenda Stoller. Świeżo po studiach, pracowała na niepełnym etacie jako modelka. Znaleźli ją na tylnym siedzeniu samochodu, na parkingu E-Z Days Hardware. Miała poderżnięte gardło.

- I?...

- I wczoraj pojawił się facet szukający piły łańcuchowej Trim-Meter. Mamy nagrania wideo ze sklepu, a sprzedawca go zidentyfikował. To nasz człowiek. Czemu akurat ta dziewczyna, Mike? Weszła do sklepu, kupiła parę żarówek, a on jej to zrobił...

- Cholera, nie mam pojęcia. Musiała jakoś wejść mu w drogę. - Myśli o tym przez chwilę. - Opisz mi ją, Jimmy.

- Młoda, ładna, odstawiona.

- Opisz, jak była ubrana.

- Och... Seksowna różowa bluzeczka, czarne spodnie, buty na obcasach. Niezła figura. To znaczy... to była bardzo ładna kobieta.

- Czy można by ją pomylić z prostytutką?

- Z prostytutką? Cholera... Chyba tak... Ładnie^ seksownie ubrana, ale nie aż tak... Ale w sumie... tak, tak mi się wydaje. Czemu pytasz?

- Nie jestem pewien. - McDermott ociera pot z czoła.

Kiedy wszyscy zaczęli pracować nad tym, co znaleźli w piwnicy, zrobiła się tam prawdziwa sauna. - Ten facet ma jakiś problem z prostytutkami. Zobacz, czy mamy coś o niej. Tak na wszelki wypadek. Znaleźliście coś w nagraniach z parkingu?

- Jeszcze nie, ale pracujemy nad tym.

- Znajdźcie mi samochód, którym jeździł, Jimmy. Jego własny stoi w garażu. Używa wypożyczonego. Chcę znać numery tego wozu. Ten facet wciąż działa.

- Zrozumiano.

McDermott wzdycha. Byli tak blisko złapania tego gościa.

- Opowiedz mi o drugiej ofierze.

- Mężczyzna, Ray Barnacke, właściciel Varten's Tools and Construction. Skreślił mu kark. Miałeś rację. Varten's było jednym z dystrybutorów pił łańcuchowych Trim-Meter. Pracownik mówi, że jednej z nich brakuje na ścianie.

- Cholera! - McDermott potrząsa głową. - Miał do nas zadzwonić.

- I nie ma żadnych nagrań. Tam nie było kamer.

- No, świetnie. I zламаł mu kark? Tylko tyle?

- Tylko tyle. Nic nie wskazuje na to, żeby go torturował. Nie używał żadnej broni z piosenki. Ale najwyraźniej teraz ma już piłę.

- Tak. Jezu Chryste... Posłuchaj, Jimmy, powiedz, żeby sprawdzili lewą stopę ofiary. Czy nie ma nacięcia między czwartym i piątym palcem u nogi.

- Że co?

- Po prostu powiedz im, żeby to sprawdzili, Jim.

- Dobra. Lewa stopa. Dobra. Czyli masz już motyw? Znalazłeś coś, co się nam może przydać?

McDermott mruży oczy w jasnym świetle słońca.

- Zastanawiam się, czy w ogóle jest jakiś motyw. To by świadczyło, że ten facet działa racjonalnie.

- Dobra. Odezwę się do ciebie, jak tylko coś będę miał. Co teraz robisz?

- Idę zdać raport komendantowi - mówi McDermott. -
A potem zobaczę się z byłą żoną Harlanda Bentleya.

Spotykam się z Gwendolyn Lakę w barze po drugiej stronie ulicy, naprzeciw mojego biura. Siedzi przy stoliku, obejmując dłońmi filiżankę kawy.

- Nie podoba mi się, że tu jestem - mówi powoli, kręcąc głową. - Nie chcę tu być.

Jak alkoholik wracający do baru. Przypuszczam, że o to jej chodzi. To tutaj mieszkała, gdy zaczęła niszczyć samą siebie. Nawet wyglądem jakby tu nie pasowała - przynajmniej do dzielnicy handlowej, w tym miękkim niebieskim podkoszulku, szortach i sandałach. Tak jak poprzednio, włosy opadają jej na ramiona. Jasnozielone oczy patrzą na mnie smutno zza okularów.

- Tyle czasu zabrało mi pozbycie się tego brudu. Wie pan?

Mówię kelnerce, że napiję się kawy, bo przydałoby mi się trochę kofeiny.

- Nie jestem twoim psychiatrą, Gwendolyn.
Uśmiecha się, jej twarz się rumieni. Nabiera głęboko powietrza i mówi:

- Udawałam, że nie wiem, kto to jest Frank Albany. To nie była prawda. Znałam go.

Tyle sam już podejrzewałem, kiedy się zagapiła i nazwała go „Frank” podczas naszej rozmowy, choć wcześniej twierdziła, że go nie zna. Dobra. Punkt dla niej.

- Był dziwny. - Przygryza wargi. Zdejmuje dłoń z blatu stołu. - Zadawał się z dziewczynami z college'u. Z dziewczynami z jego kursu.

- Opowiedz mi o tym - mówię.

- Nie mogę tego powiedzieć na pewno, ale wydawało mi się, że... wydawało mi się, że tych dwoje...

Pociągam łyk z filiżanki kawy stojącej przede mną na stole. Parzę się w język.

- Profesor Albany i Cassie mieli romans, to próbujesz mi powiedzieć?

- Tak mi się wydawało. - Podnosi na mnie wzrok. - Ellie też się tak wydawało. - Zanim zaczyna mówić dalej, sprawdza, jak na to reaguję. - Wydawało mi się, że właśnie pan, nie kto inny, będzie to wiedział.

- A skąd niby, u diabła, miałem to wiedzieć? - pytam obronnym tonem. - Ellie nie żyła, ty zniknęłaś, a profesor Albany nie miał zamiaru upubliczniać tej informacji.

Gwendolyn obraca w dłoniach filiżankę z kawą. Zupełnie jakby lepiła garnek z gliny.

- Dobrze - uspokajam się. Nie ma sensu do tego wra cać. - Co jeszcze, Gwendolyn?

Ciągnie dalej, wykonując nerwowe ruchy dłońmi:

- Ellie powiedziała mi, że Cassie była w ciąży.

Zamykam oczy. Podejrzanie się potwierdziło. Prawnik we mnie zastanawia się nad problemami dopuszczalności takich zeznań. Dowody oparte na pogłoskach. Cassie powiedziała Ellie, a Ellie powiedziała Gwendolyn...

- Kiedy? - pytam.

Wzrusza ramionami, wciąż wpatrując się w blat stołu.

- Jakoś podczas roku szkolnego. Tylko tyle mogę powiedzieć. Było wtedy ciepło. W maju albo w czerwcu.

- Morderstwa popełniono w połowie czerwca - przypominam jej. - Potrafisz to jakoś do tego odnieść?

- Nie - podnosi na mnie wzrok. - Nie pamiętam nawet, kiedy wyjechałam.

- Spróbuj.

Myszę o tym, co powiedział mi godzinę temu Pete Storino. Gwendolyn opuściła Stany w środę, 21 czerwca 1989 roku. Zaledwie kilka dni przed zamordowaniem Cassie.

- Panie Riley - kładzie dłonie na stole. - Ludzie odmie rzają czas dniami tygodnia, jeśli chodzą do pracy. Mierzą go semestrami czy półroczami, kiedy są w szkole. Ja nie mie rzyłam czasu w żaden z tych sposobów. Nie pracowałam ani

nie chodziłam do szkoły. Dla mnie codziennie były wakacje, ponieważ...

- Gwendolyn, możesz mi pomóc czy nie?

- Chyba w czerwcu - mówi, zaskakując mnie tym. - Myślałam o tym od czasu, kiedy wczoraj mnie pan o to spytał. Pewnie gdzieś w czerwcu, wtedy wróciłam do Europy.

Dobra. To już dość blisko. Postanawiam, że jeszcze ją sprawdzę.

- Pamiętasz, dokąd pojechałaś po opuszczeniu Stanów?

Potrząsa głową.

- Przypuszczam, że na Riwierę. Mam tam dom w Cap-Ferrat.

Dobra. Storino mówił, że urodziła się w Saint-Jean-Cap-Ferrat.

Może więc - mimo wszystko - mówi prawdę.

- Czyli gdzieś w maju czy w czerwcu Ellie powiedziała ci, że Cassie jest w ciąży?

Kiwa głową.

- Cassie wyjawiała jej to pewnego wieczoru i była wtedy bardzo zdenerwowana.

- Co jeszcze?

- Nie ma żadnego Jeszcze". To wszystko.

- A ty sama pytałaś o to kuzynkę?

Potrząsa głową, uśmiechając się.

- Cassie i ja nie byliśmy... Ona nie akceptowała tego, jak żyję. Byłam bliżej z Ellie.

- A więc podejrzewałaś, że Cassie miała romans z profesorem Albanym i słyszałaś, że była w ciąży. Ale nie możesz potwierdzić żadnej z tych informacji.

Patrzy mi w oczy.

- Myśli pan, że kłamię?

- A więc zakładam, że nie wiesz na pewno, czy to Albany był ojcem.

Zastanawia się nad tym przez chwilę.

- No cóż, nie wiem.

- Nasuwają ci się może jakieś inne możliwości?
Pije kawę, krzywi się i powoli kręci głową.
- A co z Brandonem Mitchumem? - pytam.
- Och nie, nie Brandon.
- W takim razie kto, Gwendolyn? Spróbuj strzelić. Palcem zakreśla kółka na stole. Myśli o kimś. Wiem, że tak jest.

- Był taki facet - zaczyna - chyba nawet miły gość. Wte dy pracował u nas. Wie pan, Nat i moja matka miały swoje domy po dwóch stronach miasta. Część personelu po prostu pracowała raz tu, raz tam. - Wzdycha. - Zajmował się ogrodem, załatwiał różne zakupy i chyba był też kierowcą. Za wsze mi się wydawało, że ma jakąś słabość do Cassie. Trzeba było widzieć, jak na nią patrzył. Wykorzystywałam to, żeby ją drażnić. Zwykle był nieszkodliwy, ale czasami myślałam, że on... że jest trochę przerażający.

Próbuję zachować spokój, choć strasznie chciałbym nią wstrząsnąć. Zamiast tego pozwalam Gwen mówić dalej, bo widzę, że na jej twarzy maluje się ożywienie i coś silniejszego niż podekscytowanie.

Strach.

- Leo - mówi. - Nazywał się Leo.

Z kieszeni kurtki wyjmuję kserokopię fotografii Harlanda Bentleya z dziennikarzami i z tym mężczyzną z blizną pod okiem w tle. Mężczyzną, który zaatakował Brandona Mitchuma. Mężczyzną, który prawdopodobnie zabił Freda Ciancia, Amalię Calderone i Evelyn Pendry.

- O Boże! - Gwendolyn bierze zdjęcie, potem patrzy na mnie. - To on!

Leo wygląda przez przesuwane, szklane drzwi w mieszkaniu Shelly Trotter na parking przed domem. Dochodzi dziewiąta, pora, kiedy ludzie wybierają się do pracy. Słyszy kroki na piętrze poniżej, szurające buty kogoś na drugim piętrze, kto właśnie wychodzi przez swoje przesuwane drzwi i idzie

na dół po schodach. Chwilą później jakaś kobieta odjeżdża. Na parkingu zostaje tylko samochód Shelly Trotter.

Leo przekręca klucz w przesuwanych drzwiach, lecz ich nie otwiera. Szybko zagląda do łazienki, patrzy na ciało Shelly Trotter, a potem wychodzi przez frontowe drzwi mieszkania, idzie w dół wewnętrznymi schodami. Podchodzi do swojego samochodu zaparkowanego na ulicy, wsiada i rusza alejką na parking za budynkiem z czerwonego piaskowca.

Zobaczmy, po czyjej teraz jesteś stronie, panie Riley.

41

- Tak, u diabła, chcę mieć o nim wszystko. Podajcie też jego nazwisko i zdjęcie do wszystkich pierdolonych mediów. Do prasy, telewizji, radia, do Internetu! - McDermott chowa komórkę i patrzy przez okno po stronie pasażera na numery ogromnych willi. Gdy znajduje to, czego szukał, podjeżdża do stalowej bramy. Pokazuje odznakę człowiekowi w budce.
- Pani Bentley mnie oczekuje - mówi.

- Pani Lakę. - Mężczyzna podnosi słuchawkę i gdzieś dzwoni. - Detektywie, proszę pojechać tą drogą i skręcić.

Willa, jak wiele domów bogaczy, stoi na tyłach posiadłości. McDermott powoli mija fontannę i wypielęgowany ogród, jedzie drogą skręcającą przed frontowe drzwi rezydencji.

Nikt nie zasługuje na tyle pieniędzy. Ten dom ma troje frontowych drzwi.

Pod markizą rozciągniętą pomiędzy dwoma filarami stoi ubrana na biało kobieta, z dłońmi złożonymi z tyłu. Wita go ciepło, wydaje się zdziwiona na widok teczek, które McDermott trzyma w rękach.

- Dziękuję, chcę mieć je przy sobie - mówi.

Hol niczym go nie zaskakuje - długa kręta klatka schodowa, żyrandol, antyki. Kobieta prowadzi go do salonu, w którym jest jeszcze więcej starożytnych eksponatów. U McDermotta to żona urzędowała wewnątrz. Wszystko, o co ją prosił, to wygodna sofa.

Mówi, że nie chce się niczego napić, a kobieta zostawia go siedzącego na czymś niewygodnym naprzeciw fortepianu. Chcieli, żeby Grace była muzykalna. Rozmawiali o lekcjach gry na fortepianie. Będzie musiał pociągnąć dalej ten pomysł. Będzie musiał gdzieś znaleźć używane pianino.

I będzie też musiał wytrzasnąć skądś pieniądze, żeby móc sobie na nie pozwolić.

- Detektywie?

McDermott wstaje. Natalia Lakę jest wysoka i wysportowana, ubrana w golf bez rękawów. Jej siwe włosy są gładko przyczesane. Opalona skóra jest nienaturalnie napięta, powieki mają ciemniejszy odcień.

- Proszę mi wybaczyć, ale trochę źle się czuję - mówi. - Nie śpię dobrze podczas nocnych lotów, a wylądowaliśmy dopiero dwie godziny temu. Ledwie zdążyłam wziąć kąpiel.

- Oczywiście - mówi McDermott. - Jaki miała pani lot?

- Dużo turbulencji.

- Jaką linią?

Kobieta mruga powiekami.

- Linią?

- Och, no tak. - Racja. Przecież ma swój własny odrzutowiec.

- Bardzo mi przykro, że byłam nieosiągalna - mówi. - Skróciłam mój pobyt.

McDermott drapie się po nosie.

- Tak, doceniam to. Włochy, prawda?

Pani Lakę siada na sofie naprzeciwko McDermotta.

- Mam przyjaciół w Toskanii, którzy bardzo nalegają, żebym spędzała u nich parę tygodni każdego lata.

- No tak, oczywiście. - McDermott sięga do teczki i wy-

ciąga zdjęcie Harlanda Bentleya i stojącego za nim mężczyzny, którego imię teraz już zna.

- Pani Lake, czy może pani zidentyfikować tego człowieka w tle?

- Bardzo proszę mówić do mnie Nat. Och! - Wzdryga się, prawdopodobnie na widok byłego męża. - Tego w tle? - Wkłada okulary i przygląda mu się ponownie. - Och, czy to Leo? To stare zdjęcie. - Spogląda na McDermotta. - Leo. Leo Koslenko - mówi.

- Wie pani, gdzie on teraz jest, pani Lake?

- Nie, nie wiem. - Potrząsa głową. - Nie widziałam go od wielu lat. Chyba od... od śmierci Cassie.

- I nie rozmawiała pani z nim?

Wpatruje się w niego.

- Och nie - szepcze. - Czy Leo coś zrobił?

McDermott traci pewność siebie, macha ręką.

- Cofnijmy się trochę w przeszłość - mówi. - Kim jest Leo Koslenko?

Pani Lake wzdycha, unosi podbródek.

- W Związku Radzieckim rodzina Leo trzymała się blisko z moją. Miał tam pewne kłopoty i jego bliscy uznali, że prawdopodobnie będzie lepiej, jeśli wyślą go tu, do Stanów.

- Jakiego rodzaju kłopoty?

Lekceważąco potrząsa głową.

- Myślę, że dyscyplinarne. Nie wiem. Jego rodzina prosiła mnie, żebym go przyjęła. I zrobiłam to.

- A kiedy to było?

Akta Koslenki wykazywały, że wyemigrował do Stanów Zjednoczonych w 1986 roku. Ale McDermott chce usłyszeć odpowiedź pani Lake.

- W połowie lat osiemdziesiątych - odpowiada. - Za prezydentury Reagana.

McDermott kiwa głową.

- I zamieszkał tutaj z panią?

- Tak. - Zakłada nogę na nogę. - Pracował u nas. I miesz-

kał tu. - Robi ruch ręką. - To początkowo był dom mojej siostry Mii. Ja mieszkałam po drugiej stronie miasta.

- Tam, gdzie wciąż mieszka pan Bentley.

Uśmiecha się słabo.

- Oboje jesteście zbyt uparci, żeby się wyprowadzić.

- Leo, tak go pani nazwała... Leo tu mieszkał?

- Tak, jest tu budynek, w którym kiedyś była wozownia.

- Mierzy go wzrokiem. Detektyw może sobie wyobrazić, że oczy tej kobiety dokonały już wielu osądów, w większości nieprzychylnych.

- Czy Leo jest o coś podejrzany? Przez telefon wspominali o jakimś zabójstwie.

- O niejednym zabójstwie.

- Niejednym... O mój Boże! - Dotyka twarzy drżącą dłonią. - Leo był wspaniałym chłopcem, ale... No cóż, musiał się leczyć. Myślałam, że sobie poradzi.

- Kiedy ostatni raz pani z nim rozmawiała albo go widziała?

- Och, dość dawno temu. - Odwraca wzrok. - No cóż, Cassie umarła w czerwcu 1989 roku. Niemal natychmiast po tym rozstałam się z Harlandem. Wtedy było... och... było... trochę chaotycznie, łagodnie mówiąc.

Nieobecny wzrokiem przygląda się swoim paznokciom, powoli kręci głową.

McDermott ją obserwuje, ale nic nie mówi. Wie z doświadczenia, że pytania i odpowiedzi najlepiej się sprawdzają, kiedy te drugie są długie.

Natalia Lakę odchrząkuje i opowiada dalej, jakby sprawiało jej to pewną trudność.

- Kiedy od niego odeszłam - mówi cichym głosem - nigdy tam nie wróciłam. Wprowadziłam się tu z moją siostrzenicą Gwendolyn i nie chciałam już, żeby nasz personel pracował u mnie i u niego. Postanowiłam, że Harland ma mieć swoich ludzi, a my - swoich. Chciałam się całkowicie od niego odciąć.

McDermott kiwa głową.

- A Leo?

- Powinien chyba zostać z nami, ze mną - odpowiada. - Ale tego nie zrobił.

- Został u Harlanda?

Natalia zamyka oczy. Dotyka dłonią czoła, przygląda włosy, które i tak są już gładko uczesane.

- Myśli pan pewnie, że powinnam to wiedzieć - mówi. - Myśli pan, że ktoś, kto wziął odpowiedzialność za Leo, powinien dopilnować, by dobrze mu się wiodło...

- Ale pani tego nie zrobiła?

Znów uśmiecha się powściągliwie.

- Po śmierci mojej córki sama ledwie funkcjonowałam przez dobry rok. Miałam problemy z nadużywaniem alkoholu, jeśli jeszcze pan o tym nie wie.

McDermott zaprzecza potrząśnięciem głowy.

- Tak, no cóż. Moja córka była najlepszym antidotum - wdycha i ciągnie dalej bezbarwnym głosem. - Po tym, jak znaleźli Cassie, nie trzeźwiałam przez dwanaście miesięcy. A więc nie, detektywie, nie wiem, co się później stało z Leo.

McDermott coś notuje.

- A może pan mi powie, co się z nim stało? - pyta Natalia.

- Chciałbym to wiedzieć. Czy mogę spytać, jaki był powód pani rozwodu? Tak szybko po śmierci Cassie?

- Tak, może pan spytać. - Sięga do złotej papierośnicy i wyjmuje papierosa. - Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. To jedyny nałóg, na jaki mogę sobie pozwolić. - Zapala papierosa i trzyma go blisko przy twarzy, z wysoko uniesionym łokciem.

McDermott rozkłada ręce.

- Czy to naprawdę takie istotne dla pańskiego śledztwa?

- Być może - odpowiada.

- Trudno mi sobie wyobrazić, z jakiego powodu.

- Pani Lake, w mojej pracy czasem się nie wie, czy coś jest ważne, dopóki się tego nie odkryje.

Kłęby dymu otaczają jej **twarz. Dotyka ust długim pa-**znokciem.

- To trochę wymijające...

- Chciałbym usłyszeć pani odpowiedź. Proszę, spiesz się mi się.

Przez chwilę w milczeniu pali papierosa, jakby próbowała podjąć decyzję, czy ma coś mówić. McDermott uważa, że podejmuje decyzję, w jaki sposób mu odpowiedzieć.

- Mój mąż - mówi - miał nieustanne problemy z docho- waniem wierności.

Nareszcie do czegoś dochodzimy. McDermott myśli o notatce znalezionej w domu Koslenki, ze wzmianką o ro- mansie Harlanda z Ellie Danzinger.

- Chodziło o kogoś konkretnego? - próbuje.

Z powagą strząsa popiół do wymyślnej popielniczki.

- Cały problem tkwił chyba w tym, że nie chodziło o ni- kogo konkretnego.

McDermott wpatruje się w swój notatnik. U góry małej karteczki ma wypisanych kilka głównych punktów, o których zamierzał rozmawiać. Ten wątek pytań wydaje się prowadzić w ślepią uliczkę.

- Pani Lakę, jak dobrze znała pani przyjaciółkę Cassie, Ellie Danzinger?

- Na litość boską! - Zasłania oczy dłonią jak przed świat- łem słonecznym. - Panie McDermott, skoro już pan to wie- dział, mógł mi pan to po prostu powiedzieć i oszczędzić zaże- nowania.

- Mówi pani o Ellie.

Gwałtownie rozkłada ręce, jej twarz szarzeje.

- Cóż, nie o to panu chodziło, kiedy pan tak lawirował? Tak, detektywie, zgadza się. Harland sypiał z najlepszą przy- jaciółką Cassie. Była po prostu kolejną piękną, młodą ko- bietą, której nie potrafił się oprzeć. Proszę mi wybaczyć - do- daje łagodniejszym tonem.

McDermott milczy przez chwilę. Nie potrafi zbyt dobrze

radzić sobie z emocjami, zwłaszcza u kobiet. Ale to jest zbyt ważne, żeby się wycofać.

- Przepraszam, że zadaję te pytania, pani Lake. Próbuję rozwiązać serię morderstw. Morderstw, które wciąż trwają. Ten... romans... Czy rozmawiała pani o tym z Harlandem?

- O Boże, nie! Oczywiście, że nie! - Teraz całym ciałem odwraca się od detektywa. - Harland nigdy by nie chciał, żebym wiedziała o jego przygodach.

McDermott próbuje ją przeczekać, a gdy Natalia milknie, odzywa się:

- W takim razie jak...

- No cóż, Cassie, oczywiście.

Zapisuje kolejną informację. Robi się ciekawie. Cassie wiedziała, że Harland sypia z Ellie.

- Muszę wiedzieć, kiedy to było, pani Lake. Kiedy córka powiedziała pani o panu Bentleyu i o Ellie? Kiedy to było?

Natalia stoi przy oknie, podpira dłonią łokieć, trzyma przy nosie palącego się papierosa.

- Chodzi panu o to - pyta - czy to było mniej więcej w tym czasie, kiedy umarła Cassie?

- Tak. Chciałbym to wiedzieć.

- Tak, to było w tamtym roku szkolnym. Niecały miesiąc przed tym... przed tym, jak umarła. - Odwraca się i patrzy na detektywa. Mówi opanowanym, wściekłym tonem, przez zaciśnięte zęby. - Jedną z ostatnich rzeczy, jakich dowiedziała się moja córka, było to, że jej ojciec miał... miał intymne stosunki z jej najlepszą przyjaciółką. Rozumie pan, dlaczego po śmierci Cassie nie mogłam już z nim być?

Oczy pani Lake płoną wściekłością, usta wykrzywia gniew.

McDermott coś notuje. Z gardła Natalii wydobywa się bolesny dźwięk. Z rozpaczą opuszcza głowę.

- Jeśli pani pozwoli, zapytam o Cassie - mówi.

Natalia cicho płacze. Detektyw myśli o swojej córce Grace i o tym, że cierpienie dziecka jest dla rodziców jeszcze bolesniejsze niż własne.

- Jedna z niedawnych ofiar wypytywała o pani córkę. Myślimy, że być może to właśnie stało się przyczyną jej śmierci. To dlatego zadaję te pytania.

Natalia wciąż nie jest w stanie wydobyć z siebie słowa. Pokazuje gestem, żeby mówić dalej.

- Czy Cassie leczyła się w Sherwood Executive Center? To taki budynek w Sherwood Heights, przy...

- Tak - odpowiada zachrypniętym głosem, ciężko oddychając. - Tak, tam się właśnie leczyła. Dlaczego pan pyta?

Jednym z największych problemów w takich rozmowach jest to, że tak naprawdę nie są rozmowami. Jego praca nie polega na odpowiadaniu na pytania.

- Proszę pani, czy Cassie była w ciąży?

Pozory opanowania, które udało się zachować Natalii, teraz opadają. Zakrywa twarz dłońmi i płacze. McDermott odwraca wzrok, czując się jak intruz, ale jednocześnie doświadcza gwałtownego skoku adrenaliny.

- Proszę pani? - To ta kobieta ubrana na biało stoi na progu pokoju i kołysze się na palcach u nóg. Natalia wyciąga rękę, potrząsa głową. Odzyskuje panowanie nad sobą.

- Nic mi nie jest, Marto. Dziękuję.

Kobieta znika.

- Bardzo pana przepraszam - mówi Natalia.

- Nie trzeba. Ja też mam dziecko. Też nie chciałbym, żeby ktoś naruszał prywatność mojej córki, ale... Pani Lake... Wtedy działo się coś dziwnego. Wygląda na to, że ktoś wlał się do tego budynku. Człowiek ten teraz nie żyje. Kobieta, która o to wypytywała, też nie żyje. I proszę pani... Z tego, co wiemy, Cassie nie była w ciąży, kiedy... kiedy umarła.

W pokoju robi się cicho. McDermott słyszy dźwięki, które - jak mu się wydaje - dochodzą z kuchni. Podzwaniające talerze i garnki, woda płynąca z kranu. Lepiej nie naciskać w tej sprawie - postanawia. Lepiej poczekać, aż Natalia ochłonie.

Pani Lake bierze głęboki oddech.

- Dobrze, detektywie. - Kiwa głową. - Dobrze, ale chcę, aby pan mi obiecał, że ta informacja pozostanie poufna, chyba że naprawdę będzie pan musiał jej użyć. - Spogląda na niego. - Czy może mi pan to obiecać?

- Oczywiście, pani Lakę. Jako policjant i jako ojciec.

Nienawidzi składać obietnic, których nie dotrzyma.

- Dobrze. - Znów widać, że przez chwilę walczy ze sobą, jakby jeszcze raz się nad tym zastanawiała. Ale już udzieliła McDermottowi odpowiedzi.

- Tak - mówi. - Cassie była wtedy w ciąży. I ma pan rację, że nie była w ciąży, kiedy umarła. Poddała się temu zabiegowi - dodaje zdawkowo, uprzedzając kolejne pytanie. - Ale dowiedziałam się o tym dopiero, kiedy było po wszystkim. Cassie powiedziała mi o tym, gdy już to zrobiła. Bo wiedziała, że bym jej to wyperswadowała.

- A kto...?

- Nie wiem, kto był ojcem. Nie byłoby przesadą, gdybym stwierdziła, że próbowałam to z niej wyciągnąć. Tak naprawdę to chyba za bardzo skupiałam się na tej kwestii, a za mało na tym, jaki to wszystko miało wpływ na moją córkę. I to jest coś, z czym muszę teraz żyć.

McDermott jeszcze raz myśli o tej notatce znalezionej w domu Koslenki. Ze wzmianką o profesorze Albanym i o Cassie. Tym razem nie podsunie jej nazwiska, tak jak to zrobił z Ellie.

- Może jakieś przypuszczenia. Chłopak czy ktokolwiek inny?

- Nie chciała mi nic o tym powiedzieć. Kategorycznie odmówiła. Bardzo chroniła tę osobę.

McDermott obserwuje wyraz jej twarzy.

- Ale...?

Natalia patrzy mu w oczy, znów wzbiera w niej gniew.

- Oczywiście, miałam pewne podejrzenia. Wydawało się, że ma raczej dość nietypowy związek z jednym z wykładowców.

McDermott wzdryga się. Natalia dostrzega tę reakcję.

- Wie pan o tym, prawda? - śmieje się gorzko. - Po raz kolejny pyta mnie pan o coś, co już pan wie. Tak robicie. Mówicie ludziom...

- Pani Lakę, proszę posłuchać. - McDermott unosi rękę. - To bardzo ważne, żebym ja usłyszał tę informację od pani, a nie na odwrót. Na pewno pani to rozumie. Proszę po prostu podać mi nazwisko.

- Ten, który zeznawał na procesie - mówi Natalia. - Pan Albany.

Gdy Gwendolyn Lakę przepasza i idzie do toalety, wyciągam komórkę i dzwonię do Mike'a McDermotta. Odzywa się jego poczta głosowa. Zostawiam mu niejasną wiadomość, że muszę natychmiast z nim porozmawiać.

Teraz już go zidentyfikowaliśmy. To ten tajemniczy „Leo”. Związany z rodziną Bentleyow, pojawiający się w tle na tym zdjęciu Harlanda w otoczeniu dziennikarzy.

Gwendolyn wraca z toalety i opada na krzesło naprzeciwko mnie.

- Czy to on popełnia te przestępstwa? - pyta. - Proszę mi powiedzieć.

- Leo? Tak sądzę - przyznaję.

Gwendolyn wydaje z siebie jęk.

- On chyba był... nie do końca sobą... Psychiczenie. - Wpatruje się w stół. - Nie miałam zbyt wielu kontaktów z personelem, ale on wydawał się... trochę dziwny. Wie pan, wpatrywał się w kogoś albo coś mamrotał do siebie. Moja matka kiedyś wspomniała, że miał jakieś problemy w Rosji.

- W Rosji?

- Ach tak. Był imigrantem. Wydaje mi się, że jego rodzina stamtąd znała rodzinę mojej matki. Moja babka była w Rosji tancerką...

- Tak, wiem o tym.

- Tak. I wydaje mi się, że jego rodzina zwróciła się do

nas, aby mógł z nami zamieszkać. Poprosiła nas o przysługę.

- A jakiego rodzaju problemy miał w Rosji ten Leo?

Potrząsa głową.

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy zamieniłam z nim choćby dwa słowa. Ale Cassie... Ona była inna. Personel ją uwielbiał.

Myślami przebiegam przez wszystkie punkty, które chcę poruszyć. Gdy ostatnim razem rozmawiałem z Gwendolyn, niezbyt dokładnie ją przepytalem. Miałem trochę czasu, żeby to przemyśleć, i teraz chciałbym zapytać o wszystko.

Mija nas kelnerka niosąca cholesterolową bombę, smażone ziemniaki w plasterkach i ociekające tłuszczem jajka na bekonie. Zapach smażonego jedzenia sprawia, że żołądek ścisną mi się w węzeł.

- Gwendolyn zaczynam - gdzie Cassie chodziła do lekarza?

- Do lekarza? Nie mam po... Nie, nie, chwileczkę - mów, zatrzymując się na tych słowach. Prawdopodobnie w to samo miejsce, gdzie ja. Mój lekarz nazywał się Sor... Chyba Sorenson? Tak, doktor Sorenson. - Kiwa głową. - Tak, doktor Sorenson był moim internistą. Kiedy przyjeżdżałam do Stanów, zazwyczaj chodziłam do niego na badania.

- Gdzie miał gabinet doktor Sorenson?

- Och - wzdycha. - To było w którymś budynku w sąsiednim mieście.

- W Sherwood Executive Center?

Wzrusza ramionami.

- Nie mam pojęcia, jak się ten budynek nazywał.

- Przy Lindsey Avenue? W Sherwood Heights? Budynek z cegły?

- Tak. - Jej wzrok błądzi. - Zgadza się, Lindsey. To było Mercy Group albo coś takiego. Jakiś dziesięcio- czy dwunastopiętrowy budynek. - Znow patrzy na mnie. - Dlaczego pan pyta?

- Być może policja będzie chciała porozmawiać z lekarzami Cassie.

Kelnerka dolewa jej kawy. Gwendolyn uśmiecha się do niej. Ja sam ledwie tknąłem moją, bo jest słaba -jak te, które pijam w pracy.

Rozsiadam się wygodniej na krześle i próbuję to wszystko przetrwać. Wygląda na to, że Cassie łączyło coś z profesorem Albanym. Dziewczyna była w ciąży. Musiała ją potem przerwać. Jej lekarze pracowali w tym budynku w Sherwood Heights, do którego przeniósł się Fred Ciancio w tym samym tygodniu, kiedy popełniono morderstwa.

- Musisz się z tym zgłosić na policję - mówię.

Kiwa głową, choć widzę, że ta perspektywa jej nie zachwyca.

- Zatrzymasz się tu u Nat?

Wydaje się zaskoczona tym pytaniem.

- Dopiero co przyjechałam do miasta. Planowałam wracać do siebie.

- Porozmawiaj z detektywem McDermottem. - Wyjmuję wizytówkę i na odwrocie zapisuję numer jego komórki i mojej. - Nie wyjeżdżaj nigdzie daleko, Gwendolyn - mówię.

Drżącą ręką Natalia podpisuje formularz zgody i podaje go McDermottowi.

- Dziękuję, pani Lakę.

- Ufam, że powiadomi mnie pan, co z tego wynikło. - Jej oczy szukają czegoś w jego twarzy. McDermott zbyt wiele razy widział już to spojrzenie. Rodziny ofiar oczekują, że policjant powie im, że wszystko będzie dobrze, że jeśli zamkną oczy i się pomodlą, ich bliscy do nich wrócą.

- Oczywiście - ujmuję jej chłodną dłoń i trzymam ją trochę dłużej niż zwykle.

Gdy kieruje się w stronę drzwi, Natalia chwytam ją za ramię. Odwraca się i patrzy na nią. Wygląda, jakby ta rozmowa ją postarzała. Opanowaną, dystygowaną kobietę zastąpiła

zrozpaczona matka pogrążona we wspomnieniach, które powróciły z całą siłą.

- Myśli pan, że dlatego to się teraz dzieje? Z powodu aborcji Cassie? Że ktoś próbuje to zatuszować?

McDermott daje jej to, co może - ugodowy wyraz twarzy i ogólnikowe słowa pocieszenia. Nie zna odpowiedzi. I pod wieloma względami nie zależy mu na tym. Nie jest tu po to, żeby rozwiązać sprawę sprzed szesnastu lat.

Jest tu po to, żeby znaleźć Leo Koslenkę.

Znów w mieszkaniu Shelly Trotter. Leo ponownie zasuwa szklane drzwi i ściera pot z czoła. Przez chwilę odpoczywa, próbuje zaczerpnąć powietrza. Co zrobić najpierw?

Odwraca się i zagląda do salonu, gdzie w sportowej torbie leży piła łańcuchowa. Potem zerka na zegarek.

Wkrótce. Już wkrótce.

42

McDermott wchodzi na posterunek - właściwie prawie wbiega. Powers podchodzi do niego i mówi:

- Oświadczenia pod przysięgą leżą na twoim biurku. Albany będzie tu za chwilę.

Detektyw sprawdza komórkę. Odsłuchuje wiadomość od Rileya.

- My też szukamy Harlanda Bentleya. Ta federalna to do ciebie? - Pokazuje gestem w stronę biurka McDermotta. - Ma strasznie niewyparzoną gębę.

Detektyw pozwala sobie na uśmiech. To prawda.

- Hej, Mickey! - Agentka specjalna Jane McCoy wstaje z krzesła i mruga do niego.

- Mickey?

- Tak, wymyśliłam ci nową ksywę.

- A co? Zastraniec już ci się znudził? Co tam u antyterrorystów?

- Interes kwitnie. Możemy gdzieś pogadać?

Gliniarze i agenci FBI zazwyczaj nie przepadają za sobą. Jednak wiele lat temu, gdy McDermott był młodym detektywem, a McCoy była zatrudniona w wydziale do spraw narkotyków, współpracowali podczas dużej obławy na gang uliczny z zachodniej dzielnicy miasta.

Teraz McCoy jest w wydziale antyterrorystycznym i jedyną federalną, jaką zna. W pracy ma ściśle kontakty z wydziałem imigracyjnym, więc zadzwonił do niej w tej sprawie.

Siedzą w tej samej sali konferencyjnej, którą przejął dla siebie McDermott. Pełno tu informacji o Terry'm Burgosie. McCoy, która zawsze wszystko zauważy, przełyka to bez komentarza.

Rzuca teczkę na biurko.

- To jest oryginał tego, co mamy o Leonidzie Koslence. Nie powinieneś tego widzieć. Skopiuj, co chcesz, a potem mi wszystko oddaj.

McDermott bierze szarą teczkę i kiwa głową.

- Dzięki, Jane.

- Ten facet z agencji imigracji i służb celnych, który zajmował się Koslenką, przeszedł na emeryturę dziesięć lat temu. Potem trzymali go w ogólnej puli.

Detektyw potrząsa głową. Nie rozumie.

- To znaczy - mówi McCoy - że skoro przebywał w kraju przez dziesięć lat bez żadnego incydentu, nie przydzielono nikogo konkretnego, kto by się nim zajmował. Wygląda na to, że teraz warto mu się przyjrzeć.

- Słuszna uwaga. - McDermott uśmiecha się do niej.

- Mówisz teraz jak federalny, Mickey. Przerazasz mnie. - Odgarnia za ucho kręcone włosy i patrzy na niego o moment za długo. Potem mruży oczy i poważnieje. - Leonid Koslenko urodził się w 1967 roku w bogatej rodzinie w Leningradzie. W 1982 roku, kiedy miał piętnaście lat, wysłali go do

szpitala w Lefortowie. Wypuścili go niemal dokładnie dwa lata później.

- Do szpitala? Chodzi o szpital psychiatryczny?

Wzrusza ramionami.

- Szpital, więzienie... W Związku Radzieckim trudno czasem było to rozróżnić. Ale kartoteka wykazuje, że rzeczywiście był chory umysłowo.

- Dobra. Ale wypuścili go po dwóch latach? - McDermott wzdyga się. - Co? Wyleczyli go?

McCoy podziela jego odczucia, unosi jeden kącik ust.

- Zdiagnozowano u niego „postępującą schizofrenię paranoidalną”.

- To znaczy?

- Z tego, co wiem, to absolutnie nic nie znaczy. Zrozum, w tamtych czasach zamykali w Rosji dysydentów politycznych, chrześcijan, wszelkiego rodzaju ludzi, których nie chcieli w społeczeństwie. Ale nie trzymali ich w więzieniach. Wsadzali do wariatkowa.

McDermott się krzywi. Kiedyś też używał takich zwrotów.

- Wystawiali lipne diagnozy, takie jak „postępująca schizofrenia”, i trzymali ich tak przez całe lata.

To ma sens. Ale różnica polega na tym, że tutaj, w Stanach, lekarze również zdiagnozowali schizofrenię paranoidalną. McDermott mówi o tym McCoy.

Agentka wzrusza ramionami.

- Może rzeczywiście był we właściwym miejscu. Tak czy inaczej w 1986 roku uciekł ze Związku Radzieckiego i zwrócił się z prośbą o azyl w Stanach Zjednoczonych. Pomogli mu rodzice. No i użył wymówki. Powiedział, że był prześladowany za przekonania polityczne i religijne i że dlatego się działo w Lefortowie. Najwyraźniej prawnicy z górnej półki, którzy mu pomogli, przekonali nasz rząd, że mówił prawdę. No i tu mam dla ciebie bombę. Będiesz zachwycony, jak się dowiesz, kto mu pomógł tutaj, w Stanach.

McDermott nie musi zgadywać. Ale po co psuć jej zabawę.

- Harland Bentley - oznajmia McCoy. - Ten Harland Bentley. I jego żona Natalia.

Detektyw kiwa głową.

- Jak widzę, nie zaskoczyłam cię - wnioskuje McCoy.

- Tą akurat wiadomością? Nie, Jane. Trafił do tego szpitala w 1982 roku. Wydostał się stamtąd w 1984. W 1986 przekroczył granice Związku Radzieckiego i przyjechał do Stanów.

McCoy milczy.

- Co się wydarzyło w ciągu tych dwóch lat? Między osiemdziesiątym czwartym a osiemdziesiątym szóstym?

Uśmiecha się, ale tylko przez chwilę.

- To za to płacą ci tę grubą kasę, Mickey. - Pochyla się do przodu i dotyka teczki, którą mu dała. - I to właśnie dlatego nie powinieneś mieć tych akt.

Po rozmowie z Gwendolyn wracam do biura. McDermott wciąż jeszcze się do mnie nie odezwał. Znow przeoglądam listy, teraz rozłożone na moim biurku. W ciągu ostatnich kilku dni robiłem to już dziesiątki razy, ale jestem pewien, że wciąż coś mi umyka.

Pierwszy:

Zło nowe oto widzę. U pogan oczywiście te rzeczy, znane efekty, będą niezbyt adekwatne. Misterna intuicja. Pana odpowiedź musi okazać cel.

Drugi:

Boleję i odejdę. Rozpacz echem drży, rozrywa. Uczucia grają, ale zapamiętałe wołam. Radość oczyszczenia trudna. Kolejny emisariusz cierpi zawsze. Ale sama wiedza, rozumienie oczekują bezwarunkowej i czulej akceptacji. Lecz bezwarunkowa absolutna nostalgia echem grzmi. Odejdę.

Trzeci:

Inni natchnieni nadali istnieniu znaczenie. Niewierni atakują. Jesteśmy armią. Nasz atak skutki zapewni, spalając etycznych krętaczy. Rozbrzmiewa echo trąb.

Pierwszy list ma przynajmniej jakiś sens. Sprawca pisze o powiązaniu między jego zbrodniami a morderstwami popełnionymi przez Terry'ego Burgosa. Wydaje mi się, że trzeci też nie jest całkiem pozbawiony sensu. *Nasz atak skutki zapewni, spalając etycznych krętaczy.* Spalając etycznych krętaczy? Wydaje się to jakieś niezręczne, wymuszone.

Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej zgadzam się ze Stoletti co do drugiego listu. Dobór słów jest dziwaczny. W niektórych momentach kompletnie bez sensu.

Radość oczyszczenia trudna.

Ale sama wiedza, rozumienie oczekują bezwarunkowej i czulej akceptacji. Lecz bezwarunkowa absolutna nostalgia echem grzmi.

Po co wstawił drugi raz „bezwarunkowy”? Po co dwa razy użył tego słowa?

Może... może tych listów nie należy traktować dosłownie? Oczekujemy od kogoś, kto kontynuuje krucjatę Burgosa, że będzie psychicznie chory, tak jak sam Terry. Że też będzie pełen jakiegoś patologicznego, religijnego zapału. Te listy są tego oznaką.

Ale może kryje się w nich coś więcej? Może pisane są jakimś kodem?

Wyjmuję luźną kartkę papieru i bawię się słowami, próbując doszukać się w nich czegokolwiek. Czytam co drugie słowo. Co trzecie. Nie dostrzegam żadnego wzorca. Próbuję skupić się na dodatkowych wyrazach, na tym, co mogą oznaczać. I znowu nic. Ale wciąż nie mogę pozbyć się wrażenia, że niektóre z tych słów wyglądają tak, jakby nie pasowały do reszty. Nie tylko powtórzone wyrazy, ale takie słowa, jak *grzmieć*, zdania takie, jak *radość oczyszczenia trudna*.

Wymuszone.

Czemu potrzebował akurat tych konkretnych słów? Jaka rolę odgrywały w jego kodzie?

Chwileczkę. Chwileczkę.

Sięgam po długopis, próbując sprawdzić moją teorię. Gdy zaczyna się krystalizować, czuję, jak serce wali mi w piersiach. Wybrał takie, a nie inne słowa, bo potrzebował wyrazów zaczynających się na konkretną literę. Wybrał „misterny”, bo potrzebował M.

Wypisuję pierwsze litery z każdego słowa z pierwszego listu.

Z-N-O-W-U-P-O-T-R-Z-E-B-N-A-M-I-P-O-M-O-C

Jezu Chryste!

Znowu potrzebna mi pomoc.

Drugi list:

B-I-O-R-E-D-R-U-G-A-Z-W-R-O-T-K-E-C-Z-A-S-W-
R-O-B-I-C- A-L-B-A-N-E-G-O

Biorą drugą zwrotką. Czas wrobić Albany'6go.

Trzeci list:

I-N-N-I-Z-N-A-J-A-N-A-S-Z-S-E-K-R-E-T

Inni znają nasz sekret.

Pisał te listy do mnie. Znowu potrzebuje mojej pomocy.

Teraz wrobi Albany'ego. Inni znają nasz sekret. *Nasz sekret?*

Potrzebuje *mojej* pomocy? *Znowu*”? Co to wszystko, u diabła, ma znaczyć?

Już czas. Teraz.

Leo podchodzi do okna wychodzącego na ulicę. Po drugiej stronie, jakieś osiem domów dalej, kobieta pokazuje paru mężczyznom nieruchomość. Przy ulicy zaparkowana jest cię-

żarówka FedEksu. Dwie Latynoski z małymi dziećmi spacerują chodnikiem. Jedzą gotowaną kukurydzą z masłem i solą. Leo zakłada plastikowy kitel, zawiązuje go na szyi i na plecach. Potem podchodzi do wieży stereo. Stoi na niej oprawiona w ramki fotografia Shelly Trotter i Paula Rileya w parku. Machają do obiektywu. Leo macha im w odpowiedzi.

Cześć, Paul? Wiesz, co zaraz zrobię?

Płyta CD, która już jest w wieży, to klasyczna muzyka fortepianowa. Leo czeka chwilę, zamyka oczy, słucha dźwięków wydobywanych przez wdzięczne, uduchowione dłonie Horowitza. Katrina też grała, chociaż oczywiście nie tak pięknie. Jej młode, niedoświadczone ręce niezręcznie uderzały w klawisze. Uczyla ją matka. Chciała też uczyć Leo, ale ojciec się na to nie zgodził. Mężczyźni nie mają w życiu czasu na takie trywialne zajęcia - powiedział. Ale Leo tak bardzo zazdrościł Kat i był pewien, że będzie dalej grać przez wiele lat, bo to był jeden z wielu sposobów dręczenia młodszego brata. Pokazywała mu, że ma nad nim przewagę. Och, nie dostrzegali tego u Kat. Nawet potem nie widzieli, jak na wiele sposobów ich wszystkich zwodziła i manipulowała całą rodziną. Nie zauważali jej zdradliwości, zła w duszy. Aż w końcu nadeszła jego chwila, tam, na łodzie, kiedy się pośliznęła i wreszcie miał nad nią przewagę. Nie mogła utrzymać równowagi na tych swoich łyżwach, a on upadł na nią, wcisnął kciuki w jej gardło i tak płakał, chociaż nie dała mu wyboru... Tylko on miał odwagę, żeby to zrobić. I jest pewien, że matka i ojciec wiedzieli... wiedzieli gdzieś w zakamarkach umysłu, że był dzielny, mądry i sprawiedliwy. Wiedzieli, chociaż odesłali go do Lefortowa...

Otwiera oczy. Reguluje fonię, tak żeby muzyka Horowitza była bardzo głośna, ale nie ogłuszająca. Potem wchodzi do łazienki.

Jej nagie ciało jest zwinięte w kłębek, wepchnięte poziomo do wanny. Zastanawia się nad tym przez chwilę, potem łapie ją za kostki i wysuwa nogi poza krawędź wanny. Teraz

leży na plecach, patrząc pustymi oczami w sufit. Ma złamany nos. I kark. Poza tym jest piękna.

Leo włącza piłę łańcuchową. Gwałtowny warkot silnika zagłusza muzykę.

McCoy robi wstęp do tego, co ma zamiar zaraz powiedzieć. Nie ma co do tego pewności. Rząd miał pewne podejrzenia, ale nigdy nie zostały potwierdzone.

- Po upadku Związku Radzieckiego - wyjaśnia - dowie dzieliśmy się o nich wielu rzeczy. Niektóre należały już do historii. O innych nie można było tego powiedzieć. Nazwisko Koslenki pojawiło się raz, w jednym ze sprawozdań. To wszystko.

McDermott niecierpliwie kiwa głową.

- Co robił Leo Koslenko od 1984 do 1986, Jane?

McCoy odchrząkuje.

- Słuchaj Mike, to nie moja działka. Ale potrzebowałeś tego natychmiast, więc spróbuję. - Milczy chwilę. - Istnieje coś, co nazywano Trzynastym Wydziałem. Był on częścią ra dzieckich służb bezpieczeństwa, KGB, i zajmował się czymś, co nazywali działaniami wykonawczymi. W 1993 roku do wiedzieliśmy się od byłego szpiega, że Leonid Koslenko mógł zostać zwerbowany z Lefortowa do Trzynastego.

McDermott przez długą chwilę wpatruje się w nią w milczeniu.

- Są pewne podejrzenia - ciągnie McCoy - że to właśnie dlatego siedział w Lefortowie tylko dwa lata. W Związku Radzieckim istniała praktyka rekrutowania ludzi ze szpitali psychiatrycznych i z zakładów karnych. Używali ich do działań wykonawczych.

McDermott unosi brew.

- A działania wykonawcze to...?

- Mokra robota. Uprawdzenia, bicie, torturowanie - mówi McCoy. - Być może morderstwa. Ogólnie przemoc. Głównie na ich terenie. Nierzadko się zdarzało, że wykorzy-

stywali kogoś z zakładu psychiatrycznego, kto miał wymagane zdolności, a po skończonej robocie znów go tam odsyłali. Gdyby taki człowiek próbował o tym mówić, mieli proste wyjaśnienie, że jest stuknięty. Można go było łatwo zdyskredytować. Kto uwierzy w brednie jakiegoś świra?

McDermott odwraca wzrok. Znow próbuje zignorować jej uwagę.

- O cholera! - McCoy zasłania ręką twarz. - Mike, tak mi przykro. Nie chciałam...

- Daj spokój! - Szybko wstaje z krzesła i odwraca się do niej plecami.

- Jestem taką idiotką, Mike. Jak... jak tam Grace?

Detektyw nie odpowiada. To nie jest właściwa pora na myślenie o córce. McCoy jeszcze raz rzuca jakieś przekleństwo skierowane do samej siebie, jeszcze raz próbuje przeproszać, podczas gdy McDermott zastanawia się nad informacjami, które dopiero co usłyszał. Myśli o tym, co znaleźli w piwnicy Koslenki. Ogromna dokumentacja dotycząca Bentleyów i Paula Rileya oraz Terry'ego Burgosa, zdjęcia prostytutki.

- Chcesz mi powiedzieć - odzywa się powoli - że Leo Koslenko był sowieckim agentem?

- Użyłam czasu przeszłego, Mike. Nie ma już Sowietów. I mówię, że „może”. Posłuchaj. - Rozkłada ręce. - Nie mówimy tu o facecie, który mógłby wyeliminować cel ze stujardów. Nie mówimy o facecie, któremu można by powierzyć tajemnice państwowe. Ale spora część tego, co robiło KGB, wcale nie była tak wyrafinowana. Chodziło po prostu o utrzymanie w ryzach dysydentów. No wiesz, zaciągnąć ich na jakieś przyjazne, rządowe tortury. Obudzić ich szarpaniem w środku nocy i przypomnieć, że władze wiedzą, gdzie mieszkają.

McDermott spuszcza głowę.

- A ja mówię o facecie, który potrafi poradzić sobie z zamkniętymi drzwiami. Który umie wchodzić i wychodzić bez

śladu. O facecie, który **wie, jak torturować, żeby wyciągnąć** informacje.

McCoy kiwa głową.

- Byłby świetnym kandydatem. Był chory psychicznie, więc z łatwością mogliby wszystkim zaprzeczyć. Po prostu wbijali mu do głowy jakąś myśl, nakręcali i puszczaali w świat.

Wbijali mu do głowy jakąś myśl, nakręcali i puszczaali w świat.

- Ta rozmowa nigdy nie miała miejsca - przypomina mu McCoy. - Mówię serio.

Racja. Rząd nie chce się przyznać, że wpuścił do kraju psychopata. McCoy mówi mu, że to nie ma prawa wydostać się na zewnątrz. To dlatego przyszła do niego osobiście, aby mu o tym powiedzieć, i dlatego musi mu odebrać oryginały akt. Nikt nie zamierzał mu o tym wszystkim mówić. Gdyby to się wydało, McCoy mogłaby stracić pracę.

- A więc Sowietci nauczyli tego gościa, jak torturować i zabijać, a potem przysłali go tutaj?

- Z tego, co słyszałam - odpowiada McCoy - rodzina Koslenki miała duże wpływy w rządzie. Domyślili się, co się z nim dzieje, i go stamtąd wydostali. Rozegrali to tak, jakby był jakimś politycznym dysydem, niesłusznie oskarżanym o chorobę psychiczną, żeby go uciszyć. I jak już wiesz, miał też pomoc tutaj.

- Świetnie. To naprawdę budujące.

- Słuchaj, Mike, wszystkie te rzeczy wypłynęły dopiero w latach dziewięćdziesiątych i nawet wtedy nie mogliśmy nic udowodnić. I posłuchaj. Z tego, co wiemy, odkąd tutaj przyjechał, ten facet był dobrym obywatelem.

Dobrym obywatelem. Dobrym obywatelem - przynajmniej do czasu, gdy ktoś wbił mu do głowy jakąś myśl, nakręcił go i puścił w świat.

McDermott stoi w sali konferencyjnej, opiera głowę o ścianę.

- Myślę. Oto co robię. Myślę - mówi, zanim Stoletti zdążyła zapytać.

- Jest tu profesor Albany, Mike. Co ci powiedziała ta federalna?

Detektyw streszcza wszystko partnerce. Ta siada i słucha. McDermott przypomina na koniec, że nikt nie może się o tym dowiedzieć.

- McCoy naraża własny tyłek, mówiąc mi o tym.

- Pacholek KGB - stwierdza Stoletti. - O Jezu!

McDermott odpycha się od ściany.

- To wyjaśnia jego biegłość. Mamy tu do czynienia z profesjonalnie wyszkolonym schizofrenikiem.

Jeden z detektywów, Williams, wsuwa głowę do pokoju.

- Mike, Paul Riley dzwoni.

- Dobra, powiedz mu...

- Mówi, że to pilne, Mike - upiera się Williams. - Chyba powinieneś jednak odebrać.

- Ten facet ze zdjęcia nazywa się Leo Kostenko. - Riley wyjmuje zdjęcie, wskazując na faceta w tle. - Był imigran-tem, pracował dla Bentleyów.

McDermott tak do końca nie wie, jak to rozegrać. Jest na to nieprzygotowany, i to pod każdym względem. Ubiegłej nocy nawet nie zmrużył oka i odczuwa tego skutki. Nie jest w stanie jasno myśleć, ma brudne ubranie, ciężkie powieki. Może powinien udawać zaskoczenie, ale ani on, ani Stoletti nie mają już na to sił.

Tak czy inaczej Riley nie jest głupi, potrafi odczytać ich wyraz twarzy.

- Wiecie o tym - mówi.

- Właśnie się dowiedzieliśmy. Parę godzin temu zrobili-

śmy nalot na jego dom. - McDermott z uznaniem kiwa głową w stronę Paula. - Tak jak mówiłeś, zostawił odciski palców na drzwiach Brandona.

- On ma kartotekę - mówi Riley. W przeciwnym razie odciski palców byłyby bezużyteczne. Czeka na dalsze szczegóły, ale dwójka detektywów milczy.

- Opowiedz nam o tej Gwendolyn Lake - odzywa się Stoletti.

Brandon Mitchum też o niej wspominał ubiegłej nocy.

Riley mówi, co wie. Kuzynka Cassie, osierocony, rozwiedzony dzieciak, latający odrzutowcem po całym świecie, obracający się wśród sławnych i bogatych. Oznajmia, że wczoraj odwiedził ją pod miastem, a dziś rano spotkał się z nią po raz drugi. Opowiedziała mu o Koslence, który prawdopodobnie miał fioła na punkcie Cassie i mógł być nieźrównoważony psychicznie. Gwendolyn mówiła, że córka Bentleya miała romans z profesorem Albany i że była w ciąży na krótko przed śmiercią.

- Ktoś włamał się do tego ośrodka medycznego, żeby ukraść dokumenty potwierdzające tę ciążę - wnioskuje Riley. - Albo tę aborcję. Albo jedno i drugie. To musiał być Albany, prawda?

McDermott wciąż jest powściągliwy, nie daje mu nic w zamian. Teraz wie o tym wszystkim, a nawet więcej. Wie, że Leo Koslenko ma fioła na punkcie zabijania prostytutek albo dziewczyn wyglądających jak prostytutki, tak jak w przypadku tej kobiety w sklepie z artykułami przemysłowymi. Wie, że Koslenko miał w szufladzie w sypialni list, niewątpliwie napisany do profesora Albany'ego, prawdopodobnie jeszcze w czasie tamtych morderstw, w którym ktoś grozi mu, żeby milczał o romansie Ellie Danzinger i Harlanda Bentleya.

Czy Riley wie o tym, że Harland Bentley sypiał z Ellie Danzinger?

Kiedy Paul kończy, McDermott zerka na Stoletti. Oboje

zastanawiają się, co z nim zrobić. Czy podzielić się swoją wiedzą? Czy Riley jest po ich stronie?

To niemożliwe, żeby Riley zabił tych ludzi. Jakkolwiek by na to spojrzeć, to Koslenko wygląda na sprawcę. Jednak - używając słów McCoy - ktoś go nakręcił i wypuścił w świat, a tożsamość tej osoby to sprawa szczególnie interesująca. Harland Bentley wygląda na niezły strzał, ale Riley pracuje dla Bentleya.

Wygląda na to, że Paul uratował Brandonowi Mitchumowi życie, ale z drugiej strony być może wiedział, że Koslenko tam idzie.

McDermott zastanawia się nad tym. Niewykluczone, że Riley wie, co się dzieje, ale nie może o tym powiedzieć, bo musi bronić interesów swojego klienta albo coś w tym stylu. Może próbuje powstrzymać te morderstwa, pozostając lojalnym wobec Bentleya?

- Myślisz, że to Albany maczał w tym palce? - pyta. - Sądziś, że teraz zabija tych ludzi, bo nie chce, aby ktokolwiek wiedział, że pieprzył Cassie Bentley?

Rozdrażniony Riley wzrusza ramionami.

- A jakie może być inne wyjaśnienie tego wszystkiego?

McDermott wybucha urywanym śmiechem.

- Nie przychodzi ci do głowy żaden inny motyw?

- Podaj mi lepszy - mówi Paul z wyzwaniem w głosie.

Detektyw uśmiecha się do niego. Jeszcze nic nie robi.

Przynajmniej na razie.

- No to opowiedz mi o tych listach, o tym kodzie.

W myślach McDermott przeklina własną głupotę. Te listy zawierały jakiś kod? Nawet go nie szukał. Myślał, że to brednie jakiegoś szaleńca, i to wszystko.

- Wykorzystywał pierwszą literę każdego słowa. - Riley wyciąga kopie listów, które otrzymał, i rozkłada je na stole w sali konferencyjnej. - To dlatego wydają się takie bez sensu. Są bez sensu. On potrzebował słów zaczynających się na konkretną literę, tak jak podejrzewała Stoletti.

- O cholera! - McDerrhott klaszcze w dłonie. - Na drugim liście były wgniecenia. Próbował wymyślić jakieś słowa zaczynające się na N i E. Chodziło mu o pierwszą literę. Jezu! - patrzy na to, co rozszyfrował Riley.

ZNOWU POTRZEBNA MI POMOC.
BIOREŃ DRUGĄ ZWROTKĘ. CZAS WROBIĆ
ALBANY'EGO.
INNI ZNAJĄ NASZ SEKRET.

- Niech to szlag! - McDermott wściekle potrząsa głową, próbując ogarnąć myśli. Jest już trochę za stary na zarywanie nocek. - To bardzo łatwy kod, o ile zdajesz sobie sprawę, że masz szukać jakiegoś kodu.

Riley się z nim zgadza.

- Po tym, jak zacząłem szukać, zajęło mi to tylko dziesięć minut. I chyba o to mu właśnie chodziło. To musiał być kod, który będę w stanie rozszyfrować.

- On znowu potrzebuje pomocy - mówi Stoletti. -Zwraca się do ciebie, Riley.

- Wiem. - Paul potrząsa głową. - Nie rozumiem tego.

- Inni znają nasz sekret. - McDermott patrzy na Ri-leya. - Ty i ten facet macie jakiś sekret.

- On ci mówi o tym, co zamierza zrobić - oświadcza Stoletti. - Oznajmia, że potrzebuje twojej pomocy, że wasz sekret wyszedł na jaw. Mówi ci, że wykorzysta „drugą zwrotkę” i że czas wrobić Albany'ego.

McDermott próbuje ogarnąć sytuację. Jeśli te listy kogoś obciążają, to właśnie Riley. Dlaczego miałby im zwracać na to uwagę?

- „Czas wrobić Albany'ego”. Mówi ci, żebyś uwikłał w to profesora - kontynuuje Stoletti. - On ci chce powiedzieć: „Zachowaj nasz sekret”, wskazując palcem na Albany'ego.

No tak - myśli McDermott. To może mieć sens.

Pukanie do drzwi sali konferencyjnej. Detektyw Sloan,

ten, który zajmuje się morderstwami w dwóch sklepach z artykułami przemysłowymi, macha ręką do Mike'a.

- Usiądź sobie - mówi McDermott do Riley'a. - Daj nam chwilę.

McDermott i Stoletti zostawiają Riley'a w sali konferencyjnej, podchodzą do detektywa Sloana i o czymś z nim po cichu rozmawiają.

- Mamy wóz i numery - mówi z dumą Sloan. - Chrysler LeBaron, numery J41258. Wziął go z wypożyczalni w centrum miasta na lipne prawo jazdy. Zapłacił gotówką za dwa tygodnie.

- Dobra robota, Jimmy. Niech dadzą to przez radio. Natychmiast! - Spogląda na Williamsa, który właśnie wraca na posterunek.

- Jest tu Albany - mówi Williams. - Już się drze, że chce adwokata.

- A co z Harlandem Bentleyem?

- Wciąż go szukamy. Wygląda na to, że w biurze nie wiedzą, gdzie jest.

- Znajdź go, Barney! Ruszaj!

McDermott odwraca się do Stoletti, która unosi brwi.

- I co teraz robimy, do diabła? - pyta jego partnerka.

- Pytanie brzmi - odpowiada McDermott - co robimy najpierw.

44

Chcę się widzieć z moim prawnikiem. Profesor Frank Albany, ubrany w jasnofioletową koszulę, pasujący pod kolor krawat i ciemną sportową kurtkę, zakłada ręce na piersi, gdy McDermott i Stoletti wchodzą do pokoju przesłuchań.

- To jest zwykłe dręczenie!

Policjanci znaleźli Albany'ego w jego gabinecie, zwinęli go i zagrozili, że założą mu kajdanki. To nie jest zabawny sposób trafienia na posterunek. Najlepszy, żeby wytrącić świadka z równowagi.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Leo Koslenko - mówi McDermott - a wtedy pana wypuszczę.

- Kto? - Albany przekrzywia głowę, otwiera usta, ale dalej milczy.

- Niech mi pan nie wciska kitu, profesorze.

Ten wstaje z krzesła, wskazuje palcem na McDermotta.

- Nie ma pana prawa...

Detektyw łapie go za nadgarstek, zakłada mu kajdanki, a drugi koniec przymocowuje do kółka na środku stołu. Gdy Albany jęczy i protestuje, McDermott wyciąga rękę do Stollitti, która podaje mu policyjne zdjęcie Leo Koslenki, zrobione kiedyś po jego aresztowaniu.

McDermott kładzie fotografię na stole i cofa się. Natychmiast widzi po oczach Albany'ego, że ten rozpoznaje Koslenkę. Jego wzrok wędruje to na zdjęcie, to na detektywa. Nie próbuje nawet temu zaprzeczać.

- Leo Koslenko - powtarza McDermott.

- Chcę się widzieć z moim prawnikiem.

McDermott sięga do teczki i kładzie na stole kopię listu znalezionej w sypialni Leo Koslenki.

Wiem, że wiesz o moim związku z Ellie. A ja wiem o twoim związku z moją córką. Jeśli ty o tym wspomnisz, ja też to zrobią. Ale jeśli będziesz milczeć, ufunduję ci katedrę w Mansbury College. Potrzebuję twojej odpowiedzi natychmiast.

Albany zaczyna czytać, potem odwraca wzrok, jego twarz robi się purpurowa. Zamyka oczy i odwraca głowę, tak żeby nie widzieć listu.

Równie dobrze mógłby się przyznać. Nie zdążył przeczytać nawet jednej linijki tekstu. Gdyby nie miał pojęcia o treści, przeczytałby całość.

McDermott siada naprzeciwko profesora. Stoletti robi to samo.

- Już wiemy, jaka była pańska odpowiedź - mówi do Albany'ego. - Zgodził się pan. Pan milczał o jego romansie, a on o pańskim. No i dorzucił tę katedrę.

Profesor powoli się łamie, na jego twarzy widać strach, skóra błyszczy mu od potu. Siedzi w niezręcznej pozycji, odwraca ciało od stolika, ale jego prawa ręka jest przypięta kajdankami do kółka na środku blatu.

Detektyw teraz to czuje. Ten kwaśny zapach czystego przeżenienia. Niektórych łatwiej złamać niż innych. Ten wykładowca z college'u to mięczak.

- Harland Bentley już pana wydał - dodaje McDermott. W dużej części musi się poruszać po omacku. Blef to jeden z niewielu atutów, jakie ma, wykorzystuje więc standardową metodę podczas przesłuchania w sprawach, w których jest więcej niż jeden oskarżony: twierdzenie, że jeden wydał drugiego. Przegrywa ten, który przyznaje się ostatni.

- Chcę rozmawiać z moim prawnikiem - mówi profesor drżącym szeptem.

- Mam teraz tylko jedno pytanie - ciągnie dalej McDermott. - Który z was zabił te dziewczyny?

Albany szarpie głową, patrzy wilgotnymi, przekrwionymi oczami to na detektywa, to na Stoletti.

- On mówi, że to był twój pomysł. - McDermott opada na krzesło, spokojny, świadomy swojej przewagi. - Chcesz mieć szansę, żeby przedstawić nam własną wersję?

- Chcę się widzieć z moim prawnikiem...

- Niech pan posłucha, profesorze. Wyjaśnię panu, dlaczego to jest kiepski pomysł. Teraz to taki wyścig. Wygrywa ten, który pierwszy się z nami dogada. Według mnie obaj jesteście w jakimś stopniu winni. Ale padnie na jednego... Nie ob-

chodzi mnie, na którego. Ale widzi pan, Bentley ma tych swoich drogich prawników i prawdopodobnie wykręci się tak, że nie spędzi zbyt wiele czasu za kratkami. Chce pan stanąć w pojedynkę na drodze Harlandowi Bentleyowi. Jak pan myśli, kto wygra?

- To... - Profesor już całkiem stracił panowanie nad sobą i krzyczy, bluzgając śliną. - To wszystko kłamstwa! Jak niby cokolwiek miało być moim pomysłem? To on dał mi ten list!

McDermott nie odpowiada, ale już coś ma. Albany przyznał się, że otrzymał list od Harlanda Bentley'a.

- Który z was zabił Cassie? - pyta.

Profesor wściekle macha ręką:

- O czym pan, u diabła, mówi?!

- Który z was zabił Ellie?

- Co?!

- Bo widzi pan, profesorze, Bentley mówi, że to pan... To pan skorzystał na śmierci Cassie. Straciłby pan pracę, gdyby wyszło na jaw, że pieprzył pan studentkę. I to nie on, ale Ellie by pana wydała, prawda?

Albany wściekle miota głową.

- Cassie była w ciąży. A to już dość mocny dowód, prawda, profesorze? To pan był „pierdolonym ojcem”? Nawet wtedy, kiedy jeszcze nie słyszano o testach DNA, można było potwierdzić ojcostwo. Wiedział pan, że nie będzie pan mógł zaprzeczyć. Wiedział pan, że test na ojcostwo wskazałby na pana.

- Nie rozumiecie - upiera się Albany. - Nic nie rozumiecie.

- Doszedł pan do wniosku, że jeśli Ellie zniknie, nie będzie nikogo, kto mógłby mówić o ciąży, testach na ojcostwo i aborcji.

- Nie...

- I nie przyszło panu do głowy, że ona powie o tym też innym?

- Nie! - Albany uderza pięścią w stół, miotając się na krześle z drugą ręką wciąż przykutą łańcuchem.

- Zawieracie układ - mówi McDermott. - Dwie dziewczyny umierają, dwa sekrety pozostają ukryte.

- Nie. Nie. To nieprawda. A co... co z Terryem?

- Och, wrobienie Terry'ego Burgosa było proste, profesorze. Był pan przecież jego mentorem, prawda? Już mu pan popierdolił w głowie, pokazał mu pan wszystkie te piosenki o okaleczaniu kobiet i powiedział pan, że Biblia to gówno pochwała. Wiedział pan, że miał fioła na punkcie Ellie Danzinger.

Albany, który do tej pory spoglądał dziko wokół, teraz wpatruje się w McDermotta.

- Co wieczór jeździł tym swoim suburbanem do pańskiej drukarni, profesorze. I co, jakoś pan zdobył kluczyki? Wsiadł pan do jego samochodu, a może nawet był pan w jego piwnicy... Aleja chcę się dowiedzieć, jak pan zdołał tak mu popierdolić w głowie, aby mu się wydawało, że to on zabił te dziewczyny.

- O Jezu, o Jezu... Boże... - Albany zasłania dłonią oczy. - Dajcie mi adwokata. Dajcie mi adwokata, do kurwy nędzy.

- Bentley ma nad panem sporą przewagę. Już zaczął mówić - oświadcza Stoletti. - Jeśli ma nam pan coś do powiedzenia, to lepiej niech pan to zrobi teraz.

- Kiedy stąd wyjdziemy - dodaje McDermott - będzie pan skończony. Sprowadzimy panu tego adwokata, ale już będzie za późno. - Przez chwilę milczy, potem kiwa głową do Stoletti. - Chodźmy, detektywie. Weźmy to pisemne oświadczenie Harlanda Bentley'a.

Gwałtowny wydech, gorzki śmiech. Albany potrząsa głową. McDermott i Stoletti, którzy niemal wstali, znów opadają na krzesła. Profesor nie jest głupi. Mógł przejrzeć ten podstęp. Cholera, już parę razy domagał się adwokata. Ale tym razem został przyparty do muru dzięki informacjom, które -

jak sądził - miały nigdy nie ujrzeć światła dziennego. McDermott widział już, jak spotykało to o wiele lepszych od niego.

- Pierdolony Harland Bentley - mamrocze. - Powinienem wiedzieć.

- Proszę nam podać własną wersję - mówi McDermott.

Spogląda na detektywów z twarzą wykrzywioną jak zgniły owoc. Żalony cień aroganckiego człowieka, który jeszcze niedawno siedział w pokoju.

- Wiecie, co jest gorsze niż pierdolenie najlepszej przyjaciółki swojej córki? - pyta.

McDermott nie odpowiada.

Albany nabiera powietrza do płuc. Wykrzywia usta.

- W takim razie nie wiecie wszystkiego.

Czekając, aż dwójka detektywów wróci do pokoju, zastanawiam się nad tymi listami.

ZNOWU POTRZEBNA MI POMOC.
BIORE DRUGĄ ZWROTKĘ. CZAS WROBIĆ
ALBANY'EGO.
INNI ZNAJĄ NASZ SEKRET.

Jaki sekret - według niego - znałem? Jakiej pomocy mu udzieliłem?

Byłem prokuratorem w tej cholernej sprawie. Przygotowałem linię oskarżenia przeciwko Burgosowi i pokonałem go podczas procesu. Jaką przysługę mogłem wyświadczyć?

Siadam wygodniej na krześle, zamykam oczy, przypominam sobie całą historię sprawy. Ten pierwszy dzień, znalezienie ciała, potem Burgos, przyznanie się do winy. Wykorzystanie tego w sądzie. Burgos zasłaniał się niepoczytalnością. Musiałem udowodnić, że myślał racjonalnie, że był świadom swojej winy.

Czy Koslenko kiedykolwiek mi się pokazał? Czy cokolwiek zrobił? Czy przysłał mi wtedy jakiś list...

Otwieram szeroko oczy, czuję falę adrenaliny. Wyjmuję komórkę i dzwonię do firmy.

- Betty - mówię. - Pamiętasz, jak podczas procesu Bur-gosa dostawaliśmy te wszystkie dziwne listy?

- Jasne - odpowiada.

- Wciąż jeszcze je mamy?

- Pewnie. Do książki, której nigdy nie napisałeś.

- Przygotuj je-mówię.-Już tam jadę.

45

Leo czeka po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko kancelarii Paula Riley'a. Ani śladu tych wszystkich kurierów w odblas-kowych kurtkach, z kaskami do jazdy na rowerze. Myśli o swoim lebaronie zaparkowanym pół przecznicy dalej. Musi tam wrócić. Nie ma za dużo czasu.

Poprawia okulary - to tylko przebranie, zwykłe szkła za-miast korekcyjnych - i nasuwa na oczy bejsbolówkę. Nie-ważne, jak wygląda, chodzi tylko o to, żeby nie można go było zidentyfikować.

Jeśli wejdę do budynku, będą mnie mieli na nagraniu z ka-mery. Ale nie ma czasu.

Leo spuszcza głowę, serce zaczyna bić szybciej. Przecho-dzi przez ulicę, chowając się w gromadce pieszych, pod-chodzi do budynku. Patrzy na windę, na ochroniarzy na an-tresoli.

Szukają mnie.

W tej chwili Leo dostrzega jednego z kurierów, który właś-nie wsiada do windy i zjeżdża na dół. Oddycha z ulgą. Męż-cyzna jest młody, z ramienia zwisa mu pusta torba.

Leo macha do niego. W jednej ręce trzyma kopertę, w dru-giej pięćdziesięciodolarowy banknot.

McDermott obserwuje, jak profesor Albany powoli dochodzi do siebie. Zaczyna rozumieć sytuację - myśli detektyw. Zastanawia się, jakie ma opcje, i nie widzi powodu, żeby dalej milczeć. Zaraz wyrzuci z siebie to, co ma do powiedzenia.

- Co jest gorsze od pieprzenia najlepszej przyjaciółki własnej córki? - pyta McDermott.

Profesor wyjmuje papierosa, wkłada go do ust i zapala. Wypuszcza dym, patrzy w sufit.

- Pieprzenie siostry własnej żony - odpowiada, wydychając.

Pieprzenie... kogo?

- Mówi pan o siostrze Natalii?

Na twarzy Albany'ego pojawia się cień uśmiechu.

- Mia Lakę - mówi. - Matka Gwendolyn.

- Harland sypiał z Mią Lakę?

Albany kiwa głową.

- Cassie mówiła coś o ojcostwie? Założę się, że chodziło jej o Gwendolyn.

McDermott zapada się w swoje krzesło.

- Harland jest ojcem Gwendolyn?

Albany wydaje się zadowolony z wrażenia, jakie ta wiadomość wywarła na policjantach.

- Najwyraźniej kiedy Natalia spodziewała się dziecka i prawdopodobnie nie miała ochoty na jego seksualne zapędy, zabrał się za jej siostrę - wzrusza ramionami. - Jeśli mi nie wierzycie, spytajcie Gwendolyn. Cholera, zróbcie jej nawet ten test.

McDermott patrzy na Stoletti.

- Możecie sobie wyobrazić - ciągnie dalej Albany - jak czułby się człowiek, który poślubił dziedziczkę fortuny, na wiasem mówiąc, podpisując żelazną intercyzę, gdyby ta in formacja wyszła na światło dzienne. Myślicie, że Cassie nie wiedziała, że ojcu zależy, by nikt się nie dowiedział?

To właśnie ta karczemna awantura w domu Gwendolyn tuż przed egzaminami, którą opisywał Brandon Mitchum - uświadamia sobie McDermott. To dlatego Cassie wybiegła z domu jak burza.

- Chwileczkę. - Detektyw kładzie dłoń na stole. - Cassie panu o tym powiedziała?

- Jasne. A niby skąd miałbym się o tym dowiedzieć? Gwendolyn powiedziała Cassie, a ona powiedziała mnie. O, ta Gwendolyn to było niezłe ziółko. Nienawidziła kuzynki. Chciała jej dopiec do żywego.

- Kto jeszcze o tym wiedział? Cassie powiedziała panu. Komu jeszcze?

- Chodzi o to, czy E11 i e wiedziała? - Albany przez chwilę delektuje się papierosem. - To by było dość logiczne, ale nie potrafię wam powiedzieć.

Nie, McDermott nie miał na myśli Ellie. Chodziło mu o Harlanda Bentleya. Może wtedy, kiedy Cassie zadzwoniła do Harlanda...

Ty jesteś pierdolonym ojcem!

Może podczas tej rozmowy, którą podsłuchał Brandon Mitchum, nie mówiła o własnej ciąży. Może właśnie wtedy mówiła ojcu o Gwendolyn.

Ty jesteś pierdolonym ojcem!

To dlatego była taka zdruzgotana. Potrójny cios - jej ojciec spłodził drugą córkę, którą Cassie zawsze uważała za kuzynkę. Podejrzewała, że teraz znów powraca do swoich ekscesów, tyle że tym razem z jej najlepszą przyjaciółką, Ellie Danzinger. No i na domiar złego dochodziło jeszcze to, że zaszła w ciążę.

Wystarczyłoby, żeby każdego doprowadzić na skraj załamania. A za większość jej cierpień odpowiedzialna była jedna osoba. Harland Bentley.

A to by oznaczało, że włamanie do gabinetu lekarza Cassie nie miało z nią nic wspólnego. Chodziło o Gwendolyn.

No jasne. Prawdopodobnie miały tych samych lekarzy. Cemu miałyby być inaczej? Może zgłosiła się na badanie krwi, pierwszy krok do ustalenia ojcostwa.

- Cassie mówiła panu o sprawach, o jakich nie wspominała nawet Ellie - draży Stoletti. - Byliście ze sobą bardzo blisko.

Albany uśmiecha się gorzko.

- Jak zręcznie sformułowała pani pytanie, pani detektyw. Próbuje mnie pani pociągnąć za język, abym niechcący się wygadał, że miałem romans z Cassie? No cóż, szkoda zachodu. Miała wtedy dziewiętnaście lat. Nie złamałem prawa. Była bardzo inteligentna, pełna energii... Cudowna dziewczyna. Bardzo za nią tęsknię, nawet jeszcze teraz... Ale jeśli była w ciąży, nigdy mi o tym nie powiedziała.

McDermott pokazuje głową na list leżący na stole.

- Kiedy pan to dostał?

Profesor, trzymając papierosa w nieskutej kajdankami ręce, również wskazuje na list.

- Przyniósł mi to ten człowiek ze zdjęcia. Wtedy pierwszy i ostatni raz go widziałem.

- Leo Kostenko.

- Nie wiem, jak się nazywał - mówi profesor. - Nigdy tego nie wiedziałem. Nie dał mi nawet tego listu do ręki. Wszedł do mnie do gabinetu i podsunął mi to pod oczy, żebym przeczytał. Musiałem dać mu odpowiedź. Od razu.

- A kiedy było to „od razu”? Kiedy dostał pan ten list? - pyta McDermott.

- Nie pamiętam... Trudno mi powiedzieć, jaki dokładnie był dzień tygodnia, ale na pewno nie zdarzyło się to w weekend. Parę dni po tym, jak odnaleziono ciała. - Pokazuje wolną ręką na list. - Ten facet po prostu wparował do mojego gabinetu, pokazał mi to, abym przeczytał, i powiedział, że mam mu dać odpowiedź. Odpowiedziałem, że się zgadzam.

- I nigdy nie odczuł pan szczególnej potrzeby zawiado-

mienia o tym policji? - pyta McDermott, bynajmniej nie za miłym tonem.

- Nie. Wtedy było dla każdego jasne, że to Terry Burgos zabił te biedne dziewczyny. Nie czułem takiej potrzeby. - Gasi niedopałek w czarnej popielniczce. - Nie zaprzeczam, na pewno kierował mną instynkt przetrwania. Ale gdybym przypuszczał, że to miało cokolwiek wspólnego z tymi morderstwami, na pewno bym to zgłosił. Terry od razu przyznał się do wszystkich morderstw. Dlaczego miałbym ujawniać jakieś bolesne tajemnice dotyczące nie tylko mnie, ale i innych ludzi, skoro to nie miało absolutnie nic wspólnego z całą sprawą?

McDermott rozkłada ręce.

- Nie miałem nic wspólnego z zabójstwem Cassie ani Ellie. - Albany przyciska palcem stół. - Cassie była dla mnie kimś wyjątkowym. Sama myśl o tym, że mógłbym ją skrzywdzić... To najgorsza rzecz, jaką moglibyście mi zarzucić.

- Może znajdziemy gorsze, profesorze. - McDermott wstaje z krzesła. - Trochę pan sobie posiedzi w tych kajdankach.

Zanim zdążyłem wrócić do biura, Betty przygotowała już całą pocztę, którą dostawaliśmy w prokuraturze okręgowej podczas sprawy Burgosa. Każdy list czy pismo, jakie wtedy do nas przychodziły, zostały opatrzone stemplem z datą i były skatalogowane. Tak na wszelki wypadek. Nic z tego nigdy nie wynikło. A kiedy sprawa została oficjalnie zamknięta - po egzekucji Burgosa - każdy z nas chciał mieć jakieś pamiątki. Zgarnąłem wtedy całą pocztę. Chodził mi po głowie pomysł, żeby napisać książkę, a niektóre z tych listów były cenne.

Ale teraz przypomniał mi się jeden list, który różnił się od reszty. Żadnego ognia piekielnego ani cytatów ze Starego Testamentu. Nic w tym stylu. Mówił o moralności, ale niezbyt biblijnie. Raczej... absurdalnie i bez sensu. Pierwsze wrażenie

było takie, że jest po prostu dziwny. Tak jak te listy, które mi teraz przysłało.

Przerzucam strony grubego segregatora. Każdy list znajduje się w osobnej plastikowej koszulce.

- Pamiętasz może, kiedy przyszedł właśnie ten? - pytam Betty.

Ale ona nawet nie wie, o czym mówię. Przerzucam stronę po stronie i nagle się zatrzymuję. To ten.

Dobroć Ojca Boga, ratunek absolutny. Radość objawienia będzie oczywiście trwać. Ale maluczcy odczują gniew. Elity panów o to rozpytuję. Zła elokwencja burzy odrodzenie, wasze albo cudze. Jest etyka szczęśliwych zaprawdę czymś zycznym. Elity Judasza, elity diabła. Niech etyka grzmi. Oni albo ludzie Boga. Alleluja New York.

Natychmiast zabieram się do pracy:

D-O-B-R-A-R-O-B-O-T-A-M-O-G-E-P-O-T-R-Z-E-B-O-W-A
-C-J-E-S-Z-C-Z-E-J-E-D-N-E-G-O-A-L-B-A-N-Y. DOBRA
ROBOTA. MOGĘ POTRZEBOWAĆ JESZCZE
JEDNEGO. ALBANY.

Sprawdzam stempel datownika na liście. Dostaliśmy go we wtorek, 15 sierpnia 1989 roku.

Otwieram zatrząsk segregatora i wyjmuję tę stronę. Zostawiam list w plastikowej koszulce. Kładę go na biurku i wpatruję się w niego.

Znów „Albany” na końcu wiadomości. Ale tym razem interpunkcja nie budzi żadnych wątpliwości. Słowo *Albany* musi być odczytane osobno. Może powinien tu być dwukroppek. „Mogę potrzebować jeszcze jednego: Albany”. A może to jego podpis. Może informuje mnie, że to on - Albany.

„Dobra robota?”. W sierpniu 1989 roku? Sprawa wtedy dopiero co się zaczęła. Nie było jeszcze czego gratulować.

- Betty - mówię przez interkom. - Gdzie jest zestawienie oświadczeń z procesu Burgosa?

- Powinno być już u ciebie w gabinecie.

Już je widzę, ustawione w kącie razem z kilkoma innymi opasłymi teczkami akt ze sprawy. Zestawienie oświadczeń, zawierające większość akt w sprawie Burgosa, składa się z siedmiu tomów. Dokumenty są skatalogowane w porządku chronologicznym, ponumerowane i zszyte u góry. Przerzucam pierwszy tom, myśląc o stemplu z datą na liście. Skoro przyszedł 15 sierpnia 1989 roku, to „dobra robota” musi odnosić się do czegoś, co wydarzyło się wcześniej.

Przeglądam czerwiec i lipiec. Nakaz rewizji, powództwo, dzięki któremu postawiliśmy Burgosa w stan oskarżenia, wnioski o kaucję, pisma dotyczące prośby Terry'ego o unieważnienie przyznania się do winy, oficjalny wniosek zabójcy o uznanie go za niepczytalnego. Czy ten list mógł się odnosić do naszego zwycięstwa, gdy Burgos próbował obalić swoje pierwsze zeznania? Domyślam się, że to możliwe.

Gdy docieram do sierpnia - a zwłaszcza do dokumentów złożonych tuż przed piętnastym - robi się raczej pustawo. 1 sierpnia adwokat Burgosa złożył wniosek, domagając się dodatkowych funduszy na badania psychiatryczne. A potem jest jeszcze wniosek prokuratury z 2 sierpnia.

Ten ostatni został rozpatrzony 11 sierpnia 1989 roku - czyli w piątek przed otrzymaniem tego listu.

- O Chryste...

11 sierpnia 1989 roku poprosiliśmy o zgodę na wyłączenie ze sprawy zarzutów o morderstwo Cassie. I ją dostaliśmy. Dobra robota. Betty wbiega do mojego gabinetu.

- Paul, kurier znów przyniósł ci list. Zatrzymali go w recepcji. Mówi, że facet w okularach i w bejsbolówce zaczepił go w holu i zapłacił pięćdziesiąt dolarów za doręczenie.

- Pokaż mi to - mówię. - I połącz mnie z detektywem McDermottem.

McDermott stoi sam w pokoju przesłuchań, gdzie jeszcze pół godziny temu siedział Paul Riley.

- Pobiegł do siebie do biura - mówi jakiś funkcjonariusz.
- Powiedział, że może go pan tam odwiedzić.

- Tak powiedział? - McDermott patrzy krzywo na policjanta, ale Riley nie był aresztowany, mógł sobie pójść, kiedy tylko przyszła mu na to ochota. Podchodzi do biurka dokładnie w chwili, gdy rozlega się dzwonek telefonu. Wzdryga się, słysząc nagły dźwięk. Dlaczego to mu się zawsze przytrafia?

- Tu McDermott.

- Mike, Bentley właśnie wrócił z tego swojego spotkania.

- Powiedz mu, żeby wziął dupę w troki i tu się stawił. Natychmiast. Powiedz mu to, Tom, bo inaczej ja po niego przyjdę, a wtedy nie będzie miło.

- Dobra, Mike. Słuchaj, on nie przyjdzie sam. Będzie ze swoim adwokatem.

Adwokatem.

- Paulem Rileyem?

- Nie, nie z Rileyem. Z jakimś innym gościem. Nie znam go.

A to ciekawe. Bentley nie korzysta z usług Riley'a. Detektyw odkłada słuchawkę na widełki, telefon natychmiast znowu dzwoni.

- Cholera! - Podnosi słuchawkę. - Tu McDermott.

- Mówi Paul Riley.

- No cóż, o wilku...

- Właśnie podrzucił mi kolejny list. Jakies dziesięć minut temu zaczepił kuriera w holu.

- Przywieź mi go - mówi McDermott. - Zaraz tam wyślę ludzi.

- Miał okulary i niebieską bej szbolówkę. Był ubrany w koszulę zapinaną na guziki - mówi Paul. - Ale pewnie już się ulotnił.

- Dobra, dzięki. A teraz przyjeżdżaj, do cholery! McDermott dzwoni, wysyła ludzi w okolice kancelarii Ri-leya, ale wcale nie rozpiera go optymizm.

Zostawiłeś Rileyowi wiadomość. Dobrze. Teraz wracaj na tamten piętrowy parking. Wjedź windą na ósmy poziom. Wsiądź do chryslera lebarona z tablicą rejestracyjną numer J41258 - tego, którego właśnie opisywali przez radio, uwaga, do wszystkich wozów, szukamy go - ale wiecie co, wy wszyscy...

Wycofaj samochód, zjedź o poziom niżej, zaparkuj przy beżowej toyocie camry. Inny samochód, z innej wypożyczalni. Nie jesteś głupi: inna wypożyczalnia, inne fałszywe nazwisko. To dobra pora dnia na zmianę wozu - nie za wcześnie rano, nie wtedy, jak wychodzą z pracy. Dobra pora, niewiele samochodów, mało ludzi. Przenieś zawartość, przenieś ją szybko. Dobrze, dobrze, już po robocie. I jeszcze jedno, nigdy cię nie doceniają, stuknięty Leo, on musi być głupi, nigdy by na to nie wpadł...

Idź do tamtego narożnika, tam na uboczu, mała wnęka obok głównego poziomu parkingowego. Przyjrzyj się samochodom przy tej betonowej ścianie. Sedan, zaparkowany przodem, ale zostało trochę miejsca na manewry między nim a ścianą, wystarczy, żeby się tam zmieścić, dać nura ze śrubokrętem, zdjęć tablicę z numerami. Nikt nie zauważy, jak będą wsiadać, nie spojrzą na przód samochodu. Zobaczą dopiero potem, jak będzie o wiele za późno...

Weź tę tablicę, zamień ją z tablicą lebarona. Prawdopodobnie nie przeszukają parkingu, ale jeśli będą tu węszyć, jeśli ktoś tu zajrzy i zobaczy chryslera lebarona, zauważy też tę tablicę, niepasujące numery. I pojedą sobie, leniwe, głupie gliny. To łatwe, łatwe, jesteś bystrzejszy od nich...

Włącz się do ruchu i jedź do między stanowej. Już prawie zrobione.

Jadę taksówką na posterunek. W plastikowej torbie na zakupy, którą dostałem od Betty, mam kopertą z szarego papieru. Wziąłem też ze sobą zakodowany list, który dostałem 15 sierpnia 1989 roku. Wciąż jest w plastikowej koszulce. Daję taksówkarzowi dwudziestkę i nie czekam na resztę. McDermott stoi u szczytu schodów i macha do sierżanta przy wejściu, żeby mnie przepuścił.

- Widzę, że teraz sobie przychodzisz i wychodzisz, kiedy tylko ci na to przyjdzie ochota.

Daję mu torbę na zakupy i podchodzę z nim do jego biurka. Siedząca przy sąsiednim biurku Ricki Stoletti wstaje i też podchodzi.

- Gdzie jest teraz Gwendolyn Lake? - pyta.

Mówię, że nie mam pojęcia.

- Dałem ci numer jej komórki.

- Tak, a ona nie odebrała.

- Mówiłem jej, żeby do was zadzwoniła - dodaję, ale cała moja uwaga jest skupiona na McDermocie, który w la teksowych rękawicach otwiera szarą kopertę nożem do rozcięcia listów. Wytrząsa na biurko zwykłą, białą kopertę o normalnych rozmiarach.

Daje mi znak głową.

- O co jeszcze chodzi?

Pokazuję detektywowi list, który dostałem 15 sierpnia 1989 roku.

- „Dobra robota” - czyta McDermott z samoprzylepnej karteczki, którą nakleiłem na koszulce - Masz jakieś pojęcie, na czym miała polegać ta „dobra robota”?

Odechrząkuję i mówię, że list dotyczył zgody na wyłączenie zabójstwa Cassie ze sprawy.

- Och - wypluwa z siebie to słowo, jakby się śmiał. - No i jak teraz wygląda sprawa Burgosa, panie doradco?

- Ona miała jakąś tajemnicę - mówię. - Ktokolwiek to napisał, cieszył się, że nie wyszła na jaw.

McDermott gapi się na mnie.

- No wiesz, Riley, jak na faceta, o którym wszyscy mówią, że jest taki bystry...

- Otwórz ten list, McDermott.

Bierze białą kopertę i rozcina ją u góry. Wytrząsa ze środka złożoną na trzy pojedynczą kartkę papieru. Dłonią w laleksowych rękawicach rozkłada list.

Gdy cała nasza trójka go czyta, łapię z jego biurka notes i długopis.

Jeśli Armie Krzyżują Broń, Echo Dudni Zniwoloną Irracjonalnością. Efekty Są Złem. Grzech Raduje Zepsute Elity. Czekać Znak Naszego Yahwe. On Nadejdzie. A Teraz Elity Żałujcie. Bóg Emanuje Dobrocią. Zniszczy Innowierców. Esencja Życia. Yahwe. Łagodność Absolutu.

Bazgrzę najszybciej jak potrafię. Wypisuję:

J-A-K-B-E-D-Z-I-E-S-Z-G-R-Z-E-C-Z-N-Y-O-N-A-T-E-Ż-B-E-D-Z-I-E-Ż-Y-Ł-A.

JAK BĘDZIESZ GRZECZNY, ONA TEŻ BĘDZIE ŻYŁA.

McDermott czyta na głos:

- Jak będziesz grzeczny...

Mijam go biegiem i chwytam telefon na biurku, wykręcając numer tak szybko, że za pierwszym razem mi nie wychodzi.

- Tu Biuro Obrony Praw Dzieci.
- Proszę z Shelly Trotter.
- Z Shelly? Nie ma jej. Czy mam coś...
- Przyszła dziś do pracy?
- Czy... A z kim rozmawiam?
- Tu Paul Riley - mówię.

Jakieś zamieszanie w tle. Słyszę głos Reny Schroeder, głównej prawniczki. Szefowej Shelly. Słyszę, jak pada moje nazwisko, potem telefon przechodzi z rąk do rąk.

- Paul, tu Rena.

- Rena, gdzie jest Shelly?
- Właśnie miałam ciebie zapytać o to samo. Nie zjawiła się dziś w pracy. Nie poszła do sądu, opuściła nasze comiesięczne...

Sluchawka wypada mi z ręki.

- Napisz nam jej adres - mówi McDermott.

Stoletti biegnie po swój płaszcz. Bazgrzę adres na kartce z notatnika i wypadam z pokoju. Słyszę jeszcze, jak McDermott mówi w słuchawkę:

- Centrala, wiadomość do wszystkich jednostek. Możli we, że mamy 401 w toku...

Gdy McDermott podjeżdża swoim sedanem, przed budynkiem z czerwonobrazowego piaskowca, w którym mieszka Shelly Trotter, stoją już trzy wozy policyjne.

- My wchodzimy pierwsi - powtarza Rileyowi po raz trzeci.

Jednak zanim jeszcze zatrzymuje samochód, Paul wyskakuje przez drzwi od strony pasażera.

Paru policjantów stojących przy wejściu spogląda na McDermotta. Detektyw pokazuje na Riley'a i potrząsa głową. Razem ze Stoletti podbiega do drzwi.

- To córka gubernatora, zgadza się? - pyta Ricki.

- Tak, kurwa, dokładnie.

Policjanci zastępują drogę Rileyowi, który się z nimi szarpie.

- Paul, za chwilę będziesz mógł wejść na górę - mówi McDermott. - Ale najpierw daj nam wykonać naszą robotę.

- Shelly! - krzyczy Riley, gdy detektyw wbiega po schodach. Na drugim półpiętrze czeka na nich kolejny policjant. Potrząsa głową.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

McDermott i Stoletti pokonują ostatnie stopnie i zwalniają kroku, przekraczając próg mieszkania. Widzą kolejnego policjanta, stojącego przy zakrwawionej pile łańcuchowej.

Powoli zmierzają w stronę łazienki. Żołądek McDermotta ściska się z przerażenia. Zniesie wszystko, byle nie... Łazienka. Ze wszystkich możliwych miejsc akurat ta cholerna łazienka. Zagląda do środka. Ohydny smród jest niczym w porównaniu z tym, co widzi.

Rozbryzgana krew sięga wysoko ponad krawędź wanny. Jest na umywalce, na ścianach, nawet na drzwiach. W wannie leżą wymieszane, zakrwawione strzępy, przypominające odpady z rzeźni.

- Jezus Maria! - mamrocze McDermott. Ostrożnie wchodzi do środka i zagląda do wanny. Stoletti wsuwa głowę przez drzwi i gwałtownie wciąga powietrze.

Napadł ją, kiedy brała prysznic. Zwłoki wydają się nagie, co oznacza tylko tyle, że brak śladów ubrania. Niewiele można powiedzieć na temat ciała, bo gdyby trzymać się jego definicji - tors z kończynami, szyją i głową - to czegoś takiego już nie ma.

- Nie spieszył się z nią - mówi McDermott, próbując za chować kliniczną perspektywę. Ciało przepiłowane na co najmniej sto kawałków. Nie ma rąk, nóg, szyi czy głowy. Wszystko pokrojone na plastry. Zostały tylko małe strzępki.

Piłą łańcuchową Trim-Meter mózg cheerleaderki wszystko to farba na poplamionej ścianie.

Słyszy jakieś zamieszanie na klatce schodowej. Wychodzi z łazienki i zbliża się do drzwi. Paul Riley wygląda jak rozpedzony futbolista, który próbuje zgubić obrońców. Jest w połowie ostatniego półpiętra, szarpie się z dwoma trzymającymi go kurczowo policjantami. Jego oczy i oczy McDermotta się spotykają. Na twarzy Paula wciąż jeszcze błąka się cień irracjonalnej nadziei.

- Przykro mi - mówi McDermott.

- Chcę ją zobaczyć.

Znów zaczyna się szarpanina. Riley próbuje zrzucić z sie-

bie policjantów. McDermott schodzi kilka stopni w dół i ścis-
ka go za ramię.

- Nie zostało nic, co mógłbyś zobaczyć, Paul - mówi. -
Przykro mi.

Riley osuwa się na schody, krzycząc imię Shelly. Detek-
tyw ogląda się na stojącą z tyłu Stoletti, która mówi cicho:

- Musimy zadzwonić do gubernatora.

47

Jest siódma. W radiu wciąż powtarzają jego nazwisko. Leo Kostenko, poszukiwany przez policję, uzbrojony i nie-
bezpieczny, chrysler lebaron, a teraz jeszcze nowa sensacja, Trotter, Michelle Trotter, córka gubernatora, gubernatorska córka, może jest jakiś związek, poszukiwany, niebezpieczny, uzbrojony...

Zjedź toyotą camry z między stanowej, podążaj za znaka-
mi przez miasto. Nowa budowa na skrzyżowaniu, inaczej niż
kiedyś. Dziwne, uczucia powracają, ale to miejsce wygląda
inaczej. Nigdy tu nie wracał, trzymał się z daleka, nie miał
powodu, by tu wracać. Ale teraz czuje, że wrócił naprawdę,
wrócił do pracy, wrócił do gry...

Mansbury College. Witajcie w Mansbury, gdzie wizja sta-
je się rzeczywistością.

McDermott przegląda kolejny raport z wywiadów z sąsía-
dami - kolejny o tym, że nikt nic nie widział. Ktoś dzisiaj,
koło południa, słyszał warkot piły łańcuchowej. Ale to nic
nadzwyczajnego, teraz, latem, niedaleko parku nad jeziorem.

Koło południa, w środku tygodnia. Koslenko musiał ją
obezwładnić, kiedy brała prysznic przed wyjściem do pracy,
a potem odczekał, aż budynek opustoszeje. Dopiero

wtedy się nią zajął. Może ten facet jest obłąkany, ale na pewno niegłupi.

Jednostka techniczna prokuratury okręgowej i koroner już prawie skończyli pracę. Szukają jeszcze odcisków, ale wygląda na to, że wszystko zostało starte, a poza tym - cholera - i tak wiedzą, kto to zrobił. Tyle tylko, że nie mogą go znaleźć. Od rana nadają przez radio rysopis Koslenki i opis jego samochodu. Bez skutku.

McDermott odbiera komórkę. Dzwonią z posterunku. Harland Bentley i jego adwokat mają już dość czekania. Mece-nas oświadczył, że stawili się tylko przez grzeczność, a więc w każdej chwili mogą sobie pójść.

- Albany też wyszedł, Mike. Nie możemy już...

- W porządku - mówi. Tej nocy ma pełne ręce roboty. Ale każe im wysłać wóz pod oba domy - Bentleya i Albany'ego - i śledzić ich, gdyby gdzieś wychodzili.

Zagląda do salonu, gdzie Paul Riley siedzi na sofie. Zakrył twarz dłońmi, palcami u stóp bębni w dywan. Próbowali go zabrać do radiowozu, ale odmówił. McDermott pozwolił mu zostać, kiedy Paul obiecał, że nie będzie im wchodził w drogę.

Na twarzy Riley'a maluje się coś więcej niż cierpienie, coś więcej niż szok. To poczucie winy. To, co się stało, wydarzyło się przez niego, niezależnie od tego, co wszyscy będą próbowali mu powiedzieć. Z biegiem czasu będzie przerabiał te same usprawiedliwienia. Będzie sobie wmawiał, że dał z siebie wszystko podczas sprawy Burgosa. Będzie przekonywał samego siebie, że to Leo Koslenko, a nie on, zabił Shelly. Ale i tak w to nie uwierzy. Zrzuci całą winę na siebie.

McDermott wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Miał możliwość i prawo wysłać żonę do szpitala psychiatrycznego wbrew jej woli. A ponieważ dotyczyło to nie tylko ich obojga, ale i trzyletniego dziecka, było coś jeszcze - odpowiedzialność. Jak mógł tego dnia zostawić Grace pod

opieką Joyce? Po tym, w jakim była stanie poprzedniego wieczoru?

Jak mógł to zrobić malutkiej Gracie?

Ona się o to obwinia - powiedział lekarz.

Jak ona mogła to zrobić ich własnej córce? Bez względu na to, jak była szalona, jak bardzo jej umysł zniszczyła choroba... Jak Joyce mogła to zrobić Grace?

Wyjmij z szafki to pudełko po butach.

Otwórz je.

A teraz daj to mamusi.

Uświadamia sobie, że stoi na progu łazienki Shelly Trotter. To, co się tu wydarzyło, było złe, niezależnie od tego, w jakim świetle by to przedstawić. I bez względu na to, że było skutkiem choroby psychicznej. Śmierć nie zna wyjątków. Są tylko ofiary.

Kat. Technik medycyny sądowej, który myślał, że McDermott go nie słyszy. Wydawało mu się, że zdruzgotany detektyw, tulący w ramionach trzyletnią córeczkę, nie przysłuchuje się uważnie każdemu słowu, jakie padło w pokoju obok.

Kat jest dość niezwykły jak na postrzał samobójczy.

- Mike.

Musiałaby trzymać broń sporo ponad metr od siebie i wycelować do tyłu.

- Mike.

W takim razie tak właśnie się stało - powiedziała Ricki Stoletti, która była wtedy od czterech miesięcy jego partnerką. Tak to się właśnie stało.

Stoletti dotyka jego ramienia. Odwraca wzrok od łazienki, ale sytuacja nie umyka jej uwagi. Nigdy o tym nie rozmawiali, nawet wtedy. Tamtej nocy, po rozmowie z technikiem, Stoletti unikała wzroku McDermotta.

Sprawa zamknięta - powiedziała mu tylko. Samobójstwo.

- Hej, Mike!

Dziękuję. Nie powiedział jej tego głośno. Ani wtedy, ani nigdy potem.

- **Jest tu gubernator** - mówi Stoletti. - Zrób tę swoją minę pokerzysty.

Zrywam się na nogi, gdy gubernator Trotter wchodzi do mieszkania Shelly. Ma na sobie garnitur i oliwkowy płaszcz. Tuż za nim idzie jego żona Abigail z grupką ochroniarzy. Podbiega do mnie i drżącymi dłońmi ścisną mi ręce. Oczy ma zaczerwienione, ale spokojne. Nie płacze. Już to zrobił.

- Jak...? - Szuka wzrokiem w moich oczach odpowiedzi, których nie znam.

- To przeze mnie - mówię. - Zabił ją przeze mnie.

Potrząsa głową, jakby nie rozumiał. Nic tu nie ma sensu. I być może nie będzie miało już nigdy. Za plecami gubernatora jego żona próbuje wyminąć McDermotta, żeby zobaczyć córkę.

- Abby, nie wchodź tam - mówię. - To już nie... nie jest Shelly.

- Jak to się mogło stać? - Zwraca ku mnie twarz. Wygląda o wiele lat starszej niż kiedykolwiek. - Co ty zrobiłeś, Paul?

Nie potrafię nic na to odpowiedzieć. Podchodzi McDermott, bierze gubernatora za ramię i prowadzi oboje do kuchni, żeby z nimi porozmawiać. Trotter wyszarpuje mu się, zagląda do łazienki. Słyszę jego rozdzierający, rozpaczliwy szloch.

McDermott, rozkojarzony obecnością komendanta i obstawy gubernatora, w końcu uwalnia się od nich, gdy jadana posterunek. Dochodzi dziewiąta. To już druga noc z rzędu, kiedy nie kładzie Grace do łóżka. I pewnie druga noc z rzędu, podczas której nawet nie zmruży oka. Uświadamia to sobie po raz pierwszy od wielu godzin, kiedy wreszcie opada adrenalina. Mózg pracuje mu na zwolnionych obrotach. Nogi bołą go przy każdym kroku.

Susan Dobbs, asystentka koronera, jest jedną z niewielu osób, które jeszcze zostały w mieszkaniu. Kolory powróciły już na jej twarz. Po przyjeździe, parę godzin temu, wydawała

się przytłoczona miejscem zbrodni, a to o czymś świadczy, jeśli się ma na co dzień styczność z ciałami ofiar.

- Gubernator musi podpisać zgodę na test DNA - mówi. - Żeby potwierdzić identyfikację.

- Nic z niej nie zostało - wzdycha McDermott.

Susan zapina suwak swojej torby ze sprzętem medycznym.

- Tylko lewa stopa.

- Ach właśnie, prawie zapomniałem. - McDermott strzela palcami. - Boże, w całym tym zamieszaniu...

- Tak - potwierdza Susan. - Było tam. Pośmiertne nacięcie u podstawy czwartego i piątego palca u nogi. Pokroił na kawałki wszystko oprócz lewej stopy. Chciał mieć pewność, że to zobaczysz.

- Dzięki, Sue.

Spogląda na niego pełnymi współczucia oczami.

- Kiedy on skończy, Mike? Mówiłeś, że to według słów tej piosenki...

McDermott kiwa głową, unosi w górę dwa palce.

- Jeszcze dwa morderstwa - mówi. - Jeśli go przedtem nie złapię.

Wróc na międzystanową, na północ, w stronę miasta. Przejeżdż przez centrum. Motel byłby najlepszy. Taki, gdzie można zaparkować samochód za budynkiem. Nikt nie będzie szukał toyoty camry, ale ty bądź ostrożny, bądź ostrożny. Znajduje motel przy autostradzie, pokazuje swoje ostatnie fałszywe dokumenty. Ma okulary, sztuczne wąsy i brodę, na głowie bejsbolówkę. Płaci gotówką. Czeka w holu, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Wszędzie czysto. Teraz wszystko zacznie wskakiwać na właściwe miejsce.

Córka gubernatora nie żyje, trąbią o tym na wszystkich kanałach. Siedzi na łóżku i patrzy w telewizor. Potem go wyłączy i idzie do łazienki. Wysypuje na toaletkę zawartość torby z drogerii...

Nakleja zdjęcie Cassie na lustrze, przesuwa palcami po zarysie jej twarzy. Śliczna, prześliczna...

Bierze elektryczną maszynkę, goli sobie włosy nad czołem, aż do szczytu głowy. Nie na łyso, to zbyt oczywiste, nie na łyso, tylko łyse miejsce, fragment skóry w kształcie podkowy...

Wyglądasz zabawnie.

Wiem. Ale dzięki temu mnie nie zauważą. Mogą oczekiwać, że zgołę włosy, ale nie będą się spodziewać łysiny.

I tak wyglądasz zabawnie.

Zmieni kolor włosów z czarnego na brudny blond - inny kolor, inny styl. Przygląda się swojemu odbiciu w lustrze. Widzi człowieka w średnim wieku z męską łysiną, jasnobrązowe włosy po bokach głowy, okulary...

Boję się.

Wiem, ale działał zgodnie z planem. Riley nam teraz pomoże.

Opada na łóżko, kładzie głowę na poduszce. Na chwilę odzyskał spokój, ale nie spodziewa się, że uda mu się zasnąć.

Minęła jedenasta. Na posterunku panuje ruch jak na dworcu kolejowym. Komendant zamknął się w gabinecie porucznika i naradza się z gubernatorem Trotterem. Zjawił się też syn gubernatora Edgar Trotter, szef policji stanowej. Wypluwa z siebie rozkazy i sprowadził swoich najważniejszych poruczników. Wygląda to jak zamach stanu. Młodszy Trotter prawie zdjął McDermotta ze sprawy, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Uznał jednak za stosowne oświadczyć, iż grupa zadaniowa potrzebuje skuteczniejszego przywództwa, i zasugerował, że gdyby opieszali lokalni gliniarze działali szybciej, to może by do tego nie doszło.

- Nie oddalaj się - polecił McDermottowi. - Może będziesz potrzebny, żeby podać jakieś szczegóły.

Media to wszystko relacjonują, koordynując swoje doniesienia z personelem gubernatora. Przygotowują oświadcze-

nia, naginając i starannie dobierając słowa, żeby zachować pozory dziennikarskiej rzetelności. Przyjechali też przedstawiciele prasy ogólnokrajowej, wprawiając pozostałych reporterów w stan najwyższej gotowości graniczącej z paniką.

Gdy McDermott się nad tym zastanawia, dochodzi do wniosku, że słowo „panika” całkiem nieźle opisuje obecną sytuację. Wysocy rangą funkcjonariusze uderzają w obronne tony. To ich reakcja - uzasadniona albo i nie - na panujące przekonanie, że za zabójstwo Shelly Trotter należy obwiniać policję. Jeśli sprawy ostatecznie przybiorą taki właśnie obrót, to nie ma najmniejszych wątpliwości, kto za to oberwie. To niesprawiedliwe - Leo Koslenko miał nad nimi ogromną przewagę, a oni zidentyfikowali go w ciągu zaledwie kilku dni po pierwszym morderstwie. Ale cóż, sprawiedliwość nigdy nie była składnikiem gulaszu lokalnej polityki.

Tak bardzo skrepowali mu ruchy, że równie dobrze mógłby mieć kulę u nogi. Teraz jest tylko doradcą w tej sprawie, a kiedy to wszystko się skończy - niezależnie od tego, jaki będzie finał - kto wie, co z nim dalej będzie?

Na pewno nie trafi do pieszych patroli. To byłby poziom trzeci - związek zawodowy nigdy się na to nie zgodzi. Nie, to będzie praca za biurkiem - za jakimś biurkiem w suterenie. Coś, co go zmusi, żeby sam odszedł. Kiedy już wszystko zostanie powiedziane i zrobione, być może McDermott znajdzie w sobie choć tyle energii, by się tym przejąć.

Zagląda do sali konferencyjnej, aby sprawdzić, co z Rileymem. Uświadamia sobie, że dla Paula będzie to gorszy cios niż dla kogokolwiek innego. Jeśli się okaże, że sytuacja jest rzeczywiście taka, na jaką w tej chwili wygląda, to albo skazał niewłaściwego człowieka, albo nie złapał jego współnika, współsprawcy. Jeśli jego klient Harland Bentley maczał w tym palce, media nie zostawią na nim suchej nitki. Będą mogli sobie nawet wybierać motywy: Riley zablokował śledztwo, żeby ukryć swoje zaniedbania szesnaście lat temu albo by chronić klienta.

Jednak to, co prasa, a może i prokurator okręgowy zrobią Rileyowi, okaże się niczym w porównaniu z tym, co Riley zrobi samemu sobie. To będzie dręczyć Paula już do końca jego dni. Czasami trafiają się chwile zapomnienia, ale potem to będzie powracać ze zdwojoną siłą. I bez ostrzeżenia. Zgasi każdą chwilę szczęścia, zabarwi każdą sytuację.

McDermott wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Mama to zrobiła - powtarzała Grace tak wiele razy, że stracił już rachubę. To mama. Mama była bardzo chora i chciała pójść do nieba.

Nie wie dokładnie, jak to się stało. I nigdy się już nie dowie. Ten film wciąż przewija mu się w głowie, tak jakby ciągle powracał do własnych bolesnych wspomnień. Szuka linii najmniejszego oporu: ona chciała tylko, żeby Grace podała jej z szafki to pudełko po butach. Zamierzała ją potem wysłać na dół, żeby nie widziała tego, co się wydarzy. I chciała najpierw zadzwonić do męża, aby przyjechał po córkę. Może nawet nie była pewna, czy użyje tej broni. Może zmieniłaby zdanie...

Pistolet sam wypalił. To był wypadek. Ona nie kazała swojej córce pociągnąć za spust. Nie, bez względu na to, jak udręczony był jej umysł, nie obarczyłaby tym własnej córki. To był wypadek.

Ale nie wie tego. I nigdy się nie dowie.

Mama to zrobiła. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że powtarzanie utrwali wspomnienie. Trzeba to powtarzać tyle razy, aż w końcu Grace w to uwierzy. Czy trzyletnie dzieci w ogóle mogą coś zapamiętać? Jego najwcześniejsze wspomnienie pochodzi z czasów, gdy miał pięć lat. Siedział na werandzie z cegły, przy kominku, bawiąc się figurkami zwierzątek i małą stodołką. Ale trzyletnie dziecko?

Doktor Sutton twierdzi, że nie. Istnieje tylko minimalna szansa, że zapamięta tę informację. Jeżeli w ogóle zwróci na nią uwagę. Jeżeli to rzeczywiście wydarzyło się w ten sposób.

Riley siedzi bez ruchu na krześle, nieświadomy obecności McDermotta. Oczy ma zaczerwienione i zapadnięte, włosy zmierzwiłone, twarz bez wyrazu. Krawat gdzieś zniknął. Niezależnie od tego, jak to wszystko się skończy, McDermott podjął już decyzję: Riley nie jest winny żadnego przestępstwa. Mógłby różnie rozegrać fakty, ale nos zaprowadził go daleko i detektyw ufa swoim przeczuciom. Koniec końców dlaczego Riley odwiedził Gwendolyn Lakę? Dlaczego pojechał się spotkać z Brandonem Mitchumem?

Bo niezależnie od tego, czy sam przed sobą się do tego przyznawał, chciał wiedzieć, czy czegoś nie przeoczył podczas sprawy Burgosa. Nie odpuścił tego. Drażył dalej. Był gotów zniszczyć największe osiągnięcie w swej karierze zawodowej, byle tylko dotrzeć do prawdy.

- Miałeś Burgosa jak na widelcu - mówi do Paula. - Miał motyw, miał możliwości, w całym domu było pełno dowodów. Przyznał się. Czytałem skrypt. Każdy na twoim miejscu by na tym poprzestał, mając tego faceta w garści.

Ten sprawia wrażenie, że go nie słyszy. Gładzi dłońmi blat stołu, jakby ścierał piasek z jakiegoś cennego artefaktu. Jakby szukał w głowie jakichś słów.

- Potrzebuję twojej pomocy, Riley. Myślisz na tyle jasno, żeby mnie wesprzeć?

Paul milczy. Ale McDermott nie ma nic do stracenia. Może przyłapanie Rileya w takiej chwili, kiedy nie jest w stanie się bronić, to całkiem niezły ruch. A może jemu też dobrze zrobi, jeśli zamiast pogrążyć się w bólu, skupi się na sprawie.

A więc przedstawia wszystko Rileyowi, choć ten prawdopodobnie wiele z tego już wie albo chociaż się domyśla. Harland jest ojcem Gwendolyn - Cassie odkryła to niedługo przed śmiercią. Była wtedy w ciąży i ją przerwała - potwierdziła to jej matka. I miała romans z profesorem Albanym. Cassie myślała, że ojciec sypia z jej najlepszą przyjaciółką Ellie - i to również miało miejsce na krótko przed śmiercią ich obu.

Nie musi mówić Rileyowi, że to wskazuje na Harlanda Bentleya i na profesora Albany'ego. Ale na wypadek jakichkolwiek wątpliwości przypieczętowanie to jeszcze listem, jaki znalazł w domu Koslenki. Dodaje, że profesor to potwierdził: Harland dobił targu z Albanyem - ty milcz o moim romansie, ja będę milczał o twoim.

Obaj mieli wiele do stracenia: bogata żona, stała posada wykładowcy. I wiele do zyskania na śmierci dwóch młodych dziewczyn.

Riley milczy. Nie powiedział jeszcze ani jednego słowa. Detektyw zaczyna się zastanawiać, po co w ogóle dzieli się z nim tym wszystkim.

Riley wstaje z krzesła. Idzie w kąt pomieszczenia, wpatruje się w przestrzeń.

- Harland Bentley zlecił zabicie własnej córki, Paul. I Ellie. Wykorzystał w tym celu swojego ogrodnika, który już wcześniej był chory psychicznie i miał skłonności do przemocy. To on odwalił za niego mokrą robotę. Bentleyowi nie udało się utrzymać małżeństwa, ale jego żona była zbyt wkurzona, żeby z nim walczyć. A więc rzuciła mu ochłap, milutkie dwadzieścia milionów, żeby zostawił ją w spokoju. A on na to poszedł. Biorąc to wszystko pod uwagę, facet zrobił nie najgorszy interes.

Riley nawet nie drgnie. McDermott gada sam do siebie.

- Jeszcze nie wiem, jak do tego pasuje Albany. Myślę, że pomagał przy dalszych morderstwach. Miał pewnie dostęp do kluczy w budynku, gdzie leżały ciała. Prawdopodobnie mógł by też podkraść Burgosowi klucze i kluczyki do samochodu, żeby jeździć jego wozem, zwabiać tam te kobiety i zostawiać je u niego w domu. Jestem pewien, że naśladowanie słów tej piosenki to był jego pomysł. Na miłość boską, kto znał je lepiej niż Albany?

Riley opiera dłoń o ścianę.

- Pozostałe morderstwa miały zatuszować okoliczności śmierci Ellie i Cassie. Zrobili tak, żeby to wyglądało na serię

morderstw pod wpływem tej piosenki. Aby się upewnić, że nikt się nie dowie o Cassie, kazali ci wyłączyć ją ze sprawy. To wszystko ma sens, Riley. To się trzyma kupy. Ale nie zbliża nas w żaden sposób do złapania Leo Koslenki. Myślę, że ten facet wyrwał się spod kontroli. Ktokolwiek nim sterował Bentley czy Albany - już go teraz nie kontroluje.

McDermott wciąga powietrze do płuc. To sporo informacji jak na jednego człowieka, który w dodatku znalazł dziś swoją dziewczynę pokrojoną na sto kawałków. Ale nie ma czasu na dyplomację. Czuje, że Riley zrobi wszystko, co trzeba, żeby złapać Koslenkę, i potrzebuje teraz jego pomocy.

- Słuchaj, Riley - mówi cicho. - Wszystkie ofiary z tego tygodnia: Ciancio, Evelyn Pendry, Amalia Calderone i Shelly, miały nacięcie między czwartym a piątym palcem lewej stopy. Pośmiertne nacięcie. Mówi ci to coś?

Paul zamiera bez ruchu. Jego wargi poruszają się bezgłośnie, jakby powtarzał to, co przed chwilą usłyszał. Nagle mówi:

- Muszę iść.

Piętnaście minut przed północą wychodzę z posterunku, niewyspany i przytłoczony tym, co się stało. Gubernator jeszcze tam został. Jego rzecznicy prasowi publikowali już wcześniej oświadczenia dla mediów, ale reporterzy wciąż czekają na jakieś krwiste kąski.

Obok idzie policjant, który ma mnie zawieźć do domu. Widzę dziennikarzy, którym zagrodzono dostęp na policyjny parking i schody posterunku drewnianymi płótkami. Nawet stąd słyszę, jak wołają mnie po imieniu:

- Paul, czy Leo Koslenko zabił Shelly?!
- Czy to ma związek z Terrym Burgosem?!
- Czy TerryBurgos był niewinny?!
- Czy Leo Koslenko zabił Szóstkę z Mansbury?!
- Daj mi chwilę - mówię do policjanta. Czuję wzbierającą falę adrenaliny, choć myślałem, że już nic we mnie nie

zostało. Może to wściekłość, może strach. Zostawiam gliniarza z tyłu i podchodzę do dziennikarzy. Niektórzy z nich, weterani, to ci sami, którzy robili ze mną wywiady, gdy oskarżałem w sprawie Burgosa. Ależ muszą się tym teraz rozkoszować. Jak im musi burczeć w tych ich reporterskich brzuchach, kiedy czują posmak krwi w wodzie.

- Czy skazał pan niewłaściwego człowieka?
- Co pan powiedział gubernatorowi Trotterowi?
- Czy stracono niewinnego człowieka?

Kamery, błyski fleszy, wszystkie mikrofony zwracają się w moją stronę. Dalej zadają pytania, aż dociera do nich, że nie zamierzam na nie odpowiadać. Wreszcie krzyki cichną i są gotowi, żeby wysłuchać, co mam do powiedzenia.

- Leo Koslenko nie zabił tych sześciu kobiet z Mansbury - mówię tak gładko, jak tylko mnie na to stać. - Zrobił to Terry Burgos. To, co się dzieje teraz, może mieć jakiś związek z morderstwami z Mansbury. Policja poprosiła mnie o pomoc i mam zamiar rozwiązać tę sprawę. Dajcie mi dzień, góra dwa. Obiecuję wam, że to rozgryzę. Ale nie popełniajcie błędów. To Terry Burgos zabił tamte dziewczyny.

Robię w tył zwrot na pięcie i wracam do policjanta. Reporterzy wykrzykują do mnie dalsze pytania. Szybko idziemy do wozu patrolowego i wskakuję na tylne siedzenie. Kładę głowę na oparciu i przysmykam oczy, próbując nie słyszeć pytań rzucanych w moją stronę zza barykady.

Kiedy zjawiała się w domu, czuł uniesienie. Zawsze się z nim witała, czasem mówiła do niego parę słów po rosyjsku.

Ale tego dnia było inaczej. Po prostu go minęła, bez słowa. Poszedł za nią. Weszła na schody akurat wtedy, gdy Gwendolyn schodziła na dół. Leo został z tyłu. Pani Bentley była wściekła, gdy podsłuchał rozmowę jej córki z kuzynką.

- Co powiedziałaś mojej matce?
- Nic takiego, o czym już by nie wiedziała.
- Nic nie wiesz o moim ojcu.

- Nie, Cassie. Myślę, że to właśnie ty jesteś jedyną osobą, która nie wie.

Cassie zacisnęła dłoń na balustradzie. Opuściła głowę. Próbowwała zapanować nad złością.

- Nie musisz mi wierzyć na słowo, kuzyneczko. Sama zobacz, dokąd jeździ. Zobacz, z kim się spotyka. Może nawet zobaczysz jakąś swoją znajomą.

Podniosła głowę, spojrzała na Gwendolyn. Chciała coś powiedzieć, ale Leo pomyślał, że nie będzie w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Nie mylił się. Odwróciła się i zbiegła po schodach.

- Nie mogę się już doczekać wyjaśnień wuja Harlanda - krzyknęła za nią Gwendolyn. - Założę się, że pożałuje, iż podpisał tę intercyzę!

Leo powraca do rzeczywistości. Reklamy już się skończyły. Ta stacja kablowa nadaje tylko wiadomości. Relacjonują ostatnie wydarzenia na żywo. Wyskakuje z łóżka, widząc na ekranie Paula Rileyę, który mówi do dziennikarzy przed posterunkiem policji. Pogałsnia i wstrzymuje oddech.

- Leo Koslenko nie zabił tych sześciu kobiet z Mansbury. Zrobił to Terry Burgos.

Przymyka oczy, słuchając dalszych słów Rileyę.

- Policja poprosiła mnie o pomoc i mam zamiar rozwiązać tę sprawę. Dajcie mi dzień, góra dwa. Obiecuję wam, że to rozgryzę. Ale nie popełniajcie błędu. To Terry Burgos zabił tamte dziewczyny.

Kąciki ust Leo drgają, lekko się unoszą. Prawie się uśmiecha.

McDermott ogląda telewizję w posterunkowej stołówce, gdzie zszedł po nową kawę. Na ekranie transmisja na żywo - Paul Riley stoi przed posterunkiem i wygłasza oświadczenie dla prasy.

- A to co za brednie? - pyta Stoletti. Nigdy nie była

wielką fanką Riley, a ten dzień okazał się wyjątkowo przespany dla nich obojga. Ricki nie oberwie tak mocno jak jej starszy rangą partner, ale i tak jej się dostanie. - „Burgos zabił tamte dziewczyny”? „Policja poprosiła mnie o pomoc”? „Dajcie mi dzień, góra dwa”? Czy on wie coś, czego my nie wiemy?

McDermott z roztargnieniem kiwa głową, patrząc na powtórkę najważniejszych wydarzeń.

Policja poprosiła mnie o pomoc i mam zamiar rozwiązać tę sprawę. Dajcie mi dzień, góra dwa.

Stoletti wzdycha.

- Spadam do domu, Mike. Nie zostało tu dla nas nic do roboty. Mam już wystarczający zamęt w głowie jak na jedną noc.

Obiecuję wam, że to rozgryzę.

- Będziesz tu podczas przesłuchania Bentleya? Przyjeżdża mniej więcej za godzinę.

McDermott wzrusza ramionami.

Nie popełniajcie błędu. To Terry Burgos zabił tamte dziewczyny.

Stoletti podchodzi bliżej i staje obok niego. Pokazuje na telewizor, w którym pojawia się zbliżenie wzburzonej, gniewnej twarzy Riley.

- Cholera, przypuszczam że facet ma prawo spuścić trochę pary. Dla niego to też nie był wspaniały dzień. Ale robi z siebie kompletnego idiotę. - Klepie go w ramię i wychodzi.

- Może i tak - mamrocze pod nosem McDermott. Może robi z siebie idiotę.

A może Jest grzeczny".

Piątek, 24 czerwca 2005

48

Siedzę w korytarzu na najwyższym piętrze mojego domu, oparty o balustradę schodów, i wbijam wzrok w panel alarmu na ścianie. Alarm nie jest włączony. Nie jest nawet połączony z policją. Ale nawet teraz monitoruje pięć wejść do domu oraz czujniki ruchu na parterze i ostatnim półpiętrze schodów. Jeśli wykryje wtargnięcie przez któreś z wejść, zaświeci się numer przypisany danej lokalizacji. Nie będzie żadnych konsekwencji - żadnych przenikliwych dźwięków ani połączenia z policją- ale przynajmniej będę o tym wiedział.

Strefa pierwsza - drzwi frontowe. Druga - przesuwane szklane drzwi. Trzecia - drzwi z piwnicy. Czwarta i piąta - okna na parterze.

Oczy mi się zamykają. Żołądek się skręca, w głowie pulsuje ból. Moje ciało dawno przekroczyło granicę wyczerpania. Otwieram oczy po krótkiej chwili - tak mi się przynajmniej wydaje, gdy próbuję się otrząsnąć i wrócić do rzeczywistości.

Patrzę na numery stref na panelu alarmu. Wciąż są ciemne.

Pięć minut po pierwszej w nocy zjawia się Harland Bentley ze swoim adwokatem. Powiedziano mu, że ma tu być dokładnie o pierwszej, więc się spóźnił i McDermott zastanawia się, czy mu tego nie powiedzieć. Może ich zegarki poka-

zują trochę inny czas, ale detektyw przypuszcza, że miliarder zrobił to umyślnie. Bentley ma na sobie granatowy garnitur szyty na miarę, którego żaden gliniarz nie mógłby sobie kupić za całą miesięczną pensję. McDermott podejrzewa, że i ta decyzja nie była dziełem przypadku.

Teraz i już przez cały czas od tej pory McDermott będzie tylko widzem. W którymś momencie, po tym jak wyproszono go z gabinetu porucznika, komendant, gubernator, nadinspektor policji stanowej Edgar Trotter i ich ludzie podjęli zdumiewająco kiepską decyzję, że to syn gubernatora i któryś z jego najwyższych rangą funkcjonariuszy przesłuchają Harlanda Bentleya.

McDermott wchodzi do głównego pokoju obserwacyjnego z uniesioną głową. Nie będzie się kłaniał tym idiotom, nie popełnił żadnego błędu. Bez słowa staje obok komendanta. W pokoju przesłuchań numer jeden Harland Bentley poprawia płaszcz i szepcze coś do swojego adwokata. Prawnik wygląda znajomo. Wysoki, przystojny czarnoskóry facet, sztywnie ubrany w trzyczęściowy szary garnitur w prążki. Ta dwójka prezentuje się nieskazitelnie. Są rześcy i starannie uczesani, choć przesłuchanie zostało zorganizowane w pośpiechu, w samym środku nocy. To nie zbieg okoliczności. Są gotowi na show.

Podnoszą głowy, gdy do pokoju przesłuchań wchodzi Edgar Trotter w towarzystwie swojego porucznika. Szybko podnoszą się z krzeseł.

- Harland - mówi Trotter. I kiwa głową adwokatowi Bentleya. - Mason.

Mason. Och, tak. Mason Tremont. Człowiek, który jeszcze do niedawna był prokuratorem federalnym, a obszar jego jurysdykcji obejmował to miasto. Nic dziwnego, że Bentley wytoczył ciężką artylerię.

Zaczynają od kondolencji. Jak się trzymasz? Jak się czuje gubernator? Jak to zniosła twoja matka? Och, jakie to musi być straszne dla Abby.

McDermott patrzy na komendanta, unosi brwi. Cóż za wspaniały wstęp do przesłuchania. Ci faceci to starzy znajomi. Harland Bentley przelewał setki tysięcy dolarów na rzecz kampanii gubernatora Trottera, a Mason Tremont został mianowany jednym z najważniejszych prokuratorów federalnych przez republikańskiego prezydenta właśnie na prośbę gubernatora, który - jeśli McDermotta pamięć nie myli - pragnął mu się w ten sposób odwdziaczyć za jego imponującą zdolność zbierania funduszy na kampanię.

A teraz syn gubernatora ma przesłuchiwać dwóch najbliższych sojuszników ojca.

Gdy znów siadają, Mason Tremont podkreśla swoje stanowisko.

- Ależ oczywiście, Edgar, oczywiście, że chcemy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc. Ale... - Spogląda na Bentleya, niemal się śmieje, jakby z niedowierzaniem. - Ale jest pewna różnica między poproszeniem kogoś o pomoc jak przyjaciela a grożeniem mu, tak jakby Harland był podejrzanym. Ten detektyw... chyba nazywał się McDermott... w każdym razie dał nam do zrozumienia, że podejrzenie padło na...

- McDermott już nie prowadzi tej sprawy - mówi Edgar Trotter. - Teraz rozmawiacie ze mną.

Detektyw zbiera się w sobie. Próbuje stłumić pragnienie, żeby zobaczyć porażkę Edgara Trottera, ujrzeć, jak będzie bezskutecznie kluczył, aż nie zostanie mu nic innego, jak niechętnie dać znak obserwatorom w pomieszczeniu za szybą, żeby przysłali tam McDermotta. Kogoś, kto robi to jak należy. Nie może zaprzeczyć, że dałoby mu to ogromną satysfakcję, ale jeszcze bardziej pragnie się po prostu dowiedzieć, co, u diabła, wie Bentley.

Trotter zaczyna od podstawowych faktów. Przedstawia je jednak jako przypuszczenia: że Harland sypiał z Ellie Danziger, że był nie tylko ojcem Cassie, ale i Gwendolyn Lake, że Cassie była w ciąży i poddała się aborcji na krótko przed

śmiercią. Mówi, że Leo Koslenko pracował w domu należącem do Mii Lakę i jej córki Gwendolyn. I nazywa to wszystko „informacjami, które otrzymaliśmy”.

- Harland, wiesz, gdzie jest Leo Koslenko?

- Nie wiem. Edgar, ja nawet nie jestem pewien, czy pamiętam, kim był ten człowiek. Z całą pewnością z nim nie rozmawiałem, a przynajmniej nic takiego nie utkwiło mi w pamięci.

Trotter podsuwa mu zdjęcie znalezione w szafce Freda Ciancia, w pudełku po butach: Harland mówi do dziennikarza, Koslenko stoi w tle.

- To ten człowiek w tle, jak przypuszczam? - pyta Bentley. - Mówisz, że pracował w domu Mii, a nie u nas?

Odsuwa się od Koslenki, zwiększa dystans.

Trotter przekrzywia głowę.

- Nie pomagałeś mu dostać azylu w Stanach?

Dystans znów się trochę zmniejsza. Dobra reakcja. I właściwie to rozegrał. Zapytał o to tak, jakby był po prostu ciekaw, bez groźby w głosie.

- Jeśli nawet pomagałem, to tego nie pamiętam. Wydaje mi się, że to by bardziej pasowało do obozu Natalii.

Trotter się nie spieszy. Powoli kiwa głową, ale nic nie mówi. To dobra technika w trakcie przesłuchania. Milczenie podczas rozmowy jest niezręczne. Podejrzani lubią wypełniać taką lukę. Zazwyczaj próbują coś dodać i często jeszcze bardziej się pogrążają.

Ale Harland Bentley nie jest zwyczajnym podejrzanym.

- Shelly była cudowną dziewczyną - mówi. - Spotkałem ją niedawno.

Trotter słucha, wytrzymuje jego spojrzenie i pyta:

- Czy miałaś romans z Ellie Danzinger na krótko przed jej śmiercią?

Mason Tremont unosi dłoń spoczywającą na stole.

- Edgar, zastanawiam się, czy to naprawdę konieczne. Z przyjemnością ci pomożemy prześledzić wszystkie sensow-

ne tropy, ale teraz mówimy o czymś, co działo się wieki temu.

- Doceniam to, Mason, naprawdę doceniam. - Kiwa głową, aby dodać wagi swym słowom, ale unika kontaktu wzrokowego. - Ale Leo Koslenko nie zabił mojej siostry dlatego, że przeszłość nie ma znaczenia. A więc poproszę o odpowiedź.

Tremont kładzie dłoń na ramieniu Bentleya.

- Edgar...

- Będzie chciał odpowiedzieć na to pytanie albo nie. - Trotter upuszcza długopis, który trzymał w dłoni i odchyła się na oparcie krzesła. - Czekam.

W pokoju powiało chłodem.

Tremont poprawia okulary w złotych oprawkach.

- Doradziłem mojemu klientowi, żeby ograniczył swoje odpowiedzi do kwestii, które są istotne dla sprawy. Oszczerstwa pod jego adresem nie są istotne.

- A co z Gwendolyn Lake, Harland? Jesteś jej ojcem?

Tremont lekko pochyla głowę. Wygląda na to, że daje w ten sposób sygnał swojemu klientowi.

- Tak, to prawda - mówi Bentley.

McDermott kiwa głową. Niezbyt zaskakujące. Podobnie jak fakt, że się do tego przyznał. Gwendolyn wciąż żyje. Na to pytanie mógłby odpowiedzieć zwykły test na ojcostwo. Daje im coś, co mogliby dostać i bez niego, i sprawia jeszcze przy tym wrażenie kogoś, kto robi im grzeczność i próbuje pomóc.

Edgar Trotter wyjmuje dokument z teczki leżącej przed nim na stole. Mikę staje na palcach, żeby lepiej widzieć. To notatka, którą znaleźli w sypialni Leo Koslenki. McDermott też ma jej kopię:

Wiem, że wiesz o moim związku z Ellie. A ja wiem o twoim związku z moją córką. Jeśli ty o tym wspomnisz, ja też to zrobię. Ale jeśli będziesz milczeć, ufunduję ci katedrę w Mansbury College. Potrzebuję twojej odpowiedzi natychmiast.

Bentley zostawia notatkę na stole, żeby mógł ją równocześnie czytać jego adwokat. Przez chwilę w milczeniu przebiega ją wzrokiem, potem chwyta ze stołu i przysuwa do oczu, żeby lepiej się przyjrzeć. Tremont, który już nie widzi tekstu, odsuwa się lekko, dając klientowi trochę przestrzeni.

McDermott obserwuje, jak Harland przebiega oczami po kartce. Usta mu się rozchylają, brwi drżą. Wkrótce zaczyna bezgłośnie poruszać wargami, czyta jeszcze raz. Twarz wykrzywia mu narastające przerażenie.

Coś tutaj nie gra. McDermott czuje to w brzuchu.

- O mój Boże! - mówi Bentley.

- Ta notatka została dostarczona profesorowi Albany'emu - informuje beznamiętnie Trotter. - Już potwierdził, że ją otrzymał. I już się przyznał, że przyjął tę propozycję.

Tremont kładzie dłoń na ramieniu swojego klienta. Bentley gwałtownie wstaje z krzesła i przemierza kąt pokoju, zakrywając twarz dłonią.

- Może to dobry moment na krótką przerwę - sugeruje Tremont.

Harland odwraca się nagle i patrzy na Trottera.

- Chcesz powiedzieć, że ten... ten nauczyciel... i moja córka...?

Trotter nie odpowiada. Mówi natomiast:

- Wiemy, że dotrzymałeś swojej części umowy. Że ufundowałeś katedrę dla profesora Albany'ego.

- Cóż, tak, ja... - Harland Bentley urywa w pół zdania. Powoli unosi głowę. Oczy ma rozbiegane. Niemal niedostrzeżalnie porusza ustami, wypowiadając coś, czego nie sposób zrozumieć.

- Chciałbym chwilę porozmawiać z moim klientem - mówi Tremont.

Coś tu nie gra. Coś jest nie tak.

- A to dobre - mamrocze pod nosem Bentley. - A to dobre.

W pokoju przesłuchań numer jeden zapada cisza. Harland Bentley nadal potrząsa głową, w pewnej chwili na jego twarzy pojawia się nawet ironiczny uśmiech. Na razie postanawia jednak milczeć. Edgar Trotter podjął już decyzję, że pozwoli wydarzeniom biec ich własnym torem.

McDermott zastanawia się nad reakcją Harlanda Bentley'a na tę notatkę. Albany zachowywał się zupełnie inaczej. Bentley przeczytał każde słowo, od deski do deski. A jeśli blefował, udając zaskoczenie, to był to najlepszy blef, jaki McDermott w życiu widział.

Harland Bentley nie napisał tego listu.

- Nie napisałem tego listu.

Trotter bierze kopię notatki do ręki i uważnie się jej przygląda - albo przynajmniej udaje, że się przygląda.

- A więc ta notatka dotyczy kogoś innego?

- Nie - przyznaje Bentley. - Ta notatka dotyczy mnie. To... to prawda o Ellie Danzinger i o mnie. Muszę to przyznać. Tak. Ale to nie ja napisałem ten list. Nigdy go przedtem nie widziałem.

- Ale ufundowałaś tę katedrę w Mansbury College dla profesora...

- Tak.

- ...twierdzisz, że to nie dlatego, że się z nim dogadałaś?

- Zgadza się.

- Czyli to tylko zbieg okoliczności? Osoba, która to napisała, potrafiła przewidzieć przyszłość?

Nie, nie o to mu chodzi. Jeśli mówi prawdę, to ktoś, kto napisał tę notatkę, wiedział o jego romansie z Ellie. I wiedział o romansie Cassie z profesorem Albanym.

I musiał mieć jakieś możliwości wpływania na decyzje w takich sprawach, jak ufundowanie katedry dla wykładowcy z college'u.

I znał też Leo Koslenkę, który dostarczył tę notatkę profesorowi Albany'emu.

- Natalia - mówi na głos McDermott.

W pokoju przesłuchań Harland Bentley znów potrząsa głową, pograżony w myślach.

- Kiedy Natalia i ja się rozwiedliśmy... cóż, nie mogłem jej o to winić. Nie tylko pragnęła się ode mnie uwolnić, chciała to zrobić natychmiast. Mogła próbować wyegzekwować postanowienia intercyzy, walczyć ze mną w sądzie, ale zaproponowała mi ugodę z jednorazową kwotą. To powiedziało mi wszystko, co chciałem wiedzieć: pragnęła, żebym zniknął z jej życia, i to jak najszybciej. - Wzdycha. - Oświadczyła, że te pieniądze są moje, ale pod jednym warunkiem.

- Sfinansowania tej katedry dla Albany'ego - mówi Trotter.

Harland z powagą kiwa głową.

- Twierdziła, że był dla Cassie mentorem. Córka zawsze wyrażała się o nim bardzo pochlebnie. A wtedy, po tym, co zrobił ten... ten potwór, profesor pewnie straciłby pracę. Nie miał tam jeszcze stałego etatu. Po tym, co się stało, nigdy by już nie był wykładowcą. - Unosi w górę dłoń. - Zdawałem sobie sprawę, że nie byłem najlepszym mężem. Skoro Nat prosiła mnie tylko o tę jedną przysługę, postanowiłem to dla niej zrobić. Gdybym wiedział, gdybym nawet miał choć cień podejrzenia, że on położył swoje łapska na mojej córce...

McDermott zerka na komendanta, ten milczy. Oziębła rezerwa. Detektyw nie ma już nic do powiedzenia w tej sprawie. A zresztą - z tego, co wie - komendant też nie.

Pieprzyć to wszystko. To sprawa McDermotta - czy im się to podoba, czy nie. I właśnie zrobiła się jeszcze bardziej interesująca.

Ludzie na posterunku zaczynają się rozchodzić. Już prawie druga w nocy. To był długi dzień dla Trotterów, dla gliniarzy, dla każdego. Dziś w nocy nic już nie zrobią, może poza gorączkowymi poszukiwaniami samochodu Leo Koslenki.

Natalia Lakę kazała dostarczyć tę notatkę Albany'emu. Nie chciała, żeby związek jej córki z profesorem wyszedł na jaw. Nie chciała, żeby wydał się romans jej męża z Ellie. Rozwiodła się z Harlandem zaledwie w kilka tygodni po śmierci Cassie i całej serii morderstw.

Dlaczego?

- Niech pan idzie do domu, detektywie - mówi do niego komendant.

McDermott nie odpowiada, ale kiwa głową. Nie ma tu już nic do roboty. Pora sobie pójść.

Ale nie zamierza jechać do domu.

Czas działa na moją niekorzyść. Siedzę w korytarzu przy sypialni, walcząc z ogarniającą mnie sennością. Muszę tak dotrzeć do wpół do szóstej. Głowa mi opada, co chwila budzę się z nerwowym szarpnięciem. Zamglonym wzrokiem sprawdzam panel alarmu w korytarzu na najwyższym piętrze. Potem wstaję, połykam parę tabletek aspiryny i biorę szybki prysznic. Poruszam się cicho po domu, czujnie nasłuchując każdego dźwięku. Zmuszam się do przełknięcia paru kęsów tostu. Podchodzę do tylnych drzwi, oczekując, że tam się to stanie. Ale nie. Wychodzę bez przeszkód i kieruję się w stronę samochodu. Otwieram drzwi garażu, szykując się na to, co zastanę w środku, ale nie ma tam nic oprócz mojego cadilla-ca, kosiarki do trawnika i paru narzędzi ogrodniczych.

Wsiadam do samochodu i głęboko wciągam powietrze do płuc. Czas odwiedzić Natalię Lakę. Czas się przekonać, jaki ze mnie pokerzysta.

50

Gdy o siódmej wysiadam z auta, czeka już **na mnie kobie**[^]ta w bieli. Trzyma ręce założone za plecami.

- Dzień dobry, panie Riley.

- Witam.

Pokazuje szerokim gestem na wejście do domu.

- Pani Lakę pana oczekuje.

Wchodzę za nią przez frontowe drzwi do wymuskanego foyer. Prowadzi mnie do salonu z antykami i fortepianem. To nieskazitelnie czysty, kunsztownie urządzonej pokój, który aż krzyczy bogactwem i smutkiem.

- Dziękuję, Marto.

Odwracam się i widzę panią Lakę. Mój umysł błyskawicznie cofa się w czasie do tamtej chwili, kiedy właśnie zidentyfikowała zwłoki córki. Czas był dla niej łaskawy, ale jak na moje oko twarz i szyja Natalii nie obyły się bez wydatnej pomocy chirurgii plastycznej. Sztuczne napięcie skóry sprawia, że jej twarz ma nienaturalny, dziwnie surowy wyraz.

- Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać, pani Lakę.

- Och, proszę, mam na imię Nat. - Jest ubrana w białe spodnie i lawendową bluzkę z rękawami sięgającymi trzech czwartych ramienia. Ujmuje obiema rękami moją dłoń. - Po tym wszystkim... po prostu Nat.

Siadamy obok siebie na sofie. Dotyka mojego ramienia opuszkami długich, chudych palców.

- To ta kobieta, z którą byłeś? Shelly Trotter?

Kiwam głową.

- Córka Langa. O Boże! - Przygląda mi się uważnie. - Paul, proszę, powiedz mi, że Harland nie jest za to w żaden sposób odpowiedzialny.

- Harland nie jest za to w żaden sposób odpowiedzialny.

Wciąga powietrze do płuc. Reakcja, ale nie wiem jaka.

- W tym tygodniu podejmowano próby zatuszowania prawdy - mówię. - A Harland nie ma nic do ukrycia. To prawda, zrobił wiele rzeczy, których można się wstydzić. Sy piał z najlepszą przyjaciółką twojej córki. Spłodził dziecko z twoją siostrą. Ale on wtedy nikogo nie zabił, Nat. A to zna-

czy, że teraz też nie ma powodu do zabijania. Nie ma nic, przed czym musiałby się w ten sposób bronić.

Czekam, aż Natalia przełknie te słowa, mając nadzieję, że coś odpowie. Linie jej ust wykrzywia grymas. Jest zawiedziona - myślę. Tak przynajmniej to odbieram. Ale nie oczekuję, że się do tego przyzna. Zajmuje dłonie papierośnicą - otwiera małe pudełeczko z masy perłowej, sięga po ogień, w milczeniu pali.

Nie jestem do końca pewien, czego tu szukam. Wiem, że coś się tu kryje, czuję to. A uchodzę za całkiem niezłego w drażeniu.

- Wiesz, jak dotrzeć do Leo Koslenki? - pytam.

- Oczywiście, że nie wiem. - Ale jej odpowiedź pada zbyt szybko, brzmi zbyt obronnie. Była przygotowana na to oskarżenie.

- To ty go tu sprowadziłaś, Nat. To twoja rodzina w Związku Radzieckim знаła się z jego rodziną. Był chorym, udreżonym człowiekiem. I lojalnym wobec ciebie. I tylko wobec ciebie.

Natalia strzepuje popiół z papierosa do marmurowej popielniczki. Nigdy, przez całe swoje życie, nie musiała się przed nikim tłumaczyć. I teraz nie zamierza tego zmieniać.

Będzie ją trzeba trochę pociągnąć za język.

- Leo Koslenko zabił Ellie Danzinger - mówię - bo ty mu kazałaś.

- Och - rozbawione parsknięcie. Odwraca twarz w moją stronę, utrzymując ten grymas, połączenie pogardy i pełnego satysfakcji uśmiechu. - I... to wszystko? To ja stałam za tymi morderstwami? Kazałam zabić wszystkie te dziewczyny? W tym własną córkę? Tak myślisz, Paul?

Jej ton jest protekcyjny, ale w oczach zapłonął teraz ogień. Zostawia palącego się papierosa w popielniczce i wstaje z sofy. Poprawia jakieś dzieło sztuki na ścianie. Jak na mój gust ten obraz wisiał całkiem prosto, a to świadczy, że

czuje się coraz mniej swobodnie. Być może chce zyskać na czasie.

- Nie chciałaś zabić swojej córki - mówię. - Ale nie miałaś wyboru. Cassie domyśliła się, co zrobiłaś Ellie. Wie działałaś, że nie będzie milczeć.

To, co mówię, nie jest prawdą. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ale najlepsze, co mogę teraz zrobić, to potrząsać drzewem, aż coś z niego spadnie. I czuję, że potrząsam właściwym drzewem.

Coś na lewo przykuwa mój wzrok, przelotna zmiana oświetlenia w holu. Jakby słaby cień.

Ktoś jest w korytarzu.

- To ty chciałaś wykluczyć ze sprawy zarzuty związane z morderstwem Cassie - oznajmiam. - Bałaś się, że ktoś się temu zbyt dokładnie przyjrzy. Albo że ktoś się nią będzie interesował.

Natalia zakłada dłonie za plecami i powoli kiwa głową.

- To, co mówisz, Paul, jest nie tylko absurdalne. To coś, czego nigdy nie udałoby ci się udowodnić.

- Nie bądź tego taka pewna. - Odwracam się lekko w stronę holu, starając się nie przyciągnąć jej uwagi do tego ruchu. Zaczynam przemierzać pokój, również po to, żeby zbliżyć się do holu, i mówię zwrócony w tamtą stronę, plecami do Natalii. Chcę mieć pewność, że usłyszy mnie nie tylko pani Lakę, ale i ten ktoś w korytarzu.

- Zaczniemy od ekshumacji ciała Cassie - mówię.

- Blefujesz - rzuca w stronę moich pleców. - Już skazałeś człowieka za...

Przerywa w pół zdania, a ja się uśmiecham. Cóż za ironia. Dzięki Natalii nikt nie został skazany za zabicie Cassie. W sprawie jej śmierci nigdy nikogo nie oskarżono.

- Blefujesz - powtarza.

- Nie blefuję, Nat. Gubernator Trotter zamierza mianować mnie prokuratorem specjalnym w śledztwie dotyczącym

zabójstwa Cassie. Moją pierwszą decyzją będzie aresztowanie ciebie pod zarzutem morderstwa.

Nic z tego nie jest prawdą, ale brzmi wiarygodnie, a tylko to ma w tej chwili znaczenie.

- Technologia posunęła się sporo do przodu przez te szesnaście lat - ciągnę dalej. - Mogę sobie tylko wyobrazić, co znajdziemy na ciele twojej córki.

Prawda jest taka, że raczej niewiele by to dało. Ale ona o tym nie wie. Tak czy inaczej nie o to mi chodzi.

- I zniszczysz wszystko, co osiągnąłeś - ostrzega mnie Natalia. - Zniszczysz największe osiągnięcie w całej swojej karierze.

To nie jest pytanie, więc nie odpowiadam. Nie spuszczam z oczu drzwi do holu.

Tak jak się spodziewałem, pojawia się w nich Gwendolyn Lakę. Przekracza próg salonu, ubrana w długi podkoszulek i szare spodnie od dresu.

- Kochanie... - Widzę kątem oka, jak Natalia postępuje krok do przodu.

Kiwam głową Gwendolyn.

- Myli się pan - mówi do mnie.

Nigdy nie wracaj, nigdy się tu nie zbliżaj, to rozkaz, musisz być posłuszny...

Nigdy nie wracaj, niech twoja noga nigdy nie postanie w Highland Woods. Weź pieniądze, weź więcej, jeśli chcesz, ale nigdy nie wracaj, nikt nie może się dowiedzieć...

Okolica wygląda inaczej, niektóre domy przebudowano, inne są zupełnie nowe. Miłe miejsce, Highland Woods...

Nigdy nie wracaj. Ale są wyjątki. Na przykład kiedy Paul Riley odwiedza panią Bentley - teraz panią Lakę.

Leo przejeżdża obok jej domu. Teraz to rezydencja pani Lakę. Kiedyś należała do jej siostry. Leo szybko ją mija, potem parkuje u stóp wzgórza. Labirynt uliczek to tylko złudzenie - wszystkie i tak prowadzą w dół, na Browning Street.

Będzie tu czekał na Rileya, w samochodzie zaparkowanym przy parkometrze, z kubkiem kawy i gazetą.

Ten tydzień ciągnął się w nieskończoność. Ale dzisiaj najdzie koniec.

Natalia Lakę wchodzi pomiędzy Gwendolyn a mnie.

- Nie, kochanie, nie...

- Ciociu Natalio. - Gwendolyn próbuje ją obejść.

- Nie, skarbie...

- Ciociu Natalio. Ciociu Natalio! - Ujmuje ramiona Nat i patrzy jej prosto w oczy. - Ciociu Natalio, powiem o tym. Wiem, że chcesz chronić pamięć Cassie, ale to nie jest tego warte.

Nat przez chwilę zмага się ze sobą. W końcu poddaje się, jej ciało się rozluźnia. Mija mnie, nie mówiąc ani słowa i nie patrząc w moją stronę. Podchodzi do okna.

Przenoszę wzrok na Gwendolyn. W tym długim podkoszulku i spodniach od dresu, z włosami zmierzwionymi od snu i zmęczonymi oczami, wydaje się taka naga, otwarta... szczerza. Nic nie mówię, bojąc się, że mógłbym to zniszczyć, bezpowrotnie zaprzepaścić tę szansę. Gwendolyn do mnie przyszła. Teraz to już równia pochyła. Shelly... Ignorując ból w piersiach, uświadamiam sobie, że co do niej się nie myliła: w końcu mi powie. Musiałem ją tylko do tego skłonić.

- Nie myli się pan co do mnie - mówi Gwendolyn bezna miętym głosem. - Moim biologicznym ojcem jest Harland. Matka powiedziała mi o tym przed śmiercią. Nie chciała mi tego mówić, ale czuła, że mam prawo wiedzieć. - Patrzy na Natalię, która stoi teraz bez ruchu i wygląda przez okno. - Na początku była tak przerażona ciążą, że uciekła do Francji. Do naszego domu w Cap-Ferrat. Myślę, że planowała... że chciała... usunąć tę ciążę.

Kiwam głową. Mia Lakę najwyraźniej zmieniła zdanie. Zrezygnowała z aborcji i urodziła Gwendolyn na francuskiej Riwierze.

- Powiedziałam o tym Cassie - przyznaje Gwendolyn. - Tamtego lata, kiedy byłam w mieście. Kiedy o tym myślę... to nie było miłe. Nie powinnam tego robić. Nie wiedziałam, przez co wtedy ona przechodziła. Nie wiedziałam o tym wszystkim... A potem było już za późno.

A potem było już za późno.

- Chcesz mi powiedzieć, że Cassie zabiła Ellie Danzinger - upewniam się.

Tego się właśnie domyślałem. Po tym wszystkim, co usłyszałem ubiegłej nocy, nie widziałem innego rozwiązania. Ale zostało jeszcze parę rzeczy, których wciąż nie wiem.

- Dowiedziałyśmy się później - ciągnie dalej Gwendolyn. - Cassie nam potem powiedziała. I nie, nikogo nie powiadomiłyśmy. Nie zrobiłyśmy nic. Po prostu nie wiedziałyśmy... nie wiedziałam, co robić.

- Wyjechałaś z miasta - mówię. - W środę, w tym tygodniu, kiedy popełniono te morderstwa.

Kiwa głową.

- Nie byłam takim typem człowieka... zwłaszcza wtedy... Wydawało mi się, że nie wytrzymam przesłuchań na policji. - Milczy przez chwilę, jej oddech przyspiesza. - Rozumie pan... wiedziałyśmy, że kiedy znajdą Ellie, przyjdą po Cassie. One były ze sobą tak blisko. A ja nie chciałam odpowiadać na żadne pytania. I tak wpadłam do miasta tylko na krótko, więc mój wyjazd nikogo nie zdziwił. To było zupełnie naturalne.

Spoglądam na Natalię, stojącą nieruchomo przy oknie, a potem znów przenoszę wzrok na Gwendolyn. Do oczu napływają jej łzy, twarz ma bladą jak płótno, a jednak mimo to wydaje mi się, że czuje ulgę.

- A co potem? - pytam Gwendolyn. Tak naprawdę to py tam je obie.

Gwendolyn potrząsa głową, mruga powiekami, żeby nie napęłniły ich łzy.

- Potem... nic. Wyjechałam. Ciocia Natalia i Cassie wstrzymały oddech i czekały na wizytę policji. Ale nikt się

nie zjawił. A więc żyły dalej własnym życiem, a potem Cassie została zamordowana.

Potrząsam głową, jakby wciąż brakowało mi paru elementów tej układanki.

Gwendolyn wzrusza ramionami.

- Terry Burgos musiał widzieć, jak to się stało. Przecież śledził Ellie, podglądał ją, zgadza się? Musiał widzieć. A po tem z tego powodu zabił Cassie. To znaczy... niech pan mi to powie, panie Riley. Możemy tylko zgadywać, jak było.

Możemy tylko zgadywać? Nie sądzę. Te dwie kobiety w tym pokoju nie muszą niczego zgadywać. Ale i tak chcę usłyszeć resztę tego, co mają mi do powiedzenia.

- A co z Leo Koslenką? - pytam.

- On też o tym wiedział. Cassie powiedziała nam trojgu.

Rozkładałam ręce.

- 1?

- I nic. - Wzrusza ramionami. - On też nic nie zrobił.

- Nie wiemy, dlaczego Leo robi teraz to wszystko - mówi Natalia, odwracając się od okna. - Myślimy, że próbuje jakoś chronić Cassie.

To nie jest satysfakcjonujące wyjaśnienie, ale mnie to nie dziwi. Wiedzą więcej, niż mi mówią, ale akurat w tej kwestii nie spodziewałem się od nich pomocy.

I nie przyjechałem tu po to, żeby usłyszeć tę historię. Chciałem przez to osiągnąć dwa cele. Jeden z nich osiągnąłem przez samo to, że się tu zjawilem. A drugi mam już być może w zasięgu ręki.

- A więc moją pierwszą decyzją jako prokuratora specjalnego - mówię - będzie formalne uniewinnienie Terry'ego Burgos od zarzutów zamordowania Ellie i zidentyfikowanie Cassie jako jej zabójczym.

- Czy to naprawdę konieczne? - Nat podchodzi do mnie. - W tych okolicznościach...

- W jakich okolicznościach? - pytam. - Zaplanowała morderstwo z zimną krwią. To nie...

- Ona niczego nie zaplanowała! - Twarz Gwendolyn okrywa się płomienną purpurą. - Nie była jakąś wyrachowaną morderczynią. Widziała, jak ojciec wychodzi z mieszkania jej najbliższej przyjaciółki, panie Riley. Nie jest pan nawet w stanie sobie wyobrazić czegoś tak odrażającego, tak obrzydliwego...

Przerywa, zasłaniając ręką twarz. Stoicka fasada Natalii zaczyna pękać.

Mobilizuję całe moje doświadczenie prawnika procesowego, wyszkolonego, by zachować spokój w obliczu zaskoczenia, umiającego stłumić emocje i prezentować kamienną twarz. Ręce i nogi zaczynają mi drżeć. Oblewa mnie pot. Muszę iść. Muszę się stąd wydostać. Nie wiem, czy w ogóle jestem w stanie mówić. Zalewa mnie potężna fala adrenaliny.

Oddalam się od nich, kierując się do drzwi. Natalia woła za mną: „Proszę, pomyśl o tym, Paul” albo coś w tym stylu. Już jej nie słyszę. Teraz ogarnęła mnie nadzieja, pochłonęła tak absolutnie i bez reszty, że muszę sobie przypominać, aby stawić jedną stopę przed drugą.

Powiedziały mi dużo, wiele z tego było kłamstwem lub próbą wprowadzenia w błąd. Ale między wierszami wyznały coś o wiele ważniejszego niż to, co się wydarzyło szesnaście lat temu.

Że być może Shelly wciąż żyje.

51

Jest. Zbliży się. Teraz jest z nami. Znowu z nami. Rozmawiał z panią Lakę. Ona to załatwiła. Teraz on to załatwi. Tak jak kiedyś.

Leo unosi gazetę, gdy samochód Rileya mija jego wóz i skręca w Browning Street.

Co ona mu powiedziała? Czy Riley wie już o wszystkim?

Co teraz zrobi?

Jedź za nim. Ale nie za blisko. Poczekamy, zobaczymy.

Co mam robić? Jadę Browning Street, niepewny następnego ruchu. Miałem nadzieję, że Koslenko będzie mnie śledził. Jeśli nie myliło mnie przecucie co do Natalii - że to ona pociągała za sznurki, a Leo był marionetką - i jeśli widział, że do niej jadę, być może myśli teraz, iż jestem po jego stronie. To oraz oświadczenie dla prasy, które wygłosiłem ubiegłej nocy przed posterunkiem - uparcie twierdząc, że to Terry Burgos jest sprawcą wszystkich sześciu morderstw z Mansbury - będzie musiało wystarczyć do przekonania Leo, że znów stałem się jego sojusznikiem. Że jestem jego towarzyszem w próbach zatuszowania prawdy.

Gdzie jest Shelly? Żołądek mi się buntuje na samą myśl o tym, że naprawdę zadaję sobie to pytanie i w ogóle biorę pod uwagę taką możliwość.

A więc do mam teraz robić? Czekać, aż Koslenko do mnie przyjdzie? Jak mam do tego doprowadzić? Uczyniłem wszystko, co w mojej mocy - od publicznego oświadczenia aż po wizytę u Natalii - żeby go złapać na haczyk. Czy mogę zrobić coś jeszcze?

Shelly może być wszędzie. Koslenko miał milion miejsc do wyboru, żeby ją ukryć. Będę musiał stanąć z nim twarzą w twarz. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby mi powiedział...

Koziółkująca piłka wpada na ulicę, a tuż za nią wybiega młodziotki chłopak. Daję po hamulcach i zatrzymuję się niecałe dwa metry od niego. Patrzy na mnie tak, jakby to wszystko była moja wina.

Jezu, dziecko - myślę, czując, jak opada adrenalina. Nie powinieneś być w szkole albo coś w tym stylu?

I wtedy mnie olśniewa. Dzieciak na ulicy pokazuje mi palec, a ja już znam odpowiedź na moje pytanie.

Boże. Oczywiście.

Nie powinien być w szkole. Szkoły są w lecie zamknięte.

Auto Riley'a zatrzymuje się z piskiem opon. Leo zwalnia swoją toyotę camry, trzy samochody za nim. Ale po chwili - gdy dzieciak, który wybiegł na drogę, wraca na chodnik - wóz Riley'a wyrywa do przodu jak rakieta, wyprzedzając jeden samochód i ignorując czerwone światło przy pełnym oburzeniu akompaniamentie klaksonów.

Nie. Nie. Nie. Leo manewruje samochodem i ma szczęście - zapala się zielone światło. Chce się trzymać z tyłu, ale nie za bardzo. A przy tej jeździe Riley'a Leo wkrótce go zgubi. Nie, nie, nie możesz go zgubić...

Paul skręca. Daleko z przodu, dwie przecznice dalej, jego wóz zjeżdża na prawe pasmo. Leo próbuje rozpoznać ulicę, wciska pedał gazu. I wtedy go widzi.

Riley wjeżdża na autostradę, pędzi na południe.

Nie jest pan nawet w stanie sobie wyobrazić czegoś tak odrażającego, tak obrzydliwego...

Pędzę przez kampus Mansbury College. Obrazy za oknem wydają mi się teraz surrealistyczne. Wszystko jest takie samo, a jednak tak bardzo różne. Kampus jest prawie opustoszały, tak jak szesnaście lat temu o tej porze. W następnym tygodniu zaczną się kursy letnie. Pozostaje tylko pytanie, czy znajdą wtedy kolejne ciało.

Audytorium Bramhall zajmuje pół przecznicy - zwieńczony kopułą budynek wznoszący się znad olbrzymich betonowych schodów. Wejście wsparte na granitowych kolumnach, wypielegnowany trawnik po obu stronach. Zatrzymuję się przy krawężniku i wyłączam silnik. Sięgam pod siedzenie, podnoszę wykładzinę i wyjmuję zwykły nóż kuchenny z pięciociałowym ostrzem, którego użył Terry Burgos do usunięcia serca Ellie Danzinger i poderżnięcia gardła Angie Mornakowski.

Albo tak przynajmniej sądziłem. Gdy dziś rano zdejmowałem ten nóż ze Ściany Burgosa w mojej piwnicy, musiałem w duchu przyznać, że nie jestem już tego taki pewien.

Szesnaście lat temu wysiadłem z samochodu bardzo blisko tego właśnie miejsca. I moje życie się zmieniło.

Wtedy teren był otoczony przez policjantów i techników, mieszkańcy miasta tłoczyli się przy policyjnej taśmie, a wewnątrz leżało sześć martwych kobiet. Jeśli się nie mylę, tym razem w środku jest tylko jedna ofiara, która wciąż jeszcze żyje. I nie ma policji. Tego właśnie chciał Koslenko. Nie mogłem ryzykować, sprowadzając McDermotta czy kogokolwiek innego.

Jak będziesz grzeczny, ona też będzie żyła.

Wsuwam nóż do wewnętrznej kieszeni mojej sportowej kurtki. Nie mam broni palnej i w tak krótkim czasie nie miałbym szans jej zdobyć. Mogłem przynieść ze sobą dowolną liczbę kuchennych noży, ale być może - tylko być może - ten konkretny nóż jakoś mi się przyda.

Modłę się cicho do Boga, o którym prawie już zapomniałem, i wysiadam z samochodu. Budynek wydaje się spokojny, opustoszały. Ten tydzień - przypadający w szesnastą rocznicę tamtych morderstw - to jeden z nielicznych w ciągu roku, kiedy cały kampus Mansbury jest zamknięty.

Odwracam się, jakbym chciał jeszcze raz zerknąć na samochód, i próbuję najlepiej jak potrafię rozejrzeć się wokół. Czy Koslenko tu jest? Czy mnie obserwuje? Będę miał tylko jedną szansę, żeby to zrobić. Muszę to rozegrać właściwie.

A to oznacza, że ignorując cały wewnętrzny chaos, który mną miota, powoli, pewnym i władczym krokiem wspinam się po schodach.

Są trzy wejścia. Drzwi frontowe, wejście dla personelu od wschodu i drzwi dostawcze na tyłach, od północnej strony. Sprawdzam masywne drzwi frontowe. Z rozczarowaniem, ale bez zaskoczenia stwierdzam, że są zamknięte.

Przechodzę na wschodnią stronę budynku.

Leo podjeżdża do Audytorium Bramhall od północnej strony, od tyłu, i zostawia samochód na pobliskim parkingu.

Wbiega po rampie i zabiera się do pracy nad zamkiem drzwi dostawczych, używając klucza dynamometrycznego i krótkiego haka. Rygiel przesuwają się, otwierając zamek, i Leo pociąga za klamkę. Wkracza w ciemność.

Drzwi od wschodniej strony mają tylko masywną klamkę od wewnątrz. Z zewnątrz nie ma nic - tylko płaska, zardzewiała płyta. Nie otworzyłbym tego nawet armatą.

Idę po nierównym, pochyłym gruncie na tyły budynku, skręcam za róg i zamieram bez ruchu.

Na parkingu od tyłu stoi jeden samochód. Toyota camry.

Thumiąc emocje, zbierając wszystkie siły, jakie mi pozostały, rzucam się biegiem ku jedynym drzwiom u szczytu niewielkiej rampy, chwytam za klamkę, próbuję jeszcze raz, modląc się w duchu, i otwieram je. Jestem w środku.

Moje oczy przystosowują się do słabego światła. Omiatam wzrokiem przestronne pomieszczenie: powierzchnię magazynową, wielkie lodówki i regały sięgające od podłogi do sufitu, zapełnione pudłami. Biegnę do wielkiej kuchni - zlewy, kuchenki i więcej lodówek. Po mojej lewej stronie są schody i winda.

Pędzę ciemną klatką schodową i pchnięciem otwieram drzwi zalanego światłem parteru. Wielkie, bogato zdobione pomieszczenie, czerwone i złote draperie, antyczne meble, światło słoneczne sączące się przez wielkie okna. Moje serce uderza mocniej. Znam to pomieszczenie. To recepcja, hol prowadzący do auli. Zapominając, że mam odgrywać rolę opanowanego, władczego twardziela, biegnę dalej, otwieram kolejne drzwi i jestem na znanym terenie, przy ogromnej scenie i podwyższeniu auli. Salę zalewa naturalne światło. Pokonuję sprintem przejście między rzędami siedzeń. Mijam te same krzesła, na których siedzieli ze mną przed szesnastu laty Joel Lightner i Harry Clark, omawiając potworne szczegóły popełnionej tu zbrodni. Docieram do foyer i patrzę w lewo,

na drzwi prowadzące do sutereny, do pomieszczenia gospodarczego używanego przez woźnych.

Podchodzę do nich, wiedząc z całą pewnością, że mają rygiel, który normalnie byłby zasunięty, i cicho je otwieram.

Wie, że przyjdę. Czeka na mnie.

52

Leo otwiera ostatnie drzwi do piwnicy. Mija szafki z metalowej siatki na krótszej ścianie oraz regały, podchodzi do dużych szafek magazynowych stojących pod najdalszą ścianą. Zatrzymuje się na chwilę i nasłuchuje. Cisza. Otwiera środkową szafkę i patrzy w dół.

Shelly Trotter nie podnosi głowy, aby spojrzeć na Leo, ale ten widzi w jej szklistych oczach, że go rozpoznaje. Dostała dwie potężne dawki kwasu czterohydroksybutanowego - GHB. Wystarczyło, żeby była w stanie odurzenia od wczorajszego ranka, kiedy obezwładnił ją pod prysznicem. Nadgarstki i kostki u nóg Shelly są skute kajdankami, trzecie kajdanki łączą te, które krepują jej ręce i nogi, wyginając ciało młodej kobiety w wymuszoną pozycję zaokrąglonego trójkąta. Dzięki temu zmieściła się - choć z trudem - w tej większej szafce, w której normalnie przechowywane są łopaty, szufla do odśnieżania i tym podobny sprzęt. Teraz jest w niej tylko ukochana Paula Riley i dwudziestosześciorozmiarowa maczeta firmy Barteaux z utwardzanej stali resorowej.

Bardzo niewygodna pozycja dla ciała, Leo wie o tym. Wypróbowywali ją czasami w Związku Radzieckim na opornych, aby ich skłonić do współpracy, złamać długim przetrzymywaniem w takim położeniu. Ale jej ból nie ma dla niego znaczenia. Musiał ją tu zostawić na dłużej, a więc chciał mieć pewność, że nie będzie się mogła ruszać. Tak właściwie

to jest w narkotycznej śpiączce, odkąd ją wyniósł z mieszkania.

Shelly Trotter, Shelly Trotter.

Teraz widzi, że i tak nie byłaby w stanie nic zrobić - nawet bez kajdanek. GHB dobrze zadziałało. Głowa jej się kołysze, jęczy, ale nie jest w stanie mówić. Spodnie od dresu, w które ją ubrał, są zaplamione od moczu i odchodów. Ostry odór przebija się przez antyseptyczny zapach środków czyszczących. Jej kręcone włosy przykleiły się do głowy. Porusza wargami, ale nie mówi, z kącika ust ścieka strużka śliny.

Leo zdejmuje trzecie kajdanki, które łączą żelastwo skuwające ręce i nogi Shelly. Jej ciało reaguje, prostując się na tyle, na ile pozwala ciasna szafka. Wyciąga kobietę na zewnątrz. Nie zdejmie kajdanek z rąk i nóg. Zastanawia się przez chwilę, czy nie powinien jej podać trzeciej dawki środka paralizującego, ale rezygnuje z tego pomysłu.

Słyszy jakiś hałas, słabe echo w korytarzu, odgłosy kroków na schodach. Szybko wstaje i zamiera w bezruchu, uspokaja oddech, nasłuchuje. Słyszy skrzypnięcie otwieranych drzwi na końcu korytarza.

Wyjmuje pistolet i czeka.

Zmuszam się do podejścia - szybkim, ale opanowanym krokiem - do ostatnich drzwi w korytarzu. Pakamera woźnego - tam gdzie znaleziono ciała. Mijam inne pomieszczenia magazynowe, wiedząc, że on może być w każdym z nich - przyczajony, żeby mnie zaskoczyć. Ale muszę założyć, że Shelly jest w pakamerze woźnego. O tej porze roku, w wakacje, kiedy nie ma zajęć, każde pomieszczenie nadałoby się do jego celów. Ale przez cały ten czas był bystry. Próbował trzymać się słów piosenki, żeby ostatnie morderstwa wyglądały na robotę naśladowcy. Od samego początku pragnął wrobić Albany'ego, a w końcu to właśnie profesor znał te słowa lepiej niż ktokolwiek inny. Będzie chciał, żeby zgadzał się każdy szczegół.

Szybko dochodzę do ostatnich drzwi, uświadamiając sobie, że nie mam planu ani czasu, aby coś wymyślić. Naciskam klamkę i otwieram je pchnięciem, modląc się, abym nie został powitany gradem kul.

Ale on miał już wielokrotnie okazję mnie zabić.

Wchodzę do pomieszczenia i z gardła wrywa mi się jęk. Koslenko kuca przy najdalszej ścianie, oparty plecami o szafkę i przyciska lufę pistoletu do głowy Shelly. Dziewczyna jest ledwie przytomna, skórę ma śmiertelnie bladą, jest ubrana w zabrudzony podkoszulek i pokryte wielkimi plamami szare spodnie od dresu. Kolana się pode mną uginają, ale udaje mi się opanować. Wyrzucam z myśli obrazy tego, przez co musiała przejść.

To jest ta szansa, o którą się modliłem. I mam tylko jedną. Nie będzie powtórki.

Zmagam się z sobą, walczę, zmuszam kąciki ust, żeby uniosły się w górę, wydaję z gardła dźwięk, który trochę przypomina chichot.

- W porządku, w porządku - mówię. - Mamy robotę, Leo. Mamy robotę. Ty i ja.

Koslenko wygląda inaczej. Wygolił sobie włosy, żeby stworzyć pozory sięgającej głęboko łysiny, i ufarbował się na inny kolor - brudny blond. Do tego ma okulary - ale one nie ukrywają tych oczu ani półksiężycowatej blizny poniżej. Obok niego leży laska.

Nieźle przebranie. Zwłaszcza to łysiejące czoło. W połączeniu z kuśtykaniem i laską dodaje sobie co najmniej dziesięć lat.

To mi o czymś przypomina. Nie mogę dać się zwieść. Może i jest obłąkany, ale nie głupi.

Zerkam na Shelly, obserwuję ruch jej ciała, unoszącą się i opadającą pierś. Żyje. Jak bliska jest śmierci, tego nie wiem.

Ale nie wolno mi o tym myśleć. Nie mogę okazać emocji, które niemal powalają mnie na kolana, które każą mi go błagać, żeby darował jej życie i wziął moje. W jednej chwili so-

bie uświadamiam, że byłbym gotów na taką zamianę. Ale Leo nie może dostrzec mojej słabości, nie może usłyszeć moich błagań. Nie tego ode mnie oczekuje.

Koslenko patrzy na mnie z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Skąd... skąd?

- Skąd... wiedziałem, żeby tu przyjechać? Wiesz skąd, Leo.

Mówię niejasno, ogólnikowo, bojąc się, że coś zbyt konkretnego mnie zdradzi. Problem polega na tym, że nie wiem, jak daleko sięga jego psychoza. Nie wiem, czy słyszy głosy. Czy jak widzi drzewo, myśli, że to szpieg przebrany w korę?

Szalony, ale nie głupi. Tylko jak szalony?

Tak czy inaczej teraz jest wobec mnie podejrzliwy. Przewiduję go, tak jakby odpowiedź była oczywista. Koslenko się z tym zмага, próbuje pojąć.

- Natalia mi powiedziała, Leo. A jak myślisz?

- Pani... pani... Bentley? Pani... - Koslenko patrzy w dół, ale nie na Shelly. Zмага się z czymś wewnętrznym. - Jej się... podoba?

Jej się podoba?

- Nie...nie jest... zł...zła?-pyta.

W porządku. To mi coś mówi. Zastanawia się, czy Natalia aprobeuje to, co zrobił w tym tygodniu. A więc wszystko, co zrobił w tym tygodniu, uczynił sam, nie spełniał poleceń Natalii. „Pani Bentley” - tak ją nazwał. Tak. Ona od lat nie używa tego nazwiska. Ale tak się nazywała, kiedy zamordowano Cassie.

Nie rozmawiał z Natalią w tym tygodniu. A to mi daje trochę pola do manewru.

- Nie, Leo, nie jest zła. Ty tylko chroniłeś Cassie.

Podnosi na mnie wzrok. Nic nie mówi, ale na jego twarzy maluje się czysta udręka. Ten człowiek, który w tym tygodniu zabił kilka osób - i być może jeszcze parę szesnastu lat temu - wygląda, jakby miał się rozpłakać.

- Nikt nie wie, że to Cassie zabiła Ellie Danzinger - mówię. - A ja zadbam o to, żeby tak już zostało.

Koslenko spuszcza oczy. Wygląda jak dzieciak, który właśnie się dowiedział, że zdechł mu ukochany szczeniak.

- Tak się... bała - mówi. - Tak się bała, tak się...

Cassie tak się bała. Drży, płacze przy kuchennym stole, bierze Leo za rękę.

- Chyba ją zabiłam... Chyba zabiłam Ellie - mówi.

- Będzie dobrze - pociesza ją.

- Matka, matka... Muszę zadzwonić do matki.

Przyjeżdża ona, pani Bentley, Natalia. Idą na górę. Leo zostaje przy kuchennym stole, wygląda przez okno w ciemność, woli ciemność, czuje, że wszystko będzie dobrze, w porządku, wszystko będzie w porządku. Sam się zgłasza na ochotnika, Nat się zgadza. Zobacz, czy Ellie nie żyje, sprawdź Ellie, zobacz, czy nie żyje. Jeśli żyje... jeśli żyje... zrób tak, żeby nie żyła.

Adres. Zna to nazwisko: Terry Burgos. Zna je przez tę sprawę w sądzie. Dokuczał Ellie, chodził za Ellie, znajdą ciało w domu Terry'ego, to będzie oczywiste, będzie podejrzanym, Cassie będzie bezpieczna.

To łatwe, takie łatwe. Parkuje samochód. Drzwi są zamknięte, ale nie na klucz. Ellie leży na łóżku, twarzą ku górze, oczy wpatrzone w sufit. Ciało ma zimne i sztywne. Niesie ją do frontowych drzwi, wygląda, nikogo, do samochodu, jedź do domu Terry'ego. To samo tutaj, ciemno, wszyscy śpią, niesie jej ciało pod tylne drzwi Terry'ego i biegiem wraca do samochodu.

Obserwuj - powiedziała mu. Obserwuj.

Przestawia samochód, wraca na piechotę. Nie spodziewa się tego pierwszej nocy, ale to się dzieje tej samej nocy, koło dwunastej. Jakaś postać, Terry, to Terry, Terry niosący ciało na tylnym podwórzu, między domem a garażem. Terry wchodzi przez boczne drzwi do garażu, potem biegnie do domu, wraca z kocami i z długim workiem.

Pięć minut. Dziesięć. Dwadzieścia. Czterdzieści. Godzina.

Potem brama garażu się otwiera. Chevrolet wytacza się tyłem i odjeżdża. Leo nie wie czemu, nie wie co, nie wie jak. Nie wie dokąd.

O co chodzi? Co się tu stało? Ten człowiek, Terry Burgos - co on zrobił z ciałem Ellie? Leo przewidywał wiele wersji, ale tego nie przewidywał.

Opowiada o tym Natalii. Nie wie, dokąd Terry ją zabrał. Natalia milczy. Myśli. Nic mu nie mówi. I wtedy Leo to czuje. Rozumie. Nagle - oczywiście! - już rozumie. Jak mógł tego od razu nie pojąć?

Terry Burgos jest jednym z nas. On się pozbył ciała.

Robię dwa kroki do przodu, ostrożnie przenosząc ciężar ciała. Koslenko powraca do teraźniejszości. Docierają do mnie te rewelacje - bez względu na to, jak były rozwlekłe i poprzekęcane. Cassie zabiła Ellie, gdy zobaczyła, że jej ojciec wychodzi od niej z mieszkania. Pojedynczy cios w głowę, gdy leżała na łóżku. I tam się wykrwawiła. Ale Cassie już uciekła - lecz nie do siebie, tylko do domu po drugiej stronie Highland Woods, który w tamtych dniach stał prawie pusty - Mia Lakę już nie żyła, a Gwendolyn niemal cały czas podróżywała po świecie. Cassie opowiedziała o tym, co się wydarzyło, swojemu przyjacielowi Leo Koslence, a potem też matce.

Natalia natychmiast wkroczyła do akcji. Wysłała Leo, żeby zabrał ciało Ellie i podrzucił je pod tylnymi drzwiami Terry'ego Burgosa. To było genialne posunięcie. Wszyscy już wtedy wiedzieli, że Burgos prześladowuje Ellie, że ma fiksację na jej punkcie. Dostał zakaz zbliżania się do niej, a poza tym było wiadomo, że nie jest zrównoważony psychicznie. Doskonały kozioł ofiarny.

A kiedy Burgos pozbył się zwłok Ellie - kiedy zaniósł ją tu, do pomieszczenia, w którym teraz stoimy - Koslenko doszedł do wniosku, że Terry jest po tej samej stronie. Że jest jednym z nas.

Nas. Naszego zespołu szpiegów. Zespołu, który obejmował co najmniej Natalię Lakę Bentley, Terry'ego Burgosa, Leo Koslenkę i mnie.

Ellie była darem od Boga - powiedział Burgos. Mówił to w dosłownym znaczeniu. To Bóg umieścił tę dziewczynę przed tylnymi drzwiami jego domu, martwą, zabita ciosem w głowę. Bóg rozkazywał mu w ten sposób, żeby zaczął działać, żeby wcielił w życie to, co przepowiedział Ty-ler Skye. Bóg dał mu kobietę, której pożądał, jako pierwszą z sześciu ofiar. A więc zgodnie ze słowami piosenki wyrwał serce Ellie i przeniósł ciało do Auditorium Bramhall.

Zastanawiam się, jak szybko zdołałbym wyciągnąć nóż z kieszeni kurtki i użyć go, gdyby to okazało się konieczne. Ale wiem, że nie tak trzeba to rozegrać. Robię kolejny krok w stronę Shelly i Koslenki, obserwuję jego reakcję. Utkwił wzrok w jakimś punkcie na podłodze. Jeszcze raz przeżywa to, co się stało szesnaście lat temu.

Lewą dłonią odgarnia kosmyk grzywki z twarzy Shelly. Przciska pistolet do jej ucha, trzyma palec na spuście. Nie potrafię powiedzieć, na ile jest przytomny, ale nie mogę ryzykować. Już wcześniej mi pokazał swoją sprawność fizyczną. Jeśli zrobię jakiś gwałtowny ruch, Shelly będzie martwa, nim go dopadnę.

Mam lepszy sposób. Jesteśmy towarzyszami -ja i on. Być może w jego odczuciu trochę długo trwało, zanim znów znalazłem się na pokładzie. W końcu musiał nawet użyć Shelly jako argumentu przetargowego - ale oto jestem.

- Zrobiłeś swoją część, Leo - mówię. - Teraz czas, że bym ja zrobił swoją. Tak jak wtedy.

Robię kolejny krok w jego stronę. Przy odrobinie szczęścia mógłbym rzucić się naprzód i go dosięgnąć. Obserwuje moje stopy, potem podnosi na mnie wzrok.

- Wrobić Albany'ego - mówię. - Ja się tym zajmę. Ty już zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

Jego oczy są rozbiegane. Znów jest pogrążony we włas-

nych myślach. Ale dalej wciska lufą w ucho Shelly. Nie mogą ryzykować.

- Ty i Terry jesteście bohaterami - mówię.
- Te...Terry. Boha...terami.

Obserwuj dalej - mówi mu Natalia. Obserwuj dalej Terry'ego. Powiedz mi, co robi.

Leo jest posłuszny, wie, jak obserwować, wie, jak śledzić, lubi to, nowa misja. W poniedziałek Terry przez cały dzień siedzi w domu. Za piętnaście szóstą wieczorem wyjeżdża chevy suburbanem. Udaje się w miejsce o nazwie Albany Printing, parę mil od kampusu Mansbury. Wszystkie inne wozy odjeżdżają, pracuje sam, zostaje tam do dziewiętej. Potem wyjeżdża z parkingu, ale nie jedzie do domu, nie, nie do domu. Jedzie do miasta. Leo go śledzi. Suburban krąży po ulicach zachodniej części miasta, zatacza pętlę. Leo musi być ostrożny, żeby Terry go nie zauważył.

Ale nikt nie zauważa Leo.

Suburban zatrzymuje się przy krawężniku i kobieta, prostytutka, podchodzi do wozu. Rozmawia z Terryem tak, jakby go znała, wsiada, odjeżdżają do jego domu.

Koło północy to samo, to samo co noc wcześniej z Ellie, Terry wynosi ciało przez tylne drzwi, wchodzi przez boczne drzwi garażu. Brama garażu się otwiera, suburban wyjeżdża tyłem. Tym razem Leo jest gotów. Śledzi go. Jazda jest krótka, nawet nie dziesięć minut, pięć-sześć-siedem-osiem minut. Terry parkuje samochód przed jakimś teatrem, wielki budynek, ładny budynek. Leo zatrzymuje się przecnicę dalej. Terry otwiera bagażnik suburbana i wyjmuje ciało kobiety w worku, biegnie po schodach, niesie ją w ramionach, otwiera kluczem wysokie drzwi. Wychodzi dwadzieścia minut później. Leo czeka, aż odjedzie swoim suburbanem. Tym razem dowie się wszystkiego. Podjeżdża tam, gdzie zatrzymał się Terry. Na froncie budynku jest napisane AUDYTORIUM BRAMHALL. Radzi sobie z zamkiem u wysokich fronto-

wych drzwi, wchodzi do środka, idzie po brudnych śladach butów do kolejnych drzwi, przez nie też przechodzi, idź po śladach, idź po śladach.

Idź po śladach, są tu obie, w ostatnim pomieszczeniu na końcu długiego korytarza, Ellie i ta nowa, obie nagie. Ellie ma rozplataną klatkę piersiową krwawa dziura, wielka otwarta rana, nie ma serca, druga dziewczyna ma poderżnięte gardło, od ucha do ucha, rozszarpane, otwarte. Leo wyjmuję nóż sprężynowy i je naznacza, tak jak znaczyli swoje ofiary w Związku Radzieckim, tam gdzie nikt nie zobaczy, chyba że będzie szukał, nacięcie między czwartym a piątym palcem u nogi, znak, że zabójstwo było zlecone przez władze, zlecone przez władze, zatuszować to, żadnych pytań, żadnych odpowiedzi, żadnego kwestionowania odpowiedzi.

Opowiada wszystko Natalii. Ulżyło jej. Jest szczęśliwa! Dobra robota - mówi mu. Robi mu się ciepło w środku. Pochwalała go! Dobrze się spisał. Operacja przynosi sukcesy.

Natalia wysłała go z powrotem, żeby obserwował Terry'ego. Znowu to samo następnej nocy, we wtorek, inna część miasta, ale poza tym jak w zegarku, wychodzi z pracy o dziewiątej, zaczepia dziewczynę, wiezie ją do domu, potem, później, niesie ją do garażu, jedzie do Audytorium Bramhall i zostawia w suterenie.

Następnego dnia, w środę, Leo przyjeżdża na chwilę do domu, zdaje raport Natalii, widzi Cassie przez uchylone drzwi do sypialni, och, biedna Cassie, udreka na twarzy, nie spała, zaschnięte łzy na jej pięknej twarzyczce, Natalia jej dogląda, pilnuje. Ona nie może wychodzić z domu, nie pozwól jej wyjść, musimy ją chronić. Idź, Leo, idź, idź obserwować Terry'ego, zobacz, czy dziś w nocy znów to zrobi...

- Hej, ty. Hej! Mówię do ciebie!

Odwraca się i wychodzi z domu, zdał już raport Natalii, widział Cassie, ale z nianie rozmawiał. Gwendolyn...

Gwendolyn Lakę, ta kuzynka. To jej dom, ale nigdy jej tu nie ma, zawsze gdzieś za granicą. Ale teraz tu jest, jest tu już

ponad tydzień. Picie i narkotyki, Ellie, chłopak o imieniu Brandon, Gwendolyn i czasami Cassie. No i proszą, oto i ona, ta Gwendolyn, drogie ciuchy i wymyślna fryzura, wysiada ze swojego porsche, zarzuca torebkę na ramię. Wygląda jak Cassie, ale nie jest miła, nie jest dobra. Cięta, opryskliwa. Rozgniata butem niedopałek papierosa i patrzy na niego, nigdy na niego nie patrzy, ale teraz się przygląda...

- Leo, tak? Masz może pojęcie, co tu się, kurwa, dzieje? W moim domu? Co się, u diabła, stało Cassie?

Nie odpowiada, w ogóle rzadko się odzywa, nie mówi na głos, nie umie tak dobrze mówić, wzrusza ramionami i rusza dalej...

- Czy one, kurwa, nie mają własnego domu po drugiej stronie miasta?

Koslenko patrzy mi w oczy. Kiwam głową, jakbym już wiedział o wszystkim, co właśnie od niego usłyszałem. Terry Burgos dostarczył najlepszej możliwej przykrywkę dla spisku Natalii, który miał zatuzować fakt, że Ellie została zabita przez Cassie. Wpadł w morderczy szał i zamordował cztery prostytutki. Biorąc pod uwagę to, co zrobił Burgos, nikt nie mógł podejrzewać, że Ellie została zamordowana przez kogoś innego.

Być może spojrzelibyśmy inaczej na ostatnie morderstwo, gdybyśmy mieli po temu sposobność. Ale Natalia poprosiła prokuratora okręgowego o wycofanie ze sprawy zarzutów związanych z zabójstwem jej córki, a prokurator okręgowy aż się palił do spełnienia życzenia jednego ze swych najważniejszych sponsorów.

A ja pozwoiliem mu to zrobić. To coś, z czym będę musiał żyć. Ale teraz, w tej chwili, muszę to wykorzystać do zdobycia przewagi. Koslenko myślał, że to zrobiłem, bo pracowaliśmy razem. Myślał, że byłem częścią spisku.

- Rozu...miesz? Roz...zumiesz?

Zmuszam swoją twarz, żeby się wykrzywiła w łagodnym

uśmiechu. Rozumiem. Chce, żebym poznał **całą historię**, bo wie, że mam kontynuować to, co on zaczął.

- Fred. Fred - mówi. - Rozu...rozu...

- Fred Ciancio - przerywam mu. - Ten ochroniarz. Wpuścił cię do tamtego budynku.

Koslenko obraca głowę, rozgląda się dookoła. Sprawdza coś. Nie mam pojęcia, czego szuka.

- Ona mówiła... nie... nie mów mu. Klucze. Tylko... klucze.

- Pani Bentley - potwierdzam. To ma sens. Kobieta z taką fortuną i zapewne z jakimiś koneksjami z rosyjskimi oligarchami oraz z wpływami tutaj, w mieście, potrafiła znaleźć sposób, by dotrzeć, do kogo chciała. To nic dziwnego, że były strażnik więzienny, taki jak Ciancio, utrzymywał kontakty z więźniami z niezbyt wzniosłych pobudek. To zdarza się ciągle. A w więzieniu zawsze się znajdzie paru ludzi z *komradski* - rosyjskiej mafii.

- Nic nie powiedziałeś Fredowi? - pytam. - W takim razie... jak się dowiedział?

Mówię to współczującym tonem, tak jakbym był równie zawiedziony jak Koslenko, że Ciancio domyślił się prawdy.

- Po...licja. Gliny. Gliny potem.

- Domyślił się później, kiedy policja zjawiała się w budynku Sherwood Center.

Racja. Oczywiście. To ma sens.

- Słuchaj, Leo...

Przerywam w pół słowa, bo słyszę **to samo co Koslenko**. Jakiś hałas nad nami. Odgłos tłuczonego szkła. Ktoś się włamuje do budynku od frontu.

Cholera. Patrzę na Leo, potem znów na sufit.

Przerażony Koslenko wpatruje się we mnie, jeszcze mocniej wciska łufę w ucho Shelly.

Jakieś drzwi z impetem uderzają o ścianę. To drzwi na schody prowadzące w dół.

- Oni się nie liczą - mówię szybko. - Oni mi ufają, Leo.

Zawsze mi ufali. Zobacz, co wtedy zrobiłem. Zrobię to jeszcze raz. Natalia... Pani Bentley kazała mi znów to zrobić. I zrobię to. Jeśli nie skrzywdzisz Shelly, Leo. Jeśli ją skrzywdzisz, powiem im o Cassie.

Koslenko omiata pomieszczenie rozbieganym wzrokiem, z gardła wyrywa mu się cichy jęk. Mamrocze coś, czego nie słyszę.

Nie - uświadamiam sobie - to po prostu słowa, których nie rozumiem.

Odgłosy szybkich kroków na schodach. Wedrą się tu za niecałe pół minuty. A wtedy już wszystko stracone. Shelly nie będzie miała żadnych szans.

- Będę ją chronić, Leo. Zawsze to robiłem.
- Chronić. Chronić.
- Zawsze, Leo. Zawsze.

Ale on mnie nie słucha, nie słucha kroków ludzi biegnących w stronę pomieszczenia.

- Nadszedł już twój czas, Leo. Tak jak nadszedł czas dla Terry'ego.

- *Skoro*, Katrina - mówi Koslenko. Ktoś kopnięciem otwiera drzwi. Detektyw McDermott mierzy z pistoletu w naszą stronę.

Zamykam oczy, gdy huk pojedynczego wystrzału odbija się echem od ścian suterenu.

Sobota, 25 czerwca 2005

53

Budzę się następnego ranka na wąskiej połówce, stojące prostopadle do szpitalnego łóżka Shelly. Leży w dużym, prywatnym pokoju, dzięki czemu gubernator Trotter i jego żona też mogli tu spać. Z trudem unoszę głowę. Lekarze badają Shelly, która stosunkowo szybko doszła do siebie po ostatnich przejściach.

Testy toksykologiczne wykazały, że Koslenko wstrzyknął Shelly kwas czterohydroksybutanowy - GHB - silny środek uspokajający, który działa na ośrodkowy układ nerwowy. Lekarze sądzą, że dostała dwie potężne dawki w odstępie mniej więcej dwunastu godzin. W efekcie była jak sparaliżowana, prawie na granicy śpiączki. Ale te skutki szybko ustępują.

Oprócz narkotyku, którego pozbywa się teraz jej ciało, ma prawdopodobnie wstrząs mózgu. Ale nic gorszego. To się musiało stać, kiedy ją obezwładniał. Nie została zgwałcona. Leo Koslenkę interesowała wyłącznie jako środek nacisku na mnie.

Shelly odzyskała przytomność wczoraj koło południa. Doznała amnezji wstecznej, więc niczego nie pamiętała: ani tego, jak ją zaatakował, ani w ogóle całego dnia. To mnie cieszy. Myślę, że napadł ją pod prysznicem, kiedy była bezbronna, bo fizycznie Shelly to niełatwy przeciwnik.

Wychodzę koło południa. Cała rodzina przy niej skacze, głaszczą ją i przytulają. Zachowują się wobec mnie dość chłodno. Rozumiem to. Tak, to prawda, znalazłem ją, ale z drugiej strony to wszystko przytrafiło się jej wyłącznie przeze mnie. Tak czy inaczej czuję się jak obcy na rodzinnym zjeździe. Całuję Shelly w policzek i mówię jej, że niedługo wrócę.

Wychodzę przez izbę przyjęć, żeby nie trafić na wszędobylskich reporterów otaczających front szpitala. Kiedy już jestem na zewnątrz, na porannym słońcu, wydaję komórkę. Dzwonię na informację, żeby uzyskać numer telefonu. Kiedy go wykręcą, słuchawkę podnosi kobieta.

- Proszę z doktorem Morse'em - mówię. - Paul Riley z tej strony.

- Chce się pan umówić na wizytę, panie Riley?

- Nie. Zabiorę mu tylko minutę. To dość ważne.

Rozglądam się, aby się upewnić, że jestem sam. Żadnych reporterów, policjantów, nikogo. Czekam, aż doktor Morse podejdzie do telefonu, ale już znam odpowiedź.

Jadę na posterunek policji. Mówią mi, że McDermott jest w pomieszczeniu obserwacyjnym. Z jakiegoś powodu nikt nie widzi problemu w tym, żeby mnie tam zaprowadzić. Zastaję go opartego o półkę, patrzącego na to, co się dzieje w jednym z pokoiów przesłuchań. Kołnierzyk ma rozpięty, rękawy od koszuli podkasane do góry. Spogląda na mnie ciemnymi, zmęczonymi oczami.

W pokoju przesłuchań siedzi Natalia Lakę, spokojna, opanowana. Dym z papierosa snuje się wokół jej opalonej twarzy.

- Natalia powiedziała właśnie, że Cassie zabiła Ellie. - McDermott pokazuje głową w jej stronę.

Podchodzę i staję obok niego. Nie byłem pewien, czy pani Lakę to powie. Wiem, że to nie był jej pomysł.

- Ale ona nie wie, co wydarzyło się potem. Twierdzi, iż

były śmiertelnie przerażone, że przyjedzie policja, ale nigdy do tego nie doszło. Domyśla się, że Terry Burgos widział, co zaszło w mieszkaniu Ellie, wszedł tam i zabrał ciało. Uważa, że potem Burgos zabił Cassie, aby się zemścić.

Ta sama historia, którą próbowała mi sprzedać wczoraj u siebie w domu. Tak, Cassie zabiła Ellie, lecz reszta tego, co powiedziała McDermottowi, jest kłamstwem.

Ale nie powiem mu o tym. Przynajmniej nie teraz. Być może nigdy.

- Wierzysz jej? - pytam.

Milczy przez chwilę, zaciska szczękę.

- Nie wiem - mówi w końcu. - Nie jestem pewien, czy byłbym w stanie udowodnić coś innego. - Kiwa do mnie głową. - Tak czy inaczej wygląda na to, że Burgos zabił tam te dziwki.

Na pewno. Wiem to od Koslenki. Ale dlaczego dla McDermotta jest to takie oczywiste?

- Przyspieszyłem testy DNA ofiar z Mansbury. Właśnie przyszły wyniki. U prostytutek znaleźli jego nasienie. I jego krew. Stosunek miał miejsce przed śmiercią, więc to chyba jasne, że je załatwił.

Zgadza się. Ale w przypadku Ellie i Cassie stosunek miał miejsce po ich śmierci. A teraz McDermott wie, że Cassie zabiła Ellie. I zastanawia się, kto w takim razie zabił Cassie.

- Udało ci się dostać wyniki DNA w parę dni - zauważam, próbując zmienić temat.

- To miało najwyższy priorytet. Nie było innego wyjścia, musieli to zrobić. - Klepie mnie w ramię. - Powinieneś się cieszyć. Nie pomyliłeś się tak do końca, Riley. Zabił przynajmniej cztery z tych kobiet.

Nie doceniałem McDermotta. Od początku miał słuszne podejrzania. I chyba się nie myli w tym, co mówi. Nie mogę zaprzeczyć, że czuję ulgę, wiedząc, iż Terry Burgos nie był całkowicie niewinny.

Niewinny. Winny. Jakie to płytkie słowa.

- Zastanawiam się nad Cassie - dodaje McDermott.

To nie jest pytanie, więc nie odpowiadam.

- Masz jakieś przemyślenia na ten temat, Riley?

Teraz to już pytanie. Nie wiem, co mógłbym mu na to odrzec, oprócz tego, co nasuwa się samo. To najprostszy wybór.

- Terry Burgos ją zabił - mówię. - Nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

McDermottowi nie podoba się ta odpowiedź. Nie mogę mieć o to do niego pretensji. Ale morderstwa z Mansbury to nie jego sprawa. On miał złapać obecnego mordercę, Leo Koslenkę. I zrobił to. Jednak rozwikłanie zagadki zabójstwa Cassie nie należy do niego.

I tak jest dla Mike'a lepiej. Mógłby prowadzić śledztwo w tej sprawie od teraz aż do końca świata, a i tak nie znalazłby odpowiedzi.

- Koslenko... Nic ci nie powiedział, kiedy byłeś z nim tam, w suterenie?

Zaprzeczam ruchem głowy. Nie widzę potrzeby, żeby wypełniać luki w tej układance dla policji.

W każdym razie nie teraz. Być może nigdy.

- Skąd wiedziałeś, żeby jechać do Audytorium **Bramhall?** - pytam go.

Wciąga powietrze do płuc.

- Widziałem cię w telewizji, jak mówiłeś do tych reporterów - oznajmia. - Uparcie twierdziłeś, że to Terry Burgos zabił te wszystkie dziewczyny. Nie wydawało mi się, abyś naprawdę w to wierzył. Pomyślałem więc sobie, że może próbujesz przyciągnąć do siebie Koslenkę. Zdobyć jego zaufanie. „Być grzecznym”. Tyle tylko, że kiedy następnego dnia rano przyjechałem do ciebie do domu, już cię nie było. Po dałem więc przez radio, żeby szukali twojego samochodu. A tak poza tym, cholera, nie miałem nic do roboty, jestem na przymusowym urlopie, a słyszałem, że kampus Mansbury jest taki piękny latem.

Uśmiecham się do Mike'a. Znów go nie doceniłem. Prawdopodobnie się domyślił, że Koslenko stara się upozorować wszystko na robotę naśladowcy, i doszedł do wniosku, iż może wybrać to samo miejsce. Cholera, warto było spróbować.

- A co z Fredem Cianciem? - pyta. - Myślisz, że Koslenko załatwił sobie dostęp do tego budynku, żeby ukraść wpis o aborcji? A może chodziło o coś innego?

Udaję głupiego. Ale wiem, że Cassie Bentley nie przewała ciąży. Nigdy w nią nie zaszła.

Przypuszczam natomiast, że to Gwendolyn Lakę zrobiła sobie test na ojcostwo pod wpływem nalegań Cassie albo z własnej inicjatywy, żeby mieć dowód i zrobić jej na złość. Teraz wszyscy już wiedzą, że Gwendolyn była córką Bentleya. Harland sam się do tego przyznał. A więc decyduję się na taką właśnie odpowiedź.

- Wyniki testu na ojcostwo prawdopodobnie kompletnie wytrąciły Cassie z równowagi - mówię. - A kiedy się przekonała, że Ellie sypia z jej ojcem... Na miłość boską... Coś w niej pękło. Całkiem straciła głowę.

- A potem Koslenko ukraść wyniki testu, bo mogłyby być dowodem na to, że Cassie wpadła w szal? - Potrząsa głową. - Teoretycznie możliwe, ale cienkie.

Rozkładam ręce. McDermott nie draży dalej. Sprawa została rozwiązana. Leo Koslenko nie żyje. Zginął od pojedynczego, samobójczego strzału w usta. Nie będzie procesu. Nie będzie szukania motywów.

- Miałaś nadzieję, że Shelly może tam być, żywa? - pyta McDermott.

Oczywiście, że tak. Ale nie mogę mu tego powiedzieć. Bo wtedy musiałbym mu też wyjaśnić, jak do tego doszedłem.

- Nie miałem pojęcia - mówię.

McDermott to kupuje. Nie ma zresztą powodów, aby myśleć inaczej. Ale widzę, że jeszcze nie skończył z pytaniami.

- Myślisz, że Koslenko działał sam?

- Tak! - oświadczam zdecydowanie, czując ulgę, że choć w tej jednej kwestii mogę mu powiedzieć prawdę. - Natalia nie jest morderczynią - dodaję. No cóż, to już nieprawda. Trudno.

- I on zabił tych wszystkich ludzi... Ciancia, tę reporterkę, wszystkich, tylko dlatego, że chciał zatuszować dowody na to, że ukradł jakiś test na ojcostwo? - Oczy McDermotta się zwięzają. - I to według ciebie ma jakiś sens?

- Umysł wariata - odpowiadam. - Któż to może wiedzieć?

To dobra wymówka, łatwe wytłumaczenie tego, co niewytłumaczalne. Koslenko był szalony - któż może powiedzieć, co robił i dlaczego. Ale to nieprawda. Okazał się bystry i zorganizowany. Samo wyobrażenie świata, w jakim żył, było absurdalne, ale jego działania w tym świecie - już nie. Doskonale wiedział, co robi.

Myszę o żonie McDermotta, o jej psychozie maniakalno-depresyjnej i samobójstwie. Żałuję, że użyłem słowa wariata.

- A więc... Kto byłby następny? Koslenko miał nóż ku chenny i maczetę.

Racja. Kiedy już było po wszystkim, policja znalazła w suterenie pod Audytorium Bramhall maczetę - identyczną z tą, którą trzymałem jako pamiątkę po sprawie Burgosa. Dwudziestosześcioletnią firmy Barteaux, z utwardzanej stali resorowej. Wzdrygam się na myśl, że Leo Koslenko musiał się w którymś momencie włamać do mojego domu, żeby dokładnie się przyjrzeć tej maczecie i kupić sobie taką samą. W końcu skoro był naśladowcą, musiał odegrać swoją rolę najlepiej jak potrafił.

- Jeśli miałbym zgadywać - mówię - to Koslenko chciał zabić Harlanda Bentleya. A potem wykończyć Franka Albany'ego. Łatwiej byłoby zrzucić całą winę na profesora, gdyby był martwy i nie mógł niczemu zaprzeczyć. Mogę się tylko domyślać, ale sądzę, że upozorowałby samobójstwo.

- Jezu! - wzdycha McDermott. - Może to dziwne, że mó-

wię coś takiego jako gliniarz, ale tak naprawdę to żal mi tego Koslenki.

- To wcale nie brzmi dziwnie, Mike. On był chory. Nie wiedział, co robi.

McDermott unosi głowę, pokazuje nią w stronę pokoju przesłuchań.

- Byłem pewien, że za tym wszystkim stoi albo profesor Albany, albo Harland.

Dokładnie o to chodziło Koslence. Taki mieli wtedy plan, na wypadek gdyby coś poszło nie tak z morderstwem Ellie Danzinger. Zrzuciliby to na Albany'ego. Ale zamiast tego Burgos oszalał po znalezieniu ciała Ellie i dostarczył im idealnej przykrywki, zabijając jedną prostytutkę po drugiej. Gdyby w tym tygodniu Ciancio nie skontaktował się z Evelyn Pendry i z Leo Koslenką, żadna z tych rzeczy nigdy by nie wyszła na światło dzienne.

- Ciancio miał powiązania z *komradką* - mówi mi McDermott. - Dopiero co się o tym dowiedzieliśmy. Myślę, że tak właśnie Koslenko do niego dotarł. Rosyjskie koneksje.

Zgadza się. W ten sposób został nawiązany kontakt. Ale nie zrobił tego Koslenko, tylko Natalia. Z takimi pieniędzmi mogła pociągnąć za odpowiednie sznurki, dotrzeć do właściwych rosyjskich kręgów i za ich pośrednictwem dogadać się z ochroniarzem. Nie mam cienia wątpliwości, że jej nazwisko nawet przy tym nie padło. I że zadba o to, aby tak już zostało.

A ja nie powiem, że było inaczej. W każdym razie nie teraz. A być może nigdy.

Wskazuje głową na szybę, za którą siedzi pani Lake.

- Co z nią będzie?

Natalia może mieć problemy. Zatuszowała to, że jej córka zamordowała Ellie Danzinger i być może w tym tygodniu trochę nagięła prawdę. Ale koniec końców - z ich perspektywy - zataiła winę kogoś, kto również stał się później jedną z ofiar Burgosa. A poza tym trudno im będzie cokolwiek udowodnić ze swoich podejrzeń. Będą musieli wykazać, że Nata-

Ha wiedziała o zabiciu Ellie przez Cassie i że aktywnie brała udział w zatuszowaniu tego morderstwa. A niby jak mogliby tego dokonać?

- Wiemy tylko tyle, że jej córka zabiła kogoś szesnaście lat temu. Ona nie musi tego zgłaszać. Być może kazała Leo włamać się do tego budynku i wykraść testy na ojcostwo, ale nie potrafimy jej tego udowodnić. Koslenko i Ciancio nie żyją, a ona jest bystra i wie, że nic na nią nie mamy.

- Zgadza się - przyznaję.

- Chroniła swoją córkę - dodaje McDermott bez żadnej zachęty z mojej strony. - Może i trochę nagięła prawdę, ale chroniła swoją córkę. Gdyby to ode mnie zależało...

Nie kończy. Wciąga głęboko powietrze do płuc.

- Nikogo nie skrzywdziła - mówi po chwili. - Jej córka coś zrobiła, a ona próbowała znaleźć najlepsze wyjście z sytuacji. Czy to naprawdę takie złe?

Odwraca się w moją stronę z wyzwaniem w oczach, twarz ma zarumienioną z emocji.

- Chcesz mi powiedzieć, że ty nie zrobiłbyś tak samo, gdyby chodziło o twoją córkę?

Unoszę ręce do góry na znak, że się poddaję. Nie powiedziałem nawet słowa. McDermott zmaga się sam ze sobą.

- Tak - mówię. - Ja też chroniłbym moją córkę.

Znów odwraca się w stronę lustra obserwacyjnego.

- Przepraszam. Jezu...

- To był długi tydzień - mówię.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę. Brak snu i stres potrafią zrobić cuda z człowiekiem. McDermott sprawia na mnie wrażenie faceta twardego jak skała, ale nie byłbym zaskoczony, gdyby teraz wybuchnął płaczem.

- Pamiętasz, Riley, co mówiłem wcześniej? O Burgosie? Naprawdę tak myślę. Słusznie go skazałeś na śmierć. A poza tym... Słuchaj, on zabił cztery dziewczyny, może nawet pięć. - Kładzie mi dłoń na ramieniu. - Do diabła, nawet jego własny prawnik tylko raz rzucił okiem na to wszystko i wnioskujeł

o uznanie go za niepoczytalnego. Nie kłócił się z tobą o fakty. Nie należało do twoich obowiązków...

- Owszem, należało. To ja o tym decydowałem. - Patrzę na niego. - Burgos był szalony, Mikę. Stanowił słownikową definicję szaleństwa. Wierzył, że Bóg do niego przemawia przez słowa jakiejś piosenki.

- Dobra... - wypala McDermott - ...ale wiedział, że to, co robi, jest przestępstwem. Zgadza się? Wymyślił sobie alibi. Ukrył te dziewczyny w suterenie. Czy gdybyś mógł to wszystko zrobić jeszcze raz od początku, zmieniłbyś chociaż jeden punkt w swojej mowie do przysięgłych?

- Tak, jedno bym zmienił - mówię. - W ogóle nie wygłaszałbym tej mowy.

Odchodzę parę kroków dalej, odwracam się od niego. Tak, Terry Burgos był świadom, że prawo tego stanu zabrania morderstwa. I owszem, podjął kroki, aby go nie złapano. Sfabrykował sobie alibi. Ukrył ciała, żeby nikt ich nie znalazł, dopóki nie skończy swojej morderczej masakry. Wybierał ofiary z różnych części miasta, by nie wracać w miejsce, z którego uprowadził dziewczynę. A wszystko to oznacza, że nie pasował do definicji szaleństwa, napisanej przez paru polityków, którzy chcieli pokazać swoim wyborcom, że nie zamierzają tolerować przestępczości.

- Leo Koslenko wiedział, że łamie prawo - mówię. - Aha, a poza tym „wiedział” jeszcze, że jest superszpiegiem, ratującym świat przed tajnymi wrogami, udającymi prostytut ki. I „wiedział” też, że ja jestem szpiegiem, który z nim współpracuje, działając dla tej samej tajnej światowej organizacji. - Macham ręką. - I ty chcesz mi wmówić, że Koslenko nie był szalony?

McDermott wzrusza ramionami.

- To ty wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, czy ktoś rozumie, że łamie prawo...

- Daj spokój, Mikę. Ja nie mówię o prawnej definicji szaleństwa. Mówię o tym, że Burgos miał głowę w innej ga-

laktyce. Uważał, że wypełnia wolę Boga, a jeśli ktoś naprawdę tak myśli, to po co miałby się przejmować jakimś głupim prawem stanowym? McDermott nie odpowiada.

- Trzeba go było zamknąć w jakimś zakładzie, żeby tam siedział do końca swoich dni - mówię. - I leczyć. Ale nie po winien był zostać skazany na śmierć.

McDermott nie jest w nastroju, żeby się ze mną spierać. Pozwoli, abym się tym wszystkim obwiniał, jeśli tego właśnie chcę. Podchodzi do mnie i ściska mi dłoń. Był taki czas - tak naprawdę to zaledwie parę dni temu - kiedy nawet nie przyszedłoby mi do głowy, że kiedyś będziemy się tak serdecznie żegnać.

- To nie moja sprawa - mówi McDermott - ale tak z czystej ciekawości...

- Strzelaj - mówię.

- Zamierzasz dalej się trzymać tej twojej kury znoszącej złote jajka, Bentleya?

Dobre pytanie. Postępowanie Harlanda wtedy, szesnaście lat temu, było obrzydliwe. Ale nie zabił swojej córki ani nie miał też nic wspólnego z zatuszowaniem całej sprawy. A jednak, z drugiej strony, jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żebyśmy mogli po prostu znów zacząć robić ze sobą interesy, tak jakby nic się nie zmieniło.

- Trudno powiedzieć, czy w ogóle mam ochotę dalej być prawnikiem - mówię.

Patrzy na mnie przez chwilę, tak jakby czekał na jakąś puentę.

- Taaa... Jasne. - Zbywa moje słowa machnięciem ręki. - Spadaj stąd już, Riley. Idź, zajmij się Shelly.

Oglądam się jeszcze na pokój przesłuchań, w którym siedzi Natalia Lakę, wyprostowana i nieruchoma. Być może postawią ją w stan oskarżenia - wszystko zależy od tego, jak silne będą naciski ze strony mediów. A wtedy mogą mnie powołać na świadka - w końcu sporo się dowiedziałem od

niej, Koslenki i od innych... To byłyby oczywiście tylko poszlaki, ale można by wnioskować o wyjątkowe potraktowanie tej sytuacji. Wtedy najlepiej byłoby postawić na zeznania współsprawcy. A gdyby udało się udowodnić działanie jawne...

I wtedy się na tym łapię. No nieźle, wystarczy tylko mnie posłuchać - we wszystkim doszukuję się jakichś dowodów. McDermott miał rację, kiedy tak zareagował. Mam prawo we krwi. To jedyne, na czym się znam. I jedyne, co pragnę robić.

Opuszczam posterunek policji. Tym razem nie mówię ani słowa reporterom.

W każdym razie nie teraz. A być może nigdy.

Środa, 6 lipca 2005

54

Shelly i ja spędzamy tydzień w apartamencie prezydenckim w Grand Hotelu. Zamawiamy sobie obsługę do pokoju, spacerujemy po plaży, oglądamy widoki i delektujemy się wspaniałym, pysznym jedzeniem. Znajdujemy też trochę czasu na intymność, ale nadaliśmy nowe znaczenie wyrażeniu spać ze sobą. Dokładnie to właśnie robimy. Śpimy średnio po dziesięć godzin dziennie.

Shelly czuje się już lepiej. Nie wraca się tak po prostu do normalnego życia, jeśli ktoś napadł cię w twoim własnym domu i porwał - nawet jeżeli twoje wspomnienia o tym, co się stało, są w najlepszym wypadku dość mgliste. Bardziej niż do czegokolwiek innego musi się przyzwyczaić do samego pojęcia strach. Spacerowaliśmy po mieście i przechadzaliśmy się po plaży, ale tylko za dnia, kiedy było jasno. Choć żadne z nas nie powiedziało tego na głos, każdego wieczoru prowadziłem ją z powrotem na teren czternastoakrowej posiadłości Grand Hotelu. Uświadomiłem sobie, że w tym wszystkim wcale nie chodzi o podziwianie widoków, tylko o to, żeby się oderwać.

Czwartego dnia budzę się około dziewiątej. Shelly właśnie wyszła z jacuzzi, owinięta w ręcznik. Otwieram oczy i łapię ją na tym, że mi się przygląda, obserwuje. I widzę to

w jej oczach: obawę, poczucie rezerwy. Mówię „dzień dobry”. Ona mi odpowiada, ale odwraca wzrok.

Ktoś puka do drzwi i Shelly wzdyga się nerwowo.

- Och. Obsługa hotelowa - mówi, chichocząc. Śmieje się z samej siebie, ale bez humoru.

Narzucam koszulę i otwieram drzwi. Gdy goniec hotelowy już zbiera się do wyjścia, daję mu napiwek. Wkładam do ust owoce i chrupiące muesli, przeżuwam je, przelykam, ale nie czuję smaku. Shelly bawi się kawałkiem tosta i śmieje się z moich dowcipów, ale czuję jej dystans. Jest to mniej więcej tak samo naturalne jak to, że słońce pojawia się rano po wschodniej stronie nieba. Ale teraz czuję to silniej niż kiedykolwiek przedtem - nawet wtedy, gdy ze mną zerwała - bo wtedy przynajmniej miałem jeszcze nadzieję, że do mnie wróci.

Biorę prysznic, wkładam koszulę z krótkim rękawem i spodnie. Odprowadzam ją na dół, do spa, gdzie zamówiłem dla niej „dzień dla urody”. Masaż, zabiegi kosmetyczne, tego typu sprawy. Na początku trochę się zżymała i wręcz wyszydziła samą ideę robienia pedicure, ale uległa, gdy wyjaśnili jej, że będzie on połączony z masażem stóp. Nie potrzebuje tak bardzo czuć się rozpieszczana, ale widać, że szuka odprężenia.

Odprowadzam Shelly pod same drzwi spa. To tylko dżentelmeński gest, ale ona wyczuwa, że jestem nadopiekuńczy, wszędzie ją eskortując. Ma rację.

- Co zrobisz z wolnym porankiem? - pyta.

- Chcę się nad czymś zastanowić. Kiwa głową i odwraca się w stronę drzwi.

- Shelly!

Patrzy na mnie przelotnie, a potem dostrzega mój wyraz twarzy. Kiedy milczenie między nami się przeciąga, a ona widzi moją wewnętrzną walkę, wyczuwa, jakie słowa za chwilę padną. Przygotowuje się na nie.

- Przesuśmy nasz lot - proponuję. - Lećmy jutro rano.

Patrzy mi prosto w oczy.

- Musisz wrócić do swojego życia - dodaje. - A ja muszę wrócić do swojego.

Przez chwilę się ze sobą zмага, ale z każdą chwilą milczenia udziela mi odpowiedzi. Znam Shelly Trotter lepiej, niż ona zna samą siebie. Znam różnicę między pragnieniem bycia z kimś a lękiem przed tym, że nigdy się z nikim nie będzie. Znam różnicę między kimś, kto traktuje mnie jak przyjaciela, a kimś, kto mnie kocha.

Wracam do pokoju hotelowego, wciąż słysząc to milczenie ciężko wiszące w powietrzu. Bolesne, ale szczere.

Wychodzę na werandę z teczką, którą przyniosłem z pracy. Za cztery tygodnie mam reprezentować klienta w sprawie o defraudację. Mam trochę zaległości, ale specjalnie mi to nie przeszkadza. Przygotowania to ta część mojej pracy, którą najbardziej lubię - nakreślanie strategii, a potem planowanie, jak wcielić ją w życie. To gra, współzawodnictwo, coś pomiędzy sportem kontaktowym a przedstawieniem. Jak mi się wydaje, mój klient prawdopodobnie powinien zostać skazany. W najlepszym wypadku schował głowę w piasek, kiedy wokół niego dyrektorzy firmy pogrywali sobie z przepisami ubezpieczenia zdrowotnego. A w najgorszym wypadku to właśnie on kierował nielegalnymi działaniami.

Ale wydaje mi się, że się z tego wywinie. Będziemy twierdzić, że nie miał pojęcia, co się dzieje - i że nawet nie mógł o tym wiedzieć. A ich najlepszy świadek - facet, który dogadał się z federalnymi i zgodził się zeznawać przeciwko mojemu klientowi - ma kiepskie papiery. Najpierw nakłamał federalnym i potem się do tego przyznał, a poza tym wygląda na to, że miał też mały problem z hazardem. Rozerwę go na strzępy przed ławą przysięgłych. Zrobię wokół sprawy tyle dymu, żeby obraz się zamazał.

Na tym teraz polega moja praca - zamazać obraz, pomieszać szyki prokuratorowi, sprawić, żeby świadek oskarżenia

wydał się niesympatyczny i niewiarygodny, podczas gdy mój klient siedzi sobie spokojnie, w milczeniu, ze słodkim, łagodnym uśmiechem na twarzy. Takie są reguły gry. Chodzi o to, żeby wygrać, nie o prawdę. Moja praca nie polega na tym, żeby próbować ją poznać.

Kiedyś było inaczej. Ale już nigdy nie będę prokuratorem.

Opieram się o balustradę werandy, ciepły wiatr przewiewa mi podkoszulek, promienie słońca ogrzewają moją twarz. Przez głowę przepływają mi obrazy - Leo Koslenki, ofiar z Mansbury, ale przede wszystkim Terry'ego Burgosa. Myślę o nim, przypiętym do krzesła elektrycznego, pulchnym i rozczochranym, patrzącym mi prosto w oczy, kiedy strażnik więzienny oznajmiał, że skazaniec odmówił złożenia ostatniego oświadczenia.

Nie jestem jedyny - przekazał mi ruchem warg. To były jego ostatnie słowa. Czy po prostu cytował piosenkę Ty-lera Skye'a? A może jakaś część jego umysłu wiedziała, że to prawda?

Wyjmuję komórkę. Mam ten numer wpisany do pamięci telefonu, bo należał na to gubernator. Nie planowałem, że z niego skorzystam.

Odbiera jakiś asystent, który szybko łączy mnie z Trotterem.

Gubernator jest zaniepokojony moim telefonem. Uspokajam go, mówię, że dobrze się tu czujemy, że Shelly cieszy się z tego wyjazdu i właśnie bierze masaż. Rozmawiamy przez chwilę o wszystkim i o niczym, ale obaj wiemy, że nie dzwonię po to, aby uciąć sobie miłą pogawędkę.

Na chwilę zapada milczenie. Odchrząkuję.

- Tak jak pan prosił, doradco - mówi Langdon Trotter. - Wstawiłem się za tym detektywem, McDermottem. Myślę, że wkrótce może się spodziewać awansu.

- Doceniam to, Lang. Bardzo ci dziękuję.

- Ale to nie po to dzwonisz - dodaje. - Ani nie po to, żeby poprosić mnie o rękę Shelly.

- Nie - przyznaję, nie rozwodząc się nad tym, jak bardzo ma rację.

- I nie dzwonisz też po to, żebym wstawił się za ciebie u Harlanda - śmieje się. - Wszystko wskazuje na to, że to raczej on chciałby, abym wstawił się za niego u ciebie.

Przed wyjazdem z Shelly na wakacje Harland Bentley pojawił się w mojej kancelarii. Po raz pierwszy to on do mnie przyszedł. Przeprosił, że zataił przede mną informacje podczas sprawy Burgosa. Poprosił, żebym dalej był jego adwokatem. Powiedział, że mnie potrzebuje i że zgodzi się na każde warunki, jakie mu postawię.

Nie oszukuję samego siebie, że nikt inny nie potrafiłby ogarnąć spraw prawnych Harlanda. Jestem dobrym gościem, żeby to wszystko trzymać w garści, a kiedy to konieczne, osobiście wkraczam do akcji, ale jest wielu adwokatów, którzy mogliby się zająć tą robotą i stopniowo wrosnąć w przywódczą rolę, jaka się z nią wiąże. Owszem, wierzę w to, że Harland mnie ceni, ale nie mam nawet cienia wątpliwości, że jego prośba wynika w niemałym stopniu z poczucia winy. Czuje, że jest mi coś winien.

Przedstawiłem Harlandowi Jerry'ego Lazarusa, który był jednym z moich najbliższych współpracowników w jego sprawach sądowych. Powiedziałem mu, że Jerry - młody, agresywny i bystry adwokat - jest dokładnie takim człowiekiem, o jakiego mu chodzi. Zgodził się - myślę, że głównie dlatego, że ja go o to poprosiłem. W ten sposób nasza firma nie będzie musiała zwalniać prawników. Nie straci korporacji Harlanda Bentley'a. Zmieniają się tylko nazwiska na jej szyldzie. Myślę, że wystarczy samo Shaker & Flemming.

- Wakacje, oderwanie się od codziennych spraw... To daje człowiekowi oddech - zauważa gubernator. - Daje czas na zrobienie kroku wstecz i zastanowienie się nad swoim życiem. I pomyślenie o przyszłości.

Nic na to nie odpowiadam. Ale się uśmiecham.

- Nie bądź dla siebie taki surowy, Paul. Ja też przez wiele

lat byłem prokuratorem. Ten facet przyznał się do morderstwa, a jego dom aż pękał w szwach od dowodów. I to on zabił większość tych kobiet. Do diabła, jego własny adwokat uznał...

- Dziękuję, gubernatorze. Naprawdę to doceniam. Niestety, jest już trochę za późno.

- To dlatego dzwonisz? Bo jest za późno?

On wie, dlaczego dzwonię. Nie mogę zmienić tego, co się stało, bez względu na to, jak bardzo bym tego pragnął. Ale chcę wierzyć, muszę wierzyć, że nie jest jeszcze za późno na to, aby zrobić coś dobrego.

- Pewnie już słyszałeś... Sędzia federalny Benz w zeszłym tygodniu ogłosiła, że ustępuje ze stanowiska - mówi gubernator. - Była prawdziwą chlubą dla tego urzędu. Będzie po potrzebować równie godnego następcy.

Lang Trotter jest bardzo bystrym człowiekiem. I dobrym.

Dziękuję mu i kończę rozmowę.

Łapię taksówkę przed hotelem i podaję adres. Kładę głowę na oparciu fotela i wpatruję się w linię wybrzeża: wspaniałe plaże i odwieczne, lodowatobłękitne morze. Samochód lawiruje wąskimi, nadmorskimi drogami.

Okazuje się, że w wieku piętnastu lat Leonid Kostenko zamordował swoją siostrę Katrinę. Potem uparcie próbował przekonać rodzinę, że była szpiegiem i chciała zniszczyć nie tylko swoich bliskich, ale i kraj. Jego rodzice mieli koneksje w politbiurze. Załatwili, żeby syn trafił do zakładu psychiatrycznego, zamiast odpowiadać przed sądem za morderstwo. I choć w relacjach na ten temat wciąż jest wiele luk, wygląda na to, że na kimś z KGB sprawność fizyczna Koslenki zrobiła spore wrażenie. Po spędzeniu dwóch lat w zakładzie psychiatrycznym został przez służby specjalne zwerbowany do wykonywania brudnej roboty. Mniej więcej po kolejnych dwóch latach jego rodzina, która nie mogła się z tym pogodzić, znów pociągnęła za odpowiednie sznurki. Dogadała się z sowiec-

kim rządem - prawdopodobnie sypiąc przy tym pieniędzmi na prawo i lewo. Koniec końców pozwolono Koslence opuścić Związek Radziecki jako „dysydentowi politycznemu”. Wszystko wskazuje na to, że bez trudu udało się wcisnąć Amerykanom taką wersję wydarzeń. Wszyscy wiedzieli, że Rosjanie zamykali swoich politycznych wrogów w zakładach psychiatrycznych.

Ale Leo Koslenko nie był dysydem. Jego miejsce było w zakładzie.

W głowie Koslenki jego kariera szpiega zabójcy nigdy nie dobiegła końca. Stany Zjednoczone były dla niego po prostu nową misją, a Natalia Lakę Bentley - nową przełożoną. Nadal się leczył na schizofrenię paranoidalną i brał środki, które przepisywał mu lekarz. Nikt nie wie, co się działo w tym czasie w jego głowie - czy czekał na dalsze rozkazy, czy też może przeprowadzał własne „misje”. Tak czy inaczej, na ile wiemy, udało mu się jakoś trzymać z dala od kłopotów. Można powiedzieć, że żył sobie dość wygodnie w domu Mii Lakę, pracując jako pomocnik i ogrodnik w jej posiadłości. Poznał wtedy Cassie, która z pewnością była najbardziej przystępna i szczerą z całego klanu Lake'ów-Bentleyów.

Jednak kiedy nadeszły rozkazy, był gotów do akcji. To się stało w dniu, gdy Cassie, w napadzie szału i rozpacz, zamordowała Ellie Danzinger. Kiedy Natalia „powołała go do czynnej służby”, skwapliwie rzucił się w wir działania.

Z tego, co bełkotał do mnie o Burgosie - On był jednym z nas - wnioskuję, że kiedy zobaczył, jak skutecznie Terry pozbył się ciała Ellie, uwierzył, że on też z nimi współpracuje. Był przeświadczony, że to właśnie dlatego Natalia kazała mu przenieść zwłoki do domu Terry'ego. Burgos był kolejnym szpiegiem, jego towarzyszem. A kiedy obserwował, jak jego towarzysz Burgos morduje prostytutki, pomyślał, że są one wrogami, tajnymi agentkami wypełniającymi jakieś misje, uzywającymi swej profesji jako przykrywkę.

Nikt nie wie, ile prostytutek zabił Leo Koslenko po całej

tej sprawie z Burgosem. Dziwki ciągle znikają, a ludzie rzadko przykładają się do tego, żeby ich intensywnie szukać. Okazało się, że prostytutka, o której zamordowanie był oskarżony parę lat temu, miała nacięcie między czwartym a piątym palcem lewej stopy. Policja wznowiła śledztwa w sprawie innych dziwek, których zwłoki znaleziono. Do tej pory zidentyfikowali trzy noszące ten sam „podpis”. Jednak inne trzeba by ekshumować. Bardzo wątpię, czy ktoś zada sobie tyle trudu.

To właśnie dlatego zabił Amalię Calderone, kobietę, którą odprowadzałem z baru. Wydawało mu się, że w ten sposób ratuje mi życie. Kiedy byłem nieprzytomny, zacisnął moją dłoń na łomie, narzędziu zbrodni - nie po to, żeby mnie wrobić, lecz w to wszystko zaangażować, uświadomić mi, że znów potrzebuje mojej pomocy. Zabił też klientkę z tamtego sklepu, która wprawdzie nie była prostytutką, ale kobietą bardzo atrakcyjną i prowokacyjnie ubraną. W jego wypaczonym umyśle zrodziło się przekonanie, że to dziwka - czytaj: szpieg.

Zamordował także rosyjską prostytutkę, posługującą się imieniem Dodia, żeby umieścić jej ciało w wannie zamiast Shelly. Okazuje się, że *komradka* sprowadzała do miasta młode Rosjanki. Trzymali je w magazynie, gdzie każdy, kto miał dość gotówki, mógł skorzystać z ich usług. Koslenko po prostu kupił tę dziewczynę za osiem tysięcy dolarów. Zabił ją, zawiózł ciało do mieszkania Shelly i zrobił z nią to, co zrobił.

Aż do tego momentu był ze mnie bardzo niezadowolony. Nie odpowiadałem na jego zaszyfrowane listy. Zniweczyłem próbę zabicia Brandona Mitchuma. Towarzysz tak nie postępuje. Wybieg, do jakiego się posunął w mieszkaniu Shelly, miał mnie zmusić do współpracy. Miałem dzień, a w najlepszym wypadku dwa dni, zanim badania krwi i inne testy by wykazały, że to nie Shelly była kobietą leżącą w tej wannie. Myślę, że gdybym nie posprzątał tego bałaganu - gdybym nie

był grzeczny-to za jakiś dzień naprawdę zabiłby Shelly. A w międzyczasie nikt by jej nie szukał, ponieważ wszyscy -z wyjątkiem mnie - myśleliby, że ona nie żyje. Był pewien, że ja będę wiedział, jak jest naprawdę.

Do tej pory Natalii Lakę nie postawiono żadnych zarzutów. Słyszałem pogłoski, że prokurator okręgowy rozważa oskarżenie jej za udział w zatuszowaniu morderstwa Ellie Danzinger, popełnionego przez Cassie. Myślę jednak, że to tylko próba załagodzenia całego tego szumu, jaki zrobiły wokół sprawy media. Nic takiego nie będzie miało miejsca. Nie ma nawet żadnych konkretnych dowodów, że to Cassie zabiła Ellie. Oczywiście zrobiła to, ale sama wiedza o tym, a udowodnienie tego w sądzie to dwie zupełnie różne rzeczy. A już tym bardziej nie dałoby się dowieść, że Natalia brała aktywny udział w tuszowaniu czegokolwiek. Nie mówiąc już nawet o fackie, że Terry Burgos został oficjalnie oskarżony, skazany i stracony za zamordowanie Ellie Danzinger.

Zeznania Natalii na policji nie obejmowały, rzecz jasna, faktu, że to ona poleciła Leo Koslence przenieść ciało Ellie z jej mieszkania do domu Burgosa, że kazała mu śledzić Terry'ego i zdawać jej raporty o wszystkim, co robił. A ja nie wspominałem policji o żadnej z tych rzeczy.

Przynajmniej na razie. A być może nie zrobię tego nigdy.

Taksówka wjeżdża do dzielnicy willowej - wielkie rezydencje, wzniesione wysoko na wzgórzach, otoczone potężnymi ogrodzeniami. Zastanawiałem się, czy nie wynająć na ten tydzień jakiejś posiadłości dla siebie i dla Shelly, ale hotele gwarantują o wiele większe bezpieczeństwo. Ostatnią rzeczą, jakiej ona potrzebowała, było spanie w jakimś olbrzymim, skrzypiącym i pojękującym domu, tysiące mil od wszystkiego, co zna.

A poza tym mój partner z firmy oświadczył, że skoro się już jedzie do Saint-Jean-Cap-Ferrat na francuskiej Riwierze, to koniecznie trzeba się zatrzymać w Grand Hotelu.

Płacę taksówkarzowi w euro, na tyle dużo, by go przeko-

nać, że warto na mnie poczekać. Podchodzę do wysokiej bramy, otoczonej dwoma blokami z białego kamienia, i naciskam dzwonek osadzony w złotej tablicy.

- *Bonjour* - słyszę przez interkom jakiś kobiecy głos.

- Paul Riley - odpowiadam. - Przyszedłem do Gwendolyn Lake.

- Ach. - Zapada chwila milczenia, kobieta przestawia się na angielski. - Pan... Riley?

- Paul Riley, tak.

- Czy był pan umówiony?

- Nie. Proszę jej przekazać, że przyszedłem sam.

Po dobrych dziesięciu minutach długim podjazdem podchodzi w moją stronę mężczyzna. Jest opalony, wysportowany, cały ubrany na białło.

- Pan Riley?

- *Oui*.

- *Bonjour*.

Otwiera niewielką furtkę i wprowadza mnie na teren posiadłości. Wspinamy się po zewnętrznych schodach, które wydają się nie mieć końca, ponad wypielegnowaną, kwitnącą wyspą drzew i roślin. Sam dom jest wielki, ale nie gigantyczny - jednopiętrowy, z cegły, z mnóstwem okien połyskujących w jasnych promieniach słońca.

Zamiast zaprowadzić mnie do środka, idzie ścieżką wijącą się wokół budynku. Przechodzimy na tyły. Jest tu basen, tak wielki jak ten, na który chodziłem w szkole średniej, obok jacuzzi i ogromny taras.

- Pani Lake - mówi mężczyzna.

Kiedy ostatni raz ją widziałem, była roztrzęsiona, w piżamie, z włosami rozczochranymi od snu. Cztery godziny po tym, jak w salonie Natalii opowiedziała mi początek tej historii, wsiadła na pokład samolotu American Airlines, lecącego bezpośrednio na lotnisko De Gaulle'a w Paryżu.

Dziś ma na sobie jednoczęściowy pomarańczowy kostium kąpielowy. Ramiona okryła białym, frotowym ręcznikiem.

Leży wyciągnięta na leżaku, na tarasie przy basenie. Jej skóra jest bardziej opalona niż przy ostatnim naszym spotkaniu. Włosy, jeszcze trochę mokre po pływaniu, opadają jej na ramię. Patrzy na mnie zza ciemnych okularów słonecznych.

Nie mówi ani słowa, nie proponuje mi, żebym usiadł na leżaku obok. Milczy.

- Nie wiem, co powiedziała ci Natalia - mówię - ale nie widzę powodu, żeby ją mieli o coś oskarżyć. Miała szczęście.

Odkłada na bok książkę, którą czytała, i siada na leżaku, opierając stopy na tarasie.

- Jestem zaskoczony, że w ogóle powiedziała policji, iż jej córka zabiła Ellie. Nie musiała tego robić. Myślę, że to był twój pomysł.

Siedzi nieruchomo, patrząc gdzieś w dal przez swoje ciemne okulary. Oczywiście mam rację. Natalia nie chciała, żeby ktoś się kiedykolwiek dowiedział, że to Cassie zabiła Ellie. Pozwoliłaby na obwinienie o to Terry'ego Burgosa, profesora Albany'ego czy kogokolwiek innego.

- Powiedziałas jej, że jeśli nie zezna tego na policji, ty to zrobisz.

Wciąż nie odpowiada. Nawet na mnie nie patrzy.

- Już raz uciekaś - mówię. - Wtedy, w środę, w tydzień, kiedy popełniono te morderstwa. Polecałaś do Francji.

Już to wszystko przerabialiśmy. Poruszam tę sprawę nie bez powodu, a ona o tym wie.

- Francja nie wydaje swoich obywateli do USA - ciągnę dalej. - Roman Polański może ci coś powiedzieć na ten temat. Zakładam, że właśnie dlatego wtedy tu przyjechałaś.

Nie odpowiada.

- I dlatego jesteś tu teraz - dodaję.

Podnosi na mnie wzrok.

- Rozumiesz - mówię - że morderstwo Cassie Bentley wciąż nie zostało wyjaśnione. Z punktu widzenia prawa w tej sprawie nigdy nie postawiono nikomu zarzutów. Wiesz o tym, prawda?

- Tak, wiem. - Jej głos jest bezbarwny, wyzywający. -
Oczywiście, że o tym wiem.

A jednak, mimo wszystko, wróciła do Stanów. Tyle tylko,
że trzy lata później.

- Czy mam jasny obraz Cassandry Alexii Bentley? - py-
tam. - Destrukcyjny romans z własnym wykładowcą. Huś-
tawka nastrojów. Odkrycie, że Harland spłodził córkę, którą
zawsze uważała za kuzynkę. Romans ojca z Ellie. I wtedy nie
wytrzymała. To było dla niej zbyt wiele. Wpadła do mieszka-
nia Ellie, z którego dopiero co wyszedł jej tatuś, i z całych sił
przyłożyła jej w głowę. Czy to wszystko prawda?

Spod ciemnych okularów spływa łza. Ociera twarz, usta
wykrzywia jej grymas, ale poza tym nawet nie drgnie.

- Spójrz na mnie - mówię. - Powiedz, że to wszystko
prawda.

Wbija wzrok w ziemię. Tłumi szloch, pociąga nosem, od-
kasłuje. Po chwili zdejmuje okulary słoneczne i patrzy na
mnie zaczerwienionymi, mokrymi od łez oczami.

- W porządku - mówię. - 1 nie było żadnej ciąży. Ani
żadnej aborcji. Takie było naturalne założenie. To włamanie
do Sherwood Executive Center... Wszyscy myślą, że po to,
aby ukraść jakiś test ciążowy, dane o aborcji albo test na oj-
costwo. Ale to wszystko brednie, prawda?

Milczy.

- Ale to było wiarygodne - mówię. - Evelyn Pendry tak
zakładała. Policja tak zakładała. Do diabła, nawet ja tak za-
kładałem. - Wciągam powietrze do płuc. - A potem ci to po-
wiedziałem, kiedy przyjechałem spotkać się z tobą tam, nad
jeziorem.

Jest na tyle bystra, żeby nic nie odpowiedzieć.

- A kiedy już podsunałem ci ten pomysł - ciągnę dalej -
uchwyciłaś się go i poszłaś o krok dalej. Ty i Natalia. Obie
wymyśliłyście zaraz potem swoje historyjki. Następnego dnia
przyszłyście do nas „z własnej woli” i opowiedziałyście, że
Cassie Bentley była w ciąży i ją przerwała. Chciałyście, aby-

śmy w to uwierzyli. Chciałyście, abyśmy tak myśleli, bo to obciążało profesora Albany'ego. Taki był od początku plan Natalii, zgadza się? Gdyby coś poszło nie tak, zrzucić winę na profesora Albany'ego. Wrobić Albany'ego.

- Ale to wszystko tylko kłamstwa. Mam rację?

Odwraca wzrok. Zastanawia się nad odpowiedzią.

- Chcę usłyszeć prawdę - żądam. - Musisz mnie przekonać, że to, co robię, jest słuszne.

Wybuchła śmiechem, w którym pobrzmiwała nutka goryczy.

- „Słuszne?”. Myśli pan, że pan wie, kto zabił Cassie...

- Nie, to już nie zadziała - mówię.

Przygląda mi się uważnie zwięzionymi oczami, z lekko przechyloną głową. Teraz to do niej dociera. Mury tej imponującej posiadłości zaczynają się wokół niej zamykać.

Wstaje z leżaka, rozgląda się na wszystkie strony, jakby próbując się przed tym schronić. Wreszcie spogląda na mnie już inaczej. Z nowym szacunkiem. Może nawet z lękiem.

- Podobało ci się to, co Koslenko zrobił z Shelly? - py tam. - A piła łańcuchowa? I ta biedna dziewczyna w wannie?

Odwraca wzrok. Nie mówi ani słowa, ale na pewno doceniła tę ironię. Trudno się pozbyć starych nawyków-tak właśnie musiała myśleć.

Przyznaję, upłynęło trochę czasu, zanim się domyśliłem. Ale potrafię dodać dwa do dwóch.

Te zwłoki w wannie - nierozpoznawalna masa ciała i kości-to było jedno.

I drugie, list Koslenki: *Jak będziesz grzeczny, ona też będzie żyta.*

Też. Czyli również. Czyli tak jak przeżyli inni.

No i jeszcze wyjaśnienie Koslenki, jak Ciancio się wszystkiego domyślił. Tamtej nocy, w Sherwood Executive Center, Fred dał Koslence klucze i zostawił go, żeby mógł się włamać do budynku. Leo powiedział mi, że Ciancio domyślił się

dopiero później, kiedy przyjechała policja w związku ze sprawą Burgosa.

Ale po odkryciu ciała policja przyjechała do tego budynku tylko z jednego powodu.

- Parę tygodni temu - mówię - rozmawiałem z Harlandem. I jakoś tak się złożyło, że zesłaliśmy na temat Sherwood Executive Center. Zapytałem, czy jego córka leczyła się w tym budynku. Wiesz, co mi odpowiedział?

Zamiera. Oczywiście nie ma o tym pojęcia, ale sprawia wrażenie, że to ją interesuje.

- Myślałem, że nie będzie miał pojęcia, gdzie chodziła do lekarza jego córka. Ale wiesz co? Pamiętał. Pamiętał, jak ją tam zabrał, żeby wyleczyli jej ubytek w zębie, kiedy była małą dziewczynką.

Jej twarz wykrzywia grymas. Po policzku spływa świeża łza. Ramiona zaczynają jej powoli drżeć.

- I ty sama też trochę pomogłaś - mówię jej. - Wtedy jak opisywałaś reakcję Cassie, gdy zobaczyła swojego ojca wychodzącego z mieszkania Ellie Danzinger.

Szlochając, kiwa głową. Przypuszczam, że kiedy potem nad tym myślała, sama zdała sobie z tego sprawę.

Nie jest pan nawet w stanie sobie wyobrazić czegoś tak odrażającego, tak obrzydliwego... Tak powiedziała. To było trochę zbyt osobiste, zbyt bezpośrednie jak na relację z drugiej ręki.

- Natalia wysłała cię do Paryża - mówię. - W tamtą środę. Myślę, że wyglądało to mniej więcej tak, jak to opisywałaś: byłaś roztrzęsiona. Kłębek nerwów. Nie miałaś pojęcia, co się z tobą dzieje. I nie miałaś pojęcia, co się jeszcze stanie.

- Oczywiście że nie. - Patrzy na mnie. - „Kłębek nerwów” to dobre określenie. Byłam przerażona, miałam kompletny mętlik w głowie, a do tego jeszcze nafaszerowali mnie lekami. Kiedy wsiadałam do tego samolotu, przypominałam zombie.

Wierzę jej. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej.

- Nie zastanowił cię tamten paszport?

Potrząsa głową.

- Pewnie... Pewnie powinien... Ale nie.

Tutaj, we Francji, była już bezpieczna. Uspokojona, że francuski obywatel nie podlega ekstradycji.

Teraz widzę, że Natalia Lakę przeprowadziła to wszystko naprawdę po mistrzowsku. Kazała Koslence przenieść ciało Ellie do domu Burgosa, zawarła cichą umowę o obopólnym milczeniu z profesorem Albanym... No i miała szczęście, i to naprawdę dużo szczęścia, kiedy Burgos wpadł w morderczy szał i rozpoczął trwającą cały tydzień masakrę.

Ale Natalia Lakę zrobiła coś więcej niż tylko samo zatuszowanie morderstwa. Zleciła też morderstwo. Wydała rozkaz, któremu Koslenko był posłuszny. Pobił tę biedną dziewczynę tak, że nikt nie był w stanie rozpoznać ciała, a potem porzucił ją- tak jak Ellie - na progu tylnych drzwi Burgosa.

A później Natalia skłoniła mojego szefa, prokuratora okręgowego, aby wycofał zarzuty w sprawie tego morderstwa, tak żeby nikt się temu zbyt dokładnie nie przyjrzał.

Cassie mnie ocaliła - powiedział Burgos. Myślał, że ostatnie morderstwo w pierwszej zwrotce oznacza, iż sam musi się zabić. To właśnie sugerowały słowa piosenki: włóż go prosto między zęby i szczęśliwie wystrzel. Tak właśnie rozegrał to Tyler Skye, gdy strzelił sobie w usta. Jednak najwyraźniej Terry nie chciał popełniać samobójstwa. Zwlekał z tym przez dwa dni. Być może nigdy by tego nie zrobił. Ale potem nagle Bóg zesłał mu ulaskawienie: Burgos znalazł pod swoimi drzwiami okropnie zmasakrowane ciało, leżące dokładnie w tym samym miejscu, gdzie Pan zostawił też Ellie Danzinger. Nie potrafił pogodzić takiego przebiegu wypadków z odniesieniem Tylera Skye'a do ustępu z Księgi Kapłańskiej, więc wertował Biblię, dopóki nie znalazł wersu mówiącego o ukamienowaniu, które najtrafniej opisywało to,

co zrobiono z kobietą leżącą na jego tylnym podwórzu. Wykreślił ze swojej listy ustęp z Księgi Kapłańskiej i wpisał na to miejsce fragment z Księgi Powtórzonego Prawa. A potem, żeby zachować zgodność i z Księgą Kapłańską, i ze słowami piosenki, strzelił trupowi w usta.

Podobnie jak wszyscy Burgos myślał, że zwłoki leżące pod tylnymi drzwiami jego domu były ciałem Cassie. Czemu miałby sądzić inaczej? Choć miała strzaskaną, zmiażdżoną twarz, w kieszeni jej spodni było prawo jazdy i karty kredytowe należące do Cassandra Bentley.

Oczywiście nie poprzestaliśmy na dokumentach znalezionych przy ciele ofiary. Identyfikacja przez rodzinę to w takich wypadkach minimum. A Natalia - naturalnie ona, a nie jej mąż - rozpoznała zwłoki w kostnicy.

Ale na tym też nie poprzestaliśmy. Przy tak zmasakrowanej twarzy, gdy do bazy danych nigdy nie wprowadzono odcisków palców, wykonuje się kolejny oczywisty krok.

Uzyskuje się dane z karty dentystycznej.

Gdy w sobotę, po odnalezieniu Shelly, obudziłem się w szpitalu, zadzwoniłem do mojego stomatologa, dr. Morse[^]. Wyjaśnił mi, że w 1989 roku większość dentystów nie miała takich kart w formie cyfrowej czy w pamięci komputera. W szufladce z nazwiskiem pacjenta trzymali po prostu w kopercie odbitki zdjęć rentgenowskich.

Przyznał mi rację, że gdyby wtedy, w 1989 roku, ktoś w środku nocy włamał się do jego gabinetu i przełożył karty dentystyczne z jednej szufladki do drugiej - na przykład podmieniając ze sobą karty dwóch przyrodniczych sióstr - nikt by się nie zorientował. Może trzeba by jeszcze było pozamieniać jakieś naklejki z nazwiskami, ale to byłoby łatwe i nikt by się o tym nie dowiedział.

Fred Ciancio, pracując jako ochroniarz w Sherwood Executive Center przez kolejny tydzień po znalezieniu ciała, musiał być bardzo zdumiony, kiedy zobaczył policjantów wchodzących do gabinetu po kartę dentystyczną Cassie Bentley.

Na pewno zachodził w głowę, czy miało to coś wspólnego z Koslenką.

Wkrótce potem zobaczył w gazecie zdjęcie tego samego człowieka - Leo - stojącego w tle, ze wzrokiem utkwionym i; w Harlandzie Bentleyu. Musiał powiązać Koslenkę z rodziną Bentleyów i prawdopodobnie domyślił się, co się wydarzyło. Zadzwonił do Carolyn Pendry, reporterki zajmującej się sprawą Burgosa, ale potem jeszcze raz to przemyślał i postanowił milczeć. Carolyn w końcu dała sobie spokój z Cianciem i cała sprawa nie wypłynęła na światło dzienne.

W tym roku, w czerwcu, z jakiegoś powodu Ciancio powrócił do tych wydarzeń. Prawdopodobnie zobaczył w telewizji ten specjalny program Pendry, w którym wyrażała współczucie dla Burgosa. Udało mu się odnaleźć Leo Koslenkę i poinformować go, że przyszła pora na zapłatę drugiej raty. Zadzwonił też do Evelyn Pendry, córki Carolyn. Kto wie? Może się wahał, czy lepiej wyjawić prawdę, czy dostać jakąś okazałą sumkę, która zasilaby jego emeryturę? Musiał jakoś naprowadzić Evelyn na trop - prawdopodobnie wspominając o Sherwood Center - ale nie powiedział jej wszystkiego.

Zastanawiam się, czy Ciancio kiedykolwiek domyślił się całej prawdy. Sprawa musiała mu się wydawać podejrzana, ale się dokładnie wiedział, co się wtedy wydarzyło?

Koslenko oczywiście nie zamierzał pozwolić mu dalej żyć. Torturował go, dopóki nie wydobył z niego nazwiska Evelyn. A potem torturował Evelyn i wydobył z niej nazwisko Brandona Mitchuma. Wszyscy oni wiedzieli o czymś, co mogłoby kogoś naprowadzić na trop wiodący do poznania prawdy.

Prawdy o tym, że Cassie Bentley nigdy nie została zamordowana. Zamiast tego wsiadła na pokład samolotu lecącego do Paryża, posługując się paszportem Gwendolyn. A Gwendolyn została bestialsko zatłuczona na śmierć, a potem - po

podmianie kart stomatologicznych - podrzucona Burgosowi jako jej przyrodnia siostra Cassandra.

Cassie Bentley obserwuje mnie, otula się szczerzej rękami.

- I co teraz?

- Zamordowanie Gwendolyn - mówię. - Twoja matka powinna stanąć za to przed sądem.

Ale oboje wiemy, że gdyby do tego doszło, wszyscy dowiedzą się o Cassie - żyjącej tu, we Francji, pod nazwiskiem Gwendolyn.

- Nie pochwalam tego, co zrobiła moja matka. - Cassie zasłania dłonią twarz. - Gdybym o tym wiedziała, powstrzymałabym ją. Ale ona zrobiła to dla mnie, panie Riley. Wie działa, że po zabiciu Ellie policja trafi prosto do mnie. Była pewna, że nie zniosłabym żadnego przesłuchania. - Otula się ramionami. - Ale skoro nie żyję, nikt mnie nie będzie szukał.

Taką samą strategię zastosował Koslenko, zastępując Shelly zwłokami tej prostytutki. Jak będziesz grzeczny - napisał mi - ona też będzie żyła. Tak jak żyje Cassie.

Wierzę jej. Nic z tego, czego się dowiedziałem o Cassie Bentley, nie skłania mnie do myślenia, że mogłaby brać udział w tym diabolicznym spisku. Po śmierci Ellie matka trzymała ją w domu - tak jak mi powiedział Koslenko - a potem wysłała ją do Paryża. Cassie nie miała pojęcia, że zamierzali upozorować jej śmierć. Nie wiedziała, jaki los czeka Gwendolyn.

Wybór na ofiarę przyrodniej siostry nasuwał się sam. Nie miała prawdziwego domu ani rodziny. Bez przerwy skakała z kontynentu na kontynent. Nie było nikogo, kto by za nią tęsknił. Wyglądała tak jak Cassie - miały wspólnego ojca, a ich matki były siostrami - i jeszcze na wszelki wypadek zmasakrowali jej twarz. Poza tym prawdopodobnie nikt nie mógł przewidzieć, jak Gwendolyn się zachowa w tamtej sytuacji. Nie mogli na nią liczyć, że pomoże im zatuszować to

morderstwo. Jedna wielka niewiadoma. Idealnie nadawała się do ich celów. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Twoja matka nie miała nic wspólnego ze śmiercią Ciancia, Evelyn Pendry ani z żadnym z morderstw w ostatnim czasie?

Koslenko już mi powiedział, że działał sam, ale chcę usłyszeć jej odpowiedź.

Mówi dobitnie, okazując o wiele więcej zdecydowania:

- Panie Riley, ona nie rozmawiała z Leo od wielu lat. Zresztą ja też nie. Po tym wszystkim, co się stało, dała mu tyle pieniędzy, żeby starczyło mu na całe życie. Kupiła mu dom w mieście i nigdy się już potem z nim nie widziała.

To prawda. Policja znalazła skrytkę depozytową na nazwisko Koslenki, w której było prawie milion dolarów w gotówce. Leo zerwał się ze smyczy. Działał sam, z własnej inicjatywy. Próbował chronić Cassie - kobietę, którą kochał - aby nikt nie odkrył jej tajemnicy.

- Kiedy Leo zaczął zabijać, matka była u przyjaciół w Toskanii. Nie miała o tym pojęcia, dopóki nie skontaktowała się z nią policja we Włoszech. Ja też nic nie wiedziałam. Dopiero pan mi o tym powiedział, kiedy po raz pierwszy przyjechał się pan ze mną spotkać tam, nad jeziorem.

To ma sens. Ale potem rozmawiała z matką. Dopracowały swoją historyjkę, żeby zgadzały się wszystkie szczegóły, i sprzedały ją mnie i policji. Spisały na straty Leo, przekreśliły Albany'ego.

Ale koniec końców Cassie - jako Gwendolyn - powiedziała prawdę, przynajmniej na tyle, żeby ocalić Albany'ego i Harlanda. Prawdopodobnie doszła do wniosku, że dla Leo nie mogła już nic zrobić. Było jasne, że to on był odpowiedzialny za zabicie Ciancia, Evelyn Pendry i Amalii Calderone oraz za nieudany zamach na życie Brandona Mitchuma. Wciąż mogła jednak ocalić Harlanda i profesora. Razem z matką skierowały nasze podejrzania na nich obu, ale tego ostatniego dnia wmaszerowała do salonu Natalii i wydała

Cassie - samą siebie. Ku wyraźnemu zaskoczeniu matki i mimo jej sprzeciwów wyjaśniła, kto naprawdę zabił Ellie. Próbowwała zrobić to, co słuszne, nie zdradzając przy tym swej prawdziwej tożsamości. Postąpiła najlepiej jak mogła w tej sytuacji. Jej matka była gotowa poświęcić Albany'ego albo nawet Harlanda, byle tylko ochronić Cassie. Ale w końcu to Cassie nie pozwoliła, żeby do tego doszło.

To dlatego milczałem o tym wszystkim, dlatego chciałem poczekać z osądem, dopóki z nią nie porozmawiam. Cassie zabiła dziewczynę, swoją najlepszą przyjaciółkę, ale okoliczności były takie, jakie były. Skrajne stany emocjonalne, chwilowa niepoczytalność... Prawo dostarcza furtek i wybiegów w niezręcznej próbie pogodzenia sprzecznych racji, znalezienia równowagi między karą a współczuciem. Nie wiem, co by z tym wszystkim zrobił sędzia, co orzekliby przysięgli. Spotykałem się z tym częściej niż ktokolwiek, widziałem, jak niedoskonałe bywa prawo w obliczu faktów.

Nawet przez chwilę nie zastanawiałem się nad tym, że Terry Burgos mógł być obłąkany. Natychmiast zabrałem się do pracy, żeby obalić ten argument. Gromadziłem dowody, by zmiażdżyć jego linię obrony. Wmawiałem sobie, że przecież ma adwokata, że jest jeszcze ława przysięgłych, że system jest tak pomyślany, by prawda zawsze wyszła na jaw.

Ale byłem prokuratorem. W mojej pracy chodziło o coś więcej niż tylko o wygraną. A jednak każdy dowód świadczący o chorobie psychicznej Burgosa - a było ich sporo - traktowałem jak kolejną przeszkodę na drodze do zwycięstwa. Minę, którą trzeba obejść. Coś, co muszę za wszelką cenę zdyskredytować. Nie zależało mi na tym, czy to, co robię, jest słuszne. Nawet nie zadałem sobie tego pytania.

Będę sobie teraz tłumaczył, że być może postęпки Burgosa były nieuniknione. Że przypominał tykającą bombę zegarówą, która pewnego dnia musiała wybuchnąć. Gdyby nie sprawiło tego ciało Ellie, które znalazł pod swoimi drzwiami, sprowokowałoby go coś innego. Ktoś, komu wystarczyło tak

niewiele, żeby postradać zmysły, i tak prędzej czy później pewnie by to zrobił. Oczywiście będę sobie wmawiać, że trzeba go było powstrzymać. Stanowił zagrożenie dla społeczeństwa. Przecież zabił cztery młode kobiety. Będę prowadził tę debatę z samym sobą aż do końca moich dni.

- Niech pan zrobi, co pan uważa za słuszne - mówi cicho Cassie z oczami lśnącymi od łez. - Nie będę z tym walczyć. Jestem... Jestem już zmęczona uciekaniem.

Prokurator ma nieograniczoną swobodę decyzji. Może odmówić wniesienia zarzutów z jakiegokolwiek powodu. Nie jestem już prokuratorem, ale sprawa morderstw z Mansbury należała do mnie. I to, co się stanie z Cassie Bentley, zależy tylko od mojej decyzji - czy mi się to podoba, czy nie.

- Żegnaj, Gwendolyn Lake.

Zostawiam Cassie stojącą bez ruchu, wpatrzoną w dal, za horyzont, zadającą sobie pytanie, czy kiedykolwiek przestanie uciekać.

Podziękowania

Jak zwykle zdałem się na zdolności i talenty innych, którzy pomogli mi stworzyć tę powieść i nadać jej ostateczny kształt.

Bill Kunkle, mój były kolega po fachu i główny prokurator w sprawie *Naród przeciwko Johnowi Wayne 'owi Ga-cy 'emu*, szczerze dzielił się ze mną swymi doświadczeniami i przemyśleniami na temat procesu seryjnego mordercy chorego na schizofrenię. Chciałbym przeżyć choć niewielką częśćkę twoich wojennych historii, Bill.

Doktor Ronald Wright, patolog sądowy z Florydy, nie szczędził mi swego czasu i cierpliwości, odpowiadając na wszelkie techniczne pytania. Sprawił, że dyskusja na temat zwłok stała się bardziej interesująca, niż kiedykolwiek mógłbym przypuszczać.

Mój dawny kolega z roku na studiach prawniczych, Matt Phillips, pozwolił mi skorzystać z błyskotliwych porad swojej żony, doktor Wendy Phillips, która zapoznała mnie w ogólnych zarysach z zagadnieniem schizofrenii paranoidalnej wyjaśniając też pewne niezwykle przydatne szczegóły.

Jeff Gerecke udzielał mi doskonałych porad i nadał mojej pracy kierunek - tak jak to zresztą czyni już od wielu lat. Zawsze będę jego dłużnikiem.

Zwróciłem się do dwóch niezwykłych podejrzanych, żeby przeczytali rękopis tej książki i podzielili się ze mną wszelki-

mi uwagami, jakie im się nasuną. Jim Jann, poeta i prawdziwy przywódca, zawsze widzi rzeczy, których ja nie potrafię dostrzec, i mówi mi to, co myśli. Jim Minton za każdym razem sprawia, że moja książka staje się lepsza - od drobnych szczegółów, przez wartkość fabuły aż po najszerszy obraz. Do tej grupy dołączam też Mikę'a McDermotta, który pozwolił mi wykorzystać swoje dobre imię (i to w dosłownym znaczeniu) i którego uwagi do wstępnego szkicu tej książki bardzo mi pomogły.

J.A. Konrath, który mógłby powiedzieć niejedno na temat pisania o seryjnych mordercach, udzielił mi niezliczonych porad w mojej pisarskiej karierze. I tym razem nie szczędził cennych uwag, rad i słów zachęty. Naprawdę wiele mu wdzięczam.

Dan Collins, prokurator federalny i przyjaciel na całe życie, zawsze miał czas, by odpowiadać na moje irytujące pytania dotyczące sposobów egzekwowania prawa. A może robił to tylko dlatego, że zawsze to ja biegałem po drinki?

Larry Kirshbaum, mój agent, uczy mnie czegoś nowego za każdym razem, kiedy otwiera usta. Jego entuzjazm jest zaraźliwy, a mądrość nie ma granic.

Niełatwo jest być moim redaktorem. Jednak Brendan Duffy od początku aż do samego końca poradził sobie z tym trudnym zadaniem w sposób wręcz niesamowity. Pokierował tą powieścią w sprawach ważnych i drobnych - bez niego nigdy nie byłaby taka, jaka jest. Jestem ogromnym szczęściarzem, że miałem tak utalentowanego współsprawcę zbrodni.

A wreszcie pragnę podziękować mojej żonie Susan, która cierpliwie słucha mojego niekończącego się gadania o książkach, jakie piszę. To dzięki niej zachowuję równowagę, pozostaję przy zdrowych zmysłach i jestem szczęśliwy do szaleństwa. Przy Tobie moje serce zawsze bije mocniej.